PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SZÓSTY. — TOM CIV.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1909.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1909

PRACA U PODSTAW W POWIEŚCIACH ORZESZKOWEJ.

I.

Idea pracy u podstaw po roku 1863 — Jej źródła i przejawy.

Praca u podstaw! Każdy z nas, cośmy już poza sobą pozostawili połowę drogi naszego żywota, dobrze chyba pamięta to hasło z przed laty trzydziestu. Z jakim entuzyastycznym głoszono je wówczas przejęciem, z jakim polotnym młodzieńczym zapałem!

Polot na nizinach, entuzyazm trzeźwości! — dziwne zaiste przeciwieństwa tego okresu młodo-pozytywistycznej reakcyi przeciw starzejącemu się romantyzmowi.

Ojcowie, a jeszcze bardziej dziadowie nasi bywali »rozumni szałem« — my w dniach naszej młodości stawaliśmy się nieomal szaleni rozumem. Racyonalizm na doświadczeniu oparty, pozytywnie uzasadniony, ku utylitarno-życiowym zwrócony celom i zadaniom zdał nam się alfą i omegą wszelkiej wiedzy ludzkiej, początkiem i kresem wszelkiej praktycznej mądrości życia.

Było w tem dużo doktrynerskiego, ideologicznego zacietrzewienia, dużo wpływów obcej teoryi, — ale, niestety, jak wiele też własnej, bolesnej, praktyki, prawdziwie tragicznej konieczności życiowej. Cała Europa fatalną konsekwencyą swego rozwoju nowoczesnego z romantyzmu przeszła w pozytywizm — my przez okropną katastrofę dziejową zostaliśmy gwałtownie strąceni z wyżyn romantycznych na pozytywistyczne niziny.

Dwa wielkie akty naszej tragedyi porozbiorowej: rok 31

i rok 63 jakże różnymi upamiętniły się skutkami. Tamten porwał naród na jakieś szczyty ofiarnej egzaltacyi, symbolicznie wyrażonej przez naszych wieszczów w obrazie Chrystusowej, za ludzkość umęczonej Polski — ten odsłonił przed narodem istną otchłań niedoli i zguby, z której jedynem wybawieniem zdał się ofiarny trud ciągłej niezmordowanej pracy na powszednich, szarych nizinach życia.

Że ta nizinna praca u podstaw stawała się niekiedy nizką pracą samolubnego interesu, o tem wszyscy dobrze wiemy, to zwykły objaw zwyrodnienia jej w szarzyźnie powszedniości życiowej — że jednak w tej swojej powszedniej szarzyźnie jaśniała ona nieraz czystym odblaskiem szlachetnego zaparcia siebie, a w swej zasadzie wewnętrznej była nie czem innem jak nowym, do potrzeb czasu przystosowanym, przejawem szczerej miłości ojczyzny: o tem nikomu z nas zapominać się nie godzi.

Zewnętrznym, obrazowym wyrazem tej zasadniczej jej istoty stała się nasza literatura piękna z drugiej połowy ubiegłego stulecia.

Była to, jak wiadomo, literatura przeważnie, nieomal wyłącznie prozaiczna, najwyższy w naszem piśmiennictwie rozkwit prozy artystycznej; podobnie jak przedtem, w pierwszej połowie stulecia, mieliśmy najwyższy rozkwit artystycznej poezyi.

»Po tym w Polsce deszczu krwawym — mówił naówczas Słowacki — rodzą się u nas poeci jak grzyby«. Po tym drugim w Polsce deszczu klęsk jeśli nie krwawszym, to w skutkach jeszcze straszliwszym, w nieszczęścia i ofiary jeszcze obfitszym, gleba literatury ojczystej wydała wielkich prozaików, co wśród powszechnego przygnębienia sami nieraz walcząc z własnem zwątpieniem i zrozpaczeniem nie na wyżynach idealnych, lecz przeważnie na realnych poziomach w trudzie i bólu niemałym snuli wątek swej twórczości »dla pokrzepienia serc«, jak to wyraźnie zaznaczył Sienkiewicz na ostatniej stronicy znamienitej swej »Trylogii«.

Polska, Chrystusowa ofiarnica ludzkości, w hymnach swych wieszczów śpiewała chwałę wielkich poświęceń i odrodzeń ducha — Polska, odbudowczyni od podstaw swego tylokrotnie bu-

rzonego domostwa, w swej prozaicznej literaturze popowstaniowej »zstąpiła z hymnu do prostej powieści« o dawnych bojach i nowych pracach, podejmowanych dla odnowienia lub podtrzymania starożytnej budowli.

Zaiste nie do hymnów, nie do pieśni było nam wtedy. Nie dla podnoszenia serc »ponad martwe światy w rajską dziedzinę ułudy, kędy zapał tworzy cudy«, lecz dla krzepienia ich wśród zmartwiałej od nadmiaru niedoli rzeczywistości, kędy pracą wytrwałą nowe należało budzić życie, tworzyli i pisali główni w tej dobie przedstawiciele naszej literatury pięknej. Sam autor »Trylogii« i »Quo vadis« pokrzepiał serca rodaków wspomnieniami świętych ofiar wiary i bohaterskich czynów miłości ku ojczyźnie. Tylko za młodych swych lat jako Litwos szkicował w »Humoreskach z teki Worszyły« obrazki ideowej na nizinach pracy u podstaw — później, w »Rodzinie Połanieckich«, ukazał nam raczej satyryczny obraz pracowitej zabiegliwości na nizkich poziomach filisterskiego samolubstwa. Natomiast dwa inne znamienite w tej epoce talenty powieściowe pisarskie: Prus i Orzeszkowa odtwarzanie artystyczne tej mniej lub więcej z idei wynikłej, przez ideę ożywionej nizinnej, podstawowej pracy współczesnego pokolenia wzięły sobie za główny, istotny przedmiot swych książek »pisanych dla pokrzepienia serc«.

Typowe, przedstawicielskie talenty epoki realistycznej, przez samo określone powyżej powołanie swe pisarskie, ku otaczającej rzeczywistości zwracane, musiały nieodzownie przyswoić sobie odrębne jej barwy i znamiona. Warszawa i Litwa: oto specyficzne, a tak różne środowiska realne, w pośród których żyć i tworzyć im przyszło — środowiska nie tylko różne, nie tylko przeciwstawne sobie na ogólnym obszarze naszego życia narodowego, lecz także dopełniające się swemi odrębnościami i przeciwieństwami w dziejach naszych klęsk i nieszczęść, osobliwie w tragicznych dziejach roku 63 i jego następstw.

Wspomnijmy Warszawę i Lituanię Grotgera. Pierwsza, to poryw do walki, to śmiałe zerwanie się do niej w żywiołowym ruchu i pędzie świeżych sił narodu, — druga, to stoczonej, przegranej walki, najokropniejsza, najtragiczniejsza ofiara, to za żywa

pogrzebiona jedna z najszlachetniejszych, najbardziej żywotnych części organizmu narodowego. Niedarmo grotgerowska Lituania rozpoczyna się obrazem śmierci, przewiewającej »puszcz litewskich przepastne krainy«. To symbol nie tylko tysięcy zgonów indywidualnych, lecz także zbiorowego zgonu, na który kraj cały skazano.

Różne przejawy katastrofy dziejowej różne za sobą pociągają skutki. Warszawa, główne ognisko budzącego się ruchu po wstańczego i entuzyastycznego nim upojenia, staje się w następstwie głównem ogniskiem popowstaniowej, otrzeźwiającej reakcyi — Litwa, najkrwawsza ruchu owego ofiara, ani marzyć nawet może o jakimś ruchu świeżym, ożywczym; nieruchomym, biernym oporem walczyć musi o swe życie utajone.

»Jedna tylko Warszawa mocy twej urąga«, słuszna, by i teraz powtórzyć z Mickiewiczem.

Pomimo wszelkich możliwych i niemożliwych przeszkód, utrudnień, ograniczeń, życie jej społeczne i narodowe po roku 63 trwa, rozwija się, zakwita na nowo. Tłumiona u swych szczytów zwraca się do swych podstaw. I tutaj przenikają tłumiące je wraże potęgi. A jednak się porusza! Nowe sobie żłobi łożyska, nowe samo z siebie wydobywa żywioły. Przedewszystkiem coraz liczniejsze w rosnącym wciąż nad Wisłą ognisku przemysłowo-handlowem żywioły mieszczańskie. Wstrząśnienie roku 63 zbudziło je do życia narodowego, reakcya popowstaniowa dała mu silną podstawę społeczną. Dopóki orężem trza było wywalczać ojczyznę, szlachta w pierwszym szła szeregu, skoro teraz okazała się nieodzowna potrzeba wypracowania ojczyzny, mieszczaństwo naprzód się wysunęło. Tak jest, »mieszczan synowie«, nawet »kupcy i żydowie«, z taką niechęcią przez śpiewaka »Przedświtu« wspominani, stanęli teraz śmiało i dzielnie obok szlachty, niekiedy przed szlachtą na widowni życia narodowego. I oczywistem było dla każdego, kto ma oczy ku patrzeniu, że z niej już nie zejdą, że coraz szerzej, coraz przemożniej rozpościerać się na niej muszą.

Oto skąd się wzięła teorya pracy organicznej, zasada pracy u podstaw i cała literatura realistyczna będąca wyrazem nowych prądów życiowych. Oto skąd się wzięli w życiu i w literaturze

Wokulscy, Ruccy, Połanieccy, uszlachetnieni duchem mieszczanie, zmieszczanieni pracą szlachcice, eks-wojacy, półromantycy, dziwne czasem mieszaniny różnych, lub zgoła sprzecznych żywiołów. W literaturze powieściowej Prus najgłębiej ujął te hasła nowych dążeń, tych rycerzy nowego znaku – Prus, serce Warszawy popowstaniowej, nie tylko w swych powieściach, ale i w całej swej działalności obywatelsko-publicystycznej ogarniający gorącem swem uczuciem, swą wysoką myślą humanitarną, każdy czyn z ducha publicznego wynikły, każde realne zadanie społeczne, każdą nieomal cyfrę statystyczną, mającą je bliżej określać. A obok Prusa, dokoła Prusa jaki liczny zastęp wybitnych talentów, jaka atmosfera pracy, nauki, służby publicznej, promieniująca na kraj cały szczególnie z siedmioletniego okresu warszawskiej Szkoły Głównej. Dzisiaj o czasach owych i ich dążeniach mówi się nieraz z niechęcią, uprzedzeniem, przekąsem. Zapewne jednostronności było w nich niemało, doktrynerskiego zacietrzewienia jeszcze więcej, ale czyż nie rzucono wtedy w glebę społeczną niejednego ziarna, które następnie bujny plon wydało i dotąd jeszcze wydaje? czyż zwrot do pracy organicznej, pracy u podstaw nie był koniecznym objawem pozytywistycznego wytrzeźwienia w upojonem romantyzmem społeczeństwie naszem? — W każdym razie ta zdolność przyswojenia i zużytkowania na pożytek organizmu narodowego wielkich prądów kulturalnych czyż nie świadczy o wielkiej żywotności jednego z głównych centralnych jego organów – stołecznej naszej Warszawy?

II.

Litwa po roku 1863. — Młodzieńcze z tej epoki wrażenia Orzeszkowej.

Jakże odmiennie przedstawia się ta sprawa na dalekich kresach litewskich.

»Litwo, ojczyzno moja!« — wołał ongi największy z naszych wieszców, co miliony narodowe miłością swą ogarniał.

»Litwo, dziedzino mej ojcowizny!« — mógłby dziś zawołać niejeden północno-zachodni krajowiec-realista, niesięgający sercem poza granice swego powiatu, często swego własnego kawałka

ziemi, który w ciągłej oń walce utożsamił bezwiednie z wielką całością ziemi-ojczyzny.

Między tymi krańcami ileż cierpień, ileż mąk, ile zagłady i zniszczenia! Wszystkie ogniska ducha pogaszone, wszystkie węzły społeczne pozrywane, wszystkie centry życia zbiorowego sparaliżowane. Gdzież tu myśleć o jakiejś wspólnej łącznej pracy organicznej, pracy u podstaw? — Gdzież choćby możność wezwania do niej publicznie w prasie, w literaturze?...

W tych warunkach nie mogło być ani mowy na Litwie o jakichś świeżych prądach w literaturze i w życiu o jakimkolwiek zrzeszaniu się twórczych i wykonawczych sił społecznych w publicznej pracy dla kraju. Przez cały okres popowstaniowy, w ciągu pół wieku prawie, od roku 63, aż do chwili obecnej literatura na Litwie zgoła nie istnieje. Rozległy kraj z wielkiemi tradycyami kulturalnemi pozbawiony jest, jak wielu innych i tego nieodzownego przejawu kultury. Rzekłbyś, że ludzie tu nic nie myślą, nie czują jeno wegetują bezdusznie w jakimś pierwotnym, przedcywilizacyjnym okresie bytu.

A jednak i tu, w tym martwym bezruchu coś się porusza, coś budzi się do nowego, szerszego życia. Budzi się twórcza myśl ludzka i snuje z siebie obrazy odtwarzające najistotniejszą, najskrytszą treść otaczającego bytu — budzi się współczujące ludzkie serce i w tworach wysnutych z życia jednej prowincyi, jednego litewskiego zaścianka uderza tętnem zbiorowego życia wielkiej polskiej ojczyzny.

Jakże to charakterystyczne, że w całej tej smutnej dobie popowstaniowej na rozkwitających w Warszawie niwach literatury pięknej pojawiają się z Litwy li tylko odosobnione talenty kobiece: Orzeszkowa, Rodziewiczówna, Jeleńska. Wobec absolutnego braku wszelkich ognisk i środowisk życia literackiego wobec zawziętego tępienia wszelkich najdrobniejszych nawet śladów twórczej myśli polskiej, tylko na gruncie intuicyi powstać mogły płody polskiej literatury tylko w obrębie prywatnego życia domowego mogły się rozwinąć samoistne jej talenty. Owóż intuicya, to główna dziedzina umysłowości kobiecej — życie domowe, to przyrodzona sfera kobiecej natury. Talent męski po-

trzebuje szerszego przestworu służby publicznej, więdnie i marnieje w cieśni zadomowienia; — talent kobiecy, wiekową tradycyą kobiecego życia do niej przystosowany, umie jakoś żyć i rozwijać się w tej cieśni i siłą intuicyi do szerszych wznosić się z niej przestworów.

Wymownym tego dowodem rozwój talentu Elizy Orzeszkowej. Zbudził się on, powstał, rozkwitał, do dziś dnia żyje i działa zdala od wszelkich wielkich i małych ognisk literackich na ustronnym partykularzu prowincyonalnym; pobudki i tematy swej twórczości — przynajmniej w najznakomitszych swych tworach — czerpał przeważnie z bardzo zacieśnionej sfery domowego życia litewskiego, a jednak, patrzcie w jego dążeniach ileż było zawsze publicznego, obywatelskiego ducha, ile szerokiej, ogólno-polskiej myśli narodowej.

Skąd, gdzie, jakiemi drogami ten duch, ta myśl przeniknęły do pism zadomowionej litewskiej autorki? — Odpowiedzi szukać chyba trzeba w tajnych sprawach niewieściego serca, niewieściej intuicyi, współdziałających tu wraz z wielkim talentem twórczym.

Dziwne zaiste warunki tych działań, tak mało, zda się, sprzyjające rozwojowi szeroko zakreślonej twórczości pisarskiej.

Panna z zamożnego ziemiańskiego domu na Litwie, kształcona w warszawskim pensyonacie klasztornym o bardzo konwencyonalnym salonowo-towarzyskim programie nauk, wychodząca za mąż w niespełna 16 roku życia z naiwną beztroską przeciętnej panny na wydaniu — następnie młoda mężatka, żyjąca przez lat kilka w czysto konwencyonalnem małżeństwie bez bliższego porozumienia serc i dusz wśród nieustannego wiru rozrywek, zabaw, przyjęć, odwiedzin: — oto znany nam[1] z biografii Orzeszkowej prolog życia raczej pustej damy światowej aniżeli pełnej uczucia i myśli autorki-obywatelki, tak dalekiej od świata używającej pustoty, całą duszą rwącej się do świata pracy, obowiązku, wielkich zadań narodowych, społecznych, humanitarnych.

Skąd pierwsze bodźce tych porywów? — jakie wpływy roz-

[1] Ob. »Życiorys« przez Piotra Chmielowskiego przy zbiorowem wydaniu dzieł Orzeszkowej. Warszawa 1899.

strzygnęły o kierunkach i drogach wynikającej z nich twórczości pisarskiej?

Niech na to odpowie sama znakomita powieściopisarka ze szczytów swej twórczości rzucająca wstecz okiem na długą, pełną trudów i zasług jej drogę. Oto co pisze Orzeszkowa w jednym z niedawnych swych listów z dnia 21 stycznia 1909 r.:

»... Przedewszystkiem powiem co zarządziło autorstwem mojem i w znacznej części całem życiem. To zrazu, że rodzinny dom mój napełniony był atmosferą patryotyczną, wśród której w piątym i szóstym roku życia umiałam już na pamięć pieśni Niemcewicza i wiele innych im podobnych, a w 7-ym i 8-ym odegrywałam z siostrą w chwilach zabawy własnego naszego utworu dramaty historyczne — i to następnie, że mając lat dwadzieścia byłam czynnym świadkiem tego dramatu, który nosi tytuł rok 1863, następnie zaś świadkiem wzruszonym zawsze, do głębi wstrząsanym nieraz epoki popowstaniowej«.

»Na grunt odpowiednio przygotowany padły wrażenia z widoku nieszczęść niesłychanych, okrucieństw i niesprawiedliwości bajecznych, zagrożeń przerażających, jak lawa wulkanu lejących się w mózg i serce, kiedy walka ustała i świat głuchem milczeniem pokrył świeżą mogiłę, kiedy poczęły sypać się na kraj ukazy straszliwe, od ziemi i pracy uczciwej nas oddalające, kiedy dwory wiejskie — z których byłam rodem — pustką stawały, a miasta zaludniały się obcą i wrogą mową, obcemi i wrogiemi twarzami i czynami. Miewałam wtedy, pomimo wczesnej młodości, dnie i tygodnie rozpaczy, w której dosłownie zdawało mi się, że niebo obrywa się nad ziemią i na nią spada, że coś wielkiego nad życie drogiego idzie pod ziemię, zapada w otchłań. Z wychowania i charakteru byłam od dzieciństwa w objawach uczuć swych powściągliwą; pomimo to, zdarzały mi się wówczas chwile, w których — bez świadków naturalnie — wyrywałam sobie włosy z głowy, albo na ziemię upadłszy godzinami płakałam. (To uczucie rzucania o ziemię, bardzo dziwne, opisałam niedawno w nowelli »Hekuba«). — Obok tego coś wołało we mnie, krzyczało: ratunku! — A że do myślenia miałam wiele skłonności i może trochę zdolności, że przez lata ubiegłe wiele czytałam i światło z róż-

nych źródeł czerpałam, wkrótce poczęło wypracowywać się we mnie przekonanie, że ratunek tylko z wewnątrz przyjść może, że walka z niesprawiedliwością jest obowiązkiem, że jest ona nawet rozkoszą i że w każdym czynie, w każdej sprawie, w każdej pracy naszej tkwić winna myśl o tej walce, o kuciu dla niej oręży, o sposobieniu do niej wszystkiego co żyje. Przekonanie to, posiłkowane przez uczucia, nabrało we mnie takiej mocy, że uwierzyć wprost nie mogłam, aby w kimkolwiek mogło nie istnieć, aby ktokolwiek wówczas mógł nie być nim napełniony od stóp do głowy. Byłam naiwna, byłam śmieszna. Spotykały mię niespodzianki i zawody (opisałam je trochę w »Dwóch biegunach«). Tak przecież było. I w tym samym właśnie momencie pisać zaczęłam. Z bardzo niedostatecznem przygotowaniem umysłowem i artystycznem, w absolutnej samotności, bo zupełnie samą jedną los mię zamknął w moim rodzinnym domu wiejskim, bez niczyich rad albo wskazówek, bez możności podzielenia się z kimkolwiek myślami i pomysłami swymi pisać zaczęłam. Autorką prawdopodobnie stałabym się zawsze, bo miałam od dzieciństwa do tego i pociąg i trochę zdolności, ale jaką autorką byłabym, gdyby nie opisane powyżej wypadki, wrażenia, wstrząśnienia — to pytanie. Wobec nich kierunek był nieodzownie zdeterminowany. Musiałam pisanie swoje pojmować jako walkę, musiałam z niego kuć oręże, musiałam pragnąć, aby to były cegły czy cegiełki do budowy ratunkowego mostu — nad otchłanią«.

III.

Źródła twórczości Orzeszkowej. Pierwsze powieści. — »Marta«.

Oddana całą duszą surowym obowiązkom pracy ideowej w swym wiejskim dworze na Litwie panna Seweryna Zbrojowska (w powieści »Dwa bieguny«) ze zdumieniem patrzy w salonie warszawskim na towarzysko-estetyczno-flirtujące motylkowanie wykwintnych pustaków światowych. Zdziczały od bólu wspomnień stary powstaniec, Anzelm (w powieści »Nad Niemnem«), gdy wejdzie do jakiej wesołej świetlicy nie może się dość nadziwić ludziom, co o wszystkiem zapominający śpiewają, weselą się, tańczą.

»Czy oni powaryowali, myślę, słupem niemym i nieruchliwym w kącie stojąc, a im oni więcej weselą się, tem widoczniej staje mi przed oczyma ta polana leśna z tym swoim smętnym pagórkiem i śniegiem, co na nią w ciemności nocnej białymi płatami pada. Gdy nowy taniec zagrają, to ja zaszepcę: Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie! Co nową pieśń kto zawiedzie, to znów: Wieczne odpoczywanie!...«

Ten rys bolesnego zdumienia wobec powszedniej, niefrasobliwej komedyi życia, niepomnej zgoła na rozegraną co tylko tragedyę dziejową bardzo jest znamienny i często się powtarza w utworach Orzeszkowej. Czy nie uprzytomnia on nam jednego z głównych motywów jej twórczości? Za komentarz służyć tu może to, co w przytoczonym wyżej liście sama powieściopisarka nasza mówi o swych przekonaniach tak przemożnych, iż uwierzyć wprost nie była zdolna, aby ktokolwiek mógł nie być nimi napełniony od stóp do głowy. Przekonania te o nieodzownym, bezwzględnym obowiązku walki przez pracę dla idei narodowej, dla dobra publicznego, jakże często w rzeczywistości życia uderzały się boleśnie o zupełną obojętność dla wszelkiej idei, o wstręt dla wszelkiej pracy, małoduszny lęk przed wszelką walką. »Spotykały mię niespodzianki i zawody — mówi autorka »Dwóch biegunów«.— Byłam naiwna, byłam śmieszna«.

Z takich niespodzianych uderzeń serc szlachetnych o twarde skały pospolitości, oraz z wynikających stąd naiwnych zdziwień i zdumień tryska często iskra natchnienia, wybucha płomień twórczości, rodzą się te, jak mówi Słowacki, »nigdzie nie widziane postaci, nigdy nie słyszane słowa«, któremi mieni się, błyska, brzmi wszelki twór wyższego talentu. Różne jednak mogą być owe zderzenia, różne owych naiwnych zdziwień i zdumień wyniki.

Bo te mary
(mówi w innem miejscu śpiewak »Beniowskiego)
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z twardej, silnej wiary
W przyszłość...

Jakiż jest rodowód mar, zaludniających powieści i nowelle Orzeszkowej?

Praca uświadamiającej je sobie ideowo i artystycznie głowy niemałe tu ma znaczenie, szczególnie przy powstaniu tych twórców, co się zrodziły na wyżynach sztuki naszej autorki; ale natchnienie głęboko czującego, kraj cały miłością swą ogarniającego serca, to pono główne, istotne ich źródło, a »twarda, silna wiara w przyszłość«, to moc kształtująca dwu najszlachetniejszych z pomiędzy nich, najwięcej mających w sobie z duszy samej swej twórczyni — niezłomnie silna wiara, niezdolna nawet pogodzić się z możliwością istnienia ludzi, niewierzących w przyszłość, w skuteczną dla niej pracę, w obowiązkową do ostatniego tchnienia walkę za nią.

Tylko z takiego stanu duszy twórczej zrodzić się mogły owe znane nam z powieści Orzeszkowej postaci pracowników przyszłości, których ukazuje nam, jak w mozole ciężkim, nieraz w męce srogiej trudzą się nad odbudowaniem od podstaw tyle razy przez wrogie potęgi burzonego domostwa ojczyzny. Współczesna zewnętrzna rzeczywistość, jak najzgodniej ze swą naturą odtwarzana, stanowi podstawę ich działań i dążeń, ale idealna prawda ich dusz nie skądinąd pochodzi, jeno z realnej prawdy duszy twórczej, z wewnętrznej rzeczywistości jej pragnień, wierzeń, przekonań.

Nie od razu wszakże życiowa prawda tworów Orzeszkowej ukazała się w całej doskonałości artystycznych swych zjawów i postaci. Różne bywają sposoby, różne pory pełnego rozkwitu talentów — sposoby nagłe lub powolne, pory wczesne lub późne. Zależy to czasem od warunków tworzenia, czasem od indywidualności twórcy najczęściej od tej i tamtych w różnem ich ustosunkowaniu. Talent młodej autorki »Pamiętnika Wacławy«, »Marty«, »Pana Graby« rozwijał się w warunkach dla artystycznej swej strony nader niekorzystnych — przedewszystkiem w zupełnem odosobnieniu, z dala od wielkich prądów literatury i sztuki, bez żadnej z nimi styczności — a czyż mogą się wyrobić artystyczne uzdolnienia twórcze, skoro im braknie atmosfery artystycznej w otaczającem środowisku, skoro im braknie tej podniety, co w sympatycznym odgłosie serc i dusz bliźnich pobudza, wzmaga, potęguje wszelką ludzką działalność? Sztuka, podobnie jak mowa

nasza, jest zjawiskiem społecznem; potrzebuje oczu coby ją widziały, uszu coby ją słyszały, gustu coby się nią lubował, wyobraźni, coby ją sobie uprzytomnić mogła. A gdzież uszy i oczy dla sztuki, gdzież gusty artystyczne i artystycznie nastrojona wyobraźnia na zgnębionej, skatowanej Litwie popowstaniowej? Skoro drzewo życia zagrożone w swych podstawach, czyż można mówić o rozkwicie jego szczytów?

Owijająca się miłośnie dokoła ojczystego drzewa życia sztuka powieściopisarki litewskiej zrazu ani marzyła o szczytowych rozkwitach, ani się kusiła nawet o wzbudzenie żywszego zajęcia w czytelnikach przez różnobarwny i różnokształtny wątek powieściowy?

»Czy przebaczycie mi czytelnicy, mówi młoda autorka w »Marcie«, opowieść moją, pozbawioną zupełnie tajemniczego węzła intrygi i zajmującego widoku dwóch serc przeszytych ognistemi strzałami?... Wybaczcie prostotę środków, których używam dla przedstawienia wam jednego z najrozpaczliwszych zjawisk społeczności dzisiejszej«.

Istotnie, prostota środków jest tu nadzwyczajna, iście spartańska. Ani śladu zawikłanej intrygi, ani cienia sceneryi i efektów romansopisarskich. Prawdziwie, raczej o p o w i e ś ć, aniżeli powieść z życia współczesnego, raczej prosta, głęboko odczuta relacya o niedoli ludzkiej, aniżeli artystyczne jej w dziele sztuki zobrazowanie.

Ale zbywa tu nie tylko na sztuczkach efekciarskich i wymagania sztuki prawdziwej nie są należycie uwzględnione. Rzecz jest pisana bez stylu, bez kolorytu, bez wypukłości... A jednak nie bez artyzmu. Tu i owdzie w charakterystyce (np. poczciwego kuzynka-pędziwiatra, wykwintnej pani Eweliny, obłudnej pani Szwejcowej) wyraziste zarysy, pełne życia zabarwienia; ale przedewszystkiem układ całości jasny, skończony w sobie, konsekwentny, może nadto symetryczny, prostolinijnie tendencyjny, lecz w tej celowej swej symetryi tem lepiej uwydatniający zasadniczy temat utworu i istotny zamysł autorki.

Tematem jest tu niedola samotnej, pozbawionej opieki i pomocy męskiej kobiety, która wraz z dzieckiem ginie z nędzy

przez brak pracy uczciwej, choć jak najszczerzej pracować pragnie, jak najsumienniej z jak największym wysiłkiem pracuje, trudzi się, mozoli, skoro tylko sposobność po temu się nadarzy. Niestety, sposobność ta tak rzadka, skutki tych wysiłków tak znikome. Społeczeństwo skąpi kobiecie pola do pracy, wykształcenie płytkie, dyletanckie nie daje jej możności owocnego pracowania. Szlachetna, zdolna, bohatersko ofiarna kobieta mimo najwyższego wytężenia wszystkich swych sił, mimo nawet chętnej pomocy ludzi dobrych i uczynnych, nie może ocalić od głodowej śmierci siebie i dziecka i rozpacznem samobójstwem kończy męczeński swój żywot.

Temat ten niewieściego męczeństwa przeprowadzony jest w powieści ze stopniowaniem powszednio-życiowego tragizmu, mającem w sobie dużo artystycznego, a więcej jeszcze ideowo-uczuciowego napięcia, ale pochłaniającem tak dalece myśl i uwagę autorki, że ani tło, ani figury obrazu powieściowego same przez się w swych charakterystycznych zarysach i barwach nie zdają się budzić w niej żywszego zainteresowania.

Przedstawia ona swe kreacye li tylko w stosunku do ideowego tematu swego utworu i rozbudzonych przezeń uczuciowych nastrojów, zupełnie bez psychologicznej głębi i fizyognomistycznej powierzchni. Postaci głównej bohaterki nie widzimy wcale, ani odczuwamy jej życia wewnętrznego, współczujemy tylko jej niedoli, wzruszamy się jej okropnym losem, w którym uprzytomniamy sobie los tysięcy. Mamy tu nie kobietę indywidualną, a jakąś ogólnikową postać kobiecą, zarysowaną na tle ogólnikowego obrazu życiowego. Rzecz dzieje się w Warszawie, ale Warszawy ani jej życia wcale tu nie widać. Widzimy tylko wielkie miasto wogóle, a w niem ogólniki wielkomiejskiego bytu i wielkomiejskich ludzi, wśród których rozgrywa się wzruszająca tragedya niedoli kobiecej.

W takim lub podobnym charakterze zasadniczym w różnym wszakże stopniu opracowania i wykończenia artystycznego przedstawiają nam się wszystkie początkowe powieści Orzeszkowej z pierwszego dziesięciolecia jej twórczości. Życie zajmuje w nich autorkę nie tem, co w niem jest, lecz tem, co być powinno, nie swą treścią realną, lecz swemi idealnemi zadaniami, ideowemi dą-

żeniami. Nie znaczy to, aby przenikający ówczesną atmosferę społeczną realizm życiowy i literacki obcy był autorce »Marty«. Owszem występuje u niej na każdym kroku od samego początku (od najpierwszej krótkiej powieści »Z lat głodowych (r. 1866)», w sposobie ujęcia i oświetlania przedmiotów, w stylu i obrazowaniu powieściowem; ale był to realizm-idea, realizm-postulat ideowy otaczającego życia, nie fakt artystyczny danej indywidualności twórczej, nie bodziec jej twórczości, nie podkład główny jej sztuki.

Tym bodźcem, tym podkładem było, jak wiemy, bolejące serce kobiety-obywatelki, była »twarda, silna wiara w przyszłość«, było zrodzone z niej przekonanie o potrzebie niezłomnej walki i pracy, kucia oręża do walki, szukania sposobów i dróg pracy, rozumnej i ofiarnej pracy u podstaw, na rzeczywistości opartej, ku ideałowi zwróconej.

Te wierzenia, przekonania, dążności tak przepełniały duszę młodej powieściopisarki, występującej na widownię literacką w tragicznej chwili dziejowej, iż nie było w niej miejsca na postulaty czystej sztuki, na czysto artystyczne upodobania i skłonności. Artyzm podporządkowany został idei, tendencyi życiowej, sztuka poszła w służbę obywatelską. Wszelako wrodzony talent twórczy dopomniał się o swe prawa. Wierzenia i przekonania nic na tem nie ucierpiały, owszem z biegiem czasu utwierdziły się, spotęgowały, rozszerzyły, tylko zewnętrzny ich wyraz wzniósł się na wyższy poziom sztuki, osiągnął nierównie więcej plastyki, barwy życia. Kobieta-obywatelka stała się w pełnem znaczeniu słowa obywatelką artystką, bojowniczką pracy kobiecej w narodzie, stała się pracowniczką tego »trudów arcydzieła«, w którym pełniły wysoki urząd słowa przewodnie duchy narodu.

(C. d. n.)

Walery Gostomski.

SZKOŁA ROSYJSKA W DOBIE T. ZW. „REWOLUCYI".

GARŚĆ WRAŻEŃ Z LAT 1906—1908.

Teatr pani Kommisarzewskiej wystawił »tragedyę dziecięcą« p. t.: »Przebudzenie wiosny«, tragedyę nie dla dzieci zresztą przeznaczoną. Sztukę spotkało powodzenie nadzwyczajne. Sala była wysprzedana na kilka przedstawień naprzód.

Ale te tłumy ojców i matek, co z drżeniem serc patrzyły na wulkaniczne przejawy dusz dziecięcych, zapomniały, iż u nich, w murach ich pomieszkań, rozgrywają się, bodaj że nie codziennie, takie same, a może w niektórych wypadkach, nawet większe, groźniejsze tragedye. Tłum pozostał ślepy, jak stado kretów. Zwyczajnie — jak tłum.

Strach pomyśleć, jaką to głęboką tajemnicą otoczona jest dusza własnego dziecięcia, które, zdawaćby się mogło, znamy równie dobrze, jak swoich pięć palców, które widzimy prawie ciągle przed sobą, za które gotowiśmy ręczyć własną głową! A tymczasem wprost nie do uwierzenia jest właśnie to, co wydarza się w rzeczywistości, jak mądrze wyraził się jakiś mędrzec, którego nazwiska dziś już nie pamiętam.

Częstokroć najzupełniej przypadkowo rodzice dokonują zupełnie niespodziewanego odkrycia, i to takiego, o jakiem im się nie śniło przenigdy!...

Dzisiaj, naprzykład, ojciec znalazł list swego 12 letniego

syna, pisany do jakiejś »drogiej Emmy«, niewątpliwie rówieśniczki:

— »Będę pisywał do ciebie listy pokryjomo«, — brzmiał początek. »Będę pisywał, bo bez ciebie życie mi niemiłe, boś ty dla mnie wszystkiem«...

* * *

Lekarsko-policyjny wydział ministerstwa oświaty ogłosił niedawno sprawozdanie, zawierające daty statystyczne o samobójstwach, usiłowanych lecz nieudałych samobójstwach, oraz wypadkach nieszczęśliwych, jakie zaszły w ciągu roku 1906 pośród uczącej się młodzieży w zakładach, pozostających pod zarządem wymienionego ministerstwa. (W Rosyi szkoły rolnicze pozostają w zawiadywaniu ministeryum rolnictwa, szkoły handlowe w zawiadywaniu ministerstwa handlu i przemysłu, górniczemi zarządza departament górniczy i t. p. na co śmiem zwrócić uwagę).

Ogólna liczba samobójstw i wypadków nieszczęśliwych wyraziła się w cyfrze 180 ofiar, w czem było: samobójstw 62, zamachów samobójczych 26 i wypadków nieszczęśliwych 92, z tych ostatnich 52 zakończyło się wynikiem śmiertelnym. Zadowolę się samemi datami. Wnioski nasuną się same.

Według kategoryi — największa liczba samobójstw przypada na szkoły średnie, na uczniów w wieku 16 – 18 lat.

Z pomiędzy środków, użytych do pokończenia rachunków ziemskich, większość młodocianych samobójstw dała pierwszeństwo broni palnej. Dopiero potem następuje śmierć przez powieszenie się lub zażycie trucizny. Skąd ci nieletni przyszli w posiadanie rewolwerów, o tem raport milczy...

Powody samobójstw były możliwie różnorodne. Niektóre z listów, ogłoszone drukiem, w rzeczonem sprawozdaniu, dają jaskrawe wyobrażenie o tym dramacie, jaki rozgrywał się w duszy ucznia lub uczenicy, zdecydowanych na uczynienie takiego rozpaczliwego kroku.

Nie mogę wprost powstrzymać się od przytoczenia urywków najbardziej charakterystycznych z całego mnóstwa tych smutnych dokumentów.

Wychowanek szkoły miejskiej pisał, pisał zaś, licząc zaledwie czternaście lat życia beztroskliwego, wygodnego:

— »Mnie za darmo wypędził inspektor klasowy i dlatego powiesiłem się! Za nic wypędził moją duszę na tamten świat!«...

Uczeń VIII klasy gimnazyalnej, zabierając tajemnicę swojej śmierci ze sobą do grobu, pozostawił na świstku papieru następujące słowa:

— »Boże! jakże ciężko, jak ciężko umierać, wiedząc, że skoroby się żyło, możnaby w życiu zaznać wielu przyjemności, możnaby znaleźć jeszcze szczęście«...

Głębokiem rozczarowaniem tchnie list gimnazyalisty, ucznia również VIII klasy, który skarży się po raz ostatni:

— »Umieram dlatego, że nie widzę celu ani sensu w życiu. Umierając, nienawidzę ludzi. Wybaczcie, że zastrzeliłem się w gimnazyum. Z niektórych powodów było to dla mnie wygodniejsze. Żegnam »towarzyszów anarchistów«. *Finita la comedia!*«...

Jedna z uczenic zastrzeliła się tylko dlatego, że kupiła u jakiegoś włóczęgi, znaleziony przez niego na ulicy rewolwer!...

Tego rodzaju notatek napotykamy tu sporo. A wszystkie one przedstawiają ogromne znaczenie zarówno dla medycyny, jak i dla pedagogiki, a przedewszystkiem dla psychiatry »narodu« rosyjskiego!

* * *

— Zagraniczne wydanie utworu pana Barkowa p. t. »Grzechy pierwszej nocy«! Cena 5 kopiejek!...

— Pozwólcie, wasze...! Ostatni egzemplarz najmodniejszej książki! Tanio, a ładna książka!... Utwory pana Barkowa!...

— »Między jubkami!«...

Takie i tym podobne wykrzykniki można usłyszeć na wszystkich przecznicach prospektu Newskiego — rano, w południe i wieczorem, o każdej porze roku. Widocznie — handel idzie dobrze i stale. Gdzie? W samem centrum Petersburga, na bulwarze Newskim, na ulicy pryncypalnej.

Trzeba zaś wiedzieć, że bulwar Newski jest największą ulicą Petersburga, na której rozsiadły się gęsto męskie i żeńskie zakłady naukowe. I kiedy chłopaczek 12 letni, lub będąca w tymże wieku panienka powracają ze szkoły do domu, do uszu ich dochodzą natarczywe wołania:

— Utwory pana Barkowa!... Erotyki!... zagranicznej edycyi... Sensacyjne *à la Boccacio!*... Tanio, bardzo tanio!...

I oto 12 letni malec, w ciemno-szarej bluzie i zarumienionymi od słońca wiejskiego licami, zaintrygowany został głośnymi wykrzykami, zalecającymi nieznany mu dotąd towar. I w dodatku jakież — bo tytuły tajemnicze?... Jakie wyszukane?... Byle tylko podrażnić imaginacyę!

— Grzechy pierwszej nocy!...

On po raz już dziesiąty, z dnia na dzień, słyszy te okrzyki i jego ciekawość, dotychczas drzemiąca, rozbudzona została przez łobuzów ulicznych. To też wnet uczeń wciska w rękę tego ulicznego kolportera i krzewiciela nowych prądów w literaturze, piętnaście kopiejek, przeznaczonych na ołówki kolorowe lub farby, któremi miał pomalować za powrotem do domu kity piór na obrazkach, przedstawiających żołnierzy.

— Dla mnie wszystkie trzy książki!... Tylko prędko!...

— I »Między jubkami« także?... — szepce z uśmiechem kolporter, zadowolony z gościa, który zapłaci w trójnasób bez targu.

— Tak, wszystkie trzy!... wszystkie trzy!... tylko prędko, żeby kto nie zobaczył, — nie daj Bóg!... No... nareszcie...

I zamiast uważać w szkole, obiecujący chłopaczek pogrąża się cały w lekturę wspomnianych »utworów«, a pochłonąwszy je z chciwością, którejby mu pozazdrościło najżarłoczniejsze zwierzę, pożycza dalej kolegom. Później zaś kształci się na nich jego 14 letnia siostra, jej koleżanki i t. d.

Złe nasiona zostały już rzucone na żyzną glebę, to też niewątpliwie wydadzą plon obfity. Przecież z ziarna ostu nie wyrośnie nic innego, jak tylko oset! A za parę tygodni malec kupi sobie jeszcze kilka książeczek analogicznej treści, a potem i kartki »ilustrowane«, objaśniające niezrozumiały jeszcze dla niego tekst

»wielkich« utworów pana Barkowa. A za parę tygodni to dziecko będzie spoglądać zupełnie innym wzrokiem... Tak!... obudzi się w nim zwierzę, zwierzę nierozumne!...

* * *

Z początkiem roku szkolnego przyszła do mnie jedna znajoma pani ze łzami w cudownych oczkach i piersią falującą z irytacyi krańcowej:

— Na miły Bóg! proszę mnie dopomódz. Jak panu wiadomo, mam syna. Chłopiec ma już jedenaście lat. W roku zeszłym chorował i dlatego nie mogłam zapisać go do gimnazyum. A teraz — powiadają — wszędzie komplet. Cóż mam począć?... co począć?... czyż ma próżnować w domu rok cały?...

I zalała się łzami serdecznemi, bynajmniej nie dla wywołania efektu. Wiedziała zresztą o bezskuteczności łez wobec mnie.

Ale nie było sposobu na zadośćuczynienie prośbie matczynej. Co znaczy bowiem jej ból wobec wyraźnego brzmienia ustawy? Pomimo to usuwam zupełnie z pod uwagi ból matczynego serca. Natomiast kładę na jedną szalę ustawę, na drugą zaś... cyfry. Niechaj one przemówią!...

W całym Petersburgu mamy 13 gimnazyów, 3 szkoły realne, jedno gimnazyum okręgowe i ośm prywatnych zakładów naukowych, t. j. ogółem 25 średnich szkół, nie wliczając naturalnie do ich cyfry korpusów kadeckich, te bowiem przeznaczone są dla wybrańców, i to nielicznych.

Pomnożywszy komplet przez 25, w rezultacie otrzymamy tysiąc dzieci. Dodajmy jeszcze do tej cyfry połowę, na tej podstawie, że w wielu średnich zakładach naukowych są klasy równorzędne. I w tym najidealniejszym wypadku, jaki sobie można pomyśleć, do rządowych i prywatnych gimnazyów petersburskich mogło uczęszczać jedynie półtora tysiąca dzieci. Na półtora miliona ludności — półtora tysiąca dzieci... Anomalia rażąca chyba?...

Pamiętajmy, że fakt ten zdarzył się w owym czasie, gdy kwestya o konieczności dania jak najobszerniejszego wykształcenia masom może być wątpliwą jedynie dla przedstawicieli czasów

Oczakowskich i zdobycia Krymu... W Europie bowiem inaczej na tę kwestyę zapatrują się, aniżeli w Rosyi...

Półtora tysiąca szczęśliwców i co najmniej sześć tysięcy pokrzywdzonych!... Oto, co położę na szalę wagi zamiast rozpaczy matczynej!

A teraz — proszę pozwolić, że zastanowię się nad tą sprawą z innego punktu widzenia:

Ustawa, normująca komplet uczniów, wychodzi z zupełnie pewnych danych hygieny i pedagogiki. Czterdziestu uczniów w klasie — hygiena dopuszcza.

O ile w pamięci zostały mi zasady hygieny, — to w nich niema mowy o konieczności nie większej nad 40 liczby uczniów w jednej klasie. Natomiast hygiena wystawiła szereg żądań w rodzaju: ilości metrów kubicznych powietrza na każdego ucznia, siły światła w klasie i t. p.

I śmiem twierdzić, że ani jeden zakład naukowy petersburski nie odpowiada dwu ostatnim żądaniom hygieny. Ba, pójdę nawet tak daleko, że zgodzę się, iż co się tyczy punktu pierwszego, — stosunek między teoryą a praktyką jest normalny. O większą lojalność chyba trudno!...

»Komplet« nie usunie niedomagań fizycznych, bo szkoły petersburskie nie stoją w głębi sosnowego lasu, jak poblizkie gimnazyum w Siestroriecku, lecz nad woniejącymi kanałami, których odorom przychodzi z pomocą dym, wydobywający się z licznych kominów fabrycznych, okalających stolicę ze wszech stron. W takiem powietrzu konie stają się dychawiczne, nie dopiero ludzie, i tak z powodu warunków klimatycznych, mało odporni.

Pozostają tedy dane z pedagogiki, na którą Rosyanie w teoryi gotowi przysięgać zupełnie tak, jak na ewangelię:

— »Z czterdziestu uczniami może nauczyciel wydołać, z czterdziestu jednym — nie potrafi!«...

Toż to czysty empiryzm, przyciągnięty bez ceremonii za uszy! Nauczyciel-obywatel poprowadzi z dodatnim rezultatem nawet sześćdziesięciu uczniów. Nauczyciel-czynownik zwichnie, nawet choćby dwudziestu miał w klasie tylko!... Tak!... niewątpliwie zwichnie!...

* * *

A że fakta tego rodzaju były chorobą chroniczną, powtarzającą się z każdym nowym rokiem szkolnym, więc rozległy się skargi na ministerstwo oświaty, że, nie mogąc samo utrzymać potrzebnej ilości szkół, wydaje z wielkiemi trudnościami koncesye na otwarcie średnich szkół prywatnych.

Opinia publiczna zdziałała swoje i początkowo ministerstwa handlu i przemysłu oraz oświaty zaczęły hojną dłonią rozdawnictwo koncesyi na otwieranie szkół prywatnym przedsiębiorcom. Szkoły zaczęły róść, jak grzyby po deszczu. W ciągu dwu lat liczba prywatnych szkół średnich urosła z 20 do 150. Wystarczy, jeśli nadmienię, że samych tylko szkół handlowych było w danym czasie ponad 40! Więcej nie potrzeba...

Samo przez się rozumie się, iż razem z rozwojem przedsiębiorczości prywatnej pojawiły się rozmaite, że delikatnie je nazwę, szacherki, jak: handel dyplomami i t. zw. »prawami« i t. d. Na tej podstawie wypłynęły na wierzch nowe nazwiska, osławione aż nadto swoją »przedsiębiorczością« w świecie pedagogicznym.

Jeden z takich przedsiębiorców utworzył coś w rodzaju towarzystwa akcyjnego, założył za pieniądze, tą drogą zebrane, szkołę handlową swojego nazwiska, i wydawszy mnóstwo dyplomów, sprzedał ją za 50 tysięcy rubli. Obecnie tenże energiczny pedagog otworzył »szkołę realną z prawami szkół rządowych«, z opłatą za naukę bez konkurencyi. A i z reklamą nie krępował się wcale. Reklamuje się buty, dlaczegóżby nie można reklamować szkoły?...

Nie krępowali się też inni. Oto jeden z pedagogów zaleca swój zakład dlatego, że w domu, mieszczącym go, mieszkał ongi znany krytyk Bielinskij!... O wiele więcej pomysłowym okazał się niejaki pan Senigow, który zamienił swoją szkołę handlową w biuro stręczeń. Jak mógł się spodziewać – autorytet pedagoga zwabił lekkomyślną publiczność. Przedsiębiorczy pan »dyrektor« zabrał więcej niźli 40 tysięcy kaucyi i znikł, jak kamień do wody rzucony.

Są też przedsiębiorcy w wielkim stylu, jak np. pan Jurgenson, który ma w stolicy aż jedenaście zakładów naukowych najrozmaitszego typu: handlowych, technicznych, ogólnokształcących,

gimnazyów i szkół realnych. Pan Jonson znowuż posiada tylko cztery szkoły: realną, handlową, kursa buchalteryjne oraz ogólnokształcące. Czyż trzeba jeszcze więcej?!... A przytoczyć mógłbym ich jeszcze z dziesięciu conajmniej!

Być może, że sprawa wykształcenia stanie się w krótkim przeciągu czasu swojego rodzaju przemysłem. Tem więcej, ile że sprawa wykształcenia zakrawa na żart z punktu widzenia przedsiębiorców. Najął pomieszczenie, kupił kilkadziesiąt ławek, pobrał wpisowe od uczniów i — na tem koniec!

I co ostatecznie dają uczniom wszystkie te szkoły prywatne »z prawami«? To zależy od tego, czy ministerstwo oświaty poszle swojego delegata na egzamin? Poszle i egzamin wypadnie zadowalająco, — uczniowie otrzymują »prawa«, nie poszle — uczniowie zostaną z niczem. Ale też może zdarzyć się, że delegat okaże się wymagającym, skutkiem czego egzaminowani »przepadną«. A wówczas — bądźcie zdrowe »prawa«!

* * *

Dość powiedzieć, że sami Rosyanie potępiają surowo panujący obecnie system szkolny. Oto — były minister oświaty hr. Tołstoj zamieścił w *Słowie* petersburskiem obszerny artykuł p. t.: »Państwo i szkoła«. W artykule tym ex-minister w sposób stanowczy i energiczny potępia dążenie rządu do zabarwienia wykładów szkolnych swemi tendencyami politycznemi. Pozwolę sobie na zacytowanie w dosłownym przekładzie wyjątków z tego wyjątkowego artykułu:

— »Będąc przeciwnikiem »rewolucyi«, wszelkiego wogóle gwałtu, dlatego właśnie twierdzę, że oświata w Rosyi wtedy dopiero wejdzie na odpowiednią i zbawienną drogę, kiedy ministeryum, kierujące nią i powołane do troszczenia się o nią, będzie, *sit venia verbo*, odseparowane od »polityki«, gdy przestanie być czynnikiem oddziaływania politycznego, uniknie niebezpieczeństwa kurateli ministerstwa spraw wewnętrznych, a w szczególności — departamentu policyi«.

»Weźmy pierwszy z wymienionych przezemnie celów: zrusyfikowanie za pośrednictwem szkoły pierwiastków nierosyjskich.

Czy jest to możliwem wbrew woli samego dziecka i rodziców? Przecież — jeżeli, Polak, Niemiec, Gruzin kocha swoją narodowość i zna cel szkoły — przerobienia ich synów na Rosyan, czyż nie będzie walczyć wszelkimi sposobami z tem, wpajając w dzieci miłość do swojego, z uszczerbkiem dla rosyjskiego? Niechaj czytelnik rosyjski postawi się w ich położenie i wyobrazi sobie Rosyę, podbitą przez Polaków lub Niemców: czyż nie postępowalibyśmy tak samo, jak oni?... Przypomnijmy sobie także, iż ideałem rusyfikatora za pośrednictwem szkoły jest niemożliwość bez szkody dla Polaka lub Niemca uczyć się w polskiej lub niemieckiej szkole i konieczność uczenia się w rosyjskiej.

»Wynik stąd może być tylko jeden: »inorodziec« zdobywa w szkole rosyjskiej wiedzę, potrzebną mu dla jego działalności praktycznej w Rosyi, lecz nie tylko nie przestaje być, dzięki wpływowi rodziny z jednej strony, i obrażonej osobistej godności narodowej — z drugiej, »inorodcem«, lecz uważa Rosyę za gwałcicielkę, rozłączającą go z narodowością, do której należy.

»Teraz weźmy inny przykład: obok szkoły dla »inorodców« istnieje drugą szkoła — rosyjska, nie mająca celów rusyfikacyjnych, lecz doskonale zorganizowana pod względem pedagogicznym, dająca wiedzę bez żadnych postronnych przymieszek. Uczęszczający do niej »inorodziec«, pozostając synem swojej narodowości, nie zdradzając jej, nie tylko chętnie będzie uczyć się języka rosyjskiego, ale nawet pokocha szkołę rosyjską, a z nią i Rosyę, nie dlatego jednak, że szkoła chciała zrobić z niego Rosyanina, lecz tylko dlatego, że jest dobrą szkołą i skutkiem tego nie można było jej nie pokochać.

»Do szkoły rosyjskiej pójdą chętnie na kresach wtedy, kiedy ona będzie dobrą, kiedy nie będzie miała celów politycznych, lecz będzie pożyteczną ludności miejscowej, szanując przytem jej odrębności, wprowadzając do swojego programu dokładną naukę języka miejscowego, a nawet historyi i geografii. Wtedy, tylko wtedy szkoła, bez z góry powziętego planu, lecz faktycznie z czasem, kiedy uciszą się namiętności, może odegrać rolę polityczną, pojednawczą między kresami a centrum.

»Przejdźmy teraz do drugiego celu, narzuconego szkole:

stworzyć obywateli konserwatywnych. Lecz czyż trzeba dowodzić, że wprowadzanie do szkoły polityki jest rzeczą szkodliwą i że zajmowanie się polityką w szkole jest niepożądane pod względem pedagogicznym, a niebezpieczne pod względem państwowym?

»Celem szkoły, każdej szkoły, powinno być przedewszystkiem dawanie nauki i, koordynując ten cel, nauczanie samodzielnego myślenia, a przez rozwijanie tkwiących w dziecku lub w młodzieńcu zdolnolności, zrobienia z niego przedewszystkiem nie obywatela, lecz myślącego, humanitarnego i, wykształconego człowieka. Można być pewnym, że z takiego człowieka powstanie z czasem obywatel, choć może nie według recepty tej lub owej partyi politycznej.

»Na to trzeba jednak przedewszystkiem, aby szkoła była dobra, aby cieszyła się szacunkiem: społeczeństwa, rodziców, jako też uczniów. O taką szkołę będą dbać wszyscy, będą jej strzedz, lecz tylko w tym wypadku, jeżeli będą pewni, że szkoła zajęta jest wyłącznie swem wielkiem dziełem kształcenia człowieka, a nie postronnemi dążeniami, zmierzającemi do dogodzenia komuś, przypodobania się, pozyskania uznania z góry. Wtedy i surowość i żądanie koniecznej karności szkolnej będą zrozumiane i poparte przez społeczeństwo, ponieważ ono będzie strzegło swojej rodzinnej szkoły, niezbędnej dla niego samego, dla jego dzieci, nie zaś dla tych lub owych administratorów, dla dopięcia takich lub owakich idei rządowych lub państwowych, bardzo może zacnych i nawet pożytecznych dla samego społeczeństwa, ale dla niego albo bardzo mało zrozumiałych, albo bardzo często wrogich jego własnym usposobieniom politycznym«.

Następnie hr. Tołstoj zarzuca ministerstwu oświaty politykę antysemicką w szkole, polegającą na ograniczeniu procentu dzieci żydowskich w szkołach, utrudnianiu im wstępu do uniwersytetów oraz innych wyższych zakładów naukowych.

»Ta judofobska polityka w szkole — pisze hr. Tołstoj — była jedną z przyczyn zarówno jej demoralizacyi, jako też zdyskredytowania, jako jawny i niezaprzeczony dowód jej serwilistycznej roli w wewnętrznej polityce państwowej, jej państwowo-policyjnych funkcyi«.

Uwagi swe o szkole rządowej rosyjskiej zamyka b. minister oświaty następującemi słowy:

»Przed przystąpieniem do reformy szkoły od góry do dołu, należy przedewszystkiem uznać ją za narzędzie nieodpowiednie dla celów policyjno-politycznych, należy przywrócić jej bezpośrednie zadanie: nauczania i wychowania; należy dążyć do wychowania za jej pośrednictwem nie obywatela, lecz człowieka. W ten sposób przed przystąpieniem do reformy szkoły, według mojego głębokiego przekonania, powinien rząd przedewszystkiem wyrzec się niefortunnej myśli zrobienia tej szkoły krzewicielką jego polityki rządowej i zająć się sprawami oświaty ludu, jako swoim obowiązkiem wobec ludności państwa, t. j. dać jej możność rozwijania swoich zdolności, dzięki wiedzy i racyonalnemu wychowaniu. Bez tego — żadne najlepsze reformy nie dadzą dobrych rezultatów, a tylko zdyskredytują te ulepszenia, które mogą i powinny być wprowadzone do tej ważnej i niezbędnej pracy państwowej. Karność w szkole jest niezbędna, może być nawet surową, lecz zawsze powinna mieć na względzie cele pedagogiczne, nie polityczne, i szkoła powinna uczyć swoich wychowanków szanowania jej regulaminu i przepisów wewnętrznych, jak nie powinna mieć prawa, pod grozą utraty swojej powagi moralnej, prześladować przekonania swoich wychowanków i karać za nie, lub sztucznie je popierać«.

* * *

W jaki sposób młodzież rosyjska pojmuje tak zwane »swobody« konstytucyjne, tego najlepszym dowodem skandaliczna sprawa z »Wolną Wyższą Szkołą« Leshafta.

Kurator okręgu naukowego petersburskiego otrzymał z ministerstwa oświaty zawiadomienie o zamknięciu wymienionej szkoły, gdyż nie odpowiada ona właściwemu swojemu przeznaczeniu. W rozporządzeniu rzeczonem przedstawiono dokładnie warunki, w jakich rozpoczęło się i trwało czas pewien życie akademickie od samego początku roku szkolnego 1906—1907. Opis przestępstw, jakie zostały popełnione przez wychowanków tego zakładu nau-

kowego, przedstawia się pod postacią pokaźnego tomu, zatytułowanego »Sprawa kursów prof. Leshafta«.

Przedewszystkiem zwrócono tu uwagę na ten fakt charakterystyczny, że prawie wszystkie przestępstwa polityczne, dokonane w pierwszej połowie 1907 r., pozostają w ścisłym związku z »Wyższą Wolną Szkołą«. Kilkakrotne rewizye, przeprowadzone w lokalu tego zakładu naukowego, wykryły przynależność wielu słuchaczy do rozmaitych organizacyi rewolucyjnych, a nadto współudział studentów w całym szeregu przestępstw politycznego charakteru. Okazało się tedy, że na »Kursach« zajmowano się przedewszystkiem organizowaniem różnych aktów terorystycznych oraz szerzeniem poglądów rewolucyjnych pośród młodzieży nowowstępującej, ale nie nauką. Udowodniono nadto, że wiele napadów grabieżczych zostało uplanowanych w lokalu szkolnym. Tak to kształciła się tutaj młodzież płci obojga, gdyż kobietom przypadła wcale niepoślednia rola w zamachach, jako że każda prawie słuchaczka jest kochanką jednego lub więcej studentów. Zupełnie to zgadza się z pojęciami, zwyczajnemi stadom pierwotnym.

Do chwili zamknięcia »Kursów« wpłynęło już około 2000 podań, ponadto z przeszłego roku szkolnego pozostało zwyż 2000 studentek. A tu nie wszystkie posiadają wymagany cenzus, uprawniający do zapisania się do innego wyższego zakładu naukowego. Te zaś, które mogą zadośćuczynić wymaganiom, stawionym przez uniwersytet lub Kursy Bestużowskie, mają bardzo mało szans dostania się tam, wobec przepełnienia wszystkich wyższych zakładów naukowych. Wiele zamierzało udać się zagranicę, ale i tam czeka je rozczarowanie, jako że we wszystkich uniwersytetach zagranicznych ustanowiono surowe ograniczenia w przyjmowaniu młodzieży rosyjskiej. Ograniczenia takie zaprowadzono nawet na wszechnicach włoskich, do których bardzo nielicznie garnęła się młodzież rosyjska. Uniwersytety szwajcarskie, z wyjątkiem fryburskiego, są przepełnione. Uniwersytet zaś fryburski jest nie tylko bardzo mały, ale w dodatku ma charakter wybitnie katolicki. W Paryżu, Lyonie i Brukseli oraz w uniwersytetach niemieckich, we wszystkich wydano surowe ograniczenia dla przybyszów z Rosyi, o Berlinie zaś i Wiedniu niema co wspominać.

Sama młodzież rosyjska wyrobiła sobie taką opinię, iż niema teraz gdzie się podzieć. Wobec powyższych warunków zamknięcie Wolnej Wyższej Szkoły dało się odczuć porządnie.

Nie od rzeczy będzie, jeśli podam parę dat z historyi tego zakładu naukowego. Trzydzieści pięć lat temu, w roku 1872, prof. Leshaft, będąc wówczas profesorem Akademii lekarsko-chirurgicznej, zaczął u siebie w domu wykłady anatomii. Wykłady te ściągnęły mnóstwo słuchaczy, wobec czego »gradonaczalnik« petersburski zażądał ich legalizacyi. Jeden zaś z byłych uczniów prof. Leshafta, znany milioner Sibiriakow ofiarował na cele szkoły 335.000 rubli. Za tę sumę kupiono gmach i otworzono w r. 1893 laboratoryum biologiczne. W dwa lata później otworzono przy laboratoryum specyalne kursa dla »wychowawczyń i kierowniczek fizycznego wykształcenia kobiet«. Kursa te cieszyły się wielką popularnością zarówno w Rosyi, jak też zagranicą. Ukończonych studentów i studentki kursów Leshafta przyjmowano bez przeszkody na wszystkie uniwersytety europejskie. Stopniowo program »Kursów« został znacznie rozszerzony. W ciągu 35 letniego istnienia wyszło z »Kursów« około 1000 wychowawczyń. Przy laboratoryum istnieje bogata biblioteka oraz jedno z najbogatszych muzeów pedagogicznych. Majątek szkoły oceniają znawcy na pół miliona rubli.

* * *

Dwanaście tysięcy studentów liczy obecnie uniwersytet petersburski. Dwanaście tysięcy, to nie żart!

Czyż można było przypuszczać bodaj tylko pięć lat temu, że w tak krótkim przeciągu czasu liczba studentów potroi się?...

Wówczas było ogółem cztery tysiące i uniwersytet uważano już za przepełniony. Teraz zaś ilość słuchaczy wzrosła w trójnasób, a lokal pozostał taki sam, jakim był dawniej. Pół wieku temu, w r. 1859 uniwersytet liczył wszystkiego 859 studentów, a już tę ilość uważano za ogromną. Od tego czasu wybudowano tylko dwa gmachy: instytut fizyczny oraz laboratoryum chemiczne. Kiedy budowano wymienione gmachy, projektowano je według ówczesnej liczby studentów. Było w nich jasno, przestronnie

i wygodnie. W laboratoryach można było pracować i nie myśleć o terminowem ustąpieniu miejsca dla wyczekującego kolegi. A teraz — czas pracy liczy się już nie na godziny, ale na minuty!...

W kancelaryi tak samo ciasno, jak i w innych ubikacyach. Kiedy w uniwersytecie było mniej niźli tysiąc studentów, lokal ten był wystarczający. Przy trzech do czterech tysiącach stał się ciasnym i dawny status służących zaledwie mógł wydołać pracy. Teraz zaś przy 12 tysiącach studentów etat sług uniwersyteckich nie zwiększył się wcale. To też wszystko odbywa się tu w porządku zachwycającym:

Każdemu z tych 12 tysięcy studentów trzeba wydać przedewszystkiem pozwolenie na zamieszkanie w Petersburgu, t. zw. *wid na żytielstwo*. Dlatego trzeba zasięgnąć wiadomości, czy niema jakich przeszkód do przebywania w stolicy, a nadto zaciągnąć do księgi cały rodowód. Od godziny 10—2 kancelarya zdąży załatwić zaledwie 400 studentów. W ten sposób samo wydawanie pozwoleń na zamieszkanie w stolicy powinno potrwać około 30 dni, a jeśli odliczymy święta i niedziele — około półtora miesiąca, tylko półtora miesiąca skromnie.

Trzeba jednak pamiętać, że oprócz t. zw. *widów* co najmniej jedna trzecia część studentów bierze corocznie zaświadczenia, wymagane przez władze wojskowe. Na wystawienie zaś każdego takiego dokumentu potrzeba stracić co najmniej dwa dni. Dzień na wniesienie podania i dzień na wydostanie dokumentu. I te dwa dni muszą studenci przestać w brudnym, ciemnym i ciasnym korytarzu, o głodzie w dodatku. Ci bowiem, którzy oddalą się bodaj na chwilę z korytarza tracą swoją kolej. Tutaj bowiem staje się rzędem jeden za drugim.

Trzeba być obznajomionym szczegółowo z całą techniką życia uniwersyteckiego, ażeby wiedzieć, wiele to czasu tracą studenci na dokonanie samych tylko formalności przedwstępnych Cały pierwszy miesiąc schodzi im wyłącznie na tem.

Zapisanie się na wykłady trwa pięć dni, gdyż trzeba:

1) zapisać się u dziekana 1 dzień,

2) pójść do dziekana za matrykułą 1 dzień,

3) dać indeks do kontroli 1 dzień,

4) uiścić czesne 1 dzień,

5) otrzymać kartę wstępu 1 dzień.

A nadto otrzymanie *widu na żytielstwo* wymaga dwa dni czasu. To dwie główne formalności. A ile oprócz tego drobnych? A każda z nich pochłania przeciętnie po dwa dni. Przy zapisywaniu się na egzaminy prawnicze — »gęsior« kompetentów przewinął się trzykrotnie po całym korytarzu od jednego końca do drugiego. Trzeba było stracić cały dzień na uzyskanie karty wstępu do dziekanatu. Ponadto dzień cały na dokonanie zapisu. Przez dzień zdołało się zapisać zaledwie 200 studentów, a zgłaszających się było 3000! To też same jedne zapisy na egzaminy trwały cały miesiąc. Czyliż to jest możliwe do pomyślenia chociażby tylko — nie w rzeczywistości — gdziekolwiek w Europie?!

Ile w dodatku przy tem kłótni i nieporozumień?! Ile złorzeczeń, wymyślań i klątw?!... Tych na oślej skórzeby nie spisał, ani na wołowej!

Znużeni, zgłodniali, wystawszy się cały dzień studenci gotowi byli prawie na staczanie krwawych bójek o swoją kolej. Doszło nawet do tego, że studenci, płacący 25 rubli czesnego, obecnie nie przepuszczali profesorów, idących do kasy po pensyę i zmuszali ich do oczekiwania swojej kolei.

Dok. nast.

Dr. Stanisław Zdziarski.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

W kapitularzu z roku 802 słusznie nazwanym dokumentem fundacyjnym imperyum Karola Wielkiego, góruje i rzuca się w oczy jedna myśl, mianowicie, że cesarz uważa się nie tylko za głowę państwa, lecz nadto za posłańca Bożego, któremu przypadła w udziale misya szerzenia królestwa Bożego na ziemi i który jest odpowiedzialny za zbawienie swoich poddanych tak duchownych jak świeckich. »Państwo jest najwyższem wcieleniem pracy i interesów ludzkich na ziemi, a Karol Wielki — mówi Kidd — uważa po prostu za prawdę jasną jak na dłoni, iż państwo zmierzać powinno do realizacyi dóbr duchowych na tym świecie«.

Za kapitularzem tym, może najważniejszym z licznego szeregu ustawodawczych dekretów cesarskich, poszły inne, a wszystkie zmierzają do reorganizacyi państwa i odrodzenia jego religijnego i kulturalnego na wszystkich polach pracy i życia społecznego. Treść ich jest różna. Jedne przynoszą zupełnie nowe postanowienia prawne, inne uzupełniają albo zmieniają tylko dawne, inne wreszcie zawierają tylko specyalne instrukcye dla delegatów cesarskich. Wogóle przeważają te, które się odnoszą do pospolitego ruszenia i bezpieczeństwa publicznego, do spraw administracyi i komunikacyi, do polityki ekonomicznej i dziedziny pauperyzmu, do spraw monetarnych, targowych i celnych, słowem, które obejmują i regulują w znacznej mierze całe życie publiczne i gospodarcze. Inna zaś i to większość ogromna tyczą się spraw

religijnych, normują i określają nie tylko zewnętrzną organizacyę Kościoła i jego stosunek do władzy państwowej, lecz odnoszą się również do dyscypliny kościelnej i życia zakonnego, do nabożeństw kościelnych i pracy duszpasterskiej i życia religijnego wiernych. Chwilami zdaje się, że to listy pasterskie, tłumaczące dekalog lub ustępy żywcem wyjęte z kanonów kościelnych.

Chcąc należycie ocenić prace reformatorskie Karola Wielkiego nad budową państwa i rozległą jego działalność na wszystkich polach pracy i życia religijnego i społecznego, należy, choćby w najogólniejszych zarysach uprzytomnić sobie ówczesne stosunki społeczno-ekonomiczne, od których przedewszystkiem zależną jest wszelka praca jego polityczna i kulturalna.

Frankowie podbijając Gallię, zastali tam już gotowy porządek społeczno-ekonomiczny, który na razie pozostał nie tknięty. Społeczeństwo całe rozpada się na dwie warstwy: wolnych i niewolników, wyzwalających się zwolna z niewoli i zdążających poprzez różne stopnie służby niewolnej do lepszej doli.

Niewolnik zaś *(servus)* w pojęciu prawa rzymskiego i salickiego czem był? *instrumentum fundi,* narzędziem gospodarczem, stojącem w równym rzędzie z bydłem jucznem — to inwentarz żywy. Ziemia uprawna należała przeważnie do możnych panów a służba domowa *(pueri, familiares, famuli)* i oficyaliści *(vassi)* i robotnicy rolni *(casati* albo *mansionarii)* składają się z niewolników.

Krokiem naprzód w kierunku wolności był stan dzierżawy wieczystej, czyli t. zw. kolonat. Do tej kategoryi należą t. zw. lici, osadzeni na ziemi od dawna, bodaj od czasów rzymskich, którzy przy okupacyi dobrowolnie się pokłonili nowym panom i za to otrzymali grunta do własnego użytku, opłacając daninę lub pełniąc inne powinności. Stosunek ich do pana nie był określony żadnem prawem, oni po prostu siedzieli na łasce pańskiej. Litów uważano za pół wolnych, o połowę też mniej, niż wolnych, szacowano życie ich, jak to wynika z pokutnej kary pieniężnej tak zwanego wergeldu, którą okupywano się od krwawej zemsty krewnych.

Obok niewolnych, i lud wolny na mocy kontraktu według rzymskiego prawa kolonatu brał ziemię w dzierżawę wieczystą.

Kościół przedewszystkiem, który rządził się prawem rzymskiem w swoich posiadłościach, dawnym zwyczajem oddawał ludziom wolnym częstokroć swoje dobra już to w dożywotnią dzierżawę, już to na lat pięć za opłatą czynszu lub inne usługi.

I możni panowie, chcąc powiększyć swoją zbrojną drużynę i uświetnić swój dwór przekazywali nieraz wolnym, którzy się oddawali w ich opiekę, grunta w dożywotnią dzierżawę. Dla ludzi wolnych wszelako stan wieczystej dzierżawy był zawsze wielkiem zacieśnieniem i uszczupleniem praw wolnościowych. On też z biegiem czasu przerodził się wkrótce w zupełną zależność pańszczyźnianą.

Wreszcie obok zależnego włościaństwa było w dawnych prowincyach rzymskich dużo jeszcze włościan wolnych, którzy po zdobyciu kraju pozostali na swojej ojcowiznie i zapewne świeżo powstałe wsie germańskie z własnością gminną i osobistą.

A warstwy wyższe? Podczas gdy warstwy niewolnicze pod wpływem chrześcijaństwa poprzez różne formy przejściowe zdążają względnie ku coraz szerszej wolności, wolni popadają w coraz większą zawisłość osobistą i ekonomiczną wskutek nowych, właściwych pierwotnym społeczeństwom formacyi społecznych mianowicie przez t. zw. rekomendacyę i system beneficyalny.

Na czem polega rekomendacya?

Jest to oddanie się w opiekę i pod protekcyę możnego pana w zamian za utrzymanie. Jest to kontrakt osobisty, uświęcony przysięgą, mocą którego strona, oddająca się w opiekę, bierze na siebie obowiązki wasala, z których najważniejszy zachować wierność panu swemu w złej i szczęśliwej doli. Wasal winien zawsze stać po stronie pana swego i dzielić jego sympatye i antypatye i być gotowym zawsze do każdej służby, choćby przeciwko królowi, byle ta służba zgadzała się z jego honorem, *ingenuili ordine servitium*, jak brzmi rota przysięgi. Pan zaś senior winien dbać o utrzymanie wasala i bronić go wobec wrogów i sądów. Instytucya ta, której korzeń tkwi głęboko w naturze ludzkiej, znana już co do istoty swej za czasów rzymskich upo-

wszechniła się bardzo w czasach, kiedy wojownicy łączą się jako towarzysze broni z wodzem swoim, aby dzielić z nim łupy i sławę, kiedy możni panowie otaczają się zbrojną drużyną.

Beneficya zaś, opierają się na kontrakcie rzeczowym, mocą którego beneficyaryusz bierze w dożywotnie i bezpłatne użytkowanie grunta albo zyskowne jakieś prawo. Upowszechniły się one, gdy biskupstwa i klasztory, bogato w dobra wyposażone, poczęły rozdawać swe grunta nie tylko za rocznym czynszem w dzierżawę, lecz również celem użytkowania w bezpłatne i dożywotnie posiadanie. Ażeby zaś nie zatarło się prawo własności kościelnej i dobra z biegiem czasu nie przeszły na własność dziedziczną, wyznaczał sobie Kościół jako roczny czynsz zawsze drobną jakąś daninę np. 5 funtów wosku. Nadanie takie dóbr nazwano według prawa rzymskiego beneficyami.

Z drugiej strony włościanie wolni, ażeby być pod protekcyą potężnego Kościoła i zapewnić sobie wszystkie jego przywileje, z trudem opierając się burzom czasu, oddawali chętnie swoje grunta Kościołowi na własność, odbierając je napowrót tytułem beneficyum dożywotniego i zwyczajnie już dziedzicznego celem użytkowania.

W ślad za Kościołem idą król i możni panowie, którzy chcąc mocniej przywiązać do siebie wybitnych poddanych, i uświetnić swój dwór w podobny jak Kościół sposób beneficyalny rozdają swoje dobra wasalom. I tu wybija się już bezpośrednio i wyraźnie zależność osobista beneficyaryusza od pana lennego i charakter polityczny i socyalny dóbr lennych. Jest to po prostu wyższy stopień zależności wasalskiej, wzmocnionej zależnością ekonomiczną. Dawniej uzbrojenie i utrzymanie wasala należało do seniora, obecnie wyrabia się zwyczaj, że wasal, wyposażony w dobra lenne, swoim kosztem szykuje wyprawę wojenną.

Głównym powodem tych zmian i przeobrażeń była reorganizacya armii za Karola Martela. Chodziło mianowicie o stworzenie nowych hufców, któreby stawiły czoło lotnej jak wicher konnicy arabskiej. W tym celu trzeba było uzbroić zwyczajem germańskim zakutych w żelazo rycerzy, trzeba było stworzyć, jeśli nie stałą armię, to przynajmniej liczebnie silne pogo-

towia wojenne, któreby zawsze były gotowe powstrzymać niespodziewane ataki nieprzyjaciela. Przedsięwzięcie kosztowne, dla króla niemożliwe do przeprowadzenia w społeczeństwie o ustroju patryarchalnym, wobec nieustalonej i niewykształconej gospodarki skarbowej. Ażeby je w życie wprowadzić, trzeba było umożliwić i ułatwić możnym panom uzbrojenie i utrzymanie silnych drużyn bojowych. Karol Martel począł tedy rozdawać możnym dobra koronne a w braku tychże kościelne w dożywocie pod warunkiem służby i dostarczania kontyngentu wojennego, trzymając się przytem praktyki beneficyalnej w kościele ustalonej. I to dało początek do wielkich zmian i przeobrażeń w stosunkach własnościowych i całym ustroju społecznym, które zapoczątkowały nową epokę w rozwoju ludzkości.

Zapewne już dużo wcześniej i Merowingowie rozdawali w nagrodę zasług dobra lenne, ale ich nadania były wieczyste i dziedziczne, nie obciążone żadnym specyalnym obowiązkiem służby publicznej ani wojennej. Wierności zapewne i oni domagali się od swoich poddanych, bo w razie zdrady dobra ulegały konfiskacie, ale była to wierność innego rodzaju, niż ta, która łączyła wasala z seniorem. Zresztą nadania dóbr królewskich za Merowingów nie były ani tak liczne, ani tak doniosłe, żeby mogły wywołać zmianę stosunków własnościowych i społecznych w państwie całem. Dopiero od Karola Martela począł się ów ruch potężny, który w miarę, jak własność wielka rośnie w liczbę i znaczenie, doniosłe wywołuje zmiany i przeobrażenia w życiu społecznem, i żłobi sobie potężne łożysko w historyi. Tak w państwie frankońskiem a stopniowo w całej Europie zachodniej wypracowuje się świat nowy i powstają nowe formacye społeczne, z których buduje się społeczeństwo feudalne.

Około seniora czyli możnego pana grupują się wasale, którzy, związani osobistą ugodą i przysięgą, stanowią zbrojną jego drużynę.

Około pana lennego duchownego czy świeckiego grupują się lennicy. Kościół nadaje dobra lenne już to z własnej inicyatywy, już to z woli króla *(pro verbo regis)* i nakłada na lenników obowiązki względem siebie i korony. Król rozdaje ziemię z własnych dóbr albo kościelnych i tworzy sobie armię całą wiernych wasalów. Możni panowie i właściciele dóbr lennych wydzie-

lają już to z dóbr dziedzicznych *(allodium)*, już to z lennych *(beneficium)* drobniejsze beneficya z obowiązkiem służby wojennej i rozdaje je swoim wasalom. A grupy te rozszerzają się i potęgują i krzyżują przez to, że każdy prawie właściciel dóbr lennych swoje włości znowu między dalszych rozdrabnia lenników i tak powstaje nowa hierarchia społeczna, która w czwartym lub piątym rzędzie opiera się na pańszczyźnianych gruntach włościańskich a w najwyższej instancyi ma króla za głowę, jako najwyższego pana lennego. Tylko tu i owdzie widać jeszcze wolne wsie z własnością gminną i prywatną i wolnych włościan, osiadłych na własnej ojcowiznie, i możnych panów, którzy nie są wasalami i w dziedzicznych rezydują dobrach.

Na straży tej hierarchii feudalnej, opartej na systemie beneficyalnym, stoi przysięga wierności. Przez złożenie uroczystej przysięgi na wierność i *hommagium* t. j. hołdu na klęczkach seniorowi, wchodzi wasal w posiadanie dóbr lennych. Symbolicznym zaś znakiem objęcia beneficyum jest przy wielkich lennach wręczenie chorągwi. Uroczysty akt ten lenny powtarzał się przy każdej zmianie osób i nawet wtedy, gdy dobra lenne stały się dziedziczne.

W gruncie rzeczy hierarchiczna budowa feudalnych społeczeństw na kruchych nader spoczywała podstawach. Najprzód te grupy różne wasalów, związanych zależnością ekonomiczną i przysięgą z lennymi panami, którzy częstokroć w obrębie państwa odrębne i o ile możności niezawisłe budowali sobie państewka, były największą zawadą jedności państwowej. Zresztą jedność tę podówczas inaczej pojmowano. W pojęciu ówczesnem państwo to jakby wspólna ojcowizna, podzielona pomiędzy króla i Kościół i możne rodziny, których interesy rozbieżne walczyły z dobrem ogółu. Rzeczą króla było przez węzły wierności osobistej czy to wasalstwa, czy nadań lennych, czy urzędów publicznych, wyposażonych w dobra lenne, pracować nad umocnieniem tej wierności i wytworzeniem i ustaleniem jedności państwowej. Tak cała polityka Karolingów, zwłaszcza Karola Wielkiego, zmierzała do tego, żeby autonomiczne grupy lenne w jedną połączyć całość państwową i prywatę podporządkować pod dobro ogółu i wasalów mocniej przywiązać do tronu swego.

Za Merowingów dwie głównie spójnie społeczne wiążą ludzi wolnych w odrębne grupy i formacye społeczne i łączą ich z królem w jedną całość państwową: rekomendacya i nadanie dóbr lennych. Za Karolingów dwie te instytucye zlewają się w jedną t. j. beneficyum z obowiązkiem służby wojskowej albo publicznej. W ten sposób zależność służbowa i urzędnicza wasalów, która dawniej polegała na ugodzie osobistej, zacieśnia się i przeobraża w zależność osobisto-ekonomiczną, opierającą się na odwołalnem i dożywotniem nadaniu dóbr królewskich czy kościelnych.

Władza królewska wzmocniła się przez to potężnie a organizacya państwowa zyskała na mocy i spoistości. Pierwszym bowiem obowiązkiem wasala było dochować zaprzysiężonej wierności panu swemu w złej i szczęśliwej doli. Wasal królewski zawsze być musiał skorym do wykonania rozkazów, do popierania policyi i sądownictwa królewskiego i do wyprawy wojennej. Król zaś trzymając go w zależności ekonomicznej przez czasowe i odwołalne nadanie dóbr, miał zawsze potężną broń w ręku, żeby go zmusić do posłuchu i posłuszeństwa. Ścisły ten stosunek wierności przerywała tylko śmierć wasala, po której dobra nadane znowu wracały do pana lennego.

Pod względem społecznym powstała w ten sposób z masy wolnych i częstokroć niewolnych obywateli nowa klasa społeczna zrazu głównie na kresach południowo-zachodnich, która wzięła na siebie ciężar obrony krajowej i służby wojennej i ujęła w swoje ręce władzę polityczną. W zasadzie wprawdzie każdy wolny zobowiązany był do służby wojennej i uzbrojenia się własnym kosztem, ale potrzeba dobrze uzbrojonej i wojskowo wyćwiczonej jazdy i zbytnie obciążenie włościan sprawiły, że powoli obowiązek służby wojennej przeszedł na wasalów, zaopatrzonych w beneficya królewskie. Z takich beneficyaryuszów składała się głównie armia Karola Wielkiego, choć i podówczas byli jeszcze w służbie możni panowie, którzy wraz z swoimi ludźmi nie byli wasalami króla i z drugiej strony wolni i niewolni wasalowie królewscy, którzy nie posiadali żadnego beneficyum.

Pod wzlędem ekonomicznym królewska polityka beneficyalna przyczyniła się wielce do podniesienia ekonomicznego i kultural-

nego kraju. W myśl Karola Wielkiego nie tylko dobra koronne, będące pod bezpośrednim jego zarządem, lecz i królewskie dobra beneficyalne mają służyć państwu i być podporządkowane celom i interesom ogółu. Od jednych i drugich bowiem w przeważnej mierze zależała siła militarna i ekonomiczna państwa. To też wszystkie zarządzenia jego, odnoszące się do spraw wojskowych i kościelnych i sądownictwa, ten cel mają na względzie, wszystkie jego postanowienia, tyczące się opieki nad niewolnymi i ubogimi tym duchem są ożywione. On z jednej strony czuwa nad tem, by na dobrach tych nie prowadzono gospodarki rabunkowej, by ich nie zamieniano w dobra dziedziczne a z drugiej, aby beneficyaryusze starali się o przeprowadzenie różnych melioracyi i polepszenie techniki i urządzeń gospodarczych, *ut hi, qui beneficium nostrum habent bene illud imeliorare in omni re studeant.*

Zresztą sam przykład wzorowej administracyi i gospodarki na dobrach koronnych, rozrzuconych po całem państwie, i zapobiegliwa troska cesarza o podniesienie rolnictwa wogóle udzielają się w szerokim promieniu sąsiednim gospodarstwom kościelnym i świeckim i pchają państwo całe na drogę ulepszeń ekonomicznych. Tak za pomocą systemu beneficyalnego pod czujnem i opatrznem okiem Karola Wielkiego dźwiga się kultura rolna i rozwija organizacya sił ekonomicznych, która jest warunkiem koniecznym bogactwa narodów.

Razem z systemem beneficyalnym rosną w liczbę i znaczenie wielkie obszary dworskie już to przez karczowanie lasów i hojne nadania królewskie, już to drogą kupna, gwałtu i kommendacyi. A za koncentracyą tą ludzi i majątków idzie zanik wolnych włościan, niewola Kościoła i wzrost prywaty niepomierny.

Już w dawnych prowincyach rzymskich możni panowie *(potentes)* w obrębie swoich włości mieli własną władzę sądowniczą. Rzymski ten obyczaj zeszedł się razem z dawnem prawem zwyczajowem Germanów, według którego właściciel ziemi był zarazem panem rzeczy i ludzi na niej się znajdujących. A więc wolni włościanie, którzy, walcząc z przeciwnościami wieku i chciwością ziemi i panowania sąsiadów, oddali się albo dobrowolnie albo z musu w opiekę możnego pana, popadli niebawem w za-

leżność pańszczyźnianą. Ażeby znaleźć obronę przed uciskiem wszechmocnego a chciwego urzędnika, przed rozbojami, które zagrażały ze wszech stron, ażeby uchylić się od rujnującej mienie i gniazdo rodzinne służby wojennej, wsie całe poddawały się w zależność, zadawalniając się gorzkim chlebem pańszczyźnianym. Tak razem z uwłaszczeniem wasalów idzie wywłaszczenie włościan, którzy za bezpieczeństwo życia i mienia i opiekę prawną płacą własnością i wolnością. Z prastarego ustroju wolnościowego i demokratycznego plemion germańskich, z wieców ludowych, opartych na równouprawnieniu, wyłoniła się z biegiem czasu oligarchia szlachecka, która wyrastając z ludu, przez wieki całe trzymać będzie lud ten w niewoli pańszczyźnianej, dopóki miasta nie wytworzą dla niego azylu wolności.

Karol Wielki patrząc się na nieuchronny zanik stanu włościańskiego wydaje w obronie jego cały szereg zarządzeń prawnych: zakazuje urzędnikom swoim uciskać wolnych i zniewalać ich do świadczenia usług, do których zobowiązani byli tylko niewolni; broni ich przed niesprawiedliwością władz administracyjnych i sędziów, przed możnymi świeckimi i duchownymi; uwalnia ich od służby wojennej, nakładając obowiązek ten na grupy włościan, które wspólnemi siłami stawić miały zbrojnego jeźdźca; zabrania im nawet wstępować w szeregi duchownych bez szczególnego jego pozwolenia.

Daremnie, zarządzenia te nie zdołały powstrzymać tych przeobrażeń, które, siłą stosunków podtrzymywane, idą niepowstrzymanie naprzód. Geniusz Karola jest tu bezradny, bezsilny wobec przeobrażeń, które z siłą elementarną dokonywają się wokoło niego. W hierarchicznym ustroju społecznym, gdzie panuje stan nad stanem rząd czuwa nad tem, aby każdy żył w szrankach stanu swego *et unusquisque in suo proposito vel profesione unianimiter permanere* (cap. 802), nie mogła się urzeczywistnić sprawiedliwość społeczna. Obok wyrabiającego się z szerokiej masy wolnych stanu szlacheckiego nie było miejsca dla wolnego stanu włościańskiego. I tej prawdy Karol Wielki nie zrozumiał ani nie docenił. Zamiast oprzeć swoją potęgę na rycerstwie i wolnym ludzie, on opiera ją wyłącznie tylko na rycerstwie, które

się wyłania z masy wolnego ludu. I dlatego wszystkie jego zarządzenia, jako półśrodki, nie osiągają celu i dlatego państwową budowę jego rozsadzi niebawem prywata i anarchia arystokratycznej oligarchii.

Razem z rosnącą pańszczyzną idą t. zw. immunitety wielkich majątków. Podobnie jak za czasów rzymskich dobra koronne i kościelne były wolne od podatków i innych ciężarów służebnych *(munera sordida)* i w mniejszych sprawach karnych i cywilnych własne posiadały sądownictwo, tak obecnie nie tylko dobra koronne, lecz i możni panowie, opierając się na wyż przytoczonej zasadzie prawnej, usiłują wyłamać się z pod sądownictwa urzędników cesarskich i uwolnić od ciężarów publicznych. Korzyści płynące z przywileju immunitetu królewskiego były wielkie: najprzód terytorya takie były zamknięte dla urzędników królewskich, którzy nie mogli w nich ani sądów odbywać, ani egzekucyi żadnych przeprowadzać; powtóre mniejsze sprawy karne i cywilne należały przed forum pana danego terytoryum, który też pobierał wszelkie opłaty stąd płynące, a w końcu wszystkie przywileje te rozciągały się nadto na całą ludność w obrębie danego terytoryum zamieszkałą. To też wszystkie majątki większe wytrwale i usilnie dążą do uzyskania tych przywilejów, które czynią z nich jakby osobne państewka, rządzące się samodzielnie i prawie niezależnie. I w epoce Karola Wielkiego ogarniają one już wszystkie beneficya królewskie i dobra kościelne. Że takie uchylanie się i wyłamywanie z pod władzy państwowej uszczuplało ogromnie władzę urzędników królewskich i podkopywało zasadnicze podstawy państwa, rzecz jasna, to też Karol Wielki przy udzielaniu tych przywilejów zastrzega sobie zawsze wykonanie zasadniczych obowiązków państwowych t. j. służbę wojenną i utrzymanie dróg strategicznych oraz wprowadza do wszystkich terytoryów, objętych przywilejem immunitetu osobnych urzędników, którzy na wzór urzędników królewskich w dobrach koronnych stać mają na straży sprawiedliwości i bezpieczeństwa publicznego *(judices privati, vicedomini)*. Urzędnik taki jest wobec klasztoru, który reprezentuje, i w terytoryum, gdzie urzęduje, adwokatem i sędzią

i przedstawicielem króla zarazem, mianowanym przez niego (od Karola Wielkiego począwszy) i sprawującym namiestniczą jego władzę.

Potrzecie obszary dworskie zagarniają kościoły na własność i krępują władzę biskupów. W myśl zasady wyż przytoczonej powiedziano sobie: kościoły stoją na gruncie pańskim, a więc do pana należą. I kościoły parafialne poczęły przechodzić na własność dworów, a księża poszli w służbę panów. Domy Boże stały się przedsiębiorstwem rentownem, bo dochody, płynące ze składek i z darów ludności, bo podatek kościelny t. j. dziesięcina, przywłaszczały sobie w zupełności albo w części dwory. Duchowieństwo zaś, rekrutowało się przeważnie z niewolnych i służby dworskiej i popadło w zupełną zależność od pana.

Takie stosunki wyrobiły się za panowania Merowingów wskutek ogólnego zamętu społecznego i rozstroju organizacyi kościelnej. I nie było komu protestować przeciwko tym nadużyciom. Synody bowiem, na których ogniskowało się życie dawnego Kościóła, nie odbywały się od wieku prawie całego, a miejsce dzielnego i wysoko wykształconego kleru rzymskiego zajęli biskupi mało wykształceni i spokrewnieni z rodzinami możnych panów. Zwierzchnicza władza biskupów rwie się w strzępy. Prawo bowiem mianowania proboszczów i beneficyów przeszło na pana kościelnych dóbr lennych, a duchowieństwo rekrutowało się przeważnie z niewolnych i służby dworskiej.

Rzekome prawo własności do kościołów parafialnych i dochodów z nich płynących rozszerzono konsekwentnie do biskupstw i klasztorów z tą różnicą, że biskupstwa i opactwa rozdawał król a probostwa fundatorowie. Za Merowingów nie wiele było biskupstw, któreby miały przywilej wolnego wyboru, zwyczajnie król mianował biskupów. Pod koniec zaś IX wieku obsadzano biskupstwa przeważnie drogą nadań lennych.

Taka była zależność Kościoła od króla i możnych panów za Merowingów i Karolingów, taka aż do wiekowego zatargu papiestwa z cesarstwem. Karol Wielki wprawdzie, jak to później zobaczymy, przykrócił najjaskrawsze nadużycia i uregulował sto-

sunki własnościowe Kościoła, ale nie usunął korzenia złego, który tkwił głęboko w ówczesnym ustroju społeczno-ekonomicznym.

W dziedzinie administracyi, ażeby ujednostajnić i skonsolidować olbrzymie, z różnych krajów i narodów luźno powiązane państwo, usiłuje Karol Wielki zaprowadzić wszędzie frankoński ustrój administracyjny i rozciągnąć nad urzędnikami czujną i stałą kontrolę. Był to postęp niemały, gdyż na ścisłej i stałej kontroli urzędników stoi i dzisiaj przedewszystkiem ład i sprawiedliwość społeczna.

W tym celu znosi on potęgę wybijających się samodzielnie książąt dziedzicznych i zacieśnia władzę hrabiów przez pomnożenie liczby hrabstw i rozszerzenie zakresu działania biskupów. Tylko na kresach, gdzie bezustanna wrzała walka, margrabiowie rozleglejszą mieli władzę nad hrabiami i inicyatywę powołania siły zbrojnej. W tym celu obsadza on urzędy odwołalnymi urzędnikami, których zwyczajnie mianuje z pośród możnego obywatelstwa i przeprowadza stopniowo wszędzie jednostajny podział hrabstw na okręgi *(vicariae, centenae, conditae)*. Zakres władzy hrabiów był rozległy bardzo. Oni na rozkaz króla przeprowadzają pobór wojenny i dowodzą wojskiem, stoją na straży bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości, wydają rozporządzenia *(Grafenbann)* i egzekwują wyroki sądowe, ściągają opłaty publiczne i dbają o utrzymanie dróg strategicznych.

Żywotnem ogniskiem całej administracyi państwowej był dwór cesarski wzorowany na palatium rzymskich cezarów, z wpływowym palatynem, kierownikiem sądu królewskiego, i potężnym kanclerzem koronnym, który zwyczajnie będąc biskupem lub opatem, najwyższym był doradcą w sprawach kościelnych i kierownikiem duchownych, sposobiących się na dworze do wysokich urzędów kościelnych. Główny zaś nadzór i kontrola nad życiem państwowem i światem urzędniczym spoczywa w ręku stałych delegatów *missi dominici*, którzy corocznie po dwóch, jeden duchowny a drugi świecki, wyjeżdżają na wizytacyę wyznaczonych im okręgów. Zadaniem ich wglądać wszędzie w urzędowanie władzy świeckiej i duchownej, a więc w urzędowanie hrabiów i centenarzy, naczelników obszarów dworskich i dóbr kościelnych, objętych przywilejem immunitetu, przyjmować zażalenia od ludu i wszędzie

roznosić pokój i sprawiedliwość. Instytucya *missi dominici* stała się zwyczajnym i najgłośniejszym organem centralnej administracyi państwowej dopiero od chwili, kiedy Karol Wielki został cesarzem. I ta czujna i stała kontrola administracyi państwowej stanowiła najistotniejszą i najważniejszą cechę rządów jego i postęp ogromny w rozwoju i życiu nowego cesarstwa. W roku 802 — czytamy w rocznikach współczesnych — Karol, imperator, litując się nad uciskiem ubogich w państwie, wybrał nie przekupnych w sądzie wasalów, lecz arcybiskupów, biskupów i opatów, książąt i grafów i rozesłał ich po całem państwie, »ażeby kościołom, wdowom, sierotom, ubogim i ludowi całemu sprawiedliwość czynili« [1].

Zadania i obowiązki tych delegatów cesarskich określa szeroko i dokładnie kapitularz cesarski, wydany w tymże roku w Akwisgranie, który jasne rzuca światło na całą administracyę państwową i wskazuje, w jakim duchu rządzić zamierza nowy imperator chrześcijański. Delegaci — czytamy tam — przedewszystkiem dbać mają o to, żeby wszyscy według przykazań Bożych i według stanu swego żyli »w miłości i pokoju doskonałym«, żeby wszędzie po państwie panowała sprawiedliwość, żeby urzędnicy cesarscy i kler żyli w zgodzie i w przyjacielskiem porozumieniu, żeby kościoły, ubodzy, sieroty i lud żadnej nie doznawali krzywdy. A »gdyby napotkali na prawo niezgodne z słusznością i sprawiedliwością, mają najdokładniej zbadać rzecz całą i przedłożyć mu ją do rozstrzygnięcia i polepszenia ustawy z pomocą Bożą. I niech nikt według własnego rozumienia ani podstępnie ani na opak, jak to wielu zwykło czynić, nie tłumaczy prawa, ani nie poważy się gwałcić sprawiedliwości w sprawach, dotyczących Kościoła, ubogich, wdów i sierót i każdego chrześcijanina«. Czegoby zaś delegaci nie zdołali załatwić na wiecach urzędowych, mają przedłożyć cesarzowi do decyzyi, nie schlebiając nikomu, nie przyjmując żadnych darów, nie powodując się powinowactwem krwi, nie lękając się możnych, lecz idąc prostą drogą naprzód niech starają się o to, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

---

[1] Migne, l. 97. *Caroli Magni capitularia* str. 224.

W ich ręce ma się składać przysięga na wierność cesarzowi, oni mają zdawać sprawę czy biskupi, czy kler świecki i zakonny trzyma się prawa kanonicznego i reguł zakonnych, oni mają rozpatrywać sprawy rozwodowe i nielegalne małżeństwa tak rozpowszechnione podówczas wśród ludów na pół pogańskich. W ich ręku jest nadzór nad dobrami koronnemi i kościelnemi i nad wymiarem sprawiedliwości. Wogóle ład i porządek, wynikający z zachowania ustaw kościelnych i państwowych i dobry wymiar sprawiedliwości oto idee przewodnie całego kapitularza. »Sędziowie niech sądzą według ustawy sprawiedliwie, a nie według własnego rozumienia... »Hrabiowie i centenarzy niech stoją na straży sprawiedliwości i niech mają w służbie ludzi młodych, którym mogą zaufać i którzy wiernie przestrzegają prawa i trzymają się sprawiedliwości, którzy ubogich nie uciskają, którzy złodziejom, zbójom, mężobójcom, cudzołożnikom, znachorom, czarownikom i augurom i różnym rodzajom świętokradców nie schlebiają i żadnych darów pod żadnym pozorem u siebie nie ukrywają — lecz tem usilniej starają się, by wszyscy przestępcy się poprawili i ukarani zostali według ustawy i z pomocą Bożą lud chrześcijański od złego został ochroniony«.

C. d. n.

Ks. Leonard Lipke.

JOANNA GRUDZIŃSKA.

EPIZOD NOCY BELWEDERSKIEJ W JEDNYM AKCIE.

Dokończenie.

SCENA VII.

JOANNA

Może tam kiedyś skra miłości
gorzała w sercu mem dla niego —
ale dziś, dzisiaj — — Dzisiaj strzegą
zmysły ust, aby zwarte bolem
nie wybuchnęły w czas słabości
wzgardą mu prosto, w same oczy — —
(po chwili)
Jak się to życie dziwnie toczy — —
(zamyślając się)
Dziewczyną byłam o sokolem
chceniu fantazyi. Przeznaczenie
dało mi spotkać go na drodze,
i potargało sny dziewicze,
i dało, dało mi niebodze,
w młodości tylko ból, gorycze — —
O cyganicho! wróżba twoja
spełniona dzisiaj w całej pełni.
Burza nademną już się wełni —
a potem — rzekłaś — z chmurzysk roja

zjawi się cisza, ukojenie,
co pęt potarga mych rzemienie — —
(po chwili)
Ojczym i matka wspólnię, razem
zmusili przyjąć go za męża,
szepcząc, że dobroć złość zwycięża,
że on, z mej woli, ciężkim głazem
nie będzie ciężył kraju piersi —
że na mej skroni jeszcze dyadem
królewski zalśni, że mi wieki
dziękczynić będą za tę chwilę,
gdym serce dała w więzy wieczne — —
Naiwna, próżna za konieczne
uznałam puste, marne słowa —
a dziś doradcy ci najszczersi
gdzież są? — a życie dla mnie jadem,
a łzy mi palą wciąż powieki — — —
(po chwili)
A tyle chciałam, tyle, tyle — —
Myślałam nieraz, że przesilę
serce Azyaty prośby głosem,
że on zapłacze sam nad losem
kraju, którego władnym panem — —
Próżno, to wszystko mu nieznanem — —
(opada na krzesło)
Tak — lecz sumienia nie objuczę —
wiem co mężowi winna żona,
co zaprzysięgła mu przed Bogiem;
acz los brzemieniem dla mnie srogiem,
acz dusza moja nieraz kona,
z nim być, niestety, muszę, muszę —
przed Bogiem czystą chcę mieć duszę — —
(kryjąc twarz w dłoniach)
Ach, lecz dziś dusza bardziej krewka
może mi plunąć: Tyś Moskiewka — —
(łka cicho)

(Nagle odzywa się głuchy, oddalony huk salwy karabinowej, dochodzący aż tu. To podchorążowie pod wodzą Wysockiego uderzają na kawaleryę rosyjską w koszarach. JOANNA zrywa się przerażona, śmiertelnie blada)

Co to?... Może?... Może już się stało
to, co mi było widmem trwogi — —
Może rozpacznie teraz drogi
wyzwoleń szuka Duch Narodu —
może nasyceń jego głodu
trzeba tu, tutaj...

(opanowując się)

Zebrać śmiało
należy myśli przerażone — —
Może tu idą po krew, w stronę
skąd k'nim schodziła przemoc wraża,
co wszystko dławi i spotwarza — —
Krew, krew ja widzę!...

(dzwoni gwałtownie)

SCENA VIII.

FRISE (Kamerdyner, w liberyi. Lat około 30. Wbiega szybko)

JOANNA

(zwracając się doń)

Jakieś strzały — —
Aż tu... Aż tutaj... Głosem gromu
tu uderzyły w moje uszy — —
Ach! ja nie zniosę trwóg ogromu — —
Pędź... Pytaj... Powiedz... Niechaj straże
odwachu... Alarm... Dodaj duszy
jeżeli w lęku... Tu zadrżały
szyby dźwięcząco...

FRISE

(wybiegając szybko)

Pospieszam Księżno...

SCENA IX.

(Nagle, tam na dole, w podwórzu pałacu, rozlegają się krzyki. Słychać gwałtowne uderzenia kolbami o drzwi wchodowe. To BELWEDERCZYCY dobywają się do wnętrza)

JOANNA

(w obłędnem przerażeniu)

Już... Już... Za późno... Maryo Święta!...
Idą już... Idą... by rwać pęta
niewoli... Niech rwą!... Ale Boże,
gdy rwą kajdany i obroże,
Ty chroń nas śmierci — —
(kryjąc twarz w dłoniach)
Śmierć... Śmierć mściwa...
Żelazo w piersiach zimne, żrące — —
Ach! jakem w lęku niedołężną — —
(opanowując się siłą woli)
Precz widmo pleśnią grobu tchnące! — —
Wróć przytomności... Wróć odwago — —
Zanim cię ujrzę straszną, nagą,
bronić się będę! — — —

SCENA X.

(Wpadają gwałtownie LUBOWIDZKI, KOCHANOWSKI i FRISE)

LUBOWIDZKI

(W mundurze, przy szpadzie. Blady, przerażony)

Źle... Źle... O Księżno, ratuj życie — —
Gdzie Wielki Książę?... Wywalają
drzwi tam na dole — —

FRISE

Zaraz zgrają
wpadną tu — —

JOANNA

Trza ukrycie
dać Księciu Panu... On u siebie...
(do KOCHANOWSKIEGO)
Idź... Zbudź... Przyprowadź...
(do FRISEGO)

Ty ramieniem
drzwi te podeprzesz z całej siły — —

KOCHANOWSKI

O święta Matko Boża w niebie — —

JOANNA

Chwil... chwilek kilka... Te zbawieniem
mogą być jeszcze — —

KOCHANOWSKI

(wybiega na lewo)

Ja po Księcia...

SCENA XI.

FRISE

(przy drzwiach, które zamyka)

Drzwi słabe... Łatwe są do wzięcia — —
Ale na chwilę wstrzymam może — —

JOANNA

Przekręć klucz w zamku — — Nim wysadzą
odrzwia, Księcia ukryć trzeba — —
Ale gdzie skryć go... Gdzie? — O Boże! — —

LUBOWIDZKI

(szybko)

Księcia skryj, Księżno, w swej komnacie! — —

JOANNA

Gdzie? — W mej sypialni? —

LUBOWIDZKI

Wy ich znacie — —
Skrupuły wyższe im nie dadzą
nachodzić niewiast — —

JOANNA

Dobra rada
Lecz gdzie, gdzie Książę?...

SCENA XII.

KOCHANOWSKI

(Wprowądza od lewej strony na pół ubranego, słaniającego się, przerażonego śmiertelnie bladego KONSTANTEGO)

BELWEDERCZYCY

(za sceną, wśród rosnącego wciąż hałasu)

Śmierć tyranom!

KONSTANTY

(przysłuchuje się chwilę, w trwodze, rosnącemu wciąż łoskotowi. Drży, kurczy się, słania. Pada na kolana przed JOANNĄ)

Polka!... O Polko, daj ratunek! — —
Zbaw... Ukryj... Ratuj swego męża — —
Ratunku ludzie!... Tam zwycięża
żelazo opór — — Zbóje, zbiry — —
Idą... Już idą... Śmierci wiry
chwycą mnie... Patrzcie, łzy z pod powiek
leję pod wasze oto stopy...

(czołgając się u nóg KOCHANOWSKIEGO)

Słuchajcie... Tutaj, w moje tropy
śmierć idzie... Zdławi mnie za szyję — —
A jam jest człowiek, biedny człowiek — —
Żelazo w piersi mi się wryje,
gardziel zaleją krwi potopy — —
Ratujcie — — Zbawcie — — Ja dukaty
korcami sypnę — — dam na trunek — —
Ja... ja... ratujcie — —

KCCHANOWSKI

(starając się dźwignąć KONSTANTEGO)

Czasu straty
szkoda, Wysokość... Słabeć siły
moje... Powstańcie sam na nogi...

FRISE

Czem prędzej. Żywo... bo już wrogi
do komnat obok snać wkroczyły —
słychać jak kolbą w drzwi łomoczą — —

JOANNA

(pomagając podnieść KONSTANTEGO)

Do mej sypialni! — — Tam nie wkroczą — —
ja... ja... ja drogę im zagrodzę — —
Prędzej-że, żywiej — —

(KOCHANOWSKI i JOANNA wywlekają niemal KONSTANTEGO przez drzwi na wprost widzów. LUBOWIDZKI spiesznie je zamyka, dobywa szpady i staje przy nich. Łoskot caraz bliższy. FRISE podpiera drzwi)

SCENA XIII.

BELWEDERCZYCY

(uderzają kolbami o drzwi podpierane przez FRISEGO)

Śmierć tyranom! Dalej...

FRISE

Już nie mogę — —

(Puszcza drzwi, zwraca się i rzuca się jak szalony do ucieczki do drzwi na lewo)

LUBOWIDZKI

(żegnając się)

Teraz ja idę w wieczną drogę...

SCENA XIV.

(W tej chwili drzwi otwierają się z łoskotem i przez nie wpadają z impetem BELWEDERCZYCY, NABIELAK, GOSZCZYŃSKI, TRZASKOWSKI. Wszyscy uzbrojeni przeważnie w giwery, z nasadzonymi bajonetami)

GOSZCZYŃSKI

Śmierć, śmierć tyranom!

LUBOWIDZKI

(rzucając się na nich)

Stójcie zbiry!

W tej chwili pchnięty kilku bagnetami wali się bez zmysłów na ziemię)

NABIELAK

Baczność! — — Stać chwilę!... Część na lewo
a część drzwi na wprost niech wywali — —

TRZASKOWSKI

Dalej!... Dziś Święto... Dzisiaj Sławą
okryjem czoła — —

GOSZCZYŃSKI

Pierś nam stali
wiara, że wolność świętą sprawą — —

NABIELAK

A Księcia żywcem! — —
(silnie)
Niech nam kiry
królozabójców obce będą! — —
Chwycić, rozbroić! —

(Część BELWEDERCZYKÓW Z TRZASKOWSKIM wypada na lewo. Pozostali rzucają się do drzwi na wprost i usiłują wywalić je kolbami. Nagle drzwi otwierają się i staje w nich, blada jak płótno, JOANNA)

SCENA XV.

JOANNA

Książęcam żona!... Tam komnaty
moje i dworek — Czyż zapłaty
krwawej szukacie w niewiast progach?
Serce me w wstręcie, a nie w trwogach! — —

GOSZCZYŃSKI

Milcz ścierko polska!

JOANNA
(słaniając się chwyta się za serce)
Ach!

GOSZCZYŃSKI

Na katy
żelazo nasze!

JOANNA

Ty... młodzianie...
raniłeś ciężko... choć bez broni...
Polkam, lecz z nim ja, bom mu żoną — —

GOSZCZYŃSKI

A teraz ustąp! — — Dziś się stanie
co mu od dawna przeznaczono.
Kędy jest tyran? Mów w tej chwili! —

JOANNA

Boga przyzywam tu na świadki,
że to do moich komnat droga — —
lecz jeślim ja jest dla was wroga,
widzę żelaza połysk gładki,
pchnij! — niechaj martwą mnie uczyni...

NABIELAK

Kobiet miecz zwalczać się nie sili
(silnie)
Odstąpcie! — — Polak nie jest zbrodzień! —
Jeżeli kłamiesz, pomnij, codzień
przysięga krzywo popełniona
jady lać będzie ci do łona — —
(BELWEDERCZYCY cofają się od drzwi)

SCENA XVI.

(TRZASKOWSKI z swoimi BELWEDERCZYKAMI wraca od strony lewej)

TRZASKOWSKI

Jeszcze tyrana ciepłe łoże —
ale sam umknął — znikł, bez śladu — —

(Na podwórzu pałacowem odzywają się tententy i sygnały na trąbce konnicy, która pod wodzą KRASIŃSKIEGO przybywa na pomoc KONSTANTEMU)

JOANNA

(radośnie)
Pomoc przybywa, pomoc, pomoc...
(po chwili)
A wy, wy tutaj? — Wy, napadu
sprawcy!
(szybko, z trwogą)
Ratujcie młode życie!...

NABIELAK

Baczność! Sygnały... Krew sowicie
pociecze teraz!... Już pomoce
Księciu zdążają!... Tu, przed nami
droga straszliwa! — Z wroga kłami
zderzym się teraz!

GOSZCZYŃSKI

W ich posoce
damy chrzest broni!

NABIELAK

W chrobre dłonie
silniej broń ująć! Baczność! Gromem
padniemy na nich. Za mną! W zgonie
chwała li, pęta zasie sromem!

(BELWEDERCZYCY gromadzą się razem, by wypaść przez drzwi na prawo i przebić się, tam na dole, przez szeregi nadążającej pomocy)

JOANNA

(trwożnie)

Nie! — Nie! — Czekajcie, stójcie, stójcie! —
Śmierć, śmierć was czeka, śmierć bez chwały!
Tam, tam...
(wskazuje drzwi na lewo)
kurytarz...

NABIELAK

Znów sygnały!

JOANNA

(spiesznie)

Tym kurytarzem w ogród... Skupcie
rozum z odwagą!... Mur przeleźcie...
i do swej braci, tej, co w mieście!

NABIELAK

(podbiega, patrzy silnie w oczy JOANNIE)

Dzięki!... Skrzy prawda w oczach twoich! — —
Szkoda tych dzielnych druhów moich — —
Zwrot w tył! — I pędem w moje ślady — —
Jeszcze nas ujrzy z trwogi blady
Moskwicin!...
(wypadają z impetem na lewo)

SCENA XVII.

JOANNA

...Uszli... i za chwilę

bezpieczną będę ja, i Książę...
(osuwając się na klęczki)
Dzięki Ci Boże, dzięki, dzięki,
żeś nie dał zginąć z polskiej ręki
i mnie, i jemu... Oto krążę
u nóg Twych korna, oto chyli
wdzięczność do stóp Twych moje czoło,
strudzone grozą i mozołą — —
Dzięki Ci, Boże!
(po chwili)
Niech zrywają
pęta, niech wyprą Moskwę z Polski,
to jest ich mandat apostolski! —
Ale ja muszę z Moskwą razem...
(po chwili)
Plunął!... Na duszę padłoć głazem — —
Ścierka! powiedział — — Polska ścierka! — —
To złość, dzieciństwo — to usterka
stylu — — a jednak boli, boli — —
Serce mi zranił — — W aureoli
cheruba stanął — — To plugawi
duszę, to serce moje krwawi — —
(po chwili)
Otom wzgardzona przez mych braci! — —
A jednak — — Niech im Bóg zapłaci
Swoją opieką — — Niech z pomocą
będzie im zawsze, kiedy z nocą
zmagać się będą jak cheruby —
niechaj ochrania ich od zguby — —
(po chwili)
Lecz serce krwawi, boli, płacze — —
(po chwili)
Zmilknijcie bole i rozpacze —
możem ja warta wzgardy śliny,
może jest wiele mojej winy
w tem, iże z nimi jestem duszą,
a być im przeciw losy muszą — —

O Boże, darz ich Swą opieką! — —
(powstaje z klęczek, spostrzega LUBOWIDZKIEGO leżącego bez ruchu)
A oto jedna z ofiar... Krwawe
ślady tu nawet na tapetach — —
O zemsto straszna w swych impetach! — —
Krwi strugi cieką, cieką, cieką...
a po nad nimi leci Sława,
bezśmiertelna Sława chrobrych czynów,
podziwu godnych i wawrzynów! — —
O ty Wolności, wielka, święta,
rwij, niszcz, potargaj wstrętne pęta!
O Boże, Boże, straszny Panie,
Ty miej nad Polską zmiłowanie! — —
(Za sceną odzywa się chrzęst broni i ciężkie kroki stąpających żołnierzy KRASIŃSKIEGO)

SCENA XVIII.

KRASIŃSKI
(wchodzi spiesznie przez drzwi z prawej strony)
Kędy jest Książę, Księżno Pani?

JOANNA
Ocalon dzięki łasce Boga.

KRASIŃSKI
Dzięki Mu... Wielką była trwoga
moja o jego życie... Rwani
zemstą śmierć niosą — — Dzięki Bogu!...

JOANNA
(z żalem, drwiąco)
Hrabia-generał wraz na progu
Książęcia Pana, by go bronić
i przed orężem go zasłonić
napadających... Rycerz prawy...

KRASIŃSKI
(nie rozumiejąc)
Na czas zdążyłem Bogu dzięki,
mógł marnie zginąć z zbirów ręki!

JOANNA

Jam ich wstrzymała generale — — —

(drwiąco)

Lecz hrabio, dzięki, że wspaniale
Lach, przychodzicie bronić... cara — —

KRASIŃSKI

(zrozumiawszy, odstępuje krok wstecz)

Madame, potępić mnie się stara...

(drży, blednie)

Bien, to są całkiem inne sprawy — —

(unosząc się stopniowo)

Madame, oboje my Polacy,
tak, i oboje nie przy pracy
zrywania więzów — — Z musu może
wy tu, miast z tymi, co obroże
rwą teraz w szale. Księcia żona
z nim Sakramentem połączona — —
Lecz ja tu jestem z własnej woli —
mimo to słowo wasze boli — —

(po chwili)

Pod światowładnym Napoleonem
byłem, i pod nim wszystkie świata
kąty zeszedłem. Ja, na czele
mych szwoleżerów. Śmierć mi zgonem
groziła nieraz. Wierzcie, cele
polskiem miał w duszy...

(z żalem)

A zapłata
tego to Moskwa, Berezyna! — —

(po chwili)

Ach, ileż pamięć chwil wspomina
wielkich... Sławetny bój pod Lützen,
Bautzen, Lipsk, Drezno, no i Brienne,
wszystko minęło jako sen,
jako sen wielki — — Moskwa z krzykiem
szła ku nam hordą. Z harapnikiem
w bój ja ruszałem krwawo-szczery,

a za mną moje szwoleżery — —
takim to byłem ja pod Brienne — —
lecz po co wspomnień, czasu strata,
wszystko minęło jak sen — — —

(po chwili)

Madame, wybaczcie, żal unosi — —
Lecz chciałem tylko rzec: gdzie kosi
śmierć, tam bywałem... Jeślim z Księciem
dziś, kiedy naród przedsięwzięciem
szalonem więzy rwie, przyczyny
szukać tu trzeba, w mojej duszy — —

(silnie)

Pani, nie wierzę ja!... Nie skruszy
naród przemocy, a niewolę
cięższą uczyni! — Przeto wolę
pożar zgnieść teraz, kiedy winy
jeszcze są mniejsze...

(z przejęciem)

Za granicą
jest syn mój, Zygmunt... Tu go szczycą
plwaniem w twarz błazny... Niech mu oczy,
te śliczne, mądre, smutne oczy,
śmierć zimnem szkliwem swem omroczy,
niechaj ta Sława, co patroni
duszy niezwykłej, marną będzie,
jeśli nie miłość kraju każe
broń wznieść, przeciwko polskiej broni!...

(opanowując się)

Madame, raniłaś... Ale sędzię
mam ja w karzącej Bożej dłoni,
i jeślim dzisiaj braci wrogiem,
za to odpowiem s a m, przed Bogiem! — —

(chłodno, prostując się)

A teraz Księżno, Księcia Pana
wezwijcie — — Czekam na rozkazy — —

JOANNA

(wyciągając rękę ku KRASIŃSKIEMU, cicho)

Przebaczcie... Idę...

(wychodzi przez drzwi na wprost widzów)

SCENA XIX.

KRASIŃSKI

stoi chwilę, potem zwraca się, otwiera drzwi, przez które widać żołnierzy)

Ze szeregu
czterech i sierżant!

SCENA XX.

(CZTEREJ ŻOŁNIERZE i SIERŻANT wchodzą. Ukłon wojskowy. Czekają rozkazu)

KRASIŃSKI

(wskazując na LUBOWIDZKIEGO)

Wynieść tego!

(ŻOŁNIERZE pochylają się nad LUBOWIDZKIM i podnoszą go. LUBOWIDZKI jęczy głucho)

SIERŻANT

(stary wiarus z czasów Napoleońskich)

Śmierć litościwa czasem w biegu...
Żyje... Nie chciała go za swego...
Wraz go ocucim, dosyć śniegu...

KRASIŃSKI

(ze wzgardą)

Szpieg, więc ma szczęście — —

(ŻOŁNIERZE, wynoszą LUBOWIDZKIEGO)

SIERŻANT

(salutując)

Generale,
a my, my kiedy na Moskale
uderzym wreszcie! — —

KRASIŃSKI

(zadrżał, chwilę zbiera myśli, rzuca się ku niemu)

Precz, precz... Przepadnij!...

(SIERŻANT zwraca się wstecz, wychodzi. KRASIŃSKI przysłania sobie oczy ręką)

ZASŁONA.

Adam Stodor.

O NAJPOPULARNIEJSZEJ KSIĄŻCE ANGIELSKIEJ.

(Dokończenie).

»Wędrówka pielgrzyma z tego świata na tamten« *(The Pilgrim's Progress from this World to that which is to come)* rozpoczyna się od wierszowanej przedmowy, którą autor określa jako apologię, czyli obronę swej książki. Jest to ciekawa illustracya ograniczonych zapatrywań literackich wieku purytańskiego, że Bunyan tutaj uznaje za potrzebne bronić sposobu opowiadania »przez podobieństwa«, t. j. pod allegoryą, przytaczając jako usprawiedliwienie przykład Ewangelii; następnie przedstawia »pożytek swej książki«, a więc moralną treść allegoryi, w następujących słowach:

Książka nakształt rysunku stawia ci przed oczy,
Człowieka, jak wieczystej szukając nagrody,
Wędruje przez to życie; skąd idzie i dokąd;
Co w tej podróży czyni, a co zaniedbuje;
Jak przed niebezpieczeństwy groźnemi ucieka,
Aż wreszcie u wrót Chwały wiekuistej staje.

Sama opowieść, jak to i tytuł obszerniejszy zapowiada, przedstawiona jest »pod podobieństwem snu«: »Postępując drogą puszczy Światowey« (tak brzmi początek w starem polskiem tłumaczeniu) »przyszedłem na iedno mieysce gdzie była Iaskinia[1]: Tamem się

[1] Ta jaskinia oczywiście wyobraża więzienie Bunyana, jak nam to sam powiada w pierwszej z szeregu not, których formalna sieć pokrywa brzeg książki. Niektóre z tych not objaśniają allegoryę w ważniejszych miejscach,

układł, abym odpoczął i usnąwszy widziałem we śnie człowieka Szatą splugawioną i odartą odzianego, który stał maiąc obrocony tył ku własnemu Domowi swemu, i trzymał księgę w ręku, a był obciążony cięszkiem brzemieniem; potym postrzegłem, że tę Księgę otworzył i w niey czytał: a czytaiąc iął płakać y lękać się tak barzo, że zatrwożony smętnym i rzewliwym zawołał głosem: Co mam czynić?«

Ten człowiek, to bohater opowieści, Chrześcijanin (*Christian*, tak stale zwany przez autora), którego losy wypełniają pierwszą część dzieła. Jest on właśnie w tym stanie, w którym znalazł się Bunyan w owym najboleśniejszym okresie swego duchowego rozwoju, gdy walczył ze zwątpieniem i rozpaczą; bo oto wyczytał chrześcijanin w księdze świętej, że miasto, w którem żyje, to »miasto zatracenia«, że zginie ono jak Sodoma przez ogień zesłany z niebiosów. Opowiada o tem żonie i dzieciom, lecz oni,— jak powiada stare polskie tłumaczenie, według którego odtąd stale cytuję, — »rozumieli, że mu zmieszanie w głowie przypadło«, i nie dają wiary.

Gdy tak zrozpaczony wyszedł w pole wołając: »Co mam czynić! abym był zbawiony«, spotyka się z mężem, który zwie się Ewangelista; ten jako radę daje mu kartę ze słowami: »Uciekaycie przed przyszłym gniewem!« — a na zapytanie wskazuje mu drogę ku jakiejś »światłości lśniącej się« w oddali; tam zdążając, dojdzie do »Bramy ciasney«, gdzie mu powiedzą, co ma uczynić, by się zbyć swego ciężkiego brzemienia. Chrześcijanin natychmiast wyrusza; nie słucha głosów żony i dzieci, wzywających go do domu, lecz zatknąwszy uszy palcami, woła: »Żywot, Żywot, Żywot Wieczny!« i spieszy we wskazanym kierunku.

W drodze dogania go dwóch sąsiadów z miasta, którzy wybrali się za nim; od tych dwóch rozpoczyna się długa galerya typów, które z niezrównanym realizmem illustrują zachowanie się różnych ludzi na świecie wobec religii; figury te, odkąd geniusz Bunyana je stworzył, stoją zupełnie jak postacie Szekspira

---

inne tylko streszczają wypadki opowiedziane w tekscie; jeszcze inne wreszcie— i bardzo liczne — sumiennie podają wszystkie miejsca w Piśmie świętem, do których się autor w niezliczonych alluzyach odnosi.

albo Dickensa z całą wyrazistością rzeczywistych osób przed wyobraźnią każdego Anglika.

Jeden z tych dwóch pierwszych towarzyszów Chrześcijanina zwie się Uparty, a drugi Łatwy. Uparty radzi mu, by powrócił do domu, a widząc, że to bezskuteczne, wnet sam się wraca; Łatwy idzie z chrześcijaninem, który z zachwytem mu rozpowiada o świetnościach Chwały Niebieskiej, jakie ich czekają. Rozpaliła się tu wyobraźnia autora od czarodziejskich wizyi w apokalipsie św. Jana, i jest ten ustęp jednym z najwspanialszych przykładów tego potężnego wpływu, jaki »książka«, jak ją po prostu zwali, t. j. Pismo święte, jako jedyne znane im arcydzieło literatury powszechnej wywierało na umysły całej purytańskiej generacyi.

Niebawem spotyka wędrowców pierwsza z szeregu przygód, w których autor po mistrzowsku wypowiedział poszczególne fazy rozwoju religijnego człowieka. Oto grzęzną w »bagnie oparzystem«, które zwie się »Błoto Nieufności« *(The Hough of Despond)*, symbol, który przez Bunyana zyskał przysłowioną nieśmiertelność. Ta pierwsza trudność już odstrasza Łatwego, który wydostawszy się szczęśliwie z bagna, wraca do domu. Chrześcijanin pozostał sam »w tym błocie Nieufności, w którem tłukł się i starał z niego wybrnąć w stronę, nie ku Domowi swemu, ale ku bramie ciasney, lecz nic wskórać nie mógł, z przyczyny tego cięszkiego brzemienia«. Wydobywa go dopiero »człowiek, którego imię Pomoc« i objaśnia mu, jak król kazał w tem zepsutem miejscu już dawno sypać groblę, ale ta droga chwilami, a »pospolicie za odmianą czasu« zalaną jest przez nieczystości tej niewysychającej kałuży i niewidzialną oczom przechodniów. Trudno zaiste o symbolikę prostszą a bardziej znaczącą!

Następną znajomością Chrześcijanina jest Mędrzec Światowy *(Master Worldly Wiseman)*; ten pochodzi z miasta Polityki Światowej (a raczej Mądrości cielesnej — *Carnal Policy)*; przedstawia on Chrześcijaninowi trudności drogi wskazanej przez Ewangelistę i radzi, by udał się do miasteczka »Moralnego«; tam stary cnotliwy człowiek Zakon i jego syn Uczciwość świecka uwolnią go od brzemienia. Już tam Chrześcijanin idzie, gdy spotyka go ponownie Ewangelista i nawraca na drogę obowiązku. Niebawem

też dochodzi do zapowiedzianej »ciasnej bramy« (dosłownie »furtki w płocie« — *Wicket Gate)*: jest ona symbolem chrztu dorosłych po myśli sekty Bunyana. Otwiera mu ją mąż poważny zwany Dobra Wola i ten mu wskazuje ciasną drogę, którą iść musi. Na tej drodze pierwszym etapem jest Dom Tłumacza. Ten dom określić można jako muzem religijne: Tłumacz mianowicie, oprowadzając pielgrzyma po nim, ukazuje mu siedem różnych zjawisk, stanowiących doskonałe uzmysłowienia różnych kardynalnych pojęć religii; np. człowiek w żelaznej klatce wyobraża rozpacz, człowiek z drżeniem z łóżka po ciężkim śnie wstający, strach grzesznika, i t. p.

W dalszej swej podróży Chrześcijanin dochodzi do krzyża, pod którym brzemię grzechów spada z jego ramion; z rąk trzech Promienistych (czyli aniołów) otrzymuje szaty godowe w miejsce swej starej odzieży; kładą mu znak na czole i dają do rąk świadectwo na piśmie z pieczęcią, niejako legitymacyę zbawienia. Lekki i swobodny kroczy dalej. Napotyka teraz trzech ludzi śpiących snem głębokim, których napróżno usiłuje zbudzić: to Nieuważny, Leniwy i Lekkomyślny (a raczej »zuchwale ufny« — *Presumption)*. Następnie spotyka dwóch ludzi, którzy dostali się na tę wązką ścieżkę nie przez ciasną bramę, lecz przeleźli przez mur, który z obu stron wzdłuż ścieżki biegnie; ci ludzie zwą się Ścisły Zakonnik *(Formalist)* i Obłudnik *(Hypocrisy);* nie mają na sobie owych znaków, które Chrześcijanin pod krzyżem otrzymał; mimo to śmiało puszczają się w drogę. Trójka dochodzi do stóp wysokiego pagórka, zwanego Trudność; chrześcijanin idzie prosto w górę drogą stromą i męczącą; towarzysze jego natomiast obiegają łatwiejsze na pozór ścieżki na prawo i lewo: te ścieżki jednak, to droga Niebezpieczeństwa i droga Zatracenia, i obaj na nich marnie giną.

Chrześcijanin mimo strachu, jaki starają się w nim obudzić najbliżsi dwaj znajomi, Bojaźliwy i Nieufający, i mimo chwilowej zguby swego zapieczętowanego świadectwa, po które z samego szczytu musi się wracać do połowy góry, — dąży wytrwale naprzód aż staje w pałacu, którego nazwa »pełen Piękności«. Tu uprzejmie wita go odźwierny Czujny i gościnnie podejmują cztery dziewice

Ludzkość[1], Roztropność, Bojaźń Boża i Miłość. Pielgrzym opowiada im swoje przygody, a one jemu nawzajem prawią o dobroci i łagodności Pana tej krainy, pokazują mu jego genealogię i kroniki jego czynów. I ten dom, jak dom Tłumacza, jest muzeum osobliwości religijnych: jest tam różczka, którą Mojżesz wydobył wodę ze skały, ośla szczęka, którą Samson pobił Filistynów, proca, z której Dawid zabił Goliata i t. d. Z wieży tego pałacu pierwszy raz oczy pielgrzyma oglądają »Wdzięczne Pagórki« *(Delectable Mountains)* w Ziemi Emanuela, ku której zdąża.

Po kilku dniach gościny wyrusza Chrześcijanin w dalszą drogę, zaopatrzony z obfitych zasobów zbrojowni pałacowej w »zbroje doświadczone przeciwko najazdom, któreby go mogły spotkać w drodze«. Niebawem okazuje się ich potrzeba, bo oto w dolinie Pokory[2], do której teraz zstępuje, stoczyć musi walkę z potworem, którego imię Apollyon czyli Zatracający; »było to cudowisko straszne, Łuską przyodziany jako ryba; co wyznacza Pychę IEgo, Skrzydła miał Smoka Piekielnego, nogi Niedźwiedzie, z Brzucha iego występował Ogień i Dym, Paszczęka IEgo była podobna Lwiey». Po długiej i ciężkiej walce Chrześcijanin odnosi zwycięstwo. Teraz przejść mu przychodzi przez pełną strachów i ciemności »dolinę cienia śmierci« *(the Valley of the Shadow of Death)*, której już wielu się ulękło. I przez jej grozę i niebezpieczeństwa przechodzi szczęśliwie, a wyszedłszy, spotyka się z innym pielgrzymem ze swego miasta, który go wyprzedził w tej wyprawie, a któremu imię Wierny. Odtąd idą razem. Po drodze Wierny opowiada Chrześcijaninowi swoją historyę; jak w mieście Zatracenia uszedł sideł damy Rozkoszy, jak po drodze odmówił Pierwszemu Adamowi (t. j. starej złej naturze ludzkiej), który chciał go przyjąć w swą służbę; jak wreszcie sam Zbawiciel ocalił go z rąk Mojżesza, który bił go bezlitośnie za to, że odstąpił od jego zakonu. Przeszedł także Wierny przez dolinę Pokory

[1] Tutaj błąd w polskiem tłumaczeniu: w oryginale jest *discretion* — stateczność, rozwaga, rozsądek. W dalszym ustępie tłumacz, dostrzegłszy widocznie swój błąd, nazywa ją po prostu *dyszkrecyą*.

[2] W starem tłumaczeniu »Niskości«.

i tam spotykał się z Niezadowoleniem [1] i Wstydem, ale nie słuchał ich podszeptów.

W swej wspólnej dalszej wędrówce Chrześcijanin i Wierny niebawem spotykają nowego towarzysza, któremu imię »Chrześcijanin w Słowiech« (*Talkative* — dosłownie »Gadatliwy«): »wielkiego wzrostu i potężna osoba, ale barziey zdała zdaleka, aniżeli zbliska«. Wierny zrazu idzie na lep jego pięknych słów, ale Chrześcijanin, który zna go dobrze z miasta Zatracenia, ostrzega Wiernego, że jest to jeden z tych, co »mówią a nie czynią«, że jest »dyabłem w domu, a świętoszkiem na dworze«; to też Wierny, wdawszy się z nim w dysputę o tem, »iakim sposobem Dzieło Łaski obiawia się w Sercu Ludzkiem«, wkrótce dochodzi do przekonania, nigdy zgodzić się nie mogą, i na tem kończy się ta znajomość.

Po rozstaniu się z tym niepożądanym towarzyszem, spotykają się z dawnym przyjacielem Chrześcijanina, Ewangelistą, który zawsze się pojawia, gdy Chrześcijaninowi grozi jakieś szczególne niebezpieczeństwo. Takiem niebezpieczeństwem teraz jest pobyt we wielkiem mieście Marności (albo Próżności — *Vanity*), gdzie jak rok długi odbywa się »jarmark marności« (*Vanity Fair*) [2].

Ten Iarmark od niemałego czasu iest ustanowiony, barzo starodawny, i nie widzę, cobym osobliwego o nim miał pisać... Nayduią się tam towary różnego gatunku, a te są mianowicie: Domy, Ogrody, Dziedzictwa różne, Urzędy, Godności, Tytuły, Państwa, Królestwa, Infuły, Rozkoszy i różne Uciechy, Nierząd, Złość, Niewiasty, Młodzieńce, Dzieci, Panowie, Słudzy, Krew, Dusze, Złoto, Srebro, kamienie Drogie, i co nie miara inszych podobnych rzeczy. Uyrzysz tam ieszcze każdego czasu: Kuglarzów, Mataczów, Oszukaństwo, Widowiska, Tańce, Uciechy, Błaznów, Trefników, Małpy i insze rzeczy tym podobne; naydziesz tam także oszustów, Złodzieiów, Morderzów [3], Cudzołożników, Krzywoprzysiężców, a wszystkich w kolorze czerwonym wydatnym, a to wszystko

[1] W starem tłumaczeniu ta figura nazwana jest »Malkontent« wskutek złego zrozumienia angielskiego wyrazu *Discontent*.

[2] Według tego bunyanowskiego określenia nazwał w XIX wieku znakomity humorysta W. M. Thackeray jedną z największych swych powieści *Vanity Fair*, w której przedstawia ogólny ferment społeczny w Europie po wojnach napoleońskich.

[3] *z* zamiast *c*, bo w Królewcu drukowane!

bez naymnieyszego kosztu. A iako na Iarmarkach nie barzo sławnych różne są ulice, które swoie własne nazwiska maią i na których osobliwe się towary przedaią, toż samo widzieć można i na tym tu Iarmarku: tu masz ulicę Ańgelską, tam Francuską, tu Włoską, indziey Hiszpańską, Niemiecką; a na każdey z nich osobliwszą marność widzieć możesz.

Na tym jarmarku pojawienie się naszych pielgrzymów wskutek odmiennych szat i chananejskiego języka, jakim według autora mówią, obudza ogólne zdumienie, które zmienia się w oburzenie, gdy zbyt wyraźnie okazują pogardę dla towarów i ich handlarzy. Wszczyna się tumult, pielgrzymi dostają się przed sąd miejski jako burzyciele rzeczypospolitej; świadczą przeciw nim Zazdrość, Zabobon i Pochlebca, a na ławie przysięgłych siedzą: »Ślepy, Niedobrego, Kochaiący się w rozkoszach, Złość, Umarły żyiąc, Człowiek twardego karku, Pycha, Nienawiść, Kłamca, Okrucieństwo, Nieprzyjaciel światłości i Nieprzejednany«. To też gdy Wierny śmiało broni siebie i przyjaciela, a nawet odważa się powiedzieć, że »mistrz tego miasta ze wszystkim swoim poddaństwem i Iego naśladowcami, wiele Ich wyliczał sam, godnieyszemi są, aby byli strąceni na mieszkanie do piekła, aniżeli żeby mieli zostawać w tym mieście albo w tym kraju« — zapada na pielgrzymów wyrok śmierci, i Wierny ginie jako prawdziwa ofiara Inkwizycyi śmiercią w płomieniach na stosie, a po śmierci wóz ognisty jak proroka Eliasza unosi go prosto do nieba. Zaś Chrześcijanin szczęśliwie uchodzi z więzienia i wyrusza w dalszą drogę. Ma teraz nowego towarzysza, którego nazwa Ufający; jest to obywatel onego miasta Marności, nawrócony na widok bohaterstwa, z jakiem obaj pielgrzymi znosili tortury im zadawane. Najbliższą tych dwóch znajomością a zarazem jedną z najcharakterystyczniejszych kreacyi Bunyana jest człowiek o trudnem do przetłumaczenia nazwisku *By-ends;* charakter jego trafnie określa nazwa, jaką mu stary polski tłumacz nadaje według jednego z krewniaków, którymi się chwali, mianowici »Czasowi służący«; Chrześcijanin wnet sobie go przypomina jako »wierutnego niezbożnika« z dawna mu znanego, i rychło się rozstają. Ale ma ta znajomość jeszcze dalsze następstwa: *By-ends* mianowicie łączy się ze swymi przyjaciółmi Przyjacielem Świata, Miłującym Pie-

niądze i Skąpcem, z którymi niegdyś do szkół chodził »pod Rektorem nazywanym Zdzierca w mieście handlowym nazywaiącym się Miłość Zysku, w kraju Łakomstwie«; i ci wszyscy razem nachodzą pielgrzymów podstępnemi pytaniami, wnet jednak przez stanowcze i jasne odpowiedzi chrześcijanina zmuszeni są do milczenia i zostawiają pielgrzymów w spokoju. *By-ends* ginie marną śmiercią w kopalni srebra na stokach góry Zysku *(Lucre)*, zwabiony przez ducha opiekuńczego góry Demasa, którego pokusom Chrześcijanin zwycięski stawia opór. Ostrzeżeni raz jeszcze przeciw zbytniemu przywiązaniu do dóbr ziemskich przez widok słupa soli, w który zmieniła się żona Lota, wypoczywają wreszcie Chrześcijanin i Ufający po uciążliwej wędrówce nad brzegami pięknej rzeki, nazwanej wedle św. Jana Strumieniem wód życia. Wkrótce potem, gdy znowu kroczą dalej twardą i męczącą drogą, zwabia ich widok pięknej łąki i zdradzieckie namowy nowego znajomego, któremu imię Próżna Ufność, do zboczenia z drogi; przewodnik ich ginie, wpadając w rów głęboki, oni zaś sami dostają się w niewolę olbrzyma zwanego Rozpacz, na którego ziemię w nocy zbłąkawszy się weszli, i który ich więzi na swym zamku Wątpliwość. Po trzech dniach różnych udręczeń udaje im się uciec stamtąd zapomocą klucza, który Chrześcijanin ma w zanadrzu, a który zwie się Obietnica. Wydostawszy się znowu szczęśliwie na dobrą drogę, stawiają na niej słup kamienny z ostrzeżeniem dla przyszłych pielgrzymów.

Dochodzą wreszcie do Wdzięcznych Pagórków *(Delectable Mountains)*, widzianych niegdyś zdaleka. Zastają tu gościnnych pasterzy, którzy ich mile przyjmują i pokazują im różne dziwy, jako to górę Błędu, górę Przestrogi, bramę prowadzącą do piekła, oraz górę Oświecenia, z której pierwszy raz w oddali widzą wrota niebieskie.

W dalszej drodze najpierw spotykają się z Niewiadomym, który choć nie wszedł przez ciasną bramę i nie posiada świadectwa z pieczęcią, jednak ma nadzieję dostać się do miasta niebieskiego. Pozostawiwszy go za sobą, spotykają się następnie z człowiekiem zwanym Zbieg z miasta Apostazyi, prowadzonym przez siedem Duchów nieczystych. Jego widok przywodzi Chrześci-

janinowi na pamięć losy pewnego znajomego, zwanego Słaby w wierze, którego obrabowali trzej hultaje, Bojaźliwy, Nieufający i Winowajca. O tej historyi rozprawiając, spotykają się pielgrzymi z czarnym jak murzyn człowiekiem, któremu nazwa Pochlebca, i dają się przez niego uwieść na złą drogę, gdzie wpadają w sieci. Wyzwala ich mąż Promienisty, t. j. anioł Boży, i ten dopiero im przypomina, że od pasterzy na Wdzięcznych Wzgórkach otrzymali pisemną instrukcyę o drodze, którą iść mają; za to zapomnienie ćwiczy ich srogo dyscypliną, którą dzierży w ręku.

Tem pouczeni, gdy spotykają się z Ateistą i ten w nich chce wmówić, że miasto niebieskie wcale nie istnieje, nie dają mu wiary. Unikają też drugiego groźnego niebezpieczeństwa. Oto wchodzą teraz w kraj Omanienia, ziemię zaczarowaną, przed którą ostrzegali ich pasterze, i napada ich zdradziecka senność. By się jej oprzeć, spędzają czas na budujących rozmowach. W tych długich rozmowach, do których przyłącza się potem także podążający za nimi Niewiadomy, miał autor sposobność wypowiedzieć swe własne zapatrywania na rozliczne kwestye religijne; przewija się w nich wciąż ta jedna górująca nad całem dziełem Bunyana myśl teologiczna, że »przez samo czynienie według Zakonu, bez zbawczej łaski Bożej, nikt sprawiedliwym być nie może«.

Na takich rozmowach przeszedłszy szczęśliwie kraj zaczarowany, stają nareszcie w rozkosznej, mlekiem i miodem płynącej krainie Beulah, gdzie już aniołowie chodzą i Miasto Niebieskie widać opodal. Ale od tego miasta dzieli ich jeszcze głęboka rzeka, którą przebyć trzeba: ta rzeka, to symbol śmierci. Z trwogą i niepewnością w nią się zapuszczają; Chrześcijaninowi zdaje się, że tonie, lecz dodaje mu otuchy Ufający, który pierwszy dostaje gruntu. Na drugim brzegu witają ich dwa anioły i wiodąc w górę ku nadobłocznym wyżynom niebieskiego miasta, opisują jego świetność. Na spotkanie ich wychodzi wielki zastęp wojsk niebieskich i wiedzie ich w tryumfie ku bramie, gdzie oddawszy swe świadectwa, wchodzą do chwały wiekuistej, i z koronami złotemi na głowie i harfami złotemi w ręku stają się uczestnikami szczęścia rzesz anielskich, oglądających oblicze Boga.

Za pielgrzymami podążał Niewiadomy; łatwiej on od nich

przez graniczną rzekę się przedostał, bo dopomógł mu przewoźnik zwany Próżna Nadzieja; aliści znalazłszy się przed bramą, nie mógł jak tamci ukazać świadectwa z pieczęcią, i dlatego na rozkaz króla niebieskiego na samym progu niebios związany jest i wtrącony do piekła. Na tej potężnej manifestacyi fanatycznej niemal ufności purytańskiej w zbawienie wiernych, a potępienie niewiernych kończy się pierwsza część »Wędrówki Pielgrzyma«. We wierszowanym epilogu do niej sam autor stara się odwrócić uwagę czytelnika od tego, co dziś w naszych oczach główny wdzięk i urok jego dzieła stanowi, t. j. od zewnętrznych ornamentów poetyckiej wyobraźni, a zważać każe głównie na treść moralną. Zarazem zapowiada, że »może znów śnić będzie«; wiemy, że tę przepowiednię spełnił, i że w dziewięć lat po pierwszej napisał drugą część dzieła, opowiadającą o podróży żony i dziatwy chrześcijanina w ślad za ojcem rodziny. Ta druga część w przeciwieństwie do tylu innych nieudałych »dalszych ciągów« popularnych dzieł w literaturze światowej bynajmniej w artystycznej doskonałości obrazowania i opowiadania nie ustępuje pierwszej, owszem zawiera nawet kilka nowych, dodatkowych jeszcze rysów szczególnej piękności, a jako całość znakomicie pierwszej się przeciwstawia i niejako ją uzupełnia, tak że choć znacznie mniej czytana i tłumaczona[1], jest istotnym i równorzędnym składnikiem wielkiego dzieła.

Ta druga ma taksamo jak pierwsza, prolog wierszowany, który wymowne nam daje świadectwo, jak wielką popularność pierwsza przez dziewięć lat sobie zdobyła, a zarazem nakształt uwertury zapowiada wszystkie główne punkta następującego opowiadania.

W swej treści druga część, jak już powiedziałem, jest opisem podróży żony Chrześcijanina i jej czworga dzieci z miasta Zatracenia do miasta Niebieskiego tą samą drogą, którą przed niemi odbył ojciec rodziny. Nieuniknionem oczywiście jest, że niektóre przygody drogi Chrześcijanina tutaj się powtarzają; ale

[1] Stare polskie tłumaczenie, które cytowałem, tej drugiej części nie obejmuje.

właśnie odmienny zgoła sposób, w który przebywa te przejścia kobieta, przedstawiony jest z niepospolitym artyzmem i stanowi bodaj czy nie główny urok tej drugiej części jako *pendant* do pierwszej; oprócz tego zaś roi się scena od nowych zupełnie figur, zawsze głęboko psychologicznie pomyślanych i zawsze z owym niezrównanym bunyanowskim realizmem postawionych czytelnikowi przed oczy.

Autor we śnie spotyka się z obywatelem owego miasta Zatracenia, z którego Chrześcijanin wyszedł, i z ust tego obywatela — któremu na imię Bystrość *(Sagacity)* — dowiaduje się, jak wielką sławą okryta jest pamięć Chrześcijanina w jego rodzinnem mieście, i jak jego żona *Christiana* (Chrześcijanka), pod wpływem najpierw myśli pokutnych i snów przedstawiających jej męża w chwale wiecznej, a wreszcie na skutek bezpośredniego wezwania od Boga przez posłańca zwanego *Secret* (Tajemnica), wyrusza ze swymi czterema chłopczykami w drogę do krainy niebieskiej za małżonkiem. Odradzają jej tego gadatliwe sąsiadki, przedewszystkiem pani Bojaźliwska *(Mrs. Timorous);* bo doszły wszystkich wiadomości o niebezpieczeństwach, jakie Chrześcijanin w drodze swej miał do przebycia. Ale Chrystyana obstaje przy swym zamiarze, co jest przedmiotem ożywionej dyskusyi na sejmiku plotkarskim między paniami Nietoperzo-oką, Nierozważną, Lekkomyślną i Niewiadomską. Co więcej, udaje się Chrystyanie nawet namówić jednę z sąsiadek, by się z nią w podróż wybrała, i ta młoda dziewica *Mercy* (»Litość«) jest jej odtąd wierną i nieodstępną towarzyszką. Zaraz w pierwszej rozmowie między Chrystyaną a Mercy spotykamy się z bardzo szczęśliwym pomysłem autora; oto Mercy śpiewa pierwszą z całego szeregu uroczych krótkich piosenek, któremi jak perełkami przetkana jest ta cała druga część, odróżniając się w ten sposób, całkiem zgodnie ze swą treścią, przez charakter i nastrój bardziej liryczny, miękki, prawdziwie żeński, od stanowczego i energicznego rytmu pierwszej.

Chrystyana i Mercy przedostają się bez przypadku przez bagno Nieufności, w którem niegdyś ugrzązł Chrześcijanin, i pukają do tej samej co on »ciasnej bramy«. Tutaj przestrasza je

najpierw głośne szczekanie psa — jeden z owych czarownych drobnych rysów realistycznych, przyoblekających całość w kolory życia — ale potem wpuszcza strażnik najpierw Chrystyanę i jej dzieci, a potem za jej wstawieniem i Mercy, choć ta nie była wzywaną przez Boga. Usłyszawszy z ust Pana przydrożnego domu słowa przebaczenia i otuchy, wyruszają w drogę. Przechodzą najpierw obok ogrodu dyabelskiego, którego owoców dzieci mimo przestróg matki kosztują. Potem napada na bezbronne kobiety dwóch zbójów »o złych twarzach« *(two ill-favoured Ones)*, ale one broniąc się wołają o ratunek, a że nie oddaliły się jeszcze zbytnio od domu przydrożnego, przybiega ktoś stamtąd i ocala je.

Następnym etapem ich podróży, podobnie jak Chrześcijanina, jest Dom Tłumacza, gdzie oglądają te same dziwy co on, a oprócz tych jeszcze wiele innych nowych symbolów i obrazów. Spędziwszy noc pod tym gościnnym dachem, idą w dalszą drogę odświeżone kąpielą Uświęcenia, naznaczone pieczęcią Pańską i przyodziane w białe szaty. Nie idą już teraz bez opieki; bo Tłumacz przydał im dla bezpieczeństwa jednego ze swoich sług, zwanego Wielkie Serce, i ten jest odtąd ich obrońcą we wszelkich niebezpieczeństwach, a zarazem w potrzebie nauczycielem duchowym; zaraz na wstępie ma z niemi długą rozmowę o ulubionym bunyanowskim temacie »usprawiedliwienia« *(justifikation)* człowieka przez łaskę Bożą i odkupienie Chrystusowe. Owych trzech ludzi, których niegdyś Chrześcijanin zastał śpiących i nie mógł się dobudzić, Nieuważnego, Leniwego i Lekkomyślnego, widzą teraz powieszonych w łańcuchach — jak w dawnej Anglii zwykle wieszano zbrodniarzy — za karę, że namawiali pielgrzymów do zboczenia z drogi.

U stóp wzgórka Trudności piją ze źródła, z którego pokrzepił się niegdyś i Chrześcijanin, teraz jednak zmąconego umyślnie przez nieprzyjaciół pielgrzymów; widzą też owe boczne drogi w prawo i w lewo, na których zginęli towarzysze Chrześcijanina Ścisły Zakonnik i Obłudnik; drogi te zamknięte teraz silnemi zaporami, ale mimo to jeszcze uczęszczane przez nieszczęśliwych awanturników. W drodze napotykają tablicę z opisem

strasznej kary, jaka spotkała Bojaźliwego i Nieufającego za to, że usiłowali sprowadzić Chrześcijanina z drogi. Następne ich spotkanie z groźnym olbrzymem, którego imię Srogi *(Grim)*; tego Wielkie Serce zabija mieczem na miejscu, i między dwoma lwami przykutemi na łańcuchach wchodzą bezpiecznie do bramy pałacu »pełnego Piękności«; tu opuścić ich musi mimo usilnych próśb wierny obrońca Wielkie Serce, by wrócić do swego Pana. Tutaj owe cztery dziewice Roztropność, Rozwaga, Pobożność i Miłość, co niegdyś tak gościnnie przyjęły Chrześcijanina, podejmują je u siebie przeszło miesiąc. Do Mercy, która w radosnych przeczuciach już po nocach śni o czekającej ją chwale niebieskiej, zaczyna się tutaj zalecać jakiś młodzieniec, pan Prędki *(Mr. Brisk)*, opuszcza ją jednak, gdy się dowiaduje, z jaką hojnością ona rozdarowuje robotę rąk swych między ubogich. Pokazują się u dzieci skutki zakosztowania owoców w ogrodzie dyabelskim; najstarszy z chłopców zapada w chorobę, ale przywraca go do zdrowia lekarz Zręczność *(Mr. Skill)* przez pigułkę zrobioną *ex carne et sanguine Christi* (»z ciała i krwi Pańskiej«), uniwersalny środek, którego się zażywa popijając łzami pokuty. Podczas rekonwalescencyi jedna z Pań domu, która poprzednio egzaminowała dzieci Chrystyany z katechizmu z bardzo pochlebnym dla ich domowego wychowania wynikiem, poucza małego pacyenta o symbolicznem religijnem znaczeniu różnych zjawisk na niebie i ziemi — np.: »Jak chmury wilgoć swą czerpią z morza, tak kapłani naukę swą winni czerpać od Boga« i t. p.

Czas im wreszcie opuścić ten gościnny dom; zanim to jednak czynią, oglądają jeszcze niektóre osobliwości staro-testamentowe w rodzaju tych, co je Chrześcijanin widział w Domu Tłumacza, a więc jabłko Ewy, drabinę Jakóba, narzędzia używane przez Abrahama przy ofiarowaniu Izaaka; otrzymują w darze katalog tych wszystkich dziwów, a także złotą kotwicę dla ochrony w czasie burzy.

Gdy już wyjść mają, ku wielkiej ich radości zjawia się ponownie Wielkie Serce; od pana swego, Tłumacza, przynosi im trochę wina i owoców na drogę, i na jego rozkaz ma im i nadal towarzyszyć

W jego więc towarzystwie, żegnane śpiewem ptaków, które tu nucą pobożne piosenki, zstępują w dolinę Pokory. Ta nie wydaje się im jako niewiastom tak przykrem miejscem jak ich męskiemu poprzednikowi, lecz owszem krainą miłą i urodzajną, zamieszkałą przez ludzi szczęśliwych; jeden z nich, pasterz, właśnie śpiewa piękny hymn dziękczynny, na cześć Boga — cudną małą piosenkę o szczęściu pokory i zadowolenia. Wielkie Serce opowiada niewiastom, jak Bóg sam w tej dolinie w dawnych czasach miał swą umiłowaną letnią siedzibę — to znaczy: jak Chrystus miłował pokorę, gdy chodził po ziemi; — pokazuje im także niebezpieczną łąkę Zapomnienia; opodal zaś znajdują ślady walki Chrześcijanina z potworem Apollyonem i pomnik na jej pamiątkę wystawiony.

Przez straszliwą Dolinę Cienia Śmierci, co takiemi strachami dręczyła Chrześcijanina, przechodzą szczęśliwie w jasny dzień i bez trwogi: w czem zarazem mamy dowód technicznej zręczności autora, który w ten sposób unika nużącego powtarzania tej samej przygody w tej samej formie; spotykają wprawdzie straszydła, szatana i lwa, ale te znikają, gdy naciera na nich Wielkie Serce; — potem znowu otwiera im się przed oczyma padół jakiś i ciemność na nie zapada, ale przez modlitwę wnet odzyskują światło i pewny grunt pod nogami; na samym końcu doliny wreszcie, gdy już i sieci zdradnych szczęśliwie uszły, w które schwytał się przed niemi pewien pielgrzym zwany Nieuważny, spotykają się jeszcze z olbrzymem; ale i tego Wielkie Serce, któremu to nie pierwszyzna, po dłuższej walce kładzie trupem.

Następna ich znajomość, to stary pielgrzym Uczciwy z miasta Głupoty; znajdują go śpiącego przy drodze; w rozmowie z nim przypomina sobie Wielkie Serce, jakie miał niegdyś kłopoty z jego sąsiadem Trwożliwym, gdy go prowadził do bramy niebieskiej; ten mianowicie truchlał ze strachu na widok najmniejszej przeszkody; ale do celu przecież wreszcie się dostał, jako że z łaski Bożej woda w rzece śmierci na jego przejście bardzo nizko stała. Całe te przygody trwożliwego pielgrzyma opowiada Wielkie Serce z nieporównanym dobrodusznym humorem.

Potem znowu wspominają o innym, którego imię było Samo-

wola, a główna zasada ta, że wolno popadać w grzechy pielgrzymów, byle się także naśladowało ich cnoty; — i o kilku innych jemu podobnych.

Na noc gromadka pielgrzymów tym razem staje w gospodzie niejakiego Gajusa, bardzo godnego człowieka, który, jak się pokazuje, znał dobrze przodków Chrześcijanina, i o nich teraz szeroko Chrystyanie rozpowiada: byli to pierwsi święci i męczennicy Kościoła: Szczepan, Polikarp i inni.

Ten sam gospodarz, radząc Chrystyanie dać Mercy za żonę najstarszemu z synów, przy tej sposobności długo mówi o niewiastach i ich stanowisku wobec Boga i w społeczności ziemskiej. Ustęp to bardzo ciekawy, bo objawia nam zapatrywania samego autora. Otóż w przeciwieństwie do większości ludzi owego wieku, nawet Miltona, który i w »Raju utraconym« i w innych pismach wciąż dobitnie uwydatnia niższość kobiety, szczególnie pod względem intellektualnym, — Bunyan na podstawie samego Pisma świętego, jedynego źródła jego teoretycznej uczoności, wyżej myśli o godności kobiety i szczytności jej powołania społecznego. Tak jak nasz Krasiński w pamiętnym aforyzmie, tak i Bunyan ku obronie niewiast, »by usunąć od nich zbytnią wzgardę«, podnosi, że wprawdzie śmierć i kara Boża weszły do raju za sprawą niewiasty, aleć też przez niewiastę, Matkę Bożą, przyszło światu życie i zbawienie.

A gdy przyszedł Zbawiciel, niewiasty radowały się Nim wcześniej od mężów i aniołów. Nie czytam w Piśmie, by kiedy jaki mąż był dał Chrystusowi choćby grosz jeden; zaś niewiasty szły za Nim i pomoc Mu dawały ze swej chudoby [1].

. . . . . Niewiasty płakały, gdy szedł na ukrzyżowanie, one szły za ciałem Jego, gdy je zdjęto z krzyża, i one siedziały przy grobie, gdy Go pochowano; niewiasty też pierwsze go ujrzały po zmartwychwstaniu, i one pierwsze wieść o tem zaniosły uczniom Jego. Zaiste więc niewiasty wysoko stoją w oczach Bożych, i widać z tych przykładów, że współuczestniczkami są z nami w tej łasce, co daje życie wieczne.

Wieczerza pielgrzymów u Gajusa także porusza się w ramach allegoryi; każdej potrawie gospodarz umie nadać jakieś

[1] Ten szczegół z ewangelii św. Łukasza, rozdział 8, wiersz 2 i 3.

symboliczno-moralne znaczenie. Tak samo i w dalszej rozmowie ten Gajus, a raczej autor, okazuję przedziwną zdolność do ubierania najpoważniejszych prawd religijnych w formę żartobliwych zagadek i innych dyalektycznych igraszek. Nic też dziwnego, że pielgrzymom czas się nie dłuży, i bawią w tym gościnnym domu znowu blizko miesiąc.

Pewnego dnia na przechadzce z domu, Wielkie Serce, jak mu się to częściej zdarza, zabija olbrzyma i wyzwala z jego rąk pielgrzyma nazwiskiem Słaby-Duch. Ten Słaby-Duch, to siostrzeniec znanego nam już Trwożliwego; podobne też były jego przygody, i podobnych potrzebował ułatwień, by wytrwać w drodze. Jemu przeciwstawia autor towarzysza pod nazwą Niesprawiedliwy *(Not-right)*, który wprawdzie sam bez pomocy uszedł rąk olbrzyma, ale ginie później zabity gromem kary Bożej.

Nareszcie, ożeniwszy jednego ze swych synów z córką Gajusa, Chrystyana ze swą gromadką wyrusza w dalszą drogę; przyłączył się teraz do nich Słaby-Duch i jeszcze jeden towarzysz, który jednak postępuje w pewnem oddaleniu: nazwisko jego »Gotów-utykać« *(Ready-to-halt)*. Wielkie Serce i Uczciwy idą naprzód, rozmawiając o przygodach Chrześcijanina, i tak mała gromadka zachodzi wreszcie do dobrze nam znanego miasta Marności. Wielkie Serce ma tutaj znajomego, u którego nocują, i z którego córkami żeni się dwóch synów Chrystyany. W tym domu, gdzie znowu bawią dłużej, spotykają się pielgrzymi z bardzo nielicznem towarzystwem dobrych ludzi, jakie znaleźć można w mieście Marności. Imiona ich: Skruszony, Świątobliwy, Uświęcon miłością, Nieśmiejący kłamać i Pokutnik. Ci pomagają Wielkiemu Sercu w bohaterskiem przedsięwzięciu, jakiem on zapisuje się w dziejach miasta; uwalnia je mianowicie od potwora leśnego, porywającego dzieci.

Przeszedłszy gładko kilka dalszych etapów drogi Chrześcijanina, dochodzi kompania pielgrzymia do miejsca, skąd Chrześcijanin i Ufający kiedyś zabłądzili do zamku olbrzyma Rozpaczy. Wielkie Serce, nigdy nienasycony przygodami, wyrusza z czterema Synami Chrystyany przeciwko olbrzymowi, zabija go i wybawia z niewoli pielgrzyma Zniechęcenie *(Despondency)* i jego

córkę Zatrwożoną *(Much-afroid);* wystawiwszy pomnik na pamiątkę tego czynu, gromadka pielgrzymów, znowu o dwie głowy wzmocniona, dochodzi do Wdzięcznych Wzgórków, gdzie jak niegdyś Chrześcijanina, przyjmują ich gościnnie pasterze i pokazują im różne allegoryczne dziwy, np. górę Niewinności, zamieszkałą przez człowieka, którego dwóch innych, Przesąd i Zła Wola, wciąż obrzuca błotem; Syzyfowe prace Głupoty i Nierozsądku, usiłujących obmyć etyopskiego murzyna na biało i t. p. — Na pożegnanie pasterze obficie ich obdarzają; Mercy otrzymuje cudowne zwierciadło, w którem, gdy się je obróci, widać twarz samego Księcia Pielgrzymów. Autor na brzegu notuje: »Było to słowo Boże«.

Następną znajomością pielgrzymów i przybytkiem do ich gromadki jest mąż nazwiskiem »Dzielny w służbie prawdy« *(Valiant-for-Truth);* zastają go broniącego się przeciw napaści trzech wrogów, którym imię Zawrócona Głowa, Nierozważny i Intrygant *(Wild-Head, Inconsiderate, Pragmatick);* uwolniony od nich, opowiada po drodze Wielkiemu Sercu historyę swojego pielgrzymstwa; pochodzi z krainy zwanej Ziemia Ciemna, a wybrał się w drogę wbrew woli własnego ojca i matki, za namową Prawdomownego, który przyszedł do niego jako misyonarz z grodu niebieskiego. Kończy swe opowiadanie piękną piosenką o prawdziwej dzielności chrześcijańskiej.

Wchodzą teraz pielgrzymi w ów kraj Omamienia, gdzie senność napada każdego przechodnia. Ciężki to bardzo kawałek ich drogi. Ostatkami sił słabe niewiasty i dzieci walczą z przygniatającem zmęczeniem, a tu iść trzeba po ziemi grzązkiej, bagnistej, splątanymi krzakami porosłej; raz zapada na nich nagle ciemność, potem znowu gubią drogę; na szczęście dzielny ich przewodnik ma ze sobą latarnię oraz mapę wszystkich dróg do miasta niebieskiego prowadzących. Znajdują też po drodze dwóch pielgrzymów, którzy nie mogli się oprzeć czarowi i zapadali w głęboki sen; nazwiska ich Nieprzezorny i Nazbyt Śmiały; napróżno usiłują ich obudzić. Na samym końcu krainy omamienia zaś spotykają się z pielgrzymem dobrze już znanym jednemu z kompanii; imię jego Wytrwały *(Standfast);* właśnie oparł się szczęśliwie

pokusom pięknej czarownicy Ułudy (*Madam Bubble* — »Bańka mydlana«), która jest oczywiście symbolem ważnych ponęt tego świata. Wytrwały przyłącza się do towarzystwa, i razem wchodzą nareszcie do błogosławionej krainy Benlah, gdzie po tylu trudach długiej wędrówki znajdują wypoczynek i orzeźwienie.

Podczas gdy tam bawią, przychodzi posłaniec z miasta Niebieskiego z wezwaniem do Chrystyany od króla: ma się stawić przed Jego obliczem, przyodziana w szaty Nieśmiertelności, w przeciągu dziesięciu dni. Żegna się więc z dziećmi i z towarzyszami swej wędrówki, i wstępuje w rzekę śmierci. Na drugim brzegu czeka na nią orszak wysłanników niebieskich, i ci prowadzą ją w tryumfie do wrót wiekuistego miasta, tak jak niegdyś prowadzili Chrześcijanina.

Po Chrystyanie przychodzi kolej z rzędu na innych pielgrzymów. Najpierw otrzymuje wezwanie jeden ze słabszej braci, »Gotów-utykać«; oddaje synowi w spuściznie kule, o których przeszedł przez życie, i wyrusza z radosnemi słowy: »Witaj mi, życie!« Po nim z kolei inni: Słaby Duch, Zniechęcenie i jego córka Zatrwożona; wszyscy pełni dobrej otuchy, pozostawiają poza sobą swe słabości i obawy. Staruszek Uczciwy jednak bierze ze sobą swą uczciwość, to najwyższe dobro, jakie posiadał; w chwili, gdy ma przechodzić, fale rzeki groźnie się wznoszą, ale z drugiego brzegu podaje mu rękę i pomaga przejść wierny przyjaciel Dobre Sumienie, który już za życia przyrzekł mu tę pomoc. Po nim idzie »Dzielny w służbie prawdy«, pozostawiając do użytku towarzyszów swój miecz, swą odwagę i sprawność. Witają go tryumfalne fanfary surm anielskich. Wytrwały, nim idzie w ostatnią drogę, daje Wielkiemu Sercu różne zlecenia dla żony swej i dziatek: »niewiele posłać mogę rodzinie mojej prócz modlitw mych i łez; ale o tych niech wiedzą, a one może poruszą ich serca«, i pójdą w ślad za nim w tę długą wędrówkę, tak jak Chrystyana z dziatwą poszła za mężem i panem swoim.

Już te zlecenia Wytrwałego stanowią niejako ogólny epilog: pożegnanie chrześcijańskiego pielgrzyma z tymi, co mu byli najbliżsi i najdrożsi na tym ziemskim świecie. Ale drugi jeszcze i wznioślejszy epilog wkłada autor w usta tego wiernego wy-

znawcy w chwili, gdy stojąc już w pośrodku rzeki, raz jeszcze obraca się do pozostałych towarzyszów wędrówki swojej. Oto co mówi do nich:

Rzeka ta była postrachem dla wielu; mnie samego nieraz przerażała myśl o niej; ale teraz zdaje mi się, że stoję swobodnie i opiera się noga na gruncie mocnym, jak opierały się stopy kapłanów niosących Arkę Przymierza, gdy naród izraelski przez Jordan przechodził. Gorzkie zaiste i zimne dla smaku są wody tej rzeki, ale myśl o tem, dokąd idę i jakie mnie czeka powitanie, jako węgiel rozżarzony rozgrzewa serce moje.

Widzę się u celu mej wędrówki; skończone są dni trudu mego. Ujrzę Głowę, która cierniem ukoronowaną była, Twarz, w którą plwano za winy moje.

Żyłem dawniej wieścią i wiarą; ale teraz idę gdzie żyć będę widokiem, i będę w obecności Tego, w którym radość moja.

Miłowało ucho moje wieści o Panu, a gdzie widziałem ślad stopy Jego na ziemi, tam i ja stąpać pragnąłem.

Imię Jego było dla mnie jako skarbiec zapachów, wonniejsze od wszystkich pachnideł. Głos Jego słodki był dla mnie; oblicze Jego bardziej pragnąłem oglądać, niż ci co tęsknią za światłem słonecznem. Słowa Jego jak pokarm zbierałem; pokrzepieniem mi były w omdleniach moich. On-ci wsparł mnie, i powstrzymałem się od nieprawości; On wzmocnił kroki moje na drodze przykazanej.

Jakby sam autor odczuwał, że na tak potężnym akordzie zakończyć dzieło wypada, dodaje już tylko krótką wzmiankę o tryumfalnem przyjęciu grona pielgrzymów u wrót niebieskich, i coś jakby niewyraźną obietnicę — nigdy zresztą niezisziczoną — jakiejś części trzeciej, opowiadającej losy synów Chrystyany. Ale snać widział, że co ukończył zamknięte jest i doskonałe w sobie, nie dodał więc nic więcej, i odtąd każdy czytelnik pod bezpośredniem i niezatartem wrażeniem przytoczonych właśnie słów wiary i ufności w Boga żegna się z opowieścią o ziemskich wędrówkach pielgrzymów.

Szkielet treści, jaki podałem, nie może oczywiście dać pojęcia o niezrównanej barwie i płynności tego czarownego opowiadania, o artystycznej plastyce, z jaką, czerpiąc z wielorakich doświadczeń ruchliwego życia, autor coraz nowe typy stawia nam przed oczy. Ta galerya bunyanowskich kreacyi, to nie mdłe allegoryczne symbole z przylepionemi etykietami nazwisk; to nie-

śmiertelne rzeczywistości, które zawsze jak żywe do nas żywych przemawiać, jak żywe w naszych oczach działać i poruszać się będą. Twórcza wyobraźnia Bunyana, jak słusznie powiedział sławny historyk Macaulay, z martwych uosobień zrobiła żywych ludzi. Zaś dokonanie tego czynu tembardziej godnem jest podziwu, że zdawaćby się mogło, iż ze schyłkiem wieków średnich wygasła żywotna siła allegorycznych form w literaturze. W pełni średniowiecza, gdy jako wzór wszelkiej poezyi górował nad umysłami allegoryczny starofrancuski romans o Róży, i gdy nieśmiertelne dzieło Dantego genialną swą potęgą wlało życie w cały świat symbolistyki religijnej, mogli wielcy poeci jak angielski Chaucer lub później jeszcze szkocki Dumbar odzywać się w poematach allegoryjnych do licznego grona słuchaczy chętnych i pojętnych. Jeszcze w dobie Odrodzenia, rozmiłowanego w swobodnej grze wyobraźni, mógł genialny Edmund Spenser stać się zachwytem wieku, dla którego stworzył cały wielki i bogaty świat allegoryi w swej romantycznej epopei *Faerie Queene* (»Królowa Wieszczek«). Ale wśród twardych rzeczywistości XVII wieku, wśród wichrów i zaburzeń nieustannej wojny domowej i wśród rozgłośnych, przewlekłych swarów dogmatycznych przeróżnych sekt i teologów, postawić przed narodem opowieść allegoryczną, która krystalizuje po wszystkie czasy w sposób jasny i prosty myślenie religijne całego narodu, której postacie i wypadki dziś jeszcze z tą samą siłą żywotną przemawiają do wyobraźni, co przed półtrzecia blizko wiekiem, która, jak pięknie powiedział Macaulay, w czarodziejski iście sposób zdobywa sobie zawsze zarówno uwielbienie najwybredniejszych krytyków, jak i miłość tych, co są za prości, by ją umiejętnie podziwiać: to mogło być tylko dziełem jednego z największych geniuszów w historyi literatury narodowej i takim zaiste okazał się i wciąż się jeszcze okazuje druciarz z Elstow.

Dr. Roman Dybowski.

GENEZA KULTU RELIKWII ŚW.

(Dokończenie).

Jedną tu tylko mamy odpowiedź. Podstawą kultu Świętych jest wielki, w nich urzeczywistniony, ideał etyczny. Chrześcijański kult Świętych, to kult cnoty, kult piękna etycznego. Życie Świętych, to jakby żywe obrazy i wzór wielkiej cnoty i prawości [1]. Groby męczenników, to wieczne pomniki cnoty [2]. Ciała męczenników dlatego godne w oczach chrześcijaństwa wielkiej czci, bo w nich przez tyle lat przebywały dusze święte i czyste [3], bo opromienia je łaska Boża, która za życia je zdobiła [4].

Szczytem owej, podziwianej w męczennikach, etycznej doskonałości — to miłość niezwykła Boga-Chrystusa. I oto zasadniczy motyw kultu Świętych i ich relikwii w chrześcijaństwie, oto klucz zarazem, jakim chrześcijaństwo rozwiązało kwestyę stosunku czci swych bohaterów do czci Boga, bez najmniejszego uszczerbku dla idei monoteistycznej. Kult Świętych był tylko jednym z harmonijnie powiązanych tonów wielkiego hymnu na cześć jedynego Boga. Chrystus bowiem i w kulcie Świętych był właściwym przedmiotem czci, bo ciałom Świętych oddawało się cześć przedewszystkiem dlatego, że one dla Chrystusa cierpiały. Tak pięknie podnosi tę myśl już opis męczeństwa św. Polykarpa. »Męczenników —

[1] Cyrill. al.: *Contra Iulian.* VI, M. P. gr. 76, 812.
[2] Chryzostom: *In Iulian. M. n. 4,* M. P. gr. 50, 672.
[3] Cyrill. hierosol. *Catech. 18 c. 16,* M. P. gr. 33, 1038.
[4] Basilius: *Hom. in Ps. 115 n. 4,* M. P. gr. 30, 111.

czytamy w nich — słusznie czcimy dla niezwykłej ich względem króla i mistrza swego hojności« [1]. Później również ten motyw występuje zawsze na pierwszy plan. »Otaczajmy czcią prochy umęczonych ciał dla ich miłości ku Bogu« — wzywa św. Izydor Peluzyota [2]. »Godne są czci ciała męczenników, — mówi św. Chryzostom — ponieważ cierpiały plagi dla Pana i rany za Chrystusa poniosły« [3]. Pomijamy inne świadectwa, bo trzebaby nam było cytować niemal wszystkie homilie Ojców, głoszone na cześć męczenników. Jakże zatem niesłusznie się mówi, że kult chrześcijański Świętych i ich relikwii rozwinął się kosztem kultu jednego Boga. A nie myślmy, że taki pogląd na kult Świętych był tylko właściwością umysłów więcej wykształconych, podczas gdy mniej oświecone rzesze wiernych czciły Świętych jako bogów. Prawda, tak często, bo niemal codziennie w uroczystości męczenników głoszona, musiała z natury rzeczy być jednym z najbardziej zrozumiałych i popularnych dogmatów wśród najszerszych kół wiernych. Nie należy przytem zapominać, że wysokie wcale wykształcenie teologiczne nawet u ogółu mniej wykształconego jest cechą charakterystyczną omawianego przez nas okresu.

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, oczywistem też jest, jak również niesłusznem i niehistorycznem jest twierdzenie: *Immer ist die Intercessionsfähigkeit der Heiligen der Grund, warum ihnen Ehre und Anrufung gebührt* [4]. Motyw ten wprawdzie już w tych czasach odgrywał także wielką rolę w kulcie relikwii męczenników, ale nie pierwszorzędną. Wielka cześć dla Chrystusa, właściwa tym czasom, była bezsprzecznie pierwszorzędnym motywem kultu ciał, za Chrystusa zranionych i umęczonych.

Dla dokładnego skreślenia zasadniczych różnic między pogańskim i chrześcijańskim kultem wypada nam jeszcze słów kilka powiedzieć o etycznym wpływie kultu męczenników i ich relikwii na wiernych. Podczas gdy w pogańskim kulcie tego momentu

[1] *Martyrium s. Polycarpi* c. XVII.
[2] *Ep. I, 55,* Migne 78, 218.
[3] *Hom. I in Maccab.* M. P. gr. 50, 618.
[4] Harnack: *Dogmengeschichte,* II, 446; III, 246.

wcale nie było, to w chrześcijańskim uważano go zawsze za niezbędny. Grób męczennika i ześrodkowywujący się koło niego kult jego miał być dla chrześcijan szkołą cnót. Już naoczni świadkowie śmierci św. Polykarpa († 155) składają ciało męczennika w takiem miejscu, gdzieby chrześcijanie mogli się gromadzić w celu oddania czci męczennikom, razem ze św. Polykarpem poległym, jakoteż w celu zachęcenia się i przygotowania do zniesienia tego samego, co oni przecierpieli [1]. Kiedy minęły czasy prześladowania, chrześcijanin miał patrzeć na groby męczenników jak na wzory, na których trzeba życie swe kształcić. Groby męczenników należało uważać jakby za słupy, zapisane głoskami, wskazujące drogę do pobożności [2]. Męczennicy, to mistrze życia i oskarżyciele grzechu [3]. Św. Chryzostom nie mniejszą moc pobudzenia do naśladowania przypisuje grobom męczenników, jak żywemu słowu nauki i kazania [4]. Naśladownictwo zatem męczenników w życiu świętem i nieskazitelnem jest koniecznym obowiązkiem chrześcijan, jeżeli się nie chce napróżno obchodzić uroczystości męczenników [5]. »Naśladujmy męczenników, jeżeli chcemy, by nam korzyść przyniosły obchodzone przez nas uroczystości ich« [6], oto nieustannie powtarzana odezwa do wiernych w czasie świąt męczenników. Stąd też wstąpienie do krypty męczennika budziło nierzadko w wiernych refleksyę nad stanem swej duszy, wyrywało z serc ich gorącą modlitwę o pomoc w walce z grzechem i t. d. Oto np. przy grobie św. Hippolita wyrył jakiś chrześcijanin tę szczerą a rzewną prośbę:

IPPOLITE IN MENTE [habe]
PETRV[m] PECCATORE[m]

Św. Hippolicie, pamiętaj o Piotrze, grzeszniku [7].

A jakże pięknie brzmi napis z kaplicy św. Kalliksta:

---

[1] *Martyrium s. Polycarpi* c. XVIII.
[2] Asterius: *Hom. IX in S. Phocam.* M. P. gr. 40, 301.
[3] Asterius: *Hom. X in SS. Martyres,* M. P. gr. 40, 316.
[4] *Liber de S. Babyla, contra Iulian. et Gent.*, M. P. gr. 50, 551.
[5] August.: *Sermo 302 c. I,* M. P. l. 38, 1385.
[6] August.: *Sermo 302 c. X,* col. 1389.
[7] Cabrol: *Dictionnaire d'archeol. chrét, et de liturg.* I, 246.

PRaESTES IN ORATIOnIbuS
TVIS VT POSSIT |DOMINVS| AMAR-
TIAS MEAS INDVLGERE

Spraw modlitwami twemi, aby mi Bóg me grzechy odpuścił [1].

Przeprowadziliśmy już porównanie zasadniczych rysów obydwu kultów relikwii, w których przejawia się ich natura i istota. Wyciągnijmy teraz z tego porównania kilka wniosków.

Są to więc zupełnie różne co do wewnętrznej swej natury kulty. Kult heroów opiera się na ich właściwościach fizycznych, kult zaś Świętych opiera się na ich zaletach etycznych. Działalność heroów ogranicza się tylko do sfery czysto fizycznej pomocy, podczas gdy działalność Świętych ma olbrzymie znaczenie także w dziedzinie życia etycznego. Heroowie działają w przekonaniach pogan, jako potęgi niezawisłe, Święci natomiast tylko zależnie od Boga, jako jego słudzy. Kult zatem Świętych i ich relikwii jest oczywistem przeciwieństwem do kultu relikwii heroów, jest zaprzeczeniem na całej linii wszystkich podstawowych pojęć pogańskich o kulcie heroów. Nie może tu więc być mowy o wzajemnej zależności obydwu kultów, nawet w tym wypadku, kiedyby kult relikwii heroów istniał w całej pełni jeszcze w erze chrześcijaństwa. Twierdzenie, jakoby kult relikwii był dzieckiem nawracających się w IV w. pogan, zatrzymujących i w chrześcijaństwie wielką część swej duszy pogańskiej, miałoby tylko wtedy jakieś znaczenie, gdyby kult relikwii Świętych istotnie powstał był i rozwijał się na zasadach pogańskich. Niebawem kult relikwii Świętych zrywa na każdym punkcie z temi zasadami. Nawracający się poganin, chcąc pokochać ów kult, musiał wprzód wykorzenić z siebie swe dawne pojęcia o kulcie heroów, a stworzyć w swej duszy świat inny. Wewnętrzne, przez nas naszkicowane, różnice tych dwu kultów zbyt je od siebie oddalają, by można poważnie mówić o ich pokrewieństwie i ścisłej zależności. Kult relikwii Świętych powstał i rozwinął się na zasadach rdzennie chrześcijańskich, bez najmniejszego uszczerbku dla czystych, pierwotnych dogmatów Ko-

[1] Wilpert: *Ein Cyclus christolog. Gemälde aus der Katakombe der heiligen Petrus u. Marcelinus,* str. 43 [1891].

ścioła. Że zaś w obydwu tych kultach zachodzą pewne zewnętrzne podobieństwa (kult grobów, składanie ofiar, modlitwy), to dzięki temu, że i chrześcijanin był człowiekiem, że chrześcijaństwo, zrywając z pogaństwem, nie zrywało bynajmniej z uczuciami ogólnoludzkiemi. Nie zapominajmy atoli, że kwestyi zależności dwu jakichś kultów nie rozstrzyga się pierwszorzędnie z analogii zewnętrznych znaków i form, używanych w obydwu kultach, bo te formy mogą się powtarzać w kultach, najbardziej od siebie niezależnych, lecz przedewszystkiem z wzajemnej zależności podstaw teologicznych, czyli motywów obydwu kultów.

Ostatnią uwagę uczyniliśmy jedynie ze względów metodycznych; w naszym przedmiocie była ona właściwie niepotrzebna, bo pogaństwo z czasów pierwszego rozkwitu kultu relikwii wykreśliło kult zwłok i szczątek z zakresu form kultu. Chrześcijaństwo powołało na nowo do życia tę, tak zgodną z naturą ludzką, formę kultu.

Pogański kult zmarłych a chrześcijański kult relikwii.

Zdaje nam się, żeśmy wykazali niemożliwość wyprowadzenia kultu relikwii św. z pogańskiego kultu heroów. Przypatrzmy się teraz innej hypotezie, postawionej przez przeciwników naszych w celu wykazania zależności chrześcijańskiego kultu relikwii od podobnych zwyczajów pogańskich. Kult relikwii, według tej hypotezy, powstał z pogańskiego kultu zmarłych. Niektórzy uczeni wygłaszają to zdanie wprost w tej formie [1]. Lucius zaś sformułował je w ten sposób. Chrześcijański kult Świętych powstał z chrześcijańskiego kultu zmarłych, rozwiniętego pod silnym wpływem pogańskiego kultu zmarłych [2].

Roztrząśnijmy to twierdzenie szczegółowo i dokładnie. Pomijamy na razie ten wzgląd, że u chrześcijan nie istniał kult

---

[1] »Le culte des saints naquit au confluent de ces deux courants de dévotions païennes: culte des morts et culte des héros. Le premier s'est tout particulièrement prolongé dans le culte des martyrs de Rome et d'Occident«. Saintyves: *Les Saints successeurs des dieux,* str. 93. — »Aus dem heidnischen Totenkult ward der christliche Märtyrerkult«. Bonwetsch (w wydanej przez Hauck'a): *Realencyklopädie für protestantische Theologie und Kirche,* wyd. III, tom VII, str. 555.

[2] *Anfänge der Heiligenkults,* str. 34.

zmarłych; był tylko wysoce rozwinięty pietyzm dla zmarłych. Przyjmijmy jednak tymczasem to wyrażenie dla większej jasności naszych wywodów o stosunku chrześcijańskiego do pogańskiego kultu zmarłych.

Jeżeli w jakim punkcie, to przedewszystkiem w swym kulcie zmarłych chrześcijaństwo zerwało z pogaństwem. Jakżeż odmiennie przedstawia się nam cały chrześcijański świat cmentarny! Chrześcijanin nie pali zwłok nieboszczyków, jak się to działo powszechnie w pogaństwie aż do czasu, kiedy i ono zaczęło ulegać pod tym względem wpływom nowej religii. Był to pierwszy krok, postawiony przez chrześcijanina nie za wzorem jakichś współczesnych przykładów, ale samodzielnie, dzięki zaszczepionym w jego duszy przez nową religię wierzeniom. Zamiast urny z popiołami spotykamy na cmentarzach chrześcijańskich grobowce ze starannie uwiniętemi zwłokami.

A napisy, ozdoby nagrobne — to znów wieczyste dowody, że nad cmentarzem chrześcijańskim unosił się inny zupełnie duch, jak nad pogańskim. Świat idei, myśli, pragnień, westchnień, wyryty na tych głazach kamiennych — to jakby książka, pisana w obcym i niezrozumiałym pogaństwu języku. Oto wynik studyów sumiennego badacza obydwu cmentarzy: »Pominąwszy zewnętrzną, w przeważnej części obojętną formę, w jaką każdy naród przyobleka pewne pojęcia, nie odziedziczyły nic ze starożytności pogańskiej chrześcijańskie pomniki życia pozagrobowego«[1]. Chrześcijańska nagrobkowa teologia, to teologia samodzielna bez najmniejszej domieszki pojęć grecko-rzymskich. A jeżeli godzimy się na to wszyscy, że istotną podstawą wszelkiej czci zmarłych są idee eschatologiczne, czyli poglądy na życie pozagrobowe, to jakżeż można mówić o istnieniu pogańskiego kultu zmarłych u chrześcijan.

Ale mówi się nam: podobnie jak pogaństwo, tak i chrześcijaństwo ma swoje uczty przy grobach zmarłych w trzeci, dziewiąty i 30 dzień po śmierci[2], słowem ma swoje *silicernia* i *pa-*

[1] K. M. Kaufmann: *Die sepulcralen Jenseitsdenkmäler der Antike und des Urchristentums*, str. 219 [1900].

[2] Lucius: l. c. str. 26.

rentalia[1]. Nie przeczymy, że chrześcijaństwo zachowało wiele dawnych zwyczajów grecko-rzymskich, ale musimy zarazem wyrazić wielki podziw dla Kościoła, pod którego ręką zwyczaje, najbardziej pogańskie a zakorzenione wiekową tradycyą przeobrażają się we wzniosłe, czysto chrześcijańskie zwyczaje. Miało wprawdzie i chrześcijaństwo swe skromne agapy przy grobach zmarłych, ale nie były one pogańskiem *silicernium*. Podczas gdy uczty pogańskie były ofiarą, składaną duszom zmarłych jako bogom, chrześcijańskie agapy były jałmużną, podawaną ubogim, by modlitwą swą pomagali duszom zmarłych. Niezliczone świadectwa literatury chrześcijańskiej przekonywują nas niezbicie o tym charakterze uczt pogrzebowych[2]. W ten sam sposób przeobraziło chrześcijaństwo pogańskie *parentalia*. Było to święto, poświęcone wszystkim zmarłym rodziny, w którem składano również liczne ofiary wszystkim duszom zmarłym. Trwało od 13—21 lutego, a kończyło się wielką ucztą rodzinną w dniu następnym, zwaną *Caristia* lub *Cara cognatio*[3]. Prawdopodobnie na 22 lutego przypadał także w chrześcijaństwie pewnego rodzaju dzień zaduszny, podobny do dzisiejszego, a pochodzącego z w. X. Kościół modlił się w tym dniu za wszystkich zmarłych, nie składał im jednak ofiar, jak to miało miejsce w pogaństwie, a uczta, urządzana w tym dniu, była również jałmużną ubogich[4].

Widzimy zatem, że cały chrześcijański kult zmarłych przedstawia się nam, w swych zasadniczych punktach, nie jako ślepe naśladownictwo kultu zmarłych u pogan, lecz jako wynik świadomie podjętej walki z pogaństwem. Chrześcijaństwo odrzuciło tu wszystko, co było specyficznie pogańskiem, a przejęło tylko to, co się jego zasadom nie sprzeciwiało, lub dało się przez odpowiednią przemianę do nich dostroić. Stąd np. u chrześcijan niema nawet śladu, jakichś walk gladyatorów w czasie uroczystości pogrzebowych, które w oczach pogan były również ofiarami, skła-

---

[1] Saintyves: l. c. str. 65. 79 sq.

[2] Kraus: *Realencyklopädie der christl. Altertümer*, t. II, str. 883; Willpert: *Die Malereien der Katakomben Roms*, t. I, str. 510.

[3] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer*, str. 187.

[4] Kraus: *Realencyklopädie*, t. II, str. 884.

danemi duszom zmarłych [1]. Ślady wielkiej dążności do wyodrębnienia swego kultu zmarłych od pogańskiego nawet w szczegółach nie specyficznie pogańskich ale drugorzędnych i obojętnych spotykamy u pierwszych chrześcijan bardzo często. Stąd np. św. Cypryan poleca [2] zaniechanie zwyczaju przywdziewania czarnych szat na znak żałoby, lub boleści; stąd też chrześcijanie, w przeciwieństwie do pogan, nie zdobili wieńcami zmarłych i ich grobów, jak to im wyrzucali sami poganie [3]. Bardzo charakterystyczną pod tym względem jest też troska chrześcijan, by nie być pogrzebanym wśród grobów pogan. Dlatego nierzadko chrześcijanie odprzedawali swe prawa do grobów, jeżeli znajdywały się na terenie pogańskim. Tak np. dowiadujemy się z napisu pewnego, że niejaki Iucundus, stawszy się chrześcijaninem, odprzedał t. zw. *ius ollarum* Faustusowi, niewolnikowi małżonki Druzusa, Antonii. Przytaczamy tu dwa odnośne wiersze tego napisu [4]:

FAVSTVS · ANTONIAE · DRVSI · IVS
EMIT · IVCVNDI · CHRESTIANI · OLL

Naturę tego zwyczaju tłumaczy nam Tertullian, ostrzegając niewiasty chrześcijańskie przed zawieraniem związków małżeńskich z poganami, by po swej śmierci nie były zmuszone spoczywać wśród grobów pogańskich i doznawać oznak czci, jakie świadczy pogaństwo swym larom [5]. W tym samym celu jakiś chrześcijanin ryje na grobie swej córki, pogrzebanej wśród pogan napis z nakazem, jako wolą zmarłej, by nikt nie odprawiał nad jej grobem obrzędów pogańskich [6].

Zdaje się nam zatem, że zupełnie nieprawdziwem historycznie jest twierdzenie, jakoby chrześcijaństwo na punkcie kultu zmarłych najmniej zerwało z pogańską tradycyą, jakoby go w niczem istotnie i zasadniczo nie przeobraziło [7].

---

[1] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer*, str. 388. 397.
[2] *De mortalitate*, c. 20, *Corpus script. eccl. lat.* vol. 3, 309.
[3] Minucius Felix: *Octavius* c. 12, 38; *Corp. scr. eccl. lat.* vol. 2, 17. 54.
[4] Martigny: *Dictionnaire des antiquités chrét.* str. 731.
[5] *Ad uxor.* II, 6.
[6] Kraus: *Realencyklopädie*, t. II, str. 876.
[7] Lucius: *Die Anfänge des Heiligenkults*, str. 26.

Świadectwa te wykazują, że chrześcijaństwo zdawało sobie sprawę z czysto pogańskiego, sprzecznego z pojęciami swemi charakteru wielu szczegółów grecko-rzymskiego kultu zmarłych, że starało się świadomie wyodrębnić od niego, owszem wydało mu wprost walkę. Chrześcijanin nawet wzbrania się być tam pogrzebanym, gdzie się spełniają obrzędy, niezgodne z jego religijnymi poglądami, gdzie się składa ofiary zmarłym. Chrześcijańskie obrzędy żałobne tak dalece różniły się od pogańskiego kultu zmarłych, że Tertulian nie wahał się zapytać pogan: Cóż wogóle czynicie w celu uczczenia bogów, czegobyście nie czynili także względem swych zmarłych?[1] Niema w tem zdaniu nawet cienia obawy zarzutu ze strony pogan, że przecież i chrześcijanie składają ofiary swym zmarłym. Zatem chrześcijaństwo zerwało zasadniczo z najelementarniejszymi szczegółami pogańskiego kultu zmarłych.

Podczas gdy u pogan istniał rzeczywisty kult zmarłych z ofiarami, składanemi im jako bogom, to w chrześcijaństwie był tylko pietyzm dla zmarłych. Chrześcijaństwo ofiar zmarłym nie składało, owszem za nich się modliło.

Różnica ta uwydatni nam się jeszcze jaskrawiej w świetle następnych uwag, w których przypatrzymy się hypotezie zależności chrześcijańskiego kultu świętych od pogańskiego kultu zmarłych. Pogański kult zmarłych opierał się na dwu podstawach, mianowicie na poglądach o wyższej doskonałości natury duszy zmarłych od duszy żyjących i na wierzeniach o potężnych wpływach duchów zmarłych na losy żyjących. Te pojęcia, zdaniem obrońców powyższej hypotezy, stały się zwolna także własnością chrześcijan i wywołały kult Świętych. Niebawem atoli musimy wyznać, że te pojęcia wymarły z pogaństwem i nie przedostały się wcale do eschatologii chrześcijańskiej.

Wykazaliśmy już, że chrześcijaństwo nie uważało swych Świętych za bogów. Przeciwnie pogaństwo. Dusza opuszczając ciało, przechodziła do rzędu bóstw. Od czasów cesarstwa u Rzymian było powszechne przekonanie, że dusze zmarłych stają się bogami; stąd nazwa ich: *di manes;* stąd napisy grobowe: *dis*

[1] Tertull. *Apologet.* 13.

manibus [1]. To samo znaczenie mają także napisy: *deis et genio,* albo tylko: *genio,* bo i *genius,* dawany każdemu człowiekowi przy narodzeniu, był bogiem [2]. Nierównie często spotykamy i u Greków podobne napisy, jak ów z IV w. przed Chr.:

ΜΑΚΑΡΙΣΤΕ ΘΕΟΣ ΕΣΗΙ
ΑΝΤΙ ΒΡΟΤΟΙΟ

Szczęśliwy, będziesz (teraz) bogiem zamiast śmiertelnikiem [3]

Nie posiadamy żadnych śladów wpływu tego rodzaju pojęć na eschatologię chrześcijańską, zatem nie możemy też szukać początków kultu Świętych w pogańskim kulcie zmarłych. Nie możemy ich tu szukać tem bardziej, że niezrozumiałą wtedy byłaby nam ta wielka różnica, jaką chrześcijaństwo czyniło między Świętymi a innymi zmarłymi. Gdyby bowiem w pogańskim kulcie zmarłych tkwił początek kultu Świętych, natenczas wszyscy zmarli winni byli doznawać tej samej czci, podobnie jak w pogaństwie wszystkie dusze zmarłych uważano za bóstwa, wszystkim składano ofiary, bogom właściwe. Podczas gdy w pogaństwie samo przejście duszy w świat pozagrobowy, bez najmniejszego względu na jej życie w ciele, unosiło ją w sfery istot wyższych, godnych czci, to w chrześcijaństwie moment ten nie odgrywał w kulcie Świętych żadnej roli. W chrześcijaństwie życie Świętego na ziemi decydowało o jego kulcie. Również nie spotykamy w kulcie Świętych najmniejszego śladu innej istotnej właściwości kultu zmarłych u pogan, mianowicie rodzinnego partykularyzmu. Duch zmarły doznawał u pogan czci tylko w ciasnem kółku rodzinnem. Chrześcijański natomiast Święty stawał się przedmiotem czci całego chrześcijaństwa. Związki rodzinne nie odgrywały tu żadnej roli. Bywało nierzadko, że Święty zdobywał przez męczeństwo cześć na obczyźnie, z dala od rodziny. Tak np. czcił od połowy III w. Rzym i okoliczne chrześcijaństwo całą rodzinę św. Maryusza, przybyłą z Persyi w pielgrzymce do grobu św. Piotra. Do wielu

[1] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer,* str. 192.
[2] Roscher: *Mytholog. Lex.* art. *Genius,* str. 1618.
[3] Kaufmann l. c. str. 4. 12.

grobów męczenników zbiegało się chrześcijaństwo w rocznice ich śmierci ze wszystkich stron ówczesnego świata; relikwiami męczenników (początkowo tylko na Wschodzie) obdzielano liczne Kościoły i tak rozpalano coraz to nowe ogniska ich czci. Analogii w tym szczególe niema wcale w pogańskim kulcie zmarłych.

Drugą zasadniczą podstawą kultu zmarłych w pogaństwie było przekonanie o rozszerzonym zakresie działalności dusz, uwolnionych z ciała. Spotykamy tu coś podobnego, cośmy już widzieli w kulcie heroów; wogóle bowiem kult zmarłych w późniejszych czasach nie różnił się istotnie od kultu heroów. Zaniedbanie kultu zmarłego ściągało, w przekonaniu pogan, gniew i mściwość jego na potomnych. I oto znów trwoga i lęk jest najważniejszym motywem kultu dusz. »Der Cult der Seelen — mówi o kulcie u Greków Rohde — ist stets vorwiegend ein apotropäischer *(placantur sacrificiis, ne noceant)*.. Stąd np. w Atenach dzień, poświęcony wszystkim duszom zmarłych, zwał się Νεμέσεια, gdyż w nim miała być przez różne ofiary ubłaganą mściwość zmarłych, νέμεσις τῶν θανόντων. Zapomocą licznych przesądnych środków starano się wówczas jak najbardziej oddalić duchy zmarłe od swych domostw i mieszkań [1]. Ta sama bojaźń tkwi na dnie wszystkich świąt zmarłych u Rzymian. I Rzymianin zna wiele środków i ceremonii, któremi usiłuje udobruchać gniew zmarłych i trzymać ich zdala od drzwi swego domu [2].

Nie znało podobnego lęku przed Świętymi chrześcijaństwo. Oddawało im cześć, ale nigdy dlatego, że się ich gniewu obawiało. Zdanie św. Ambrożego, że relikwie Świętym wszystkim pomagają a nikomu nie szkodzą, wszystkich bronią a względem nikogo zawiści nie mają [3], jest głębokiem przekonaniem całego Kościoła.

A zatem najbardziej podstawowe pojęcia pogańskie o kulcie zmarłych nie odgrywają nawet najmniejszej roli w początkach i rozwoju kultu Świętych i ich relikwii. Widocznie więc pogański

---

[1] Rohde: *Psyche*, I, 236 sqq.
[2] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer*, str. 189. 192.
[3] M. P. l. 16, 1065.

kult zmarłych nie był wcale bramą, przez którą przecisnął się do Kościoła kult Świętych, jak chce Lucius.

Powiedzmy więcej. Jeżeli kiedy, to właśnie w czasach początków kultu Świętych pogańskie pojęcia eschatologiczne miały najmniej siły do opanowania pojęć chrześcijańskich. Przechodziły one bowiem wówczas przez największą, znaną w starożytności pogańskiej, kryzis. U Greków zaczęła się ona już dawno. Wszelkie, ryte na grobowcach nadzieje pośmiertne, zmraża potężny powiew wątpliwości i granicznej niepewności. Czyta się na grobach często takie zdania, jak: ἔι γέ τι ἔστι κάτω (jeżeli tam wogóle coś jeszcze jest), ἔι γένος εὐσεβέων ζώει μετὰ τέρμα βίοιο; owszem, już nie powątpiewająco, ale z całą pewnością twierdzi się, że człowiek staje się po śmierci ziemią, popiołem i niczem więcej [ἡμεῖς δὲ πάντες οἱ κάτω, τεθνηκότες, ὀστέα, τέφρα γενόαμεν, ἄλλο δ' οὐδὲ ἕν]; znów inny woła do przechodniów napisem na swym grobie wyrytym, że najpierw był niczem, potem żył i znów jest niczem [οὐκ ἤμην, γενόμην, ἤμην, οὐκ ἐιμι· τοσαῦτα]. Stąd często spotykane na grobach odezwy do żyjących, by możliwie najlepiej wyzyskali życie, bo ze śmiercią wszystko się kończy [1].

Nie inną mowę słyszy się na cmentarzach rzymskich. I tu wyczytujemy takie zdania: *Si quid sapiunt inferi* [2] — *si quid sapiunt post funera manes* [3] — *nec sum; nec fueram;... mitte, nec explores singula: talis eris* [4].

Słowem, w całym grecko-rzymskim świecie słyszanym był od w. IV przed Chr. potężny głos niepewności i zwątpienia. Głos ów wzmagał się coraz bardziej, zwłaszcza w czasach rzymskich i w pierwszych dwu stuleciach ery chrześcijańskiej [5]. Pełne są tej niepewności napisy i obrazy grobowe, jak również księgi filozofów, dzieła pisarzy i poetów.

---

[1] Rohde: *Psyche,* II, 393 sqq.; Döllinger: *Heidentum und Judentum,* str. 595.

[2] Kaufmann: *Die sepulcral. Jenseitsdenkmäler der Antike und des Urchristentums,* str. 7.

[3] Ibidem str. 227.

[4] Rohde: l. c. str. 395.

[5] Kaufmann: l. c. str. 7. 30. 222.

Następstwem tego zamętu pojęć eschatologicznych u pogan był zanik i kultu zmarłych, co stwierdzają nam liczne świadectwa w czasach republiki zwłaszcza i cesarstwa. Przy odziedziczaniu spadków oglądano się jak najskrzętniej za różnymi kruczkami prawnymi, by tylko się uwolnić od ciężaru kultu zmarłych przodków i krewnych. Taki szczęśliwy spadek nazywano przysłowiowo: *haereditas sine sacris* [1]. Stąd też dawne znaki D. M. *(diis manibus)*, Θ. K. (θεοῖς καταχθονίοις) ryje się na grobach, zwłaszcza w III i IV w. tylko stereotypowo i zupełnie bezmyślnie [2]. Owszem znak ten staje się prostą i bezmyślną ozdobą kamieniarskich wyrobów. Wybitny tego przykład spotykamy na tablicy, którą jakiś kamieniarski wyrobnik zwracał uwagę przechodniów na swoją pracownię. Oto napis z tej tablicy:

D. M.
TITVLOS SCRI
BENDOS VEL
SI QVID OPE
RIS MARMOR
ARI OPVS FV
ERIT HIC HA
BES. [3]

Oto zarazem klucz do najprawdopodobniejszego rozwiązania długo roztrząsanego przez archeologów zagadnienia o wcale częstem pojawianiu się znaków D. M. na grobowcach chrześcijańskich. Wszelkie próby hypotez, jakoby znak ten był dowodem, że chrześcijaństwo zapożyczyło się od eschatologicznych wierzeń pogan, są bezpodstawne. Żaden z chrześcijańskich zabytków pisanych lub epigraficznych nie dostarcza najmniejszego dowodu na potwierdzenie tego przypuszczenia. Owszem chrześcijaństwo z tego czasu zostawiło nam aż nadto dowodów, że dusz zmarłych nie uważało za bóstwa. Przeto pojawianie się tego znaku

[1] Wissowa: *Religion und Kultus der Römer*, str. 65.
[2] Kaufmann: l. c. str. 30.
[3] Cabrol: *Dictionnaire de archeol.* I, 166.

na grobowcach chrześcijańskich jest tylko jedną więcej wskazówką, jak znak ów stracił dawny swój charakter.

Trudno nam zatem przyznać, że chrześcijański kult Świętych powstał z pogańskiego kultu zmarłych. Ów kult pogański nie miał już wtedy tego życia, jakie cechowało początki kultu Świętych. Cześć Świętych wykwitła z zasad rdzennie chrześcijańskich i na nich się rozwinęła.

Pozostaje nam wykazać jeszcze, że kult Świętych nie rozwinął się z chrześcijańskiego kultu, względnie pietyzmu dla zmarłych. Twierdzenie, jakoby kult Świętych powstał z chrześcijańskiego kultu zmarłych, przejętego bez istotnych zmian z pogańskiego kultu zmarłych byłoby nawet wtedy nieprawdziwe, gdyby rzeczywiście chrześcijaństwo przyswoiło sobie było w zupełności pogański kult zmarłych. Historya nie dostarcza nam żadnego dowodu na to, że kult Świętych jest płodem chrześcijańskiego kultu zmarłych, podobnie jak kult heroów powstał z kultu zmarłych. Kult Świętych nie jest bynajmniej tylko dalszą i doskonalszą przemianą kultu zmarłych. Kult Świętych i kult zmarłych chrześcijan, to zjawiska, które się już w początkach chrześcijaństwa bardzo ostro wyróżniały od siebie.

Kult Świętych w pierwszych wiekach, to wyłącznie kult męczenników. Tylko śmierć męczeńska zdobywała sobie cześć u żyjących. Pierwsze chrześcijaństwo nie znało Świętych wyznawców. A ta cześć męczenników zaczynała się nie po śmierci ich dopiero, ale już za życia. Więzienie, z którego miał chrześcijanin wyruszyć na arenę swej śmierci męczeńskiej, było pierwszem miejscem jego czci. Już tam polecano się z szczególniejszą wiarą jego wstawiennictwu przed Bogiem, otaczano go wyjątkową, czci pełną, opieką. Na prośbę takiego męczennika skracano wiernym czas pokuty kościelnej, odpadłych od wiary przyjmowano napowrót do łona Kościoła. Prześladowanie chrześcijan za czasów św. Cypryana wykazuje nam naocznie, jak wysokie znaczenie miał wówczas męczennik w oczach Kościoła. Czyż to może dziwić, że i po śmierci męczennika cześć ta trwa dalej, owszem potęguje się? Nie można zatem powiedzieć, że kult zmarłych był bramą,

która się z biegiem czasu otworzyła dla kultu Świętych. Jutrzenka kultu Świętych poczęła wschodzić już za męczeńskich dni życia bojowników Chrystusa.

Stąd też kult Świętych był oparty na innych zupełnie zasadach jak kult, raczej pietyzm dla zmarłych. Męczennik wznosił się w przekonaniach chrześcijan ponad stanowisko innych zmarłych tak, iż za niego nigdy modlitw nie zanoszono do Boga, bo śmierć męczeńska przenosiła wprost do chwały wiecznej. Dlatego to sztuka chrześcijańska przedstawia męczenników w chwili, kiedy odbierają od Chrystusa wieniec nagrody, podczas gdy innych zmarłych przedstawia na rzeźbach i obrazach w chwili sądu, wyczekujących z niepewnością wyroku Zbawcy [1]. Dlatego też męczenników grzebie się na osobnem miejscu, oddzielonem zazwyczaj od cmentarzy innych zmarłych; na grobach ich odprawia się ofiarę mszy św.; nad zwłokami męczenników wznosi się kaplice i kościoły; owszem przy grobach męczenników grzebie się innych zmarłych w tym celu, aby męczennik modlitwą swą wspierał zmarłego, pochowanego koło jego świętego ciała. Słowem, od początków chrześcijaństwa rysują się bardzo ostro różnice, jakie dzielą męczennika od innych zmarłych. Kult Świętych nie był nigdy wykwitem kultu zmarłych.

Zatem kult ciał męczenników jest kultem, właściwym tylko chrześcijaństwu. Nie można kultu tego wyprowadzić ani z pogańskiego kultu heroów, ani z pogańskiego kultu zmarłych. Idee, jakie kiedyś ożywiały te kulty, nie przedostały się do chrześcijaństwa a idea, która zrodziła w chrześcijaństwie kult relikwii św., była nieznaną pogaństwu. Analogia pewnych zewnętrznych form obydwu kultów nie może służyć za dowód ich wzajemnej zależności nawet wtedy, gdyby chrześcijański kult relikwii nastąpił był bez żadnej czasowej przerwy po kulcie heroów, bo kulty te opierają się na zupełnie innych zasadach. Analogia ta ma zupełnie wystarczające wytłumaczenie w niezmiennej tożsamości uczuć i zwyczajów ogólno-ludzkich. Zawsze

---

[1] Wilpert: *Die Malereien der Katakomben Roms*, I, 489.

były i będą dla następnych pokoleń cennymi i czci godnymi grobowce wielkich przodków, bo to zwyczaj wysoce zgodny z całą psychologią człowieka. Chrześcijaństwo nie odtrąciło tego szlachetnego ogólno-ludzkiego zwyczaju, tylko go ożywiło wielką ideą, czcząc ciało swych Świętych za wielką prawość i cnotę, za nieskalaność ducha i miłość Boga-Stwórcy.

Ks. K. Feliś.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Duma o hetmanie. *Stefan Żeromski.*

Po dziejach grzechu — dzieje cnoty, bo czyż nie można tak nazwać tej dumy o hetmanie Żółkiewskim, najcnotliwszym w dawnej Polsce człowieku i obywatelu, najszlachetniejszym jej żołnierzu-bohaterze?

Należało się prawie społeczeństwu polskiemu to zadośćuczynienie za tamten utwór, głęboki, potężny, pełen artyzmu, ale ostatecznie rozkładowy bardzo przez swe straszliwe, bezwzględne, rozpaczliwie współczujące w bezdeń nędzy ludzkiej spojrzenie — należało się ono szczególnie polskiej młodzieży, która w Żeromskim odczuła, uczciła, ukochała porywającą moc i śmiałość geniuszu serca.

Szczerze ludzkiemu sercu poety nic co ludzkie nie mogło być obce: wstrząsnęła nim do głębi przerażająca niedola występku, grzechu nadludzkiego i odbiła się krwawą i błotnistą, jak zmora gnębiącą wizyą powieściową.

Któż zaręczy czy ta straszliwa zmora nie przytłoczyła upiornym swym ciężarem jakiej rwącej ku wyżynom duszy młodzieńczej, czy to krwawiące błoto życia nie zasłoniło brudną swą falą czystych jej widnokręgów moralnych?...

Serce poety odczuło może te obawy, geniusz jego twórczy nowe ukazał mu widzenia, niemniej bolesne, krwawe, tragiczne, ale jakże dalekie od błotnistych, zapadłych nizin życia, jak nieskończenie wysoko wzniesione ponad grzechowe ich otchłanie i nory zbrodnicze. W dymie bojowym, w łunie pożarów heroicznych przeszłości narodowej

zwidziała mu się tragedya niezłomnej cnoty patryotycznej — z za szumnego Dniestru, z cecorskiego pola przyleciało doń echo dum starych i w nowoczesnem wielogłosowem jego jestestwie zagrało całą symfonię zgiełku bojowego, bohaterskich okrzyków, uwielbień dla chwały minionej, skarg, żalów i bolesnych rozmyślań nad upadłą wielkością, zmarnowaną potęgą, daremnym heroizmem.

Duma bohaterska, — zrodzona na stepach Ukrainy, śpiewne, tęskne, o czynach dzielnych dumanie dziwnie zaiste odpowiada indywidualności twórczej naszego epika-wizyonera o myśli potężnej, tragicznej, na burzliwych falach uczucia niesionej. Jakżeż rozszerzył się jednak, powikłał, spotężniał w tej myśli twórczej motyw starej dumy. Zda się, lecąc poprzez wieki, nabrzmiał całą grozą dziejowej ich męki, aż wybuchnął pieśnią bólu zrodzonego z niej w chwili obecnej.

Jakżeż daleko jesteśmy od dawnych piewców naszej przeszłości, od ich naiwno-epickiego radowania się bogactwem jej barw i kształtów, od ich zachwytów nad mocą i tężyzną dziejowego ich heroizmu.

Inne czasy, inne pieśni. W czasach naszych te i tamte uległy przemianie. Tak niedawno jeszcze epos sienkiewiczowski »ku pokrzepieniu serc« na świat cały głosił zwycięską, heroiczną moc, wznoszącą się z potopów polskiej niedoli; a oto teraz z głębin tragicznej samowiedzy chwili bieżącej wznosi się i okropnie sercami naszemi wstrząsa pieśń zwyciężonej mocy heroicznej, pieśń bólu i skargi, szumiąca zachłanną falą potopów niedoli.

Zwyciężona sprawa podobała się śpiewakowi »Dumy o hetmanie«. Ten tajnowidzca bolesnych otchłani duszy ludziej, nie został porwany bogactwem kształtów i barw naszej przeszłości; nie olśniewa go blask karabeli, nie porywa wichrowy pęd rozszumiałych skrzydeł husarskich.

Widzi on to wszystko bystrem okiem wizyonera poetyckiego, odtwarza z mocą jednego z największych w naszej literaturze plastyków słowa; ale nie to zajmuje, nie to pociąga go głównie w obrazach przeszłości, pod wzorzystą powierzchnią zjawów dziejowych dopatruje się ich duszy, nasłuchuje tętna ich życia wewnętrznego i wysnuwa zeń wątek swej twórczości.

Jakże charakterystyczny w tym względzie jest już sam podział »Dumy«.

Składa się ona z trzech nierównych części. Naprzód prolog z przepotężnym opisem krwawej, okropnej klęski cecorskiej, oraz straszliwego wśród trudów nadludzkich przechodu taborem ku Dniestrowi; następnie część główna, najobszerniejsza: moment przed ostateczną

zagładą, widziadła przedśmiertnego snu hetmańskiego, jakby synteza historyozoficzna przełomowej chwili dziejów, uprzytomniająca się naczelnemu jej bohaterowi w obrazach najważniejszych czynów i walk jego żywota; wreszcie krótki, zwarty epilog: koniec walki okropnej, dopełnienie się ofiary za imię polskie, za sławę ojczyzny.

Widzimy tedy, że główna część poematu przedstawia nam wewnętrzny stan duszy heroicznego hetmana, ześrodkowany w przedśmiertnej wizyi całożyciowych walk, trudów i poświęceń; obraz zdarzeń zewnętrznych — bitwy, pochodu i klęski ostatecznej — stanowi niejako uzupełnienie wizyonerskiego eposu, jego prolog i epilog. Co prawda ten obraz uzupełniający przewyższa czasami mocą natchnienia niektóre momenty głównej osnowy, gdy w tych ostatnich historyozofia bierze górę nad poezyą, refleksya nad uczuciem. Szczególnie w prologu natężenie mocy twórczej bezprzykładnych nieomal sięga wyżyn, a przejawia się w przedziwnie stylizowanej formie, łączącej, wzorem dum starodawnych, wyrazistą plastykę obrazowania epickiego z przejmującą głębią tonów i nastrojów lirycznych.

Oto zaraz na wstępie obraz dzikich pól z unoszącą się ponad niemi »niby skrzydła czarnego anioła« nieprzeliczoną ćmą kruków z niszczycielskim pochodem olbrzymich zastępów ottomańskich, godzących na szczupłą garstkę rycerstwa polskiego — jakże doskonale utrzymany jest w liryczno-epicznym stylu dumy stepowej.

A dalej niektóre ustępy bitwy zdają się być transkrypcyą jakiejś odwiecznej pieśni ludowej, — nagle w prostą, naiwną jej melodyę wpada przedziwnie z nią sharmonizowany szeroki, potężny akord nowoczesnej symfonii poetyckiej.

Oto koń księcia Koreckiego, »złotem od bezcennego rzędu migający, skacze susami w puste ulice ludzkiego przerażenia; rży dziko, wykręcając się wokół na zadzie tanem bojowym w okrągłych porębach śmierci«.

W opisie pochodu taborem wciąż rośnie, potęguje się groza położenia w okropnem, straszliwem skupieniu rysów nadzwyczajnej siły i dobitności.

»Strudzony żołnierz krwawym idzie tropem, głodem, pragnieniem, jak koszturem, męstwo swe podpiera«. Na szyszakach rycerzy »pióra złamane żórawie, strusie, orle z chichotem dziwnym łopocą, jakowyś przyśpiewek śmiechu nad przyłbicami w stepowym leci wietrze«. — Głód, pragnienie, pożary lasów i stepów ostateczne sił wyczerpanie, zamęt w obozie, ciągłe walki z wyjącą, jak zwierz dziki, tłuszczą ta-

tarską — wszystko to skupione, ściśnięte w zwięzłym obrazie, czyni wrażenie niesłychanej, przerażającej grozy.

A w pośród tych okropności zewnętrznych, okropniejsze od nich jeszcze niepokoje, trwogi zwątpienia w niezłomnej duszy hetmańskiej.

Spogląda sędziwy hetman na nieprzeliczone zastępy ottomańskie.

»Nie ciebie się boję — mówi w swej duszy — nie ciebie się boję o wrogu — zewnętrzna potęgo nawałnicy janczarskiej co mię strasznymi chcesz ogarnąć skrzydłami«.

Zwróciły się oczy hetmańskie na szczupły siedmiotysięczny hufiec polski.

»Ciebie się nie tylko boję lecz lękam, o wolna, okresu nieznająca duszo polska. Przed tobą drżę – ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty sama sobie nieznana i nikomu niewiadoma« ...

Ten lęk, ten dreszcz tajemny serca bohaterskiego wzdłuż całych naszych dziejów poprzez najszlachetniejsze serca polskie płynął — od Długosza do Staszyca, przez wróżby Skargi, przez trwożne przeczucia Orzechowskiego, przez smutne myśli Modrzewskiego. Stanowi on przewodni motyw »Dumy« i snuje się poprzez główną jej osnowę w tragicznych widziadłach snu hetmańskiego.

Jest to jakby uosobiony młodzieńczy poryw do świętej walki życia, budzący się w przedśmiertnem wspomnieniu steranego w ciężkich za nią bojach rycerza bez trwogi i zarzutu.

A dalej we wspaniałym obrazie ruin rzymskich, jakiego nie mieliśmy od czasów »Irydyona«, symbol upadłej mocy materyalnej, ponad którą tryumf ma święcić bojownik »psalmu ducha«, wybrany Boży rycerz ideału ludzkości. Daremnie jednak wyrywa się ku niemu z ruin światowładczej potęgi zgnębione przez nią człowieczeństwo. Na spotkanie bohatera ducha z podziemi rzymskiego Kolizeum wyjdzie nie zmartwychwstała kohorta ludzkości, lecz stadem chyżem wybiegną lamparty żółtawe — wiekuista zwierzęcość świata, gotowa zawsze zwalczać wszelkich bojowników ducha.

Taka jest wstępna wizya wszechludzkiego bohaterstwa, z którego wykwita żywot bohatera polskiego, walczącego aż do zgonu za prawdę i wiarę umiłowanej ojczyzny.

Marzą mu się w chwili ostatecznej widziadła upłynionego żywota. Widzi ojczyznę w potędze i chwale. Wspaniała, tryumfalna uroczystość na rynku krakowskim. Zwycięski król Batory, wierny jego hetman Zamojski, dzielne przy jego boku rycerstwo; on sam, Żółkiewski,

jako rozkwitający młodzieniec, uczestniczy w pamiętnym obchodzie zaślubin hetmana z cudną synowicą królewską.

Wnet zmienia się scena widzenia. Przed dzielnym wojownikiem stoi otwarta droga chwały i potęgi. Zjawia mu się wid rycerskiej mocy, co sama sobie ufa, sama dla siebie walczy i zwycięża.

Polski bohater-patryota odtrąca pokusę. Sługa narodu na sługę ojczyzny się zmieni — życie jej swe odda, dumę swą złoży jej w ofierze, ukorzy się przed grozą szaleństwa narodowego, byle ocalić szaleńców.

Niestało króla-wodza. Zgasł przedwcześnie ten, co przybraną swą ojczyznę, Polskę, miał wyrwać z toni obłędnych jej szałów. Żółkiewski wspomina swe daremne nad jej wrogami zwycięstwa.

Widzi się w murach Moskwy, carem ogłoszą polskiego królewicza, ufność i miłość bojarów sobie zjednywa, hołdy czci ich odbiera.

Wszystko daremnie. Przez szaleństwo polskie, wszystko stracone, przez pychę polską wszystko roztrwonione. Oto teraz u kresu swego zawodu na chwilę przed zgonem staje hetman w swem widzeniu przed pozgonnym majestatem królewskim niedoszłego zbawcy ojczyzny, sprawę mu zdaje ze swych czynów bezpłodnych, ze swych wysiłków daremnych. Dłonie błagalne doń wyciąga o pomoc i ratunek. Widmo królewskie nieme pozostaje. Cóż może ten pogrobowy cień potęgi wobec wyłamującego się z pod jego władzy chaosu życia.

Ale oto inne widmo aż nadto wymowne, aż nadto i po śmierci w narodzie żywotne staje przed królem i hetmanem. Straszliwe, krwawe widmo Samuela Zborowskiego, uosobienie polskiego warcholstwa, polskiego szaleństwa. Jakiż Polak bez dreszczu zgrozy przeczyta przerażająco prawdziwych jego przechwałek:

»Jam jest wieczny w ojczyznie.

»Na bystrym koniu mój trup upiorem przejeżdżać będzie szumnie, szatno, strojno, z tętentem, który zagłuszy każdy niemój głos z gromkim okrzykiem:

»Każdą polską sprawę — moją uczynię sprawą.

»W każdej radzie zasiędę ja — wygnany — i jeśli przeciw mej woli toczyć się zechce, zmieszam, zniszczę, w kłótnię jednostek, w war ambicyi, we wściekłą zwadę zamienię.

»Tam, gdzie ma wola, obrócę krok.

»Bo moje jest królestwo.

»Poza niem szukać będę sojuszu.

»A jeśli zajdzie potrzeba — przeciwko niemu przywiodę obcego władcę.

»Ty zaś na mnie, na Samuelowego upiora, nijakiej nigdy rady nie znajdziesz.

»Bom jam jest jako wszelka Polska olbrzymi.

»Aż przyjdzie moja straszliwa noc w więzieniu, aż przyjdzie mój całonocny płacz do samego świtania«...

Czy słyszycie odgłos tych słów wzdłuż całych dziejów upadającej Rzeczypospolitej — w samowoli magnatów, w warcholstwie zuchwałych »sobie panków«, w pijanej wrzawie tłuszczy szlacheckiej? Czy obelgi rzucone w twarz hetmanowi przez widmo Zborowskiego nie znajdują echa w uniwersałach konferencyi targowickiej, w odezwach Szczęsnego Potockiego przeciw twórcom Konstytucyi 3 Maja, w zarzutach zdrady narodowej, ciskanej na najczcigodniejsze głowy przez klubowców 1831 roku?

Cóż odpowiada na te obelgi sędziwy hetman?

Słania się hetman. Chwieją się jego nogi stare. Gną kolana. Splatają i łamią ręce. Runął na ziemię. Wyciągnął dłonie z jękiem i nogi strasznego widma objął, szlochając. Do butów we krwi skąpanych usty się czołga, usty przywiera.

Oto szczyt wysnutego z dziejów naszych heroicznego tragizmu. Najwyższa cnota narodowa w prochu u stóp zuchwałej narodowej zbrodni, błagająca o litość nad nieszczęsną ojczyzną.

Bohaterski jej bojownik osiąga tu kres swej ofiarnej miłości.

Kilku potężnymi rysami epilogu, niby w zwięzłym piorunującym finale swej symfonii patryotycznej, ukazuje nam poeta dopełnienie się ofiary jego życia dla ojczyzny w śmiertelnym boju z wrogiem.

»Padło walczące ramię, co sławy polskiej nie puściło z dłoni — zleciała głowa wyniosła, załoga bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, z granic jej wyniesiona, iżby dalej spać mógł naród«.

Takim akordem bólu kończy się ta pieśń niedoli narodowej, jedna z najpotężniejszych pieśni w całej naszej poezyi, o gromowej iście mocy słowa, o bezprzykładnem w niem napięciu rozszalałego bólu narodowego. Dawniej krzepiły się nasze serca obrazami świetnymi chwały, zwycięskiej mocy ojczystej, jakże często niestety tylko — ułudy ojczystej.

Nie bez pożytku może będzie ten wstrząsający nami tak potężny obraz czynu ofiarnego w zwyciężonej sprawie ojczystej.

Niejedną taką sprawę przeżyć musieliśmy, niejedną zapewne przeżyć nam sądzono. W sile tego przeżycia żywotna moc naszego narodu.

Sądzę, że twórca »Dumy o hetmanie«, genialny rzecznik tragedyi serca narodowego do spotęgowania tej siły bardzo się może przyczynić.

W. Gostomski.

Kobieta — ogniskiem. *Cecylia Plater-Zyberkówna.* Warszawa 1909 r.

Autorka niniejszej pracy wychodząc z założenia, że rodzina jako komórka rozrodcza społeczeństw, wywiera na nie najsilniejszy i decydujący wpływ, że stanowi o jego dorobku i odrodzeniu tak kulturalnem jak i obyczajowem, podnosi i przeprowadza myśl odrodzenia społeczeństwa przez odrodzoną rodzinę. Tę szczytną misyę odrodzenia rodziny, tę wspaniałą drogę do lepszej przyszłości naszego społeczeństwa autorka powierza kobiecie.

Cała więc praca poświęcona jest roztrząsaniu dzisiejszego stanowiska kobiety w społeczeństwie, analizie jej wad, zalet, aspiracyi, a przedewszystkiem sposobów odrodzenia kobiety.

Na pierwszem miejscu poruszona jest sprawa emancypacyi, jako najżywotniejsza. Widzimy, że weszła ona na tory niewłaściwe, zupełnie anormalne, gdyż w czasach ostatnich ruch ten wytrącił kobietę z jej równowagi, przez opaczne zrozumienie i z powodu braku kierowniczej planowej myśli. Kobieta bezkrytycznie kopiując mężczyznę, bez względu na warunki możliwości i korzyści dla społeczeństwa, zatraca swe naturalne kobiece cechy, a ruch ten skądinąd sympatyczny i pożądany naraża na śmieszność. Tutaj bardzo silnie jest podkreślone to stanowisko na jakiem kobieta stanąć winna, by ruch emancypacyi został ujęty w poważne ramy i miał zabezpieczoną przyszłość, na jaką zasługuje. Według autorki — kobieta powinna przedewszystkiem zdobyć wewnętrzne urobienie — rozumu i ducha, aby swą postawą i czynem zyskała powszechny szacunek, aby swym charakterem i dzielnością zasłużyła na zaufanie ogółu. Zadaniem jej jest szukać dróg nowych, rozszerzających granice jej działalności, pogłębiać pojmowanie życia i swoich obowiązków odpowiednio do potrzeb intelligencyi, do aspiracyi swego ducha i godności swej natury, zachowując zawsze stopniowanie i logiczny porządek.

Dobrze zrozumiane obowiązki kobiety otwierają jej szerokie pole działania i wielki wpływ na sprawy najpoważniejsze, na cały bieg społecznego życia. Kobieta jest zawsze w pierwszym rzędzie wychowawczynią i przez to samo najwybitniejsze zajmuje stanowisko, gdyż

nadaje kierunek moralny i urabia tych, którzy w przyszłości zajmą miejsce kierowników narodu. Rola jej jest poważną i wielce odpowiedzialną! Aby kobieta z tego szczytnego posłannictwa potrafiła się wywiązać, musi się ona sama pierwej odrodzić; cały jej światopogląd na życie powinien się zmienić; jej postępowanie w życiu codziennem musi być inne.

Jako pierwszy czynnik odrodzenia kobiety uważa autorka za niezbędne gruntowne wykształcenie, w zakresie, jaki najbardziej sprzyja spełnieniu jej obowiązków w najszerszem ich zrozumieniu. Tutaj szeroko jest omówiona sprawa dzisiejszego wychowania i wykształcenia, jakie przeciętna panna otrzymuje. Braki jego są tak poważne, że zreformowanie go jest wprost nieodzowne. Dzisiaj całe wychowanie pozostawione jest przypadkowemu kierownictwu, gdyż większa liczba matek niema żadnego wychowawczego poglądu. Dzieci wychowuje się według utartych formuł, bezmyślnie, szablonowo, co jest raczej tresurą niż kształceniem i rozwijaniem charakteru. Dlatego też autorka w pierwszym rzędzie stawia potrzebę znajomości pedagogiki, psychologii, hygieny, a dalej cały szereg przedmiotów, które dla wychowawcy w praktycznem życiu codziennem są niezbędne. Poważne miejsce w tem wykształceniu ma zająć także znajomość apologetyki chrześcijańskiej, która dla kobiety jako strażniczki domowego ogniska jest potrzebną. Działalności kobiety nie ogranicza jednak autorka do ram stosunków rodzinnych, ale zakreśla ją na całe społeczeństwo. Jako zwolenniczka zdrowego, dobrze zrozumianego ruchu emancypacyi, podnosi potrzebę poważnego uniwersyteckiego wykształcenia, które otworzyłoby kobiecie arenę szerszego życia społecznego i pozwoliło wywierać na nie wpływ bezpośredni. By kobieta w całej rozciągłości zadanie swoje spełnić mogła, powinna utrzymywać ścisły kontakt z otoczeniem i zawsze trzymać rękę na pulsie tego umysłowego i społecznego życia, w którem największy udział bierze, z którem ciągle jest w styczności. Do tego służy lektura, prowadzona planowo z pewną myślą wytyczną, z uwzględnieniem potrzeb osobistych, obowiązków stanu, specyalnego zamiłowania lub uzdolnienia; dalej zastanowienia, dzięki któremu wyrabia się na wszystko własny krytyczny sąd, pogłębiający każdą myśl, dający samodzielną ocenę, która jest dowodem dojrzałości umysłu; wreszcie obcowanie towarzyskie, przy którem potrafimy zdobyć sobie pogląd na całość życia społecznego, jeżeli wejrzymy poza sfery, klasy, koterye, do najbardziej zróżniczkowanych warstw.

Niezmiernie doniosłe znaczenie mają karty, na których są skreślone drobiazgowe sprawy codziennego życia, rzucające światło na głębokie ich zrozumienie i dające sposoby harmonijnego ich wiązania. Te wskazówki i ich wagę jaknajsilniej podkreślić należy, bo tylko wtedy kobieta stanie się tą życiodajną i promieniotwórczą siłą, jeżeli będzie umiała postępować w swojem środowisku w tych drobnych momentach, z jakich zwykłe życie się składa; skonsolidowanie harmonii całości codziennego życia jest najtrudniejszem, a zarazem i najwspanialszem zadaniem, czego z pracy niniejszej nauczyć się można. Gdy kobieta tę zdolność posiędzie, to rzeczywiście wtedy stanie się tem ogniskiem, które będzie oświecać, ogrzewać, skupiać, rozweselać i zaradzać potrzebom rodziny — jak tego autorka pragnie.

Jak już wyżej wskazano najpierwszem zadaniem kobiety jest praca wychowawcza. Dlatego też kobieta-ognisko powinna być nadewszystko zdrową, tak fizycznie jak moralnie; ona bowiem wytwarza atmosferę, w której młodzież się wychowuje, ona kształci obyczaje, wyrabia charaktery, uczy niezłomnych zasad życiowych, karmi swym duchem; jej obowiązkiem przekazać te pierwiastki dalszym generacyom.

Podając sposoby zreformowania dzisiejszego wychowania, poświęca autorka wiele miejsca zbadaniu warunków, w jakich kobieta dzisiaj na polu wychowawczem pracować musi i jakby je należało zmienić, by praca ta obfitsze wydawała plony. Faktem bijącym każdego w oczy jest stopniowe odchrześcijanienie naszego społeczeństwa. Dziś duch pogański zamaskowany tylko pokostem chrześcijańskiej formy, zawładnął nie tylko areną życia politycznego, ale panuje także w życiu społecznem, towarzyskiem i już do rodzin sączyć się poczyna. Abyśmy więc na nowo zdolni się byli odrodzić, aby fundamenty tego odrodzenia były silne i niewzruszone, musimy wprowadzić wszędzie niepodzielne panowanie chrześcijańskiego życia. Ku temu jedyna droga — zapoczątkować chrześcijańskie odrodzenie na łonie samej rodziny. Dzisiaj jak łatwo to spostrzedz, niejeden błąd płynie z fałszywego poglądu rodziców na życie, który swym dzieciom pomimo woli przekazują. Patrząc na ich postępowanie, z jaką skwapliwością starają się dzieciom przysporzyć przyjemności, bez względu na to, że one mogą osłabiać charakter lub nawet zatruwać ducha, zdaje się, że pojęcie szczęścia ograniczone jest u nich jedynie do życia ziemskiego, które w dodatku opacznie rozumieją. To też pod wpływem tych pojęć wychowują swe dzieci dla świata i używania, zaprawiając do rozumienia

życia powierzchownie, mając na względzie tylko blichtr i formę bez treści. Wynikiem tego jest osobliwy objaw — gorączkowa chęć używania i brak najmniejszego poświęcenia, co zauważyć można na wszystkich szczeblach społecznych. Drugiem źródłem destrukcyjnych prądów dla chrześcijańskiego ducha jest często szkoła, skąd wychodzą opinie, że wiara jest zacofaniem, a religia tamą dla postępu i światła. Jakże więc ważnem jest wskazać młodzieży, że w Chrystyanizmie jedynie, w Chrystyanizmie dobrze i głęboko zrozumianym, spoczywa dźwignia postępu, rozwoju i światła. To zadanie leży na barkach rodziców, ich obowiązkiem jest urabiać pogląd swych dzieci i zaszczepiać zdrowe zasady życiowe. Potrzeba jednak do tego pogłębienia i uzasadnienia naszego chrystanizmu, aby nie był on powierzchownym i tylko w formach, ale musi przeniknąć do głębi nasze życie. Wiele przecież matek pragnie religijnie swe dzieci wychować, jednak im się to nie udaje, bo religijność ta jest ciasną, szablonową, jednostronną, rutyniczną, tamującą wiele młodocianych porywów. Tem też możemy sobie objaśnić, że niejeden młodzieniec do religii się zniechęca i wnioskuje, że jest ona zacofaniem, z czego przy pierwszym powiewie swobody i samodzielności ze wstrętem się otrząsa. Chcąc w rodzinie zmienić pogląd na życie i uczynić go chrześcijańskim, trzeba koniecznie umotywować go na podstawie pewnej zasady, którą wprowadzamy w czyn i ożywiamy nią całe życie. Chrystyanizm w swej istocie jest tak szeroki, że zdolny jest przeniknąć wszystkie przejawy ludzkiego życia i odpowiedzieć całości jego potrzeb. Nie zacieśniajmyż go przeto i wpływów jego nie redukujmy tylko do pobożnych praktyk, lecz wprowadźmy go wszędzie gdzie być powinien: do beletrystyki, poezyi, sztuki, teatru, do życia towarzyskiego i społecznego, a wtedy bez przeszkód w atmosferze chrześcijańskiego ducha społeczeństwo nasze wychowywać się i odradzać będzie mogło. Byśmy dzielnie w kierunku ideałów chrześcijańskich pracować mogli, powinniśmy koniecznie znać sytuacyę walczących obozów, powinniśmy mieć otwarte oczy na niebezpieczeństwa, jakie grożą, na prądy, jakie wśród nas nurtują i obałamucają. Jedną z głównych przyczyn, że fala poganizmu coraz bardziej życie nasze zalewa, jest ta, że matki i wychowawczynie jak najdalej od realności życia się usuwają. Należy więc wyjść z zacieśnienia i koteryi, porzucić sztuczne pudełkowe życie, a zajrzeć śmiało w oczy hardemu wrogowi, którego tylko pracą pokonać możemy. Miejmy więc nadewszystko baczną uwagę na to, co się dokoła nas dzieje, budujmy chrześcijański obyczaj i trwałe zasady w naszych rodzinach. Kształćmy

w młodzieży raczej ducha niż formę, bo należy pamiętać, że młodzież nasza jest już dzisiaj do tyle uświadomiona i krytyczna, że formy bez treści nie przyjmie i taką odrzuci. Idźmy tedy — mówi autorka — w kierunku światła, postępu, rozwoju, a lękliwym konserwatyzmem nie zacieśniajmy dróg młodzieży i nie krępujmy jej polotu.

Reasumując przymioty kobiety, które jej są niezbędne do spełnienia obowiązków, a nadewszystko zadania wychowawczego, zamyka je autorka w rozdziale ostatnim. Potrzeba więc kobiecie wychowawczyni: specyalnego urobienia w kierunku pedagogicznym i życiowym, znajomości społeczeństwa, jakiem ono jest w dobie obecnej, zrozumienia ducha czasu, w którym żyje i otoczenia, wśród którego się obraca; powinna z młodzieżą utrzymywać stały kontakt, aby ją rozumieć; winna strzedz się wszelkiej jednostronności i zacieśnienia pojęć, zawsze iść za postępem i młodzież tą drogą prowadzić, bo ona chce żyć, iść naprzód, chce zdobywać i szukać dróg nowych, co jest jej świętem prawem i w czem bezzasadnie krępować jej nie wolno.

By kobieta potrafiła być odradzającem ogniskiem, należy dać jej odpowiednie wychowanie i wykształcenie, w kierunku jej uzdolnień, potrzeb przyrodzonych i aspiracyi; należy postawić wysoko ideał jej godności i jej posłannictwa; wykształcić ją społecznie i zreformować całe jej częstokroć małostkowe zapatrywania, ale nie podług z góry obmyślonego szablonu, jakiegoś męskiego typu, — co zmierza do wynaturzenia, do tworzenia dziwolągów, — lecz w duchu jej własnej natury. Tak przygotowana kobieta siłą rzeczy stanie na takim szczeblu społecznym, jaki jej się słusznie należy, stając się nieskruszonym fundamentem naszego istnienia, przyczyniając się do odrodzenia rodziny i narodu.

W naszej literaturze jest tak mało tego rodzaju prac, że o doniosłości niniejszej, tak dobrze i drobiazgowo opracowanej, niema potrzeby mówić. Znaczenie jej jest tem większe, że jest ona wywołana potrzebą chwili i, że konieczność sama ją narzuciła. Mało jest kobiet, mało jest rodzin, któreby zadania swoje rozumiały, a nie mają nawet źródeł skądby mogły o tem się pouczyć. Nic też dziwnego, że przeciętne matki-wychowawczynie, kierując się jedynie intuicyą, która najczęściej na fałszywe prowadzi tory, popełniają brzemienne w smutne owoce błędy. Rezultatami dzisiejszego wychowania jest utrata Boga, utrata wiary, które są źródłem tego nastroju młodzieży, że wtedy, gdy zapał do życia i szlachetnych porywów sięgać winien swego kulminacyjnego szczytu, młodzież tak często kończy samobójstwem. Tylko

więc powrót do ideałów chrześcijańskich w rodzinie, tylko głęboka wiara nie w słowie, lecz w życiu mogą nas poprowadzić świetlanymi szlakami przyszłości, do której pracą niniejszą kieruje autorka.

Sądzę, że książka »Kobieta — ogniskiem« znajdzie się w każdej rodzinie, dla której będzie ona kodeksem codziennego życia.

Bronisław Załuski.

Z krainy prawa, wolności i pracy. Illustrowane zapiski o Belgii. *K. Ostaszewski-Barański.* Lwów. Nakładem Schmitta i Sp. Str. 214.

»Są ludzie — skarży się Goethe — którzy potrafią świat cały objechać nie widziawszy nic oprócz siebie«; są za to inni, którym najmniejsza wycieczka starczy za pozór a raczej za pobudkę do rozejrzenia się po szerokim świecie. Wieluż to naszych rodaków jeździ rok rocznie do Ostendy, Blankenbergu i t. p. nie przywożąc ze sobą nic krom paru szczegółów o domu gry lub kąpielowej »plaży«, a jeśli kto co przywiózł, to zazdrośnie chowa dla siebie, obawiając się może śmieszności opowiadania o kraju, który wszyscy znają lub znać powinni. Z Belgią dzieje się (nieprzymierzając) poniekąd to, co z Ewangelią, którą mało kto czyta, bo mniema, że ją umie na pamięć. Belgia jest prócz tego zbyt blizką Francyi, zbyt oświeconą łuną bulwarów paryskich, aby jej indywidualność wydobywała się na pierwszy rzut oka a wrażenie jest tem silniejsze, iż sami Belgijczycy usiłują kraj swój asymilować do większej sąsiadki i obrażają się, jeśli ich kto pozna po odmiennym akcencie. Aby przeniknąć tę lśniącą zasłonę trzeba spojrzeć głębiej i bystrzej — trzeba patrzeć ze wszystkich sił umysłu i duszy, jak to autor wyż wymienionej książki uczynił. Korzystając ze zjazdu dziennikarzy, na którym był delegatem ze Lwowa, objechał i zwiedził wszystko, co na większą zasługiwało uwagę, poczem wydał owoc swoich spostrzeżeń w opisie, który, jak sam tytuł wskazuje, jest długim hymnem pochwalnym na cześć owego najbardziej cywilizowanego kąta na świecie. Jechał tam uzbrojony wykształceniem artystycznem i historycznem, z wyobraźnią poetyczną, opromieniającą każdy krok w owej krainie pamiątek, słowem jechał nie tyle do Belgii, co do starych Niderlandów Filipa Dobrego, Karola V, Egmonta, Wilhelma z Oranii, Rembrandta, Rubensa, Ruysdaela... W opisach jego widnieją różnobarwne obrazy dziejowych faktów i dziejowych postaci na tle sędziwych dzisiaj ale dumnie stojących gmachów. Symbolem kraju jest właśnie to, że dotąd stoją i że pod ich omszałymi murami wre nowoczesne życie w całej pełni, w całym rozkwicie. Autor nie ma dość

słów na pochwałę tego najpracowitszego z ludów, trzymającego tak wysoko sztandar wolności i katolicyzmu, owego »narodu, który z tą samą siłą, z jaką bronił się w XVI wieku przeciw zakusom Inkwizycyi, umiał w XIX wieku dokumentować swe przywiązanie do świętej wiary«. Pod tym względem można z wielką symfonią pochwał się godzić. Pytanie tylko czy p. Ostaszewski w swoich sądach nie patrzy na dzisiejszą Belgię przez zbyt zaróżowione szkła swego zachwytu? Gdy np. mówi o ogromnej popularności króla, przychodzi na myśl powiedzenie pewnego dyplomaty: »Mnóstwo tam jest stronnictw zwalczających się namiętnie — na jednym tylko punkcie wszystkie się godzą, to jest w antypatyi do króla«... Pracowitość i zapobiegliwość ludu uczyniły istotnie kraj podobny do ula — nie wiem jednak o ile ul byłby przyjemnem miejscem zamieszkania. »Nie mogłabym już tam wytrzymać — żaliła się Belgijka wracająca z odwiedzin u rodziny w ojczyznie po 20-letnim pobycie w Polsce — tam duszno moralnie i fizycznie — każdy cal ziemi, każda minuta dnia wyzyskana dla zarobku, około którego jak w kieracie całe życie się kręci«. Cóż robić? u nich tego za wiele a u nas za mało i może dlatego nas razi. Owa ruchliwość musiała wzmódz się z czasem; są jednak rzeczy w starych Niderlandach, które przetrwały wielki, choćby tylko ostatni wiersz pieśni ludowej, sławiący *Le roi, la loi, la liberté,* a przypominający dosłownie hasło słynnych Gneux z XVI wieku: *Pro rege, lege et grege!* Zwrotką tej pieśni p. Ostaszewski zamyka swą interesującą i bogatą w treść książkę.

T. Wodzicka.

Z piśmiennictw obcych.

Z literatury rosyjskiej porewolucyjnej.

W kilku ostatnich latach przechodziła literatura rosyjska nie mniej burzliwe koleje od tych, jakim uległy stosunki wewnętrzne państwa, zachwianego z jednej strony wstrząśnieniami anarchicznemi, z drugiej olbrzymią klęską mandżurską. Przecież pomiędzy wypadkami bieżącymi a nastrojem twórców musi zachodzić pewien związek...

Fakt uwagi godny, że ferment rewolucyjny wyprowadził na widownię literacką cały szereg indywidualności pisarskich, więcej lub mniej utalentowanych, które jednakowoż wszystkie łączyła idea wspólna.

Wszyscy: Gorkije, Andriejewy, Skitalcy, Arcybaszewy i jak im tam nie na imię, upatrywali odrodzenie ludzkości całej nieomal, a bądź co bądź Rosyi, napewno, w nieokiełznanych porywach instynktów najniższych.

Hasłem dla nich stał się frazes osławionego Maksyma Gorkija, streszczający się w zdaniu: »Nagi na nagiej ziemi, jak matka porodziła«. Coś bardzo zbliżonego do znanej formuły Przybyszewskiego, tylko w innym rodzaju.

To też twórcy, jeden po drugim, zaczęli zdzierać ze siebie płachty, które im nadawały pozór człowieczeństwa, i stanęli niezasromani w całej nagości swoich pożądań najniższych, co wiodą myśl człowieka zdrowego w zamierzchłe czasy epoki kamienia łupanego, w czasy, w których zwierzęcość brała górę nad rozsądkiem, kiedy nie myślano jeszcze wcale o kształceniu dusz, o kultywowaniu serc w dobru.

Niemal na tem samem stanowisku zatrzymała się t. zw. »młoda Rosya«, szerząc dokoła siebie zapach trupi zgnilizny moralnej i kompletnego rozkładu pojęć o ideałach, skoro zaczęto dopatrywać się ich w brudach rynsztokowych, w Gehamie istnej zła i nieprawości człowieczej. Zdaniem tych najmłodszych pisarzy rosyjskich siedliskiem osławionego »absolutu« było nie mniej, nie więcej, jak tylko — pospolite błoto!

Płomieniem krwawym wybuchnęły iskry rewolucyi anarchicznej i zagasły rychlej, aniżeli tego spodziewali się najskrajniejsi pessymiści. Nie zginęły z nim jednakowoż równocześnie »dzieła« pisarzy, dla których szczytem ideału była zbrodnia pod każdą postacią. Jad deprawacyi moralnej szerzył się dalej, bez przeszkód. Spróbowano go nawet przeszczepić na grunt zachodnio-europejski. Próby jednak zawiodły fatalnie. W nowe przykazania ewangeliczne, głoszone z hałasem przez koryfeuszów literackich pseudo-rewolucyi, nie wierzył żaden człowiek rozsądny. Kiedy zaś przetłumaczono jeden z »utworów« powieściowych tego gatunku, p. t. »Ssanin«, prokuratorya węgierska, a zatem prokuratorya państwa konstytucyjnego, w którem swoboda słowa i druku jest nieporównanie większa, aniżeli w państwie rosyjskiem, — skonfiskowała od razu cały nakład. Widoczne zatem, że na skarbach i zasobach moralnych, w jakie obfitował ów »utwór«, nie poznała się wcale...

No... Ale cóż w tem dziwnego zresztą?... Europa!... Prokurator!... Ha!... ha!... ha!...

Wszakże Europa zachodnia jest w pojęciu rosyjskiem czemś, co

dawno straciło wszelki smak estetyczny doszczętnie. *Ex Oriente lux!...* powiedzieli sobie Rosyanie. Że zaś owo światło, kopcąc niemożliwie, sprawiało swąd, nie dający się wytrzymać, — tego powonienia rosyjskie nie poczuły wcale. Taka już ich natura!...

I.

Zniewolony okolicznościami do zajmowania się od lat kilku z rzędu śledzeniem współczesnej twórczości rosyjskiej, — wyznam bez ogródek, — wziąłem świeżo przysłaną mi książkę p. t. »Ziemla« z ogromną niechęcią do ręki. Znałem przecież tyle rozmaitych książek zbiorowych, tyle literackich wydawnictw peryodycznych, — a wszystkie one, niestety! — przynosiły rzeczy, których ideą zasadniczą była krańcowa negacya bytu. Czyliż tedy, — rozumowałem, — wykształcone na takich wzorach pokolenie najmłodsze pisarzy, potrafi otrząsnąć się z pod ich wpływu, czyliż potrafi przejąć się zasadami piękna i dobra, skoro ocierało się codziennie tylko o brud i grzech?...

Jestem rad niezmiernie z możności przyznania, iż w przewidywaniach swoich omyliłem się właśnie raz jeden. Oto w jednej z tak licznie ukazujących się w Rosyi książek zbiorowych, zwanych ongi za czasów Mickiewicza »almanachami«, spotykamy się z wyjątkowym, jak na czasy dzisiejsze utworem Borysa Zajcewa p. t. »Spokój«, wyjątkowym zupełnie wobec nastroju, który dominuje w współczesnej literaturze rosyjskiej.

Najprzód słów kilka o autorze, zupełnie u nas nieznanym.

Nazwisko tego pisarza zabłysło na horyzoncie belletrystyki rosyjskiej lat temu kilka zaledwie, a od najwcześniejszych początków gwiazda jego siała światło ciche, spokojne, lecz jasne. Borys Zajcew odszczególnił się od razu tą właściwością, że posiadał swój własny, niepożyczany od nikogo, światopogląd, świecąc zaś jasno, słał snopy promieni w ciemnię współczesną, jaka zaległa wokoło w dzisiejszej epoce pospolitości i płaskich pomysłów. Zajcew jest do tego stopnia delikatny, jak porcelana, że mi wolno będzie użyć takiego porównania, być może, — niezbyt stosownego. Pomimo liryzmu i nastrojowości, nie schodzi on ani na chwilę z podstawy realistycznej, nazywając bez osłonek, bez przemilczań, wszystko najwyraźniej po imieniu. Wprawdzie częstokroć przypada ku ziemi, schodzi na niziny, ale pozostaje mimo to czystym, jak promień słoneczny. To zadziwiające zharmonizowanie naturalizmu z poetycznością obudza w duszy czytelnika ową arysto-

telesowską *katharsis*, do jakiej bardzo daleko innym pisarzom współczesnym wraz z ich utworami.

W przeciwstawieniu do nich ogrzany w cieple światła słonecznego Zajcew — sam przenika życie cichem, łagodnem światłem, które bez wahania możemy nazwać światłością sławy. A to dlatego, bo odczuwa i uwielbia świętość przyrody i człowieka, dla którego jest tarczą ochronną, owem *palladium* w walkach życiowych z mrokami powszedniej martwoty i pospolitości. Przecież nie tak dawno swoją *Agrafienę* wprost nie piórem napisał, lecz — (wybaczcie mnie porównanie!) — na organach świątyni gotyckiej wygrał...

Ogółem biorąc, można rzec śmiało i bez przesady, że widocznie w duszy jego brzmi wieczny chorał, modlitwa błagalna czasami, częściej dziękczynna, za spokój.

Ale zna on dobrze: rozpacz i nieszczęście.

W »Spokoju« na przykład wywołuje głębokie wrażenie obrazek maleńkiego chłopaczka, który umiera, nie mogąc być ocalonym przez ojca-lekarza. A było owo chłopię rozwiniętę i uzdolnione niezwykle, ponad wiek swój. Ojciec jego, wdowiec, zamknięty w sobie, zimno tak opowiadał o ostatnich chwilach Eugeniusza, swojego syna jedynaka, jedynej gwiazdy przewodniej, która mogła go poprowadzić dalej przez nieszczęsne życie:

— »Dzisiaj mówił mnie Eugeniusz: »Papa, boję się, żebym nie umarł«... objął mnie i mówi: »Ojcze, widzę teraz śmierć. Ot ona tam... Tatusiu — powiada — marzną mi nóżki. Rozgrzej mi nóżki, nie daj mnie śmierci!... Bardzo — powiada — proszę ciebie: »nie dawaj!«. Tak. On mi to powiedział«...

Tymczasem chłopczyna umarł, a ojciec jego pozostał. I on, który był zawsze zimny, jak lód, i nieczuły na nic, teraz nie oparł się wzruszeniu i wybuchnął płaczem rozgłośnym.

Wspomniany co dopiero rys jest nadzwyczaj charakterystyczny dla osoby Zajcewa. Przecież Zajcew zna doskonale rozpacz, ale świat, uderzając weń swojemi zbawczemi falami, użycza »spokoju«, wielkiego »spokoju«, a nie oddaje, jak syna jego, śmierci i grobowi zimnemu. To też on, jeden z najwięcej cierpiących bohaterów, zwalczając swoją rozpacz, oburzając się na ból swój, wygłasza następującą prześliczną rezygnacyę, pełną majestatycznej wzniosłości, a zarazem będącą hymnem wyzwolenia:

— »A k i e d y k w i t n ą d u s z e c z ł o w i e c z e, — T y d a j e s z

im dumać; a jeśli giną — dajesz ukojenie. Odwieczny duchu miłości — tyś zwyciężył!« ...

Po upływie tylu lat i tu zwycięża Galilejczyk Krasińskiego...

Co jednak najbardziej znamienne? To właśnie, że o sile zwycięskiej ducha miłości słyszy się we wszystkich utworach Zajcewa, nawet w ostatniem jego opowiadaniu, w którem daje prześliczny obrazek nastrojowy ujęty w te słowa mniej więcej:

...A kiedy stoisz nad brzegiem morza Adryatyckiego, to pragniesz wygłosić jakiś toast na cześć pokoju, to pragniesz »zaczerpnąć wody z Adryatyku i plusnąć nią ku księżycowi: na cześć miłości, przyjaciela, który zginął dla niej na tych brzegach, kobiety, która z nim uciekła; na cześć serca bardzo dalekiego«...

Śmierć i koniec, nasze katastrofy i krew, — to wszystko nie dotyczy nas, to nie dochodzi do samej głębi, do ośrodka naszego »ja«. To właściwie nie my cierpimy, nie nas zabijają, to mrzem nie my, gdyż to wszystko rozbija się o ów dobroczynny »spokój«, jakim napawa duszę naszą niezwyciężony duch miłości. Nawet w chwili śmierci, odczuwamy rozkosz, szczęście z tego, że giniemy. Odchodząc z życia, my, wygnańcy raju utraconego, błogosławimy mu, błogosławimy to życie i powiadamy doń, że jest przepiękne, nie oglądając się na śmierć dziecka, na zdradę żony, czy na niewinnie przelaną krew.

Maeterlinck utrzymuje, że właściwie niczemu sami nie jesteśmy winni, gdyż w naszych występkach bierze udział wybitny samo jądro naszej duszy; żeśmy są niewinni, tacy, jakimi nas stworzyła przyroda, żeśmy są stąd — święci... Wszystko zło, jakie czynimy, jest tylko snem, uciążliwym majakiem i że siostra Beatrix zupełnie tam w świecie, poza murami klasztornymi nie grzeszyła, bo grzech był jej urojeniem tylko. W istocie rzeczy zaś w chwili, w której ona opuściła klasztor, w klasztorze zajęła jej miejsce Madonna.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, dochodzi Zajcew do wniosku, że nasza dusza jest — Madonną, gdyż jest od wiek wieków niewinna, a w tej swojej niewinności naga i nie wstydząca się nagości, jak Monna Vanna, odziana w siebie samą... I dlatego to przechodzi ona z uśmiechem wśród naszych przesądów i występków. Wszak ona nigdy ich nie znała i nie zna. Toż przecie ona nie zgrzeszyła niczem, a dalej... i myśmy niewinni... Taka jest ewangelia Maeterlinkowska.

Zajcew zaś wyznaje nie tylko tę wiarę w konieczność świętości człowieka. Ba, on wierzy niezłomnie w jego szczęście, w jego spokój, który prędzej czy później uzyskać musi. Tylko, żeśmy za słabi, by

takie szczęście posiąść faktycznie w życiu, gdyż nie jesteśmy ograniczeni na punkcie wolnej woli, bo do nas należy świat cały, który stanowi skarbnicę niewyczerpaną uciech i rozkoszy. Taką jest ta nowa filozofia w streszczeniu.

Bohater Zajcewa znajduje się daleko od swojej rodzonej *matuszki Rossiji*. Bawi we Włoszech. I choć »kraj to cudzy, a jakżeż on mu blizki?!« ... »Tak — powiada — jam w obcej, ale i w swojej krainie dlatego, gdyż wszystkie kraje należą do jednego pana, który wszędzie zjawia się memu sercu. I tutaj czuję go« ... Więc — rzecz naturalna, że jeśli wszystkie kraje należą do jednego pana, to człowiek jest wszędzie, jakby u siebie w domu własnym.

»Życie — śmierć... Miłość — błogosławieństwo«...

I znowu rysem charakterystycznym dla Zajcewa jest ów paradoks napozór, mieszczący się w symfonii zgody ze światem. Dostraja się do niego w zupełności forma zewnętrzna utworów, lekka, prosta, szczera do samej głębi. Zajcew nie wymęcza fraz poszczególnych, lecz podaje w formie wcale niecyzelowanej dłutem mistrza.

Jakim jest sam p. Borys Zajcew?... godziłoby się zapytać na koniec.

Znajduję się w szczęśliwem położeniu powiedzieć coś o tem, bom go miał sposobność poznać półtora roku temu. Istotnie — błyszczy światłem idealizmu tak, że możnaby rzec, iż dusza jego jest, jako mgła przeźrocza. Ta właściwość specyficzna pozwala mu, jak nie mniej jego bohaterowi, żyć w imię piękna. W jego utworach darmoby szukać fabuły opowiadań albo treści. Jest natomiast życie ciche, codzienne, są nastroje wzruszające do głębi, jest, — co najważniejsze — piękno i prawda.

Mam najzupełniejsze wrażenie, jakoby człowiek ten niepospolity mógł lada chwilę zjawić się z harfą króla Dawida w ręku i rozdźwięczeć się hymnem wspaniałym. Boć, kto zna życie rosyjskie lat kilku ostatnich, temu chyba nie będzie tajnem, iż człowiek, który w chwilach krańcowej negacyi bytu przeciwstawić miał odwagę siebie, swoją pogodę i serce czyste złu, mnożącemu się wokół pospiesznie, że człowiek ten jest zjawiskiem nadzwyczajnem, jest promieniem słonecznym, nigdy niegasnącym.

II.

Zwrot ów z opiewania, a raczej apoteozowania czynów zbrodniczych, nieodłącznych zresztą każdemu ruchowi przewrotowemu, można

wybornie zauważyć w drobnej nowelistyce, pojawiającej się w czasopismach peryodycznych. Po hymnach pochwalnych nastąpiła konieczna reakcya, która była zresztą od dawna przewidywana. Społeczeństwo rosyjskie, upojone krwią, nacieszywszy się zniszczeniem, ujrzawszy jednak, iż wysiłki żywiołów przewrotowych zamiast polepszyć, pogorszyły tylko sytuacyę, ostygło w zapale niszczycielskim. W całem państwie zawładła niepodzielnie apatya. Polityką przestano się niemal zajmować.

Przygnębiający ów nastrój umysłów nie pozostał też bez wyraźnego wpływu na literaturę piękną. Dla przykładu zastanowię się nad dwoma opowiadaniami, a mianowicie: W. Ropszyna »Koń bliednyj« (*Russkaja Myśl*, styczeń 1909) oraz I. Surguczewa (*Wiestnik Jewropy* 1909, zeszyt I) p. n. »Sąsiadka«. Różnica, jaka zachodzi pomiędzy oboma tymi obrazkami, jest znaczna, głównie z powodu wartości artystycznej, bo gdy w pierwszym czuć zmanierowanie, drugi tonie w jakiemś cieple serdecznem i tętni żywo życiem. Obydwa one jednakowoż oddają to głęboko zakorzenione w społeczeństwie rosyjskiem zło, które przemienia młode dusze na indywidua, pełne tragizmu.

Bohaterami obydwu obrazków są mordercy. Ale jakże daleko odbiegają oni od swojego prototypu, od pierwszego mordercy, jaki był na świecie, — od Kaina?!... Popełniają oni wprawdzie straszliwe czyny i zanurzają swoje, prawie dziecięce jeszcze ręce, we krwi, ale też po to, ażeby za zrabowane przez nich cudze życie zapłacić bezzwłocznie własną krwią, życiem własnem. Na to, ażeby popełnić morderstwo polityczne, tracą całą siłę swego idealizmu, dając samych siebie na ofiarę, cały zapał i porywy czułego na ból cudzy serca. Przedewszystkiem atoli tracą sumienie, a z niem i poczucie różnicy pomiędzy dobrem a złem, co można było niemal codziennie obserwować w czasach gorączki rewolucyjnej. Ironia wypadków, ten wieczny Mefistofeles, przemienia w złoczyńców właśnie tych, którzy zło nienawidzą całą duszą, wszelkiemi jej siłami. I jak starożytny Brutus na miecz własny, tak w tym wypadku sumienie rzuca się samo na siebie i samo sobie śmierć zadaje, a z chwilą, gdy następuje zgon sumienia, cóż pozostaje przy życiu?...

W opowiadaniu p. t. *Koń bliednyj* występuje Wania, który wolność i dostatki uważał za ideał Marty, nie zaś Maryi, który przez całe życie wierzył w Chrystusa i w imię miłości, w imię tegoż samego Chrystusa... zamordował gubernatora. Przed straceniem, zanim go

w mgle porannej zadławi sznur szubieniczny, pisze z więzienia następujące słowa:

»Spełniłem swój obowiązek... Myślę, że gdybym nawet uciekł, jednakowoż nie mógłbym żyć po tem, com uczynił«.

Spełnił swój obowiązek i zginął z tem niezachwianem przekonaniem, że mordu dokonał z miłości i dla miłości oddał swoją duszę za swoich towarzyszy. Jakże politowania godna jest jego pewność, jego święta wiara w to, że Chrystus w miłosierdziu swojem przebaczy jemu grzech ogromny, ale grzech, popełniony z miłości. Jakiż tu straszny zanik pojęcia zasadniczego o złem?!...

Albo owo dziewczę — Erna, która skromny zasób wiadomości swoich z zakresu chemii zużywa na przysposobienie bomby dla gubernatora przeznaczonej, dla tego gubernatora, w którym, zdaniem jej towarzyszy, jak w czerwonym kwiatku Garszynowskim, skupia się zło, jeśli nie całego świata, to w każdym razie Rosyi przynajmniej, tak, że mogłoby się chwilami zdawać, iż jest ona siostrą raczej Abla, aniżeli Kaina. I ona odsłania swoją właściwą naturę nie wówczas, kiedy pracuje nad rtęcią piorunującą i materyałami wybuchowymi, lecz wtedy, gdy pogrążona w smutku i rozpaczy, jęczy w głos:

— »Nie mogę żyć mordem, nie mogę!...«

Wszystko to występuje na jaw nie tyle dzięki powieści p. Ropszina, ile mimo jego woli. Co się tyczy powieści samej, stworzona została bardzo zręcznie, skoro zupełnie nieorganicznie, bez konieczności wewnętrznej, splata religię z rewolucyą, gubernatora z Chrystusem. Ale też niepodobna zaprzeczyć, że w utworze omawianym daje się odczuwać najwyraźniej, iż przez usta swego bohatera przemawia autor. Znać tutaj wprawną rękę wyszkolonego technika literackiego, ale nie artysty. Bo np. żywioł romantyczny został zastosowany najfatalniej, w sposób grubo nieprawdopodobny. Wprawdzie autor zamierzył przeprowadzić go w inny sposób, ale zamiaru nie wykonał. Miał zaś na celu przedstawić rewolucyonistę rozczarowanego, człowieka, którego serce podobne było raczej do pustyni, który jednakowoż porzuca politykę dla zwodniczego ogniska miłości, ale ostatecznie gasi go w sobie. Poszczególne sceny (jak np. śmierć Erny; rewolucyonista Fiodor, zagrożony przez śmierć i przeczuwający ją »każdą kroplą krwi«; ajenci policyjni, ścigający terorystów), jakkolwiek tętnią życiem, przecież nie są w stanie okupić niedostatków całości, jakie szpecą opowiadanie p. Ropszina.

Ale też tem więcej uwagi i podkreślenia godne to, że fakt sam

został uchwycony wiernie i z tej fabuły występuje przed nami fakt życiowy, mówiący sam za siebie, pomimo usterek, uczynionych przez autora. Ponad manierą pisarską góruje prawda, owa gorzka i straszna prawda, której można dać imię: Abel-zabójca...

Teraz zaś zatrzymajmy się nad obrazkiem p. Surguczewa p. t. »Sąsiadka«, obrazkiem pełnym serdeczności i prostoty naturalnej, a zarazem wysoce artystycznym, ile że strun lirycznych nie nadużywano w nim wcale.

W pokoju, który przedtem zajmował pijany i awanturniczy były artysta teatrów rządowych, a z którego nie bez żalu i współudziału sędziego musiał ustąpić, gdyż z zasady nie płacił komornego, — zamieszkała sąsiadka studenta. Dziewczę miało oczy, jak chabry bławatów, jasne włosy, miły głosik, tak, że student pomyślał sobie zaraz, że musi ona lubić wiersze, muzykę Griega i sztuki piękne. Była dla niego jakby świetlane zjawisko, to zaś, że za cienką, drewnianą ścianą, oklejoną wypłowiałem obiciem papierowem, będzie mieszkać ładniutkie dziewczę, wzbudzało w nim równocześnie radość i trwogę. Zetknięcie się z dziewczęciem, które miało jasne, jak len, włosy i modre oczęta, nie przechodzi bez śladu. Młodzieniec był nie tylko studentem, ale i poetą, to też zaczął układać wnet wiersze do swojej miluchnej sąsiadki.

— »W umyśle moim tworzy się cały obraz. Tam za ścianą siedzisz ty. Znałem cię od dzieciństwa. Pokochałem ciebie. Tobiem pierwszej i jedynej śpiewał swoje pieśni. Wszędzie widziałem tylko ciebie. I rosa, i zorze, i gwiazdy, — wszystko to było tylko dla ciebie...«

On był nie tylko studentem i poetą, on był nadto śpiewakiem. A że wyobraźnia rozbujała mówiła mu, że nieznajoma sąsiadka zapomniała o nim i kocha teraz tego basistę, który u niej siedzi w pokoju i o czemś zagadkowo z nią rozmawia, nie wytrzymał dłużej i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zanucił:

Zapomnieć, jak księżyc w pełni
Na nas spoglądał przez okno...
Jak firanki cicho kołysały się
Zapomnieć tak prędko!...

Marzenia młodzieńcze domagają się urzeczywistnienia. To też student nie wytrzymał i poszedł zaznajomić się z sąsiadką. Stanąwszy na środku jej pokoju zaczął mówić:

— »Jesteście człowiekiem intelligentnym, a więc zrozumiecie. Zupełna samotność, zupełny brak znajomych. Miasto ogromne, masa

ludzi, osób, a rozmawiasz tylko z Daryuszką (kucharką) i z Anną Siergiejewną. A tuż obok mieszka istota intelligentna, uczuciowa. Tak, myślę, zrozumie i przebaczy, — i zdecydowałem się pójść do was. Przebaczycie? Tak?«

Przebaczyła i prędko go pokochała, modrooka sąsiadka jego duszy. Nie mogła nie pokochać go, gdyż miała, równie jak on, młode i wrażliwe serce, on zaś wszystko pojmował szybko, nawet pożałowania godne położenie samotnego Akima Isaakiewicza, który nie miał gdzie pójść, który gra na cytrze i po siódnym korektorskim dniu w drukarni marzy o tem, żeby mu przyśnił się sen rozkoszny, serenada Brahy, Schuberta... Ona nie mogła nie pokochać 'swojego sąsiada, — wszak on był serdecznym i intelligentnym młodzieńcem. W pogodną noc jesienną lubił patrzeć ku gwiazdom i dumać:

— »Jakże ogromne i złożone jest życie! Ot, ludzie śpią, — oni teraz są pozbawieni obrony, jak trupy. Oni są szczerzy. U nich nie funkcyonuje mózg, — mało życia. A niechaj tylko zaświeci słońce, oni, nabrawszy w nocy tajemniczej siły, zezwierzęceją i będą we dnie śmiać się i przeklinać życie, które bądź co bądź mogłoby być przepięknem i szczęśliwem. Jakżeż różnorodnem jest z każdą chwilą życie ziemskie! Ludzie rodzą się. Umierają ludzie. Przewijają się podobni do robactwa. Płyną, jak łabędzie, poza statki. Na ołtarzach i w mogiłach ciemno. Są serca, pełne trwogi i przeczuć, które uspokaja świeża, czysta, jesienna noc. Świeża, czysta...«

Sąsiad pokochał się z sąsiadką. W mroczne wieczory jesienne jeździli razem na wyspy, dopóki niebo, teraz jeszcze błękitne, nie zacznie przybierać koloru »przekwitłego, starego, kapiącego łzami oka«.

Modre oczy sąsiadki posmutniały. Jakaż to przemiana dokonuje się w jej duszy? Pokochała, tylko nie mówi całej prawdy. Słowa miłości wyrzekła w tę noc, w którą »z przeźroczego, kryształowego nieba sypał pierwszy, wonny, suchy śnieg, tak podobny do młodocianej miłości«, w tę noc, kiedy grzejąc zziębnięte palce dziewczęcia student powtarzał, jak echo: »Moje miłe znajome palce.., moje drogie znajome palce...« Słów miłosnych ona nie powtarzała i wyznawała otwarcie, że pragnie »prostego, maleńkiego, ale tylko osobistego szczęścia«. Nie wspomniała tylko o tem, co stoi w poprzek drogi, wiodącej ku temu skromnemu ludzkiemu szczęściu, dlaczego jej jakby wstyd było tej miłości, dlaczego jej modre oczy powleka nieginąca łza?

Student czuł, że ją dławi i dusi »jakaś ogromna, gethsemańska

tęsknota«. I gdy mu szepce do ucha, że kocha jego jedynie, że on dla niej jest pierwszym i ostatnim kochankiem, to przed wymówieniem tego słowa »o s t a t n i«, robi nerwowo pauzę i łza pojawia się w jej oku, a równocześnie dają się słyszeć ciche, tłumione łkania. Dlaczegóż to jej serce rozdziera się na słowo — »ostatni«? Czyż może student chce ją porzucić, a może przestał ją kochać? I dlaczego żegna się z nim wprost i mówi: »Tyś do matki podobny? to znaczy, będziesz szczęśliwy...«

Z temi słowami na ustach, spoglądnąwszy u samego progu na sąsiada, wymówiwszy jeszcze tylko: »Żegnaj, mój drogi, żegnaj mi!« odeszła razu pewnego i już więcej nie powróciła. A zamiast niej wtargnęli tłumnie policyanci, którzy oznajmili, że sąsiadka studenta nie nazywała się Maryą Konstantynówną, lecz Olgą Piotrówną, z czego można było domyśleć się, że to ona dzisiaj zastrzeliła jenerała. Przetrząśnięto cały pokój, i jeden z policyantów zadziwił się mocno na widok puszki z herbatą i cukru, przesłuchano gospodynię domu, zapewniając ją, iż niema powodu do obawy: »Nie mamy zamiaru wieszać was!...«

Co jednak uczyniono z »sąsiadką«, z tą modrooką, jasnowłosą dziewczyną?

Autor nie mówi o tem ani jednem chociażby słówkiem. Tylko student, który przebył ciężką chorobę i przyszedł do zdrowia aż na wiosnę, nie w Petersburgu, ale w swojem rodzinnem nadwołżańskiem mieście, student spoglądał na oświeconą słońcem głowę matczyną i nieraz myślał o »sąsiadce«: »Tak, teraz jej już niema; — ale przecież to bagatelka: niechaj jej nie będzie, przecież są na świecie mroki«... I on wyczekuje niecierpliwie zmroku, a gdy ciemność pocznie wlewać się do pokoju, wówczas widzi, że jak dawniej wieczorami przychodzi do niego dziewczę o złocistych, jasnych, jak len, włosach. Tylko modre jej oczy teraz wyzbyły się trwogi, a uzyskały coś świętego w swoim błysku. Toż mawia do niej nieraz:

— »Ty, ty, ty!... znowuś ty! Droga! Moje słońce, moje życie! Moja jedyna, moja największa radości!...«

Ale gdy mroki stawały się coraz gęstsze i w pokoju ciemność ogarnęła wszystko, wchodziła z lampą w ręku siwa matka-staruszka. Wówczas sąsiadka nie siadywała na pościeli i tylko gestem ręki posyłała kochankowi pocałunki. On jednak nie odpowiadał na nie, myśląc w cichej zadumie:

— »Przecie nie mogę odpowiadać pocałunkami przy mamie! To

też uśmiecham się do niej cicho i radośnie i jednym szeptem ust mówię o miłości... a radość taka tryska ze mnie, że — koniec końców, zamienia się w śmiech; taki maleńki, taki cichy, że wprost dziwię się, jakim sposobem może go zauważyć mama«.

Daleki jestem od pretensyi, ażeby streszczenie to, przeładowane z umysłu cytatami, mogło wyczerpać cały smutek, oraz dać pojęcie należyte o artyzmie, plastyczności i humorze mimowolnym, które to cechy przeglądają z każdej stronicy opowiadania.

Ale już samo to, co zostało wyżej naszkicowane, wywołuje myśl o niewinnych mordercach. Dziewczęciu z modremi oczyma tłumaczył nieraz ów basista, o którego był tak zazdrosny student, że jej oczy i prześliczne gęste włosy wzywają ku szczęściu, ku radości, wołają do życia, — a nie należy zapominać, że wokół rozścielała się zżółkła, zgniła jesień, nie wiosna kwitnąca. I chociaż dziewczę pragnęło namiętnie szczęścia pod tym dachem, który na krótko przed urodzeniem jej i jej sąsiada ktoś zrobił, ażeby oni poznali się i pokochali tam, (tak prawił jej student-poeta), — przecież ona posłuchała nie jego, nie kochanka, lecz swojego surowego gościa — i na jego zlecenie oddała pokornie swoją młodość i miłość i modre oczęta na ofiarę Minotaurowi społeczności rosyjskiej, który wiele młodzieńczych ofiar wciągnął w swój straszny, bez wyjścia labirynt i tych, co dyszeli miłością, przemienił w morderców. Oni modlą się, żeby ich ta czara minęła, modlą się w smutku »gethsemańskim« pogrążeni. Ale nie śmieją wierzyć, że mają prawo do »prostego, maleńkiego, osobistego szczęścia«. Im tego nikt nie powiedział, a przecież oni mordują, umierają, gubiąc drugich i siebie, niejakoś, rzecby można, Able, stworzeni na obraz i podobieństwo Kainów... Z nimi postępują, jak z Kainami, to też już nigdy nie powróci do sąsiada jasnowłose dziewczę.

A kto wie, czy Ten, Który pierwszy w niezapomnianą noc doświadczył zwątpienia w ogrodzie oliwnym, czy On nie uniewinni dziewczęcia, wiedząc, że niemasz większej męki od tej, jaką przejść musiał Abel-morderca...

Dr. St. Zdziarski.

Petersburg, 17 lutego 1908 r.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Krótki zarys historyi sztuki. Skreślił *dr. Michał Żmigrodzki.* Wydanie nowe. Z dodatkiem 515 rycin i rysunków. Kraków 1908. 8-ka, str. 398 i 409.

Nowe wydanie podręcznika tego zaopatrzył autor w 3 tom obejmujący ryciny i rysunki służące do oryentacyi czytelnika. Podręcznik opracowany w duchu katolickim zawiera systematycznie przeprowadzone omówienie pojedynczych epok historyi sztuki. Przy omawianiu czy to poszczególnych dzieł sztuki czy też artystów podaje krótko i zwięźle charakterystyczne rysy, wyjaśniając przytem w krótkości ważniejsze zasady estetyczne, o które potrącił we wstępie pierwszego tomu. Styl żywy, jasny sprawia, że się czyta bez znużenia, z zajęciem. Ma ten podręcznik nadto cechy praktyczności a w całości owiany ciepłym i zdrowym duchem, spełnia widocznie życzenie autora, pragnącego, by jego książka zajęła miejsce nie tylko w salonie ale i w pracowni i w izbie szkolnej, skoro już trzeci tysiąc puszczony w obieg. Jeżeli autor zapewnia w przedmowie, że książkę jego można i najmłodszemu dziewczęciu dać do rąk, to z zastrzeżeniem, by nie dawano mu do rąk tomu trzeciego, gdyż poza brudami, które pominął, jest tam dość nieodpowiedniej nagości.

Nadto zauważyć należy, że ryciny pozostawiają pod względem wykonania nieco do życzenia. Razi też w tem dziele polemika autora z p. K. Górskim w przedmowie do dzieła. Można było zaznaczyć stanowisko własne i potrzebę reakcyi przeciw nadużyciom najnowszych prądów w sztuce, osobiste jednak wycieczki zbyteczne wobec uznania, jakiem się przecie szanowny autor cieszy wśród społeczeństwa. Życzyć wypada równie pomyślnego rozszerzenia jak przy wydaniu pierwszem, by drobne usterki w następnem wydaniu mogły być zupełnie usunięte.

X.

M. Waleryusa Marcyalisa Epigramów ksiąg XII przekładał Jan Czubek. W Krakowie 1908, str. XVI, 459. (Wydawn. Akad. Umiej. w Krakowie: Biblioteka przekładów z literatury starożytnej t. III).

Marcyalis, mistrz w sztuce tworzenia epigramów i wzór niedościgniony, znalazł w Polsce tłumacza dopiero w wieku XVIII, jakkolwiek wpływ jego duży widoczny jest już u Kochanowskiego. Wszystkich jednak epigramów nie przetłumaczono nigdy tak, że niniejszy przekład p. J. Czubka jest pierwszym pełnym przekładem polskim epigramów Marcyalisa. Tłumacz wywiązał się ze swego trudnego zadania jak nie można lepiej. Nie odstępując zbytnio od pierwowzoru, umiał nadać przekładowi piętno swojskie, co zawsze stanowi największą trudność przy tego rodzaju pracy. Zwięzłość, właściwa epigramom, a przytem wielka plastyczność przedstawienia jest w niektórych epigramach nawet doskonalsza w przekładzie aniżeli w oryginale. Niemniej udało się tłumaczowi uniknąć ordynarności wyrażeń w takich ustępach, które u Marcyalisa odznaczają się wstrętną zmysłowością. Wogóle można powiedzieć, że przekład p. Czubka należy do najlepszych w literaturze polskiej wogóle.

Spodziewać się należy, że tłumacz

przełoży jeszcze i resztę epigramów Marcyalisa: *Spectaculorum liber, Xenia* i *Apophoreta*. Szczególnie te ostatnie dwa zbiory byłyby bardzo pożądane.

Dr. J. Dem.

Z krainy Faraonów. Wrażenia z podróży. *Ks. F. Leliwa Józefowicz.* Lwów 1908. Str. 24.

Wymieniona w nagłówku bezpretensyonalna broszurka, daje garść wrażeń i spostrzeżeń i trochę dat historycznych, nawiązuje do Pisma św., szkicuje charakterystyczne cechy wschodniego życia, porusza krótko to, co zwiedzającego po raz pierwszy nieznany kraj, zainteresować może i co przygodnemu turyście, który nie miał okazyi czy czasu do głębszego wniknięcia w warunki kraju, w podróży się przyda. Cel broszurki jest praktyczny i dlatego nie brak w niej nawet krótkich wskazówek, jak najwygodniej na Wschodzie się urządzić.

Ks. W. W.

XX. Misyonarze w Iłłukszcie. *Wołyniak.* Księgarnia Miłkowskiego. Kraków 1909. Str. 41.

Jest to krótka historya zakonu XX. Misyonarzy, sprowadzonych w r. 1787 do Iłłuksztу, opracowana przeważnie ze źródeł archiwalnych klasztoru. Autor wymienia szereg nazwisk znacznych i gorliwych księży. Opis kończy się kasatą w 1842 r.

St. B.

Soczinenija P. A. Kulisza. Tom II. Izdanije A. M. Kulisz. Pod redakcijej I. Kamanina. Kijew 1908. (8-ka, str. 456 i 19).

Dziesięciolecie, ograniczone latami 1882—1892, mieści w sobie tom drugi zbiorowego wydania utworów Kulisza, ongi szczerego »Ukraińca-separatysty«, potem i aż do ostatka carosławnego pisarza, który nie zawahał się ani przez chwilę małą obok wierszy »Do Szewczenki« czy też »Na pamiątkę 1847 roku« stworzyć takich służalczych panegiryków, jakiemi są niezaprzeczenie wiersze p. n.: »Jedynomu carewi« i »Jedynoj caryći«. Jak utwory te pogodzić się dadzą z jego »ukraińskiem« sumieniem?!

W tomie drugim pomieszczono »Poezyę chutorową« z opuszczeniem utworów prozą napisanych, które mają w myśl zapowiedzi redakcyi ukazać się w jednym z najbliższych tomów wydawnictwa, a poza tem »Mahometa i Chadizę«, »Chutorni nedogarki«, poemat »Marusię Bohusławkę«, wreszcie utwory drobne, porozrzucane po rozmaitych czasopismach małoruskich i rosyjskich, oraz niektóre rzeczy, jakie dotychczas nie oglądały światła Bożego, wydane z rękopisów pośmiertnych po raz pierwszy: »Parafrazy z utworów wielkorosyjskich« i »Elegie rzymskie«, jako też kilka rzeczy treści rozmaitej.

C. R.

Die Bekenntnisse des hl. Augustinus. Buch I—X. II u. III. Aufl. Übersetzt von *G. von Hertling.* B. Herder. Freiburg i. B. Str. X, 519.

W ciągu dwóch lat trzy wydania niemieckiego tłumaczenia »Wyznań św. Augustyna, to chyba dobre polecenie książki. Nie naszem zadaniem pisać tu o znaczeniu Wyznań — zainteresuje każdego ta autobiografia, która nie dla wywołania sensacyi, ale dla pokory odkrywa błędy i walki, porażki i zwycięstwa, aby w każdym prawie rozdziale zakończyć uwielbieniem miłości i dobroci Bożej. Dziesięć tylko ksiąg Wyznań przetłumaczył Hertling; pominął trzy ostatnie, które zajmują się obszernie biblijnem

opowiadaniem o stworzeniu a nie tworzą żadnego prawie przyczynku do charakterystyki św. Augustyna. Tłumaczenie jest dobre; oddaje wiernie nie tylko myśli, ale i sposób wyrażania św. Augustyna.

W. W.

Kreuzwegbüchlein. *M. Meschler S. J.* B. Herder. Freib. i. Br. Str. XII, 96.

Pierwsza część tej książeczki podaje krótki historyczny rys o początkach drogi krzyżowej wykłada podstawy tego nabożeństwa, rozbiera przyczyny, dla której ono tak się rozszerzyło, i uczy, jak je z korzyścią dla duszy odprawiać. Druga zawiera czternaście rozważań, każde z odpowiednią modlitwą. Uwagę czytającego zwraca serdeczny ton dziełka; płynie ono ze serca i do serca idzie; i dlatego może zbudować i duszę miłością cierpiącego Jezusa rozpalić a równocześnie do cierpliwego znoszenia własnych krzyżów zachęcić.

W. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ze zjazdów i kongresów katolickich

Ostatnie miesiące stały pod znakiem różnorodnych zjazdów i kongresów katolickich o charakterze ogólnym i międzynarodowym, jak kongres eucharystyczny w Kolonii i szczegółowym i lokalnym; te ostatnie w niniejszem sprawozdaniu zajmować nas będą.

W Zug w Szwajcaryi obradowało od 20—24 sierpnia dziesięć tysięcy katolików, należących przeważnie do rozszerzonego na całą Szwajcaryę Związku ludowego. Celem tego zjazdu było wzajemne porozumienie się katolików różnych kantonów, dotychczas między sobą zbyt luźnie połączonych, i omówienie jako też wybranie środków, służących do osiągnięcia wysokich zadań, do jakich katolicy tamże zdążają. Te zadania są w wielkiej mierze zadaniami narodowemi, lecz dadzą się urzeczywistnić tylko na podstawie wiary, zasad etycznych i troski tak o dobro ogółu jak i jednostek.

Przedstawiciele różnych kantonów, trzech narodowości i trzech języków połączyli się po raz pierwszy tak ściśle i tak bez zastrzeżeń a ich wspólne i stanowcze wystąpienie w obronie praw Kościoła i katolików, nie tylko jako katolików ale i jako obywateli, zjednało im podziw i uznanie nawet ze strony innowierców.

Jedno z takich uznań bezstronnych a trafnie znaczenie kongresu charakteryzujących, zasługuje na bliższe poznanie.

Radca kantonowy, reformowany Lopp, pisze w *Bulach-Dielsdorfer Zeitung:* »Nie chodziło im (katolikom) o upozorowaną pijatykę, jak na naszych uroczystościach, lecz o poważną, potężną pracę ducha, która się skoncentrowała w licznych sekcyach szwajcarskiego katolickiego Związku ludowego w czasie tych czterech dni, o zamanifestowanie charakteru całej części ludności, o wyznanie przed Bogiem i ludźmi. Ten kongres był olbrzymią manifestacyą, wspaniałym występem narodu w obronie idei religijnej i tej wiary w Boga, której nie wolno pominąć w przemyśle, obyczajach i wiedzy, w życiu domowem i politycznem. Kto tę wiarę sobie przyswoił, ten się jej nigdzie nie zaprze, przeciwnie szczerze i otwarcie, choć bez obłudy, wyzna ją tam, gdzie tego zajdzie potrzeba. A że dzisiaj już zachodzi ta potrzeba, o tem świadczy wiele groźnych publicznych objawów; niezliczone są podstępne walki i krecie roboty wrogów wszelkiej religii, występujących z błyskotliwemi hasłami i programami. I dlatego było bardzo potrzebnem, aby przeciwko temu tchórzostwu i znieprawieniu mas wystąpiła wiara mas i podniosła wysoko swój sztandar, nawet przeciwko Radzie Związkowej i Sądowi Związkowemu, nad którymi przeszła zasłużona, żywiołowa burza wolnego ducha narodu. Dużo w tych dniach złożono duchowych bogactw w sercu całego narodu i z wdzięcznością uznać to trzeba, a żal i smutek rodzi się we mnie, gdy się pytam: czemu my, reformowani, podobnie nie pracujemy? Nie przeciwko nim, lecz razem z nimi. Czemu nasze ewangelickie stowarzyszenie zajmuje się tylko humanizmem, co działającym osobom niesie wprawdzie uznanie, ale dla idei religijnej w ludzie nie zdobywa żadnej duszy? Czemu wystrzegają się wszelkiej walki przeciwko złym pierwiastkom, bez której każda praca stanie się bezowocną komedyą? Katolicki Związek Ludowy daje nam przykład. Obok dzieł socyalnych podejmuje on o silnym charakterze świadczącą walkę przeciwko wrogom ludu. W tem jego największa zasługa i ofiara równocześnie«.

Żywy ruch o charakterze szczegółowym i zawodowym pojawia się także między katolikami włoskimi. Dwudziestego drugiego sierpnia obchodzili katolicy medyolańscy w Melegnano swoje święto związkowe; w osobach delegatów przedstawionych było trzysta katolickich stowarzyszeń ze sztandarami a w samym zjeździe brali udział posłowie, radni i radcy prowincyonalni, przedstawiciele władz i kardynał-arcybiskup Ferrari. Na uwagę zasługiwała oklaskami przyjmowana mowa posła Nava o udziale katolików w politycznem życiu. Przeciwne obozy życzą sobie, by i na przyszłość katolicy od publicznego życia nie wstrzymywali się, gdyż powstrzymywanie się wychodzi wrogim stronnictwom na dobre. To jednak powinno się zmienić; katolicy muszą umieć uszanować swoją godność wolnych obywateli i stanąć w obronie ojczyzny przeciwko rozkładowym siłom nieprzyjacielskim. Ich obowiązkiem uznać obecne ukształtowanie się stosunków i starać się, aby zostały one uwolnione od wpływów nieprzyjaciół Kościoła. Podstawą dla akcyi politycznej katolików musi być demokracya chrześcijańska, celem bowiem katolików jest moralna i religijna obrona i socyalne podniesienie ludu.

Wogóle i w mowie kardynała i innych uczestników zjazdu przebijała nuta, zachęcająca do miłości Kościoła w połączeniu z miłością kraju.

Ciekawym pod wielu względami był trzydziesty drugi zjazd katolickich stowarzyszeń dyecezyi Bergamo. Zjazd zgromadził 10 tysięcy uczestników i 171 chorągwi związkowych a burzą oklasków przywitano list Ojca św., który w gorących słowach wzywał do obrony zagrożonych interesów wiary. Sprawozdania przedstawiły działalność katolików dyecezyi w bardzo dodatniem świetle. Dyecezya posiada pięćdziesiąt dwa centralnych zarządów i 1250 członków. Sto dwadzieścia katolickich Związków młodzieży liczyło 9697 członków; liczba ta powiększyła się w roku ubiegłym o 22 nowe Związki i 1387 członków. W dwudziestu trzech oratoryach umieszczono 4650 chłopców; założono w bieżącym roku 24 ligi Ojców rodzin i 137 członkami. Do 120 katolickich sodalicyi należy 11.227 osób. Dziewięćdziesiąt dwie katolickich instytucyi kredytowych liczy 11.872 członków. W dwudziestu syndykatach zawo-

dowych zorganizowano 5856 robotników i robotnic. W tych i w innych stowarzyszeniach, jak np. Związku prasowym, wyborczym, w kasach oszczędności i instytucyach o charakterze dobroczynnym liczy dyecezya dziś 50 tysięcy katolików zorganizowanych, wytrwale przy Kościele stojących, a ich działalność wspomagają banki o obrocie 300 milionów lir rocznie.

Ważnym był również dla katolickiej sprawy walny zjazd Związku włoskich katolickich nauczycieli, tak zwany Niccolo Tommaséo, który w pierwszej połowie września odbywał się w Como. Ponieważ wielka nawet część członków uważała Związek tylko za organicznie ze stronnictwem konserwatywnem złączony odłam, przeto wiec stwierdził, że związek nie zależy od żadnego stronnictwa politycznego, jest samodzielny i sam potrafi stanąć w obronie interesów nauczycieli. Przy omawianiu tego punktu wyłoniła się dość namiętna dyskusya. Ponieważ położenie materyalne nauczycieli jest we Włoszech bardzo nieświetne, parła pewna część zgromadzonych do strajku; ostatecznie pogodzono się i postanowiono na legalnej drodze dążyć do poprawienia materyalnej doli. Kongres wysłał telegramy hołdownicze do Ojca św. i do króla a *Osservatore Romano* po skonstatowaniu tego faktu w serdecznie napisanym artykule wstępnym obrady kongresu powitał. Te i tym podobne objawy zdają się świadczyć, że w Rzymie w zapatrywaniach miarodajnych na stosunek katolików do rządu, zachodzą pewne powolne zmiany.

Różne wiece odbywały się także na terytoryum austro-węgierskiem, gdzie jakaś fatalność nie zezwala na kongresy ogólne. Do najważniejszych z tych zebrań zaliczamy bez wahania trzydniowy wiec katolickich akademików słoweńskich, obradujący w Lublanie od 30 sierpnia do 1 września. Zgromadził on do 450 akademików a z całej południowej Słowiańszczyzny, ze Styryi i Karyntyi, Istryi i Gorycyi, Kroacyi, Dalmacyi i Krainy pospieszyło nań wszystko, co Słowiańszczyzna południowa wybitnego w sobie liczy. Piszący te słowa był obecnym na wiecu i utwierdził się w swojem pochlebnem zdaniu o pracy katolickiej wśród Sło-

weńców, wypowiedzianem w zeszycie sierpniowym *Przeglądu.* Te olbrzymie szeregi akademickiej młodzieży, występujące z odkrytą przyłbicą i pod sztandarem katolickim, to pociecha dla przywódców ruchu i zachęta do dalszej pracy. Dwa katolickie stowarzyszenia akademickie: Danica i Zarja sprowadziły do Lublany te tłumy, aby na słowiańskiej ziemi, swobodnie i niekrępowanie wypowiedziały to, co je boli, jak do walki się przygotować, jak do niej iść i w obronie swej narodowości i swojej wiary się potykać. Nadspodziewanie liczne zastępy księży, rozrzuconych po całej sali i biorących gorliwy udział w obradach i posiedzeniach wiecu, stwierdziły raz jeszcze, że młodzież uznaje pracę i poświęcenie kleru dla swego życia religijnego, narodowego i materyalnego, a huragany oklasków, które witały gorące przemówienie pierwszego wodza Słoweńców, ks. biskupa Mahniča i serdeczne słowa księcia-biskupa Lublany, Jegliča i ks. Kreka, nawołujące do jedności i łączenia się, do pielęgnowania ducha religijnego i narodowego, w tem przekonaniu tylko utwierdziły. A chociaż wiec przeciążony był pracą, znalazł mimo to wolną chwilę, żeby na uroczystem posiedzeniu a później raz jeszcze na pożegnalnem zgromadzeniu wyrazić entuzyastycznie swoją sympatyę i polskim braciom z nad Wisły i Warty.

Kilka ważnych wniosków przyjął także wiec czeskich katolików, otworzony 29 sierpnia w Królewskim Hradyszczu. Dwadzieścia tysięcy katolików biorących w nim udział wykazało, że rozumieją coraz lepiej swoje zadania i czują potrzebę informowania się o stanie rzeczy i o środkach walki. Wnioski, dotyczące sakramentu małżeństwa, a przedewszystkiem uchwała o zorganizowaniu robotników czeskich i słowiańskich, w Czechach zajętych, na podstawie chrześcijańsko-społecznej, pozwalają się spodziewać pewnych obfitszych owoców na przyszłość.

Prawdziwą niespodzianką dla mniej obeznanych ze stosunkami węgierskimi, był katolicki zjazd węgierski w Szegedynie. Po przyjęciu przez rząd różnych ustaw antykościelnych, zrozumieli przywódcy katoliccy, że dla Kościoła na Węgrzech zbliżają

się ciężkie chwile. Pragnęli ich siłę i wpływ osłabić, lud przygotować i wzorem Niemców rozpoczęli od wieców katolickich, które od dziesięciu lat zbierały się rok rocznie z wyjątkiem r. 1905. Tym razem wybrano na wiec Szegedyn, miasto zamieszkałe prawie wyłącznie przez katolików, lecz opanowane przez wolnomularzy i żydów i zarażone duchem liberalizmu. Teren przygotowali wodzowie katoliccy przez założenie w Szegedynie i okolicy Katolickiego Związku Ludowego i ich oczekiwania zostały przewyższone. Piętnaście tysięcy uczestników wiecu, trzydzieści mniej więcej tysięcy osób, tworzących szpalery przy procesyach i pochodach, ośmiu biskupów, kilkuset kapłanów, wielu deputowanych, magnatów i członków Izby panów zebranych w Szegedynie, to był istotnie tryumf katolickiej myśli. W ciągu trzechdniowych obrad poruszono wiele ważnych kwestyi a nie ograniczono się do teoryi tylko, lecz zstąpiono i do praktyki i powołano do życia kilka instytucyi, mających na celu iść z pomocą moralnie i materyalnie uciśnionym. W kilku dniach została trzydziestoletnia praca liberalna w Szegedynie z gruntu zniszczona a gazety liberalne, choć z bólem, same to uznają.

Dla katolików austryackich jest wiec w Szegedynie gorzką pigułką. Razem z katolikami węgierskimi obradowali, choć w osobnych lokalach, katoliccy Niemcy, mieszkający na Węgrzech. I nikt się tem nie gorszył, że językiem ich obrad był język niemiecki i nikt im w tem nie robił przeszkody, owszem w ich obradach brali udział biskupi węgierscy i nawet wiceprezydent parlamentu, Rakowszky. Dlaczegóż więc tylko w Austryi szowinistyczna polityka narodowa Niemców ma uniemożliwiać kogresy ogólne?

Nie myślimy bynajmniej z tych pocieszających objawów wyciągać daleko sięgających wniosków. Jedno one w każdym razie stwierdzają, to mianowicie, że duch katolicki budzi się i dąży do zerwania krępujących pętów, niesłusznie mu przez wrogie stronnictwa nałożonych. To budzenie się ducha religijnego podnieci z pewnością przeciwne obozy do tem zacieklejszej walki, ale katolicyzm nie będzie już na nią nieprzygotowany a idąc w bój z nadzieją w błogosławieństwo niebios i z ufnością w zwy-

cięstwo dobrej sprawy, pokona trudności i dojdzie, choć pewnie przez dużo jeszcze utrapień, do upragnionego celu.

Ze zjazdu wolnomyślnych w Brukseli

Od pokoju, nacechowanego miłością innowierców i prawdziwą tolerancyą, która znamionuje zawsze kongresy katolickie, dziwnie ujemnie odbija kongres wolnomyślnych, jaki dziewiętnastego września otworzono w Brukseli. Katolicy wiedzą dobrze, co wogóle o wolnomyślności sądzić, dla kogo ona istnieje i jaki ma cel. Żeby nas jednak nie posądzono o stronniczość, oddamy głos pismom liberalnym.

»Na kongresie w Brukseli — pisze antwerpski *Matin* — wodzono się trochę za łby; ba! znaleźli się tam, co swoją drogą rzadko się zdarza, mowcy, którzy bronili wolności myśli. Maréchal przeczytał imponującej długości referat o obowiązkach antyklerykalnego deputowanego; wykazał mu jak na dłoni, że musi on głosować przeciw budżetowi kultu, przeciwko poselstwu przy Watykanie i naturalizacyi zakonów a radni gminni powinni odrzucać budżet fabryk kościelnych. Nie wolno wolnomyślnemu posyłać dzieci do szkół wyznaniowych ani podejrzanych o religię do nich wprowadzać; w szkołach powinny być zniesione wszelkie oznaki religijne i t. d. Przedstawiciel wolnomyślnych z Lüttich, Lambrechts, zarzucił referentowi stronniczy fanatyzm; ten człowiek zażądał nawet, żeby wolnomyślni uszanowali i bronili wolności myślenia każdego, nawet wroga i sądził, że odmówienie budżetu będzie tylko czczą demonstracyą. Inny mowca, Faucon, wyraził się jasno, że nie trzeba jeździć na zasadach i nie być niewyrozumiałym«.

Po zrozumiałem zdumieniu, jakie po takich herezyach kongres opanowało, uchwalił on jednak powyższe postulaty i przypomniał swoim wyznawcom, że ich obowiązkiem jest dostosować swoje publiczne i prywatne czynności do swych racyonalistycznych przekonań. Na to odpowiada znowu *Matin:* »Racyonalistyczne przekonania to prosty frazes. Wiemy jednak, co oznacza racyonalizm dla belgijskich wolnomyślnych: on się stapia w pewnym względzie ze socyalizmem. I jeżeli na te zgromadzenia,

które z wolnej myśli jedynie szyld zatrzymały, zabłądzi przypadkiem jakiś godny swego nazwiska wolnomyśliciel, obejdą się wówczas z nim tak, jak z Lambrechts'em lub Faucon'em. Nie wolno mu mieć swoich osobistych przekonań; nałoży mu się przeciwnie przekonania jego grupy i powinien milczeć. Łudzi się niestety! jeszcze wielu liberałów i zapomina o tem, że na wszystkich takich kongresach, dążą wyłącznie »towarzysze« do swego celu, do zupełnego przewrotu społecznego«.

Ten liberalny głos uwalnia nas od dalszego zajmowania się kongresem wolnomyślnych. Ich on nie nawróci; warto jednak zapamiętać, że nawet we własnym obozie nie wszystko złoto, co się świeci.

Ks. Wiktor Wiecki.

Przegląd muzyczny.

Zygmunt Noskowski (1846—1909).

(Syntetyczny szkic).

Działalność śp. Noskowskiego była zbyt długa i dość długo byliśmy jej świadkami, aby mimo szczerego uczucia, straty, jaką muzyka polska przez jego śmierć poniosła, nie módz wyrobić sobie przedmiotowego sądu o dziełach twórcy »Stepu«. W szkicu niniejszym wiele sądów będzie dyametralnie odmiennych od tych, które wypowiedziano pod łatwo zrozumiałem wrażeniem śmierci artysty, który ojczystej sztuce służył lat 40. Sądzę jednak, że pisanie wyłącznych superlatywów jest szkodliwe; i jeśli inaczej postąpię, to tylko w imię znanego zdania M. Hauptmana: »W dziele wartościowem wymieniajmy wady; w dziele bezwartościowem szukajmy ustępów dobrych«. Przez »dzieło« rozumiem tu całokształt twórczości.

Przechodząc w myśli wszystko, co śp. Noskowski stworzył, zauważymy przedewszystkiem wielką wszechstronność — nie talentu, lecz samejże twórczości. Czynię tą różnicę dlatego, że nie wszystkie rodzaje muzyki, jakie zmarły artysta uprawiał odpowiadały rodzajowi jego talentu; nie wszystkie też dzieła jego były wynikiem bądź wewnętrznej konieczności i popędu, wiele natomiast utworów robi wra-

żenie, jakby artysta chciał tylko pod naporem ambicyi lub chęci eksperymentowania »tworzyć« je. Miara talentu śp. Noskowskiego nie pozwoliła na to, aby w każdej dziedzinie muzyki zdołał stworzyć równie wartościowe. Zważmy, że najwybitniejszym muzykom nie udało się to, a wielu z nich dzięki trzeźwości zmysłu krytycznego zdołało zapanować nad sobą i zaznaczyć sobie kierunek talentu, cel tworzenia w pewnych tylko formach. Jednym z motywów, które popychały śp. Noskowskiego do tworzenia w zakresie wszystkich form, była wielka łatwość wychowanej na ludowej melodyce inwencya i techniczna rutyna; niemniejszą rolę gra tu także i niemożność tworzenia artystycznie-egoistycznego, zależnego wyłącznie od woli i upodobania kompozytora, niemożność wynikająca ze stosunku artysty do społeczeństwa, umiejącego dać mu poznać, że czci go o tyle, o ile idzie społeczeństwu na rękę. Noskowski często padał ofiarą tego stanu rzeczy — jak zresztą wielu polskich kompozytorów. Dość wspomnieć, że w jego »repertuarze« znajdziemy obok symfonii — balet, obok kwartetu — operetkę, obok wielkich fug — utwory fortepianowe dla niewybrednego salonu, obok poematu symfonicznego i orkiestrowych waryacyi — muzyki dla wodewilów i teatrzyków ogródkowych, chóry i pieśni bardzo nastrojone na nutę zbyt popularną, tanią. Oto skutki uległości (zresztą dość tragicznej) wobec wszechwładnie rządzących warunków bytu muzyka w Polsce. Ten zupełnie jasny i zrozumiały dystrakt, to rozdwojenie znajdziemy w całej twórczości wielkiego artysty, znajdziemy je w każdem jego dziele, nawet bardzo wartościowem. Obok ustępów skończenie opracowanych z nakładem całej wielkiej wiedzy kontrapunktycznej, opracowanych pod tym względem wprost barokowo, znajdują się w jego symfoniach ustępy naszkicowane tylko, rzucone na papier wśród widocznego usiłowania nadążenia przychylnej sile twórczej inwencyi. Zwłaszcza w ostatnich dziełach symfonicznych brak planu i jednolitości w stosunku architektonicznym form przebija się bardzo widocznie. Wychowany w klasycznej szkole Kiela i żyjący temi wspomnieniami całe życie, zachęcony do tworzenia w duchu narodowym przez Liszta, a później przez przykład Moniuszki, zrazu przeciwnik, a zwolna wielbiciel Wagnera, a nawet Ryszarda Straussa (nie mówiąc już o Czajkowskim), łatwo uprzedzający się do nowych kierunków, a mimo to wrażliwy bardzo na to, co się w muzyce działo u obcych i u naszych — pragnął pogodzić z sobą wiele pozornych antytez w stylu i technice kompozytorskiej, napoty-

kając na ustawiczne sprzeczności w sobie samym, sprzeczności z własnem *credo*, ulegającem zmianie, gdyż żył w epoce, w której ciągłe zmiany i ciągły rozwój wszystkich pojęć o muzyce zburzyły jego tradycyę. Był — jak już z naciskiem zaznaczyliśmy — wrażliwym na wszystko. Stąd to niezdecydowanie i brak skupienia się, ześrodkowania sił indywidualnych, ten wyższy eklektyzm, zapewne wiadomy samemu artyście, skoro zupełnie świadomie uznawał za zadanie kompozytora być sumą narodowych pierwiastków, nie zaś sobą samym. Ten kierunek wyrobił się w nim nie w sposób samorzutny, spontaniczny, lecz pod naporem warunków otaczających go i pod wpływem rozmyślań nad tem, dokąd ma dążyć, jakim jest jego cel. Wszak mendelssohnowskiem jest »Morskie Oko«, pierwsza symfonia i pierwsze kwartety; później wpływ ten znika prawie zupełnie, a dalsze dzieła śp. Noskowskiego stają się gruntownie polskiemi, dźwięczą i śpiewają na nutę polską, ale nie widać w nich indywidualnego, oryginalnego stylu. Być narodowym a równocześnie stać na straży praw własnej indywidualności — na to trzeba było Chopina, w ostateczności Rimskiego-Korsakowa, Griega, Bizeta, Borodina lub Bałakizewa *et cons.* Nie można twierdzić, że wyłącznie »narodowym« stał się śp. Noskowski pod wyłącznym wpływem Moniuszki, wszak moniuszkowski kierunek istniał, nim Moniuszko pierwszą nutę napisał. Było w tem także sporo wpływu polegającego na apoteozowaniu Chopina, jako twórcy mazurków i polonezów ponad Chopinem sonat, scherz, etiud, preludyów, nokturnów. To zebranie się pod sztandarem kierunku moniuszkowskiego zamiast chopinowskiego, jako mającego większe dane na dalszy rozwój dzięki stworzeniu nowych form i nowych pojęć z zakresu choćby tylko harmonii, stworzyło s z k o ł ę w a r s z a w s k ą, której najwyższym wyrazem były dzieła śp. Noskowskiego, wznoszące się ponad tem, co przed niemi powstało, tylko dzięki wzbudzającej wszelki respekt wiedzy zmarłego artysty. Że ta szkoła nie mogła mieć warunków dalszego życia czyli warunków wewnętrznych metamorfoz i rozwoju na przyszłość — tego dowodzi fakt, że nie tylko Karłowicz, Paderewski i Melcer (zrazu zwolennik tej szkoły), ale i sami uczniowie śp. Noskowskiego (t. j. Fitelberg, Różycki, Szymanowski, Szeluta, Wertheim *et cons.*) nie przejęli do swych tendencyi nic z tej szkoły. Jedni poszli odrębnymi drogami, drudzy nawiązali i wzmocnili w sposób chwalebny tradycye chopinowskie, długo u nas leżące odłogiem. Mimo to stworzył śp. Noskowski kilka cennych dzieł w swoim zakresie.

Przed śp. Noskowskim muzyka symfoniczna w Polsce przedsta-

wiała się bardzo ubogo. Jedna symfonia Dobrzyńskiego (c-moll), »Bajka« Moniuszki i »Tatry« Żeleńskiego — oto całe »bogactwo«. Dopiero utwory orkiestrowe Noskowskiego zaczynają liczebnie ratować sytuacyę, powstaje »Fantazya góralska«, »Morskie Oko«, 3 symfonie, 2 waryacye orkiestrowe i to, co najlepszego zdołał dać polskiej muzyce, t. j. »Step«, nazwany poematem symfonicznym, w rzeczywistości zaś będący uwerturą. Trwałości nie zdobyła żadna z tej kompozycyi prócz »Stepu« i po części »Morskiego Oka«; tylko pewne ustępy z waryacyi orkiestrowych p. t. »Z życia« zrządziły, że od czasu do czasu grywała je Filharmonia warsz. pod dyrekcyą kompozytora. Słuchając »Stepu« przekonujemy się, że ilekroć Noskowski zdołał skupić się i wytężyć całą staranność, mając na uwadze miarę artystyczną, wychodziły z pod jego ręki dzieła, będące w stanie zainteresować nas, mimo niektórych zbyt długich — jak właśnie w »Stepie« — ustępów, mimo nigdy dość wysubtelizowanego zmysłu operowania instrumentami blaszanymi (zwłaszcza puzonami i trąbkami), mimo wreszcie mało zajmującej na ogół harmonizacyi. »Step«, i »Morskie Oko« — to dzieła, w których wyjątkowa szczerość sentymentu i wyjątkowo spotęgowane d o b r e strony talentu śp. Noskowskiego ześrodkowały całą uwagę słuchaczy. Tam czujemy, że autor jest poetą i romantykiem, często może naiwnym, ale bądź co bądź poetą, umiejącym wzbudzić w nas fantazyę i przypomnieć wdzięki ojczystej przyrody, polskości istotnej. I pomimo to są te utwory bardziej polskimi niż magazyny mazurów, krakowiaków i t. p. »form« polskich u Noskowskiego, tylko ze względu na zewnętrzne cechy. Jeśli się »z lotu ptaka« patrzy na całokształt twórczości zmarłego kompozytora, spostrzega się jedną charakterystyczną jej stronę: mianowicie, że śp. Noskowski zdołał tylko uchwycić pogodny i wesoły rys polskiego charakteru i temperamentu; natomiast ilekroć uderzał w głębsze struny, umiał posunąć się najwyżej do elegijnego pierwiastka — głębiej nie sięgał, a ilekroć to czynił, stawał się mdłym, aby nie powiedzieć banalnym. A usiłowań tych było niestety za wiele, stąd tyle nie do uwierzenia słabych kompozycyi, które nigdy poza tekę kompozytorską nie powinny były wychodzić. Stąd też taneczne utwory w których dzięki studyom nad ludowemi melodyami umiał podsłuchać rodzimy ton, zajmują nas swym zdrowym, śmiejącym się na całe gardło humorem i trafną charakterystyką. Mimo to *à la longue* nużą jednostajnością i zbyt wielkiem wzajemnem podobieństwem. Ileż pieśni i utworów fortepianowych zdołał napisać?! Setki! A jednak zaledwie kilka utrzymuje się. Jeśli nadmienimy, że

niestety to samo spotkało bardziej utalentowanego lecz mniej umiejącego Moniuszkę, wtedy znajdziemy rozwiązanie problemu: mianowicie obydwaj muzycy tworzyli za wiele, gdyż zanadto wiele p i s a ć musieli. *Panem et circenses* — wołał naród i to kładł za obowiązek kompozytorowi chcącemu być uważanym za piewcę jego — etnograficznych właściwości. A to kończy się zawsze tragicznie. W pieśniach śp. Noskowskiego nie brak jednakże eksperymentów (por. pieśni p. t. »Astry«).

Ale jak nowe formy należy nową treścią napełniać i jak trudno z orkiestrą Bacha tworzyć poematy symfoniczne, tak też nie było możliwem osiągnięcie doskonałego rezultatu na tem polu. Z chwilą gdy ś. p. N. trzymał się kierunku, wśród którego się wychował i który go otaczał, powstawały pieśni, jak »Skowroneczek«, gdzie znów temperament (nie sentyment i nie głębia myśli) szumiał galopujący orszak weselny na wsi. Pieśń ta jest z wielu względów charakterystyczna. Po opuszczeniu tekstu działanie muzyki nie zmniejsza się ani na chwilę. Inaczej u Moniuszki (choć nie we wszystkich pieśniach), inaczej wreszcie nawet u Żeleńskiego i mniejszych talentów (Gall, Niewiadomski *et tutti quanti*), którzy właśnie w tym charakterze stanowczo górują ponad ś. p. Noskowskim. Kilka chórów N. posiada względnie trwałą wartość, a to dlatego, że w potwornej hyperprodukcyi, jaka w tym kierunku dręczy naszą muzykę od pół wieku, są to wyjątkowo dobre technicznie utwory, mimo że brzmienie ich czasem pozostawia wiele do życzenia. Utwory fortepianowe, niestety, ani jeden z nich nie posiada trwałej wartości, wszystkie bowiem w treści obliczone są na jak najszersze koła obdarzonej słuchem muzycznym publiczności, w formie nie zdradzają żadnych usiłowań, w technice zaś i swej instrumentalnej fakturze cofają się przed czasy Chopina, który nie był niestety wzorem dla ś. p. Noskowskiego w żadnym kierunku. Ani bowiem w harmonizacyi nie dał zmarły artysta dowodu, iż opanował skarbnicę harmonii chopinowskich, nie mówiąc już o tem, że nie poszedł drogą wytyczoną przez Chopina ku nowym horyzontom harmonicznych myśli, ani też nie miał ochoty pielęgnować form stworzonych przez twórcę Scherzów. Technicznie zaś nie wysunął się poza technikę Moschelesa, z której Chopin wyszedł mając lat — 18. Pisał więc ś. p. Noskowski swe utwory na fortepian, gdyż ten istrument jest popularnym. A popularność jest tym wampirem, który sprawia, że wielki talent zamiast stać się *praeceptor populi*, staje się *famulus plebis*. Przypatrzmy się wielkim mistrzom: czy Palestrina, Orland di Lasso, Willaert, Gabrieli—

a z naszych: Leopolita, Zieleński i Pękiel starali się o popularność? Nie mówię tu już o nowszych twórcach, którzy indywidualność swą nie chcą ujmować żadnymi karbami, prócz tych, które wynikają z odwiecznych praw tworzenia. Jakkolwiek jednakże fortepianowe utwory ś. p. Noskowskiego nie przedstawiają wartości wyższej, mimo to należy je gorąco polecić, jako zdrowe i miłe produkty dla tych, którzy są w wiecznej pogoni za zagranicznem a zwłaszcza niemieckiem śmieciem, »zdobiącem« wystawy i wnętrza naszych księgarń muzycznych, bynajmniej nie przejętych ideą bojkotu, lecz tkwiących głęboko w kieszeniach prusko-saskich nakładców fabrykatów »salonowej« muzyki, a więc wpływających w jak najniekorzystniejszy sposób na amatorskie gusty naszych »melomanów«. Dobre utwory »salonowe« takich kompozytorów jak Noskowski, Zarzycki, Zarembski. Żeleński, Niewiadomski, Statkowski, Szopski, Surzyński, Paderewski, Stojowski *et cons.* są nieporównanie szlachetniejsze, wykwintniejsze i wartościowsze niż obce i bardziej polskiej publiczności odpowiednie, a jednak leżą odłogiem, gdyż wielu księgarzy polskich jakby z umysłu podsuwa pruskie śmieci publiczności. Jak strasznie na tem cierpi nasza muzyka, o tem wie tylko bliżej zainteresowany.

Noskowski jako kompozytor oper również nie mógł mieć stałego i trwałego powodzenia, gdyż charakter jego muzyki wszędzie dowodzi, że dramatyczny pierwiastek obcym był zmarłemu kompozytorowi, tak przecież wyłącznie lirykowi. Nigdy jego muzyka nie wstrząsnęła nami; ona nas często wzruszała sympatycznym elegijnym tonem, porywała i podniecała silnym temperamentem, często nieokiełzanym, nawet rubasznym w swym arcyzdrowym humorze, ale o dramatyczne i tragiczne struny nie trącała nigdy. »Livia Quintilla« i »Wyrok« zeszły z programów; posiadają ustępy interesujące ale nie posiadają warunków dramatycznych, jakie stawiamy dla opery. Ostatnią niedokończoną niestety operą jest »Zemsta« — do tekstu M. Fredry. Jeśli inwencya dopisała ś. p. Noskowskiemu, to sądząc z rodzaju jego indywidualności należałoby wnosić, że dzieło znalazłoby powodzenie nawet przy braku dramatycznego nerwu. Polskość, którą zawsze umiał wcielić w swą muzykę jakkolwiek nie w tem znaczeniu, co u Chopina — i ciągle rosnąca rutyna techniczna sprawiłyby, że może poznalibyśmy nowe strony wielkiego talentu ś. p. Noskowskiego. Należałoby dzieło to doprowadzić do końca, tem bardziej, że zmarły kompozytor prawie ją dokończył. Nie znam innych t. zw. »scenicznych muzyk« Noskowskiego, ograniczam się tylko do stwierdzenia, że nie utrzymały się w reper-

tuarze teatrów. W kameralnych utworach ś. p. Noskowskiego uznać musimy bezsprzeczne opanowanie kameralnej faktury, wykształconej na klasycznych wzorach; jednakże najczęściej rola instrumentów o niższym stroju schodzi do zwykłego akompaniamentu, całość zaś poszczególnych ustępów jest szkicowana lub — podobnie jak w niektórych orkiestrowych dziełach — przeładowana ponad miarę kontrapunktycznymi popisami; tam widzimy kontrapunkt dla kontrapunktu, tematy zaś są oschłe i pozujące swą pseudoklasycznością z domieszką ludowego pierwiastka, co właśnie powoduje brak jednolitości stylistycznej.

Działalność pedagogiczna ś. p. Noskowskiego wydała w istocie skutki owocodajne: wszyscy do najwybitniejszych należący młodsi polscy kompozytorowie prócz ś. p. M. Karłowicza — a więc Melcer, Fitelberg, Różycki, Szymanowski, Szeluta i t. d. — byli jego uczniami. Posiadał tę rzadką zaletę, że nie krępował talentu i nie łamał ducha, lecz pozwolił mu rozwijać się swobodnie. Po odbyciu studyów u św. Noskowskiego mógł każdy jego uczeń z łatwością uczyć się na najtrudniejszych partyturach opanowania techniki kompozytorskiej w najszerszym zakresie. To też muzyka polska nigdy nie posiadała bardziej wykształconych kompozytorów, niż uczniowie ś. p. Noskowskiego. Z śmiercią jego zeszedł do grobu jeden i jedyny wielki polski pedagog kompozycyi, autor podręczników do »Harmonii« (wraz z M. Zawirskim) i »Kontrapunktu«.

Cześć jego pamięci!

Dr. Adolf Chybiński.

Listy z Warszawy.

Niewieścia literatura porewolucyjna.— »Dola« Eugenii Żmijewskiej.— »Orły« Alicyi Szamoty. — »O czem się nie mówi« Gabryeli Zapolskiej.

Zachwycamy się obecnie w Warszawie wszelakiego rodzaju literaturą »śmiałą«. »Śmiałą« znaczy: mówić wszystko, co mydlarze (czytaj: starsi autorowie) starannie, wstydliwie omijali. Dziś nie wstydzimy się już niczego, dotykamy bez rękawiczek każdego przedmiotu, każdego brudu życia zakulisowego.

Nasza belletrystyka miała bardzo długo czyste ręce, czyste pióra.

Jak życie cywilizowanego, dobrze wychowanego człowieka nie wychodziła i ona na ulicę, na rynek z alkową i jej tajemnicami, z fizyologią i jej warsztatem lekarskim, z pornografią i prostytucyą. Olśniona powodzeniem Zoli, próbowała p. Zapolska przełamać temu lat dwadzieścia kilka naszą pruderyę, ale nie znalazła oklasków i naśladowców. Została sama. Byliśmy widocznie wówczas jeszcze zanadto »barbarzyńcami«, za mało »kulturalnymi« — nie umieliśmy się poznać na »pięknie prawdy«.

Przyszli moderniści, czciciele »nagiej duszy« i zaczęli się grzebać w brudach nagiego ciała, w histeryi chorych nerwów, w konwulsyach neurastenii, w wizyach białej gorączki. Reszty dokonała rewolucya — jeneralna wymiataczka całej przeszłości.

Niema nic nowego w tej naszej obecnej »śmiałości«. Wszelkie rewolucye, starszych i nowszych czasów, wyrzucały na wierzch bezwstyd ludzki, drwiły jawnie, tryumfująco z »pęt, krępujących swobodę ruchów indywidualizmu«, wszystkie chwile porewolucyjne lubiły senzacyę i pornografię. Człowiekowi zdaje się prawdopodobnie w takich chwilach, że, służąc bez żadnego wstydu swoim chuciom i apetytom, staje się prawdziwie wolnym.

Tak pojęta wolność brzydnie oczywiście wkrótce ludziom, męczy ich, nuży, wyczerpuje i wszystko wraca do »dawnych przesądów«.

Naszą literaturę »śmiałą« rozpoczął Stefan Żeromski swojemi »Dziejami grzechu«. Niezwykłe, niebywałe u nas powodzenie tej grzesznej książki stworzyło szkołę.

Przodem poszły piszące kobiety. Tak, kobiety.

Zdawałoby się, że one, jako bezpośrednio interesowane, powinnyby strzedz świętego znicza czystości rodziny, czystości miłości i małżeństwa, że one powinnyby być westalkami wstydliwości. Tymczasem właśnie one — trudne to do pojęcia dla mężczyzny — bywały i bywają zawsze w malowaniu zmysłowości »najszczersze«. Może dlatego, że miłość w rozumieniu pospolitem, jest jedynym tematem życiowym, który je na prawdę zajmuje, że miłość ta jest treścią życia przeciętnej kobiety.

Już na zeszłorocznym zjeździe naszych emancypowanych dam, przemawiały te panie z taką swobodą, tak gorąco pożądały »pełni życia«, iż jeden z obecnych mężczyzn uważał za potrzebne zwrócić ich uwagę na rozpustę słowa, przekraczającą wszelką miarę: »Nigdy nie ośmieliłbym się w towarzystwie dobrze wychowanych mężczyzn — wyrażać się z takim bezwstydem«.

Urządził temu kilka tygodni w Warszawie sztab naszych »moc-

nych, silnych« (ulubione to dziś określenie) pań odczyt o handlu żywym towarem. Poszedłem, by ujrzeć raz na własne oczy ów sztab, o którym tyle w ostatnich latach mówiono. Myślę sobie: zapewne same stare, brzydkie panny, wypluwające na rodzaj męzki żółć niezaspokojonych pragnień. Tymczasem przesuwały się na katedrze obok zwykłych, typowych wiecowniczek, sylwetki młodych, bardzo przystojnych działaczek.

Patrząc na te świeże, ładne buzie, na te fryzury i toalety bez zarzutu, byłem ciekawy: co też takie młode elegantki powiedzą o handlu żywym towarem? Prawdopodobnie będą wzywały audytoryum do obrony ubogiej kobiety przeciw ohydnym pośrednikom nierządu i wskażą drogi i środki tej obrony.

Zamiast spodziewanych wskazówek słuchałem przez dwie godziny wykładu o prostytucyi z całym aparatem: syfilisu, szpitalów, komisyi sanitarnej, nadzoru policyjnego, domów publicznych i t. d. A wszystkie te »ciekawe« rzeczy wygłaszały te młode kobiety z powagą, ze spokojem profesora medycyny lub fizyologa.

Gdyby na ich audytoryum składały się prostytutki, miałby taki wykład jakiś sens, jakiś cel praktyczny, ostrzegałby interesowane przed skutkami lekkomyślności, zmysłowości lub niedoświadczenia. Ale prostytutek nie było w sali.

Z wyjątkiem kilku mężczyzn (sprawozdawców dziennikarskich) słuchały tych mądrości same panie z lepszego towarzystwa i dużo panien.

Wystawiam sobie, z jakim drwiącym uśmieszkiem słuchają takie panny uświadomione, wyedukowane na takich odczytach, rozwiewnej przędzy cichych westchnień i tłumionych, drżących szeptów zacofanego Amora dawnego autoramentu, majaczącego o jakichś tam związkach dusz i serc — one, co wiedzą wszystko przed pierwszym atakiem Amora, dla których miłość nie posiada żadnych tajemnic.

Biedny Amor... Zeszedł na psy. Cały aparat jego mirażów przedwstępnego kuszenia i czarowania stracił swoją moc, stał się niepotrzebnym gratem, z którego drwi nawet podlotek. Może to praktyczniej, ale gdzież poezya miłości? Zrzućcie z ramion skrzydła fantazyi i złudzenia, poeci i belletryści, i prowadźcie odtąd swoich czytelników, zamiast do wonnych gajów przeczuć i tęsknot, do gabinetów lekarskich, do sal anatomicznych, do zakładów ginekologicznych i t. d. Będziecie od razu bez wielkiego wysiłku poczytni, uznani, sławni, jako

»malarze duszy nowoczesnego człowieka«. Duszy?! Jakże się dyabeł cieszy...

Uczy nas panna Eugenia Żmijewska w swojej powieści p. t. »Dola«, jaką rolę może odegrać w belletrystyce mądrość ginekologa. Zaczyna ona swoją powieść sceną w gabinecie lekarskim, w którym młoda, ładna panna szuka porady na różne cierpienia: głowa ją boli, nogi się pod nią chwieją, w krzyżach, z tyłu, z przodu »poniżej pasa« coś ją strzyka i t. d. Z całą dokładnością badania lekarskiego powtarza p. Żmijewska tę scenę i wraca do niej po kilka razy ze szczególnem upodobaniem.

Moderne, śmiałe, modne, silne...

I ludzi, którzy dużo pracują, boli często głowa, nogi chwieją się pod wszelkim wysiłkiem umysłowym lub fizycznym, w zreumatyzowanych członkach strzyka. Ale nie z tego powodu niedomaga Dola p. Żmijewskiej. Lekarz zapisuje jej jako jedyny środek małżeństwo legalne albo nielegalne (to także obecnie *moderne,* śmiałe, silne).

Powieść p. Żmijewskiej miała być obrazem niedoli młodej, ładnej a ubogiej dziewczyny, rzuconej w wiry walki o byt i połączonych z tą walką pokus, a jest właściwie tylko charakterystyką kobiety przezmysłowej, szamocącej się w pętach panieństwa. Jest to typ pospolitej samicy, której myśli i uczucia pochłania jedynie miłość płciowa, poza którą nie widzą, nie rozumieją życia. Taki typ nie nadaje się do oświetlenia stanowiska współczesnej kobiety wobec krępującego swobodę jej ruchów ustawodawstwa, szampionem równouprawnienia być nie może. Zostaje ona w każdem położeniu tylko samicą, zadowoloną po zaspokojeniu zmysłów, obojętną na wszelakie boje ideowe.

A jednak uważała p. Żmijewska za konieczne stoczyć przy tej sposobności walkę z »podłością i samolubstwem mężczyzny«.

Bo ta walka jest u nas dziś modną, bo żadna pisząca kobieta, nawet tak poczciwa, trącąca »myszką«, jak Emma Jeleńska, nie umie sobie odmówić przyjemności kopnięcia, czy potrzeba czy nie potrzeba »tyrana, egoisty, zmysłowca«, który ustanowił prawa tylko dla siebie. Bo zdobywa się tanim kosztem, bardzo łatwo uznanie i popularność w pośród czytelniczek, stanowiących główną klientelę belletrystów, gdy się »podłemu mężczyźnie« dobrze nawymyśla.

Zapewne. Bywają posagołowcy, Donżuani salonowi i uliczni, niewierni kochankowie i mężowie, bywają nieuczciwi uwodziciele i bru-

talni władcy, ale bywają także mężołowczynie, zdradliwe kokietki, niewierne kochanki i żony, niesumienne bałamutki i przewrotne, bezwzględne tyranki ogniska domowego. Z aniołów i anielic nie składa się ludzkość. A gdybyśmy się tak dobrze przypatrzyli życiu, to nie wiadomo jeszcze, kto więcej grzeszy miłością i przeciw miłości, kobieta czy mężczyzna. Którzy miewali t. zw. szczęście u kobiet, mogliby na ten temat opowiedzieć dużo ciekawych rzeczy. Nie Adam napoczął pierwszy one jabłko w raju, jeno Ewa.

Patrzymy obecnie na przykre widowisko: dwie płcie stoją naprzeciw siebie i warczą niby powaśnione brytany. Zaczęło się to z modernizmem. Czciciele »nagiej duszy«, pławiąc się w erotomanii, podlanej, »poprawionej« gorzałką, pluli na kobietę, znieważali ją za przykładem Nietzschego i Strindberga. Teraz, kiedy rewolucya ośmieliła płeć słabą, oddaje ona mocnej obelgą za obelgę.

Byłaby to szermierka nie szkodliwa, gdyby nie wychodziła z ram drukowanej bibuły. Gadanina sobie doktrynerska, jak każda inna. Ale ta szermierka przechodzi z trybun wiecowych, z katedr prelegenckich, z broszur i powieści do życia — waśni małżeństwa, zakłóca spokój ognisk domowych, demoralizuje młode stadła. Tak skarżą się mężowie i żony.

I byłaby to szermierka nie szkodliwa, gdyby nie obniżała wartości i dostojeństwa naszej polskiej żony, obrzydzając młodszemu pokoleniu kobiet obowiązek.

Spotykam w tych dniach jakąś znajomą pannę, jednę z tych, po których rejwach rewolucyjny spłynął bez śladu, która została odważnie »wsteczniczką«. Mówię do niej: jako kobieta zna pani lepiej ode mnie dusze najmłodszego, uświadomionego pokolenia niewieściego. Jakże ten typ wygląda? A ona na to: Duszę? Duszy niewiele w tym nowym typie mimo pozorów uduchowienia; daleko więcej zmysłów. Dzisiejsza młoda, uświadomiona kobieta ma wstręt do wszelkiego obowiązku, nienawiść do wszelkich pęt etyki, zwyczaju i tradycyi. Pożąda ona miłości, dyszy do używania życia, ale płacić za to, co nazywa szczęściem, nie chce. Męczą ją obowiązki żony i matki, nuży ją wszystko, co krępuje jej swobodę; w małżeństwie szuka nie spokoju własnego ogniska, nie radości macierzyńskich, nie zaspokojenia potrzeb serca, lecz dobrobytu.

Sąd ten surowy odnosi się oczywiście tylko do niewielkiej liczby kobiet głównie warszawskich (prowincya »nie ucywilizowała się« jeszcze), ale właśnie tę nieliczną gromadkę widzi się i słyszy ciągle i wszę-

dzie, ona nadaje ton i kierunek naszej akcyi kobiecej. Wiadomo, że kobiety ciche, skromne, uczciwe, żyjące dla obowiązku żony i matki— nie znają histeryi.

Przodem w tej swawoli słowa i czynu idą oświecone żydówki i niewieści proletaryat inteligentny.

Oświecenie naszych oświeconych żydówek jest tak świeże, tak od wczoraj, tak jeszcze nie strawione, iż dziwić się nie można, że im to fermentujące wino uderzyło do głowy. Prawowiernemi żydówkami z dobremi tradycyami rodziny żydowskiej być przestały, a nie miały jeszcze czasu nauczyć się etyki, zwyczajów i obyczajów cywilizacyi chrześcijańskiej. Więc zamęt w ich myślach i uczuciach, chaos w ich poglądach na treść życia i posłannictwo kobiety. W tej swojej rozterce psychologicznej czepiają się wszelakich jaskrawości, wszelakich doktryn wywrotowych, wszelakich t. zw. nowości, mniemając, że stają na wyżynach »kultury« (wszystko nazywa się dziś u nas kulturą). Zapominają, że kultura nie jest wcale rewolucyonistką, że jest »starożytną« damą, arystokratką, bo składa się na nią praca długiego szeregu pokoleń. Którzy dziś w Warszawie krzyczą najgłośniej: kultura, kultura! mają o tej kulturze bardzo słabe wyobrażenie.

A intelligentny proletaryat niewieści?

Biedny on! Kiedy się zaczął rwać temu lat dwadzieścia do samodzielnej pracy, do walki o byt, zdawało mu się, wierzył, że zdobędzie na tej drodze dobrobyt i szczęście. Ale dobrobytu nie daje praca: sklepowej, kasyerki, telegrafistki, telefonistki, przepisywaczki, ekspedyentki w jakiejś redakcyi i t. d. Ubogi chleb daje za pracę dziesięciu, dwunastu godzin dziennie i gorycz nowoczesnej niewoli. Nie wszyscy pracodawcy umieją uszanować pracownika. Jest pomiędzy nimi wielu gruboskórnych snobów i brutalów, którzy nie osładzają życia robotnika.

A szczęście?

Cobykolwiek na to feministki powiedziały, prawdą być nie przestanie, że szczęściem kobiety to: własny dom, miłość i dziecko. A któż ożeni się z przedwcześnie zwiędłą, ubogą panną?

Warunki ekonomiczne wpływają stanowczo na takie lub inne prądy danej chwili. Nie może być inaczej. Treścią dziewięć dziesiątych ludzkości to pospolita walka o byt, to praca na chleb powszedni. Gdyby w Anglii nie szarpało się w pętach niezaspokojonych pragnień i w obręczy niedostatku blizko półtora miliona starych panien, nie byłoby sufrażystek.

Rozczarowany warszawski niewieści proletaryat intelligentny, zachęcony przez rewolucyę, rzucił się w objęcia wywrotowych doktryn, mniemając zapewne, że zdobędzie sobie na tej drodze prawo do lepszego bytu i szczęścia. Tymczasem zdobywa sobie na tej ziemi bezkłopotny dobrobyt tylko mała liczba jednostek, szczęście zaś nosi każdy człowiek w sobie, w swoich wierzeniach i pojęciach. Nie sądzę, żeby wierzenia i pojęcia rozpętanego indywidualizmu, podniecone głodem użycia zmysłowego, prowadziły do raju t. zw. szczęścia ludzkiego.

Inaczej oczywiście rozumują piszące, młodsze kobiety — dużo ich, cała fura — wołające bezustannie chórem: wszystko powinno się zmienić! Jak gdyby na tym tu świecie było kiedykolwiek, gdziekolwiek bezwzględnie dobrze...

Od p. Żmijewskiej dowiadujemy się bardzo niewiele o psychologii nowoczesnej uświadomionej kobiety. Głębiej w psychologię wprowadza nas powieść p. Alicyi Szamoty p. t. »Orły«. Jest to rodzaj programu w formie artystycznej, rodzaj spowiedzi samej śmietanki młodzieży niewieściej, bo orłów raczej orlic. »Hasło dni nowych, wszystko, co toruje drogę wyzwoleniu ludzkości z jarzma upodlenia, fałszu, obłudy, kompromisowej moralności, znajduje w sercu jej, jak w nadczułym kamertonie, długi, ciepły oddźwięk — mówi o jednej z tych orlic p. Cecylia Walewska w przedmowie. »Jeden zna ołtarz nowa kobieta: najczystszej etyki i jedną modlitwę: do słońca prawdy. Przez siłę ducha, prawość serca i tężyznę umysłu swego nie cofnie, ale odrodzi grzęznącą w materyalizmie ludzkość«.

Dumne słowa, ładne słowa. Zobaczmy, jak one wyglądają w życiu.

Pierwsza orlica, Hala, pracuje zrazu ciężko na chleb powszedni, potem zakochuje się, wychodzi dobrze za mąż za człowieka uczciwego i kochającego i zostaje matką. Zdawałoby się, że zamknie życie swoje w granicach obowiązków żony i matki, zwłaszcza że miłość męża i jego położenie materyalne zapewniają jej dom szczęśliwy. Takiem szczęściem jednak zadowalniają się zwykłe gęsi, a ona jest przecież orlicą. Więc rzuca dom, męża i wyjeżdża do uniwersytetu »po prawdę«.

Druga orlica, Mira, kształci się na lekarza, po skończeniu studyów praktykuje w jakiejś mieścinie, zakochuje się tam w jakimś przystojnym obywatelu ziemskim, żyje z nim w wolnej miłości, zostaje matką jego dziecka, a kiedy ów obywatel okazuje się na tyle uczciwym, że chce naprawić swój i jej grzech legalnem małżeństwem, ona nie przyjmuje jego ofiary, bo po zaspokojeniu żądzy zmysłowej odkochała się już i »ma odwagę przeciwstawienia się odważnie nie-

mądrej wrzawie niemądrej opinii publicznej«. Dziecko niech sobie ponosi skutki jej nierozwagi, byleby ona dziwiła świat gestem orlicy.

Trzecia orlica, Marta, rzuca się na oślep, bez zastanowienia, w wiry rewolucyi, mierzy naiwnie siły łokciem zamiarów i za tę omyłkę idzie gnić w katorgach.

Czwarta orlica porzuca męża, dziecko i ucieka w świat z kochankiem, by się kształcić na śpiewaczkę.

Tak wygląda »siła ducha, prawość serca i tężyzna umysłu, która odrodzi grzęznącą w materyalizmie ludzkość«.

Wstręt do obowiązku żony i matki, wyniesienie wolnej miłości do wyżyn bohaterskiego czynu, głód swobody, nie skrępowanej żadnemi pętami i głęboka wiara, że studya uniwersyteckie wiodą prostą drogą do słońca prawdy, składają się na psychologię orlic p. Szamoty. Łakną one wiedzy, spodziewając się od niej odpowiedzi na wszystkie tajemnice świata i wszystkie nazywają małżeństwo niewolą.

Zdaje się, że tak wierzą i czują i marzą i pragną wszystkie uświadomione orlice, komendantki dzisiejszego ruchu feministycznego.

Trudziłby się daremnie, ktoby argumentami doświadczenia męskiego usiłował rozwiać te złudzenia i błędy »nowej kobiety«. Słowo nie przekonało jeszcze żadnego fanatyka, nauczyło go rozumu zawsze tylko życie. Niechże więc sobie różne orlice połamią skrzydła w locie ikarowym do słońca prawdy i niechże je sobie spalą w płomieniach wolnej miłości, jeśli tego koniecznie pragną.

Męska głowa i męskie doświadczenie widzą, słyszą dotąd w ich wielkich, dumnych słowach tylko zamęt i łoskot anarchii pojęć, jaką rozpoczynają się wszelakie nowe prądy. *Sturm und Drang* nowej formy feminizmu uspokoi się powoli, a wtedy przekonamy się, czy orlice »odrodzą grzęznącą w materyalizmie ludzkość«.

Gabryela Zapolska nie byłaby u nas matką »śmiałego słowa«, gdyby nie skorzystała z odpowiedniej chwili, aby nam przypomnieć, że ona to oburzała kiedyś na siebie różnych pedantów swojemi »Kaśkami-karyatydami« i t. d. W sam raz chwila dla jej talentu. Czemże jej Kaśka w porównaniu z taką Ewą Pobratyńską Żeromskiego? Zabawką nieśmiałej nowicyuszki, prowie idealistką.

Gabryela Zapolska opowiedziała nam w swojej powieści p. t. »O czem się nie mówi« rzeczy, o których się właśnie dziś bardzo wiele mówi — pokazała nam prostytucyę przy robocie.

Temat drażliwy, brudny. Ale Zapolska ma talent i długie doświadczenie życiowe i autorskie. Talent prowadzi ją w głębię duszy

ludzkiej, doświadczenie życiowe wyostrzyło jej zmysł obserwacyjny, a doświadczenie autorskie nauczyło ją zacierać jaskrawości jaskrawego tematu.

Talent Zapolskiej w połączeniu z głębokiem odczuciem nędzy moralnej nieszczęśliwej kreatury, którą okoliczności wsunęły w błoto, dokazał niezwykłej sztuki — stworzył sympatyczną prostytutkę. Tak, sympatyczną. O ileż więcej kobietą, człowiekiem jest jej Frania Wątorek od Ewy Pobratyńskiej? Druga budzi niesmak, pogardę, pierwsza litość. Czytelnik pragnie, aby się oczyściła i była szczęśliwą szczęściem dobrej kobiety.

Teodor Jeske-Choiński.

Z pism czasowych.

(Dokończenie)

Postępy uświadomienia narodowego w ostatnich latach, zwłaszcza r. 1906/7 i straszliwy ucisk ze strony rządu konstatuje szczegółowymi faktami Stanisław Klíma w artykule: »Rok slovenského probuzení a utrpení«. Dopełnia go »Slovensko v roku 1908« od B. P. i »Probuzení národního uvěddomení na Slovensku« od —k (autorowie z Węgier muszą ukrywać swoje imiona). Te trzy artykuły są zwierciadłem dosyć potężnego już prądu narodowego na Słowacczyźnie panującego i jego przeciwprądu ze strony rządu i Madziaronów. Postępy, ale i prześladowania (których tutaj nie możemy szerzej rozwijać) rzeczywiście są tak wielkie, że się nie zdaje zbyt śmiałą hyperbolą, co podaje jeden »narodovec« słowacki w piśmie prywatnem tutaj cytowanem: »Teraz ide všetko ako elektrinou, i svereposť (brutalność) maďarská i prebúdzanie slovenského l'udu. Za 10—15 rokov bude Slovensko tak prebudené, jako hocktorý (którykolwiek) kút Moravy a Čiech. L'ud na vidomoči povstáva na obranu svojho jazyka i svojich práv. A budí sa aj l'ud v Spiši a Šaryši, kde 1000 rokov nebolo slovenského vedomia!«

Silnie daje się czuć ogromny wpływ Ameryki na Słowaczyznę. Ameryka uświadamia Słowaków i jako ludzi i jako naród. Ameryka śle ogromne pieniądze na Słowacczyznę; według statystyki pocztowej z roku 1906 przeszło 77 milionów koron (przez pocztową dyrekcyę w Preszporku 20,095.855 K., przez dyrekcyę w Koszycach 57,567.523 K.;

a więc właśnie z nieuświadomionego »wschodu« jest większa część wychodźców). Dużo wieśniaków nie zna nazwiska węgierskiego ministra prezydenta, ale o Tafcie wiedzą. O jego zwycięstwie wiedzieli w najdalszej wsi na Słowacczyznie — a witali go serdecznie, bo od niego oczekują przyjaźniejszej konjunktury przemysłowej i możliwości nowego zarobku swoich mężów i synów w Ameryce.

»Slovenská žurnalistika« zaznajamia nas z głównem źródłem narodowego życia u Słowaków. Każdy dziennikarz jest prawdziwym męczennikiem narodowym. Prędzej czy później pójdzie utartą drogą — do więzienia. § 171 i 172 z r. 1878 (podburzanie przeciwko klasom albo narodowości madziarskiej) — i ich tłumaczenie (!) — zniszczyłoby po prostu słowackie polityczne dziennikarstwo, gdyby nie — zadziwiająca ofiarność redaktorów i właścicieli gazet. Tylko jeden jaskrawy przykład z ostatnich dni: »Slovenský Týždenník« miał (według N. Sl. 1909, str. 281) niedawno w jednym tygodniu, 10, 15 i 16 marca, trzy procesy prasowe, które — nie licząc strat z kosztów procesu — przyniosły współpracownikom: Szczepanowi Hýl-owi 7 miesięcy więzienia i 3000 K. grz., Janowi Greguškowi rok więzienia 1500 K., Čaplovičovi 1200 K. grz. Widać, chcą zniszczyć ten ruchliwy tygodnik... Trzeba wiedzieć, że na Węgrzech muszą gazety kaucye składać: dzienniki 20.000 K. a tygodniki 10.000 K. Grzywny z tej kaucyi zaraz się ściąga a wydawnictwo czasopisma jest zmuszone, jeżeli chce wydać następny numer, kaucyę dopełnić! Myślę, że przykład ten aż nadto wymowny. A przecież pięknie rozwija się prasa. »Ludové Noviny« (tygodnik) miały w r. 1905 (z 400) 3000 abonentów, r. 1906 8000, r. 1907/8 12.000. »Slovenský Týždenník« miał w przeszłym roku do 15.000 abonentów i t. d.

Bardzo ważnym czynnikiem przy uświadamianiu narodowem Słowacczyzny jest wyzwalanie się od wrogich banków i kas przez zakładanie i wzmacnianie swych własnych. W artykule »Národohospodárske pomeru na Slovensku« twierdzi Milan Frič, że madziarońskie kasy na prowincyi drą z ludu wybierając nieraz pod różnymi tytułami nawet do 24% od pożyczonych pieniędzy, na co, jak dodaje, ma w ręku liczne dowody. Dlatego wyzwolenie się od tych instytucyi jest żywotnem pytaniem dla Słowaków. Tu odgrywa ważną rolę wzajemność czesko-słowacka; bo budapeszteńskie banki bojkotują słowackie instytucye, czeskie zaś ochoczo im pomagają... Kapitały słowackich banków pięknie się rozwijają, jak się to widzi z mniej więcej stałej

rubryki N. Sl.: Přehled národohospodářský a finanční«. Objawia się to szczególnie w stałem powiększaniu funduszów zakładowych. Tak np. »Uverná banka w Ružomberku« podniosła swój fundusz r. 1907 z $^1/_2$ miliona na 1 milion, »Ludová banka v Novom Meste« z 180.000 K. na $^1/_2$ miliona K., »Zvolenská ludová banka« z 200.000 K. na $^1/_2$ miliona, w podobnym stosunku i inne banki. Przytem zakłada się stale nowe instytucye, tak r. 1907: 6 nowych, 1908 też kilka, między nimi ważna »Ustredná (centralna) banka« w Budapeszcie. Wogóle przeważna część tych instytucyi (teraz wraz z filiami około 50) powstała dopiero w ostatnich 10—15 latach. Lud coraz więcej garnie się do »svojich« banków. Tam dostanie prócz lżejszych warunków nieraz i dobrą radę i tak wyrastają te banki niejako w ochronne baszty ludu i samej narodowości.

Postęp uświadomienia narodowego objawia się i w zwiększaniu się intelligencyi narodowej. Najlepiej można to obserwować na corocznych słowackich uroczystościach w Turczańskim św. Marcinie (sierpień), które są jakoby przeglądem intelligencyi. Jest to też czas zjazdu tak zwanych »gości« t. j. obcych, którzy się chcą zaznajomić z wybitniejszymi działaczami słowackimi (jest to najlepsza i jedyna okazya). We »wspomnieniach« właśnie na te uroczystości r. 1908 skarży się B. Prorok, Czech, że Czesi byli bardzo słabo reprezentowani a do tego w skład ich wchodzili więcej turyści i turystki, którzy na gody raczej przypadkowo trafili. Za to bez zastrzeżenia przyznaje, że Polacy byli licznie i dobrze reprezentowani. Był tam p. Roman Zawiliński, wówczas dyr. gimn. w Tarnowie (teraz w Krakowie), autor książki »Słowacy, ich życie i literatura«, dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański, redaktor »Dziennika Polskiego« ze Lwowa i inni, nadto wielu studentów Polaków. Przy toastach wspominali Polacy na polsko-słowackie wzajemne stosunki i życzyli słowackiej myśli pomyślności.

Obrazki z najwięcej zagrożonych stron podają artykuły »Slováci v Báčce« (Jan Čaják), »Slovenské osadníctvo (kolonie) v Srieme« (Józef Maliak), »Z potulek (wycieczek) po Šaryši« (Stanisław Klíma). Słowaków (kolonistów) jest na południowych Węgrzech w Báčce i t. d. po tak zwanych wyspach narodowościowych przeszło 200.000. Są zamożniejsi niż Słowacy na Słowaczyźnie i stale kupują ziemię, głównie od Serbów. Potężnie się garną ku narodowemu życiu, aczkolwiek już wszyscy — i Słowacy i Madziarzy — mieli ich za straconych. W Szaryszu (dotykającym ziemi sanockiej) jest ludność jeszcze wogóle ciemna i bardzo nieuświadomiona. Za to Szarysz i ziemie jeszcze bardziej

na wschód od niego leżące — nazywają się w narodowościowym poglądzie »mrtve strany« (martwe strony). Ale »už i v Šáryšu svitá«. Czytają tam już »Slovenský Týždenník« i »Ludové Noviny (tygodnik), obydwa w 300—400 egz. Prawda, trzeba tam bardzo ostrożnie pracować. Kiedy Madziaroni spostrzegą, że się chcą gdzieś »panslawiści« zagnieździć — brutalną siłą depcą każde przedsięwzięcie. Ale prąd się wzmaga. Ważny element w przebudzaniu wschodniej Słowacczyzny są »Amerikáni« t. j. ci co byli w Ameryce; nie są to już ci »pokorni niewolnicy«, jakimi byli przed wyjazdem do Ameryki. Są to dzielne chłopiska, którzy oszczędzonemi pieniędzmi już niejedną »zemianską«, t. j. szlachecką posiadłość wykupili. Są słupami narodowego uświadomienia. Mimochodem przypomina autor i Polaków Spiżu. Mówi, że według języka mieszkańcy na Magurze rzeczywiście są Polakami, ale że sami siebie zaliczają do »Słowaków«.

Ze wszystkich wspomnianych artykułów widnieje niewątpliwy postęp w uświadomieniu narodowem — możemy więc żywić dobre nadzieje w ostateczne zwycięstwo; ale, jak słusznie akcentuje St. Klíma, optymistą być nie można. Są i obawy wielkie. Wielka część ludu jeszcze niedojrzała, politycznie niewyszkolona. Politycznych procesów jest i będzie moc. Straszne szykany urzędników przypominające tureckich paszów, będą i dalej z całą bezwzględnością przeszkadzać narodowemu ruchowi. Właśnie to jest pytanie, czy będzie dosyć życiowej energii, by wszystkie te okropności mężnie, niezłomnie przez długie lata znosić i przemódz...

Literatura piękna dobrze jest reprezentowana (odpowiednio do celu wyłącznie po słowacku oprócz kilku czeskich okolicznościowych wierszów). Znajdujemy tu pierwszorzędne imiona słowackich poetów: Jana Hollego († 1848), Sladkoviča, Tomášika (autora ogólno-słowiańskiej »Hej Slované«), popularnego Janka Krála, Hviezdoslava, Vajanskiego, Betty, Kuzmanyego i t. d. (wraz z dodaniem krótkich życiorysów). Zapoznajemy się także z pięknemi pieśniami ludu słowackiego; do niektórych podano i nuty.

Oprócz wymienionych rzeczy przynosi każdy zeszyt dokładny przegląd spraw politycznych za przeciąg jednego miesiąca, dalej przegląd różnych spraw społecznych i kulturalnych, zapiski »sądov prześladowania«, urywki »z madziarskich gazet« (wstrętna po prc kronika wrogich fałszerstw i t. d.)

Z powyższego przeglądu treści pierwszego i połowy drugiego rocznika »Našego Slovenska« widać, jak bogate i ciekawe to czaso-

pismo. Zaznajamia nas bowiem rzeczywiście systematycznie ze wszystkimi stosunkami, tak kulturalnymi jak politycznymi. Cel swój: zobrazowania ludowi czeskiemu Słowacczyzny, jaką była, jaką jest a jaką »bohdá« będzie — zupełnie osiąga. Widać, że wydawca-redaktor nie szczędzi ani trudów ani kosztów. aby wydawnictwo to stało na wysokości swego zadania i odpowiadało wszelkim wymaganiom tak pod względem wewnętrznym jak i zewnętrznym. Bez wątpienia pierwszorzędne to źródło dla poznania Słowacczyzny, ważny i skuteczny czynnik w boju narodowościowym na Słowacczyznie.

I. M.

Druk ukończono 8 października 1909.

W SIEDEMSETLETNIĄ ROCZNICĘ ŚW. FRANCISZKA.

Przed nami szeroka dolina Assyżu. Nalana srebrem dolina. Oliw nieprzejrzane rzędy idą jedne za drugiemi i końca ich nie widać. Zdają się być rzeźbione ze srebra. Sylwety ich spracowane, dziwnie dramatyczne w swym ruchu, widne w pierwszym rzędzie, dalsze już tylko srebro: srebrna mgła, srebrny blask — gdyż szarość oliw zwykła, osnuta jeszcze, podniesiona pyłem wapiennym, który zasnuł wszystko. Na te srebrne przypruszone oliwy świeci słońce przyćmionym blaskiem, również przez białawą zasłonę mglistości W dali sinieją góry, jak brzegi tego wielkiego, srebrem nalanego jeziora, którem się przed nami otwiera dolina Assyżu.

Powolny veturino wiezie nas flegmatycznie. Sennie podzwania dzwoneczek nie śpieszącego się konia, gdyż droga wiedzie nas pod górę do miasta Assyżu, który jak forteca obwarowany murami, basztami, a bramami mocnemi stoi tu, na brzegu doliny, jak stał w pierwszych czasach średnich wieków, górując nad nią i oczy podróżnych wznosząc ku sobie. Lecz teraz nad Assyżem króluje co innego: przed nami na dwóch piętrach potężnych arkad, które w pochyłość góry się wparły, stoi wspaniały, majestatyczny *Sacro Convento*. On to pochłania oczy i dusze dążących tu podróżnych, On to podróżnych w pątników zamienia, On z krańców Europy wykreślił szlaki, które pątników prowadzą, — On: wspaniały grobowiec »ubożuchnego« z Assyżu, którego 700-letnią rocznicę »powołania« obchodzimy w tym roku.

Cichy klęczał młodzianek, pokorny pokutnik, pamiętnego

ranka w ubogim wśród lasów zgubionym kościółku. W tajemnicy duszy swej przyjął słowa słyszane, a na ich echo siedemsetletnie dziś, tyle i tyle oczu z tęsknotą zwraca się ku tej chwili, tyle dusz się podnosi westchnieniem głębokiem. *Il poverello! Il Santo poverello!* A dlaczego? Bóg jego, Bogiem naszym, głos Boży mówiący do niego, głosem Boga naszego.

Powoli idzie droga przez długą dolinę — kołysze nas powóz i chybocze, a myśli snują się w zmęczonej głowie podobne trochę do snów. Słońce skłania się ku zachodowi, słońce blade choć na południu, słońce co nie budzi, ale osnuwa dusze w jakąś srebrną osnowę, odosabniając ją od realności.

Jest 2 października. Jutro rocznica śmierci świętego, który w swej świętości jest też i wcieleniem poezyi, tak pełny uroku nieprzepartego, rzewnego, dziecięcego jakiegoś, a bohaterskiego. *Il Poverello! il Poverello di Dio!* śpiewa ci w duszy.

Oto została dopiero poza nami Santa Maria degli Angeli, tam to umierał on święty.

Traf, szczęśliwy traf, który tak często wita w życiu dusze nasze tajemniczym uśmiechem swoim, przywiódł nas dziś właśnie tutaj. Nie myśleliśmy o tem dzień wybierając, On sam nas wybrał, ten dzień wigilijny »narodzin«, jak Kościół nazywa dzień śmierci świętych swoich.

Oto w oczach nam celka w chałupce klasztoru, ku wieczorowi zapadającemu otwarta. Na ziemi w prochu, z którym się z taką miłością życiem całem bratał, umierający święty. Wokoło klęczą bracia — celka pełna spokoju. Promienieje on od umierającego na braci płaczących, — celka dźwięcząca słabym, a dźwięcznym głosem. »Śpiewak Boży« ostatnie *Te Deum laudamus* śpiewa.

Oj skrzypeczkiż wy Boże, spoczniecie wy! już ostatnia złota się struna została, ale i tę zerwie ręka Boża niebawem. Uwielbiona ręka Boża, której oddał wszystko, uwielbiona za każdy czyn, uwielbiona i śmierć zadająca jemu. »Niech uwielbiony będzie Bóg za siostrę moją śmierć« śpiewał przecie. Ledwie umilkł na zawsze, a chmura skowronków, przeciw zwyczajowi swemu, opadła na dach klasztorku, świergotem nagłym napełniając ciszę zmroku.

Oto dopiero minęliśmy miejsce inne. Gdy raz ostatni wracał

z rodzinnego Assyżu do drogiej mu Cząsteczki (Porcyunkuli, Matka Boska Anielska), a wracał półżywy, do ostatka wycieńczony chorobą, nie mogąc iść o własnej mocy, niesiony więc na noszach, tu przystanęli na prośbę jego bracia niosący, a on przypodniósłszy się na noszach, rozrzewnił się duszą nad miastem, pomny na łańcuch łask Bożych, który tu wraz z życiem jego wziął początek, począł błogosławić miastu.

— »Błogosławione bądź Assyzu miasto, albowiem wiele dusz zbawionych będzie w tobie i przez Ciebie...«

Był wieczór, wierzchołki gór sinym cieniem osuwały się w dolinę srebrną i omgloną jesienną mgłą, na Anioł Pański dzwonić zaczyna miasto.

»Pokój tobie...« — kończył święty.

»Błogosławione bądź święte miasto« — powtarza pątnik, gdy chłód bram miejskich cieniem surowym ogarnia go, a kopyta końskie dzwonić poczynają głośno po wązkiej, pnącej się w górę ulicy.

* * *

Cicha ulica, jeszcze cichsza w zmroku zapadłym, prowadzi nas na plac szeroki, zalany światłem księżyca, światłem nieruchomem, mającem w sobie coś z wieczności. W głębi imponująca masa podwójnego kościoła. Cień jego jak płaszcz zsunięty leży mu u stóp.

Wchodzimy. Jesteśmy ogarnieni cieniem czarnym prawie — w głębi ciemnej świątyni gorejący ołtarz. Łuna nam dusze pije, coś wielkiego rzuca nas na kolana, wrażenie dusze nam pochyla, odosabnia. Nad nami łuki nizkie, bardzo szeroko rozpięte, czarnego sklepienia. Dzwonek. W głębi, w światłach i błyskach cichych, podnosi się monstrancya. Milczenie, — słychać tylko cichy dźwięk łańcuszków, na których kadzielnice się kołyszą — lekki obłoczek kadzidlanego dymu omglewa obraz, czyni go jeszcze bardziej podobnym do wizyi — cisza wielu dusz pochylonych pod błogosławieństwem z wieczności — cisza... a nagle wybucha z ogromną tryumfalną siłą psalm:

Laudate Dominum omnes gentes, —
Laudate Eum omnes populi —

Chwalcie Go wy, których od krańców ziemi tu przywiódł ów seraficzny »najmniejszy« *Poverello* drogi, uwielbiony przez Boga i naznaczony, co tu cichy pod ołtarzem jarzącym spoczywa.

Quoniam confirmata est super nos misericordia Ejus
Et veritas Domini manet io aeternum.

To zakończenie nowenny, którą przed świętem patrona swego, u jego grobu zakon franciszkański odprawia.

Nabożeństwo skończone. Rozglądamy się trochę po mrocznym kościele, rozglądamy się naturalnie tak, jak się rozglądają ludzie, raz pierwszy będący w tem miejscu. Spostrzega to jeden z Ojców Franciszkanów i zbliża się do nas z dobrym, miłym uśmiechem.

— Panie tu do naszego Świętego... skąd?...

O wiem! wiem, znam! Polacy! wiem. Były tu nieraz pielgrzymki, dobry, pobożny naród. Jedna zwłaszcza pielgrzymka z Litwy była... o jak ci się modlili! Budowali nas po prostu, nie tylko lud nasz, ale i nas zakonników.

W oczach podniesionych błysnęło mu coś, co mówiło, że nie są to słowa na wiatr wyrzeczone — zamilkł na chwilę.

— W jakim języku paniom najmilej mówić.

...Nie, Ojca Polaka teraz niema żadnego, był Belg mówiący po polsku, ale wyjechał.

...Po francuzku? o, doskonale! Przyszlę paniom jutro takiego, by paniom kościół pokazał... o której najwygodniej?...

Uprzejmość w jego tonie gościnna. Jest tu gospodarzem, (był to gwardyan) gospodarzem przyjmującym gości świętego Ojca swego Franciszka, słodkiego świętego, uprzejmej miłości pełnego.

* * *

Budzi nas ze snu dzwon. »Assyż! jesteśmy w Assyżu!« powraca nam myśl.

Żaluzye uderzają o mur, pchnięte niecierpliwą ręką. Hotel nasz na górze. U stóp mamy dolinę Assyżu. Słońca jeszcze niema. Na wschodzie, nad linią łagodną gór, niebo rozjaśnione już i przeźroczyste, bo nabrane światłem, — parę obłoczków, co w górze, więc w słońcu, przedziwnie lekko zawieszonych, w świetle różowi się i złoci, — od zachodu stoi jeszcze blednący, niknący księżyc, do-

lina zaciągnięta pasmami srebrnemi mgieł. Świeżość i jędrność w powietrzu.

Dzwon dzwoni ciągle. Nie jest to nasz dzwon jednostajny, powolny, poważny. Jest to dzwon włoski; Włosi kochają się w melodyi, jest to więc kilka dzwonów, rzucających w przestrzeń urywek melodyi, powtarzanej ciągle natrętnie, głośno, jasnym, pełnym blasku dźwiękiem, ale w końcu dźwięk jeden łamiący melodyę dyssonansem, dzwon widać pęknięty, melodya opada w jakiś smutny półton. I ciągle i ciągle powtarza się melodya i ciągle nie dociąga w swej dzielnej pewności do końca, ciągle ten deprymujący ton wraca. Jest to wołanie mocne, u którego końca brzmi jakaś wątpliwość, coś podcinającego skrzydła.

Tak dzwoni nam u stóp stary kościół św. Piotra, który świętego Franciszka pamięta. Za nim na dolinę poczynają wołać dzwony inne, delikatne, wysokie i szybkie, srebrne... Muszą to chyba być dzwony od świętej Klary. To jest ton, w którym po starych zakonach śpiewają psalmy, niewieście, jakby zalęknione głosy. A nad tem wszystkiem góruje poważniejszy i spokojniejszy głos wielkich dzwonów z *Sacro Convento*. Dolina cała zaludnia się dźwiękiem dzwonów. Gdyż rodzina świętego Franciszka bardzo liczna w ojczyźnie Jego, dolinie Assyżu, a każdy z klasztorów głos swój w ten dzień podać chce. Toć dziś rocznica przejścia jego »wyzwolenia«, a wigilia święta.

A dzwon świętego Piotra ciągle dzwoni, i ciągle wpada ten rozbity ton.

Nie — to nie jest głos świętego Franciszka! Ten, pieśń swoją dociągnął do końca i zakończył rozgłośnem »hosanna na wysokości« to może raczej ton tych dusz, które tu, ze świata niepokojów i troskań wielu przychodzą, a ogarnięte atmosferą świętą, porwane płomienną postacią, co tu żyła, porywają się w lot i spostrzegając, że zaciężcy, a skrzydła za małe, — kończą bezsilnym jękiem.

Każdy przecie przekonać się musi, że jeśli »nie święci garnki lepią«, to z drugiej strony długo się nad garnkami z lichej gliny namęczyć trzeba, by świętym zostać. Długo chodzić trzeba, nim się latać zdoła.

* * *

Dzisiaj kościół wygląda inaczej, niż mrocznym wieczorem. Jest bowiem ranek jasny, kryształowo czysty, pełny słońca.

Mury złotawe w pysznym płaszczu świetlanym biją ogromnym blaskiem, świecą na szafirze głębokim, spokojnym. Kościół we wspaniałości swej gotyckiej oryginalny: stoi na skłonie góry i ma dwa piętra, każde piętro ma swój front, swoje wejście, którem bez schodów wejść można; jedno z dziedzińca dolnego, drugie z dziedzińca i ulic górnych, położonych wyżej, na skłonie góry. Niższy kościół ze swemi szeroko, a nizko rozpiętemi arkadami, z mrocznością i powagą, daje skupiony nastrój kościołów romańskich. Owiany cały tonem ciepłym, złotawym. Punkt skupiający w sobie złotość, to ołtarz wielki, stojący w środku na skrzyżowaniu naw, ze strażą wysokich świeczników swoich, a ten płaszcz, którym kościół odziany, utkany cały jest, z biorących w siebie duszę, bezcennych klejnotów malarstwa umbryjskiego. Od nich to promieniuje ta atmosfera przyćmionego, ciepłego bursztynu, jaka napełnia Kościół.

I rzeczywiście dla tej zakochanej w pięknej Świętości sztuki umbryjskiej, wykarmionej mistyką średniowieczną, trudno znaleźć odpowiedniejszą ojczyznę, jak ojczyzna św. Franciszka. On przecie tę mistykę, z całą poezyą prostoty i naiwności pełną, wziął w siebie, uosobił sobą. Żyjąc w świecie malarstwa prymitywów, jest się rzeczywiście otoczonym atmosferą świętości.

Ci malarze świętość malować mogli, bo świętość rozumieli nie abstrakcyjnie, dekoratywnie niejako — jeśli Świętymi nie byli, to chyba blizkimi świętości i uczciwi względem niej. Nie uważali jej jako źródło jedno więcej nowego gatunku wrażeń, wrażeń, które się rzuci po chwili, wyssawszy z nich, co się da, by przejść do innych. Miłość świętości czuć w tem żywą, pełną uszanowania i rzewności i dlatego jest prawda dojmująca w malarstwie tem. Dosięgli świętości, dała się im ona ująć i zamknąć w formę. Bo świętość tylko czystym rękom ująć się dozwala, wymaga pewnego rodzaju celibatu duchowego.

* * *

Ojciec, którego nam superior na przewodnika wskazał, jest suchy, żywy, o wydatnem, intelligentnem czole, ruchów zdecydowanych, jest to fizyognomia specyalnie intellektualna, wyrafinowana, a jednak w wyrazie twarzy, w oczach jest coś prawie naiwnego, dziecięcego, prostota i szczerość wielka. Robi wrażenie kogoś, co drogą wyrafinowania duchowego, wrócił do prostoty dziecka. Mówi po francusku, mówi gładko, słowa dobierając i cieniując subtelnie, nigdy mu ich nie brak, jest jednak akcent obcy. Jaki? nie t e g o francuskiego nie znamy! znamy francuskie, niemieckie, angielskie, hollenderskie, włoskie... każde trochę inne, ale tego nie znamy. Jakiej być może narodowości? Obchodzimy pobieżnie trochę kościół dolny.

— Tak, ale do tego, to trzeba wrócić... trzeba tu choć parę dni po parę godzin przepędzić, to tylko, by panie wiedziały gdzie czego szukać...

Słońce ranne osuwa się po murach, wywołuje z cienia te zaciszone dotąd obrazy. Patrzą się na nas długie oczy dziewic świętych — patrzą prześliczne, przeczyste i skupione Memiego święte — Cimabuego surowa trochę i poważna Madonna ze smutnymi aniołami, przypominającymi w swej srogości malarstwo cerkiewne bizantyjskie — i jesteśmy przed ślicznym i rzewnym obrazem Giotta: Madonna z Dzieciątkiem, św. Franciszek i św. Jan. Matka Boska patrząc na Dzieciątko z prośbą w spojrzeniu, wskazuje na stojącego za plecami Dziecka, świętego Serafickiego, wysunięte usteczka dzieciątka zdają się szeptać z pewną filuternością: »Widzę! widzę!... ale poczekaj troszeczkę jeszcze!« *Aspetta! aspetta!*. Co za rzewność w tem, za serce chwytająca. Święty Franciszek nie zmęczy się czekać i dążyć z uśmiechem cierpliwym za tym Jezuskiem, tak mu się ukrywającym, udającym, że go wcale nie widzi.

— Jakie to ładne! jak oni świętych rozumieli — podnosi ktoś z naszego towarzystwa — a teraz to malarstwa religijnego, prawdziwego religijnego, niema wcale. Co jest, to dekoracya. Święci, to postacie wplecione w dekoracye, lub jakieś piękne osoby, ale Świętego nie namaluje nigdy nikt teraz.

— A jednak, a jednak... widziały panie obrazy z Beuron?

— Nie? a wartoby zobaczyć...

To są pierwsi towarzysze Świętego. Te na plafonie wielkie kompozycye są Giotta — trzeba im też dosyć czasu poświęcić...

Obeszliśmy dolny kościół, a schodami z zakrystyi poprowadzeni, dostaliśmy się do kościoła wyższego, pełnego światła, rzutu śmiałego gotyckich górnych łuków, pełnego witrażowych chwał i radości.

— Ten kościół nazwano niebem w przeciwieństwie do dolnego, który lud czyśćcem nazwał.

— Ale co za kraj błogosławiony te Włochy, tylu świętych, tłumy! tylu artystów, wojska całe! — błogosławiony kraj!

— Ach tak, b y ł błogosławionym, ale teraz? co w nim jest?... co? Skończone tu już wszystko! Koniec z tym krajem! Mówię państwu, że Duch Boży się cofnął, — zmarnowali dary Boże. — Było to raczej wejście w siebie, i groza niż uniesienie. Duch Boży zwrócił się teraz na północ ku Anglii, Szwecyi, Danii — pewien tego jestem, może jeszcze dożyjemy.

Rozmowa schodzi na zakon franciszkański.

— Tyle rozgałęzień!... przyznam Ojcu, że nie mogę się w tem dokładnie zoryentować.

— Tak. Ach pani! jakżeby to dobrze było, by wszyscy razem szli! tymczasem... I cóż nas dzieli? trochę inna obserwancya, a faktycznie: o to tylko! to! — chwycił szkaplerz czarnego habitu swego — habit t e n, albo i n n y!

— Ale czyż nie było prób w ostatnich czasach zjednoczenia, złączenia?

— Tamci nie chcieli... i słusznie, więcej od nas robią.

Była szczerość ogromna w tem co mówił, akcent uniesienia. Może się mylił oskarżając tak s i e b i e pośrednio.

Schodzimy w milczeniu...

— Jeszcze może dziedziniec zechcą panie zobaczyć. To jest mały dziedzińczyk, cmentarz dawny. Wielki dziedziniec wraz z całym gmachem klasztornym, zabrano na szkołę. My się mieścimy w tym małym budyneczku, przed dawną bramą klasztorną, parę kroków od progu kościoła, widziały panie?

Rzeczywiście zauważyłyśmy, wygląda przy gmachu kościelnym jak loża oddźwiernego.

— Ale święty Franciszek z pewnością zachwycony tem — wyrwał się jeden radykał z naszej gromadki.

— Z pewnością woli że Ojcowie tam mieszkają, a nie w tych pałacach — wpadł głos inny.

Franciszkanin uśmiechnął się:

— Myśli pani?

— Napewno Ojcze! napewno!

Rzeczywiście, patrząc na ten wspaniały gmach klasztorny, przychodzi na myśl ta ostatnia epoka życia świętego, te nieporozumienia i zarysowujący się rozłam. Z jednej strony Świętego, zakochanego w lepiankach swoich ubożuchnych, (»Mistrz nie miał miejsca, gdzieby głowę skłonił«, mawiał z tą rzewnością ścigającą wszędzie ślady stóp Zbawiciela), Świętego unoszącego się oburzeniem na braci budujących murowany klasztor, dochodzącego do rozkazu obalenia go. Z drugiej strony, brata Eliasza niesionego prądem powrotnym ku wspaniałym, wielmożnym opactwom średniowiecznym. Cofnął się Franciszek. Biedny drogi, święty schorowany, ślepy prawie, widząc, że nie przemoże, że mu dzieło jego prowadzą nie tam gdzie chciał, usunął się od przełożeństwa, garnąc koło siebie braci myślących jak on. Gdzie tu dopust Boży, a gdzie wola Jego, że dzieło poszło w wielkiej części nie jak święty czuł i chciał? nie ludzka rzecz sądzić, ale żal ściska ludzkie serce.

Że kościół sam tak bogaty i wspaniały, nic to! Przecie był postawiony na wyraźny rozkaz papieski. Święty umierając wyraził wolę, by go pochowano na górze przeklętej, na górze, gdzie tracono i chowano przestępców. Po śmierci świętego spór powstał. Miasto Assyż wzburzyło się na myśl tego despektu, który spotkać miał ich Świętego, ale brat Eliasz wolę swego świętego ojca chciał wykonać dosłownie. Grzegorz IX spór rozstrzygnął: Niech będzie pochowany tam, gdzie pokora jego chciała, na wzgórzu przeklętem, ale odtąd błogosławionem będzie ono. Ale wybudują mu pomnik, godny jego świętości.

I to początek owego wspaniałego kościoła, który zostanie na zawsze w pamięci i oczach tych, co go widzieli.

Jesteśmy na progu dziedzińca, problem ubóstwa wprowadził rozmowę na Tołstoja.

— Jednakże ci, co go bliżej znają nie bardzo wierzą w praktyczną szczerość jego przekonań teoretycznych.

— A u nas, wie pani, ma on wielki mir. I ja sam kiedyś... jestem Duńczyk, byłem protestantem, kiedyś i mnie się podobał. To co się w nim podoba, to te iskierki małe, zabłąkane z tego naszego wielkiego ogniska... Jeśli się jego nie zna...

Cicho było na tym starym cmentarzu franciszkańskim. W słońcu stojące wysokie cyprysy, pochylały swój wierzchołek nieruchomo, jakby za jakimś tajemniczym, górą idącym stałym prądem, w którym zastygły już na zawsze. Słońce ociekało na ich czerwono świecące pnie.

— Tu tego pokoju franciszkańskiego szukać trzeba, tu on w pełni jest — kończył trochę smutno Franciszkanin.

Nad cmentarzem było głębokie niebieskie niebo, słońce leżało u naszych stóp, na cichych, grobowych kamieniach.

* * *

Pod wspaniałym kościołem jest krypta grobowa Świętego. Pokój tu panuje i skupienie. Niema obrazów do oglądania. Turyści zawodowi nie mają tu co długo robić — zostają ci, których sam Święty pociąga.

Jesteśmy w sercu Assyża. W wielkiej trumnie z szarego prostego kamienia na nagiej skale, na której je złożono, spoczywają szczątki Świętego. Nie jest więc on otoczony splendorami, z trumny swej, myślę, byłby zadowolony... Ale ciało jego wyniesione tak, że w obliczu jego, na dwóch ołtarzach, ofiara przenajświętsza po ofierze się odprawia. Ale ten grób, to miejsce, gdzie serca wszystkich pielgrzymów się jednoczą.

Jakążbyś ciężką pokutę nałożył sobie, drogi Święty, *poverello di Dio*, gdyby ci myśl przyszła, że cię wszystkie narody ziemi czcić będą! że za pomnik wystawią ci kościół, może najpiękniejszy w całych Włoszech?!

* * *

W Assyżu na każdym niemal kroku, narzuca się nam wrażenie, że świadomość pełna czci Swiętego, jako Świętego, nastąpiła tu zaraz po jego śmierci, nim pierwsza fala czasu, rozmyła i rozniosła pamiątki. Swiadomość ta skrystalizowała je już na zawsze, zamieniając w relikwie wszystko, co się jego tknęło, co się historyi życia jego tyczyło.

Nad pamiątkami temi, zbudowano relikwiarze — kościoły. I tak: *Chiesa nuova* (klasztor Braci Mniejszych) objęła ściany domu Świętego: drzwi wchodowe, karcer, gdzie ojciec go zamknął za hojność Swiętego, przynaglającą go do czynów, które rozsądnemu mieszczaninowi wydawały się bardzo nie na miejscu. Kościół w Rivotorto (za miastem) zbudowany nad ubożuchną lepianką, składającą się z oratoryum i dwóch celek po bokach, lepianka cała zmieściłaby się w średnim pokoju. Był to pierwszy klasztor Świętego, który go z kilku braćmi, całem ówczesnem zgromadzeniem, z kamieni i gliny uklecił. Trzęsienie ziemi zwaliło jeden kościół nad błogosławionym klasztorkiem, ale samego nie tknęło.

Największym, najbogatszym takim relikwiarzem, jest kościół *Santa Maria degli Angeli*, o którym już wspomniałam. Obejmuje on kapliczkę małą, czarną wewnątrz. Na zewnątrz malowidłami swemi za nową, za barwną, nadto różną od fresków dawnych, widzianych przez jakąś zasłonę mistycznego zaciszenia, od tych fresków, którymi oczy nasze w Assyżu się poją. Dziwnego wrażenia doznaje się, klęknąwszy w tych ścianach z surowego ciemnego kamienia, który wygładziły, wypolerowały miliony pocałunków, jakie tu przez wieki składały pielgrzymie usta. Pokój jest tu — jakaś woń obecności świętej, — pokój, który pada na duszę i trzyma ją uciszoną, skupioną w sobie. Obecność święta, która duszę przejmuje, przenika. Jest to miejsce Matki Boskiej, Jej »Cząsteczka święta«.

Kapliczka ta zbudowana została w czwartym wieku. Czterech pielgrzymów wracało tu z Ziemi świętej, niosąc z sobą święte relikwie, tu wśród lasów, okrywających dolinę w owych czasach i później jeszcze, bo za życia naszego Świętego, zbudowali ubożuchną kapliczkę, złożyli w niej swój skarb, przyniesiony z Ziemi Zbawiciela i nadali jej wezwanie Matki Boskiej z doliny Jozafat. Miejsce to wkrótce wsławiło się wizyami świętemi, a w następ-

stwie pielgrzymkami, że zaś nieraz śpiewy anielskie w niem śpiewały, nazwał ją lud: *Madonna degli Angeli.* Należała w IV w. do Benedyktynów, z których ręki »używalność« kaplicy otrzymał św. Franciszek. By zaznaczyć ten właśnie swój stosunek do posiadłości ziemskich, dbał on, by zawsze posyłany był kosz ryb do Opactwa, jako lenno.

Z życiem, losami Świętego łączy się ta kapliczka dziwnie. Tu matka jego uprosiła sobie święte swoje dzieciątko. Tu wiązał Świętego urok szczególny: w pierwszych czasach powołania jego, gdy było ono jeszcze tęsknotą i szukaniem, przychodził się modlić i nad męką Bożą, ukochaną ideą życia swego myśleć. Tu słuchając raz mszy świętej posłyszał w ewangelii słowa, będące objawieniem, sformułowaniem wewnętrznej tęsknoty jego, dawno wołającej w nim. Te słowa jako rozkaz Boży wziął, z radosnem uniesieniem wykonując je natychmiast: »Nie miejcie złota ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych, ani dwu sukien, ani butów, ani laski« — mówił Chrystus rozsyłając apostołów swoich.

Tu wreszcie miejsce nadania owego wielkiego odpustu, od którego nazwę swą »Porcyunkuli« wziął. Niektórzy autorzy odrzucają to jako legendę wobec braku dokumentów współczesnych, a ustanowienie odpustu odsuwają w późniejsze czasy [1]. Ale zbyt piękną jest ta legenda, by ją módz lekkiem sercem, jako prawdę pożegnać i w kraj mrzonek usunąć.

I ta jedna więcej noc modlitwy i ten krzak ciernisty, gdzie święty się rzuca, by chwilę zniechęcenia przemódz. »Na co tak młodość w umartwieniu wyniszczać? Czyż nie wiesz, że sen wraca siły ciału? Zachowaj dni twoje, tak będziesz mógł dłużej Bogu swemu służyć!« — mówił mu kusiciel. I róże wykwitające na krzewie (zima to była) i aniołowie stający przed nim »Spiesz! spiesz!« — wołają. — »Oto w kościele czeka cię Chrystus z błogosławioną Matką swoją!« I jak to Franciszek jeszcze się schylił i zerwał róż trochę. Patrzy, aż oto w szaty godowe przybrany, kobierzec miękki pod stopami; patrzy, aż oto ku drzwiom kościoła w dwa rzędy aniołowie stoją. Idzie więc swą ścieżyną, między

[1] Tak Jurgensem w swem życiu świętego Franciszka.

lśniącymi aniołami. A Chrystus w chwale z Maryą go czeka... Franciszek pokląkł i róże z bólu swego zrodzone Chrystusowi przez ręce Najświętszej Pani podaje.

Zapewnił mu Pan ów odpust, który mu był już w wizyi uprzedniej przyobiecał i sam dzień naznaczył i porę od nieszporów 1-go, do nieszporów 2 sierpnia.

— Idź tylko do wikarego mego, by odpust zatwierdził.

— I jakże, o Panie mój święty, uwierzą mi oni na dworze? i papież i panowie kardynałowie?

— Róże im pokaż na świadectwo w zimie rozkwitłe. Uwierzą!

I jak to Święty, skoro świt, wybrał się piechotą z jednym z braci na dwór papieski; i jak to papież uwierzył i mandat dał biskupom, by się do Assyżu uroczyście wybrali i ludowi sami wolę Chrystusową i papieską ogłosili.

Zebrał się lud ogromny, a święty, przynaglony przez biskupów, pierwszy przemawia. »Chcę was wszystkich do nieba zaprowadzić« — powiada do tłumu i ogłasza odpust, który Chrystus własnemi ustami tu nadał — »na wieczne czasy«.

Ale biskupi uradzają między sobą.

»Na wieczne czasy? nie! to chyba niemożliwe! Taki odpust to tylko u Grobu Pańskiego podobny! powiedzmy... na lat dziesięć«.

A było biskupów siedmiu. Wychodzi pierwszy i mówi. Ale gdy doszedł do słów: »Na lat dziesięć«, musiał powiedzieć: »na wieczne czasy«. A tamci myślą: »No, już my lepiej uważać będziemy!«. Ale każdemu tak samo się wydarzyło.

Tak zapisały kroniki, a kapliczka ta czarna, zbyt pełna woni niewymownej, by serce nie lgnęło do prawdziwości opowiadania.

Świętemu to miejsce pozostało drogiem nad wszystkie. »To miejsce zaprawdę święte, kto się tu modli z ufnością, będzie wysłuchany... Nie opuszczajcie nigdy tego miejsca; gdy was jednemi drzwiami wypędzą, wracajcie drugiemi. Niech tu zawsze najświętsi mieszkają.

Dziś oglądać można ów krzak różany, objęty w krużganki klasztorne. Rozrósł się on w mały różany ogródek. Krzewy cierni nie mają a ich listki w plamki czerwone.

Miejsce klasztorka zajął kościół, ale celka, w której święty

umierał, zachowana; wchodzi się do niej z kościoła. W głębi celki rzeźba, według maski pośmiertnej, Łukasza della Robbia. Gdy stoczek pokazującego podniósł się, a oczy z mrokiem zapadającym oswojone twarz odnalazły i na niej długiem spojrzeniem spoczęły, zdziwienie niejakie ogarnęło nas:

Co za bolesna! co za niewymownie bolesna w swej słodyczy twarz!

* * *

I gdzież jest wobec tej twarzy wytrawionej bólem, wobec tych ust cierpliwie bolesnych, gdzie jest ten Święty arkadyjsko pogodny, którego życiem niefrasobliwa wędrówka po słonecznych drogach? Słodki trubadur, Święty, przeciwnik ascetyzmu,—Święty, o łatwym mistycyzmie, mglistym, nieuchwytnym, panteistycznym prawie? Słowem, Święty, jakim go wielbią nieraz nasze czasy i nasi rozmarzeni, rozwałęsani bez drogi określonej marzyciele-dyletanci, uważający go nieledwie za swój pierwowzór.

Jak pomadkowo ckliwą wydaje się nam owa kreacya wobec twarzy, na którą patrzymy.

Artystyczne usposobienia naszych czasów, wyobrażają sobie nieraz, że świętość, to taki sam nastrój, jak każdy inny: jeden rodzi się nastrojony święcie, inny demonicznie; idąc dalej i stwarzając sobie Boga *a posteriori* swych zapatrywań, dochodzą do twierdzenia, że ponieważ Bóg wszystko obejmuje, równą ma racyę istnienia jedna jak druga indywidualność, chodzi tylko o pełne, najdoskonalsze, najprawdziwsze wypowiedzenie się jej, rozwinięcie swej indywidualności. Indywidualność bowiem, to rzecz najważniejsza, jej porywy, rzecz decydująca. Nie uznają oni, że są prawa, które jednak indywidualność modyfikują, i że nie prawo przed indywidualnością, ale ta przed prawem ustąpić musi, gdyż prawodawcą Pan ich bezwzględny: Stwórca. Tajemnicę sprzeczności między indywidualnością, a prawem, każdy katechizm rozwiązuje w rozdziale o grzechu pierworodnym..

Świętość, to jak ta statua zawarta w marmurze. Pomysł jej, więc ją samą w możliwości w umyśle swoim artysta ma — tak i świętemu ideał w duszy wschodzi; by jednak ta statua stała się jawem, potrzeba potężnych uderzeń młotem i w następstwie, długiej, de-

likatnej, cierpliwej pracy w dobywaniu, w zdobywaniu raczej owej piękności, którą się ukochało. Ale tu niezbędne trzy rzeczy, które poza światem nastrojowców: miłość p r a w d y: miłość tego co jest— gdyż świętość z natury swojej miłością tego, co jest najistotniej. Oni mrzonkę podnieśli do godności prawdy, jeśli już prawdą nie pomiatają, stawiają ją na równi z mrzonką, stąd nihilizm ideowy. W i e r n o ś ć ukochaniu: narów nastrojowości pojęcie wierności czyni prawie niezrozumiałem. Wreszcie wypływająca stąd: p r a c a.

Dla nich święty Franciszek to nastrój sielankowo słoneczny, miły i słodki, ale o p r a c y na drodze do świętości, co oni mogą wiedzieć? Co wiedzą o bolesnem przedzieraniu się, przegryzaniu się dzień po dniu i godzina po godzinie, do Stwórcy, do Prawdy ukochanej, przegryzaniu się przez siebie samego, który ciągle na drodze jako mur i przeszkoda staje? Co wiedzą o tem ci, co konflikt każdy w sobie uważają tylko za pretekst do wypowiedzenia się? Co wie o sile oporu ten, co się niczemu nie opiera? co wiedzą o sile oporu w s o b i e ci, co się s o b i e nie opierają? [1]

A życie świętego Franciszka, jak każdego Świętego, heroizm pracy, heroizm nie jednorazowy, dorywczy, ale heroizm, chleb powszedni — i to na jego twarzy wypisane nieśmiertelnie dłutem Lucca della Robbia: heroizm, aż do ostatka sił, aż do śmierci.

Bardzo się przyczynili do zamieszania w pojęciach o św. Franciszku biografowie jego nowożytni, admiratorzy jego ze szkoły Sabatiera. Dlaczego jednak tak ślepo mu wierzą co do glossy, jaką daje wypadkom? co do psychologii Świętego?

Protestantyzm jest racyonalistą urodzonym, nasze czasy niekłamaną mają sympatyę do racyonalizmu, dlatego im święty krea-

[1] Stąd pochodzi, że na wzmiankę w życiorysach Świętych o pokusach, zawsze gotów komentarz: zgorączkowana wyobraźnia, naprężone nerwy... Nie przesądzając o pojedyńczych wypadkach uważam tendencyę taką ogólną za niekompetentną i stronniczą. Nie znają z powodów wyżej wzmiankowanych siły pokus, sami żyją zawsze wyobraźnią i nerwami, stąd brak objektywności. Sabatier swoje stanowisko zaznacza tu zbyt wyraźnie, by go nie zauważyć: »La où nous disons désirs, instincts, passions, eux disaient tentations«. Nie trzeba więc »taxer de tromperie« tego, co się o rzeczach i o wizyach tych w życiu świętych pisało w dobrej wierze, onego czasu, w naiwnych wiekach średnich.

cyi protestanckiej, tak przypada do serca. Ale czy to jest rzeczywisty św. Franciszek, czy jakiś samozwaniec? Nie racyonalizm go stworzył, nie racyonalizm był jego duszą, nie racyonalizm go zrozumie.

Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen. Połóżmy na miejscu słowa »poeta« — »indywidualność«... Otóż Sabatier nigdy krajem Świętego nie chodził, ścieżek jego wewnętrznych nie zna. Nadprzyrodzoność wykreśla on lub przynajmniej rozdmuchuje ją w jakąś poetycką mgławicę, odbiera jej wszelką r e a l n o ś ć. A jeśli z życia świętych i s t o t n o ś ć nadprzyrodzoność wykreślimy, co ze świętości zostanie? Świętości ona duszą — gdy z danej indywidualności usuniemy d u s z ę, gdzież indywidualność wtedy? Nadprzyrodzoność to działanie Boga istotnego, osobowego na duszę, na stworzenie miłujące i umiłowane. Racyonalizm wszelkie wmieszanie się czynne nie tylko Boga, ale i wogóle świata nadzmysłowego, uważa za rzecz... dobrą na pojęcie średnich wieków, które nasze oświecone czasy wiedzą, jak rozumieć [1]. Jeżeli nadprzyrodzoną stronę uważamy za jakąś mrzonkę,

---

[1] Sabatier podstawja zawsze przyrodzone na miejsce nadprzyrodzonego. Chrystus wchodzi w cień, Franciszek staje w miejscu Jego wobec braci swoich. To co pisze o św. Klarze i Franciszku jemu się wydaje bardzo idealnem, ale razi głębsze chrześcijańskie poczucie np. takie zdanie: »Pour les Saints comme pour les héros le cordial par excellence est l'admiration de la femme«. Źródło najbardziej nawet cenione przez Sabatiera, staje się legendą w miejscu, gdzie opowiada fakt przekraczający możliwość przyrodzoną; dla cudu czuje wybitną pogardę i ma po temu głębsze pobudki, niż prawo fizyczne, lub logiczne: »la cause, qu'on veuille ne pas s'étonner, est toute religieuse: le miracle est immoral. L'é g a l i t é d e t o u s d e v a n t D i e u est un des postulats de la conscience religieuse, et le miracle, ce bon plaisir de Dieu ne fait, que rabaisser celui-ce au rang des fantastiques tyrans de la terre«. Równość w rzeczach przyrodzonych, tak. Ale znów, czy spoglądanie Boże równie łaskawe na jednostkę, która nigdy nie oglądnęła się na Niego, jak na tę, co siły i życie Mu oddała do ostatka, nie byłoby bezmyślną, a okrutną obojętnością? Pojęcie jego o Bogu, mimo zwrotów niektórych zapożyczonych jakby się zdawało u mistyka jakiegoś, wyraża się tak: »C e j e n e s a i s q u o i d e d i v i n e t d e m y s t é r i e u x qu'adorent les fleurs des champs, que bénissent les oiseaux du ciel, que loue la symphonie des astres et que Jésus de Nasareth appelait »Abba« c'est à dire Père...« »Que ce Dieu soit transcendent ou immanent, qu'Il soit un, le Créateur, le Principe éternel, ou qu'Il soit comme le disent les docteurs d'Outre Rhein l'objectivation idéal de notre

grę nerwów czy wyobraźni, mistykę za jakąś mistyfikacyę, przyczem osoba mistyka stroną podlegającą mistyfikacyi, ujrzymy w Świętym smutne zjawisko nieszkodliwego waryata, maniaka przerzucanego z jednej halucynacyi w drugą: z halucynacyi i wizyi Bożych, w halucynacyę pokus szatańskich. Taka mistyka wystarcza może różnym nastrojowcom, którym obojętnie czy ona prawdą, byleby wrażenie, nastrój, haszysz dała. Nie tak ze Świętym. Ten co prawdę miłuje, im bardziej jej łaknie, tem bardziej mrzonek przedrzeźniających ją nienawidzi, bo go oszukują, bo stają między nim a prawdą i dobić mu się do niej nie dają.

Oto stoi przed nami święty: życie dał i siły całe, duszę całą i ból cały. Oto życie się kończy, śmierć nadchodzi. To na co je

---

moi, là n'est pas la question pour les héros de l'humanité, mais ce n'est pas sans peine que l'âme s'unit à Dieu, ou si l'on aime mieux, se trouve elle même«.

Wobec tych mgieł obojętne naturalnie prawda czy fałsz mistyki — heretyk ochrzczony mianem »prorok« — Święty sam quasi heretykiem: brał za jedno evangelię i naukę Kościoła; »heureuse naïvité grâce à la quelle il n'eut pas à se poser en révolté à force d'entendre parler d'obéissance, d'humilité, de soumission, un certain obscurcissement c'était fait dans cette âme lumineuse«. Bunt to siła, która mu najwięcej imponowała, żywioły niesforne wśród braci »par leur fière résistence à tous les pouvoirs écrivirent une des plus belles pages de l'histoire religieuse du moyen âge«.

Prawo przedstawia mu się nie jako fundament i ubezpieczenie miłości, ale jako jej przeciwieństwo. To też do Kościoła i do przedstawicieli jego ma niechęć, która ciągle przebija. Ma się wrażenie, że dla niego, gdy mówi »des saints c'est à dire des violents qui ont forcé les portes du ciel«, wyrażenie to prawie równoznaczne z »les portes de l'églises«. Święty Franciszek służy mu za szaniec, z za którego pociski na Kościół miota. Naturalnie, że materyału w wielkiej części dostarcza twardość reguły Świętego, modyfikowana przez papieża i kardynała Hugolina. Nie widzi, że Kościół tu, jak matka patrząca z niepokojem, czy dziecię na ciężar nad siły się nie porywa. Objaw porozumienia braci z władzą kościelną witany okrzykiem: »ils viennent sans y penser d'accepter le joug«. Nie rozumie, że każdy katolik z chwilą chrztu, to jarzmo posłuszeństwa bierze i Kościół kontrolę i ingerencyę nad każdym członkiem ma. Nie można też mówić o żadnem zagarnięciu dzieła Świętego przez Kościół, bo każde dzieło członka Kościoła, tem samem jest dziełem Kościoła. Jeszcze jedną rzecz zaznaczyć muszę: oto łatwość, z jaką na domysłach buduje domysły, gdy chodzi o rzucanie niekorzystnego światła na przedstawicieli Kościoła, upatrywanie dowodów w rzeczach, które dowodem wcale nie są i brak jednolitości zapatrywań, które czyni, że, niechcący i nieświadomie może, zbija na jednej stronie to, co na drugiej twierdził.

wydał — mrzonka, gra wyobraźni... Wystarcza, że »był poetą i poematem zarazem«, jak się Porębowicz wyraża, za życie, za ból, za głód... za głód prawdy, który dyletantom nie znany, ale duszom zdrowym katuszą... to wystarcza!

A jeśli to tknięcie Boże, pod którem dusza świętego drżała, jeśli ręka, którą nad sobą czuł, jeśli miłość, którą żył, za posiadanie której oddał wszystko, której głód gnał go życie całe przez ciernie i głogi Bogiem nie była? Jeśli nie Bóg jego znakiem swoim ognistym naznaczył go i ręce po niego wyciąga, jeśli to mrzonka tylko, gra wyobraźni, co mu zostaje?

Miłość dla ludzi? dobro, które ludziom uczynił?...

Z łkaniemby się od tego odwrócił, gdyby myślał, że nie Bóg przez niego działał, że nie Bóg był z nim. Tak, bo to właśnie było jego siłą, szczęściem i zapłatą. Jak łzy mają się do płaczu, będąc jego skutkiem nie istotą, tak ma się w duszy świętych, miłość stworzeń, do miłości Bożej.

I tu właśnie trzeba się zatrzymać. Podnoszą jako cechę charakterystyczną miłość przyrody u świętego: »należy zaznaczyć, że takie poczucie przyrody raz pierwszy w wiekach średnich występuje«. »Poczęty na wyżynach Umbryi kult natury...« A jednak nie samo to stanowi charakterystyczny rys, niejeden miłośnik natury może być oddalony od tego typu jak... dyletant od św. Franciszka.

Brat słońce, siostrzyczka jaskółka i siostrzyczka woda... skąd braterstwo? Wspólnego mają Ojca w niebie! Stąd to wejrzenie pełne miłości rzewnej, które rzuca stworzeniu i tęsknej, bo mu przypomina Jego! to takie proste, a jednak nie widzi tego niejeden z piszących o nim. Widzą w nim prawie panteistę. Porębowicz wprawdzie zastrzega się przed tem pojęciem, wykluczającem osobowego Boga, ale w końcu książki pisze: »Jeden Shelley ma tak subtelne odczucie, ale w nim przecie subtelny książkowy panteizm wysubtelizował to, co u św. Franciszka było jeszcze proste i dziecinne«. Schneider zaś w swojej Umbryi pisze, że dla świętego, »natura to nie odblask, ani dowód Boga, ona Jego rzeczywistą obecnością«.

Kult natury? a skądże »siostrzyczka śmierć«, która zagładą

tejże? Bo ona posłem wykonywującym wolę Boga mojego na mnie. Braterstwo owo, to braterstwo czynienia woli Bożej: i brat ogień paląc go, czyni wolę Bożą i on Franciszek czyni wolę Jego, a wola ta dla świętego jest: połączenie z Nim w miłości. Stąd wdzięczność niewymowna, a że świadoma szczytności celu, tem pokorniejsza, wracająca znów miłością rzewną ku młodszej braci. Jak miłował cel i zadanie swoje, tak miłował poszczególne zadanie, więc charakter każdej istoty, bo każda odbija Boga, wspólnego Ojca w sposób wyznaczony sobie. Stąd droga ascezy surowej, którą idzie sam, nie potępia poddania się radości i pędowi życia, które widzi w naturze. Tak kontrasty nie kłócą się, a z sobą się zgadzają: każde stworzenie wedle drogi swojej.

»Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę wodę, która jest wielce użyteczna i pokorna i cenna.

»Bądź pochwalony, Panie mój, przez braciszka ogień,

»Który rozjaśnia noc,

»I który jest urodziwy i krzepki i mocny«.

On chce, by wszystko Go chwaliło, zwraca się ku ludziom, których zadanie takież jak jego: miłować Boga, a iż widzi, że oni nie czynią tego, namiętne pragnienie chwały Bożej w zetknięciu z tymi, co Go nie chwalą, wybucha ogniem wymowy porywającej i łzami się zalewa i serdeczną skargą żali. To źródło wymowy i jego i współczesnej braci. Siła jej w bezpośredniości, w intenzywności; bezpośredniość i intenzywność stąd, że istotnie sprawa Boża stała się ich własną sprawą, świat Boży ich własnym światem — nadnatura jakby drugą ich naturą.

Z tą samą prośbą wielbienia Boga, łagodniejszą tylko i cichszą, zwraca się do sióstr jaskółek i braciszków skowronków.

Skoncentrowanie całej istoty w jednem, tworzy siłę. Skoncentrowanie całej istoty w jednem, tak że nic poza niem nie zostaje, jeśli tem jednem Bóg, tworzy świętość. Podnoszą biografowie jego charakter śpiewaka-poety, on sam się śpiewakiem Bożym nazywał. Nie to jego istotą, że był śpiewakiem, ale że był śpiewakiem Bożym, kochał muzykę, ale rozumiał ją także po swojemu: »Podnosi duszę, koi boleść, a którą przywieść trzeba do

pierwotnego jej przeznaczenia, a ono jest chwalić Boga, a nie rozpalać namiętności«. To jego słowa.

Na tle tem dopiero występuje owa tyle sławiona pogoda świętego. Harmonia świata całego, spełniającego wolę Bożą. Nic z rzeczy spotykających go harmonii tej nie zakłócało, bo wszystko, co jest, prócz grzechu, wolę Bożą pełni — ale, że naturze ludzkiej nie zawsze łatwo dostroić się do tonu tego, więc pogoda, którą zdobył, mieszkała za wielu ścieżkami stromemi, za ciężkim trudem, za wielkim płaczem.

Z miłością przyrody łączy się u świętego Franciszka, według niektórych, nie rozumiejących jej źródła, inna cecha, która im się w świętym bardzo podoba: św. Franciszek, o dziwo! nie był... ascetą!

On rozmiłowany w Ukrzyżowanym, on, który za pierwotną nazwę dla siebie i braci wziął »pokutnicy«, on drżący z zimna w swych dziurawych szatkach, on przepędzający Post Wielki o dwóch chlebach na wyspie jeziora trazymeńskiego! — on nie był ascetą!

»Ascetyzm nie leżał w intencyi Franciszka, który miłował pogodną naturę, a ciało ludzkie chciał widzieć mieszkaniem Boskiem« — pisze Porębowicz. Dużo piszą biografowie o pokutach jego i to właśnie dlatego, że »chciał widzieć ciało ludzkie« mimo zepsutej jego natury »mieszkaniem Bożem«, co zresztą ascezy każdej celem. Nie mogę się tu wstrzymać od zacytowania zapatrywań pana Baumfelda na tę kwestyę: »A widzę jak wieki szły ku nam, składając upragnienia swoje dojrzane, a w udręczeniu zmagając się z sobą od ducha ku naturze odrzucając się... A był jeden żyjący wśród klasztorów średniowiecza, ale wzrok jego daleko ponad mury ich przenikał, albowiem pełnia Chrystusowa była w nim. I tedy on Franciszek z Assyżu pierwszy przemówił do ciała: *gaude frater corpus*, a oto ciało mianem brata nazwane uradowało się głosem tym miłości, po tylu udręczeniach pierwszy raz słyszanym i stało się innem«. Nie wiem kiedy to *gaude* było, chyba przed samą śmiercią, ale znane *fra asino*, którem to mianem do ciała swego przemawiał, trochę inne światło na owo braterstwo rzucają. Bezdennie głupi, a tak głęboko bolesny ryk osła, tak często po ulicach Assyżu rozlegający się, wymownie porównanie to illustruje.

Efekt ustępu tego w każdym razie wielki, gdy się go zestawi z faktami. Tak to impresye impresyonistów dalekie są często od prawdy. Ale co to szkodzi, o wrażenie przecie tylko chodzi, a czy ono z prawdą faktyczną zgodne? mniejsza. Zaznaczyć tu chciałabym jeszcze, że właśnie u pokutników najsurowszych z pierwszych wieków, widzimy ten dziwnie blizki stosunek z przyrodą.

»Bożym być, by Bóg był moim«, to cel Świętego. Dlatego odrzucić wszystko, oderwać się od wszystkiego, by nic przy ziemi nie trzymało. Stąd ubóstwo co do ciała i co do ducha: pokora[1]. Stąd miłość ubóstwa jednego i drugiego. Bo miłość Boża, żądza Boga, skwapliwie odrzuca wszystko, co nim nie jest, a że to się bez walki obejść nie może, stąd asceza. Asceza oderwania się i asceza przyzywania, aż zejdzie Ten, którego dusza świętego pragnie, zejdzie Przedwieczny z dna przedwieków kochający, a dusza świętego się ukoi i z łkaniem dziecka powróconego matce wołać będzie: *Deus meus et omnia!*[2]

* * *

Jak zwróciłam uwagę na cechy umysłu nowożytnego, fałszujące postać świętego, tak pragnę też uwagę zwrócić na inne

[1] Porębowicz znajduje, że pokora, stawianie siebie nie ponad, lecz poniżej drugich, »nie może być... ideałem na dzisiaj, kiedy wydoskonalenie się osobistości wyrobiło w człowieku szlachetną dumę i godność, tak dalece, że w uniżoności i pokorze dopatrujemy się wyrachowania i obłudy«. Naiwną jest ta pewna siebie dobra wiara, z jaką świętość całą ze wszystkiemi jej atrybutami odstępujemy wielkodusznie średnim wiekom, bo zaprawdę nie wiem, czy wiele cnót wobec jaśnie oświeconej wolnej myśli mogą osądzone być godnemi ostać się.

[2] Świadoma jestem zarzutu, który mię spotkać może, że co chwila pióro moje osuwa się po św. Franciszku, by pisać o świętości wogóle. Dzieje się to częściowo z powodu reakcyi wywołanej tendencyą przeciwną nowoczesnych admiratorów Świętego, czyniących z niego typ zupełnie różny, owszem przeciwny świętym innym; np. Sabatier, od którego dostało się przy sposobności nie tylko Kościołowi i ascezie jego, ale i św. Bonawenturze i Antoniemu Padewskiemu i św. Dominikowi i Alfonsowi Liguori i Alojzemu Gonzadze — otóż dlatego akcentuje się mimowoli cechy wspólne każdej świętości.

cechy naszego wieku, które czynią, iż postać ta mogłaby się stać naszym czasom bardzo blizką, rodzimym ich ideałem.

Czasy nasze: dążenie do demokratyzacyi, zagadnienia socyalne, gwałtowne wołanie o sprawiedliwość, pęd do ostateczności, bezwzględność, krańcowość nie cofająca się przed niczem, walka z wszechwładczą pychą panoszącego się bogactwa, z przemocą jej nad prawem.

On: wódz armii ubogich, wódz armii potężnej, co Włochy podtopiła całe, a stamtąd błogosławioną falą wylała na cały świat chrześcijański, rozrosła w organizacye tercyarskie, reformy socyalne przeprowadzała[1]. On: gwałtownik porywający niebo, którego życie całe to krzyk jeden o sprawiedliwość — królestwo Boże na ziemi. Walczący życie całe przeciw zbytkowi i pysze, zwycięstwem sięgający tronów.

Ale gwałtownik ten, gwałt, bezwzględność, krańcowość zwracał przeciwko złemu w sobie i w ludziach — ku ludziom samym miłością wychylony. Ale armię swą do walki z pychą, miękkością i zbytkiem zbroił pokorą, hartem, miłością ubóstwa. Wrogów swoich zwyciężał nie niszcząc ich, a w armię swoję wcielając — idąc *ad hominem* serc się ich miłością chwytał, dusz się chwytał sprawiedliwości p r a w d ą. Wielką część społeczeństwa wydźwignął z zamętu i zbrodni, bo do każdego z osobna zwracając się, każdemu kazał reformę od siebie zacząć, nie od brata. »Taki braciszek klęcząc u stóp ołtarza składał bezwzględny ślub ubóstwa nie myśląc wtedy o majętności swego sąsiada, ale o swojej tylko[2]. Zbratał ubogiego i bogacza, bo nad ubogim czy bogaczem ukazał Pana, któremu jeden i drugi służyć mają, j e d e n z d r u g i m. Bogaczowi: ukazał szczęście dawania; ubogiemu: błogosławieństwo ubóstwa. Jedno i drugie wprowadzenie w czyn ewangelii. Ustawał jęk krzywdzonych i krzyk krzywdzicieli, niszczała krzywda, bo nad

---

[1] Zwracam uwagę na parę książek, rzucających interesujące światło na tę stronę wpływu świętego: Père Venana: *St. François et son rôle social,* Ojciec Cuthbert: »Bracia i przybycie ich do Anglii« (tłumaczenie z angielskiego) i zwłaszcza tegoż autora: »Ideały społeczne katolicyzmu«. Wydała »Biblioteka dzieł chrześcijańskich«. Warszawa.

[2] Cuthbert: »Bracia i przybycie ich do Anglii«.

wszystkimi ukazał Boga miłość dającego, miłość rodzącego, w miłości jednoczącego.

Śmiałość i pokój miał, bo nie dla siebie i nie sobą walczył. Siłę i moc i miarę wieczności miał, bo płynęły od tego, Któremu nie odmówił sam niczego, Który Mocą Sam i Wieczny Sam, a w Którego ręku pylinką czuł się najmarniejszą.

* * *

Wychodzimy z wielkiej, trochę zimnej i pustej bazyliki św. Klary. Kościół ten wybudowano w lat parę po śmierci Świętej i zwłoki jej tu przeniesiono i pogrzebano w jego obrębie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, tak jej zwłoki, jak i zwłoki św. Franciszka przez siedm wieków ukryte, zgubione niejako, gdyż wiedząc, że w obrębie kościoła są, dokładnie o miejscu ich złożenia nie wiedział nikt, w wieku XIX odkryto na nowo po wielu i żmudnych poszukiwaniach. Z tem zgubieniem zwłok św. Franciszka, łączy się zdarzenie zbyt charakterystyczne na owe czasy, by o niem nie wspomnieć. Jeszcze żył święty, a już pilną strażą żołnierzy miasto Assyż otaczało go, bojąc się, iż sąsiednia Perugia, czcią trochę barbarzyńską wiedziona, zechce święte szczątki przywłaszczyć sobie. W cztery lata po śmierci świętego, a w dwa po kanonizacyi jego, nadszedł dzień przeniesienia zwłok do nowo zbudowanej bazyliki, dzień tryumfalnego pochodu, którym papież w imię Kościoła, chciał uczcić Świętego.

Więc ukazała się osobna bulla, zachęcająca wiernych do wzięcia w nim udziału i obdarzająca ich odpustami, więc książęta chrześcijańscy powiadomieni, sam papież zamierza własną osobą ceremonii przewodniczyć. Bracia ze stron wszystkich ściągają, tłumy wzbierają i kipią w oczekiwaniu... Tymczasem trzy dni przed pochodem znika ciało świętego... To brat Eliasz, wytłumaczywszy starszym miasta, iż bezpieczniej zawczasu ukryć cenne relikwie przed chciwością sąsiadów, za wiedzą starszych, z pomocą łuczników miejskich, chyłkiem wynosi ciało święte z kościoła św. Jerzego i chowa je pokryjomu w nowym kościele... Pochód się odbył mimo to, a ciało świętego tak dobrze ukryto, że tradycya zaginęła i trzeba je było z trudem szukać.

Zostawiamy więc poza sobą ciało Świętej, zostawiamy pokazywany w oratoryum sióstr krucyfiks, z którego Chrystus przemówił do Franciszka, ale wrażenie tego krucyfiksu długo nad nami jeszcze zostanie, tem dziwniejsze, że bizantyjskie krucyfiksy na nas wogóle mniej wrażenia robią — a idziemy tam, gdzie Święta żyła, w świętości dojrzewała i tam gdzie rozbrzmiał głos Chrystusa Pana do zrywającego się w czyn sługi swego. »Franciszku idź, naprawiaj Kościół mój, który się wali«.

Idziemy do kościoła i klasztoru San Damiano.

Za nami Porta Nuova, za nami poszczerbione mury, którymi średnie wieki opasały Assyż, świecą w zniżającem się jaskrawem słońcu. Przed nami ciche oliwy, pole cichych oliw schodzące łagodnym skłonem, droga nasza biała, jak wszystkie, wiedzie nas między niemi.

Lubię szarość ich liścia, lubię ich pnie, na których tak widać twardy trud życia i zdobywania, pracy na ową oliwę miękką i łagodną, na oliwę żywić mającą ogień wieczny przed ołtarzami. Cichość jest tutaj między niemi wielka. Słońce się rozlewa po roli czerwonawej, rozbłyskując na wystających grudkach. Na wiosnę może śpiewają tu ptaszki, może gwarem swoim płoszą ciszę ludzie, ale teraz jest jesień ze swojem zamyśleniem. Po brzegach drogi czerwienieją liście kolczastych ożyn o wiciach długich, giętkich, o bardzo ładnej linii. I więcej nie widać nic, ani nikogo. Kościół z klasztorkiem ukryty za zboczem, błyśnie nam białym murem dopiero za zakrętem.

Mroczny kościółek, po blasku słonecznym zwłaszcza. Mury się chyba mało zmieniły od czasu gdy Święty tu był. Niewielki kościółek o poczerniałych kamiennych ścianach. Jak wszędzie w Assyżu, tak i tu przeżywa człowiek życie Świętego. — Na brata siwego, o suchej twarzy patrzy się człowiek, jak na część tego świata, w którym po dziś dzień żyje Święty. Bo bracia rezydują przy tym kościele, odkąd Klaryski przeniesieno do klasztoru przy bazylice, ale klasztorek, gdzie mieszkała święta Klara z pierwszemi towarzyszkami swemi, zostawiono takim, jakim był za ich czasów i takim go widzimy.

Z kościoła po prawej stronie ołtarza drzwi do chóru. Przez

jedno małe okienko wchodzi skąpe światło. Maleńki chór, wokoło wąziutkie stalle z prostego ściemniałego drzewa, pośrodku wysoki pulpit na brewiarz, pusty i stalle puste i chór pusty, nie wiem jednak ktoby tu nie przystanął i nie odczuł nieokreślonego, a głębokiego wrażenia, które napełnia to miejsce. Jakie musiały być modlitwy, co tu żyły, jakie serca, co się w klasztorku spalały cicho, jak kadzidła Panu, w kadzidle tem nie brakło i mirry, nie brakło i słodyczy.

Podają nam kroniki, jak tu w tem miejscu, w noc Bożego Narodzenia, stanęło przed Klarą i świętemi jej towarzyszkami Dzieciątko Boże, jak każdej ze zbliżających się kolejno obrączkę na palec kładło.

Przez małą, kamienną, sklepioną sień i parę schodków, wychodzimy na miniaturową terasę, u której końca szeroka (w stosunku do terasy) grzęda na kwiaty. To tak zwany ogród świętej Klary. Ogród zaprawdę zgodny ze ślubem ubóstwa, niewielki, ale z niego jak z loży otwiera się widok na dolinę u stóp, na linię gór sinych i na wielki, wielki szmat nieba. Klasztorek ten wogóle robi wrażenie loży otwartej na niebo. Prócz tych paru miejsc jest w niem jeszcze refektarz i dormitarz wspólny, infirmerya i oratoryum prywatne Świętej przylegające do »ogrodu«.

Wracamy tą samą drogą. W sieni zastanawiają nas płyty kamienne, po których stąpamy, jedne przy drugich jak zwykłe fliży, tylko duże.

Pytamy brata oprowadzającego nas:

— A!.., tu pochowane pierwsze zakonnice, towarzyszki pierwsze świętej Klary, spojrzał na nas uważnie, widać, że jednak poznał w nas nie takich turystów Amerykanów, których się strzedz trzeba, a nie ze wszystkiem wygadywać.

— Tu w maju czasem... Przeszłego roku, przyszła tu jakaś pani Angielka, stanęła na progu tym, zdziwiona pyta:

— »Jakie tu zioła siejecie?

— »My? żadne...

— »Cóż to więc pachnie? Nie znam tego zapachu... Ale co za zapach!« — nie mogła się uspokoić. A to z pod tych płyt się wydobywa czasem... z pod tych płyt!

W niszy w kościele stoją pamiątki po świętej Klarze. Puszkę tę, gdzie się przechowywał najśw. Sakrament, wedle podania, podniosła nad hurmą Saracenów, walącą się na mury ubogiego klasztorku, a hurma uderzona nieprzytomnym strachem, poszła w rozsypkę tak gwałtowną, iż w popłochu szwank wielki w ludziach poniosła... Przez lądy dalekie i lasy i pola uśmiecha się ku nam wspomnieniem z zameczku pienińskiego inna, nasza Święta: Kinga. Widzimy ją modlitwą swoją trzymającą w bezwładzie hordę tatarską, co przybyła tu zameczek zdobywać, i tam się też tłuszcza cofnęła.

W niszy obok dzwonek, którym Święta na modlitwę siostry zwoływała, dalej ułamki chleba: papież, odwiedzając klasztor, dzielił posiłek sióstr. Święta prosiła, by zechciał błogosławić chleb, który miały pożywać, ale zmuszona rozkazem Ojca świętego, sama chleb przeżegnała i oto na każdym bochenku znak krzyża cudownie się wyrył... i cząstka habitu Świętej i brewiarz jej, pisany ręką brata Leona...

Milczenie nas ogarnia i rzewność jak na widok pamiątek po drogich zmarłych i cześć... i staje nam w pamięci niesmaczny sposób, w jaki Schneider w swej »Umbryi« o takiej chwili się wyraża; — jak to czasem najwięcej wyrafinowany i subtelizujący umysł staje się nagle niekulturalnym, gdy o uczucie religijne chodzi! Przecie i pamiątki po bohaterach swoich ludzkość czcią otacza, a czyż kto znajdzie czystszych bohaterów, jak bohaterowie idei najwznioślejszej: święci. Pamiątki po świętej... to co po niej na ziemi zostało »reliquia«... a że ś w i ę t ą była, relikwie święte. Jeśli zaś Bóg chciał moc swoją w nich pozostawić, jakby niebiańską woń świętości, cudowności, woń łaski, którą świętych napełnił, nie powinno to tak bardzo dziwić. Wraca na usta pytanie, kończące jedną z przypowieści Chrystusa. »Przyjacielu... izali mi się nie godzi uczynić co chcę? czyli oko twoje złośliwe jest, iżem ja jest dobry?« (Mat. XX, 13, 15).

* * *

Od Sacro Convento zwracamy się w inną stronę, zostawiając za sobą dolinę jasną.

Wieczór jest. Drogą idącą zboczem góry idziemy w świat dziki stromych, nagich gór. Na szczytach ostatni blask leży — z doliny ciemnej, gdzie na dnie bieli się kamieniste koryto rzeki, podchodzi cień fioletowy, a światło i cień stopione jakimś tonem ciepłym, przechodzącym w głębiach w fioletową purpurę. Wkoło dzicz i milczenie. Z początku drogi, gdy słońce ukryte już za górą jeszcze pełnią blasku rozpalało złote chmurki na bladym błękicie, spotykaliśmy braci w grubych habitach, dążących po dwu lub trzech do klasztoru i bez trudu wrażenie przenosiło nas w czasy, gdzie tak samo i Święty utrudzony całodzienną apostolską wędrówką, powracał do swego klasztorku, boso po ostrych ślizkich ścieżkach — i dziś jest tu prawie tak samotnie, jak wonczas i takiż hymn głęboki gra powaga i wielkość szczytów skalnych, jak grała duszy Franciszka świetlanej, pławiącej się w miłości Stwórcy.

Ludzie pamiętają go raczej na jasnej dolinie wśród łąk zielonych, słonecznych, lub w świeżej ciszy leśnej — niż na stromych ścieżkach w pocie uznojenia.

U stóp naszych, doliną wyginającą się pod naporem gór zastępujących jej drogę stąd i zowąd, wije się sucha rzeka, która płynąć przestała, wchłonięta żarem lata. Za doliną, po zboczu przeciwległej góry, które nam zupełnie nagiem i bez ścieżek się zdało, stacza się stado owieczek, mało co różne od szarości skał.

Przed nami z za gór wysuwają się góry nowe, z poza tych jeszcze inne. Na ścieżce sylwety kobiet idące ku nam z koszami na głowie, to wracające z plonem wieśniaczki z winnic zgubionych gdzieś na jakiemś zboczu, gdzie ziemi trochę na skałach się zatrzymało.

Przeszły — cisza jakaś ogromna schyla się nad światem skalistych olbrzymów, cisza nieruchoma, trochę chłodna w surowym świecie skał. Późno się robi. Stanęliśmy chwilę wśród biednych ziół górskich nad półrozwaloną zagrodą kamienną, opuszczoną ludzką sadybą i pozwalamy się zalewać owym głębinom milczenia pustynnego.

Za nami odgłos wolny zbliżającego się stępa. To na swym osiołku wraca jakiś zacny stary proboszcz do swej parafii śród-

skalnej i czyta brewiarz, *Fra asino*, osiołek, idzie rozsądnie, powoli, nie przeszkadzając jeźdźcowi. Wkoło milczący piękny świat zachodzący zwolna w mrok. Proboszcz oderwał wzrok od książki:

— *Laudetur Jesus Christus* — pozdrowił nas.

— *In saecula saeculorum.*

Ciemnieje — góry świecą jeszcze jakiemś dziwnem, zmrokowem światłem różowem, a mimo to w tem mrocznem świetle mają w sobie coś kryształowego. Nad niemi, na liliowem, ciepłem niebie księżyc nizko, tuż nad krawędzią, nie złoty, ale na liliowym miękkim mroku twardy, brylantowy.

Pokój! — ze świata tego skał i urwisk i ścieżek dzikich, z cichości ziół nizkich, gorzko pachnących, z przepaści wstaje on, jako wyraz trochę surowy, a bardzo bezpieczny, jakiejś prawdy wewnętrznej. Pokój nie śpiący na kwiatach, lecz wyrastający z mocy wielkiej i twardej, nad którą błogosławieństwo rzewne nieba.

Wspomnienie Świętego przepaja dusze nasze, przepaja w oczach naszych krajobraz ten cały. Essencyą drogocenną rozlaną w nim jest, dziwną mocą i słodyczą nie z tego świata.

Święty odszedł. Lecz świat, w którym żył na naszej ziemi został — i ścieżki, któremi po niej chodził — zostały.

Krystyna Saryusz Zaleska.

OSTATNI ZJAZD POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ.

Obmowcy obmawiają Warszawę, jakoby gród ten uprawiał rodzaj towarzyskiej gry, zwanej blagą warszawską. Niepodobna tu głębiej badać podstaw tej pogłoski ani śledzić, kto do niej dał powód: być może, że myśl o niej powstała na widok Sprawozdania z XI. zjazdu polskiej partyi socyalistycznej.

Spora to książka, o stu kilkudziesięciu stronach w ósemce: przedstawia się już na zewnątrz niemniej poważnie, niemniej nawet wytwornie, niż te księgi, zwane żółtemi, białemi, błękitnemi, z któremi rządy stają przed przedstawicielstwem narodu, aby uspokoić umysły opisem wiekopomnych dzieł, dokonanych orężem albo układami z postronnem mocarstwem. Z powagą zewnętrzną książki socyalistycznej licuje treść jej, bogata w poglądy na szeroką widownię stosunków międzypaństwowych, nawet bogatsza w tej mierze, niż przeciętna mowa tronowa w mocarstwie, którego lekceważyć nie można.

Bo też rzeczona książka przedstawia w polskiej partyi socyalistycznej potęgę, zdolną wystąpić czynnie śród przewrotu międzynarodowych stosunków i obowiązaną obmyśleć już dzisiaj, na czyją stronę przechyli szalę dziejowych wypadków. Zaraz tu można dodać, w czyją stronę Polska Partya Socyalistyczna spogląda: otwarcie wyznaje (str. 87), że »gdyby Królestwo przyłączono do Niemiec, mielibyśmy niemałe korzyści«, więc w rezolucyi (str. 89) »Zjazd potępia stanowczo usiłowania reakcyi i kontrrewolucyi wszelkiego rodzaju, która wysuwając na pierwszy plan

niebezpieczeństwo pruskie, usiłuje odciągnąć w ten sposób ludność od walki...«

Z wytkniętą tedy dla siebie drogą, — potęga, zdolna gdzie zechce zatknąć sztandary zwycięskie, — w jakiej oblicza się sile?

Wylicza najprzód powody, dla których (str. 6) »stan partyi wszędzie widocznie zaczął się poprawiać«. Różne odcienia socyalizmu liczyły przed dwoma latami:

W Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego i Litwy członków 30.000 (str. 25).

W Polskiej Partyi Socyalistycznej członków 18.000 (str. 2, str. 77) — z poprzednimi razem 48.000 członków.

W Bundzie nieznaną liczbę Żydów, nieznaną także liczbę członków w Frakcyi Umiarkowanej

Słowem: w dwu obozach socyalistycznych podana liczba około 50.000 członków, wraz z niepodaną liczbą członków w dwu obozach innych, odpowiada liczbie około stu tysięcy zgromadzonych przed paru latami pod czerwonym sztandarem.

Otóż cały przeciąg ostatnich dwu lat »nacechowany był reakcyą« (str. 1), »szerokie warstwy ludności przestały wierzyć w możność pokojowego rozwoju, stały się zatem przystępne dla naszej agitacyi... zaczyna się rodzić przeświadczenie, że tylko w bezwzględnej walce rewolucyjnej leży rękojmia wyzwolenia...

»Że taka sytuacya nam sprzyja, tego nie potrzeba dowodzić... zaczyna się napływ intelligencyi do naszych szeregów, powstaje coraz liczniejszy zastęp t. zw. sympatyków, ludzi, którzy uznają potrzebę naszego istnienia i częściowo lub całkowicie przyjmują nasze zasady« (str. 3).

»Wśród proletaryatu sytuacya zmieniła się również na naszą korzyść. Przedewszystkiem, upadła zupełnie Frakcya Umiarkowana, która... sprzeciwiała się walce rewolucyjnej, a spekulowała na pokojowych instynktach tłumów. Szerzące się śród proletaryatu przeświadczenie, że tylko siłą można będzie uzyskać zmianę losu, odwróciło od niej umysły, działalność jej zanikła zupełnie, organizacya rozpadła się, pozostały tu i owdzie jednostki odosobnione. To samo, choć w mniejszej mierze, spotkało Socyaldemokracyę Królestwa Polskiego i Litwy. Zmniejszenie się, w niektó-

rych miejscach zupełne ustanie walki w łonie proletaryatu świadomego pozwoliło partyi naszej rozwinąć się« (str. 6).

Wobec warunków tak korzystnych dla rozwoju Polskiej Partyi Socyalistycznej doszedł zastęp około stu tysięcy obrońców czerwonego sztandaru do liczby dziś członków następnej:

W Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego i Litwy liczba członków w końcu roku 1907-go spadła do 3000, dziś stanowi ledwo garstkę; (str. 25)

W Polskiej Partyi Socyalistycznej liczba członków wynosi trzy tysiące; (str. 77)

W Bundzie z organizacyami żadnemi już dwa lata ostatnie nie dały się zetknąć, tylko resztki ich były wchłaniane przez Polską Partyę Socyalistyczną (Żyrardów, Zagłębie); (str. 27)

Frakcya Umiarkowana jest dzisiaj tylko firmą, poza którą istnieją rozproszone jednostki; (str. 24)

Zatem wobec warunków tak korzystnych dla rozwoju Polskiej Partyi Socyalistycznej, liczba wszystkich socyalistów ze stu tysięcy doszła do trzech tysięcy z okładem, i to ledwo nie samych członków Polskiej Partyi Socyalistycznej. Zatem Przedstawiciel Centralnego Komitetu Polskiej Partyi Socyalistycznej mógł zagaić zjazd słowami, że:

»Socyalizm polski przeszedł przez ogniową próbę, ale nie uległ, nie upadł. Partya Polska Socyalistyczna dała świetne dowody żywotności i niezłomnej mocy« (str. 77). Mógł również tow. Daszyński przemówić słowami, że: »dziś, gdy fala prześladowań spłukała wszystkie (inne socyalistyczne) stronnictwa z powierzchni dziś mamy probierz żywotności... Wasza (Polska Socyalistyczna) Partya jedynie, jako siła żywa, chcąca i mogąca żyć... znów rozkwitnie jako jedyny kwiat wolności. Staliście się jedyną żywotną partyą rewolucyjną w Królestwie... Możecie być pewni naszego spółdziałania. Nie powiem Wam nic nowego, jeżeli Was zapewnię, że cała partya nasza, od Morawy Ostrawskiej aż hen po Bukowinę, to Wasi sojusznicy...«

I dalej ciągnie tow. Daszyński: »w warstwach ludowych poczucie narodowe, czyn narodowy wzmaga się, na szczęście, coraz bardziej. Walka o prawa narodowe toczy się nawet w klerykalnem

Poznańskiem, na Śląsku. Naród nie daje się stłumić, zgnieść. Unarodowienie robi coraz to większe postępy. Od roku 1890 — od czasu powstania partyi naszej w Galicyi — postęp w tym kierunku jest coraz większy...«

I dalej ciągnie tow. Daszyński: »Narodów nie można majoryzować... przemoc liczebna jest wielka, a jednak polskości nie zmoże. A ileż siły dodaje polskości ruch u dołu, ruch socyalistyczny! O ileż silniejszy byłby opór nasz w Prusiech, gdyby w zaborze pruskim istniał silny ruch socyalistyczny!«

I dalej mówi tow. Daszyński: ...»pewnym przyszłości można być tylko wtedy, gdy się jest w zgodzie z samym sobą, gdy się na własne liczy siły i praw swoich się domaga. To kotwica, na której spocznie okręt narodu... Bądźmy sobą, bądźmy gospodarzami na swojej ziemi...«

Tak mówił tow. Daszyński.

Zjazd gorącymi oklaskami dziękował.

A może tak tow. Daszyński nie mówił na zjeździe? może z jego mów patryotyzm tylko tak wygląda skutkiem omyłek druku? Bo już nie można wiedzieć, gdzie drukarze się mylili: czy w *Naprzodzie* przez lata, kiedy drukowali mowy tow. Daszyńskiego pogardliwe dla całej Polski wraz z »prochami tyranów na Wawelu«? Czy wtedy drukarze mylili się, czy kiedy drukowali powstańcze wykrzykniki tow. Daszyńskiego w Warszawie? Kto wie wkońcu, czy mylili się drukarze... Ważniejsza rzecz, co działo się dalej na zjeździe.

Po obiorach i uchwalonym porządku dziennym, uczestnicy zjazdu otrzymali drukowane sprawozdanie Centralnego Komitetu Robotniczego, które zawiera ciekawą treść, podzieloną również bardzo ciekawie, bo iście z pruską pedanteryą na następne rozdziały, działy i poddziały:

I Sytuacya polityczna
II Sytuacya ekonomiczna
III Ustosunkowanie się *(sic!)* partyi
1. Partye burżuazyjne
a) ND i jej rozkład

b) Realiści
c) Postępowcy
2. Partye socyalistyczne
a) Frakcya Umiarkowana
b) Socyaldemokracya Królestwa Polskiego i Litwy
c) Bund
IV Nasza działalność polityczna
1. Zasady i kierunek
2. Duma
3. Panslawizm
4. Sprawa oderwania t. zw. Chełmszczyzny
5. Stanowisko partyi wobec zatargu rosyjsko-austryack.
V Nasza działalność ekonomiczna
VI Nasza działalność bojowa
1. Zasady i kierunek
2. Praktyka
VII Święto majowe
VIII Nasza działalność wydawnicza
1. Wydawnictwa krajowe
2. Wydawnictwa zakordonowe
IX Życie organizacyjne
1. Organizacya krajowa
Okręgi: a) Warszawa — miasto
b) Warszawa — podmiejski
c) Okręg łódzki
d) Zagłębie Dąbrowskie
e) Okręg częstochowski
f) Okręg kielecko-radomski
g) Okręg lubelski
h) Okręg siedlecki
2. Organizacya zagraniczna i zakordonowa
X ?
XI Nasze ofiary

W podobnym porządku odbywały się obrady, podobnież spisane z systematycznym po prusku doborem liczb rzymskich, arab-

skich i głosek abecadła, aby uwidocznić rozdziały, ich działy, poddziały i podpodziały:

I Sprawozdanie
II a 1 §) Wnioski z obecnej sytuacyi politycznej
§) Rezolucya
II a 2 §) Stanowisko partyi wobec grożących zatargów międzypaństwowych
§) Rezolucya
II a 3 §) Neoslawizm
§) Rezolucya
II a 4 §) Sprawa Chełmszczyzny
§) Rezolucya
II a 5 §) Kwestya szkolna w Królestwie
§) Rezolucya
II a 6 §) Stosunek do rosyjskich partyi socyalistycznych
§) Rezolucya
II a 7 §) Stosunek do polskich partyi burżuazyjnych
§) Rezolucya
II a 8 §) W sprawie projektu samorządu miejskiego
§) Rezolucya
II b §) Sprawa nazwy partyjnej
§) Rezolucya
III §) Sytuacya i walka ekonomiczna
§) Rezolucya I
II
IV Ustawa partyjna
V ?
VI §) Wewnętrzne sprawy organizacyjne
§) Rezolucya
VII Wolne wnioski
a §) Robota na wsi
§) Rezolucya
VII b Pisma lokalne
VII c Solidarność wyborowa

Czytelnik szuka najprzód rozdziałów o socyalnej gospodarce w spisie przedmiotów, roztrząsanych na zjeździe socyalistów.

Wszak socyalizm występuje wobec warstw upośledzonych majątkowo jako ich przewodnik po drodze do dobrobytu: obecnie sprawę zdaje z dzieł swoich dokonanych przez dwa lata, — co tedy już zdziałał z pożytkiem dla stosunków majątkowych śród biedaków? Przewodnicy ludu przedstawiają dalej wnioski swoje co do prac przyszłych i żądają uchwał dla tych wniosków od członków zjazdu: co tedy wnoszą? jakiej żądają uchwały przydatnej do postępu socyalnego?

Szuka czytelnik odpowiednich rozpraw i wniosków, ale na sześćdziesiąt z górą nagłówków znajduje ich ledwo cztery czy pięć o tych właśnie sprawach, w których socyaliści przedstawiają ludowi swój właściwy zakres pracy i właściwy powód, dla którego istnieją. Poza tymi kilku nagłówkami treści ekonomicznej, czytelnik widzi spis nagłówków, odpowiednich przemowie naczelnika rządu do posłów sejmowych. Tak... to widocznie pod nazwą zjazdu socyalistycznego odbył się sejm nieznanego, ale potężnego państwa. Na takim sejmie rząd w swojej przemowie o stosunkach państwa zewnętrznych i wewnętrznych porusza także gospodarkę społeczną: więc i o niej nieco wspomniał sejm zwany Jedenastym Zjazdem Polskiej Partyi Socyalistycznej.

I cała treść tych wzmianek i wniosków co do społecznej gospodarki odpowiada domysłowi o sejmie jakiegoś państwa pod obcem nazwiskiem: wzmianki sprawozdawcze zarówno jak wnioski zmierzają wprost i przedewszystkiem do myśli państwowej, a dopiero w następstwie, po zaspokojonych potrzebach państwa, mają robotnicy do rządu się udać ze swojemi potrzebami.

Tak tedy ową myśl przeprowadza sprawozdawca:

»Klasa robotnicza w Królestwie skorzystała z okruszyn wolności obywatelskiej, aby spotęgowaną walką ekonomiczną zdobyć większe płace i krótszy dzień roboczy«. (Tę to walkę nazywa sprawozdawca zaczepną, — mianowicie kiedy robotnicy dążą do korzystniejszej dla siebie umowy z fabrykantem, a przeciwnie, kiedy robotnicy zachować chcą umowę dawną a fabrykant gorszą dla nich chce zawrzeć, wtedy walkę nazywa sprawozdawca obronną w dalszym wywodzie). »Wielka fala zaczepnych walk gospodarczych z początkiem roku 1907-go miała się już ku końcowi... zro-

zumieli fabrykanci, że zdołają przeciwstawić się sile zorganizowanych robotników wówczas tylko, kiedy sami się zjednoczą, kiedy nadadzą swoim wystąpieniom bardziej jednolity i celowy charakter. Zorganizowanie się fabrykantów było jednym z decydujących czynników w ograniczeniu wystąpień zaczepnych ze strony robotników. Czynnikiem drugim, niemniej ważnym, była zwiększająca się z dnia na dzień reakcya..., przy której akcya gospodarcza ze strony robotników bardzo poważnie utrudnioną została. Wytworzyło to warunki, przy których odporna wartość organizacyi fabrykanckich *(sic)* stale się zwiększała, zaś zaczepna — robotników polskich coraz mniejszą była... Był to początek nowego okresu w gospodarczem życiu polskiej klasy robotniczej, początek okresu reakcyi, trwającego po dziś dzień, którego celem było i jest odebranie wszystkich tych zdobyczy ekonomicznych, jakie robotnicy długiemi i ofiarnemi walkami zaczepnemi zdobyli« (str. 42).

Tu przerwać można na chwilkę tok wywodów sprawozdawcy, aby zwrócić uwagę, że przytaczane ustępy, zwłaszcza dłuższe, — jak ostatni, — muszą uderzać czytelnika polskiego doborem wyrazów, ich szykiem i niezgrabnymi zwrotami mowy, które żywcem przypominają przekłady dosłowne z niemieckiego języka. Przyda się mieć to na oku w ciągu wszystkich wywodów następnych.

Otóż dalej czytamy (str. 8 i dalsze), że długotrwałe strejki polityczne, a przedewszystkiem lokauty, zachwiały nie tylko poszczególne (*sic!* biernik!) fabryki (!), ale i całe (!) gałęzie (!) wytwórczości... W takich warunkach ogólna wartość produkcyi krajowej zmniejszyła się, niektóre gałęzie wytwórczości prawie zaniknęły... Wypadki z końca r. 1905 i początków 1906 r., oraz ciągłe zatargi ekonomiczne o charakterze zaczepnym, zasadniczo zmieniły położenie polskiego przemysłu włóknistego... największy i decydujący wpływ w tym względzie wywołał bezwzględny 18-to tygodniowy lokaut kapitalistów łódzkich... trwa ciągle zorganizowana działalność fabrykantów łódzkich, usiłująca przy pomocy zniżki norm zarobkowych i przedłużenia czasu pracy doprowadzić łódzkie zakłady włókniste do »równowagi ekonomicznej«. W Łodzi

wszędzie prawie dzień roboczy przedłużono do 10 godzin dziennie; we wszystkich prawie fabrykach łódzkich obniżono płace od 10 do 50%, przyczem nie jest wykluczona możliwość dalszych zniżek...

...Przemysłowcy metalowi, głównie w dziale wyrobów całkowitych, szukali poprawy ekonomicznego stanu swoich zakładów w ograniczeniu pracy i obcinaniu norm zarobkowych, zmuszając robotników do przyjęcia swoich warunków przy pomocy masowych wydaleń, lokautów i t. p. Fabryka naczyń emaliowanych »Wulkan« w Warszawie obniżyła prace akordowe o 40%, wielka fabryka lamp Ditmara o 50% na robotach od sztuki i 20% na robotach dziennych. Znaczne zmniejszenie norm zarobkowych przy pomocy lokautu zaprowadziła administracya fabryki »Labor«, w ślady »Laboru« poszedł zarząd wielkiej fabryki gwoździ, drutu i t. p. Wolanowskiego, oraz wiele zakładów pomniejszych. Również zmniejszone normy płac wprowadziły zakłady hutnicze w Zagłębiu, okręgu ostrowieckim oraz częstochowskim. Huta »Częstochowa« na Rakowie np. obniżyła o 60% płace walcerzy, ograniczyła zarobki robotników przy wielkich i martenowskich piecach, wprowadzając jednocześnie szykanujące robotników przepisy wewnątrz-fabryczne. *(sic)* Tak samo postąpiły wszystkie prawie huty Królestwa...

...Dzięki dobrej sytuacyi przemysłu węglowego, ogólna akcya zniżkowa płac robotniczych przez fabrykantów prowadzona nie dała się prawie uczuć górnikom polskim. Przejawem reakcyi fabrykanckiej jest tylko zwiększenie się szykan ze strony kierowników i oficyalistów administracyjnych na kopalniach.

...Tak wygląda przesilenie... w głównych działach przemysłu krajowego. Co się zaś tyczy działów drugorzędnych, to cechuje je ograniczenie produkcyi w przemyśle garbarskim, ceramicznym, papierniczym, cukrowniczym, szewskim.

...Stan poszczególnych działów przemysłu krajowego świadczy o fakcie niezbitym, iż ruch rewolucyjny wpłynął na ograniczenie wytwórczości, nie był jednak czynnikiem decydującym... Racyonalna gospodarka ekonomiczna rządu mogłaby skutki przesilenia zmniejszyć... lecz popiera przemysł rosyjski. Co najważniejsza,—przy zupełnym braku robotniczych organizacyi, mogących

stawić opór zachłanności kapitału, przesilenie całym swym ciężarem spadło na barki klasy robotniczej i ułatwiło burżuazyi wydanie (? chyba cofnięcie) tych niewielkich ustępstw, jakie zdobył (? kto? — chyba jakie poczyniła burżuazya!) w okresie rewolucyjnym«.

Cóż tedy sprawozdawca wysnuł za wnioski z tego rzutu oka na zły stan przemysłu i zarobków? Kiedy streszczał powyższe wywody na zjeździe, — obecny na tym sejmie tow. Daszyński mógłby towarzyszowi sprawozdawcy opowiedzieć, co sam pewno słyszał, kiedy przepadał w Krakowie przy wyborach do Wiednia. Wtedy w znacznej części przyczynili się do jego upadku sami robotnicy, którzy głośno narzekali, że socyalizm obiecywał im poprawę stosunków przez strejki, a tymczasem wywołał drożyznę i ciągle ją zwiększa, bo wymusił na fabrykantach i przedsiębiorcach wyższą płacę dla robotnika, ale nie zmusił ich, żeby sprzedawali swoje wyroby po cenie dawnej. Owszem: pieniężnicy odbili sobie dobrze stratę na płacy podwyższonej o połowę, przez cenę wyrobu podwyższoną trzy razy. Murarz, kolejarz, górnik po strejku zarabia na miesiąc kilkanaście koron więcej, niż dawniej, ale za mieszkanie w domu już drożej zbudowanym, za węgle już drożej wydobyte, za sukno drożej wyrobione musi tracić jeszcze więcej, niż zyskał przez strejk: więc nie przymus strejkowy powstrzyma wyzysk ze strony pieniężników bez sumienia; dokaże tego jedynie duchowy na sumienia wpływ i powrót do ustroju stosunków chrześcijańskiego, które przed dobą liberalnego ustawodawstwa powstrzymywało napływ miliardów do jednej kieszeni wobec niezliczonego tłumu nędzarzy. Krakowscy wyborcy z warstw właśnie upośledzonych mówili o tem głośno chwalcom socyalizmu i przeciw ich wywodom podnosili dzieło ich nieszczęsne: drożyznę, tak urządzoną zwyżkę dochodów, że z niej wyrosła i przerosła ją zwyżka rozchodów.

Socyalizm tedy jak w Krakowie tak w Warszawie ściągnął na siebie wyrok, że w ostatecznym wyniku ściąga na lud roboczy stosunki gorsze, niż z których obiecywał wyzwolić. Sprawozdawca warszawski przyznał, że »ruch rewolucyjny wpłynął na upadek pracy wytwórczej«, — ale nie uznał za to ruchu rewolu-

cyjnego szkodliwym, skazanym z góry na klęskę wobec odwetu pieniężników przez drożyznę. Sprawozdawca podniósł drugą przeszkodę, jaką socyalizm spotkał w swojej nadziei, że przemoże pieniężników: znalazł przy nich siłę zbrojną, gotową strzelać ostrymi nabojami. Stąd podniósł zarzut przeciw władzy, iż ją pozyskali pieniężnicy dla siebie. Chyba jak dziecko nie wiedział, że warstwy zasobne, nie pożałują złota i zabiegów, aby od władz uzyskać pomoc choćby zbrojną, kiedy ujrzą przeciw sobie tłum gotowy iść pod czerwonym sztandarem na rozboje i rzeź. Nawet chuliganom i czarnym sotniom udają się pogromy w Kiszyniewie i Odesie tylko do czasu: złoto przekona ostatecznie, choćby nie zaraz, ale wymownie w końcu przekona, że kule powinny przywrócić porządek. I we wszystkich krajach socyalizm rewolucyjny okazuje się zdolnym tylko pogorszyć stan robotnika, bo ostatecznie tylko wystawia tłum na kule i na ciężki odwet przez niesumienną drożyznę albo lokauty.

I widocznie pojął to cały nasz lud, bo jak do Wiednia z Małopolski nie wybrał ani jednego socyalisty, tak z Mazowsza nie wysłał ani jednego do Petersburga i liczbę stu tysięcy towarzyszy zniżył na trzy tysiące. Widocznie nie liczy więcej na poprawę dobrobytu przez socyalistów.

Jako wniosek tedy z wywodów sprawozdawcy wypływa konieczna potrzeba innej pracy, zwróconej ku sumieniom, a nie rewolucyjnej, przez którą socyalizm pogorszył byt ludu.

Sprawozdawca jednak inaczej wnosi, mianowicie że: »Jako wskazanie wypływa konieczność zdobycia takich rządów, któreby w swojej polityce ekonomicznej kierowały się wyłącznie dobrem przemysłu polskiego, pojmowanego jako dobro szerokich mas z tego przemysłu żyjących, a takimi rządami mogą być tylko rządy własne, będące wynikiem zdobycia niepodległego bytu politycznego« (str. 16).

Nie dodał tylko sprawozdawca, czy pod owym rządem pieniężnicy przeciw socyalistom nie znajdą ostrych nabojów na swoje rozkazy, ani nie odpowiedzą lokautem, drożyzną, dokuczliwymi przepisami w robocie. A powinien był o tem pomyśleć, bo z całego opisu stosunków zarobkowych, z całego rozstroju w prze-

myśle na Mazowszu wysnuł nie myśl żadną o lepszych drogach do poprawy dobrobytu, tylko myśl dolekonośną, godną ministra w państwie potężnem: zapowiedział zamach stanu na rząd olbrzymiego mocarstwa.

I tę myśl rozwija swobodnie, jako przedstawiciel potęgi z trzech tysięcy głów, dostatecznej przeciw państwu o stu milionach mieszkańców. Dowodzi tedy (str. 43): »Partya nasza od samego początku zwalczała ten jednostronny... pogląd, iż drogą zaczepnych walk ekonomicznych można zdobyć trwałe i duże ustępstwa ze strony fabrykantów, pozostawiając walkę polityczną na drugorzędnem miejscu... Działalność zorganizowanych fabrykantów najdobitniej potwierdza słuszność naszego hasła, jakie nieśliśmy w szeregi polskiego proletaryatu, iż bez wolności politycznej nie można prowadzić racyonalnej walki ekonomicznej. Szerzenie tego hasła, tłumaczenie złożonych zjawisk ekonomicznych, wiązanie wystąpień gospodarczych z aktualnemi kwestyami politycznemi, o ile to było możliwem, wyczerpywało prawie w zupełności zakres działania partyi naszej, jako politycznej organizacyi polskiego proletaryatu, w ruchach ekonomicznych«.

Na tej podstawie, zgodnie ze sprawozdawcą, także wnioskodawca na zjeździe podał pod uchwałę następne zasady (str. 109): »Musimy więc powiedzieć, musimy tę świadomość jak najszerzej rozpowszechniać, że walka ekonomiczna dla swego normalnego przebiegu, dla ustalenia swoich zdobyczy wymaga koniecznie wolności politycznej i narodowej. Walka z rządem jest pierwszem i najważniejszem wskazaniem w sytuacyi dzisiejszej... W razie lokautu robotnicy muszą się bronić i nie dopuszczać do pogorszenia warunków. W tych wypadkach partya powinna organizować, w miarę możności, pomoc materyalną dla dotkniętych lokautem.

»Należy sobie jednak powiedzieć, że w dzisiejszych warunkach ekonomicznych i politycznych walki zaczepnej zalecać nie można; tylko strejki obronne mają racyę bytu, tylko strejki obronne partya nasza popierać powinna«.

Referat ten i rezolucya wywołały ożywioną dyskusyę; najżywszą wywołał ustęp ostatni.

Po licznych przemowach i poprawkach zjazd uchwalił wniosek

z dwu części: Po pierwsze, stwierdził, że nieprzejednana walka polityczna jest najważniejszem wskazaniem; powtóre partya poprze ekonomiczne wystąpienia robotników, kiedy dokładnie rozpatrzy przyczyny, cele i szanse walki.

I tyle.

Więcej troska o poprawę dobrobytu robotniczego nie zaprzątnęła Zjazdu, nie znalazła dla siebie słowa w książce o stu kilkudziesięciu stronnicach; na pięćdziesiąt kilka rozdziałów przypadł rozbiór wielostronny stanowiska, jakiego Partya broniła i nadal bronić ma w polityce wewnętrznej i zewnętrznej.

Sprawozdawcy i wnioskodawcy objęli swoimi wywodami widnokrąg myśli wspaniałych, głębokich, doniosłych. Przesunęli przed słuchaczami migawkowe obrazy z Finlandyi, Kaukazu, Łotwy (str. 4), Dumy drugiej i trzeciej, (str. 17) organizacyi klerykalnych jak »Związek katolicki« i »Chrześcijańska Demokracya«; (str. 19) mówili o delegatach do Pragi, (str. 20) o Dalekim Wschodzie, Japończykach i Chinach (str. 34), o Słowianach na Półwyspie Bałkańskim i w Austryi, o oporze Serbów i Bułgarów, nawet o Słowianach węgierskich (str. 35), o zwalczaniu i dyskredytowaniu »neoslawizmu« jako o jednem z ważniejszych zadań działalności w Partyi Socyalistycznej Polskiej (str. 36), o uchwałach kongresu wiedeńskiego i zmianie granic Królestwa przez przyłączenie do niego ziemi polskiej za kordonem, a obszarów litewskich i rusińskich do Litwy i Ukrainy (str. 37) o ruchach wolnościowych na Wschodzie, o sprzecznych interesach Niemiec i Anglii; stąd wynik: (str. 40) »Obowiązkiem naszym jest zatem przygotowywanie się do wszelkiej możliwości. Jednem z zadań Partyi, wyrosłych na tle tych wypadków, jest bardziej energiczne zajęcie się takiem wykształceniem bojowem towarzyszy, któreby umożliwiło nam prowadzenie walki zbrojnej, więc kształcenie szeregowców i oficerów przyszłej armii rewolucyjnej. Ze względu na to pomieszczamy w pismach naszych wskazówki mające ułatwić im to kształcenie się oraz staramy się stworzyć własną literaturę bojowo-wojskową. Sprawa ta w przyszłości powinnaby być prowadzoną jaknajenergiczniej; jedynie program nasz przystosowany jest do potrzeb ludu polskiego, (str. 41) w masach, nawet poza

szeregami naszymi, stanowisko nasze spotkało się z uznaniem i przyczyniło się w wielu wypadkach do pomnożenia sił naszych«.

A!... to hasło przyczyniło się do przyrostu sił!... czytelnik tych słów wpada na domysł, czy odarty z wszelkiego uroku socyalizm nie po to wdział na głowę rogatywkę i pobrzękuje szabelką, aby piosenką powstańczą wabić ochotników?...

Z drugiej strony pruska pedanterya tej książki, język w niej napiętnowany »przystosunkowywaniem się« do produkcyi »piśmienniczościowej wytwórczości w fabrykanckim Berlin-mieście«, jawnie wypowiedziana nadzieja nie małych korzyści ze zaboru Królestwa przez Prusy: wszystko to nasuwa domysły... zrozumieć pozwala, z czyjej to głowy wyczołgał się ciężki dowcip, żeby przy ogniu patryotycznym upiec wabika na zaciągi socyalistyczne, a drugą pieczeń dla smakoszów w Berlinie.

Na brzęk oręża w słowach sprawozdawcy odpowiedział wnioskodawca stosownie: zadął w surmę bojową i zyskał od Zjazdu jednogłośnie przyjętą uchwałę, (str. 83, 84) że: »1) Obowiązkiem Partyi jest walka w imię praw i wolności narodowych. 2) Przygotowanie się do przyszłej walki zbrojnej jest w chwili dzisiejszej potrzebniejsze niż kiedykolwiek. 3) Powodzenie rewolucyi uzależnione jest nie tylko od objęcia ruchem rewolucyjnym jaknajszerszych mas ludowych, ale i od istnienia wśród nich znacznej ilości jednostek, zdolnych do kierowania zarówno działalnością polityczno-społeczną, jak i ruchem zbrojnym. 4) Akcya, mająca na celu bezpośrednie, techniczne przygotowanie ludu pracującego do walki zbrojnej, rozwijać się powinna w dwu kierunkach i polega, 1) na czynnościach Organizacyi Bojowej, zmierzających ku nadaniu Partyi naszej jaknajwiększej i siły sprawności bojowej; 2) na szerzeniu w masach ludowych wiedzy bojowo-wojskowej, na wyrabianiu w nich przekonania o ważności walki zbrojnej, oraz zaznajamianiu ich z jej szczegółami«.

Oczywiście również jednogłośnie Zjazd uznał i zatwierdził wydatki Polskiej Partyi Socyalistycznej, — poniesione (ma się rozumieć) nie na poprawę doli robotniczej, ale na zakup broni i amunicyi, utrzymanie organizacyi, urządzanie ucieczek, akcyę bojową, pomoc więźniom i ich rodzinom. Na to wyszło sto kilka-

dziesiąt tysięcy rubli, a nadto kilkadziesiąt tysięcy na agitacyę i wydawnictwa.

Co to za wydawnictwa? Czytelnik może już odgaduje. Aby się przekonał, że jedynie socyaliści karmią umysły strawą przystosowaną do potrzeb ludu polskiego, niech pozna z nagłówków owe Wydawnictwa Wydziału Bojowego Polskiej Partyi Socyalistycznej: Zeszyt I. Komendy i Musztra. II. Pistolet Browninga. III. Pistolet Mauzera. IV. Nauka Strzelania. V. Karabin wojska rosyjskiego. VI. Niszczenie broni wojska rosyjskiego. VII. Organizacya i służba wojska rosyjskiego. VIII. O planach i mapach topograficznych. IX. Służba wywiadowcza. X. Materyały wybuchowe. XI. Unieruchomienie komunikacyi. XII. Fortyfikacya.

Najpilniejszą tedy potrzebę ludu polskiego zaspokoili Socyaliści przez wydatek dwustu tysięcy rubli na broń z nabojami i wydawnictwa bojowe. A liczą członków trzy tysiące, od każdego biorą wkładkę tygodniową po pięć kopiejek, więc półtrzecia rubla rocznie: zatem od trzech tysięcy członków zebrali przez dwa lata piętnaście tysięcy rubli. Oczywiście piętnastu tysiącami nie pokryli owego wydatku. Ale Organizacya Bojowa dała sobie radę (str. 53): dokonała konfiskat znaczniejszych w 8 miejscowościach razem na 200.000 rs. i 44 drobnych na około 3.000 rs. Więc wykazuje nadwyżkę w stanie kasy.

Przy tych konfiskatach nie obeszło się bez przelewu krwi. Ale Organizacya Bojowa nie szczędziła sobie widoku krwi i śmierci. Zgładziła w ciągu dwu lat dwudziestu jeden żandarmów, siedemdziesięciu czterech strażników, sześćdziesięciu sześciu szpiegów, nadto w mniejszej liczbie żołnierzy, rewirowych, dozorców więziennych i t. d.; wszystkich razem niespełna dwustu. Opłaciła te poboje stratą czternastu towarzyszy poległych podczas akcyi bojowej, nadto pięćdziesięciu czterech straconych z wyroku sądów, albo zmarłych z niewygód więziennych. Nie zająłby tu czytelnika spis całkowity owych bohatyrów; kilka imion wystarczy, jak Majer Eryngold, Wachs, Cymer, Erast Chejło, Szmigiel, Redo, Froim Borensztajn, Habelmann. Około siedemdziesięciu bohatyrów padło, około dwustu katów zgładzili: każdy przeciętnie trzech zabił. Starczy tedy Potęga Polskiej Partyi Socyalistycznej, aby

w trzy tysiące stoczyć zwycięzką walkę z trzema razem państwami o dwustu kilkudziesięciu milionach mieszkańców.

Nic tedy nie pozostaje, jak teraz streścić Ustawę organizacyjną, uchwaloną na jedenastym Zjeździe. Każdy Polak rozumny zapragnie wstąpić do tego obozu, który niepłonną budzi nadzieję, że wrócą Racławice i Stoczek, a nie będziemy już mieli Maciejowic (str. 119).

Obowiązek najwybitniejszy i najtłustszymi wybity czcionkami polega na tajemnicy, którą członkowie zachowują co do wszystkich spraw partyjnych, nie ogłoszonych oficyalnie. (§ 5).

Naczelnem ciałem kierowniczem Partyi jest Centralny Komitet Robotniczy. (§ 15). Jego pierwszą czynnością jest mianowanie stałych Wydziałów, mianowicie: *a)* Wydziału Organizacyjnego, *b)* Zagranicznego, *c)* Bojowego. (§ 17).

Wydziały, Organizacyjny i Zagraniczny zarządzają organizacyą, jeden w kraju, drugi za kordonem; Wydział Bojowy kieruje: *a)* wszelkiemi planowemi wystąpieniami zbrojnemi, *b)* wojskowem kształceniem członków partyi, *c)* przygotowaniami technicznemi do przyszłej walki zbrojnej. (§ 18).

Centralny Komitet Robotniczy wraz z członkami trzech Wydziałów przybierają, — przez jednogłośną uchwałę, — towarzyszy, z którymi razem stanowią Radę Partyjną. (§ 23).

Za zgodą Rady, Wydziały zakładają specyalne komisye dla załatwienia specyalnych działań roboty. (§ 29).

Prócz wymienionych instytucyi naczelnych, istnieją jeszcze instytucye niższych instancyi: komitety dzielnicowe podległe okręgowym, a te podległe Wydziałom. (§ 8). Kto tworzy te komitety, kto członków wybiera czy mianuje: o tem ustawa nie poucza.

Owe komitety zaliczają się do grup partyjnych, jako terytoryalne lub specyalne, zbiorowe jednostki organizacyi, a więc: koła i komitety fabryczne; komitety dzielnicowe, lokalne, okręgowe; koła wioskowe, komitety gminne i powiatowe; grupy bojowe; sekcye i okręgi zagraniczne i t. p. (§ 4).

Wszystko to wyrażone z pruska po polsku może da domyślnemu czytelnikowi pojęcie jasne o jakiejś hierarchii między grupami, kołami, sekcyami i wszelakiemi jednostkami organizacyi.

Centralny Komitet Robotniczy na Zjazd ogólno-partyjny zwołuje: *a)* Radę całą, *b)* delegatów grup terytoryalnych oraz komisyi, *c)* członków Organizacyi Bojowej w liczbie uchwalonej na Radzie, *d)* redaktorów partyjnych, *e)* gości zaproszonych z głosem doradczym. Z tych członków zebrany Zjazd stanowi najwyższą instancyę Partyi. (§ 11). Kto delegatów wybiera czy wyznacza? niewiadomo z Ustawy, która nadmienia tylko o specyalnych do tego regulaminach, nie określa liczebnie »iluś — przymiotnikowości« wyborów.

Zjazd tajnem głosowaniem obiera Centralny Komitet Robotniczy z trzech osób. Komunikowanie nazwisk lub pseudonimów Centralnego Komitetu Robotniczego osobom nieuprawnionym zakazane jest pod groźbą wykluczenia z Partyi. (§ 14).

Poddane niewidzialnej głowie jednostki pojedyńcze albo zbiorowe, co działać mają? — mogą występować nazewnątrz w sprawach lokalnych i pod swoją własną firmą autonomicznie, o ile pod tym względem odnośny Wydział nie poczyni odpowiednich zastrzeżeń; w wypadkach zaś ogólniejszej natury, grupa przed każdem takiem wystąpieniem obowiązaną jest zasięgnąć zdania odnośnego Wydziału i doń się zastosować. (§ 9).

Każdy z trzech Wydziałów ma prawo przez swych przedstawicieli wydawać bezwarunkowo obowiązujące dyrektywy poszczególnym grupom i członkom. (§ 20).

Te ustępy streszczają Ustawę o tyle, że zdołają czytelnika zachęcić, aby wstąpił do Partyi: widzi już, że nie będzie w niej widział ani naczelnej nad sobą władzy, ani własnego pola do samodzielnej pracy, ani dostępu do tajemnic partyjnych przemilczanych oficyalnie, ani drogi do obrad, a ze wszystkiego najmniej będzie widział blagę we walce, na którą socyalna demokracya pod wodzą towarzysza Daszyńskiego (str. 79), spoglądała życzliwie dotąd, jak przyjaciółka, jak siostrzyca. »Dlatego też«, — głosi tow. Daszyński w pożegnalnej mowie, — »ta wielka idea niepodległości jest dla nas wszystkich siłą tak żywotną i potężną, która nieraz pędziła i wciąż pędzi na bój o wyzwolenie«.

Hm?... O wyzwolenie? czy nie z kajdan rozumu?

K. Czaykowski.

W PODZIEMIACH POSTOJNY.

Z nieba od razu spadł do swej mogiły[1]:
Lądy leżące tutaj w onej porze,
Ze strachu przed nim w fale się pokryły.

Na naszą sferę wypchnęło je morze;
Umknął się bodaj ląd i po tej stronie,
Pod sobą próżne zostawiając łoże.

Czeluść ta w ziemskiem wydrążona łonie
Ciągnie się, jak grób Belzebuba długi,
Oczom nie widna, a jedno po tonie

Rozpoznawana bulgocącej strugi,
Która przepływa skalnem wydrążeniem
Lekko skłonionem na piekielne smugi.

Owem mię skrytem Wódz powiódł podsieniem
I szliśmy...[2]

Groty postojeńskie miał podobno na myśli Dante, gdy tworzył te końcowe zwrotki swojego *Piekła* i ostatecznie niema w tem nic niemożliwego, skoro najstarszy, w podziemiach Postojny odkryty napis *C. M. 1213* stwierdza, że były one już w początkach trzynastego wieku znane.

Piszą o tych podziemiach podręczniki szkolne; opowiadają o nich uczeni; zachwycają się niemi turyści — wyobraźnia więc napięta do wysokiego stopnia. A tej wyobraźni w drodze nic prawie nie podsyca.

---

[1] Lucyfer.

[2] Dante: »Piekło«. W tłumaczeniu E. Porębowicza Pieśń 34.

Od Tryestu czy Lublany ten sam w przybliżeniu charakter okolicy: skaliste pagórki, mówiące, że tu rozpoczyna się panowanie Krasu i bory i Kras sam. Świeci on białemi plamami martwego wapienia, z lekka tylko przytrząśnięty posępną zielenią iglastych, skarlałych drzew; czasami staje w poprzek toru, a maszyna huczy i grzmi w długich, dusznych tunelach; od toru się cofa, a wzdłuż szyn podnoszą się wysokie, kamienne mury, wystawione dla ochrony przed borą; zbliża się znowu i zwęża, tworząc strome przepaście, na dnie których wije się, idący z borą w zawody i wypowiadający jej walkę, pociąg; opada wreszcie i pokazuje puste doliny, poszarpane jary, samotność i martwotę. Trudno uwierzyć i trudniej jeszcze zrozumieć, że o dwie godziny stąd rozlewają się pogodne wody Adryatyku, szumią palmy i laury, wonią cyprysy i myrty w gajach Abacyi.

Lecz oto, *Postojna-Adelsberg!*

Podróżni przyglądają się z zaciekawieniem dwom przed stacyą ustawionym stalaktytom z groty: jeden o przeczystym białym tonie, jak z alabastru wykuty i ręką mistrza w zwoje delikatnych, pajęczych koronek przystrojony; drugi o rdzawej, przeświecającej barwie. Rozlegają się bezmyślne wyrazy zachwytu, jak wszędzie, gdzie z Baedeckerem lub Woerlem w ręku podróżujący tłum się zbierze, który niczego nad to, co mu czerwone lub żółte książeczki powiedzą, dopatrzeć się nigdzie nie może.

Wygodny omnibus wiezie nas do grot; usłużny portyer przynosi i sprzedaje bilety; przed nami otwiera się *Postojnska jama*[1].

Rozczarowanie! Postojeńskie groty nie leżą pewnie w niedostępnych, zawrotnych szczytach, ale chyba gdzieś wysoko w górach, do których piąć się wypadnie po stromych ścieżkach, wśród wąwozów, przepaści, rozpadlin, gdzie jastrząb w chmurach koła zatacza, a wśród załomów skał krasnoludki strzegą zazdrośnie tajemnic podziemi i wzbierają gniewem na ten zuchwały, nieznany rodzaj ludzi, co zimnym skałom ich skarby wydrzeć pragnie i rzeczywiście wydziera!

---

[1] Od 1 marca do 31 października otwierają groty o godzinie $10^1/_2$ rano i $3^1/_2$ popołudniu; poza sezonem tylko o $3^1/_2$. Bilet wstępu wynosi w dnie powszednie K. 5, w niedzielne i świąteczne K. 3.

Nie! Przed nami rozciąga się nizki pagórek [1], który w innym wypadku nie zwróciłby nawet na siebie uwagi, i ten właśnie pagórek, kryje w swem łonie jedno z największych i najpiękniejszych zjawisk świata. Żadnej przepaści, żadnej tajemniczości, żadnej grozy; uwagę tylko przykuwa Piwka, co ciemnemi falami w dole połyskuje i nagle w skałach znika i gdzieś w dali, w osłonie z obłoków, skalisty *Nanos*, groźny bory rodzic...

Otwierają się bramy gotyckiego portalu. W cieniu i mroku widnieje długi, wązki, rozszerzający się jednak i podnoszący stopniowo korytarz skalny, słabo rozjaśniony lampkami przewodników. Zdala, gdzieś z pod ziemi, dobiega jakiś szum, lekki zrazu i melodyjny, jak potrącane tchnieniem wiatru listowie drzewa; rośnie i potęguje się, jak łomot morskich, o kamienne wybrzeża bijących fal; nagle buchają elektryczne światła, które odbierają wprawdzie grocie jej naturalność, dają jej za to dużo tajemniczości i przed zdumionem okiem leży kraj baśni i czaru.

Wielka katedra! Tak! prawdziwa katedra tu pod ziemią. Olbrzymie jej, śmiało w przestrzeń rzucone sklepienie, dźwigają gigantyczne, ręką natury wyciosane ściany, przybrane w kamienne draperye i dywany; po ich załomach gra światło, rozbija się w tysiączne ogniste perły, które sięgają każdego zakątka, uwypuklają kontury całości, w złoto i blask przyoblekają rzeźby, gzymsy i filary, aż giną głęboko w przepaści, gdzie z rykiem i hukiem, wrogą potęgą spętana Piwka, z pieczary w pieczarę, z kaskady w kaskadę rzuca swe czarne, podziemne fale i znowu w pieczarach ginie. Po osiemdziesięciu czterech, w skale drążonych schodach, zstępujemy do poziomu rzeki; znowu błyszczą dziesiątki lamp, a w ich łunie ukazuje się szerokie łożysko, pełne odłamów, o które z łoskotem wody się rozbijają, podnoszą i opadają w głąb, płyną serpentyną, znikają na chwilę pod skalnymi łomami, pojawiają się raz jeszcze, z większym jak przedtem grzmotem, aż giną zupełnie w ziejącej czeluści, aby daleko za Postojną wypłynąć na powierzchnię, utworzyć rzekę Uncę, zginąć raz

[1] Postojna leży 555 m. nad Adryatykiem; wejście do groty 531 m.; najwyższy szczyt w grocie Kalwarya 564 m.

jeszcze i niedaleko Lublany, jako Lublanka, wypłynąć znowu i połączyć swe wody z wodami Sawy.

A szumi ta rzeka w podziemiu wśród dzikiej sceneryi zębem czasu wykutych kolumn, zwisających ze stropu stalaktytów, rozrzuconych wokoło bloków i czeluści, szumi i huczy ponura, nie z tego świata — obraz godny pióra Danta lub pendzla Doréego. Nad jej brzegami, w tem dzikiem pustkowiu, mogą naprawdę błądzić dusze i tęsknić do światła, do kochających serc i do wybawienia, tak niepewnego, jak tej rzeki bieg.

Inną drogą wracamy do góry. Za nami gasną światła, nowe przed nami się zapalają; wilgotne powietrze tworzy barwne tęcze koło ich kul.

Zbliżamy się do wejścia odkrytych w r. 1818 *Grot Ferdynanda*. Stary przewodnik Čič, który pierwszy ich tajemnicę zbadał, wrócił z nich ze słowami: »Tu nowy świat, tu raj« — i nie przesadził.

Droga szeroka, równa, wysypana piaskiem, sucha; gdzie z boku grożą przepaście, chronią od nich żelazne poręcze; dwa kilometry długa kolej o zgrabnych, ręką przewodników popychanych wagonach, ułatwia pochód. Uwaga dotąd skupiona, nie jest już więcej w stanie objąć całości, rozprasza się na szczegóły.

Ambona, mówi przewodnik i nie potrzeba żadnej nawet wyobraźni, aby ujrzeć ze skał występującą, przepięknie rzeźbioną ambonę, coby mogła być ozdobą każdej świątyni. Kapryśna przyroda ustawiła o kilkanaście kroków dalej prozaiczną *Budę rzeźnika;* na ladzie leżą kawałki mięsa i wędlin, a z góry zwieszają się, możnaby dać na to słowo, z wierzchu białe, z tyłu rudawe, olbrzymie połcie słoniny. I znowu poezya — skamieniały *Wodospad*, tak do złudzenia prawdziwy, iż dopiero doknięcie przekonuje, że to alabastrem przeświecający kamień; *Głowa lwa* o nasrożonej grzywie, jakby czatującego na ofiarę; *Chrzcielnica*, *Sarkofag*, *Loża teatralna*, gdzie za firankami upatruje się widza; *Kiść* o delikatnych, wiotkich frędzlach... Znikają korytarze, groty się powiększają, podnoszą, światła jaśniej błyszczą — *Sala balowa*.

Rozległy, czterdzieści siedem metrów długi, dwadzieścia osiem szeroki, czternaście wysoki pusty salon. Tu leżały niegdyś

stosy kości niedźwiedzia jaskiniowego; dziś on wyrównany, a co roku w poniedziałek Zielonych Świąt i na Wniebowzięcie Matki Boskiej odbywają się w nim zabawy taneczne. Cztery tysiące ludzi zbiera się wówczas w salonie. Od setek kolorowych lamp nabiera on barw tęczy; ognie grają na stalaktytowych, z pułapu spływających iglicach, blaskiem brylantu pociągają ściany, a we fale światła płyną z estrady, bo i o nią przyroda się postarała, fale dźwięków, odbijają się o słupy i stropy i galerye, aż giną w podziemiach. I cieszy się i szaleje ten rozbawiony, z całego świata zebrany tłum. Ileż jednak poważniejszych myśli rodzi się wówczas w tych mózgach?

W bocznej ścianie tablica z napisem, pierwszym z licznych napisów w grocie, który robi wrażenie i do serca przemawia:

PROTECTORIBUS MEIS. CULTIVATORI MERITISSIMO
JOSEPHO JERŠINOVIC EQUITI DE LÖWENGREIF
ET DESCRIPTORI INGENUOSO
DR. ADOLPHO SCHMIDL
MDCCCLXV.

Słowa uznania dla dwóch zasłużonych badaczy grot.

Przewodnik wzywa dalej. Od wejścia dzieli nas dopiero sto pięćdziesiąt metrów, a przeszło trzy tysiące jeszcze pozostaje. Odtąd też groty nabierają coraz większej rozmaitości kształtów i kolorów, rozszerzają się i podnoszą, korytarze stają się krótsze i rzadsze, a olbrzymie, białawe lub rdzawe stalaktyty i stalagmity o różnych formach i odcieniach, dają coraz to bardziej majestatyczne obrazy. Oto *Krzywa wieża z Pizy, Żółw, Trumna, Kaplica, Wodotrysk, Palma*, zwieszający się z pułapu olbrzymi, kryształowy *Pająk*.

Znowu *Grota woskowa*, jak z wosku ulepiona, ze wspaniałem *Orlem skrzydłem*. Wystaje ono z bocznej ściany a każde pióro tak dokładnie rzeźbione, jakby prawdziwe skrzydło orła lub anioła w kamień się zamieniło. I jeszcze dalej *Słup z hieroglifami, Ruina*, gdzie wysoko sterczy nawet dobrze zachowane okno zamczyska, *Kościół wiejski*, z odległej, samotnej wsi tu pod ziemię przeniesiony, *Stóg siana, Cyprys, Mumie egipskie* i najpiękniejszy może ze wszystkich *Boży Grób*.

Wysoki, o gotyckich formach sarkofag, oparty na licznych smukłych słupach, za którymi kryje się nisza. Olejne, kolorowe światła, które nieziemskie blaski rzucają na białe kryształy, po całym tym *Grobie* rozsiane, podnoszą jeszcze złudzenie. Zdaje się, że niezadługo zbierze się tu tłum, by oddać pokłon utajonemu Bogu a tęskną nutą *Gorzkich Żali* rozkołysać te kamienne ściany.

Piękne kształty nie stoją jednak osamotnione po ciemnych korytarzach, lecz rysują się na tle alabastrowych lub purpurowych sal, gdzie dłuto mistrza-natury skorzystało z każdego wolnego miejsca, aby je przystroić i przyozdobić: ze stropów zwieszają się przeświecające sople wapiennych tworów, po ziemi rozrzucone głazy i słupy, ściany i galerye podparte kolumnami, przybrane w makaty; światło i cień stwarzają nieopisaną grę barw. Widz czuje, jak dusza coraz więcej od rzeczywistości się odrywa i w kraj złudzenia przenosi.

I im dalej w podziemia, tem więcej wrażenie to się potęguje. Od *Groty cesarza Franciszka Józefa i Elżbiety* zaczyna się panowanie kolorów. Barwy białe i purpurowe przykuwają oko; alabastrowe, pociągnięte lekką czerwoną tkaniną, w blaskach światła nieopisany wywołują efekt; wkońcu przeważa barwa w swej nieskalanej bieli dziewicza.

W parze idzie coraz to większa rozmaitość form. Oto *Gotyckie kolumny* stoją w podwójnym szeregu; tam znowu *Pralnia*. Wysoko, jakby na sznurach, wiszą sztuki płótna i chust o dziwnie miękkich fałdach. Niedaleko, na dość nizkiem sklepieniu, niby niezliczone krople rosy — to drobne rurki kryształowe całe sklepienie gęsto pokryły; tuż obok *Krokodyl, Śpiące dziewczę, Izba brylantowa, Płacząca wierzba, Miecz Damoklesa* i tak bez końca.

Te części grot zwróciły też w ostatnich latach uwagę artystów, którzy tu nieraz zachodzą, aby z nich czerpać motywy do swoich utworów.

Potrójną serpentyną, koło olbrzymich czerwono lśniących kolumn, wije się dalej droga i prowadzi wreszcie do jednej z najpiękniejszych części tych dziwnych podziemi, do *Belwederu*. Przypatrujemy się mu z małego płaskowzgórza.

Światło, prawdopodobnie umyślnie, nie wszędzie tu dochodzi, a w tym mroku rysuje się średniowieczna, trochę opuszczona i zaniedbana katedra. Gotyckie słupy dźwigają sklepienie a ostre łuki i żebra sklepienia przypominają późny gotyk. Pełno tu znowu rzeźb, ale te rzeźby trochę niewyraźne; w ciągu wieków widocznie się pokruszyły i straciły swoje ostre kontury, robią jednak wrażenie, jakby były pleśnią pokryte i warstwą lekkich pajęczyn zasnute. Widok niezwykły, lecz przygnębiający.

Przewodnik wskazuje ku zachodowi. Tam już panuje zupełna ciemność. Gdzieś bardzo, bardzo daleko pojawia się nikłe, czerwone światło, potężnieje z każdą chwilą i otwiera się szereg ponurych, groźnych, przerażających, krwawymi blaskami przepojonych grot.

Piekło! Prawdziwe czeluście piekielne zieją piekielnym ogniem; ciągną się jedna za drugą w szeregu, którego końca dojrzeć nie można. Ściany nagie, bez żadnych ozdób; kolory czarne; sklepienia gubią się gdzieś wysoko w górze; jakieś głębokie przepaście, na dnie których martwymi blaskami prześwieca woda, uniemożliwiają dostęp. Sen czy rzeczywistość? Tak chyba wyobrażali sobie starożytni swój Tartar, w którym za zbrodnie pokutowały dusze.

Czerwone światła gasną i ciemność obejmuje na nowo ponure groty. Pod potężnem wrażeniem *Piekła* idziemy dalej, i dlatego mniej już działa na nas *Dom żałoby*, cały czarny, spowity w śmiertelne czarno-brunatne całuny i zasłony i takiejże barwy sople, podobne do zawieszonych w powietrzu lichtarzy i pająków.

Większe wrażenie wywołuje jeszcze *Brylant* i *Namiot*. *Brylant* to potężna, jakby z mleczno-białego kryształu wyciosana kolumna, odrzynająca się na ciemnem tle groty o gotyckim zakroju; błyszczy on i sieje blaskiem dokoła, stąd jego nazwa. *Namiot* znowu to skaliste białe opony, zawieszone na czterech słupach, między którymi dziwaczne głazy przypominają śpiących rycerzy.

Dochodzimy wreszcie do głównej atrakcyi podziemi, *Góry Kalwaryi;* to największa i istotnie najpiękniejsza grota nie tylko Postojny i Krasu, ale pewnie i świata całego. Jej rozmiary za-

dziwiają: przeszło dwieście metrów w każdym kierunku przestrzeni a pięćdziesiąt siedm wysokości. Ułożył się w niej rozległy, czterdzieści metrów wysoki, z trzech stron wolny, od północy tylko do ściany przytykający pagórek, poszarpany, pełen wąwozów i przepaści. Stokami tego pagórka w serpentynach przez potrójny taras prowadzą drogi, chroniące galeryami od upadku w głębię.

Zdumienie zapiera oddech. Na stokach stoi olbrzymi tłum skamieniałych ludzi; wracają widocznie z Kalwaryi a poczucie popełnionej winy i groźby przyrody przemieniły ich w kamień Obok wapienny las; w kamień zamieniły się nie tylko drzewa, lecz i kwiaty na dole i ptaki na gałęziach — widać je tam: sztywne, spokojne, jakby zdumione, a jednak żywe. Kilka kroków dalej cmentarzysko: groby, nagrobki, połamane kolumny, potrzaskane głazy, jak na wiejskim, trochę zaniedbanym cmentarzu. A to? To chyba świątynia pogańska. Na słowiańskiej ziemi, więc i ona słowiańska, lecz z bardzo dawnych czasów. Widać dokładnie posągi bożków, ale ich rzeźba przypomina dziecięce jeszcze lata ludzkości: nieudolna i pierwotna. Zamierzchłe też wieki przywodzi na pamięć arka Noego, unosząca się na zamienionych w skałę falach, a w teraźniejszość prowadzi grupa kolumn, na kształt wież i wieżyczek do góry swe czoła dźwigających — to z pewnością medyolańska katedra.

Potęga przyrody wysiliła się w tem miejscu; tu już nie dziesiątki lub setki, ale tysiące dekoracyi od oślepiającej bieli do ciemnej czerwieni przez wszystkie tony. I wije się ta droga w grobowej ciszy, podnosi, opada a wszędzie głazy, kryształem lśniące, stalaktyty i stalagmity jaskrawe, przedtem niewidziane, odłamy skał, pokruszone reszki słupów: od tego piękna i od tej dzikiej a uroczej sceneryi aż umysł się nuży.

Jedno jeszcze spojrzenie na ten najpiękniejszy klejnot Postojny i Krainy i grota znowu w ciemności tonie; z uczuciem ulgi spuszczamy się na dół.

Ktoś kiedyś powiedział, że w Postojnie przyroda odegrała rolę zdolnego dramaturga; jak ten bowiem scenicznymi efektami coraz więcej uwagę widza podnieca i na uwięzi trzyma, tak

w tym długim szeregu jaskiń widoki coraz piękniejsze i coraz to potężniejsze wrażenie. Pogląd ten, tylko w części trafny, sprawdza się przy zwiedzaniu podziemi od wejścia aż do *Góry Kalwaryi;* po niej następuje już zmęczenie i zobojętnienie.

Otwierają się jeszcze i teraz prześliczne groty; z tych np. *Grota arcyksięcia Jana* posiada wyjątkowo piękne wapienne kryształy i sople i dziwaczne kształty, bledniejąc jednak one wobec majestatu *Kalwaryi.* Jedno tylko zjawisko wpada mimo wszystko w oczy. Jest to głośna, prawdziwie urocza *Firanka.*

Spływa ona ze ściany trzy metry długa, trzydzieści do siedemdziesięciu pięciu centymetrów szeroka a ośm milimetrów gruba. Kolor tej *Firanki* nieskazitelnie biały a szeroki brzeg obramowany pomarańczowo, jasno czerwono i brunatno, które to barwy zlewają się i w połysku lamp malowniczy dają widok. Główną jednak piękność *Firanki* tworzy miękkość fałdów; rzeźbiarz, i to skończony, nie dałby jej z pewnością więcej naturalności, tak cała lekko i słodko opada ku ziemi i łamie się. »Pewien Anglik — opowiada przewodnik — ofiarował za nią dziesięć tysięcy funtów szterlingów, rząd jednak nie zgodził się na to«. Z wyjątkiem obowiązkowych zachwytów kilku osób, jedno i drugie nikogo nie dziwi.

I znowu otwierają się i zamykają nowe groty, aż wreszcie stajemy przed *Bożym Grobem* i znaną już drogą po dwóch godzinach pobytu w krainie świetlanego snu, zbliżamy się do wyjścia.

Oślepiającym blaskiem zalewa nas słońce; ciepłą falą otacza powietrze; myśl usilnie nad tem pracuje, by zesumować wrażenia swoje.

Zadziwia olbrzymi teren tych podziemi. Wiele grot już poznanych, lecz jeszcze nie zbadanych; inne zbadane, lecz nie uprzystępnione a i to, co jest otwarte dla zwiedzającej publiczności, wynosi około czterech kilometrów.

W zdumienie wprawia wielkość grot. Znajdują się w Postojnie groty dość skromne rozmiarami, więcej jednak takich, gdzie nawet przy świetle granice prawie znikają.

Uwagę więzi grot rozmaitość: okrągłe i o ostrych kątach,

wysokie i nizkie, o sklepieniu gładkiem, wypukłem i tak połamanem, że nie wiedzieć nawet, jakim cudem w przestrzeni wisi.

A zachwytem wzbiera człowiek, gdy się wpatruje w te przeważnie czyste, a tak różne kolory, w bogate rzeźby i ozdoby i ciekawe kształty, siłą wody z kamienia wyżłobione. Mogłoby się komuś zdawać, że w odgadywaniu i nazywaniu tych form wyobraźnia bierze wielki udział. Tak nie jest. Wszędzie wprawdzie znajdują się potrójne napisy: słoweńskie, niemieckie i włoskie, nie potrzeba jednak, z małymi wyjątkami, napisów ani wyobraźni nawet, żeby samemu sobie powiedzieć, że *Firanka* jest firanką, *Piekło* piekłem, *Płacząca wierzba* płaczącą wierzbą, *Namiot* namiotem, *Grób* grobem.

W kornem uwielbieniu podnosi się dusza do Stwórcy, co martwym siłom przyrody dał moc stwarzania cudów. I podziwia samą tę przyrodę, co w długim łańcuchu wieków, tu niszcząc tam budując, kroplami deszczu i falami potoku wyżłobiła te skały, zrodziła te groty, drgające życie w pustkowiu stworzyła i dała na chwilę złudzenie, nie rzeczywistości, lecz promiennego snu.

Złudzenie pierzchło, wrażenie trwa. A tego wrażenia nie osłabiły ani pachnące gaje Abacyi, ani rozkoszne ogrody Miramaru, ani nawet marmurowe koronki królowej lagun, Wenecyi—czarodziejki.

Ks. Wiktor Wiecki.

PRACA U PODSTAW W POWIEŚCIACH ORZESZKOWEJ.

IV.

»Meir Ezofowicz«. — Artyzm a idea.

Pierwszą powieścią Orzeszkowej powstałą na wyżynach sztuki ze szczerego, wyłącznego jej umiłowania, jest utworzony w dziesiątym roku zawodu pisarskiego »Meir Ezofowicz«. Nie dążność do wypowiedzenia, propagowania przekonań, idei, uczuć, lecz, jak sama autorka mówi, »ciekawość artystyczna« stała się tu głównym bodźcem twórczości. Pociągała ją rodzajowa, charakterystyczna malowniczość w przejawach bytu naszych Żydów małomiasteczkowych, a także tajemniczość ich życia wewnętrznego, dramatyczność ich losów. Motywy te działały za pośrednictwem realnych, żywcem odczutych, wprost od rzeczywistości doznanych wrażeń, przy bardzo starannem i wielostronnem obznajmieniu się z odtwarzaną sferą życiową.

Nikt pono dotąd u nas nie przedstawił bytu żydostwa naszego z taką znajomością rzeczy, z takiem wczuciem, wmyśleniem się w tajniki tej blizkiej a jednak obcej nam, skrytej przed nami dziedziny swoistego judaizmu.

Wynikła stąd z jednej strony szczeroludzka prawda przedstawianych charakterów i stosunków, z drugiej strony wysoka artystyczność w sposobie ich ujęcia, uplastycznienia, wystylizowania. Po raz pierwszy spotykamy się tu w twórczości Orzeszko-

wej ze staranną, konsekwentnie przeprowadzoną stylizacyą obrazów, figur, sytuacyi, dyalogu i całego wątku powieściowego, po raz pierwszy widzimy u niej czysto artystyczne przejęcie się tematem i rozwinięcie go w bogactwie rozlicznych szczegółów, skupionych w różnokształtnej i różnobarwnej jednolitości doskonale rozczłonkowanego i wykończonego dzieła sztuki.

Pod względem kompozycyi jest to w swoim rodzaju małe arcydzieło: istna epopeja małomiasteczkowej żydowszczyzny, cały miniaturowy jej światek z mnóstwem różnorodnych swych typów i charakterów, stosunków i przeciwieństw, wad i zalet, wyższych porywów i poziomych pełzań. Zapadła mieścina białoruska ze swem żydowskiem mrowiskiem staje się widownią, na której ścierają się, walczą zasadnicze prądy życia, fanatyzm religijny z ideą humanitarną, zacofaństwo z postępem, martwa, nieruchoma rutyna z żywą, rwącą się do lotu na swobodę myślą szczeroludzką.

Jaka tu pełnia, wypukłość, barwność obrazowania powieściowego. W prawdziwie epickim nastroju autorka lubuje się kreślonymi obrazami i postaciami, wykończa je, oświetla, zabarwia z widocznem upodobaniem artystycznem dla nich samych, dla uprzytomnianych przez nie różnych stosunków i zjawisk życia.

Oto np. domowe, rodzinne życie Ezofowiczów z głównemi swemi postaciami siwobrodego patryarchy Saula i jego matki, stuletniej Frejdy, istnej relikwii rodzinnej, jaśniejącej swą czcigodną sędziwością w pysznej oprawie z dyamentów. Cały ten obraz aż lśni ładem, porządkiem, czystością wzorowo na gruncie odwiecznej tradycyi ukształtowanego dobrobytu materyalnego i moralnego, błyszczy zewnętrznem bogactwem, jaśnieje przeświecającą z wewnątrz pogodą etyczną dusz prostych, naiwnych, szczerych. W jak charakterystycznem do niego przeciwieństwie, tem lepiej uwydatniającem obustronne rysy znamienne, ukazuje się nam ciemny, mroczny, namiętnymi ogniami fanatyzmu przebłyskujący obraz rabina Todrosa.

Tam to co najbardziej ludzkie, najbardziej po ludzku ujmujące, jakimiś prastarymi echami patryarchalnej sielanki biblijnej przemawiające do nas w życiu żydostwa współczesnego; — tutaj to co w tem życiu najwięcej antyludzkie, wydobyte z najciemniej-

szych mroków, z najskrytszych cieśni człowieko-nienawistnych głębin fanatyzmu religijnego. A jednak, podziwiajmy iście epicką bezstronność autorki. Nie tylko wszystkie żydowskie głowy w Szybowie, nie wyjmując nawet buntowniczej głowy Meira, ze czcią kłonią się przed rabbim Izaakiem Todrosem, i czytelnik nie może mu odmówić swego szacunku, czasem nawet współczującej sympatyi — tyle w nim dobrej wiary, tyle miłości dla swoich, obok nienawiści dla obcych, tyle zaparcia siebie i szczerej, głębokiej, choć zdziczałej religijności. Oto, co się nazywa wczuć się, wmyśleć w obcą sferę, dosłuchać się w niej uderzeń szczeroludzkiego serca, nie tylko tam, gdzie ono uderza w takt z naszymi sercami, lecz i tam, gdzie w zupełnym z nimi pozostaje rozdźwięku.

Między pogodną, wiekowemi sankcyami tradycyi rodzinnej uświęconą radością życia Ezofowiczów, a wyobrażaną przez fanatycznego Todrosa mroczno-ascetyczną jej negacyą, mamy w powieści objawy pośrednie, humorystycznie, niekiedy karykaturalnie przeciwstawne. Z jednej strony jaskrawo-groteskowa figura starego małmeda, typ zdziczenia w mrokach rodzimego barbarzyństwa i zacofaństwa — z drugiej strony arcykomiczne figury wolnomyślnych, zrywających z tradycyonalną swojszczyzną wykwintnisiów szybowskich, niemniej choć we wprost przeciwnym kierunku zdziczałe okazy materyalizmu kulturalnego i zwróconej wyłącznie ku grubemu, samolubnemu używaniu postępowości. Nikt nie przedstawił u nas dobitniej od Orzeszkowej tej ogarniającej cały świat współczesny dziczyzny cywilizacyjnej, nikt lepiej nie uwydatnił fatalnych jej wpływów na różne dziedziny życia współczesnego. Będziemy mieli sposobność dowodnie się o tem w następstwie przekonać.

Jakkolwiek »Meir Ezofowicz«, wedle zeznania samej autorki, z artystycznych głównie wyniknął pobudek i, jako dzieło sztuki powieściopisarskiej, pierwszorzędnemi istotnie odznacza się zaletami, to jednak łatwo dostrzedz, iż w rozwinięciu głównej osnowy ideowość przemaga w nim nieraz nad artyzmem i szczególniej w drugiej części powieści, a najbardziej w zakończeniu przemożnie panuje. Przedewszystkiem w charakterystyce naczelnej tytułowej postaci. Ostatecznie bladolicy Meir to chodząca idea, bezkrwiste

uosobienie postępowo-humanitarnych aspiracyi naszego żydowstwa. Brak mu zupełnie plastyki, barwy, ciepła życiowego. Cały on w mglistych zarysach i zimnych cieniach. W jego miłości dla Gołdy ani razu nie uderzy gorąca fala krwi żywej, w jego starciach z otoczeniem nigdy nie tryśnie iskra szczeroludzkiej namiętności. Toż samo najbliższe i pokrewne mu duchowo postaci: Gołda, stary Karaim, młodzi przyjaciele; wszystkie one bezkrwiste lub niedokrwiste, raczej cienie ludzkie aniżeli ludzie żywi. Nawet sędziwa prababka, tak epicko wyrazista i malownicza w obrazie domowego życia Ezofowiczów, w stosunku do Meira bywa teatralną, w zakończeniu powieści deklamatorsko-tendencyjną.

Obywatelka i artystka nie zlewają się jeszcze w autorce »Meira Ezofowicza« w jednolitą indywidualność twórczą. Obraz bytowo-obyczajowy z całem bogactwem swych zarysów, barw, kształtów ujęty jest w powieści z czysto artystycznego punktu widzenia i w czysto epickiej rozwinięty stylizacyi; ale na tle tego obrazu widzimy postaci, tem mniej artystycznie ujęte i epicko ukształtowane, im bardziej duchową swą treścią pokrewne są zasadniczym obywatelsko-społecznym ideom i przekonaniom autorki. Widzimy tedy, że w danej epoce swego rozwoju umiała ona już patrzeć na świat okiem prawdziwej artystki; skoro jednak światło idei całym swym blaskiem jej zajaśniało, wzrok jej twórczy takiemu ulegał olśnieniu, iż postaci w życiu widziane traciły w nim wszelkie realne zarysy, zamieniały się na ideowe swe cienie w rodzaju bezkrwistego potomka rodu Ezofowiczów.

Z biegiem czasu wszakże i z rozkwitem talentu potęgował się wzrok artystki, tak iż coraz mniej ulegał ideowym olśnieniom, coraz wyraźniej i coraz bardziej z blizka ogarniał zjawy i postaci życia, widząc je nawet wtedy w realnych zarysach, gdy stawały przed nim jak najwięcej prześwietlone blaskami ideowości.

Ten rozwój uwarunkowany był przez baczniejsze przyjrzenie się otaczającemu życiu. Naprzód powieściopisarka nasza widziała z daleka jakieś odległe horyzonty życiowe w ogólnikowych przedstawiające się jej zarysach; następnie spojrzała z blizka na życie zupełnie sobie obce, które właśnie swą obcością w blizkości zainteresowało ją bardzo, a swą oryginalną malowniczością pobu-

dziło jej ciekawość artystyczną. Wreszcie u szczytów swego rozwoju całą swą uwagę skupiła na bezpośredniem otoczeniu życiowem, odtwarzając je w obrazach pełnych artyzmu, prawdy realnej i przenikniętych na wskroś rozległą ideą społeczną.

Widzieliśmy tę ideę w pierwszym z wymienionych okresów zawieszoną jakby ponad życiem w obłokach tendencyi, widzieliśmy ją następnie na tle barwnego obrazu życiowego pięknie zarysowaną, lecz organicznie z nim nie spojoną. Zanim ją poznamy w ostatecznem najzupełniejszem wcieleniu jej artystycznem — zobaczmy jak ona się przedstawia w drugim, pośrednim okresie twórczości, Orzeszkowej, powieścią o smutnych losach Meira rozpoczętym.

Wyraziła ją dobitnie sama autorka w dedykacyi, jaką umieściła na czele swej żydowskiej powieści-epopei:

»Wszystkim ziomkom moim z dobrą wiarą i wolą pragnącym światła i pokoju bez względu na to, gdzie i jak oddają oni cześć Bogu, powieść tę poświęcam«.

Słowa te natchnione są przez ideę humanitarną, przenikającą na wskroś całą osnowę pięknego, głębokomyślnego utworu.

W naszej epoce coraz większego dziczenia ludzi w różnych nienawiściach plemiennych, rasowych, narodowych, czyż nie musi działać ożywczo powiew takiej idei zawiewającej duchową atmosferą lepszych, niech będzie nawet (jak chcą niektórzy) naiwniejszych czasów wiary i ufności w przyszłość człowieczeństwa? W tem już doniosłe znaczenie ideowego utworu Orzeszkowej. Ale ożywiająca go idea, obok czysto humanitarnej, ma jeszcze drugą stronę, społeczno-narodową, jak najściślej złączoną z głównym prądem dążeń myślowych autorki.

Duch ożywiający Meira to jakby objaw jakiejś — przenośnie tu oczywiście pojętej — metampsychozy dziejowej. Jest to duch ożywiający ongi jego przodka z XVI-go wieku, jego pradziada z epoki sejmu czteroletniego — duch obywatelskiej i patryotycznej myśli polskiej, budzącej się w łonie naszego żydostwa w przełomowych chwilach dziejów narodowych. Za jedną z takich chwil

poczytywała autorka dobę dźwigania się żywotnych sił narodu z pod ogłuszającego obucha roku 63-go — dźwigania się, które nie tyle w świecie realnym na prawdę widziała, ile pragnieniem, przekonaniem, wiarą w twórczości swej sobie i rodakom chciała uprzytomnić.

Serdeczna, bolejąca jej myśl patryotyczna we wszystkich kierunkach, dziedzinach i zakątkach naszego życia społecznego z troską i niepokojem szukała świeżych twórczych sił, zdolnych odrodzić wyczerpany straszliwym ciosem organizm narodowy, podtrzymać, odbudować zagrożone ruiną domostwo ojczyzny. Szukała ich, jak wiemy — na równi z całem swem pokoleniem, przedewszystkiem w nizinnej pracy u podstaw, we wszelkiej pracy i działalności, budzącej ruch na niwach społecznych naszego kraju choćby na najniższych, najbardziej zapadłych jego niwach, »w nieszczęsnych dolinach, oddzielonych od reszty świata grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności«, jak się wyraża we wstępie do »Meira Ezofowicza«. Jedną z takich dolin zdał się jej słusznie byt małomiasteczkowego żydostwa na Litwie. Ale gdzież widziała w nich jakikolwiek ruch ku ideowym wyżynom, choćby drobną takiego ruchu próbę, oznakę? Na rodzinnej swej Litwie chyba w poezyi znała »Żyda poczciwego, co ojczyznę jako Polak kochał«, chyba wyjątkowo spotykała realne tego poetyckiego pierwowzoru odbicia w rodzaju zmarlego niedawno Wilnie starego Kinkulkina, »przyjaciela Syrokomli«. Ogół Żydów-Litwaków z takimi pierwowzorami nic zgoła nie ma wspólnego i z hasłem *mi ruskije*, tam się zwraca, gdzie czuje siłę, mimo pogardliwe i nienawistne kopnięcia, jakie nań z tej strony spadają. Ale wspomnijmy Warszawę w roku 1861 i później w całym okresie popowstaniowym. Tam to rwący się ku wyżynom duch rodu Ezofowiczów realnie się objawił i wcielił w postaciach Kronenbergów, Mejzelsów, Cilkowów. Dziwna rzecz, że nie na warszawskim ani koroniarskim wogóle, lecz na litewskim gruncie spotykamy najdoskonalsze w literaturze pięknej odbicie tego ruchu pełnego znaczenia w naszem życiu porozbiorowem. Ideę zeń wysnutą przenosi autorka litewska do jednej z »ciemnych, zapadłych dolin społecznych« swej ściślejszej ojczyzny, jako przypuszczalny błysk myśli humanitarnej,

rodzący się z długiej, bolesnej pracy ducha wśród najciemniejszego mroku odwiecznych a jednak obcych żywiołów naszego kraju.

Czy ten błysk nie może się rozpłomienić w ogień, ogarniający głowy i serca milionów?

»Czytelniku! — mówi autorka w zakończeniu powieści — jeśli kiedy wśród drogi swej spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerze, prędko braterską dłoń przyjaźni i pomocy«.

Oto, wedle niej, sposób rozpalenia tego ognia: iść na spotkanie wszelkich odosobnionych jego przebłysków, podsycać je dobrą wolą, chęcią przyjazną, myślą rozumną. Czy nie jedyny to sposób wydobycia na światło płodnej pracy dla kraju z najciemniejszych, najbardziej jałowych jego dolin społecznych?...

V.

Odgłosy nizin. — Powieści ludowe (»Niziny«, »Dziurdziowie«, »Cham«).

Jak wiele w nieszczęsnym naszym kraju ciemnych, jałowych dolin społecznych, nie tylko obcoplemiennym, ale też swojskim, rodzinnym zaludnionych żywiołem. Bacznie im się przyglądała, głęboko i boleśnie rozmyślała nad nimi autorka »Nizin«.

W tej i w następnych po »Meirze Ezofowiczu« powstałych powieściach przedstawiła życie zagonowej szlachty litewskiej, chłopów białoruskich, drobnych mieszczan i oficyalistów wiejskich z serdecznem odczuciem jego bied, współczuciem dla szarej, ciężkiej nieraz jego doli, nie wykluczającym jednak nigdy dosadnych rysów prawdy realnej w charakterystyce figur, w obrazowaniu obyczajowego i bytowego tła powieści. Ideowość nię unosi jej teraz poza obręb rzeczywistości w krainę oderwanych od niej ludzi-cieniów, obrazów-tendencyi, a choć nieraz patrzy na świat przez mglistą zasłonę łez, widzi go jednak na ogół wyraźnie, maluje wiernie, pilnie bacząc na realną treść i artystyczną formę malowidła powieściowego.

Charakterystycznem jest, iż, począwszy od omawianego tu okresu swej twórczości, bardzo rzadko w podrzędnych tylko swych utworach brała Orzeszkowa tematy z dalekich, ogólnikowo wi-

dzianych sfer życiowych; najczęściej, zawsze prawie przedstawiała postaci i stosunki blizkie jej, dobrze znane, na które własnemi patrzała oczyma i na wskroś przejrzeć je usiłowała. Życie dworu wiejskiego na Litwie stanowiło rodzimą i rodzinną jej dziedzinę życie miasteczka litewskiego, wsi chłopskiej, »okolicy« szlacheckiej od dzieciństwa było jej blizkie i swojskie a w późniejszym wieku stało się przedmiotem uważnych spostrzeżeń i badań prowadzonych z zamiłowaniem wielkiem przez długi szereg lat pilnie, starannie, wielostronnie.

Pociągnięta była ku temu przedmiotowi autorka nasza nie tylko przez zwracający się w tę stronę kierunek jej twórczości, jej dążeń społecznych, narodowych, obywatelskich, ale także, jak sama wyznaje, przez wyrabiający się stopniowy zasadniczy nastrój duszy w najistotniejszych uczuciach i przekonaniach znajdujący swe odzwierciedlenie.

»Dość wcześnie — pisze Orzeszkowa w przytaczanym już powyżej liście z 21 stycznia 1909 r. — po kilkoletnich pokłonach, składanych hasłu: wiedza to potęga (epoka mego pozytywizmu) zaczęłam liczne pretensye rościć do cywilizacyi, jej skrzywień, wyrafinowań, szałów używania, dziecinnych rozkochań we fraszkach, w pięknie fałszywem lub na drobną monetę rozmienionem. To usposobienie prowadziło mię do przyrody, do chat chłopskich i drobnoszlacheckich. Uczyłam się botaniki zwyczajnej i ludowej, uczyłam się dwóch grup ludowych przez poznawanie ich pieśni i baśni, ich wiar i zabobonów, wnętrza ich siedzib i dusz. Szczęśliwy wypadek zdarzył, że przez szereg lat miesiące letnie spędzałam pomiędzy wsią chłopską i drobnoszlachecką. Nie było w nich jednej żywej duszy, którejbym nie znała, tak jak w sąsiednim lesie i na sąsiednich polach i łąkach nie było takiego miejsca, na którym nie rwałabym traw i kwiatów. Ciekawością natury i ludu, miłością dla nich aż do dna napełniało mi się serce. I oczy miałam także ich pełne. Była to może najszczęśliwsza pora w mojem życiu«.

Dodajmy: była to pora rozstrzygająca o losach wielkiej zdolności twórczej, zwracająca ją w kierunku istotnego jej powołania.

»Pretensye do cywilizacyi« to przewodni motyw dążeń wielu

najszlachetniejszych, najgłębszych dusz współczesnych, motyw buntu i protestu przeciw zalewającym nas fałszywym jej blaskom, przeciw dławiącemu nas bezdusznemu jej mechanizmowi. Serdeczna, głębokomyślna nasza autorka-patryotka podnosi ten protest w imię dobra kraju, ten bunt w imię najistotniejszych jego potrzeb kulturalnych, podporządkowanych lub całkiem poświęcanych u nas aż nadto często różnym powierzchownie lub zgoła pozornie kulturalnym błyskotkom, błachostkom, głupstewkom. Ale, powstając przeciw różnym fałszywym darom cywilizacyi, ani na chwilę nie traciła Orzeszkowa z oczu prawdziwych jej zdobyczy i tych jak najbardziej pragnie dla naszego kraju i społeczeństwa, jak najenergiczniej o nie dopomina się, dobija, walczy. Ze smutkiem widzi zupełny ich brak na umiłowanych sobie nizinach ludowych, w których słusznie upatruje nadzieję naszej przyszłości, tak strasznie na wyżynach naszego życia społecznego zagrożonej— widzi ten brak, boleje nad nim serdecznie i kreśli posępne, przejmujące grozą nieraz obrazy wynikających zeń objawów ciemnoty, występków, zabobonów oraz fatalnych wpływów, wywieranych na ciemnych prostaczków przez pół oświeconych, pół- i ćwierćkulturalnych pajaców i szarlatanów cywilizacyi.

Na tle tych wpływów rozwija się osnowa powieści »Niziny«. Widownią jej po części niziny bytu ludowego, po części pośrednia sfera, oddzielająca uprzywilejowane majątkowo i kulturalnie klasy społeczne od niekulturalnych, biednych i zabiedzonych warstw ludowych — ekonomska i małomiasteczkowa sfera, pełna pretensyonalności, głupstwa, komizmu, nie wolna też oczywiście od przewrotności tem szkodliwszej, iż podsycanej przez świeżo rozbudzone pożądliwości, pnących się ku górze drabinkarzy [1].

Biedna chłopka, uwiedziona przez ekonoma, panna ekonomówna, uwiedziona przez małomiasteczkowego cynika-franta: — oto dwoisty, kryjący w sobie coś w rodzaju życiowej Nemezis temat głównej akcyi powieściowej, rozgrywającej się w skromnych

[1] Neologizmu tego pozwalam sobie tu użyć jako zasłyszanego z ust chłopskich, wyrazu, dosadnie, malowniczo i czysto po polsku określającego wyobrażenie oznaczane zazwyczaj niezdarnie cudzoziemską nazwą karyerowicza.

izdebkach dworku ekonomskiego lub w tandetnie eleganckim saloniku miejskim »pana adwokata«. A w głębi obrazu smutny, nędzny, grubą ciemnotą okryty byt chłopstwa niegodziwie wyzyskiwanego przez szalbierza bez czci i wiary, który ciągnie grube zyski z naiwnej chciwości biedaków przez procesy i prawowanie spodziewających się polepszyć ciężką swą dolę.

Obie sfery tych nizin nędzy materyalnej i moralnej przedstawione zostały z wielką prawdą realną, której posępne, szare barwy rozjaśniane są tu i owdzie błyskami szczerej poezyi lub jaskrawymi rysami dosadnej, charakterystycznej komiki. Jakby echem pieśni ludowej brzmią żałosne zawodzenia biednej Krysty, skarżącej się na swą niedolę — jakby z doskonałej komedyi obyczajowej wyrwane przedstawiają nam się sceny przyjęcia kuzynka miastowego w ekonomskiej bawialni lub pseudo-adwokackich konferencyi sprytnego oszusta-wyzyskiwacza chłopskiej ciemnoty. Wszystkie figury, wszystkie rysy i barwy obrazu powieściowego odtworzone są wprost z rzeczywistości życiowej, rozwinięte z wielkim artyzmem w szczegółach i w ogólnym układzie, a przytem pełne znaczenia jako wyraz wiernych i smutnych spostrzeżeń autorki nad opłakanym, nizinnym bytem kraju rodzinnego, nad niedolą i ciemnotą jego ludu biednego, nad pijawczą żarłocznością wysysających go półoświeconych mikrobów i pasożytów cywilizacyi.

Ciemnota, jako źródło wyzysku, to główny temat »Nizin«; ciemnota, jako źródło zabobonu, to główny temat powieści »Dziurdziowie« — strasznego, potwornego iście zabobonu, prowadzącego ludzi w gruncie dobrych i uczciwych do czynów złych, nieludzkich, zbrodniczych. Mroczna, posępna historya z życia ludu białoruskiego, istna tragedya wioskowa, opowiedziane z wielką prostotą i z wielkim artyzmem, rozwinięta na barwnem tle obyczajowem, zaludniona postaciami o dosadnej charakterystyce widocznie z dokładnych spostrzeżeń wysnutej, posiadającej wszelkie znamiona wiernego z rzeczywistości życiowej odtworzenia.

I tutaj »ciekawość artystyczna« sama przez się silnie pociągała autorkę — ciekawość tego malowniczego świata bytu i obyczaju ludowego i tych przewiewających go tajemniczych odgłosów

prastarych wierzeń i podań, tego wszystkiego co w nim najbardziej pierwotne, samorodne z łona matki-przyrody wprost do dusz ludzkich przenikające. Z owych prostackich dusz chłopskich, omroczonych ciemnotą, rozstrojonych zrodzonym z niej zabobonem tyle umiała autorka wydobyć barw jasnych, tonów dźwięcznych, iż dzięki temu smutna historya nieszczęsnej, pełnej wdzięku sielskiego Piotrusi, zbiegiem okoliczności posądzonej o czary i jako wiedźma nieludzko zamordowanej, ma w sobie dziwny urok realistycznej idylli, pełnej prawdy i poezyi, świeżem tchnieniem pól naszych owianej, rzeźwą wonią naszych kwiatów rodzinnych przepojonej. Autorka wykazuje tu większy jeszcze aniżeli w »Meirze Ezofowiczu« dar sympatycznego odczuwania stanów psychicznych indywidualnie sobie obcych i w przestworach kultury bardzo dalekich. Dzięki temu, kreśląc z wyrazistością realistyczną zewnętrzną, typową ich odrębność, umiała zarazem uprzytomnić nam to, co w nich jest z wewnętrznej, blizkiej, pokrewnej nam istoty wszechczłowieczeństwa.

Tatwamasi — ty jesteś tym, jak mawiali starodawni mędrcy hinduscy, wskazując w każdem zjawisku zasadniczą, istotowo nam pokrewną treść wszechbytu.

Najwyżej spotęgowaną zdolność wnikania do głębi tego wszechbytowego zjawiska, które nam się objawia w wewnętrznem życiu duszy ludowej, wykazała Orzeszkowa w pięknej, serdecznie odczutej i przemyślanej powieści »Cham«.

Treścią jej dzieje duchowe mędrca-prostaka o niewyczerpanej sile miłości i dobroci, której najbardziej spotęgowana złość nie zdoła zwyciężyć, największe krzywdy przemódz nie mogą. A ten bohater ducha, to ciemny, niepiśmienny cham, prosty chłop litewski, rybak nadniemeński, co wiedzą nie sięga poza widnokrąg swej wioski rodzinnej, swej rzeki ojczystej, a duszą żyje w ciągłej komunii z bezmiarami otaczającej go przyrody i tkwiącego w nim bezwiednie ideału moralnego. Naraz w ten świat naiwnej, nieposzlakowanie czystej, jak w wagnerowskim Parsifalu, czuciem tylko mądrej prostoty wpada ptak z obcego świata i obcego lotu, barwnopióry ptak kobiecego powabu, demonicznym swym czarem ogarniający czystą duszę naiwnego prostaka. Rybak Paweł, któremu

dotąd »niebo było chatą a rzeka żonką«, wprowadza do swej chaty nadniemeńskiej żonkę przybłędę z szerokiego świata, o postaci uroczej, ale o duszy zbrukanej, przepalonej do głębi ogniem nieczystych żądz i instynktów. Rozpoczyna się walka naiwnej cnoty z nieświadomym występkiem. Cnota zwycięża siłą miłości i przebaczenia, ale występek zabija przepojoną jadem zepsucia swą ofiarę. Niewyżyć wychowance miejskich zaduchów w czystej atmosferze wiejskiej. Franka wiesza się na pierwszej lepszej gałęzi, gdy przebrała się miara jej złości i Pawłowej dobroci.

W »Chamie« osiąga kulminacyjny swój punkt pełen umiłowania serdecznego, zwrot naszej powieściopisarki do ludu i przyrody, do tego, co w życiu najbardziej samorodne, bezpośrednie, przez współczesną mechanikę cywilizacyjną nie owładnięte. Nie należy wszakże posądzać jej o jakąś bezwzględną, tołstojowską negacyę wszelkiego rozwoju cywilizacyjnego, jakkolwiek sam Tołstoj napisał przedmowę do rosyjskiego przekładu »Chama«. Pomimo swych »pretensyi do cywilizacyi«, a raczej do współczesnych jej zboczeń i fałszów nie mniej aniżeli ktokolwiek wierzy Orzeszkowa w wiekuistą moc jej i prawdę, w dobroczynny wpływ oświaty, kultury. Dlatego też w swych powieściach chłopskich, przy całej sympatyi dla życia ludu, tak dobitnie uwydatnia ciążące na nim przekleństwo nieuctwa, ciemnoty; a jej ciemny, niepiśmienny mędrzec wioskowy, rybak Paweł niczego tak gorąco nie pragnie, jak nauki czytania, nad którą z niezmiernym mozoli się wysiłkiem.

Dodać trzeba, że jakkolwiek Orzeszkowa — na równi z wielu wyższymi umysłami naszej doby — bardzo wyraźnie spostrzega postępujący wciąż w coraz większem zmateryalizowaniu i zmechanizowaniu upadek współczesnej kultury wszecheuropejskiej [1], to jednak jako artystkę i autorkę polską zajmuje ją nie tyle obecne oddziaływanie na nasze społeczeństwo zwyrodnienia kulturalnego, mniej może nawet u nas, aniżeli gdzieindziej dającego się odczuć, ile różnych kulturalnych błyskotek i błahostek, jakie od wieków

[1] Dowodem niektóre najnowsze jej utwory, np. »Dzień dzisiejszy« *Przegląd Powszechny*. Styczeń 1908.

działały na miękkie, powierzchownie wrażliwe natury polskie, a dzisiaj oczywiście fałszywymi blaskami najnowszych materyalistycznych zdobyczy tem bardziej je olśniewają.

Zboczenia stąd powstałe, różne nadęte purchawki i świecące próchna stąd zrodzone, a z drugiej strony przeciwstawne tym sztucznym wytworom pseudo-kultury naturalne, ale kulturalnie mało wyrobione płody rodzinnej gleby: — oto zwykłe tematy dawniejszych nowel Orzeszkowej, które tutaj w kilku przynajmniej należy nam rozpatrzyć przykładach.

VI.

Początkowe nowele. — Z różnych sfer różne motywy życia. — To co je łączy i to co je dzieli.

Początkowe nowele, podobnie jak początkowe powieści naszej autorki, nie odznaczają się wysokim artyzmem, pozostają pod przemożnym wpływem tendencyjności; godne są jednak uwagi ze względu na przebijający w nich nastrój duchowy, a poniekąd i na skłonność do realistycznego kształtowania tematu. Już najpierwsza z nich (najwcześniejszy wogóle utwór Orzeszkowej) p. t. »Z lat głodowych« zawiera realistyczny, serdecznem przeniknięty współczuciem obrazek straszliwej nędzy ludu wiejskiego. W następujących po niej (»Początek powieści«, »Rozstajne drogi«, »Syn stolarza«) mamy obrazki z życia klas wyższych i średnich, kreślone ogólnikowo z tendencyą demokratyczną, uwydatniającą dobitnie (podobnie jak w powieści »Marta«) potrzebę pracy, jako nieodzownego, a tak bardzo zbywającego naszemu społeczeństwu czynnika kultury.

Nowela »Szara dola« to już rzecz wysokiego artyzmu, odznaczająca się szczególnie doskonałą charakterystyką figur. Jest to historya biednego urzędniczyny pocztowego, sumiennie i uczciwie pełniącego swe obowiązki przy wielkim gościńcu litewskim. Przeniknięty głęboką czcią dla »obywatela«, tak pięknie na niej wychodzi, że zdradza go haniebnie żona, »córka obywatelska« i ucieka wreszcie z młodym obywatelem okolicznym, który następnie po latach wielu, okupując niby popełnioną względem niego

winę, przyjmuje do swego domu opuszczonego, spadłego z etatu biedaka i przyjmuje do swej kasy, tytułem pożyczki jego krwawo zapracowany fundusik, aby go utopić w ogólnej ruinie swego majątku. Materyalnie i moralnie skrzywdzony, oszukany i ograbiony ex-urzędnik nie może się dość nadziwić niehonorowym postępkom »obywatela« i z tem naiwnem zdziwieniem spada coraz niżej po drabinie nędzy aż na stanowisko żebrzącego dziada przy kościele. Oprócz zbiedzonego swą »szarą dolą« nędzarza mamy tu jeszcze wyborne rysami dosadnej satyry, kreślone figury młodego cynika-marnotrawcy i jego wykwintnej mamy starej komedyantki nadzianej patetycznymi frazesami. Obraz ten niedoli ludzkiej lekkomyślnie i bezczelnie wyzyskiwanej przez marnotrawczy zbytek aż nadto często można pono oglądać w naszem życiu »obywatelskiem«.

Inną również dosadnie kilkoma satyrycznymi rysami nakreśloną stronę tego życia widzimy w noweli »Stracony«. Wykwintny, arystokratyczny, dostatni dom ziemiański, ale w zupełnym rozstroju typowo swojskiego nierządu. Papa poluje, mama jeździ po wizytach, córeczki czekają na bogatych mężów, synalek upędza się za posagiem, a w domu idzie wszystko jak się zdarzy, czyli wszystko się rozpada, rozlatuje, rozprasza. W tej atmosferze ogólnego rozproszenia najmłodszy syn rodziny z naturą bogatą, bujną, wysoce uzdolnioną marnuje się bez wychowania, kierunku ni wykształcenia. Podczas hulanki w poblizkiem mieście, przypadkiem zabija w zwadzie człowieka, a przez zbieg okoliczności posądzony jest i oskarżony o rozmyślne zabójstwo w celach rabunku. Wtedy mama, papa, siostrzyczki i braciszek wyrzekają się »niegodnego dziecka«, i opuszczają nieszczęśnika, choć jednem zeznaniem przed sądem mogliby ocalić go od zatracenia. Wzięta rzekomo z »opowiadań prawnika« treść noweli osnuta jest na fakcie jurydycznym wyjątkowym może w swym przebiegu, ale realnie możliwym, a nadającym się dobrze do uwydatnienia pewnych, osobliwie wykwintnym sferom właściwych, objawów naszego życia rodzinnego, w których próżność jedynym jest łącznikiem, a rozbieżność serc i dusz stałym, zasadniczym rysem. Zapewne, wszędzie podobne objawy zdarzyć się mogą, ale wskażcie mi kraj w którymby wa-

runkujące je próżność i próżniactwo rozpościerały się szerzej niż u nas.

Arcydziełem satyry Orzeszkowej jest nowela »Pani Luiza«. Jak wszystkie prawie powieściopisarki, autorka »Marty« celuje w kreśleniu charakterów kobiecych, niemniej jak i różnych zboczeń, zwyrodnień, wykrzywień niewieściej natury. Ta ostatnia, ujemna jej strona bywa niemniej wdzięcznym tematem autorek-odtwórczyń życia. Kobiety umiejące w życiu realnem z taką bystrością wypatrzeć najskrytsze nawet słabostki najserdeczniejszych swych przyjaciółek, niedziw, że i w swej twórczości literackiej bardzo udatnie umieją zaopatrzyć nimi artystyczne swoje kreacye niewieście.

U Orzeszkowej wszakże inne jeszcze czynniki w grę tu wchodziły. Talent jej twórczy, na wskróś przeniknięty myślą społeczno-obywatelską, niezmiernie był wrażliwy na wszelkie zboczenia od dróg i kierunków przez nią wskazanych, a przedewszystkiem na wszelkie objawy egoistycznego zamknięcia się w swej marnej istocie czy istotce z zupełnem zapomnieniem o wielkiej ogarniającej ją całości zbiorowej. Owóż pomiędzy kobietami napotkać można prawdziwe mistrzynie podobnego zapominania, praktykujące je z taką rozbrajającą, pełną wdzięku naiwnością, iż wydaje się ono niezaprzeczonem ich prawem, czasem szczególnym ich urokiem. Autorka »Pani Luizy« światłem swej satyry rozprasza te złudne uroki, obraca w niwecz te prawa rzekome.

»Nie chciałabym, mówi pani Luiza, aby ktokolwiek cierpiał przeze mnie, ale dlaczegóż ja znowu cierpieć mam przez wszystkich i wszystko, dlaczegóż ja właśnie mam być ofiarą wszystkiego i wszystkich«.

Tak mówi wykwintna dama światowa, żyjąca wyłącznie zabawą i używaniem do kogoś wykazującego jej dowodnie, iż, powodując się widokami własnej korzyści, gotowa jest wyrządzić najoczywistszą krzywdę człowiekowi wielkiej pracy i zasługi. Jest ona święcie przekonana, że wszelkie prawa cudze, wchodzące w jakąkolwiek kolizyę z jej interesem, przyjemnością, czy zachcianką są krzyczącemi bezprawiami, wszelkie obowiązki względem bliźnich, nieodpowiadające jej upodobaniom lub sentymentom są straszli-

wemi ofiarami, których domagać się od niej to prawdziwe okrucieństwo. Ponosić ofiary, poświęcać się dla innych — toż treść, toż istota jej życia. Skoro książe Andrzej zapadł na ospę, pielęgnuje go jak siostra miłosierdzia, narażając swe zdrowie, nawet swą piękność; ale poświęcić cośkolwiek ze swych interesów czy upodobań dla jakiejś zasady, dla jakiegoś ogółu, dla kogoś, co tylko do owego ogółu, nie zaś do »naszej sfery« należy, *c'est du grec* dla niej.

Że pani Luiza przebywa zawsze kędyś »gdzie cytryna dojrzewa«, gdy tymczasem w ojczystej jej siedzibie wszystko rozpada się i marnieje; że wykwintnym polsko-francuskim żargonem wzniośle mówi o sztuce, a trzech zdań niezdolna jest skleić w najprostszym sądzie logicznym, że wreszcie, jako *une femme incomprisse*, w ciągłych jest pretensyach do życia, w ciągłych skargach, żalach, zawodach, rozczarowaniach: — wszystko to same przez się rozumiejące się rzeczy, typowe charakterystyczne rysy wyeterycznionej konwencyonalnie kobiecości, wybornie tu przez autorkę rozwinięte w postaci pełnej życia i prawdy z całym swym powiewnym wdziękiem i przenaiwnym egoizmem jaknajbezwzględniej wyzyskującej wszystko, czego potrzebuje dla utrzymania się na wyżynach swej salonowo-toaletowej eteryczności.

A oto przeciwieństwo tego wypieszczonego, dystyngowanego egoizmu: bardzo niewykwintna, niepozorna ofiarność biednego kancelisty (w noweli »Dziwak«), który całe życie zamęcza się, pracą zbiera grosz do grosza, posądzony jest o chciwość, sknerstwo, poczytywany za głupca, zidiociałego maniaka, a wkońcu okazuje się istnym bohaterem poświęcenia i zaparcia siebie: przyjmuje do swego domu występną siostrę, aby ją ocalić od ostatecznej zguby, wyrzeka się dla niej osobistego szczęścia, niczego dla siebie osobiście nie pragnie, nie potrzebuje i bez słówka nie tylko chwalby, lecz choćby najmniejszej oznaki swej dobroci, jakby w sekrecie największym żyje i umiera dla bliźnich, gdyż i cały swój kapitalik z takim mozołem i sknerstwem pozornym zbierany przeznacza na wychowanie dwojga biednych dzieci, chłopca i dziewczyny. »Myślałem, mówi w chwili zgonu, że będzie ich dwoje, którzy przeze mnie, przez moją pracę lepszej doli do-

świadczą niż ja i moja siostra... a potem znowu dwoje... i tak długo, długo... ludzie nie lubili mnie i wyśmiewali... dokuczali mi i prześladowali Maryannę; a ja myślałem sobie, że dzieci tych samych może ludzi, co nas tak prześladują, będą kiedyś miały przeze mnie trochę rozumu w głowie i słońca w życiu«.

W innej, a nie mniej ujmującej postaci przedstawia się nam ofiarność w noweli »Pieśń przerwana«. Młoda, pełna wdzięku dziewczyna całkowicie żyje dla rodziny i również bez frazesu, bez cienia jakiegokolwiek samochwalstwa czy samouznania spełnia codziennie, co godzina nieomal szereg ofiar z całkowitem o sobie zapomnieniem. Przez chwilę i dla niej zabłysnął promyk szczęścia, zabrzmiały pierwsze akordy pieśni miłości, lecz wnet pieśń się urwała i powróciła jednostajna bezdźwięczna szarzyzna pochłaniającej młode życie pracy powszedniej.

U Orzeszkowej, jako u typowej powieściopisarki-realistki, smutna owa szarzyzna okazuje się zwykłym, przemagającym ogromnie w rzeczywistości życiowej tłem wszelkich dążeń ludzkich, sposępnionym jeszcze w wielu razach mrokami niedoli i ciemnoty zalegającymi rozległe niziny społeczne. Jak wiemy, autorka »Meira Ezofowicza« zaglądała często do najbardziej zapadłych tych nizin zagłębin, poszukując w nich troskliwie przebłysków szczero ludzkiego uczucia, szczero ludzkiej myśli, które w swej żydowskiej epopei z takim artyzmem wydobyć i uwydatnić zdołała. Dopełnieniem tej pięknej powieści jest kilka nowel z bytu żydowskiego, świadczących również wymownie o szczególnej zdolności autorki wnikania do głębi dusz plemiennie i kulturalnie tak jej dalekich i obcych, a jednak tak serdecznie przez nią odczutych w tych tonach i nastrojach, pobrzmiewających odgłosem wieczystych pragnień, dążeń i porywów ludzkiej natury.

Oto przymierający głodem wraz z liczną swą rodziną nędzarz, rebe Szymszel (w noweli »Silny Samson«) w ciemnej, brudnej swej izdebce żyje wysnutemi z ksiąg uczonych promiennemi marzeniami o świetnych czasach Izraela, o jego bohaterach, mędrcach, prorokach, o przejasnych aniołach, a nadgwiezdnych niebiosach, o królującym w nich wszechpotężnym Jehowie. Raz zdarza się, iż te marzenia stają się nieomal dotykalną rzeczywistością dla

uczonego męża. Na teatrze w świętym dniu Purymu odgrywa on rolę »silnego Samsona«. Na chwilę przedzierzga się nieomal w potężnego bohatera. Brutalna w swem dotknięciu rzeczywistość budzi go ze snu złotego, jak po wszystkie czasy budziła i budzi tych, co od smutnej jej szpetoty usiłowali uciec w kraje pięknych snów i marzeń.

Odmienny typ Żyda-nędzarza widzimy w osobie biednego Gedali, wynędzniałego, chorowitego kramnika, który, stawiony przed obliczem zamożnego dzierżawcy, jako szkodnik wyjadający mu groch przy drodze, nie tylko przebaczenie, lecz i serdeczne dla swej niedoli współczucie znajduje u poczciwego człowieka i licznej jego rodziny. Autorka uprzedmiotowia tu niejako własne swe współczujące wszelkim biedom i cierpieniom ludzkim usposobienie — uprzedmiotowia je jako czynnik łączący ludzi po przestworzu życia rozrzuconych, obcych sobie pochodzeniem, wiarą, dążeniami. »To najświętsze w życiu, co ludzi jednoczy«, mówi Goethe.

Jednem z głównych zadań naszej powieściopisarki: doszukiwanie się w sercach ludzkich tego jednoczącego c z e g o ś. »Ogniwa« — tytuł jednej z jej nowel możnaby uznać za godło całej jej twórczości ostatniego okresu. Czy nie są te ogniwa istotną (może najistotniejszą) częścią składową owego »oręża do walki«, którego kucie, jak sama wyznaje, poczytywała sobie za główne zadanie życia? — Wszystkie poprzednie jej utwory nie czem innem są pono, jak poszukiwaniem, zbieraniem, obrabianiem materyału, mogącego się nadać na ogniwa solidarności społecznej i narodowej. Zasadnicze, szczeroludzkie uczucia, idee, skłonności, oto główny materyału tego zasób, oto najważniejsze jego czynniki. A, obok litościwego dla niedoli bliźnich współczucia, miłość ziemi ojczystej i wykwitająca z niej idea narodowa czyż nie są tem c z e m ś, co najbardziej ludzi jednoczy, tem o g n i w e m, co najsilniej ich skuwa w wielki potężny łańcuch solidarności społecznej? Są to też motywy przewodnie głównych z ostatniego okresu utworów Orzeszkowej, a przedewszystkiem znamienitej między niemi powieści »Nad Niemnem«.

(C. d. n.)

Walery Gostomski.

SZKOŁA ROSYJSKA W DOBIE T. ZW. „REWOLUCYI".

GARŚĆ WRAŻEŃ Z LAT 1906—1908.

(Dokończenie).

Nareszcie ukończyły się wpisy do wyższych zakładów naukowych. Ale razem ze szczęśliwcami, przed którymi otwarły się podwoje »świątyń nauki«, znalazło się całe mnóstwo młodzieży, pełnej życia, dla której drzwi owe są — niestety! — zamknięte. Nie dostali się do uniwersytetu z powodu braku »wolnych miejsc«! Przynajmniej krótko i jasno, przynajmniej bez ogródek i obwijania w bawełnę!...

I iluż to takich pozostało poza pokładem? Do uniwersytetu wniesiono 4.000 podań, przyjęto zaś wszystkiego 2600 studentów, do instytutu technologicznego wniesiono 1718 podań, z czego uwzględniono tylko 480, do instytutu górniczego 1387, uwzględniono 130, do instytutu dróg i komunikacyi 1050, przyjęto 189, do instytutu inżynierskiego 120, przyjęto 107, do Akademii wojskowo-lekarskiej 600, z czego uwzględniono tylko 80, do instytutu elektro-technicznego podało się 479, z których przyjęto 79, na politechnikę z 4000 przyjęto 873, do instytutu leśnego przyjęto 80 na 120 kompetentów, wreszcie na wyższe kursy żeńskie (Bestużewskie) z 3000 podań uwzględniono tylko 1300.

Tak więc z 16.411 osób, które wniosły podania o przyjęcie do wyższych zakładów naukowych petersburskich, przyjęto za-

ledwie 5918. Resztę zaś młodzieży, spragnionej nauki, w liczbie 10.496, wyrzucono poza nawias!

A przecież!...

Rosya cierpi na chroniczny brak lekarzy, inżynierów, agronomów i t. d. Tymczasem zaś przed spragnionymi nauki zamyka się podwoje wyższych zakładów naukowych! W Rosyi bowiem ci, którzy chcą uczyć się, nie mają możności spełnienia swoich pragnień. A chyba aż nadto mało można mieć nadziei w uzyskanie potrzebnych funduszów na oświatę publiczną... Czy jednak takiemu stanowi rzeczy nie jest winna sama młodzież, uważająca szkoły za katedry, z których możnaby bezkarnie szerzyć poglądy anarchistyczno-przewrotowe?...

* * *

Losy wyższych zakładów naukowych rosyjskich budzą obecnie wielkie zaniepokojenie w kołach nawet postępowych. Kniaź Eugeniusz Trubeckoj, brat zmarłego, a tak zacnego kniazia Sergiusza, zauważył nawet w *Moskowskom Jeżeniedielnikie,* iż kwestya uniwersytecka jest dzisiaj znacznie ważniejszą od kwestyi trwałości konstytucyi. Pesymistyczny swój pogląd opiera na faktach wprost zadziwiających:

Zapytują przy egzaminie jednego ze studentów: »Czy dom jest majątkiem ruchomym, czy też nieruchomym?« Na to student, należący widocznie do gatunku mikrocefalów, odpowiada bez zająknienia: »Dom jest rzeczą ruchomą, gdyż obraca się razem z ziemią«... Naturalnie — student jest bardzo uradowany, że swoje nieuctwo usiłował pokryć tanim i płaskim dowcipem.

Inny znowu student, który nawet zapomniał to, czego go uczono w gimnazyum z podręcznika osławionego Iłowajskiego, odpowiedział na zapytanie, co mu wiadomo o Arystotelesie mniej więcej następująco:

— Arystoteles żył w III wieku po Chr. i walczył o wolność sumienia...

Trzeci wreszcie, nie chcąc być prześcigniętym przez swoich kolegów, opowiadał śmiało:

— Po wydaniu *Magnae Chartae Libertatum* nie można było nikogo uwięzić bez uprzedniego uzyskania na to jego zgody!...

Te odpowiedzi studentów przypominają pod pewnym względem odpowiedzi panien z pewnego instytutu szlacheckiego, które na zapytanie: czem był Juliusz Cezar? odpowiadały bez namysłu:

— Odznaczył się tem, że z rozkazu Aleksandra Macedońskiego jednem cięciem rozwiązał węzeł gordyjski...

Naturalnie, że pośród dzisiejszej studenteryi znaleźć można młodzieńców, którzy uczą się i wogóle patrzą na lata uniwersyteckie inaczej, jak na przechadzkę dla przyjemności własnej. Niestety!... coraz częściej i częściej daje się słyszeć, że ogół studenteryi zarażony jest nieuctwem, spowodowanem przez politykomanię, wiedzę zaś uważa za niepotrzebny balast. Z nich wyrosną dopiero politycy, jakich świat nie oglądał nigdy!...

A równocześnie z tem zjawiskiem można obserwować drugie, ale wielce do tego zbliżone. Dowiadujemy się, iż wypracowania ostateczne *(wypusknyja)* gimnazyalistów oraz konkursowe z języka rosyjskiego młodzieży, starającej się o prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych, są niżej krytyki wszelkiej, gdyż wprawiają w podziw nie tylko ubóstwem myśli, ale w większym stopniu niezdarnością układu.

Polityka górą!... Niema co mówić!... Ładni działacze publiczni wyrosną z tak wykształconej młodzieży?... To też nie można odmówić wielkiej słuszności wnioskom ogólnym, jakie kniaź Trubeckoj wyciągnął z powyższych przesłanek.

— »Kiedy stracimy — pisze dalej — skromne resztki naszej wolności politycznej, będzie to rzeczywiście wielką klęską narodową, pozostanie wszakże jeszcze nadzieja, że klęska ta będzie tylko czasową, że wcześniej lub później życie rosyjskie wytworzy instytucye, odpowiadające obecnemu poziomowi kultury. Nadzieja powrotu wolności zniknie tylko w tym wypadku, jeżeli stracimy samą kulturę, jeżeli powrócimy do tego pierwotnego, dzikiego stanu, kiedy ludzie nie są godni rządzić, lecz muszą być rządzeni. Wszystko przepadnie, jeżeli pozbędziemy się oświaty i zgasimy w sobie rozum — to źródło i usprawiedliwienie wolności. Nie można tego ukrywać przed sobą, że niebezpieczeństwo jest wielkie

i że smutne następstwa są zupełnie możliwe. Uniwersytetowi, tak samo jak konstytucyi, grozi zagłada z prawicy i z lewicy.

— »Czy może istnieć uniwersytet, jeżeli o niego nie troszczy się ucząca się młodzież? Lecz kto z tej młodzieży dba o uniwersytet? dla kogo z naszych studentów, oprócz nieznacznej mniejszości, drogą jest sama idea uniwersytetu? Czyliż warto mówić o tej obojętnej masie, która rzadko kiedy przychodzi na wykłady, zjawia się tylko na egzaminy celem otrzymania stopnia, pozwala gospodarować w uniwersytetach partyom radykalnym i ostatecznie otrzymuje dyplom! Uważać uniwersytet za kramik, prowadzący handel dyplomami, to znaczy nie uznawać samej jego idei i z takich to właśnie studentów, nie uznających samej idei uniwersytetu, składały się nasze tak zwane »akademickie« stronnictwa! Jaką siłę mógł przedstawiać ten nieszczery, w założeniu swojem fałszywy akademizm różnych »wolnomyślnych« i »niezależnych«! Ich przeciwnicy — radykaliści zawsze byli i będą silniejsi, ponieważ ożywieni są ideą.

— »Uniwersytet zawsze był i będzie królestwem arystokratyzmu duchowego, w przeciwnym razie przestanie istnieć. Ten arystokratyzm umysłowy nie tylko nie przeczy zasadom demokratycznym, lecz wprost z nich wypływa, gdyż on jeden tylko odpowiada interesom narodu. Interes narodowy wymaga, żeby krzewiona przez uniwersytet oświata z lichwą pokrywała wydane na nią fundusze narodowe. Naród potrzebuje wykształconych prawników, lekarzy i nauczycieli. Potrzebny jest dlań uniwersytet, jako miejsce, przeznaczone na naukę, nie zaś na lokal dla wieców radykalnych. Ten interes narodowy zabezpiecza panowanie mniejszości ludzi wiedzy, nie zaś panowanie tłumu w wyższych zakładach naukowych.

— »Walka zawodowa« radykalnej grupy studenckiej jest stanowczo antydemokratyczna i antynarodowa.

— »Dlatego też każde przedstawicielstwo narodowe, choćby nawet najbardziej demokratyczne, zawsze powie, że władza w uniwersytecie powinna znajdować się w ręku pracy i wiedzy i że ludzie niedouczeni — nie powinni tem rządzić, lecz — uczyć się!

— »To, co u nas nazywają »demokratyzacyą szkoły

wyższej«, jest po pierwsze uzurpacyą, a powtóre — zupełnem spaczeniem demokracyi. Jest to uzurpacya dlatego, ponieważ nikt nie upoważniał studentów do występowania w uniwersytecie w imieniu narodu.

— »Władza profesorów da się usprawiedliwić przez ich specyalne przygotowanie, przez ich wiedzę, pracę całego życia, gdy władza studentów niczem stanowczo nie da się usprawiedliwić. W tem też leży spaczenie demokracyi: twierdzić, że demokracya wymaga zrównania wiedzy i obskurantyzmu — to znaczy tworzyć złośliwą jej parodyę, — zamienić ją w obskurantyzm najgorszego gatunku«.

Że taki pogląd na zadanie, jakie powinien uniwersytet spełnić wobec swoich wychowanków, pogląd w całem tego słowa znaczeniu europejski, nie mógł przypaść do gustu młodzieży, która raczej podobna jest do rozhukanego tabunu koni dzikich, — nic dziwnego. Współczesna młodzież rosyjska, marząca o republice demokratycznej, widząca ideały w bezcelowych żamachach bombowych, żądna krwi, mówi mnie, jako etnologowi, bardzo wiele. W współczesnem pokoleniu rosyjskiem odżył duch tych, co płacili haracz Złotej Ordzie, i tych branek tatarskich, co rodziły żółte niemowlęta, i tych, co pokłony bijali u stóp wschodnich kacyków. Wiedząc to — nie dziwię się bynajmniej pierwotności pojęć o wolności akademickiej, jakie wyrobiły się w mózgach potomków rzekomo słowiańskich, w których żyłach jednak drzemią instynkty krwiożercze, niszczycielskie, tem silniejsze, że odziedziczone.

— *Podawaj nam niebiesnuju siłu, my i s etoj siłoj sprawimsia!...*

Takich haseł wyznawcami muszą być potomkowie tych, których najazdy nie zostawiały kamienia na kamieniu. Horda pierwotna, tabun!...

I stąd jeszcze jedna refleksya... Bodajby nie sprawdziła się nigdy!... Jaką przyszłość ma naród, którego odwiecznym ideałem jest zbrodnia?... którego młode latorośle zbryzgane od stóp do głów krwią ludzką, którego środkiem i celem ostatecznym zniszczenie takie, jakiego świat nie oglądał od czasów Hunnów z Atyllą

na czele!... I co niepojęte dla człowieka zachodniego, — to owa żądza zniszczenia własnej ojczyzny!...

Com wyrzekł?!... Wszak Rosyanie w języku swoim nie mają słowa, odpowiadającego pojęciu n a s z e j »ojczyzny«!...

Żal mi ich, jak żal każdego człowieka, co biedny lub chory na nieuleczalną chorobę... Ale żal choroby nie uleczy, dlatego też piszę te słowa.

* * *

Rozpoczęły się znowu wykłady. Ulice przylegające do uniwersytetu przepełnione studenteryą. Jest jej, jak już powiedziałem 11 tysięcy.

A ilość sił profesorskich?... Pozostała niezmieniona.

Podług mnie można wykładać równie dobrze dla trzech studentów, jak i dla tysiąca. Czy jednak mury sali pomieściłyby tysiąc słuchaczy?...

Naturalnie, że nie! To też studenci nie chodzą na wykłady. Bo i cóżby z nimi począć, gdyby zechcieli chodzić?!... Przecież wiadomo im doskonale, że jest ich zwyż 11 tysięcy. A przecież takiej ilości nie pomieszczą audytorya razem wzięte!

I gdyby profesorowie zapytali studentów, dlaczego systematycznie opuszczają wykłady? — mogliby dosłuchać się wcale nie bezpodstawnej odpowiedzi:

— Ależ panie profesorze, przecie nie w naszej mocy zmienić ilość potrzebnego dla naszych płuc powietrza! Gdybyśmy wszyscy zapełnili salę, to sam pan profesor nie mógłby ani pomyśleć o przedostaniu się na katedrę przez tak gęsty tłum, skoro nie byłoby miejsca na rzucenie szpilki!...

A zatem, jeżeli przeważna część studentów nie może uczęszczać na wykłady, nie może pracować w laboratoryach, nie może korzystać z wskazówek osobistych profesorów, to czyliż taka sytuacya nie jest równoznaczna z tem, że studenci znajdują się w warunkach, w których uniwersytet nie odpowiada, lub bardzo źle odpowiada swojemu właściwemu przeznaczeniu?...

Wobec tego dalej, że społeczeństwo jest bardzo mało obznajomione z faktycznym stanem rzeczy na uniwersytecie, przeto

nie można dziwić się bynajmniej, jeśli drży całe z zupełnie naturalnej trwogi. Co pocznie ta ogromna część studentów, uczęszczająca na lekcye tylko przygodnie, dorywczo, niesystematycznie? Co poczną ci, którzy siłą konieczności są odsunięci od udziału w pracach laboratoryjnych?...

Już z początkiem ubiegłego letniego półrocza życie uniwersyteckie rosyjskie zaczęło jakoś układać się. Sprawy czysto naukowe, które odsunięte zostały na bok przez wrzenie polityczne, zaczęły znowu interesować młodzież. Większość studentów przyszła do przekonania, że jakieby nie były warunki bytu politycznego, to w każdym razie ci, którzy w niedalekiej przyszłości mają wziąć czynny udział w kształtowaniu naszych form ustroju państwowego, powinni przedewszystkiem uzbroić się w niepokonaną moc wiedzy.

Lecz — czy pogląd taki weźmie górę niepodzielnie w najbliższej przyszłości, — o tem prorokować nie myślę wcale. Zdaje się mnie jednak, jeśli wezmę pod uwagę niektóre pocieszające objawy, że młodzież, a przynajmniej część jej, zaczyna przychodzić do przekonania, iż szkołę wyższą należy strzedz od agitacyi politycznej, która zresztą bywa zazwyczaj bardzo płocha i niemądra. Ciężkie wieloletnie doświadczenie powinno było chyba upewnić studentów o tem, że większy będzie z niej pożytek dla przyszłości, jeśli zajmie się nauką, a wyzbędzie się politykomanii.

Nie dziwiłbym się jednak wcale, gdyby niezrównoważone, niespokojne grupy młodzieży zaczęły hałasować w sprawie tak zwanego pozornie »naruszenia autonomii uniwersyteckiej«. Stoją one bowiem na stanowisku niewspółczesnem, gdyż uważają uniwersytet za instytucyę, której gospodarzami są uczniowie na równi z profesorami. A jeśli takiej instytucyi nie stworzył dotychczas świat cały; to dla młodzieży rosyjskiej niczego nie dowodzi, gdyż sądzi ona, że reguły obowiązujące w całym świecie cywilizowanym, nie są bynajmniej obowiązujące dla Rosyi...

Bezpodstawność tego rodzaju poglądów mówi sama za siebie oraz za swoich zwolenników. Ale ta pewność siebie musi być nazwaną bez zastrzeżeń chorobą specyficzną młodzieży rosyjskiej, czyli, jak ktoś trafnie to określił, — zielonego pokolenia.

Proszę przysłuchać się obradom, sporom, oświadczeniom i uchwałom tej młodzieży, a będziecie porażeni lub zadziwieni w stopniu najwyższym — niebosięgłym, aż nadto pewnym i autorytatywnym tonem owych elukubracyi. Takich bowiem słów wolno używać jedynie przygotowanym dobrze do życia ludziom, którzy byliby zdolni je normować, ale nigdy tym, dla których to życie stanowi igraszkę! Młodzież rosyjska życia nie bierze na seryo, poważnie.

I co najsmutniejsze?... To właśnie, iż wspomniana niebezpieczna choroba wzmaga się z dniem każdym, że zaraza idzie w szerz i w głąb? Ba, są nawet tacy, którzy powiadają, że uczniowie gimnazyalni gardzą studentami uniwersytetu, uważając ich za przestarzałe pokolenie, które nie jest w stanie zrozumieć, dokąd zmierzają młode odrośle nowego pokolenia uczniów...

A chyba w pojęciu Europejczyka wszystko to zakrawa na niesmaczny żart z rzeczy poważnej!

Niestety!... nie mam zwyczaju koloryzowania... *Morituri!...*

* * *

Powiedział ktoś nadzwyczaj trafnie, że Rosyanie postanowili dawno poprawiać to, co Bóg stworzył. Stworzył Pan Bóg człowieka, dając mu ciało i duszę. Ale dla Rosyi to było wcale niewystarczającem. To też dodali trzecią część składową, bez której człowiek w ich pojęciu nie jest w stanie istnieć, — paszport. Człowiek bez paszportu nie jest do pomyślenia w Rosyi. Nie jest wówczas uważany za osobę fizyczną, chyba że znajdzie się w kryminale.

Niechaj mnie nawet posądzą ludzie o wstecznictwo skrajne, a jednak pomimo to, muszę wyznać, że jedynym hamulcem na bizantynizm natury rosyjskiej jest właśnie — paszport. Zwłaszcza, o ile tyczy się młodzieży szkół wyższych... Trzeba znać tę młodzież, ażeby zrozumieć słuszność mojego twierdzenia. Trzeba patrzyć na nią z blizka, okiem krytycznem, a nie informować się o niej z rozmaitych apologetycznych artykułów dziennikarskich, które tak skwapliwie drukują pisma skrajne. Można zejść świat cały, a nie napotka się takiej młodzieży, jak rosyjska!...

Powszechne oburzenie wywołał fakt żądania od studentów

przy wpisie paszportu, zamiast którego wydawała kancelarya uniwersytecka osobne zaświadczenie, które zastępowało paszport. Co więcej — wydanie takiego dokumentu postawiono w zależności od zapłacenia czesnego. Kto go nie uiścił — popadał w szereg ludzi »bezpaszportnych«, narażonych na każdym kroku na nieprzyjemności ze strony władz policyjnych. Albo płać, albo wyjeżdżaj do domu!...

Rozporządzenie takie mogłoby się wydawać pozornie krzyczącą do nieba o pomstę niesprawiedliwością, szykaną...

Wiadomo, że wielu, jeśli nie znaczna większość studentów, utrzymuje się z zarobionego własną pracą grosza, z lekcyi prywatnych lub pisarki. Długie szpalty dzienników stołecznych przepełnione bywają z początkiem roku szkolnego ogłoszeniami, pochodzącemi od studentów. Odmawiając im wydania t. zw. *widu na żytielstwo*, pozbawia ich tem samem zakład naukowy możności pozostania w stolicy, a zatem możności zarobku i opłaty stąd czesnego.

Zupełnie zrozumiałą jest rzeczą, iż zakład naukowy, istniejący po części z pieniędzy, płaconych przez studentów, musi dbać o swoje interesy materyalne. I jeżeli domaga się zapłaty czesnego zaraz przy wpisie przy wniesieniu podania, (bez czego podania nie uwzględnia się), — to jest w prawie tak czynić. Ależ — piszą skrajnowcy rozmaitych odcieni — czyliż godnem jest świątyni nauki oddawać swojego dłużnika na pastwę policyjnych szykan?... Jeżeli za naukę trzeba płacić, to nieuiszczenie czesnego powinno pociągać za sobą tylko tę konsekwencyę, że student byłby pozbawiony prawa uczęszczania na wykłady. To jednak, że uczeń nie może zapłacić od razu czesnego, nie powinno być powodem do oddania go na łaskę lub niełaskę policyi. Gdzieindziej, za granicą — piszą dzienniki pseudopostępowe, wystarczy, ażeby student wykazał się świadectwem egzaminu dojrzałości, jako dokumentem, iż przysługuje mu prawo zapisania się do wyższego zakładu naukowego — i już na tem koniec formalności. Dlaczego — zapytują — student nie ma mieszkać za własnym paszportem, lecz za osobnem świadectwem, wydanem mu zamiast paszportu przez kancelaryę uniwersytecką? Przy czem tu »świątynia nauki«? Jaki

punkt wspólny ma nauka z cyrkułem policyjnym, co naukę obchodzą paszporty?... I t. d. w nieskończoność.

Napozór — wszystkie argumenty tego rodzaju są bardzo piękne, bardzo słuszne i uzasadnione.

I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie błąd zasadniczy.

Niejednokrotnie w korespondencyach moich petersburskich do *Słowa warszawskiego* i *Gazety Lwowskiej* miałem sposobność udowodnić, iż Rosyanie chorują na manię porównywania się z Europejczykami. Stąd też całe nieporozumienie.

Zresztą po cóż iść tak daleko. Z autopsyi wiem, że bez paszportu mieszkałem rok cały w Petersburgu. A takich jak ja, było więcej. I ani razu nie byłem narażony na nieprzyjemności ze strony władz bezpieczeństwa publicznego. Alem też nie fabrykował bomb, ani nie brał udziału w ekspropryacyach...

* * *

W dokumentach urzędowych, zgromadzonych przez ministerstwo sprawiedliwości, a odnoszących się do walki z ruchem anarchistycznym, uwidocznione zostały bardzo interesujące czysto statystyczne dane o rozwoju ruchu studenckiego za dziesięciolecie 1890—1900 r. Wyjmuję stąd ciekawsze fakta:

Od dawna istniały w wyższych zakładach naukowych t. zw. *ziemlaczestwa*, jednoczące w sobie studentów, pochodzących z jednych stron. Za jedyny cel postawiły sobie wzajemną pomoc. Ilość ich rosła stopniowo tak, że w r. 1896 w samej Moskwie było ich 45. *Ziemlaczestwa* miały swoje statuty, wydawały drukowane sprawozdania. Na działalność swoją nie uzyskały wprawdzie aprobaty, ale istniały i były cierpiane jako *malum necessarium*.

Z początkiem lat ośmdziesiątych zaczęto agitować za zjednoczeniem wszystkich *ziemlaczestw*, lecz dopiero w r. 1893 utworzył się ich związek w Moskwie. Za przykładem Moskwy poszły szkoły wyższe w Petersburgu, Kijowie, Charkowie i Dorpacie.

W roku 1895 związek moskiewski postawił za główny cel *ziemlaczestw* — »przygotowanie *borcow* do agitacyi politycznej«. W roku następnym odbył się w Moskwie zjazd przedstawicieli

ziemlaczestw z całej Rosyi, który uznał za pożądany — współudział studentów w organizacyach robotniczych.

1-go maja 1898 roku studenci kijowscy urządzili polityczną demonstracyę majową. W tymże roku założono w Dorpacie studencką kasę pomocy dla ruchu rewolucyjnego. W roku 1899 związek *ziemlaczestw* zorganizował zaburzenia studenckie oraz obstrukcyę na wszystkich wszechnicach. Studenci moskiewskiej szkoły technicznej przedstawili jenerałowi Waunowskiemu memoryał, w którym udowadniali, że studenci są zmuszeni uciekać się »do przeciwustawowych czynności, celem zwrócenia na siebie uwagi władz administracyjnych«. We wszystkich miastach wydawano proklamacye i wezwania do walki, zaś w kwietniu tegoż roku odbył się w Moskwie zjazd przedstawicieli wszystkich wyższych zakładów naukowych Cesarstwa, lecz uczestników uwięziono na pierwszem posiedzeniu, skutkiem czego »z tego zjazdu nie wynikły żadne następstwa«.

Udział studentów w ruchu anarchistycznym wyraził się za czas wymieniony podług danych urzędowych w następujących cyfrach:

W roku 1896 zorganizowano w Petersburgu strajk tkacki, w którym wzięło udział około 16 tysięcy robotników. Na trzynastu kierowników strajkowych było pięciu studentów. W Moskwie w tymże samym roku sześciu studentów wstąpiło do Związku robotniczego i kolportowało literaturę rewolucyjną.

W roku 1897 w Rydze pięciu studentów weszło w skład kółka rewolucyjnego i zajmowało się przekładem na język łotewski broszur socyalistycznych.

W roku 1898 wstąpiło w Kijowie kilku studentów do organizacyi rewolucyjnej i zajmowało się propagandą pośród robotników.

W roku 1899 wstąpiło jedenastu studentów do petersburskiej »Grupy robotniczej dla walki z kapitalizmem«. Agitacyę prowadzono we fabryce Putiłowskiej.

W roku 1900 w liczbie 44 osób, uwięzionych w Petersburgu za należenie do »Związku walki o wolność klasy robotniczej« okazało się 13 studentów.

Ogólna liczba studentów, którzy zostali ukarani za występki przeciwpaństwowe w okresie lat 1896—1900, wyraża się w następujących cyfrach: w r. 1896 — 54, w r. 1897 — 58, w r. 1898 — 44, w r. 1899 — 125 i w r. 1900 — 40.

Od chwili nadania konstytucyi bodaj że większą od tej liczby powieszono na szubienicach...

* * *

Codzienne niemal wyrzekania, jakie spotyka się na łamach prasy peryodycznej, na przepełnienie zakładów naukowych, są jednak do pewnego stopnia uzasadnione. Abstrahując od tego, że młodzieży, uczęszczającej do nich, nie chodzi o naukę, niepodobna nie wyrazić zdumienia nad tragicznym iście stanem wyższego szkolnictwa w Rosyi. Jak już wyżej powiedziałem — cała masa młodzieży nie znalazła dla braku miejsca pomieszczenia. Cóż mają począć te tysiące?... Nic innego, jak powrócić rozgoryczone pod strzechy domowe i czekać lepszych czasów, kiedy państwo ostatecznie zrozumie jedno z najpodstawowszych swoich zadań. Proszę zwrócić uwagę na to, że w Rosyi istnieje zaledwie 9 uniwersytetów na 140 milionów ludności, podczas gdy w Niemczech np. mamy 21 uniwersytetów na 60 milionów mieszkańców! W Austryi zaś 8 na 20 milionów mieszkańców!

Jest to faktycznie położenie fatalne. Młodzież, która nawet faktycznie pragnie wiedzy, odtrącona od swojej *almae matris*, wydana jest na łup agitatorów politycznych, stronnictw najskrajniejszych a powróciwszy do miasteczek lub wsi z konieczności zajmuje się propagandą. Jest to bezwątpienia tragedya, jakich mało, i bodaj czy nie największa z pomiędzy tych, które przeżyła Rosya w ostatnich kilku latach.

A jednak tragedya ta dała znanemu dziennikarzowi, bratu prezesa ministrów, p. Stołypinowi sposobność dogodną do wesołych dowcipków:

— W 21-szym roku bieżącego stulecia — pisze on w *Nowom Wremieni* — liczba studentów, którzy wnieśli podania i zostali przyjęci do uniwertytetu petersburskiego, doszła do 200.000. Niektórzy tylko profesorowie czytali jednodniowy kurs wykładów,

większość natomiast starała się zająć słuchaczy, czem kto z nich umiał: — jeden pokazywał sztuki kuglarskie, drugi grał na instrumencie muzycznym, inni zaś specyalizowali się w opowiadaniu wcale zabawnych anegdotek. Wobec tego zaś, że stan rzeczy był coraz cięższy, to też powstały różne projekty:

1) ustanowienia latających katedr na automobilach;

2) zaopatrzenia każdego studenta w aparat telefoniczny, za pośrednictwem którego mógłby słuchać wykładów, nie opuszczając mieszkania;

3) udzielać nauki za pośrednictwem telepatyi.

A przecież, o wiele więcej seryo traktował tenże sam pan Stołypin zamknięcie domów gry hazardowej?!...

* * *

Ale też słuszność nakazuje przyznać, że wśród tej młodzieży jest też spora gromada wyrzutków społeczeństwa.

Na zawsze utkwiły w mej pamięci najróżnorodniejsze typy.

Ot na przykład:

Długowłosy, nieumyty i nieuczesany student, ubrany z rozmyślnem niedbalstwem. Ubranie w strzępach, buciki wykrzywione i podarte niemożliwie. Od rana do wieczora błądzi po korytarzach uniwersyteckich, krzycząc ochrypłym głosem o konieczności *idti w narod, dielat' obszczeje dieło*... zbiera na ten cel składki i przepija je w ostatniorzędnych szynkach, o jakich my w Galicyi nie mamy wyobrażenia.

Weźmy inny typ:

Student, myślący jedynie o fryzurze swojej, o swoich paznokciach, dający sobie robić mundury na aksamitnej podszewce i zapewniający zupełnie na seryo, iż najważniejszą w świecie rzeczą jest dobre wychowanie, a dopiero potem nauka.

I jeszcze typ specyalny:

To student *krasnobaj*, występujący na wszystkich zgromadzeniach z płomiennemi przemówieniami, potępiający panujący obecnie ustrój społeczny, organizujący tajne stowarzyszenia studenckie i będący równocześnie agentem prowokacyjnym, pobierającym wynagrodzenie z kasy departamentu policyi tajnej.

W latach ostatnich do dwu powyższych przybył jeszcze jeden nowy typ.

Przedstawicieli jego można ujrzeć wszędzie, gdzie tylko pachnie sportem lub atletyką. Znaleźć ich można wszędzie: i w klubach sportowych i w ogródkowych teatrach, gdzie dają przedstawienia zawodowi atleci. Można ich bardzo prędko rozpoznać wśród tysiąca innych.

Utuczone cielska ubrane są w króciutkie surduciki. Tłuste nogi pokrywają rejtuzy, przypominające raczej trykoty pierwszej lepszej baletnicy, aniżeli część składową ubioru męskiego. Rozmowy i zajęcia owych studentów są równie zadziwiające, jak ich wygląd zewnętrzny. Nie mówią między sobą nigdy ani o nauce, ani o polityce, tak samo też nie mają żadnego zatrudnienia, pozostającego w jakimkolwiek związku z nauką.

Mówią jedynie o *tour de bras*, kołowrotach, *tour de tête* i poświęcają całe dnie zapasom atletycznym różnego rodzaju nie tylko u siebie w domu, lecz występują z wielkiem powodzeniem na arenie teatrzyków ogródkowych.

Oprócz tego biorą udział także w »konkursach piękności«, wystawiając siebie na pokaz razem z rozmaitymi zawodowymi »alfonsami«.

Tacy są przedstawiciele współczesnych wyrzutków studenteryi.

I jeśli dwa pierwsze typy wywołują w każdym człowieku uśmiech politowania, to typy ostatnie mogą spowodować jedynie przygnębienie.

Zwłaszcza charakterystyczną jest ta okoliczność, że panowie ci uważają za swój obowiązek obwieszczać na każdym kroku, iż są »studentami«. Naturalnie — nikt nie ma prawa zabronić im zajmowania się wszystkiem, co się im tylko podoba, aż do »wystawiania« piękności budowy swojego ciała. A jednak! gdzieindziej ogół studentów nie dopuściłby do takiego poniewierania godności akademickiej...

* * *

Albo! czyż coś podobnego jest do pomyślenia wśród słuchaczy któregokolwiek europejskiego uniwersytetu?!...

W jednym z dzienników petersburskich wydrukowano list niejakiego pana M. K., studenta. List ten przeraża swoją cyniczną naiwnością i ma niewątpliwie znaczenie społeczne, jako jaskrawy dowód zupełnego upadku obyczajów i najkrańcowszego cynizmu.

Pan M. K. opowiada nieprawdopodobną gdzieindziej historyę. Proszę posłuchać jej uważnie przez chwilę małą:

W pewnem *zemlaczestwie* był niejaki X. Y., młodzieniec pozbawiony środków materyalnych, który mieszkał i stołował się u równie niezamożnych krewnych. Wtem najniespodziewaniej ów X. Y. kupił sobie parę wspaniałych garniturów, bicykl, rozrzucał pieniądze na wszystkie strony garściami. Po krótkim przeciągu czasu doszło do wiadomości kolegów, że wyprowadził się on od niezamożnych krewnych i zamieszkał u zamożnego starego kawalera, któremu »okazywał usługi, przewidziane w kodeksie karnym«, zupełnie te same, jakie starożytny Ganymedes oddawał Jowiszowi.

Skutkiem tego koledzy wybrali z pomiędzy siebie komisyę dla zbadania tej sprawy. I otóż przed komisyą koleżeńską oświadczył X. Y. z zupełną otwartością, że nie chcąc być ciężarem dla niezamożnych kuzynów, zamieszkał istotnie razem z pewnym wdowcem, pragnąc zaś odwdzięczyć się swemu dobroczyńcy przedłożył mu siebie dla »pewnych celów«, że miłość, jaką żywi ku niemu ów jegomość, jest dlań droga i że on za nic nie opuści ukochanego wdowca, że wreszcie pomimo lektury odpowiednich książek, nie wie wcale, czem dopuszcza się czynu przeciwnego naturze.

Jednych oburzyło postępowanie X. Y-a, drudzy uchylili się od wyrażenia swego zdania w tej mierze, inni wreszcie, a takich było niemało, uznali, iż X. Y. p o s t ą p i ł, j a k p o w i n i e n p o s t ą p i ć c z ł o w i e k h o n o r o w y i że nie widzą dostatecznego powodu do potępienia jego prowadzenia się.

W rezultacie X. Y. nie poproszono o opuszczenie uniwersytetu, natomiast on poprosił grzecznie o wytłumaczenie mu, co w jego postępowaniu było szkodliwego, sprzeciwiającego się naturze, złego? Bez wątpienia, że mamy tu do czynienia z cynizmem naiwności, lub raczej, z n a i w n o ś c i ą c y n i z m u.

Są sprawy, nie wymagające osobnego objaśnienia. Natomiast drogą dziedziczności przechodzi z pokolenia na pokolenie świadomość wszelkiego występku. Świadomość ta tedy przemienia się w obowiązek naturalny. Są wprawdzie w tej świadomości także objawy anormalne, żeby tylko wymienić wstręt muzułmanów do wieprzowiny. Ale jest też i świadomość, nie wymagająca osobnych tłumaczeń. Gdybyśmy się z nią nie liczyli, nie byłoby w społeczeństwie pojęcia o czci, honorze, uczciwości, nie byłoby po prostu obyczajności publicznej.

W Rosyi tymczasem kwitnie na całej linii pornografia: w literaturze, sztuce, na scenie, w życiu codziennem. Ale to społeczeństwo, którego młode latorośle powinno sobie zadać jedno, ale zasadnicze, pytanie: czy mianowicie jest zdolne do życia normalnego, czy raczej nie należałoby go porównać z ciałem, zarażonem gangreną we wszystkich jego tkankach?...

* * *

Ustawa pierwszej w Rosyi prywatnej Akademii pedagogicznej została po długich mozołach zatwierdzona.

Ale ministerstwo oświaty było zniewolone poczynić ze swojej strony parę poprawek i zmian, gdyż inaczej statut cały wyglądałby, jak dziwoląg...

I tak: przedewszystkiem ministerstwo zażądało zupełnego usunięcia tego paragrafu, który mówi o współudziale uczniów Akademii w Radzie profesorskiej z prawem głosu stanowczego decydującego. Rzecz najnaturalniejsza pod słońcem!

Ale »Liga« zaznaczyła wyraźnie w swoim programie, że do Akademii będzie się przyjmować osoby z u p e ł n i e (co to znaczy?!) dojrzałe, które ukończyły wyższy zakład naukowy i że dlatego byłoby niesprawiedliwością usuwać je od udziału w zarządzie Akademią. Pospolitym zwyczajem rosyjskim »Liga« powołała się na przykład paryskiej »Szkoły normalnej«. Tymczasem ministerstwo, nie mogąc pisać się na taki pogląd, wykreśliło wspomniany paragraf ze statutu Akademii. Co więcej?... Ministerstwo nie przyznało temu nowemu zakładowi prawa na wydawanie dyplo-

mów na stopień doktora pedagogiki, jakkolwiek, według projektu ustawy, stopień ten naukowy nie dawał żadnych szczególnych praw.

Poza tem statut »Ligi« nie ulegał zmianom, za wyjątkiem paru małoznacznych poprawek redakcyjnych.

»Liga oświatowa« uchwaliła równocześnie z utworzeniem Akademii pedagogicznej założyć przy niej specyalną szkołę, która — według projektu »Ligi« — ma składać się z trzech oddziałów, przyczem każdy powinien dawać swoim wychowankom wykształcenie samodzielne.

Pierwszy oddział *(razwiad)* z czteroletnim kursem, powinien dać pełnię niższego wykształcenia elementarnego; — drugi, z takim samym kursem został przeznaczony specyalnie dla »pogłębienia i rozszerzenia« niższego wykształcenia, i — nakoniec — trzeci oddział z trzyletnim kursem naukowym ma za zadanie dać wykształcenie na poziomie szkoły średniej. Tyle co do samego programu.

Do tej szkoły mają być przyjmowani uczniowie — bez — egzaminu wstępnego. Związek jej ścisły z Akademią jest z góry zastrzeżony. Po większej części profesorowie Akademii są nauczycielami nowego zakładu, oraz kierownikami jego oddziałów.

* * *

Rosya chciałaby iść naprzód krokami Gigantów. Wartoby zastanowić się nad tem, czy siły odpowiedzą przedsięwzięciu górnemu?...

Że Rosya znajduje się w stanie groźnego rozkładu moralnego, o to chyba sporu nie będzie nikt toczyć, kto zna dobrze społeczeństwo doby dzisiejszej. Ażeby twierdzenie moje nie wydało się zbytnio apodyktycznem, niechaj mi wolno będzie zakończyć te niewesołe spostrzeżenia wierszem jednego z najbardziej utalentowanych poetów »młodej Rosyi«:

Tam, kędy chorób i śmierci
Legły koleje straszliwe,
Zniknij, o, zniknij z przestrzeni
Rosyo, ach, Rosyo ty moja!,..

Co więcej mówić o przyszłości narodu, którego piewca p. Biełyj bawienie ojczyzny widzi w upadku państwa?...

Ha! Trudno!...

Śmierć jest najradykalniejszym środkiem nawet przeciwko najbardziej groźnym i zabójczym chorobom...

Dr. Stanisław Zdziarski.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pokój społeczny *(pax terrena)*, wykwitający z sprawiedliwości i ładu wewnętrznego: oto główny i najważniejszy, zdaniem św. Augustyna, cel i zadanie życia państwowego.

»Społeczność świecka *(civitas terrena)*, która nie żyje z wiary, ma na celu pokój ziemski. A pokojem tym to zgoda społeczna, opierająca się na władzy i posłuszeństwie i polegająca na jakiejś jedności w sprawach doczesnych *ut sit quaedam compositio voluntatum.*

I społeczność niebieska, albo raczej ta jej część, która z wiary żyje i ku wyższej zdąża ojczyźnie, także potrzebuje pokoju, i dopóki nie opadnie jej śmiertelna powłoka, bez pokoju żadną miarą obejść się nie może. Dlatego też podczas swego pochodu wśród świata, będąc jakby w niewoli... ona nie waha się zastosować się do praw państwowych, które regulują potrzeby życia doczesnego, ażeby w sprawach doczesnych razem idąc z społecznością świecką, obopólna panowała zgoda...

Społeczność niebieska w ciągu ziemskiego swego pochodu z wszystkich formuje się ludów, wszystkimi mówi językami i ma poszanowanie dla wszelkich różnic w zwyczajach i prawach i instytucyach, z których pokój ziemski albo wykwita, albo się utrzymuje. Ona nic z tego, co historya wytworzyła, nie niszczy ani nie burzy, lecz przeciwnie zachowuje i pielęgnuje, bo różno-

rodność ta wśród różnych narodów, do jednego przecież i tego samego zmierża celu t. j. pokoju ziemskiego, byle tylko na tem religia, polegająca na czci jednego najwyższego i prawdziwego Boga, nie poniosła uszczerbku. A więc społeczność niebieska w ciągu swojej pielgrzymki ziemskiej zażywa tego pokoju i w sprawach doczesnych, o ile to możliwe dla życia Bożego i religii, staje w obronie zgody społecznej i pielęgnuje ją i pokój ziemski odnosi do pokoju niebieskiego, który jest dopiero pokojem w ścisłem znaczeniu, jedynie zgodnym z rozumną naturą ludzką.

Niebieski pokój ten polega na uporządkowanem i najściślejszem przestawaniu z Bogiem i na współżyciu w Bogu. Kto osiągnie ten cel, już nie będzie żył życiem śmiertelnem, lecz na prawdę i w ścisłem znaczeniu nieśmiertelnem, ani życiem cielesnem, które ulega zepsuciu i jest ciężarem dla duszy, lecz duchowem bez potrzeb wszelkich, pod każdym względem zależnym od woli. Otóż ten pokój posiada społeczeństwo niebieskie podczas swej pielgrzymki w świecie wiary i żyjąc z wiary według sprawiedliwości, odnosi wszystkie swoje dobre uczynki względem Boga i bliźniego do zdobycia owego pokoju ziemskiego. Życie bowiem państwowe jest przedewszystkiem życiem społecznem«[1].

Według św. Augustyna tedy, najprzedniejszym celem społeczności świeckiej, która niewątpliwie nosi na sobie cechy życia państwowego, *ordinata imperandi oboediendique concordia civium*, jest utrzymanie pokoju społecznego. Drogą zaś i środkiem nieodzownym do wytworzenia tego pokoju jest wprowadzenie we wszystkie dziedziny pracy i życia państwowego zasady sprawiedliwości.

Usuńmy tylko — takie jego rozumowanie — z życia państwowego sprawiedliwość, a czem staną się państwa jeśli nie zgrają rozbójników? *Remota itaque iustitia quid sunt regna niśi magna latrocinia?*[2] »Bo i rozbójnicy tworzą małe królestwa t. j. grupę ludzi, stojącą pod rządami naczelnika, wiążącą się kontraktem do

---

[1] *De civ. Dei* l. 19, c. 17. Wiedeńskie wydanie Hoffmana.
[2] L. IV, c. IV.

wspólnej akcyi i dzielącą łupem według wolnej ugody. »Zawojować sąsiadów a następnie dalej posuwać zagony i kierując się tylko polityką zaborczą, ścierać i podbijać ludy, które żadnego do tego nie dały powodu, czyż można to nazwać inaczej jak rozbojem na wielką skalę« [1]. I wojna sprawiedliwa w rozumieniu dobrych jest tylko »koniecznością«. Ponieważ zaś wielkie państwa, zdaniem jego, opierają się na prawie krwi i żelaza a wojny czy to z jednej czy drugiej strony suponują bezprawia, przeto w rozumieniu św. Augustyna »świat ułoży się wówczas tylko do jaśniejszej i szczęśliwej doli, gdy cały składać się będzie z drobnych państewek, żyjących w przyjacielskiem porozumieniu, gdy ludzkość złożoną będzie z samodzielnych narodów podobnie jak Roma z mnóstwa składa się rodzin obywatelskich« [2].

Poglądy te św. Augustyna w czasach krwawych zamieszek i siły przed prawem, jaśniejące ogólnym pokojem i sprawiedliwością, były dobrze znane w epoce Karola Wielkiego i odpowiadały potrzebom i aspiracyom wieku.

One też wycisnęły na pracach reformatorskich i polityce społecznej Karola Wielkiego, który »rozkoszował się« nimi, jak mówi żywociarz jego nadworny Einhard, charakterystyczne swe piętno [3].

Przypatrzmy się bliżej tym pracom.

Ażeby wszyscy żyli »w miłości i pokoju doskonałym« i wszędzie panowała sprawiedliwość i ubodzy i sieroty i lud żadnej nie doznawał krzywdy: oto idee przewodnie słynnego kapitularza z r. 802, słusznie zwanego dokumentem fundacyjnym państwa. Pokój bowiem i sprawiedliwość i miłość społeczna, to znamienne cechy *Civitas Dei* św. Augustyna i odblaski odwiecznych nieba harmonii.

Pokój zaś ten i porządek i sprawiedliwość w państwie od

---

[1] L. IV, c. IV.

[2] L. IV, c. XV: »Ac sic felicioribus rebris humanis omnia regna parva essent concordi vicinitate laetantia et ita essent in mundo regna plurima gentium ut sunt in urbe domus plurimae civium«.

[3] Einhardi: *Vita Caroli Magni* c. 24: »Delectabatur et libris sancti Augustini, precipueque his, qui de Civitate Dei praetitulati sunt«.

czego zależy? Od dobrej administracyi państwowej i dobrego wymiaru sprawiedliwości przedewszystkiem.

To też prace reformatorskie Karola Wielkiego zmierzały przedewszystkiem do reorganizacyi administracyi i sądownictwa. O reformie administracyi państwowej, którą słynny kapitularz z r. 802 poddaje stałej i ścisłej kontroli przez osobną, w tym celu stworzoną, instytucyę delegatów cesarskich, mówiliśmy już uprzednio. Jak zaś Karol Wielki dbał i starał się o dobry wymiar sprawiedliwości, świadczą o tem liczne reformy i kapitularze jego, wystosowane w tym kierunku do delegatów, komesów, centenarzy i innych, w których ręku spoczywało sądownictwo.

»Naszą wolą jest — czytamy tam — żeby nasi sędziowie żadnego występku nie puszczali bezkarnie«. W innem miejscu znowu surowo przestrzega sędziów przed przekupstwem: »Niech żaden sędzia pod grozą złożenia z urzędu nie pozwoli na to, żeby przestępca się wykupił od kary«. Biskupów zaś i opatów napomina, żeby dbali o plenipotentów *(vicedomini)*, »znających ustawy i miłujących sprawiedliwość i pokój« (cap. 802 r.).

Reformy sądownictwa Karola Wielkiego były liczne i rozległe nader i pod niejednym względem zasadnicze i twórcze. Odnosiły się one najprzód do samej organizacyi sądów.

Dawne sądownictwo germańskie spoczywało w rękach wolnego ludu. Sądy odbywały się na wiecach sądowych pod przewodnictwem komesa, na które każdy wolny obywatel miał obowiązek stawić się 8—9 razy do roku w swoim okręgu podczas zwyczajnych objazdów powiatu przez komesa *(echten Dinge)*. Oprócz zwyczajnych odbywały się nadto według potrzeby nadzwyczajne sądy ludowe. Tak było u wszystkich ludów germańskich z wyjątkiem dawnych prowincyi rzymskich, gdzie urzędnicy wraz z ławnikami zwyczajem rzymskim sądowniczą sprawowali władzę.

Ludowe sądy były niewątpliwie potężną obroną ludu wobec samowoli urzędników państwowych. W zasadzie bowiem każdy wyrok w sprawach drobniejszych i sporach własnościowych zależał od zdania i woli ludu danego okręgu. Z drugiej strony jednak sądy te podobnie jak powszechna służba wojenna ciężkiem

zaciężyły brzemieniem na ludzie. Zresztą wojny częste i z dniem każdym topniejąca liczba wolnych włościan sprawiły, że nie było komu stawać na wiece. Trzeba więc było ograniczyć liczbę sądów ludowych i wprowadzić instytucyę stałych sędziów. Reformy tej dokonał Karol Wielki.

I odtąd weszło w zwyczaj, że tylko ogólne, coroczne wiece sądowe, które ograniczono do liczby trzech [1], odbywały się pod przewodnictwem komesa, inne zaś, w których niewielu tylko zaproszonych brało udział, pod kierunkiem centenarza lub sołtysa. Na pierwszych sądzono sprawy kryminalne i spory własnościowe, w zakres drugich wchodziły drobniejsze sprawy i przestępstwa. Podział ten w dalszym rozwoju dał początek sądom wyższym i niższym, z którymi tak często spotykamy się w średnich wiekach.

Instytucya zaś stałych sędziów, których zwano ławnikami *(Schöffen — scabini)*, powstała, zdaje się, z dawnych radnych sądowych *(rachimburgii)*, wybieranych osobno na sądach ludowych. Początku jej nie znamy, wiemy tylko, że byli to urzędnicy dożywotni (cap. 803) [2] i zaprzysiężeni, wybierani i mianowani przez lud i delegatów cesarskich i komesów a zatwierdzani przez cesarza. Urząd ich rozciągał się na cały powiat, a na każdem posiedzeniu było ich przynajmniej siedmiu. Oni są właściwymi sędziami: rozpatrują sprawy, przesłuchują strony, stosują ustawy, tylko wyrok ogłasza komes. Na zwyczajnych, uroczystych posiedzeniach do ogłoszenia wyroku potrzebne było nadto przyzwolenie ludu, na nadzwyczajnych zaś oni wyłącznie decydują o sprawie. Instytucya ta atoli nie rozszerzyła się ani we Włoszech, gdzie pozostała dawna rzymska organizacya sądowa, ani w krajach czysto germańskich, jak w Saksonii, Bawaryi i Alemanii, w których i nadal odbywały się sądy ludowe.

Instytucya ławników stanowiła niewątpliwie postęp znaczny w rozwoju sądownictwa raz dlatego, że oddziela sądownictwo od

[1] Kap. Ludwika Pob. z r. 819: »De placitis, quos liberi homines observare debent, constitutio genitoris nostri penitus observanda est, ut videlicet in anno tria solum modo generalia placita observent«. M. G. Leg. Sect. II t 1, str. 290.

[2] Waitz: *Vfg.* 4², str. 394.

władzy administracyjnej, a powtóre, że utrzymując żywotny kontakt z ludem uchyla z toku procesu samowolę tłumu i biurokracyi sądowej zarazem. Osobny zaś stan sędziowski, który w ten sposób powstaje, daje gwarancyę, że wśród barbaryi prawo weźmie górę nad siłą i znajomość ustawy nad samowolą i widzimisię urzędnika. Z drugiej jednak strony z powodu dokonywających się przeobrażeń społecznych, zakres władzy sądów zwyczajnych kurczy się z dniem każdym i całe warstwy ludności popadają w samowolę sprawiedliwości klasowej.

Nie mówiąc już o niewolnych, bo ci zawsze zdani byli na łaskę pana, ale o wolnych i pół-wolnych włościanach, siedzących na cudzym gruncie, którzy na obszarach, objętych przywilejem imunitetu, z powodu swej zależności ekonomicznej, częstokroć podwójnego doznawali wymiaru sprawiedliwości. Bo choć ustawa w równej mierze obowiązywała bogatych i najuboższych, to jednak możność wykupienia się od wszelkich i najcięższych kar cielesnych i nawet kary śmierci, wytworzyła inną sprawiedliwość dla bogatych a inną dla ubogich. Tamci płacili brzęczącą monetą za swoje występki, ci okaleczeniem albo śmiercią. Stosowanie zaś kary zależało od decyzyi sędziego danego obszaru.

Dalej od sądów ławniczych uchylają się nadto komesi i centenarzy, którzy, mimo że nadużycia ich urzędowania podpadają pod forum sędziów ludowych, jako wasale króla albo komesa zawsze odwołują się do sądów królewskich.

Największy zaś wyłom w jurysdykcyi sądów ławniczych czynią sądy delegatów cesarskich i najwyższy trybunał cesarza, które po części tylko mają charakter trybunałów apelacyjnych, po części zaś we wszystkich sprawach na mocy przywilejów procesowych mogły współzawodniczyć z sądami ludowymi.

Najwyższą instancyą w sądownictwie duchownem i świeckiem, prywatnem i publicznem był trybunał cesarski. »My Karol, imperator augustus... w otoczeniu naszych wiernych, po wysłuchaniu ich zdania zadecydowaliśmy...« —rozpoczynają się zwyczajnie wyroki tego trybunału. Któż zasiada w nim? Zwyczajnie palatyn, tylko w ważniejszych sprawach cesarz, »w otoczeniu wiernych« t. j. biskupów i opatów, i komesów, zaproszonych na po-

siedzenie albo bawiących na dworze i zwyczajnych dworzan. Trybunał królewski był ponad wszelkiem prawem już za czasów Merowingów. Wyroki jego nie opierały się na ustawach, nie krępowały się żadnem prawem zwyczajowem. Cesarz rozstrzygał tu samodzielnie, *secundum aequitatem*, według własnego rozumienia i sumienia i wymierzał karę dowolnie, mógł i wbrew opinii większości powziąć decyzyę i nawet bez trybunału sądzić, jak Eginhard zaznacza. I tę sędziowską władzę nadzwyczajną udzielał król również swoim bezpośrednim przedstawicielom, *missi dominici*.

Sąd królewski miał z zasady charakter trybunału apelacyjnego. Tylko sprawy sądzone w pierwszej instancyi mogły być wytoczone przed trybunałem najwyższym oraz sprawy, które król na reklamacyę strony z pominięciem sądu ludowego podciągnął pod swój trybunał. Niektóre zaś przestępstwa, jak uchylenie się od złożenia przysięgi wierności i nieposłuszeństwo wobec banu królewskiego *(herisliz)* podpadały bezpośrednio pod sąd króla albo jego delegatów. Sądów stanowych nie było jeszcze za Karola Wielkiego, wszelako możni panowie ze zwyczaju a przedewszystkiem wasale królewscy zanosili z reguły swoje żałoby przed najwyższy trybunał. Sądownictwo uprzywilejowane wyrobiło się dopiero później, a sprawy księcia Tassilo i Bernarda sądził lud frankoński.

Razem z reorganizacyą sądownictwa uproszczono i ulepszono procedurę sądową. Sądy już od dawna były chrześcijańskie, ale procedura sądowa jeszcze była pierwotną i barbarzyńską. Dopiero kapitularze Karola przynoszą w tej mierze różne zmiany i ulepszenia. W miarę jak majestat władzy królewskiej się wzmaga, wybija się też powaga władzy sądowej. Tak w procesie cywilnym znikają przywileje skarżyciela: odtąd już nie powodna strona *(mannitio)*, lecz sędzia pozywa *(bannitio)* przed sąd, przesłuchuje strony i świadków i odbiera przysięgę i pyta o opinię ławników, odtąd już nie wierzyciel lecz urzędnik sądowy kładzie areszt na majątek dłużnika. Dawniej banicya zaciążyła nad tym, kto się nie stawił w sądzie, obecnie tylko majątek opieszałego podsądnego ulega sekwestracyi i dopiero po roku przechodzi na własność korony albo wierzyciela.

Zreformowano dalej środki dowodowe. Ażeby ochronić świadków przed krzywoprzysięstwem, przesłuchiwano ich najpierw przed złożeniem przysięgi, a stronie przeciwnej pozwalano stawić świadków, oraz odbierano przysięgę pojedynczo, słowem, dowód, opierający się na świadkach, spycha na dalszy plan tak zwyczajny podówczas dowód przysięgi. Gdy świadkowie nie zgadzali się, rozstrzygał o wartości świadectwa pojedynek sądowy. Szczególnie doniosłym środkiem dowodowym, stosowanym w procesach koronnych i w innych na mocy przywileju królewskiego *(brevia, indiculi inquisitionis)* była t. zw. inkwizycya. Na czem ona polegała? Na przesłuchaniu pod przysięgą świadków, których z urzędu w rozległe pełnomocnictwa zaopatrzony delegat cesarski *(missi)* przed swoje forum zapozwał. Szczególnie w sporach o ziemię i dobre imię i wolność osobistą oraz w sprawach tyczących się wdów i sierot, inkwizycya raz po raz była stosowaną.

W dziedzinie sądownictwa karnego wreszcie reformy Karola odnoszą się do stosowania kar sądowych i do ścigania zbrodni.

Germańskie kary sądowe były surowe bardzo. Większe przestępstwa, jak zdradę, obrazę majestatu, kradzież trzykrotną lub świętokradzką, morderstwo w kościele, karano śmiercią przez ścięcie, powieszenie lub śmiercią ogniową. Mniejsze przestępstwa, jak fałszywe świadectwo, krzywoprzysięstwo, fałszowanie monety karano ucięciem ręki, wyłupaniem oczu lub banicyą.

Ujemną stroną germańskiego systemu kar było to, że z dawnej banicyi wyrosło całe pokolenie przeróżnych kar, które w żadnej proporcyi nie stały do przewinienia. Dopiero w epoce Karola usiłowano w myśl rzymskiego systemu karnego dostosować kary do wielkości przestępstwa. Powtóre dawnym zwyczajem germańskim, za Merowingów głównie, wszystkie prawie kary było można zastąpić grzywną, którą przestępca np. złożył rodzinie ofiary, aby się wykupić od krwawej zemsty *(wergeld)* i władzy politycznej za naruszenie pokoju publicznego *(freda)*. Istniały w tej mierze prawdziwe cenniki, które określały wysokość tej sumy, stosownie do tego, kto kogo zamordował, i dawały miarę społecznego szacunku dla danej osoby. Otóż Karol Wielki usiłował zamienić grzywnę, którą przestępca płacił pokrzywdzonej

stronie, na karę publiczną, płaconą rządowi. W ten sposób zbrodnie, uważane za przestępstwa prywatne i sprawy rodzinne, nabierają cech społecznych.

Co się tyczy walki z występkiem, reforma Karola Wielkiego polegała na tem, że tu po raz pierwszy w ogólnym rozwoju prawa karnego zarządzono ściganie zbrodni z urzędu w drodze procesu karnego. Dotąd tylko administracyjnie karano notorycznych przestępców lub na skutek skargi, wniesionej przez pokrzywdzonego do sądu ludowego, dopuszczano ich do przysięgi oczyszczającej lub poddania się sądom Bożym. Karol zaś Wielki postanawia, żeby drogą inkwizycyi, zarządzonej przez komesa, obżałowanego stawiono przed sąd ludowy i poddano sądom Bożym, jak każdego innego przestępcę na skutek skargi. Postęp to doniosły w walce państwa ze zbrodnią, nieznany wśród cywilizacyi pogańskiej, który dał początek nowożytnej ewolucyi procesu karnego [1].

W parze z reorganizacyą sądownictwa idzie reforma policyi. Na straży życia i mienia obywateli w państwie frankońskiem stało z prawa i obowiązku dawnym zwyczajem germańskim całe społeczeństwo. Kto spostrzegł zbrodniarza, pod karą winien był zaalarmować sąsiadów. Kto nie stanął na zawołanie do pościgu, podlegał karze. Za kradzież zaś i ściganie złodzieja odpowiadały dawnym zwyczajem dziesiątki w obrębie swoich dzielnic. Policya ta ludowa atoli nie wystarczała wobec reorganizacyi sądownictwa karnego. Skoro państwo miało ścigać zbrodniarzy, trzeba było zaopatrzyć komesów w silną policyę. W tym celu daje Karol komesom prawo w obrębie swego terytoryum przynaglić pod karą królewską *(Königsbann)* mieszkańców do straży i różnych posług policyjnych i do urządzenia pościgu za zbrodniarzem [2].

---

[1] Brunner: *Deutsche Rechtsgeschichte,* II t. § 88. — Schmidt: *Aufgaben der Strafrechtspflege,* str. 150. — Fustes de Coulanges: *Le gouvernement de Charlemagne. Revue des deux mondes,* 1876, t. I, str. 144 i d. — W streszczeniu bez aparatu dowodowego Brunner: *Quellen und Geschichte des deutschen Rechts* w *Encyklopädie der Rechtswissenschaft* Holtzendorffa t. I, str. 202—205 — Nieco odmiennie od uczonych niemieckich przedstawia rzecz Fustel de Coulanges: *Histoire des institutions politiques de l'ancienne France.*

[2] Brunner: *D. Rg.* t. 2, § 89.

Ale nie tylko życia obywatelskiego, lecz i międzynarodowego jest sprawiedliwość zasadniczą podstawą i czynnikiem w państwie Karola Wielkiego.

Na dworze jego panuje język i zwyczaje germańskie[1]. On sam układa gramatykę i kalendarz germański, troszczy się o zabytki literatury ludowej, zbiera germańskie pieśni historyczne i pielęgnuje na dworze swoim germańskie śpiewy, sławiące bohatyrów północy[2]. Rezydencya jego Akwizgran, położona w kraju rodzinnym, bo on przywiązany do tego kraju, rozkochany w jego obyczajach, ale choć sam czuł się Germanem, dalekim był od wszelkiej polityki germanizacyjnej i hegemonii jednego ludu nad drugim. A było tych ludów z górą 20 w jego państwie rozległem. I pod tym względem różni się bardzo państwo jego od światowładnej Romy, która narzucała ludom podbitym swoją hegemonię wraz z przywilejami zwycięzcy. Państwo Karola to nie panowanie Franków nad ludami romańskimi i germańskimi lecz olbrzymie państwo międzynarodowe, oparte na zasadach sprawiedliwości i równości, w którem jest miejsce dla rozwoju kulturalnego i indywidualnego każdego narodu. Bo »Civitas Dei szanuje wszelkie różnice w zwyczajach i prawach i instytucyach, z których pokój ziemski albo wykwita albo się utrzymuje. Ona nic z tego, co historya wytworzyła nie niszczy ani nie burzy, lecz przeciwnie zachowuje i pielęgnuje, bo różnorodność ta wśród różnych narodów do jednego przecież i tego samego zmierza celu t. j. pokoju ziemskiego, byle tylko na tem religia, polegająca na czci jednego, najwyższego i prawdziwego Boga nie poniosła uszczerbku«. Tak pokój ogólny, zdaniem św. Augustyna, to zasadnicze prawo historyi, to cel wielki, do którego zmierza rozwój narodów, które w pochodzie historycznym każdy w sposób odmienny według swojej

[1] Ciekawe są sądy niektórych historyków co do narodowości Karola Wielkiego. Tak np. Mühlbacher: *Deutsche Geschichte unter den Karolingern*, str. 87, mówi: »Das Geschlecht der Karolinger selbst war ein deutsches«. Inaczej Günther: *Deutsche Kulturgeschichte* (Göschen) str. 5: »Karl fühlte sich als Franke, nicht als Deutscher«.

[2] *Einhardi vita K. M.* c. 29: »Item barbara et antiquissima carmina, quibus veterum regum (t. j. bohatyrów) actus et bella canebantur, scripsit memoriaeque mandavit«.

indywidualności dań składają kulturze, polegającej na czci jednego Boga prawdziwego. Czy Karol Wielki wyrozumiał to prawo historyi, czy wierzył w jego urzeczywistnienie? Czy ideał pokoju światowego przyświecał wyprawom jego wojennym i pracom i usiłowaniom, podjętym w imię kultury? Zdaje się — w każdym razie jak wszystkie wyprawy jego wojenne były konieczne dla zachowania pokoju, tak i w pracach kulturalnych on nigdy nie naruszał zasadniczych podstaw kulturalnego rozwoju narodów: ani języka, ani zwyczajów, ani prawa ludowego, a jeśli co zmienia to tylko po to, żeby wprowadzić nowe ulepszenia kulturalne, jeśli co zwalczał to tylko zdziczenie moralne i zatrute owoce zmagającego się w śmiertelnej walce z chrześcijaństwem poganizmu. W jego państwie niema uprzywilejowanego ludu, tam naród obok narodu, szczep obok szczepu własnem żyje życiem i własnem rządzi się prawem, tam każdy z jakiegokolwiekby pochodził narodu, najwyższe mógł zajmować urzędy i wszystkie piastować godności. »Ponieważ królestwo, mówi Hinkmar, składa się z wielu krajów, cesarz dbał o to, żeby różne kraje miały przedstawicieli swoich na dworskich urzędach. On chciał, żeby każdy poddany z jakiegokolwiekby kraju pochodził, miał wolny dostęp do pałacu, wiedząc, że znajdzie tam na wysokich urzędach ludzi swojej rasy i swego kraju« (*De ord. palat.* c. 18).

Dalszym celem państwa oprócz realizacyi sprawiedliwości i pokoju społecznego jest, według św. Augustyna, popieranie dobrobytu obywateli: *Ordinatae concordiae hic ordo est: primum ut nulli noceat, deinde ut etiam prosit cui poterit* (l. 19, c. 14). A w liście jego (151, 4) do wysokiego urzędnika rzymskiego czytamy te prześliczne słowa: »cokolwiek dobrego wśród waszych trosk wielkich i prac czynicie, to po to tylko, żeby ludziom dobrze było, *ut bene sit hominibus*«.

Tylko że ten dobrobyt różni różnie pojmują. Zwyczajnie przez dobrobyt państwa rozumieją pokój zewnętrzny i wewnętrzny i blask i potęgę i bogactwa materyalne, słowem kulturę zewnętrzną i potęgę miecza, która stoi na straży tej kultury. I wielbicielom tego błyszczącego, wśród gnuśnych wczasów dobrobytu warstw wyższych, rzuca św. Augustyn te słowa:

»Nie dlatego pragniecie zażywać pokoju i opływać we wszelkiego rodzaju skarby, by dóbr tych uczciwie używać, t. j. skromnie, wstrzemięźliwie, z miarą i po Bożemu, lecz by oddawać się w nieskończonych kierunkach bezrozumnym zapędom rozkoszy i tak wśród szczęścia popaść w choroby moralne, które są dużo groźniejsze niż wściekłość wrogów« (l. I, c. 30).

Za ideałem rozkosznego używania idzie państwowa polityka abstynencyi w dziedzinie moralności publicznej i pracy zarobkowej i wszelkiej inicyatywy państwowej. »Niech tylko, mówią tacy, zakwitnie rzeczpospolita bogactwem, niech okryje się chwałą zwycięstwa, albo co lepiej, niech zażywa spokoju trwałego. Ale cóż z tego? Ot, naszą wówczas rzeczą będzie, pomnażać wciąż majątek odpowiednio do codziennych wydatków, przez które każdy silny podbija w posłuszeństwo słabszych.

Niech idą dla chleba w służbę bogatych ubodzy, niech zażywają pod ich opieką gnuśnej bezczynności, bogaci natomiast niech nadużywają ubogich dla klienteli i dla schlebiania dumie swojej. Ludy niech oklaskują swoich doradców, ale nie tych, co ojczyźnie pożytek przynoszą, lecz tych, co rozsypują rozkosze wokoło. Niech zniknie prawo twarde, rozkoszy niech nie krępuje żaden zakaz. Królowie po co dbać mają o dobrych obywateli? dość, że panować będą poddanym. Prowincye niech uważają królów nie za wychowawców pod względem obyczajowym, lecz za panów, którzy rządzą ich dobrami i dbają o rozkoszne zabawy, zamiast czci szczerej wystarczy dla nich niewolnicza poddańczość. Ustawa czuwać będzie nad tem, by nikt w obcej winnicy nie uczynił szkody, to ważniejsza, niż krzywda życiu zadana. Przed sądem stanie ten tylko, kto wyciągnął rękę po cudze mienie lub życie, kto stał się dla rodziny jakiejś albo dla kogoś wbrew jego woli bezczelnym lub przestępnym — zresztą co do własności swojej i ze swoimi i z tymi, co się dobrowolnie na to godzą, niech każdy czyni, co mu się podoba« [1].

---

[1] *De civ. Dei* 2, c. 20: »Non iubeantur dura, non prohibeantur impura. Reges non curent, quam bonis, sed quam subditis regnent.... Nullus ducatur ad iudices, nisi qui alienae rei, domui, saluti vel cuiquam invito fuerit im-

Żrące i pełne palącej ironii słowa te św. Augustyna, które w dalszym ciągu potężnie smagają publiczną rozwiązłość i przepych i lukullusowe biesiady, przedstawiają w jaskrawem przeciwieństwie dwa ideały państwa ówczesnego. Pierwszy to ideał państwa rzymskiego i polityki socyalnej warstw kierujących, tak podobny do dzisiejszej polityki manczesterskiej, drugi przedstawia zadania władzy chrześcijańskiej, której polityka socyalna zamyka się w słowach *ut bene sit hominibus*. Tak, ażeby dobrze było ludowi całemu, nie tylko warstwom wyższym, ale i szerokim masom ludowym i ubogim i maluczkim, którzy najwięcej tej opieki i pomocy potrzebują: oto idea przewodnia polityki socyalnej nowej społeczności Bożej, której najwyższą głową i obrońcą jest Karol Wielki.

Ten bowiem jest cel główny majestatu cesarskiego, aby ubodzy i maluczcy mieli pokój i sprawiedliwość. »Cesarz postawiony jest na to, czytamy w słynnym kapitularzu z r. 802, aby po Bogu i świętych Pańskich był stróżem i obrońcą wdów i sierót i podróżnych«[1], bo cesarz jednę ma troskę wielką, »by wdowy, sieroty i maluczcy, którzy są pod osłoną Boga i naszą opieką, mieli pokój i sprawiedliwość«[2], bo obowiązek ten łączył się ściśle z koroną cesarską, którą Kościół włożył na głowę jego.

To też ubodzy i maluczcy byli za rządów Karola Wielkiego jakby warstwą uprzywilejową w społeczeństwie. Sprawy i żałoby ubogich mają w urzędach — kapitularze to raz po raz z wielkim naciskiem zaznaczają — zawsze mieć pierwszeństwo przed innemi sprawami. Dla ubogich były zarezerwowane ranne posiedzenia sądowe. Sprawy ich załatwiano z rozkazu królewskiego szybko, sumiennie, w razie potrzeby z obroną prawną i, co najważniejsza,

---

portunus aut noxius; ceterum de suis vel cum suis vel cum quibusque volentibus faciat quisque, quod libet«.

[1] Cap. a. 802, c. 5: »Quia ipse Domini imperator, post Domini et Sanctis suis, eorum (t. j. viduarum, orphanorum et peregrinorum) et protector et defensor esse constitutus est«.

[2] Cap. Baiw. a. 810 c. 3: »Ut viduae, orfani et minus potentes sub Dei defensione et nostro munde burdo pacem habeant et eorum iustitia«. (Bor. I, 93, 158).

kosztem królewskim [1]. Żeby zaś rozporządzenia te nie pozostały martwą literą, delegaci cesarscy *(missi)* mieli na swoich wizytacyach corocznych sumiennie rozpatrywać w razie potrzeby za pomocą inkwizycyi sprawy wdów i sierót, ubogich i bezbronnych i skuteczną im nieść pomoc. Nadto przedewszystkiem rzeczą biskupów i proboszczów było otaczać opieką ubogich, wdowy i sieroty i bronić ich przed wyzyskiem i uciskiem możnych i urzędników. Biskupi też mają bronić ubogich przed sądem i w razie potrzeby odwołać się do cesarza, jako najwyższego opiekuna uciśnionych [2].

Opieka nad ubogimi w państwie Karola Wielkiego opierała się na obszarach dworskich i klasztornych i na parafiach. Każdy właściciel dóbr, każdy klasztor był obowiązany dbać o utrzymanie swoich ubogich, wolnych i niewolnych w obrębie swoich włości. Obowiązek ten, raz po raz w kapitularzach przypominany, opiera się na przykazie Pisma, które każe mieć pieczę o domowników i czeladź: »Kto nie dba o swoich i przedewszystkiem domowników zaparł się wiary i gorszy jest, niż poganin« (I. Tim) [3]. Tylko, że pojęcie rodziny rozszerzono tu w myśl Karola Wielkiego, do wszystkich, którzy żyli w obrębie cudzych włości i pracowali na cudzym gruncie, począwszy od wolnego włościanina aż do robotnika niewolnego, przytwierdzonego do ziemi *(mancipium)*.

Opieka kościelna rozpoczynała się dopiero tam, gdzie ubogi nie miał żadnego pana ani przytułku u krewnych i był niezdolny do pracy. Zrazu była to opieka dyecezalna stosownie do prastarej zasady kościelnej, że biskup jest z urzędu opiekunem ubogich,

---

[1] Cf. Bor. I, 37, 63, 122, 209, 281, 333. Tom II, 15, 436 i t. d.

[2] Cap. Aquisgr. 802, c. 5. Conc. Arelat. III, 813, c. 17. Conc. Mogunt. 813, c. 8.

[3] Cap. missorum Niumagnae a. 806, c. 14: »Unusquisque de suo beneficio suam familiam nutricare faciat, et de sua proprietate propriam familiam nutriat«. Przykaz ten prawny poprzedzają jako motyw słowa św. Pawła: Kto nie dba...

Cap. Aquisgr. 805, c. 6: »Ut per civitates monasteria virorum et puellarum commorare faciant, ut omnes pie et caste Dei servitio certent vivere, et eorum pauperes et familias iuxta possibilitatem nutrire faciant«. Zwyczajnie otrzymywał ubogi kawałek ziemi pod uprawę często bez żadnej opłaty rocznej. Bolland. ad 25 Febr. III, 566.

wdów i sierót i skarbnikiem funduszu dobroczynnego, ale odkąd Karol Wielki przez zaprowadzenie dziesięciny zaopatrzył kościoły w stałe fundusze podatkowe, obowiązek ten przeszedł z biskupa na parafie i proboszczów. Biskupi [1] odtąd mają nadzór nad opieką i majątkiem ubogich w całej dyecezyi i zarządzają własnemi instytucyami około kościoła katedralnego, funduszem zaś dziesięcinnym, który ściągano rzetelnie i wobec świadków dzielono na 3 części, zarządzali proboszczowie pod nadzorem archidyakonów.

Kontrola w szafowaniu funduszem była ścisła. Ażeby niegodnych nie wspierać i nikogo z potrzebujących nie pominąć, prowadzono, jak w pierwotnem chrześcijaństwie dokładny rejestr ubogich *(matricula)*, w którym po zbadaniu notowano dokładnie każdego ubogiego i potrzeby jego domowe. Przy bogatszych zaś kościołach były nadto przytułki, *(matriculae)*, w których bezdomni ubodzy znaleźli zatrudnienie i utrzymanie. Zadaniem ich było pełnić niższe posługi i dbać przedewszystkiem o czystość w kościele, stąd nazwa późniejszej służby kościelnej *matricularii*, kościelny, zakrystyan, dziadek [2]. Z drugiej zaś strony proboszczowie, którzy byli szafarzami funduszu, musieli zdawać sprawę nie tylko z funduszu ubogich [3], lecz i z własnych dochodów, które po opędzeniu potrzeb domowych pod grozą klątwy należało również obracać na ubogich. Dzielić się z krewnymi dochodami surowo było zabronione. Tylko razem i na równi z innymi ubogimi wolno było krewnych wspierać [4]. Kościół zajmował się nadto wychowaniem sierót i podrzutków [5]. Chłopców oddawano klasztorom, dziewczęta poważnym kobietom na wychowanie. Wykupywano też wedle możności i gdzie się dało ubogich jeńców z nie-

[1] Conc. Mogunt. 813, c. 8: »Volumus ut episcopi potestatem habeant res ecclesiasticas providere, regere, gubernare atque dispensare secundum canonum auctoritatem«.

[2] Hefele: *Conciliengesch.* IV, 22.

[3] Conc. Turon. III, 813, c. 16.

[4] Conc. Aquisgran. 816, c. 116. Poenit. Cum. VIII, 5: »Clericus habens superflua, donet pauperibus, sin autem excommunicetur«. Wasserschleben l. c. p. 482.

[5] Conc. Francof. 794, c. 40.

woli pogańskiej. Prastary zwyczaj kościelny pozwalał w takim wypadku spieniężyć nawet święte naczynia kościelne [1].

Jednym z najpiękniejszych objawów miłości chrześcijańskiej w dawnych wiekach była gościnność i opieka nad podróżnymi. Obowiązek ten ciążył w pierwotnem chrześcijaństwie na biskupach, którzy osobne w tej mierze mieli domy dla podejmowania pielgrzymów. Z tego obowiązku chrześcijańskiego uczynił Karol Wielki mus społeczny. Kap. z r. 802 postanawia, aby w obrębie królestwa nikt nie śmiał odmówić ani bogatym, ani ubogim, ani pielgrzymom gościnności — dachu, ogniska i wody [2].

Na proboszczach i biskupach przedewszystkiem, jako przedstawicielach dobroczynności kościelnej ciążył ten obowiązek. Oni mają dzielić się chlebem z podróżnymi, a biskupi mają osobne dla nich mieć ubikacye w swojem mieszkaniu [3].

Wykluczeni z opieki i pozbawieni zapomogi byli tylko żebracy i włóczęgi, którzy mieli prawnie zapewniony przytułek

[1] Hauk: *Kirchengeschichte Deutschlands*, t. II. str. 278, twierdzi, że kościelna opieka nad ubogimi była w mniejszym lub większym stopniu bezładnem tylko rozrzucaniem jałmużny. Podobnie Boos w *Geschichte der rheinische Städtekultur*, 1899, III, 191, i wielu innych mniema, że wieki średnie w dziedzinie dobroczynności zawsze rządziły się bezładem. Że skrajne te sądy są przesadne i bezpodstawne wykazuje to każdy podręcznik historyi dobroczynności. Słusznie tu mówi Sommerlad, którego nikt chyba nie posądzi o stronność w tym kierunku: zapewne, nie była to dobroczynność ujęta w system ani przez Kościół ani przez państwo, ale była to dobroczynność, uregulowana w ramach porządku feudalnego i patryarchalnego. Lacomblet: *Archiv für Geschichte des Niederrheins* I, 57 mówi wyraźnie o »geregelte Armenpflege« kościołów i klasztorów średniowiecznych. *Die wirtschaftliche Thätigkeit der deutschen Kirche*, t. II, str. 114. Cf. Głąbiński: »Ekonomika społeczna«, 1905, str. 184.

[1] Cap. Lud. Pii 817 ad episcopos c. 13.

[2] Cap. a. 802, c. 27: »Ut in omni regno nostro neque divititur neque pauperibus neque peregrinis nemo hospitium denegare audeat, id est peregrinis propter Deum perambulantibus terram sive cuilibet iteranti propter amorem Dei et propter salutem animae suae tectum et focum et aquam nemo deneget«.

Cap. omnibus cognita facienda a. 801—814, c. 1 »Ut infra regno Christo propitio nostro omnibus iterantibus nullus hospitium deneget, mansionem et focum tantum; similiter pastum nullus contendere faciat, excepto pratum et messem«. (Bor. I, 96; 144).

[3] Conc. Aquisgran. 816, c. 141.

i utrzymanie u pana swego i którym nie wolno było nic dawać, chyba że pracą sobie na to zasłużyli *nisi manibus laborent*[1].

Obok domowej opieki nad ubogimi dbał Karol Wielki bardzo o rozwój szpitali dla bezdomnych ubogich, chorych i podróżnych. Szpitale do korony należące[2], które były w ruinach, kazał odbudować i obsadzić, dbałymi o chwałę Bożą i ubogich, zarządcami. Inne rozporządzenia odnoszą się do szpitali, znajdujących się w ręku świeckich, którzy je wraz z kościołami zagarnęli na własność i na własny pożytek obrócili[3]. Przytułków takich, zdaje się było sporo po dyecezyach, jak to z listu biskupa z Chur do cesarza Ludwika wnosić należy, w którym tenże żali się na podupadłe w dyecezyi swojej liczne domy ubogich[4]. Wszystkie szpitale w obrębie dyecezyi stały pod bezpośrednim nadzorem biskupa[5]. Tylko szpitale, sekularyzowane jeszcze za Karola Martela, pozostawały pod kierunkiem zarządców, mianowanych przez króla i zależnych od korony[6].

[1] Cap. dupl. ad Niumag. 806, c. 9: »De mendicis qui per patrias discurrunt volumus ut unusquisque fidelium nostrorum pauperum suum... nutriat et non permittat alibi ire mendicando at ubi tales inventi fuerint, nisi manibus laborent, nullus illis quidquam retribuere praesumat«.

[2] Cap. Mant. primum c. 3: »De senodochiis vero nobis pertinentibus, que bene ordinata sunt in ipso permaneant; que vero destructa sunt secundum qualitatem temporum ad priore cultum perducere cupimus, ut ibi pauperes Domini reficiantur, et per tales personas fiant ordinata, qui ea iuxta Deum regant et de helemosynas pauperum nihil substrahant« (Bor. I, 195).

[3] Cap. Mant. a. 781 (?) c. 12: »De senodochiis volumus adque precipimus ut restaurata fiant«.

Pippini cap. a. 790, c. 1: »Ut quicumque senedochia habent, si ita pauperes pascere voluerint, habeant ipsa senedochia et regant ordinabiliter«. C. 6: »De senedochia qui per diversos comites esse videntur, ut regales sint; et quicumque eas habere voluerint, per beneficium domno nostro regis habeant«. (Bor. I, 191, 200).

[4] Ep. I. Victoris ep. ad Ludov. Pium (ap. Eichhorn: *Codex probationum*, p. 13). Także Alkuin (ep. 50) w liście do arcybiskupa Eanbalda pisze: »Consideret tua diligentissima in eleeomosynis pietas ubi xenodochia id est hospitalia fieri iubeas, in quibus quotidiana pauperum et peregrinorum susceptio fiat et ex nostris substantiis habeant solatia«.

[5] Conc. Aquisgran. 816, c. 141.

[6] Cap. Franc. 783, c. 6.

Przeważnie jednak całe szpitalnictwo było w ręku Kościoła. Około klasztorów i kościołów katedralnych grupowały się z rozporządzenia Karola Wielkiego szpitale i przytułki dla ubogich, podróżnych i chorych. Każdy biskup miał obowiązek obok wspólnego mieszkania dla katedralnego duchowieństwa *(claustrum)* utrzymywać szpital i przytułek dla podróżnych. Obok każdego klasztoru znajdował się szpital, w którym ubodzy bezdomni znaleźli przytułek i utrzymanie [1]. Tak bogaty klasztor *St. Germain des Prés* pod Paryżem utrzymywał w IX stuleciu w rozległych włościach swoich 71 szpitali i przytułków [2], klasztor w *St. Gallen* dom ubogich i trędowatych, w opactwie *Prum* w Ardenach był szpital, w którym 12 chorych stale pielęgnowano i t. d. Szczegółowe wiadomości mamy o urządzeniach i działalności dobroczynnej słynnego klasztoru benedyktyńskiego w *Corvie* [3], około którego grupowały się:

1) przytułek dla podróżnych, w którym 12 osób i więcej w razie potrzeby znalazło nocleg i posiłek. Kierownik i dwaj bracia zakonni usługiwali pokutnym pielgrzymom i podróżnym.

2) przytułek na 150 osób dla bezdomnych starców i niezdolnych do pracy *(matricularii)*, którzy oprócz całkowitego utrzymania jeszcze corocznie otrzymywali drobną kwotę na osobiste wydatki.

3) szpital dla chorych *(hospitium infirmorum)*, w którym trzej klerycy i jeden braciszek zakonny pod kierunkiem dwu lekarzy pełnili posługi. Dla szpitala tego dostarczały młyny klasztorne corocznie 51 tucznych prosiaków.

Oprócz tego rozdawano ubogim stale różne zapomogi: niektórzy otrzymywali stale przy furcie po bochenku chleba; inni przychodzili po opał, płótno, przyodziewek i sprzęty do klasztoru lub raz na miesiąc, zwyczajnie pierwszego, po zboże, mięso, ryby, piwo, chleb, oliwę i inne środki żywności. Odbywały się też niekiedy w oficynach klasztornych uczty ubogich, które zwyczajem

---

[1] Muratori I, c, III, 576, 581, 585.

[2] Sommerlad: *Wirth. Tätigkeit der Kirche*, I, 307.

[3] *Statuta antiqua Abbatiae St. Petri Corbeiensis.* D'Achery: *Spicilegium*, I, 586.

średniowiecznym w rocznicę śmierci stosownie do woli pobożnych fundatorów urządzano dla pewnej liczby ubogich. Tak pobożna jakaś Trutlinda zapisała klasztorowi w Corvie 90 morgów ziemi, z warunkiem sprawienia corocznie uczty dla 100 ubogich w rocznicę jej śmierci. Wogóle klasztory męskie miały statut, wspólnie uchwalony na synodzie w Akwisgranie r. 817, według którego każdy klasztor miał część swoich dochodów rocznych oraz dziesięcinę jałmużny klasztornej i kościelnej na ubogich obracać. Przepisy te obowiązywały przez wieki całe a Benedyktyni spełniali je sumiennie pod okiem biskupa i z miłości bliźniego [1].

Nie mniej od męskich zajmowały się klasztory żeńskie opieką nad ubogimi. Statut, obowiązujący wszystkie klasztory żeńskie w państwie frankońskiem, postanawia w tym względzie, żeby »przy furcie klasztornej znajdowały się ubikacye dla podejmowania przyjezdnych«. W obrębie zaś murów klasztornych mają wdowy i »najbiedniejsze« otrzymać przytułek i utrzymanie. Poza murami obok kościoła ma znajdować się szpital dla ubogich i niezdolnych do pracy, pod kierunkiem człowieka, »który ukochał dobroczynność, a ma w nienawiści skąpstwo« [2].

A teraz dobroczynność prywatna. Bo dobroczynność publiczna czy kościelna jest tylko uzupełnieniem dobroczynności prywatnej i głównie na niej się opiera i z niej czerpie soki żywotne. Że dobroczynność ta w epoce Karola Wielkiego była czynną bardzo i bogatą w owoce, wynika to już z ówczesnej wiary żywej i gorącej, zdobywającej sobie w żywotnej pracy misyjnej serca i podbijającej społeczeństwa w służbę Chrystusową, oraz z żarliwej troski Karola, który dbając o chwałę Bożą i Kościoła, raz

---

[1] Cap. monachorum 817, c. 49: »Ut de omnibus in eleemosynum datis, tam ecclesiae quam fratribus decimae pauperibus dentur«. Cf. Hefele: *Conciliengeschichte,* I, c. IV, 23.

[2] *Liber de institutione sanctimonialium apud Harduim* IV, 1229 sqq. c. 28: »Ad portam monasterii locus talis sit habendus, in quo adventantes quique excipiantur... sed etiam intra monasterium receptaculum ubi viduae et pauperculae recipiantur et alantur... extra monasterium iuxta ecclesiam, in qua presbyteri cum ministris suis divinum explent officium, sit hospitale pauperum, cui etiam praesit talis, qui avaritiam oderit et hospitalitatem diligit... unde pauperes ibidem recreentur et foveantur«. Cf. c. 23.

po raz w kapitularzach swoich przypomina i gorąco poleca duchowieństwu i wiernym przykazanie wielkie miłości bliźniego i czynienia jałmużny. »Miłujcie bliźnich waszych jak siebie samych i czyńcie jałmużnę ubogim według sił waszych [1]. Kapłani niech przypominają ludowi, aby jałmużnę dawał« [2].

Wymowniejszy jeszcze od jego napomnień jakby pasterskich, był sam przykład dworu królewskiego i życie Karola, promieniejące uczynkami miłosierdzia. On zwyczajem chrześcijańskim trzecią część swego majątku ruchomego przekazał testamentem ubogim, a czwartą część, przeznaczył na utrzymanie służby po dworach swoich [3].

Do szczodrego dawania jałmużny zmuszała i popychała nadto cała ówczesna dyscyplina pokutna Kościoła. Kościół stosując się do dawnego prawa zwyczajowego Germanów o grzywnach pokutnych *(wergeld, freda, compositio)* w systemie karnym, odstąpił wobec grzeszników publicznych od swoich surowych praktyk pokutnych zastępując je modlitwą, postem i jałmużną. Później i posty zastępywano jałmużną. W różnych księgach pokutnych, epoki Karolingów już czytamy o tem, jak można post wielki zastąpić jałmużną. Wielkie przestępstwa niekiedy karano jałmużną pokutną. Zdrajca np. miasta albo grodu obronnego otrzymał absolucyę kościelną tylko pod warunkiem, że cały swój majątek rozda ubogim [4]. Samo dawanie jajmużny było zawarowane ciężką pokutą. Kto np. nie pełnił uczynków miłosierdzia, nie podjął podróżnego w gościnę, kto nie odwiedzał chorych, nie krzepił więźniów, ma czynić pokutę dziesięciodniową o chlebie

---

[1] Admonitio generalis 802: »Diligite proximos vestros sicut vos ipsos et eleemosynas facite pauperibus secundum vires vestras«.

[2] Cap. Aquisgr. 810, c. 4: »Ut sacerdotes admoneant populum, ut eleemosynam dent«.

[3] Bolland.: *Vita Caroli Magni*, t. II, str. 887: »Tertia consueto Christianitatis more in usum pauperum erogaretur, quarta simili modo nomine eleemosynae in servorum et ancillarum usibus palatii famulantium sustentationem destributa veniret«.

[4] Poenit. Vallicell. III, c. 22, l. c. str. 688: »Non aliud ei iudicandum est nisi ut omnes substantias suas distribuat pauperibus«.

i wodzie. Bogatych też przynaglono do dawania jałmużny pod grozą odmówienia absolucyi [1].

Że te potoki jałmużny, rozlewające się szeroko po niższych warstwach ówczesnego społeczeństwa i łagodzące niedomagania jego feudalne, raz po raz w fałszywym poszły kierunku i nie osiągnęły skutku zamierzonego, to pewna. Serce bowiem współczujące w pokutnem kajaniu się z nędzą bliźniego, nie pyta o to, czy dana jałmużna polepszy człowieka, czy zamknie na chwilę przynajmniej źródło jego nędzy. Ale to pewna też, że jałmużna ta z natury rzeczy związaną była z porządkiem feudalnym i obejmowała ludzi znanych, zatrudnionych na własnych majątkach, że żebractwo było surowo zabronione, że cała ówczesna dobroczynność prywatna, podobnie jak w pierwszem chrześcijaństwie polegała przedewszystkiem na odwiedzaniu i zaopatrzeniu ubogich rodzin w środki, potrzebne do życia, i na pełnieniu innych uczynków miłosierdzia. »Podejmujcie podróżnych w progi wasze, odwiedzajcie chorych, dla więźniów bądźcie miłosierni... wykupujcie z niewoli jeńców, nieście pomoc pokrzywdzonym, bierzcie w obronę sieroty i wdowy, nie gromadźcie zbytnich bogactw« [2] — oto napomnienia miłosierne Karola Wielkiego, wypowiedziane w admonicyi jeneralnej do swoich poddanych po koronacyi cesarskiej.

Wkońcu uzupełnieniem i koroną opieki nad ubogimi Karola Wielkiego są jego zarządzenia w latach głodowych, które w czasach gospodarstwa domowego i terytoryalnego i w braku środków komunikacyi od czasu do czasu nawiedzały kraje całe i straszną ciążyły klęską nad ludnością pracującą.

Otóż ażeby przezwyciężyć klęski elementarne i najbiedniejszych uchronić przed śmiercią głodową przypomina on najprzód i z naciskiem poleca wyż już wspomniany obowiązek chrześcijański ojca rodziny, który ma dbać nie tylko o domowników,

[1] L. c. str. 482, 518.

[2] Admonitio generalis 802: »Peregrinos suscipite in domos vestras, infirmos visitate, in eis qui in carceribus sunt misericordiam praebete... redimite captivos, adiuvate iniuste opressos, defendite orphanos et viduas, commessationes superfluas fugite«.

lecz otoczyć opieką wszystkich poddanych, na włościach swoich osiadłych, wolnych i niewolnych *ut nullus... famem moriatur*[1].

Powtóre każdy biskup i klasztor w czasie przednówku ma 4, a w razie niemożności choćby jednego tylko biednego obcego przygarnąć na całkowite utrzymanie. Nadto każdy właściciel włości, ma na rzecz ubogich złożyć pewną kwotę: biskupi i opaci i komesi i możni po funcie, ludzie średniej zamożności po pół funta, a niższe duchowieństwo i mniejsi właściciele po 5 szylingów[2].

Był to nadzwyczajny podatek ubogich, nałożony na majętnych. Posiadacze zaś królewskich dóbr lennych zostali stosownie do ilości ludzi, których w gospodarstwie swojem utrzymywali opodatkowani. Kto posiadał 200 parobków, płacił $^1/_2$ funta, za 100 5 szylingów, a za 30—50 jedną uncyę srebra[3]. Biedni zaś, którzy popadli w nędzę z powodu klęski i utracili ojcowiznę, zostawali pod szczególną opieką cesarza i mogli bez uszczerbku dla wolności osiedlić się, gdzie im się spodobało. Dalej, wszelkie kontrakty sprzedażne, zawarte pod naciskiem nędzy, albo w czasie głodu uznano ustawowo za rozwiązalne. Nadto w okolicach, klęską głodową dotkniętych, przyznawano w czasie poboru wojennego znaczne ulgi biedniejszym.

---

[1] Syn. Francofurt. a. 794 c. 4: »Qui nostrum habet beneficium, diligentissime praevideat, quantum potest Deo donante, ut nullus ex mancipiis ad illum pertinentes beneficium famem moriatur«. (Bor. I, 74).

Cap. duplex. 805: »Ut suos quisque prout potest adiuvet«.

III. Conc. w Tours (813), can. 36: »Omnibus communiter intimetur, ut unusquisque omni tempore suam familiam et ad se pestinentes inopes alere ac vegetare studeat«.

[2] Cap. episcop. a. 780: »Unusquisque episcopus aut abbas vel abbatissa, qui hoc facere potest, libram de argento in elemosinam donet, mediocres vero mediam libram, minores solidos quinque«. (Bor. I, 52). Cap. missorum Aquisgr. primum a. 809, c. 24: »Ut unusquisque praesenti anno sive librum sive servum suum de famis inopia adiutorium prebeat«. (Bor. I, 151). Za czasów Karolingów funt srebra liczył 20 szylingów i składał się z 15 uncyi, każda uncya liczyła 16 denarów. Wartość szylinga wynosiła może 12,50 mk. w porównaniu z naszym pieniądzem. Patrz: *Mittelalterliches Münzwesen* (Sommerlad) *Handwörterbuch der Staatswissenschaften.*

[3] Cap. episcop. a. 780: »Vassus dominicus de casatis ducentis mediam libram, de casatis centum solidos quinque, de casatis quinqueginta aut triginta unciam unum« (Bor. I, 52).

Co więcej. Zarządzenia Karola podejmują walkę nie tylko z nędzą, lecz i drożyzną, idącą w parze z każdą klęską głodową. Ażeby zapobiedz rosnącej drożyźnie, ogłasza on na schyłku wieku na synodzie w Frankfurcie 794 r. ceny maksymalne na zboże. Korzec owsa ma kosztować 1, jęczmienia 2, żyta 3, pszenicy 4 denary. W dobrach zaś koronnych polecił tanio sprzedawać potrzebującym: owies po $^1/_2$, jęczmień po 1, żyto po 2, a pszenicę po 3 denary. W 12 lat później, gdy ponownie klęska głodowa nawiedza kraj cały, cesarz znowu z naciskiem przestrzega, by nikt zbyt drogo *nimis care* nie sprzedawał zboża i zabronił z granic cesarstwa wywozić środki żywności *ne foris imperium nostrum vendatur aliquid alimoniae.* Dla posiadaczy zaś dóbr koronnych, ustanowił następujący cennik zbożowy: korzec owsa ma kosztować 2, jęczmienia 3, żyta 4, a pszenicy 6 denarów. Są to ceny już dużo wyższe niż poprzednie [1].

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

---

[1] Curschmann: *Hungersnöte im Mittelalter.* Leipzig 1900. Str. 70—74. Dr. Ratzinger: *Geschichte der kirchlichen Armenpflege.* Freiburg 1884, str. 188—236. Lallemand: *Histoire de la charité. Le Moyen Age.* T. II, Paris 1904.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Tatry w poezyi polskiej. Zebrał i ułożył *Józef Kantor*. Jarosław 1909. Nakład księgarni M. Gustowicza. 8-ka mała; str. 316 i 1 nlb.

Na antologiach najrozmaitszego rodzaju i jeszcze rozmaitszej wartości nie zbywało nam w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Dość powiedzieć, że samej »młodej Polsce« poświęcono ich, o ile mnie pamięć nie zawodzi, cztery czy pięć. Antologie nie były zresztą u nas nowością. Boć przecie nie czem innem, jak tylko niemi, były wydawnictwa, których szereg długi rozpoczyna warszawska »Złota przędza poetów i prozaików polskich« ś. p. Chmielowskiego i St. Krzemińskiego, a za nią następują: »Obraz literatury polskiej« Chmielowskiego i Grabowskiego, a w latach ostatnich zasłużonego tylekroć p. Władysława Bełzy »Antologia poetów polskich«, rozpoczynająca się »Bogarodzicą«, a kończąca: Staffem, Rufferem i innymi najmłodszymi na Parnasie naszym, wreszcie wybory utworów »młodej Polski« w układzie: Feldmana, Różyckiego, Staffa (najlepszy ze wszystkich), oraz produkt kijowski, wydany przed rokiem, ale poroniony...

Ponadto mieliśmy antologie, poświęcone tematom specyalnym i ściśle odgraniczonym, jak: odsieczy wiedeńskiej, głosom poetów niemieckich o Polsce; teraz zaś otrzymujemy z rąk młodego historyka literatury i zapalonego taternika p. Józefa Kantora wybór poezyi, odnoszących się do tyle ukochanych Tatr, które stanowiły nie od teraz i, da Bóg, na przyszłość stanowić będą źródło niewyczerpane natchnień dla mistrzów słowa polskiego.

Bo i któryż z wybitniejszych na Parnasie naszym oparł się nie-

wysłowionemu czarowi, jaki góry rodzime, te nasze kochane, mgłami zasnute wyże, rzuciły na ich dusze i serca? W jakiekolwiek czasy pójdziemy, w jak najsprzeczniejszych konstytucyach twórczych rozpatrzymy się, ze wszystkich nich podniesie się jednobrzmiący chór, uwielbieniem tętniący bezgranicznem dla wszystkiego, co ma związek z górami, ich przyrodą, ich legendami, ich bohaterami. Morskie Oko zachwyci i przykuje do siebie myśli: Asnyka i Nowickiego, Szukiewicza, Rygiera, Żuławskiego i Tetmajera. Dzieje legendarnego harnasia Janosika dadzą osnowę perłom poezyi naszej, czy twórcą ich będzie nieudolny formalnie Goszczyński, czy tyle pokrewny mu chropowatością formy Kasprowicz, czy wreszcie najdoskonalszy epik tatrzański Tetmajer, którego ballady nie mają sobie równych.

Dziwną potęgę gór odczuł doskonale jeszcze Goszczyński w »Dzienniku podróży do Tatrów« i starał się dociec źródła jej. I czuł, że warunki czysto zmysłowe nie są przyczyną tego niewysłowionego czaru, jaki Tatry rzucają na dusze człowiecze. »Nie pojmuję — pisał — jakby mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego uczucie religijne, robić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi!« Badając przyczyny, które kazały poetom naszym opiewać czar i urok Tatr i opisywać dolę i niedolę Podhalan, widzimy, że nie sama chęć podrażnienia zmysłów cudnymi widokami przyrody tatrzańskiej to zdziałała, — ale było w ich duszach to »coś«, co budziło je, dawało im moc do lotów wzwyż, szlakami orłów skalnych kazało im zaglądać śmiało w przepaście i stąd upatrywać dróg, wiodących naród do celów wielkich.

Ta skalista pustynia nęciła ku sobie, nie od lat dwudziestu czy trzydziestu, natury żądne wrażeń. Wspomnijmy tylko autora »Ziemiorodztwa Karpatów« ks. Stanisława Staszyca, a dalej etnografa Ludwika Zejsznera i poetę-geografa Wincentego Pola, a ujrzymy, iż dusze ich stały otworem wobec piękności turni tatrzańskich.

Sporo czasu minęło od zachwytów owych pierwszych entuzyastów, gdy dopiero za przykładem: Chałubińskiego, proboszcza zakopiańskiego, niezapomnianego ks. Stolarczyka, prof. Baranowskiego, St. Witkiewicza i innych zaczęto na prawdę interesować się Tatrami. Wszak u podnóża tego królewskiego świata, na skalistej, jałowej, »smutnej ziemi« siadł góral, jedyny świadek starodawnej kultury polskiej, kość z kości naszej, krew z krwi prastarej, co wyrósł wśród przepastnych żlebów i wirchów niebosięgłych, chmur i śniegów wiecznych, kosodrzewin

i siklaw, orłów i niedźwiedzi. W ludzie góralskim Tatr przechowała się cała dawna kultura polska ze swoją fantazyą kawalerską, butą, lekkomyślnością i odwagą szaloną. Wszak lud ten nie wiedział nigdy, przenigdy, co to jest jarzmo poddaństwa, nawet w owych czasach, w których chłopstwo nie tylko całej Rzeczypospolitej, ale nawet Europy zachodniej pod jarzmem tem uginało się.

Albo zbójnik?... Czyż ma on gdziekolwiek w całej Europie postać analogiczną?... Zbójnik — to bohater dalekich wypraw na Liptów i Orawę po »turoski« (dukaty) »uherskie«, to junak, nie czyniący krzywdy biedzie, owszem wspomagający ją hojnie talarkami, a przedewszystkiem człowiek, dbały o swój honor. Na zbójników patrzyli górale z podziwem i uwielbieniem, gdyż byli oni dla nich uosobieniem siły, hardości i pogardy życia i śmierci. »Kłopu ginąć na pościeli — mawiać był zwykł Sabała — to nie honorna rzec«... To też dla zbójnika najzaszczytniejsza była śmierć na szubienicy:

Kiebyk ja tez wiedział,
Kie jo budem wisioł,
Tobyk siubienicke
Złotem se obić doł...

Tak zginął syn nieprawy Jana Kazimierza, słynny na całe Podhale Kostka Napierski, którego wbito na pal przy dźwiękach marsza zbójnickiego. Tak ginęli honornie wszyscy znamienitsi zbójnicy z najsławniejszym hetmanem swoim Janosikiem, który był wcieleniem marzeń ludu podhalańskiego, uosobieniem bohaterstwa górali.

Jak ongiś w zaraniu romantyzmu smutny, siny step ukraiński, jeziora i lasy litewskie, tak teraz Tatry odrodziły poezyę naszą najmłodszą. Dawniejsi piewcy cudowności Tatr śpiewali na inną nutę.

I tak: Goszczyński, jakkolwiek był życie swoje całe zapalonym chłopomanem-teoretykiem, jakkolwiek czuł doskonale tajemniczy urok gór, był zbyt blizki sentymentalizmu poetów ludowych, by zdołał przedstawić chłopa prawdziwego. »Sobótka« i »Straszny strzelec« mają tło raczej etnograficzne, jak tego dowiodłem w książce swojej p. t. »Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku«, że można je śmiało uważać za dokumenty ludoznawcze. Ale nie znać w nich potęgi, jaką wywiera widok Tatr na późniejszą generacyę poetów. Goszczyńskiego, romantyka *par excellence,* zajmowała przedewszystkiem t. zw. cudowność wydarzeń, a zatem cały świat widm i duchów, będący wytworem fantazyi ludowej: dziwożony, boginki, duchy skalne

i t. p. zjawiska w rodzaju króla wężów ze złotą koroną na łbie, czy skarby zaklęte.

Poczciwego szlachcica starego autoramentu Wincentego Pola zachwycała harda postawa górali, ich serdeczność, gościnność, wrodzony rozum chłopski, ale ogrom i majestat niebotycznych wierchów przytłaczał go niepomiernie.

Od Pola mamy lukę poważną aż do Asnyka, boć to, że o Tatrach kwilili »tacy« poeci, jak Stęczyński i Maniewski, nie należy do historyi literatury, jako że rymotwórcom wymienionym brak kardynalnych warunków, na podstawie których możnaby ich zapisać w poczet drużyny Apollinowej!

Dopiero Asnyk, który razem z pionierami taternictwa: ś. p. Chałubińskim, Eliaszem i ks. Stolarczykiem czynił sławne po dziś dzień wycieczki w góry, stał się patryarchą dzisiejszych pieśniarzy Podhala przez bogactwo strun swojej harfy, na których zagrał pieśni, co echem dalekiem odezwały się teraz w »młodej Polsce«.

Za nim poszedł na szczyty Fr. H. Nowicki w poszukiwaniu swobody dla swojego ducha. Przyszedł tu młody, dał się porwać sile wrażeń i tutaj, wśród górskich dolin i żlebów znalazł swoją lutnię. Uderzywszy zaś w nią z zapałem młodzieńczym, wyśpiewał wspaniałe wizye wichrów mocarnych i gromowy huk siklawic. I ta pieśń tak go wyczerpała do dna, że zamilkł, by już później ani głosu nie wydobyć z piersi schorzałej... Tatry podziałały nań w rezultacie druzgocąco, kiedy ujrzał:

Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!...

Nowicki widzi w Tatrach »swobody ołtarza«, w pędzie wód nieukojoną niczem tęsknotę młodości, która po drodze traci pióra »skrzydlatych zamysłów i rojeń«. Ale też nie pozostał ślepym wobec tragizmu życia, bolejąc, gdy

...grom rozmiażdżył gniazda z dziećmi orlej matki!
Nie słuchaj... ten krzyk orła — lodem ścina żyły...

Cechy pieśni tatrzańskich Fr. H. Nowickiego dadzą się zawrzeć w następujących słowach: młody duch, krzepkość sił, serdeczne umiłowanie Tatr, jakie w większej mierze objawia się tylko u Tetmajera, wspaniały styl poetycki, zdolny zakląć wizyę sinych gór w przecudne obrazy, spiżowa moc prostoty. Ku słońcom!...

Po Nowickim poszło w Tatry — z nielicznymi tylko wyjątkami — pokolenie, może nie tyle chore, ile zbolałe i zgorzkniałe z bolu czysto osobistego.

Niektórzy z poetów, jak Kasprowicz, zdołali skąpać duszę swoją w woni halnej, jak w jakiejś balsamicznej, ożywczej, uzdrawiającej strudze życiodajnej. Toż nie dziw, że twórca cudownego cyklu p. t. »Z wirchów i hal« woła pełną piersią, odważnie, po męsku:

— Radbym siły swemi zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa, a jeśli dusza jego krucha — to niechby uległa... a jeśli mocarna, jeśli... nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów, to razem z wichrem taki szlak zakreśli, że zetnie na nim smreki swym oddechem sił pozbawione...«

To też gardzi wszystkiem tem, co słabe, nieudolne, marne i znikome, gardzi więc przedewszystkiem »tłumem«.

Po raz drugi w ciągu swojej płodnej twórczości powtarza Kasprowicz nieśmiertelne Horacyuszowskie: *Odi profanum vulgus* z opuszczeniem klasycznego dodatku *et arces.*

Dla olbrzymów te szczyty — dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! Wszak jesteśmy, jak blaski wcielone...

Sonety i ballady tatrzańskie Wolskiego są nad wyraz wszelki słabe. Za wiele w nich erudycyi książkowej, dużo pustej frazeologii, a najmniej rzetelnego odczucia Tatr. Bo i jakże myśleć tu o Tatrach, skoro poeta chce filozofować na szczycie Giewontu czy jakiej innej Świnnicy: o Malsztromie, Libanie, haszyszu, potworach Boecklinowskich, o Sezamie Golkondy lub o pajęczym powiewie Eola!... Brak jeszcze tylko Kordylierów lub jakich innych Himalajów, Salomona czy Mojżesza z górą Synai, a wówczas bylibyśmy w kapitalnym porządku, myśląc, że istotnie genialność zasadza się na zestawieniu krańcowych sprzeczności...

Zupełnie inaczej przedstawiają się rysy duchowe tych, którzy urodzili się i wzrośli na Podhalu, a dziś jego krasę i smutek pieśnią. Gwiżdż Feliks, Orkan Władysław i Jedlicz Józef wykarmili się od lat niemowlęcych jałową piersią tej smutnej ziemi, a jednak, pomimo wielu wspólnych rysów ich indywidualności — każdy jest sobą, każdy ma własny typ, po którym go bez trudu rozpoznać można. Gwiżdż ma w sobie coś z parobczaka, gorącego, namiętnego, — Orkan — to

»dumac«, Jedlicz wreszcie — to klasyk pomiędzy nimi, z cechami Ateńczyka.

Gwiżdża nęci staroświecka pieśń i dawne praojcowe czasy. A jednak oko jego często łza pokryje, gdyż nie spełniło się to, co śpiewał »w borze«, przy pasaniu stada, że przyniesie ludziom »kiedyś kojącą pieśń i nierozłączne, dobre, wieczyste kochanie«. I zapatrzony w zbójnickie komory śpiewa strasznie dziką pieśń o miłości zbójnika Matei i karczmarki urodziwej, którzy spłonęli w namiętnym uścisku w ogniu karczmy, bądź też prześliczną idyllę o nastroju religijnym o Sablikowem graniu, którego słucha nawet Najświętsza Panienka, kiedy przyszła w Tatry »spisywać utrapienia i wszystkie, wszystkie żale...«

Jedlicz pragnąłby wyśpiewać o Tatrach »Słoneczną pieśń«. Jest on, jak Prometeida, przykuty do górskich grzbietów, który chciałby szerzyć naukę o czystości myśli, a tymczasem sam idzie pod białe, słońcem ozłocone chaty, bo może tam zjawią się w duszy jego tęczą barwną ogromne widzenia dawnych czasów. Pomimo to, że czarna rola plon wydała złoty »i Chrystus z wysokiego uśmiechnął się nieba«, pomimo to smutek nie schodzi z twarzy poety. A kiedy wspomni »Widma« starców-gazdów, ujarzmionych bolem królów, dziś w jarzmo zakutych, co wieczornym zmrokiem gwarzą o dawnych czasach przy blasku ogniska, marzy o wielkim dramacie, by zakląć krzyk, jakim musiał jęczeć ten lud-spiż, gdy weń piorun zatraty uderzył!...

Orkan — to dziecko gór i pól tych jałowych, na których »głód się rodzi i owies zieleni, a ludzie dawno zapomnieli wiosen«. Obrazki jego są rozpaczliwe; nędza, rodząca w piekle podhalańskiem wszystko zło, zawładnęła u niego niepodzielnie tak, że nawet nie myśli o tem, że »syn człowieczy, zrodzony w nizkości na ziemię wschodzi«, a natomiast widzi rodziny, które dzień odchodzi »przy kłótni, a noc przy bitce spotyka«, widzi, jak »córka własną matkę głodzi, a syn rodzica«. To też Chrystus niemieje z bólu przeogromnego i jak wówczas, kiedy podano Mu gąbkę nasiąkniętą żółcią i octem:

Duch się Jego rozpływa powoli
W błękitną ciszę pogodnych wieczorów
. . . . . .
W ten cichy smętek pól, łąk i ugorów,
. . . . . .
By znowu ciałem wrócić na Golgotę...

»Skapany świat« to, po którym Orkan stąpa od młodu, a za nim wloką się wierne stróżki smutku: nędza i rozpacz, których napróżno chciałby pozbyć się. Tymczasem z tej istnej doliny łez, z tego prawdziwego padołu nieszczęść:

Jeden tylko słychać wszędzie płacz i zgrzyt
I nocą się rozpościera groźny cień
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

I geniusz Polski współczesnej Wyspiański wyśpiewał pieśń rycerską o Tatrach, o zaśniętem wojsku husarzy skrzydlatych w potężnym rapsodzie o »Bolesławym Śmiałym«, w którym zawarł potężną wizyę gór, odzianą w czarowną szatę słów granitowych. To, co stworzyła wieść ludu, — to po królewsku odtworzył Wyspiański.

Żaden jednak z poetów naszych młodszych, czy starszych, nie pogłębił tak duszy górala, jak Tetmajer. On całą duszę swoją utopił w Tatrach, cały rozmiłował się w góralskim ludzie, tutaj rozpłynął się ze swoją rozkoszą, bolem i rozterką, tu wyzbył się westchnień do Nirwany. Nie idealizuje on ludu, lecz przedstawia go takim, jakim lud ten był dawniej, a jakiego typy coraz rzadziej dziś ujrzeć można. Wszak nad kolebką poety szumiały wiatry od hal, wszak »deszczyk go wykąpał wykołysał wiater«. To też dał się urzec oczom stawów tatrzańskich i ciszy niezmierzonej wśród pustoszy skalnych. Ponad wszystkie zaś zalety, jakie cechują tego poetę, unosi się obok wielkiego talentu — znajomość »pychy« podhalańskiej i język gwarowy, w którego owładnięciu Tetmajer okazał się mistrzem prawdziwym. Taki choćby tylko »List Hanusi« — to perła naszej poezyi współczesnej!

Wstęp p. Kantora do omawianej książki roztrząsa to wszystko o wiele szczegółowiej.

Jakkolwiek daleki jestem od pospolitego zrzędzenia, niepodobna mnie zaniechać poczynienia pewnych zarzutów wydawcy tej antologii. Czynię je raczej dlatego, iżby w następnem wydaniu nie figurowało to, co jest wadliwe, a przybyło to, czego brak obecnie daje się odczuwać nawet niezbyt biegłemu znawcy literatury.

A zatem przedewszystkiem daleką jest ta antologia od kompletu poetów, którzy za przedmiot natchnienia brali Tatry. Pan Kantor nie pominął, co prawda, takich miernot, jak Maniewski i Stęczyński, dla których niema miejsca w historyi literatury, ale z tem większą szkodą nie uwzględnił kilkunastu poetów, godnych ze wszech miar zamieszczenia w jego wydawnictwie. Jakkolwiek uzupełnienia swoje podaję

z pamięci (skutkiem czego nie roszczę sobie pretensyi do wyczerpania przedmiotu), przecież liczba poetów, brakujących u p. Kantora, jest wcale poważna, i to poetów nie ostatniej miary. Spróbuję wymienić niektórych:

Napróżnoby szukał tu kto: Władysława Bełzy (»Na górach«), Antoniego Czajkowskiego (»Wspomnienie z podróży do Morskiego Oka«), Michała Bałuckiego (»Góral«, »Dla chleba«, »Śpiew juhasów«), Deotymy (»Piosenka w Karpatach«), Felicyana Faleńskiego (»Odgłosy z gór«), Gawalewicza Maryana (»Tęsknota do gór«), Glińskiego Kazimierza (»Wspomnienia Tatrów«), Kalinowskiego Kazimierza (»Polska korona«, legenda), Kościelskiego Józefa (tomik obszerny p. t. »Co mi Tatry dały?«), T. Lenartowicza (»Jak to na góralach«, »Karpacki dudarz«), Szujskiego J. (»Kinga«, legenda), hr. Władysława Tarnowskiego (»Sonety tatrzańskie«), wreszcie szeregu utworów podpisanego z cyklu »Z Tatr«, drukowanego w tygodnikach warszawskich od roku 1905 począwszy.

Powtóre: p. Kantor nie wybrał utworów najbardziej charakterystycznych, skoro opuszcza taki typowy »Taniec zbójnicki« Kasprowicza lub »List Hanusi« Tetmajera.

Wreszcie: chronologia, w jakiej uszykowano poetów, jest doprawdy komiczna, skoro Staff wyprzedza W. L. Anczyca, Gwiżdż — Orkana, Makuszyński i Zbierzchowski — Witkiewicza, wszyscy zaś oni — Tetmajera!...

Tak samo należałoby wystrzegać się błędów drukarskich w guście »Z w i c h r ó w i f a l«, zamiast »Z wirchów i hal«! Omyłka ta cokolwiek zbyt rażąca, nie mogąca przypaść na karb nieuwagi zecera...

Dr. St. Zdziarski.

Więcej niż miłość. Powieść współczesna. *Zofia Casanova.* Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1908. (Str. 279).

Może jest to objawem wielkiej ignorancyi nie znać choćby z daleka autorki powyższego utworu? Tak zapewne sądzi tłumacz, skoro ani jednem marnem słówkiem nie objaśnił czytelnika: trudnoby nawet zrozumieć na pewno, z którego języka tłumaczył a tłumaczył tak znakomicie, że w całej książce ani jedno zdanie, ani jedno powiedzenie nie trąci cudzoziemszczyzną. Przytem język piękny, barwny i silny — nic mu nie można zarzucić, krom owego pominięcia wzmianki o pochodzeniu powieści. Powieść składa się z listów dwojga Hiszpanów: Maryi de la Cruz, którą nienawistne losy zagnały na stanowisko wiel-

kiej damy polskiej, rezydującej między Warszawą a patryarchalnym zamkiem w Kalinowie, oraz listów Carlosa de Vargas, hiszpańskiego poety, wielkiego pana, ministra, przywódcy liberalnego stronnictwa i ponurego Don Juana w jednej osobie. Rzecz rozpoczyna się w chwili gdy Marya utraciwszy w niewiadomych warunkach niezbyt wiernego i niezbyt kochanego męża, usiłuje ochłonąć po »rozbiciu, które złamało jej życie«. Dwóch synków, z którymi »opiekunowie nie pozwalają jej mówić po hiszpańsku«, odwozi w »polskie góry« do kollegium, utrzymywanego przez księży (zapewne do Chyrowa). Oba charaktery tych chłopców przesadne: starszy, 12-letni, ponad wiek twardy i ognisty patryota, młodszy już w dzieciństwie rozmarzony, wiotki, czuły, patrzący w gwiazdy i nasłuchujący szmeru liści i kwiatów. Matka lęka się trochę starszego a młodszego pieści — ich miłość jej wszakże nie starczy a po ich wyjeździe zaczyna tęsknić do ojczyzny i swoich. Młodą panienką spotkała niegdyś poetę Carlosa de Vergas, potem spotkali się już tylko raz ale przelotnie, przyczem Maryę onieśmielały chłodne oczy poety a zarazem przyciągał czar jego silnej a wielkopańskiej postaci. Później powtarzała jego wiersze, słuchając opowieści o jego szalonych awanturach miłosnych i powodzeniach politycznych, aż wreszcie teraz z samej tęsknoty za światem swej młodości rozpoczyna z nim korespondencyę. Ta, zrazu chłodna, przybiera z czasem coraz szybsze tempo i ton gorętszy; stopniowanie zaś uczucia odmalowane wprost znakomicie z uwzględnieniem dwóch wręcz odmiennych natur i umysłów. Carlos gwałtowny i namiętny, kroczy po tej drodze śmielej i szybciej; Marya, chłodniejsza i bardziej subtelna, poetyzuje swoje uczucia, stroi je w białą szatę platonizmu, niemniej przeto przyznaje tak sobie jak Carlosowi, że go kocha i że jego jedynie kochała na świecie. Carlos przeciwnie kochał już nieraz a zwłaszcza bywał kochany; sam opowiada, że gdy jedną ze swoich kochanek porzucił, uwożąc jej siostrę, nieszczęsna pognała za nimi i u stóp jego skonała samobójczą śmiercią. Co więcej — jest obecnie żonaty, nieszczęśliwie, bo żona cierpi na rozstrój nerwowy, graniczący z szaleństwem, ale niemniej przeto nie jest wolnym, co zda się wcale nie krępować Maryi, nie zdającej się domyślać, pomimo rzekomej religijności, że taka choćby listowna miłość, ogarniająca całą duszę jej i Carlosa już jest sama przez się złamaniem przysięgi małżeńskiej. Listy owe wkrótce przestają im wystarczać i Marya decyduje się na podróż do Hiszpanii. Przybywa tam wkrótce po nagłej niemal śmierci żony Carlosa. Ale rzecz dziwna — usunięcie tej zapory raczej ją onie-

śmiela. Carlos przeciwnie, widząc się swobodnym przyjmuje ją jako narzeczoną, wchodzi od pierwszej chwili w rolę opiekuna, niemal władcy, wprawdzie bardzo czułego, ale wymagającego uległości na każdym kroku. Marya zaś przywykła jako wdowa, matka i jedyna pani w domu rozkazywać raczej niż słuchać, drętwieje pod żelazną ręką, której uścisku się lęka; żywość jej uczucia stygnie i cofa się przed żarem płonącej miłości, odczuwa wstręt do jego hulaszczej przeszłości i niemal do jego osoby, podczas gdy on, zrażony jej chłodem, poczyna pałać zazdrością i gniewem na jej dwóch synków, Polaków, których istnienie zmusza ją do podzielenia serca i życia. Jednem słowem następuje wzajemne rozczarowanie. Carlos usiłuje ją zwalczyć przyspieszając małżeństwo, Marya wszakże ucieka i powraca do Polski. Oryginalnym epilogiem są ostatnie listy obojga, z których widać, że po pierwszym, bardzo zrozumiałym paroksyzmie gniewu dawny idealny stosunek dalekiej miłości nawiązywał się znowu: nie marzą już o spotkaniu się w życiu i orzekają, że uczucie, jakie ich łączy, jest »więcej niż miłość«.

Wszystko to narysowane jest bardzo misternie i stylem przepysznym; zwroty uczuć przeprowadzone tak naturalnie, iż się ma wrażenie, że inaczej stać się nie mogło. Pozostaje tylko kwestya narodowości Maryi i Carlosa. Ona żyjąca głównie wyobraźnią i »nerwami umysłu«, mogłaby raczej być Polką niż Hiszpanką; on zaś — zdaje się żywcem wykrojony z poematów Byrona: jest w nim coś Korsarza, coś Lary, coś Don Juana a dużo Manfreda. Za to w hiszpańskiej literaturze współczesnej nie zdarzyło nam się spotkać ani jednego typu tego rodzaju. Ci zaś, którzy długo mieszkali w Hiszpanii spotykali je na obrazach Velasqueza. Autorka zna Polaków a nie zna Polski. Mówi dość dużo o naszej współczesnej literaturze, w której podziwia głównie Żeromskiego; podaje charakterystykę Polaków wcale słuszną, dowodzącą niemałej przenikliwości i prawości sądu. Podnosi jeden rys rzadko zauważany a prawdziwy, mianowicie, że Polak jest zawsze niekontent sam z siebie, co musi działać na brak stanowczości i wytrwałości w działaniu. Uderza ją smutek rozlany w całem społeczeństwie, wyższość charakteru kobiet. Wśród tego zadziwia i śmieszy trochę wzmianka o rozwodach tak częstych, że przeszły w codzienny obyczaj, w czem autorka myli się o półtora wieku, oraz doniesienie w liście z 24 maja, że drzewa w Warszawie pomimo zimna zaczynają pokrywać się żółtymi pąkami przyszłych liści. Z drugiej strony zaś widzi się bezwzględny

entuzyazm dla klimatu madryckiego, znanego przecież ze swej niegodziwości. Niemniej przeto całość bardzo ciekawa, dobrze napisana i tłumaczona wybornie.

Teresa Wodzicka.

Listy do przyjaciół o życiu młodzieży, szczególniej akademickiej. Zebrał *T. B.* Brody. Nakładem księgarni Feliksa Westa.

Tomik o 182 stronicach, a tak treściwy, tak bogaty w myśl zacną i rozumną, w uczucie szlachetne i podniosłe, że z tych myśli, z tych uczuć, możnaby wysnuć znakomity »przewodnik pedagogiczny« i obszerne dzieło na tle etyki i socyologii.

Autor zajął się akademikiem od chwili, gdy zdał maturę, gdy mu »karyera życia wesoło się uśmiecha«, gdy przed nim »jutrzenka wolności« akademickiej, i towarzyszy mu przez całe studya uniwersyteckie, użyczając rad i wskazówek. Przypomina mu, że »miłość ojczyzny polegać ma przedewszystkiem na pracy, na czynach« (str. 65), a ostrzega przed dawnymi błędami, co nas gubiły, przed błędami rozbujałego indywidualizmu, o czem powiedział Kajsiewicz: »Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie« (str. 68). Więc miłość ojczyzny objawiać należy »pracą nad sobą samym, by się kształcić na pożytecznego kiedyś syna ojczyzny, pracą nad wykorzenieniem narodowych wad« (str. 72). »Przedewszystkiem więc trzeba sobie powiedzieć i jasno zdać sprawę z tego, że miłość ojczyzny nie polega na pięknych słowach, ani na wycyzelowanych wierszach, ani na śpiewach patryotycznych. Czyż nasz patryotyzm miałby się na seryo zaczynać i kończyć na zaśpiewaniu, chociażby z całej piersi: »Jeszcze Polska nie zginęła« lub »Boże coś Polskę«? A czyż tego samego nie trzeba powiedzieć o wszelkich demonstracyach patryotycznych, o wszelkich szopkach narodowych? Czyż tego rodzaju objawy miłości ojczyzny nie dadzą się podciągnąć pod najłatwiejszy i słomiany patryotyzm? Dzisiejszy pospolity patryotyzm polski odznacza się nie tylko wielomownością a małoczynnością, ale tem także, że za mało ma prawdziwego przywiązania do swej ojczyzny, za mało rzeczywistej czci dla niej«. »Ojczyzna nasza potrzebuje ludzi, nie przeżuwaczy choćby estetycznych; ojczyzna nasza potrzebuje mężów o silnej woli i wytrwałej pracy, nie lalek-kawalerów, umiejących się ładnie bawić i trwonić pieniądze; ojczyzna nasza potrzebuje pracowników zdrowych i tęgich, nie szkieletów i zer bez woli ducha« (str. 76). »Cóż nam zostało z dawnej Polski? Trochę ziemi i my ją jeszcze

przed prawem o wywłaszczeniu wrogom sprzedajemy; pozostał nam język polski i my tak mało dbamy o ten język w domu i w szkole, jak o żaden obcy, którego się uczymy; pozostali jeszcze ludzie Polacy i my dlatego tak się między sobą gryziemy, tak łatwo się obrażamy, tyle nienawidzących się wzajemnie stronnictw tworzymy, że się nas nikt na prawdę bać nie potrzebuje«.

Pokusa zbiera przytaczać i przytaczać bez końca, ażby się całą książkę przepisało. A w każdym rozdziale, niemal wiersz za wierszem, nauka rozumna, jasna.

W liście XI mowa o rozrywkach, zabawach, teatrze. Wytyka autor zaniedbywanie polskiej pieśni, polskiej muzyki. Bodaj kilka wierszy z tego rozdziału: »Piosenki naszych muzyków są bardziej rozpowszechnione w Anglii i w Niemczech, niż u nas. Wiele z nich w tłumaczeniu wydanych, jak Galla i Żeleńskiego, a na polskich odbiorców wydawcy nie liczą. Tyle kupletów z operetek śpiewa się u nas, a na dobrą polską piosenkę nas nie stać«.

W liście XII mówi autor o życiu towarzyskiem, o kołach. Żal mi pominąć ustęp, któryby należało dzisiejszej młodzieży powtarzać wszędzie i bezustannie: »Salon ćwiczy młodzieńca w umiejętności dostosowania się do otoczenia, bez utracenia swej indywidualności; on uczy obcować z ludźmi różnego wieku i płci, uczy sprawności. Że dobre znajomości zawsze w życiu przydać się mogą, to chyba dowodzenia nie potrzebuje, a więc ten szczegół pomijam, a kładę za to wielką wagę na wartość salonu ochronną przed szulerką i piciem, których on nie znosi i nie toleruje u swych uczestników, potem zaś na przeciwwagę, jaką daje tak zwanym »męskim towarzystwom« (nie zawsze wyłącznie męskim), które są prawdziwą wylęgarnią zepsucia, pojedynków, długów i przeróżnych błędów«.

Wybornie, na gorącym uczynku pochwycona charakterystyka naszej młodzieży, co to zawsze czemś zajęta, tylko nie tem, czemby zająć się należało, co chwyta skwapliwie za te zajęcia, które jej sprawiają przyjemność, a nieskora imać się tych, które nastręczają trudności. Nie przyjemności szukać, ale pożytku w doborze zajęć.

Chwała Bogu, że takie książki u nas się pojawiają, że są nakładcy, co je wydają, a daj Boże, aby miały tysiące czytelników.

Czesław Pieniążek.

Z krainy stu wysp. *Dr. Ostaszewski-Barański.* Lwów 1902. 8-ka. Str. 147
Z nad Drawy, Sawy i Soczy. *Tenże.* Lwów 1903. 8-ka.
Z nadreńskich stron. *Tenże.* Lwów 1906. 8-ka. Str. 114.
Z morawskiej ziemi. Notatki. *Tenże.* Lwów 1908. 8-ka. Str. 215.

W pierwszej z wyżej wymienionych książek, kreśli autor wrażenia ze swej podróży, odbytej do Dalmacyi z okazyi III zjazdu dziennikarzy słowiańskich. Opis zaczyna się od wyjazdu z Fiume: przesuwają się następnie przed oczyma naszemi wyspy dalmatyńskie, ważniejsze miasta, naturalnie przedewszystkiem Dubrownik; rzecz kończy się bardzo żywymi szkicami etnograficznymi Dalmatyńców i Czarnogórców.

W drugiem dziełku, jak już z tytułu widać, opisuje autor kraje zamieszkałe przez Słoweńców. Na pierwszy plan wysuwają się: Lublana, Celowiec i Postojna ze swą grotą, wreszcie Istrya, oraz ów raj ziemski, zwany Miramare.

Opis »Nadreńskich stron« zaczyna autor od tych mniej więcej słów: »Zdziwi się ktoś, że wybrałem drogę na Wiedeń i Norymbergę, zwłaszcza gdy powiem, że ostatecznym celem mojej wycieczki były Belgia i Holandya, dokąd najtaniej i najdogodniej jedzie się z Krakowa przez Wrocław, Berlin. Ale właśnie ten Berlin!... to zwykła kuźnia, podzielona na dwie części. W jednej bito fałszywe talary dla sąsiadów, w drugiej kuto broń na osłabionych. Jest to lichwiarz-dorobkiewicz, który jeszcze wczoraj kupczył wszystkiem: obecnie zaś zrabowawszy portrety obcych antenatów, zaczyna grać rolę pana. Berlin to synonim świętoszkostwa protestanckiego, panowania policyjnego — i bankierskiego bezwstydu...« i t. d. Trudno spotkać więcej plastyczne, a dobitne, może nieco kłujące w oczy, jak każda prawda, ale wierne opisanie miasta. Opis ten wzięty rzeczywiście jakby z ust każdemu, co chociaż nieco poznał Berlin, a ma odrobinę estetycznego zmysłu.

Po tym wstępie opisuje autor Norymbergę, Frankfurt nad M., Moguncyę, Kolonię i Akwizgran, oraz wspaniałą drogę po Renie, zwracając uwagę przedewszystkiem na przeszłość tych miast dla kultury i sztuki.

W ostatniem dziełku mamy opis tak mało nam wogóle znanego, choć prawie sąsiedniego kraju »hanaków«, Moraw. Opis stolicy, Berna, Ołomuńca, Spielbergu, Welehradu, wogóle dorzecza Beczwy, znowu przeważnie pod względem etnograficznym i kulturalnym. Wielką za-

letą, nigdy nie dość uznania godną, jest sposób przedstawienia. To nie monotonne notatki z podróży, ale opracowanie tych notatek i uwag, jakie się autorowi nasuwały podczas podróży, z historyą w ręku i dobrym podręcznikiem etnograficznym. Autopsya uzupełniła resztę.

Każda miejscowość, jeśli tylko może budzić zainteresowanie z powodu swego znaczenia dziejowego, otrzymała specyalną wzmiankę, tak, że notatki te wychodzą z pod pióra wprawnego autora, jakby jakie szkice historyi kultury owych krajów. Gdzie tylko się nadaje okazya, znajdujemy uwzględnienie stosunków z Polską: czy to chodzi o wpływy artystyczne (południowe Niemcy), czy literackie i społeczne (południowa Słowiańszczyzna), czy też polityczne (stosunki za Jagiellonów z poł. Słowiańszczyzną, Morawą). Wszystko pisane językiem bardzo żywym, stylem barwnym, powieściowym, a bez uprzedzeń, tak że młodzież będzie czytać te książki z nadzwyczajną nie tylko korzyścią ale i zainteresowaniem, zapałem do studyum geografii i historyi, chociaż i starszym osobom może przydałoby się nieraz przeglądnąć dziełka d-ra Ostaszewskiego-Barańskiego, by w tych okolicach, tak często przez nas zwiedzanych, poznać coś więcej ponad hotele i restauracye. Szkoda tylko, że brak rycin a przynajmniej mapki.

Ks. K. Konopka.

Z piśmiennictw obcych.

Les dessous de la police russe par *Jean Longuet* et *Georges Silber*. Paris 1909.

Losy zapędziły mnie nad Newę niedługo po ogłoszeniu manifestu październikowego. Gorące to były czasy, których, póki życia, zapomnieć nie zdołam. Konstytucya, jeżeli tem niezasłużonem mianem ochrzcimy ów akt, wydany pod grozą rewolucyi, zastała tych, którzy jej najgłośniej domagali się, zupełnie nieprzygotowanych.

Gorączkowo rzucono się w wir ruchu politycznego. Stronnictw powstał taki chaos, że początkowo trudno było zoryentować się w głoszonych przez nie programach. A każde z nich sadziło się na obietnice, których spełnienie w mocy ich nie leżało, obietnice, niemożliwe do zrealizowania nawet w państwie angielskiem, posiadającem od tylu wieków konstytucyę! W dotrzymanie obietnic nie wierzyli zresztą nawet sami menerowie partyjni.

Rosya, która przez tyle wieków upajała się wódką, zaczęła teraz, oprócz siwuchy, zażywać kropel wolnościowych, którą to mieszanina otumaniła ją do reszty.

Jako naród, kryjący w swojem łonie *plus* pierwiastków wschodnich, mongolskich, jako naród, który do dziś dnia nie wyszedł jeszcze ze stadyum, które prahistorya zwykła nazywać stanem pierwotnym, Rosyanie pojęli wolność w literalnem znaczeniu tego wyrazu, jako wolność czynienia wszystkiego, co się komu żywnie zachce!...

Pomimo całej sympatyi, jaką do owej chwili, w której zetknąłem się bezpośrednio z »narodem« rosyjskim, cieszył się u mnie ruch, zwany szumnie wolnościowym, — w miarę rozwoju wypadków, zwłaszcza od obrad w pierwszej Izbie państwowej, sympatya moja zaczęła zanikać gwałtownie na widok instynktów bestyalskich, które teraz wypełzły z zakamarków duszy rosyjskiej, wprawiając w zdumienie wszystkich, wyrosłych w kulturze zachodniej.

Przyjąwszy na się obowiązki korespondenta petersburskiego kilku dzienników naszych, przedewszystkiem zaś *Gazety lwowskiej* i konserwatywnego *Słowa* warszawskiego, nie mogłem, pragnąc być dokładnie poinformowanym, przebierać w materyale ludzkim. Zawarłem tedy znajomości z dygnitarzami, ale też z drugiej strony musiałem utrzymywać stosunki z przywódcami stronnictw przewrotowych jaskrawie, którym nie wystarczała konstytucya, a których ideałem była republika komunistyczna!

Nie należąc do żadnej partyi politycznej polskiej, w polityce bowiem jestem indywidualistą, nie mogłem, naturalnie, skłaniać się ku programowi którejkolwiek partyi rosyjskiej, jako że dla Polaka miejscem nieprzystojnem byłoby należenie do stronnictw rosyjskich! To też zająłem stanowisko obserwatora przejawów najcharakterystyczniejszych duszy rosyjskiej, która teraz wybuchała, co chwilę, efektownymi fajerwerkami.

W miarę ukazywania się w druku moich korespondencyi — opinia tych, którzy obserwowali wypadki petersburskie i obrady Izby państwowej z odległości setek czy tysięcy kilometrów, zwróciła się gwałtownie przeciwko mnie, zwłaszcza od ogłoszenia w *Przeglądzie polskim* studyum o psychice etnicznej Rosyan p. n. »Dżingis-Chan zmartwychwstały«, które początkowo ściągnęło ogromną burzę na moją głowę.

Zaczęto mnie pomawiać o schlebianie żywiołom z najskrajniejszej prawicy i omal nie nazwano *czarnosotnieńcem*. Milczałem wobec ataków, jak grób, i tylko raz udzieliłem publicznej lekcyi prof. Pogodinowi

w odpowiedzi na jego napaść publiczną. Pomimo najrozmaitszych kwasów i nieprzyjemności stanowiska raz zajętego nie myślałem zmieniać *ad captandam benevolentiam* tych osób, które z dawnych przyjaciół zamieniły się w otwartych i nieprzejednanych wrogów podpisanego. Znając doskonale Rosyan, wiedziałem, iż niedaleka przyszłość przekona wszystkich, iż słuszność leży po mojej stronie. Przewidywania te spełniły się rychlej, aniżeli mogłem przypuszczać.

Zamachy bombowe, dynamitowe, rewolwerowe, osławione wywłaszczenia przymusowe, których ofiarami padali w przeważnej części ludzie niewinni, odsłoniły całą ohydę i przewrotność wielbionego dotąd ruchu »wolnościowego«, skoro okazały, iż stronnictwom rewolucyjnym nie chodzi tyle o wolność, ile o doszczętne zniszczenie tego wszystkiego, co kultura kilku wieków zbudowała. Zaczęto rozumieć, że najprzód musi zapanować ład i poszanowanie prawa, zanim będzie można myśleć o przeprowadzeniu reform. Zrozumiano, że rząd musiał na teror odpowiedzieć terorem, jeśli nie chciał doprowadzić do kompletnej ruiny. Hasła wolnościowe zaczęto czemprędzej wyrzucać na śmietnik. Nazwa rewolucyonisty stała się synonimem bandytów i wyrzutków społeczeństwa.

Ludzie, którzy dawniej ciskali na mnie kamieniem potępienia, zaczęli głośno przyznawać słuszność potępianym dawniej moim poglądom. Satysfakcyę miałem zupełną. Teraz zaś, kiedy tak zwana »rewolucya« rosyjska skompromitowała się już doszczętnie w oczach całej Europy, kiedy, dzięki rewelacyom Bakaja i Burcewa, jak nie mniej skandalicznym sprawom Aziewa i Landesena, przekonano się, iż przeprowadzenie zróżniczkowania pomiędzy rewolucyonistą a agentem-prowokatorem rosyjskim jest wręcz niepodobieństwem, ukazała się wymieniona w tytule książka, poprzedzona przemową Burcewa, a zatem jednego z bojowników o t. zw. wolność, z której okazuje się kompletna degeneracya i zgnilizna moralna, jaka toczy, jak rak, całe społeczeństwo rosyjskie od najwyższych do najniższych warstw jego. Okazuje się z niej dalej, że ruch, który za szczyt ideału postawił sobie zniszczenie doszczętne pojęć o prawie i moralności, który pozostawił po sobie tylko rany ciężkie, morze krwi i dym pożarów, jęki ofiar niewinnych i klątwę sierót i wdów, o pomstę do nieba wołającą, którego hasłem był mord, grabież i anarchia, — był ruchem nie jednostek zwyrodniałych, ale mas całych o zgangrenowanych myślach i projektach!...

Ale najlepiej będzie posłuchać, co powiada Martow o rezulta-

tach, jakie przyniosły te krwawe czasy, boć chyba będzie to świadectwo wiarygodne:

— »Powodzenia pozorne i powierzchowne teroryzmu opóźniły jedynie postęp świadomości robotniczej i rozwój polityczny społeczeństwa, które starało uchylić się od konieczności prowadzenia walki przeciwko autokracyi, udzielając poparcia organizacyom terorystycznym. W ten sposób teroryzm odwrócił armię proletaryatu od owocnego dzieła organizowania mas, ażeby je skierować ku awanturniczym środkom walki. Opóźnił rozwój świadomości włościan, kultywując w nich tradycyjne metody anarchistyczne, zamiast pociągnąć ich do walki zorganizowanej. Zdemoralizował wreszcie młodzież demokratyczną i socyalistyczną. Ale sprawa Aziewa odkryła przed światem zdumionym, że teroryzm mógł być prostem narzędziem rządzenia w rękach cynicznego rządu« ...

Jakże inaczej zachowywali się pp. Straszewicze nawet, i redaktorzy *Słowa* warszawskiego, a nawet niektórzy, szlachetni zresztą fantaści słowianofilscy z Krakowa, kiedy podpisany wcale nie w czarniejszych barwach malował następstwa anarchii ochrzczonej, jako ruch »odrodzeniowy«, kiedy potępiał teroryzm, jako że nigdzie, jak uczą dzieje świata, do wolności nie szło się drogą, pełną krwi niewinnej. Bo krzywda ludzka nie jest w stanie zbudować niczego trwałego! Dziś wszakże stwierdzają to menerzy teoretyczni pseudo-rewolucyi rosyjskiej, to, czego nie chciano mi przyznać w kraju, stojąc w oddaleniu tak wielkiem od terenu właściwego wypadków, zwłaszcza, gdy na dobitek trzeźwość sądu zanikała?...

Wprawdzie p. Burcew chełpi się w tej książce, że, dzięki jego rewelacyom, zachwiał się cały system rządowy i wzbudził w Europie obrzydzenie powszechne. A jednak! czcza to tylko przechwałka, boć przecież system policyjno-prowokatorski rządu rosyjskiego był dokładnie znany, że dalszych przykładów nikt już nie potrzebował. Zwłaszcza od pana Burcewa!...

Tymczasem, dzięki omawianej książce, rewolucyoniści zostali zdyskredytowani tak, jak nigdy jeszcze dotąd! Stąd bowiem okazuje się jasnem, że teroryzm rosyjski nie szedł wcale innemi drogami, od rządu, że dla niego nie istniała różnica pomiędzy środkami szlachetnymi, a bezecnymi i podłymi!... Za przyczyną p. Burcewa teroryści rosyjscy okazali się wcale nie lepsi od szpiclów policyjnych, skoro jednaką metodą posługiwać się nie wahali!... Rewolucyoniści chcieli szerzyć dezorganizacyę w szeregach policyi. Policya, odpłacając im pięknem

za nadobne, czyniła toż samo, tylko o wiele sprytniej i z nieporównanie większym kunsztem w obozie terorystycznym. *Similis simili gaudet*...

Przyznaje to nawet i sam Burcew, ale myli się, utrzymując, iż jest to możliwe do pomyślenia jedynie w państwie takiem, jak Rosya, i w tak wyjątkowych warunkach, w jakich ona znalazła się. Toć to fałsz oczywisty!... Dlaczegóż nie było tego w epoce naszych powstań, gdy myśmy znajdowali się w nieporównanie nieznośniejszych warunkach działania?!... Ale też u nas nie było tego *moral insanity*, jakim przesiąkła cała Rosya współczesna od szczytów swoich, aż do nizin, nie było we krwi fałszu, żądzy dostatków, bizantynizmu!... U nas nie krzewiono haseł wolnościowych i powstańczych sposobem tak podłym, jak to czyniły słuchaczki wyższych kursów żeńskich, które za cenę oddawania własnego ciała marynarzom pijanym, spowodowały tragiczną rewoltę w Kronsztadzie. Kaptowanie zwolenników dla ideałów wolnościowych za pomocą tak bydlęcych środków nie daje się zauważyć w żadnej rewolucyi europejskiej! Nigdzie w świecie zachodnim przywódcy rewolucyi nie patrzyli na wypchanie sobie kieszeni pieniądzmi zrabowanymi na cele partyjne, ani nigdzie orgia zmysłów nie była podnietą do czynów innych, jak tylko bardzo poziomych.

Panu Burcewowi fakt kronsztadzki, który ja pierwszy podałem do wiadomości na szpaltach *Słowa* warszawskiego, był niewątpliwie znany, jako że powtórzyły go za mną dzienniki rosyjskie. Dlaczegóż więc przemilcza moment, mówiący sam za siebie tak wiele?!... Czyliż tak godzi się zatajać fakta dowiedzione, chociażby raniły najboleśniej, zwłaszcza temu, kto chciał być do pewnego stopnia dziejopisem ruchów przewrotowych?!...

Jakkolwiek jestem aż nadto daleki od najlżejszego chociażby antysemityzmu, przecież nie mogę przemilczeć spostrzeżenia, jakie uczyniłem, patrząc na tak zwaną »rewolucyę« rosyjską z blizka.

Mam ten zły zwyczaj, że, zawierając znajomość nową z kimkolwiekbądź, staram się wybadać jego pochodzenie, co najmniej na dwa pokolenia wstecz. Być może, iż jestem na tym punkcie »zacofańcem«, ale, o ile doświadczenie życiowe mnie nauczyło, teorya moja nie zasługuje na lekceważenie.

I mogę oświadczyć, że cały ruch t. zw. »rewolucyjny« rosyjski czerpał środki materyalne z kiesy żydowskiej nie licząc pieniędzy zrabowanych z kas rządowych czy prywatnych. Wszystkie przecież największe dzienniki petersburskie, które wywieszkę sprawiły sobie.

czerwoną mniej lub więcej, a zatem: *Strana, Towariszcz, Nasza żizń*, wydawane były za pieniądze żydowskich bankierów. Rzecz całkiem naturalna. Żydzi, pozbawieni praw obywatelskich, żydzi, od których »pies pana sztabs-kapitana« więcej wart jest, dążyli do uzyskania równouprawnienia sposobem swoich praojców biblijnych, wcale nie innym sposobem, w jaki Jakób biblijny uzyskał pierworodztwo. To też nie skąpili grosza komitetom rewolucyjnym, nie spodziewając się, że ruchy owych komitetów sparaliżowane zostaną przez ich współwyznawcę. Bo i czego Żyd nie uczyni dla pieniędzy?...

Dyabelska mość Imci pana Twardowskiego skąpała się nawet w wodzie święconej i była potem jakaś niesamowita, ale Żyd chrzczony dla interesu — to coś najpodlejszego pod słońcem. Historya lat ostatnich kilku carstwa rosyjskiego daje w tej mierze niezbite dowody, bezwarunkowo niezaprzeczalne. Bo tutaj występują z jednej strony Żydzi-rewolucyoniści i bogaci Żydzi, dający monetę na zakupno bomb i dynamitu, z drugiej zaś Żydzi-szpicle policyi tajnej, Żydzi prowokatorzy!... Wszyscy dla interesu!... Przyjmowali chrzest bez najmniejszej wiary w Chrystusa Pana dla... geszeftu...

Ci wszyscy, których wydała Rosya rewolucyjna lat ostatnich, których postawiła na czele stronnictw, akcyi wolnościowej rzekomo, w gruncie rzeczy zaś szpiclowskiej, byli żydkami z rodu...

Z tego też gniazda wyszedł p. Ewno Majer Fiszelowicz Aziew, który, będąc jeszcze w gimnazyum, sfałszował sobie świadectwo dojrzałości, kiedy go wyrzucono w klasie piątej ze szkoły, ażeby na podstawie dokumentu fałszywego módz uczęszczać na politechnikę!...

Po jednem fałszerstwie — nie trzeba było długo czekać na ciąg dalszy, t. j. na targ pieniężny. Pan Ewno Majer brał pieniądze bez troski najmniejszej o to, kim jest oferent. *Pecunia non olet!* — powiedział sobie pewnego pięknego wieczora i spostrzegł, że najkorzystniej byłoby handlować runem, strzyżonem z dwu owiec złotonośnych. Rząd na równi z rewolucyonistami-żydami potrzebował ajenta tajnego. A dwa interesy są lepsze od jednego — rozumował syn starego Fiszla. Krótko mówiąc sprzedał się policyi tajnej tylko za trzydzieści tysięcy franków rocznej pensyi. I był tej sumy wart najzupełniej.

Jako Żyd z pochodzenia wydał przedewszystkiem w ręce władz policyjnych swoich rodaków. Tak wybitny talent rewolucyjny, jak Gerszuniego, musiał marnieć na zesłaniu sybirskiem, a kiedy wydostał się z krainy lodów — był już prawie trupem!... Gerszuni, choć Żydem kaukazkim był, — miał talent organizatorski wybitny, miał ideę, wy-

paczoną co prawda, ale zawsze mamona nie była dla niego bożyszczem, tak jak dla Aziewa, który Pana Boga sprzedałby za dobre pieniądze, gdyby tylko Pana Boga można było spieniężyć.

Jehowa?... I cóż to?... Wszak imci pan Aziew, Żyd chrzczony, był bezwyznaniowcem!...

Gros menerów rewolucyi składało się z ludzi tego pokroju, z wychrztów-żydów — dla geszeftu.

I człowiek ten, który potrafił w błąd wprowadzić nie tylko żonę swoją, ale całą partyę, umiał pisać tak słodko, tak żałośnie, że podejrzenie każde było wprost wykluczone:

— »Zdaje się, że ma się do czynienia z ludźmi dojrzałymi, rozważnymi, a to są żaki«...

Ileż w tem zdaniu czelności, ale też prawdy zarazem?!...

Aleć przecież metoda działania dla zysku pieniężnego na dwie strony nie od dzisiaj ani od wczoraj była zasadą »rewolucyonistów« rosyjskich, wśród których przeważał element judajski...

Bo kim i czem byli panowie: Burcew, Bakaj, Gerszuni, Degajew i t. d., żeby nie pomnażać korowodu nazwisk bez końca?... Ludźmi, dla których miano oszustów jest nadto łagodne!...

Azjew właściwie rozminął się z właściwem swojem powołaniem. Jemu wypadało poświęcić się sztuce dramatycznej, a na scenie byłby odniósł niewątpliwie powodzenie. Ale tu szła gra o monetę! Ha, przecież Azjew był żydkiem z pochodzenia... A, że natura w nim odezwała się, za to go winić niepodobna!

To też grał wybornie komedyę wobec partyi socyal-rewolucyjnej i wobec władzy policyjnej, gdyż stąd i stamtąd czerpał pieniądze. Mistrzem istnym był w inscenizacyi zamachów, chociaż tutaj powiodło się mu nie najlepiej, skoro protektor jego wszechpotężny minister von Plehwe (»czystej krwi« Rosyanin, jak na to wskazuje nazwisko!) oraz wielki kniaź Sergiusz padli od bomb, — pierwszy u wylotu Izmajłowskiego prospektu przy dworcu kolei petersbursko-warszawskiej, drugi — w Moskwie...

Dzięki tym dwu udałym (drugi tylko przypadkowo!) zamachom uzyskał Azjew w sferach rządzących partyi zaufanie bezgraniczne. Został czemś, w rodzaju dyktatora bojówki.

I teraz nadeszła właściwa chwila połowu bogatego i odrobienia owych trzydziestu tysięcy rubli rocznej pensyi. Rząd chyba nie miał powodu być niezadowolonym ze swojego ucznia.

Dzięki jego denuncyacyom wykryto mnóstwo: tajnych drukarń

rewolucyjnych, magazynów broni, składów materyałów wybuchowych, jak niemniej wydawnictw nielegalnych, a co więcej? — uwięziono mnóstwo ludzi, odgrywających znaczniejszą rolę w komitetach rewolucyjnych, którzy, o ile uniknęli stryczka, szli na zesłanie długoletnie w pustosze sybirskie, skąd po większej części nie powrócą.

A jednak!... Pomimo aż nadto licznych ostrzeżeń, jakie partya otrzymała od osób, zasługujących na zaufanie, Azjew stał wobec niej czysty, jak kryształ!...

Czy po wybuchu zaburzeń ulicznych, przezwanych przesadnie »rewolucyą«, Azjew nie spowodował, — jak to przypuszczają pp. autorowie — niepowodzenia rokoszów w Moskwie i w Kronsztadzie, to, dla mnie rzecz przesądzona. Azjewa wówczas nie było w Petersburgu, kiedy z innych powodów i innemi siłami zorganizowany zaczął się haniebnej pamięci rokosz wojskowy w Kronsztadzie. Toż samo muszę powiedzieć o niedoszłym do skutku szalonym zamachu bombowym czy dynamitowym na gmach *sysknoj policiji* w Petersburgu. Ostatni, bodaj czy nie był fintą samej-że policyi?...

Tymczasem, jak utrzymują panowie współaktorzy, Azjew poczuł pod bokiem konkurenta poważnego.

Był nim pop, jak na przeciętnego popa, aż nadto przebiegły, Hapon.

Przedewszystkiem postaram się o streszczenie, możliwie jak najzwięźlejsze kart, dotyczących tego arcysmutnego epizodu w dziejach pseudo-rewolucyi rosyjskiej lat konstytucyjnych, zanim z autopsyi opowiem to, co doszło do mojej wiadomości w tej sprawie, chociaż spodziewałem się znaleźć w książce omawianej relacyę autentyczną, w tem przypuszczeniu, że pp. autorowie są należycie poinformowani o losach również szpiega prowokatora.

Podług nich, rządowy ajent-prowokator, za jakiego uważają Hapona, odszedł z tego świata w sposób arcytajemniczy. Podług nich również jest faktem dowiedzionym, że Hapon był człowiekiem, który sprzedał się za grube pieniądze Wittemu, gdy zaś partya rewolucyjna dowiedziała się niezbicie o tem — został zamordowany skrytobójczo (pp. autorowie piszą jedynie — »z a b i t y«) w Ozierkach w Finlandyi, że bywał w restauracyi słynnej Cubata i t. d. i t. d.

Drobiazgi pominąć wolimy, żeby zatrzymać się nad opisem sceny końcowej.

Podług relacyi ich serdeczny przyjaciel Hapona, inżynier Rutenberg, któremu Hapon miał rzekomo proponować sto tysięcy rubli za

wydanie hr. Wittemu organizacyi bojowej, zwabił go do specyalnie w tym celu wynajętej willi w Ozierkach, iżby przy świadkach wydostać od Hapona wyznanie. W tej myśli ukrył w sąsiednim pokoju czterech delegatów robotniczych, iżby po rewelacyach Hapona skręcili mu bezzwłocznie kark.

A kiedy to stało się — opowiada Rutenberg — »skierowałem się mimowolnie ku drzwiom, ale wstrzymałem się na chwilę. Jeden strzał rewolwerowy mógł zgubić nas wszystkich. Nie miałem mu nic więcej do powiedzenia. Ale jak się mam zabrać do tego, ażeby raz zakończyć?...«

»Żeby nie budzić w nim podejrzeń przez milczenie niepokojące, mówiłem mu ponownie o Raczkowskim, dlaczego uważałem za niebezpieczne zaufanie do niego (scil. do R.), że mógłby zatrzymać pieniądze, a mnie kazać aresztować«.

»Pleciesz bzdury. Powiedział mnie Raczkowski, że zna ciebie dobrze i że ma co najmniej dwudziestu szpiclów, którzy mogliby ciebie poznać. Gdyby chcieli ciebie aresztować, mogliby to uczynić już dawno. Bądź spokojny«.

»Zmieniłem temat rozmowy celem zyskania na czasie. Przypominałem jemu niebezpieczeństwa, na jakie byłby sam narażony, gdyby towarzysze dowiedzieli się o czemś.

»Co za niedorzeczność! Nie dowiedzą się o niczem. Tylko Raczkowski, Durnawo i car są wtajemniczeni w sekret... (Opuszczam parę zdań podrzędnej wagi. *Przyp. rec.*)

»W tej chwili zapytał mnie, gdzie są klozety? Zszedłem z nim razem i chciałem potem powrócić na górę.

»Drzwi do klozetów znajdowały się obok drzwi od schodów służbowych (t. zw. *czornyj chod, przyp. rec.*), gdzie znajdował się ten z towarzyszy, który odgrywał rolę służącego i który został w sieniach schodowych. Na odgłos naszych kroków zszedł równocześnie przez te drugie schody i kiedy Hapon zbliżył się do drzwi, natknął się nagle na niego. »Służący« przerażony wszedł nazad po schodach na górę, podczas gdy Hapon wrócił spiesznie do mnie i znalazł mnie na oszklonej werandzie, wychodzącej na jezioro.

»To okropne! Słyszano nas!

»Kto taki?... Masz rewolwer?...

»Nie! A ty?...

»Również nie mam. Zawsze noszę go przy sobie, a dzisiaj zapomniałem. Chodźmy zobaczyć...

»Zbliżyliśmy się do schodów służbowych. Poprosiłem Hapona,

ażeby poszedł pierwszy. Odmówił i stanął za mną. Poszedłem przez parę schodów i powiedziałem mu, że niema nikogo. Jednakowoż w tej chwili »służący«, który ukrył się między drzwiami a ścianą, znalazł się twarzą w twarz naprzeciwko niego. Cofnął się w tył. Szeptem rzekł do mnie:

»On jest tutaj...

»Przystąpiłem bliżej, ale zanim zdołałem uczynić ruch jakiś, Hapon rzucił się na owego człowieka, przytrzymał go i wsunąwszy rękę w jedną z jego kieszeni, w której był rewolwer, przyciskał go do ściany.

»Ma rewolwer, trzeba go zabić!...

»Podszedłem do owego człowieka, przeszukałem go i zdołałem dostać w swoje ręce jego rewolwer, który, milcząc, schowałem do kieszeni.

»Hapon bez ustanku naciskał go, mówiąc:

»Przyznaj się do wszystkiego! Przyznaj się raz!...

»W tej chwili otwarłem drzwi pokoju, w którym byli zamknięci robotnicy i przywołałem ich:

»Oto są moi świadkowie — powiedziałem do Hapona.

»To, co słyszeli owi robotnicy, doprowadziło ich do ostateczności, więc z gorączkową niecierpliwością wyczekiwali chwili, w której mogliby wystąpić. Skokiem rzucili się na Hapona, wykrzykując głosami chrypliwymi. W pierwszej chwili zawołał na mnie, ale spostrzegłszy twarz jednego robotnika, dobrze mu znaną, pojął wszystko. Wołał do nich: Towarzysze! kochani towarzysze, co chcecie uczynić?!

»Nie jesteśmy twoimi towarzyszami — brzmiała odpowiedź. — Milcz!

»Związano go, chociaż bronił się rozpaczliwie, wołając dalej:

»Towarzysze!... Wszystko to, co powiedziałem, jest nieprawdą.

»Dobrze, dobrze!... Wiemy już, co myśleć! Milczeć!

»Wyszedłem i pozostałem na oszklonej werandzie.

»To wszystko, co uczyniłem, — ciągnął Hapon, — było dla urzeczywistnienia wielkiej idei.

»Znamy twoje idee.

»Sprawa była jasna. Hapon był zdrajcą, prowokatorem. Roztrwonił pieniądze robotnicze. Zhańbił pamięć tych, którzy padli 22-go stycznia. Trzeba było stracić go. Chciano najpierw zabić go wystrzałem z rewolweru. Następnie postanowiono go powiesić. Wezwano go

do złożenia ostatniego wyznania. Prosił o łaskę ze względu na przeszłość swoją:

»Zbrudziłeś ją, łącząc się ze szpiclami — odparł jeden z robotników.

»Około godziny siódmej wieczorem wszystko skończyło się. Zdobyć się nie mogłem na obecność podczas egzekucyi. Poszedłem na górę dopiero wówczas, gdy doniesiono mi, że Hapon skończył już. Zobaczyłem go zawieszonego na wieszadłach od płaszczów. Zostawiono go tak, przysłoniwszy tylko futrem jego ciało. Robotnicy o ponurych minach komentowali ze wstrętem słowa rewelacyi, słyszane przez nich przez drzwi.

»Następnie odeszli wszyscy. Willę zamknięto...«

Tak miało wyglądać morderstwo podług opowiadania inżyniera Rutenberga, podanego przez autorów omawianej książki, jako dokument, nie ulegający pod względem wiarogodności najmniejszej wątpliwości. Zanim wszelakoż autentyczność tę rozwieją moje informacye w tej mierze, rozbierzmy, bodaj pobieżnie całe opowiadanie przytoczone powyżej z punktu widzenia etycznego.

Jakimkolwiek szubrawcem nie byłby pop – Hapon, byłby w każdym razie mniejszym od pana inżyniera Rutenberga, który ogłosił sam światu, iż ma zaszczyt być pospolitym mordercą, który wziął na swoje sumienie życie człowieka, nie mogącego bronić się przed nasadzonymi czteru siepaczami. Pan inżynier Rutenberg ale, jest żydem z rodu. Żeby zatem uchylić się od ewentualnej odpowiedzialności prawnej, zamordować kazał Hapona najętym za pieniądze zbirom, człowieka, któremu nie udowodniono bynajmniej winy, którego nie postawiono chociażby przed s a m o z w a ń c z y m sądem rewolucyjnym, iżby mu dać możność obrony. Rzecz smutna!... Rząd rosyjski ileż, pozornie przynajmniej, jest, w tej mierze, uczciwszy ? !...

W okresie, w którym wymiar sprawiedliwości należał do sądów wojenno-polowych, dawano przecież nawet przychwytanego *in flagranti*, z bombą czy browningiem w ręku, w opiekę prawną adwokata, jakkolwiek tu dowód winy był oczywisty z powodu jasnego i sąd nie miał nad czem naradzać się, skoro podług litery prawa schwytany winien był śmierci.

Rewolucyoniści zaś chwycili się, (proszę pamiętać, że stoję obecnie na stanowisku w i a r y g o d n o ś c i p. Rutenberga!...), metody, jaką zapożyczyli od rządów Aleksandra III, kiedy to przestępców lub podejrzanych silnie o przestępstwa polityczne, wieszano bez skrupułów

w kazamatach twierdzy petropawłowskiej, a w następstwie trupa rzucano do Newy, tej najszerszej w Europie rzeki i rozgłaszano, że taki to a taki zbiegł. Aleć wieszano przestępców, których w każdem państwie cywilizowanem czekałaby niewątpliwie szubienica!

Pan »inżynier« Rutenberg, któremu komitet rewolucyjny polecił zgładzenie Hapona, przeszedł zatem podłością rządy despotyczne, chociaż sam głosił hasła wolności takiej, którą Europa kulturalna nazwała dawno — anarchią! Wszakże sam »komitet« po rozgłoszeniu tej sensacyi przez p. Rutenberga i równoczesnem prawie zniknięciu Hapona z nad Newy, odżegnywał się publicznie w szmatach partyjnych od wszelkiego współudziału w tej ohydnej zbrodni, nie kwestyonując zresztą wcale faktu rzekomo dokonanego, gwoli pozyskania sympatyi tłumów ulicznych, których wiara w dobrodziejstwa, przyrzekane lekkomyślnie przez panów z »komitetu centralnego«, osłabła była wówczas do *minimum*. »Komitet« czuł doskonale, że potwierdzeniem, iż fakt, przypisywany p. Rutenbergowi, został spełniony na mocy wyroku partyjnego, byłby utracił i tę garstkę intelligencyi, która słabiutko trzymała się sztandaru złudnego, splamionego i tak aż nadto hojnie krwią niewinną!

A teraz jeszcze słów parę w kwestyi prawdomowności pana Rutenberga.

Przedewszystkiem Hapon nie byłby nigdy go namawiał do wydania za sto tysięcy rubli policyi tajnej przywódców rewolucyjnych. Policya rosyjska mądrą salomonowo nie jest, ale, o ile chodzi o ruch rewolucyjny, posiada wcale nie gorsze informacye od samychże pp. prowodyrów partyjnych. Kto miał dygnitarzami w partyach przewrotowych ludzi tak sprytnych, jak Aziew lub Landesen, ten nie potrzebował pionków w rodzaju p. Rutenberga!

Co najważniejsze jednakowoż w relacyi p. Rutenberga, to fakt, iż owi robotnicy, którzy, podług niego, zamordowali Hapona, byli pozbawieni wprost dowodu, najlżejszego bodaj, iż ten, którego Rutenberg sprowadził w zasadzkę, jest istotnie Haponem, a nie kim innym, bardzo zresztą do Hapona podobnym!

Może słowa moje dojdą kiedy p. »inżyniera« Rutenberga, którego miałem nieprzyjemność poznać gdzieś z końcem lutego 1906 r. st. st. w Petersburgu. Zatem mam zaszczyt podać do wiadomości, co następuje:

Nie jestem — w tym wypadku na nieszczęście — don Kiszotem, więc nie mam zamiaru silić się na walkę bezcelową z wiatrakami, za

jakie — niestety — jestem zniewolony uważać pp. autorów omawianej książki, pomimo niezaprzeczonego szacunku, jako dla ludzi dobrej woli.

Przedewszystkiem muszę zapewnić pp. współautorów, że Hapon bynajmniej nie został zamordowany w Ozierkach, w owej willi, należącej, o ile pamięć mnie nie zawodzi, do jakiejś wdowy po urzędniku policyjnym, w willi, w której znaleziono rzekomego jego trupa, jaki został pogrzebany ostentacyjnie przy współudziale kobiety, z którą pop Hapon żył na wiarę. Jeżeli jednak to gołosłowne zapewnienie im nie wyda się wystarczającem, niechaj raczą przejrzeć korespondencye podpisanego, drukowane w *Słowie* warszawskiem w odpowiednim czasie, bo, — jak powiada pewne mądre przysłowie — »ksiądz dwa razy kazania nie mówi« ...

Powtóre: śledztwo policyjne, dokonane *ex post* przez konstablów fińskich przy współudziale policyi rosyjskiej wykazało, o czem pp. autorom książki omawianej jakoby nie było wiadomem, że w Ozierkach został zamordowany podstępnie ktoś zupełnie inny, jakkolwiek wygląd twarzy jego zmieniony pozornie, odpowiadał najzupełniej masce twarzy Hapona.

Rzecz jasna i tak naturalna, jak tylko być może. Proszę tylko zważyć:

Jeżeli, jak powiadają jedni, — Hapon stał się z powodu znajomości aż nadto dobrej policyi śledczej, niebezpiecznym dla niej, to, gdyby tak było w rzeczywistości, taż sama policya byłaby postarała się o usunięcie jego w sposób gwałtowny i to tak w dodatku, że o dokonanej zbrodni byłby nie dowiedział się, przez lat szereg przynajmniej nikt. Małoż to ludzi podziało się w Rosyi tak, że nikt nie umie powiedzieć, co się właściwie stało z nimi? !...

Ale, jeżeli szedł na rękę rządowi, to wówczas mógł spać spokojnie, nie bojąc się wcale pustych pogróżek. Sam — otrzymałem z siedm do dziesięciu wyroków śmierci od rozmaitych komitetów petersburskich, a jednak, chociaż szedłem w poprzek rządowi, wyroki owe leżą u mnie po dziś dzień w biurku najspokojniej, ja zaś równie spokojnie czekam ich zrealizowania.

Sprawa zaś z panem Rutenbergiem miała się następująco.

Pan »inżynier« zostawał z braku innego zajęcia, na utrzymaniu tak zwanych »maksymalistów«. Ale, że wówczas wywłaszczenia kieszeniowe »burżujów« szły nie tęgo, więc pan »inżynier«, który chciał dokopać się złota, zaczął węszyć, czy nie dałoby się pociągnąć monety byle skąd. Zaczepił o to Hapona, zdecydowanego antysemitę, który—

naturalnie — kategorycznie odmówił pośrednictwa w sprawie zaciągnięcia się p. Rutenbergowi pod znak policyi tajnej. Kiedy więc do partyi zaczęły nadchodzić doniesienia o prowokatorstwie Hapona, p. Rutenberg, ufny w możliwość naciągnięcia »partyi« na monetę, podjął się, powiadomiwszy o swoim zamiarze, kilku przywódców, zgładzenia Hapona. Umówiwszy się tedy z nimi w sprawie wspólnej podróży do Ozierków, gdzie miało odbyć się zgromadzenie konspiracyjne, nie przywiózł oczekującym siepaczom Hapona, który znajdował się już wówczas na okręcie, mającym zawieść go tam, gdzie, dzięki funduszom, uzyskanym od Wittego, żyje najspokojniej do dzisiaj, przesławszy jedynie z Berlina kluczyk od skrytki wertheimowskiej w kasie pancernej jednego z banków petersburskich, w której złożył fundusze, mające starczyć na wykształcenie jego syna.

Jeżeli wreszcie pp. współautorom plotki chodzi o dowód niezbity, że Hapon wcale nie umarł, ale cieszył się jeszcze w lutym roku 1909 (dziewiątego) znakomitem zdrowiem, na to przechowuję kartkę pocztową, pisaną do jednego z moich znajomych petersburskich, który jest zbyt poważny, iżby zatrudniał czas drogi podrabianiem cudzych listów!..

Ale spieszmy ku końcowi, gdyż i tak zatrzymujemy czytelnika zanadto długo!

Ciekawa jedynie rzecz, kogo to mianowicie zamierzyli pp. współautorowie wziąć na kawał?

W danym wypadku chwycili się na wędkę, zarzuconą przez siebie, rozsądny bowiem i znający okres pseudo-rewolucyjny człowiek na przynętę tak zwaną nie chwyci się.

Nudzić mnie zaczyna ta książka, pełna fałszów, których wykazywanie zajęłoby mnóstwo miejsca. To też, pragnąc dać czytelnikowi bodaj trochę sposobności poznania duszy rosyjskiej, ale to czysto-rosyjskiej, przytoczę parę słów z listu panny R., pisanego w obliczu widma szubienicy:

— »Mamciu, matko chrzestna, moje drogie, moje kochane!... Trzeba, żebyście czuły waszą Tolę, blizko, bardzo blizko siebie w swojem sercu, i żeby wszystko stało się dla was jasne i wesołe... Mamo, matko chrzestna, moje złote, wybaczcie mnie wszystkie cierpienia, jakie sprawiłam wam! A ja was tak... kochałam i tak pragnęła zawsze życia pięknego i wesołego dla was. A tymczasem — ja właśnie pierwsza wniosłam żal i ból«...

Smutna to książka, jak smutne są fakty, zawarte na kartach jej, smutna, gdyż wyjawia czytelnikowi całą Gehennę błota i brudu,

jakiem były oblepione dusze tych wszystkich, którzy mienili się być zwiastunami lepszej doli dla tylu milionów ludu, dla tylu dziesiątków najrozmaitszych narodowości, plemion i ras!... Podnosi się z tej książki krzyk straszliwego bólu, spowodowanego chorobą, bodaj, czy nieuleczalną, jaka toczy od tylu set lat organizm »narodu« rosyjskiego.

O tem, czy to jest »naród« w europejskiem pojęciu tego wyrazu, mówiłem już stokrotnie.

Dla historyków upadku ewentualnego Rosyi będzie książka omawiana materyałem znaczenia pierwszorzędnego, gdyż wykaże dowodnie, jak padają i w jak marny sposób nikczemnieją ci, których dewizą był od wieków: rabunek pospolity, gwałt i zbrodnia pod wszelkiemi postaciami, — (żeby tylko wymienić: deprawacyę moralną, spowodowaną brakiem kompletnym prawdziwej obyczajności oraz nihilizm duchowy) — co, razem z innymi czynnikami destrukcyjnymi, gangrenowało żywe ciało, ongi potężne być może, ale teraz słabe tak dalece, że mędrca lub cudotwórcy trzebaby, gdyby kto zapragnął wlać w nie nowe życie!...

Kończę westchnieniem nadzwyczajnej ulgi, — a zarazem też: T y wielka »Ż y j R o s y o!«

Dr. Stanisław Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Rzeczy wesołe. *Kornel Makuszyński.* Lwów. Księgarnia polska. 1909.

O poezyach Makuszyńskiego (»Połów gwiazd«) zdałem w swoim czasie sprawę w *Przeg. Pow.* zaznaczając małą oryginalność tychże połączoną z stylistyczną łatwością opracowywania każdego tematu. Podobny charakter mają i nowele Makuszyńskiego zebrane w obszernym tomiku p. t.: »Rzeczy wesołe«.

Nie wiem jednak dlaczego autor nazwał je »rzeczami wesołemi«, raczej są to rzeczy smutne, bo chorobliwie zgryźliwe i cyniczne. A do tego dodać należy, że autor posiada ogromną łatwość pisania, posiada bezsprzecznie oczytanie wielkie, słowo jest mu posłuszne, skąd pochodzi błyskotliwość jego, dziennikarska łatwość szermowania frazesami, delikatna a najczęściej niedelikatna złośliwość, zdolność wykoziołkowywania się z każdego tematu w sposób brawurowy — ale pod tą skrzącą powłoką natrafiamy na warstwę nie żarzącego się, ale rozkładającego się pesymizmu, który gardzi nawet samym pesymizmem,

a dla wszystkiego ma jedynie niezdrowy uśmiech zbankrutowanego myślowo bajazza. A przedewszystkiem ten niby-śmiech uderza z całą satysfakcyą w kobietę. Jest ona dla niego zawsze i jedynie głupia a przewrotna, podła najczęściej, zdradzająca i mężów i kochanków, myśląca jedynie o strojach i o zaspakajaniu swej lubieżności. Takich jednostronności przechodzących w karykaturę znajdujemy co chwila masę u autora. I dlatego mimo fosforyzujących pozorów czujemy, że Makuszyński wypowiedział się już doszczętnie, że żaden temat nie obudzi w nim twórcy, acz z łatwością wydobędzie z pod pióra jego dostateczną ilość błyskotliwych lecz myślowo płytkich frazesów do zapełnienia kart niejednej może książki.

A. St.

Szkice literackie o Juliuszu Słowackim. *Dr. W. Hahn.*
O życiu i dziełach Juliusza Słowackiego. *Tenże.* Brody. Nakładem Feliksa Westa. 1909.

Zasłużona firma Feliksa Westa z okazyi setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego wydała dwie książki o Słowackim pióra d-ra Hahna, doskonałego znawcy naszego poety. Pierwsza z nich jest zbiorem szkiców, tyczących się najczęściej genezy dzieł Juliusza, ciekawych przyczynków krytycznych, oraz artykułów okolicznościowych z powodu jubileuszu poety, które to szkice, przyczynki i artykuły zasłużony krytyk zebrał w całość w omawianej książce.

Druga, to popularna książka o życiu i dziełach wielkiego poety, nadająca się w sposób znakomity do rozpowszechnienia w jak najszerszych kołach, właśnie w czasie obchodu jubileuszu poety w całej Polsce.

a. st.

Epos. Tom II. Epos egipskie. Brody. Nakładem Feliksa Westa. 1909.

Jako drugi tom wydawnictwa »Epos«, przedsięwziętego przez zasłużoną firmę Feliksa Westa w Brodach, ukazało się »Epos egipskie«. Książka ta dzieli się na cztery części. W pierwszej części podane są utwory typu pośredniego między klechdą a rapsodem fantastyczno-epickim (Historya o dwu braciach, Żeglarz Rozbitek, Jak Thutii zdobył miasto Joppę, Książę Przeznaczony). W części drugiej mamy fragment o charakterze bajki (t. j. eposu zwierzęcego). Jest to wyciąg z rozmowy między panterą i szakalem. Szakal wypowiada myśli sceptyczno-nihilistyczne, pantera jest przedstawicielką poglądów opartych na tradycyi. W części trzeciej dano utwór zupełnie inny. Przypomina on powieści rycerskie wieków średnich, możnaby go zaliczyć do *Chanson des gestes* lub *Romanzero* egipskich. W części czwartej znajdujemy poemat pisarza imieniem Pentaur (stąd tytuł poematu) opiewający bohaterskie czyny Ramzesa II. Utwór to najbardziej zbliżony do epopei, miał nawet, według twierdzenia niektórych autorów, wywrzeć wpływ na Homera.

a. st.

Stanisława Wyspiańskiego »Achilleis«. Objaśnił *Karol Wróblewski.* Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1909.

To co w swoim czasie powiedzieliśmy o »Legendzie« p. Wróblewskiego, można powtórzyć z powodu przytoczonej w nagłówku książki. Jego rozprawa o »Achilleis« Wyspiańskiego z powodu swej gruntowności posiada niezaprzeczoną wartość, wiele twierdzeń autora jest słusznych, ale i ta książka przeładowana jest ustępami niemającymi żadnego związku z te-

matem. I tak w celu wykazania, że Wyspiański »weśnił się« w Achilla i witezi trojańskich, daje autor cały wykład o śnie i marzeniach sennych. Również drobiazgowością trąci wyszukiwanie źródeł Achilleidy, jak np. w zdaniu: »Nastrojowość Rezosa i Pentesilei (jedna ze scen utworu Wyspiańskiego) przejętą jest (!) z dzieła »Rezos«, którego autorstwa filologowie nie przyznają Eurypidesowi« (str. 85). Czy nie lepiej i słuszniej nastrojowość tej sceny w »Achilleis« tłumaczy nam rodzaj talentu Wyspiańskiego?

Poza temi usterkami jednak książka p. Wróblewskiego posiada istotną wartość i zawiera wiele wyjaśniającego materyału do wniknięcia w utwór Wyspiańskiego, wobec czego życzyćby sobie należało, aby autor dalej kontynuował rozpoczętą pracę objaśniania poszczególnych dzieł autora Achilleidy. *A. S.*

Das Brautexamen. Praktische Anleitung für den Kuratklerus. *J. Hössle.* B. Herder. Freiburg i. Br. II. Aufl. Str. VI, 38.

Książeczka ta jest przeznaczona przedewszystkiem dla młodszych księży, zajmujących się pracą duszpasterską. Przedmowa zajmuje się ważnością przedślubnego egzaminu. Następują rozdziały o znajomości prawd religijnych, o wykrywaniu przeszkód i obowiązkach małżeńskich. Na małej przestrzeni zebrał autor wiele praktycznych uwag, żadnej ważniejszej sprawy nie pominął a kwestye z natury swej bardzo delikatne, omówił z taktem i wstrzemięźliwością, lecz wystarczająco. Wobec tego podręcznik zasługuje na polecenie

W. W.

Gnade und Natur. Ihre innere Harmonie im Weltlauf und Menschheitsleben. Eine apologetische Studie von Dr. Theol. *A. Rademacher.* (Apologetische Tagesfragen. 7 Heft. M. Gladbach 1908. Volksvereins-Verlag. Str. 136.

Autor już chlubnie znany z dziełka: *Die übernatürliche Lebensordnung nach der paulinischen und johanneischen Theologie* (Freiburg 1903), omawia tu dwa światy obchodzące ludzkość całą, stanowiące przedmiot badań, i dążeń serca i umysłu ludzkiego. Te dwa światy to natura i łaska. Autorowi chodzi o wykazanie tego, że między naturą a łaską nie tylko niema sprzeczności, ale, że jedna z drugą złączona tworzy w świecie i w duszy ludzkiej najdoskonalszą harmonię i stanowi całą możliwą na ziemi doskonałość człowieka. W tym celu przechodzi i roztrząsa autor działanie Boże i działanie ludzkie, wiarę i wolne badanie, teologię i filozofię, nieomylną naukę i pewność w badaniach ludzkich, naturalną etykę i chrześcijańskie prawo moralności, ascezę i naturalne zalety i zdolności, miłość Boga i miłość ludzką, chrześcijańskie instytucye i humanitarne dążności, porównywa oświatę i cywilizacyę chrześcijańską z kulturą świecką, państwo z Kościołem, religię z nacyonalizmem. Wszędzie pokazuje, jak łaska podnosi i uszlachetnia naturalne porywy i dążenia ludzkie, pożycie społeczne i państwowe, zdolności osobiste, dzieła i instytucye.

Mnóstwo głębokich uwag, gruntowność z polotem złączona, obfitość materyału i piękny język robią tę pracę bardzo zajmującą. Teolog walczy tu o lepsze ze znawcą życia ludzkiego i stosunków społecznych.

I. N.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Hospicyum polskie papieskie

Za jeden z ważniejszych kroków, przez znany ze swej gorliwości i ze zrozumienia potrzeb czasu episkopat polski dla duchowego i narodowego dobra kraju w ostatnich czasach podjętych, uważamy zamiar otworzenia w Rzymie polskiego hospicyum papieskiego, o którem odezwa naszych arcypasterzy z ostatnich dni września społeczeństwo zawiadomiła. Oto tej odezwy treść:

Któż nie widzi, że religia katolicka jest tak dla jednostek i rodzin, jak dla całego narodu naszego światłem, siłą, pociechą, dźwignią, życiem i zbawieniem, byleby tylko duch wiary przejął na wskróś wszystkie jednostki, wszystkie rodziny, wszystkie instytucye narodowe i społeczne. W sprawie utrzymania i spotęgowania ducha wiary pierwszorzędnym czynnikiem jest duchowieństwo, bo jemu to powierzył Bóg straż i szafarstwo skarbów niebieskich; aby zaś duchowieństwo mogło spełnić swe wzniosłe posłannictwo, winno być święte i światłe.

Dla wyrobienia sług ołtarza zaprowadzono we wszystkich dyecezyach polskich seminarya duchowne, które ofiarności wiernych gorąco polecamy; ale prócz tego konieczną jest rzeczą, aby kapłani, większemi zdolnościami obdarzeni i mający zająć stanowiska profesorów teologii

czy kierowników seminaryów, mogli się udawać za granicę do słynniejszych ognisk umiejętności świętych i ducha kapłańskiego. Gdzież jednak znaleźć takie ogniska, jeżeli nie tam, gdzie jest nie tylko Stolica Namiestnika Chrystusowego, a więc najwyższa i nieomylna M strzyni prawdy objawionej, ale gdzie są także stare i znakomite uniwersytety, w których można nabyć głębszej znajomości teologii, Pisma św., prawa kanonicznego, filozofii, archeologii, paleografii, języków oryentalnych i t. d. — gdzie wreszcie groby Apostołów, katakumby Męczenników i wspaniałe bazyliki silnym przemawiają głosem, budząc ducha zaparcia się i poświęcenia. Nic też dziwnego, że tam wszystkie narody katolickie mają swoje kolegia czyli seminarya. Jest również w Rzymie kolegium polskie, założone przez nieśmiertelnej pamięci papieża Piusa IX, ale niestety, niebogate w zasoby — toż słuszna, aby naród nasz tę instytucyę groszem hojniej zasilał.

Ponieważ seminarya rzymskie przyjmują tylko kleryków i to na kurs długi, bo przynajmniej siedmioletni, przeto Niemcy, Francuzi, Belgijczycy, Hiszpanie, Anglicy, Chorwaci i Portugalczycy postarali się o osobne zakłady dla kapłanów, pragnących oddawać się studyom wyższym w mieście wiecznem; jest bowiem rzeczą pewną, że tego rodzaju domy są jednym z najskuteczniejszych środków, aby w krótkim stosunkowo czasie podnieść duchowy poziom kleru, a przezeń ożywić ducha wiary w społeczeństwie.

A dla nas Polaków czyż taki zakład nie byłby potrzebny? Im cięższe są warunki, w których Kościół u nas się obecnie znajduje, im większe niebezpieczeństwa zewsząd nas otaczają, zagrażając zarówno wierze jak i narodowości, tem usilniej starać się nam należy o coraz ściślejsze połączenie się ze środowiskiem świata chrześcijańskiego i o coraz mocniejsze oparcie się o niewzruszoną opokę Piotrową, obronicielkę praw Bożych i ludzkich.

Mając na oku dobro Kościoła i narodu, biskupi polscy, którzy w r. 1908 z okazyi jubileuszu Ojca św. bawili w Rzymie, uznali za rzecz konieczną utworzyć tamże drugi zakład polski, wyłącznie dla kapłanów przeznaczony; a tą sprawą zajmuje się także grono kapłanów polskich, tamże mieszkających, z ks. arcybiskupem Franciszkiem Albinem Symonem, jako przewodniczącym i skarbnikiem na czele.

Kiedy w maju r. 1909 biskup przemyski Józef Sebastyan Pelczar przybył na kanonizacyę św. Klemensa Maryi, zapytał się Ojca świętego, czy on tę myśl aprobuje, na co Ojciec św. odrzekł: »Nie

tylko aprobuję, ale bardzo chwalę i aż pod niebiosa wynoszę«; poczem na przedłożonej prośbie te słowa napisał: »Pochwalamy ten zbożny zamiar i Wielebnym braciom biskupim polskim, tudzież wszystkim ukochanym w Panu, którzy na to dobre dzieło grosza użyczą, z całego serca udzielamy Apostolskiego błogosławieństwa, które niech im będzie dóbr wiekuistych zadatkiem«.

Mając tedy zachętę i błogosławieństwo Ojca św., przystępujemy w imię Boże do założenia w Rzymie instytutu naukowego p. t. Hospicyum polskie papieskie.

Jakież ma być zadanie tego zakładu?

1) Przyjmować na dłuższy czas kapłanów z dyecezyi polskich, którzyby chcieli jużto oddawać się wyższym studyom teologicznym, biblijnym, filozoficznym, prawniczym i t. d., — jużto zaznajamiać się głębiej z życiem kościelnem i ascetycznem, którego Rzym jest ogniskiem, czy też z procedurą Kongregacyi i Trybunałów rzymskich — jużto poszukiwać w archiwach watykańskich dokumentów do prac historycznych;

2) być gospodą dla biskupów i kapłanów, na krótszy czas do Rzymu przybywających, o ile na to rozmiary pozwolą;

3) pośredniczyć na żądanie w załatwianiu spraw kościelnych, przez Ordynaryaty do Kongregacyi rzymskich wnoszonych, czyli zastępować ajencye prywatne, co będzie z korzyścią dla dyecezyi i dla zakładu;

4) udzielać wskazówek, a ewentualnie pomocy pielgrzymom polskim.

Jakaż ma być organizacya tego zakładu?

Przedewszystkiem ma to być instytucya kościelna, Stolicy św. bezpośrednio podległa czyli papieska, a przytem narodowa polska, co jej zapewni z jednej strony opiekę Stolicy św., z drugiej byt niezależny i pewny, nawet w razie zmian politycznych.

Na czele zakładu ma stać ks. Rektor, mianowany przez Ojca św. na przedstawienie biskupów polskich, w porozumieniu z kardynałem-protektorem. Obowiązkiem jego będzie *a)* zarządzać domem pod względem dyscyplinarnym i ekonomicznym, *b)* służyć informacyami w sprawach kościelnych tym wszystkim, którzy się do niego zwrócą.

Pod nim będą księża Kapelani, w liczbie 6—10, których przyjmuje ks. Rektor na przeciąg 2—3 lat, i to na przedstawienie biskupów polskich, a za zgodą kardynała-protektora. Aby wszystkie dyecezye

polskie mogły korzystać w równej mierze z miejsc wolnych, ks. Rektor uwiadamiać będzie wszystkich biskupów po kolei o wakujących miejscach, by przedstawiali swoich kandydatów. Zresztą można tworzyć fundacye, po 60.000 franków, dla kapłanów tej lub owej dyecezyi.

Ks. Rektorowi przysługuje nadto prawo przyjmowania księży z dyecezyi polskich, którzy za pozwoleniem swoich biskupów przybywają do Rzymu na czas dłuższy lub krótszy w celach naukowych czy ascetycznych. Ci uiszczają za całe utrzymanie pewną umiarkowaną zapłatę; wszyscy zaś muszą się poddawać w sumieniu regulaminowi domowemu, który Ojciec sw. poprzednio zatwierdzi.

Nie wątpimy, że ten zakład odda Kościołowi i społeczeństwu polskiemu znakomite usługi, bo przyczyni się do rozwoju naukowego i wyrobienia ducha kapłańskiego u tych, którzy przebywać w nim będą. Wprawdzie koszta budowy i utrzymania obszerniejszego gmachu z odpowiednią kaplicą będą znaczne, tak, że na ten cel i na fundusz żelazny trzeba będzie zebrać przynajmniej milion franków; ale doświadczenie pokazuje, że społeczeństwo polskie, acz niebogate i wielu troskami dręczone, łoży chętnie na sprawy religijne i narodowe. Śmiało tedy odzywamy się do wszystkich miłośników Kościoła i narodu: Nie żałujcie grosza na dzieło zbożne, a tak wielkie i tak pożyteczne.

Pośród duchownych, jak ufamy, nie będzie nikogo, coby nie złożył choć skromnej ofiary; pasterze zaś parafii niech przynajmniej raz urządzą składkę w swoich kościołach, zaleciwszy ją pierw gorąco z ambony. Dla osób świeckich przedstawia się tu dobra sposobność okazania swoich uczuć katolickich i patryotycznych, a przytem pozyskania sobie błogosławieństwa Ojca św. i nagrody u Boga. Mianowicie, jeżeli ktoś chce użyć swego majątku na cele szlachetne i całe społeczeństwo polskie obchodzące, niech pamięta także o Hospicyum polskiem w Rzymie, gdzie w domowej kaplicy za dobrodziejów, składających znaczniejsze ofiary, odprawiać się będą corocznie Msze św.

Zwracamy się też do pobożnych niewiast polskich, tak pochopnych do wszystkiego, co święte i narodowi zbawienne, by w swoich kołach podjęły się roli kwestarek.

Nie wątpimy wreszcie, że nasze dzienniki o zasadach katolickich i narodowych poprą chętnie tę sprawę.

Datki pieniężne można składać w kancelaryach wszystkich Ordynaryatów biskupich, które odsyłać je będą do ks. arcybiskupa Franciszka Albina Symona *(Roma, Via Giusti)*, jako przewodniczącego komitetu rzymskiego. Można też rozłożyć wkładki na kilka lat.

Wszystkim ofiarodawcom sam Ojciec św. błogosławi, a modlitwa nasza idzie za nimi do Boga.

W sierpniu r. 1909.

Jan Kardynał Puzyna, książe bisk. krak. *Józef Bilczewski*, arcybiskup lwowski o. ł. *Franciszek Albin Symon*, arcyb. attal. *Józef Teodorowicz*, arcyb. lwow. ob. orm. *Józef Sebastyan Pelczar*, bisk. przem. *Leon Wałęga*, biskup tarnowski.

Odezwa ta tak jest umotywowaną, że uwalnia nas w zupełności od dalszej analizy i jedno nam tylko pozostaje: wyrazić życzenie, aby wszystkie sfery społeczeństwa zrozumiały ważność i zasługę podobnego przedsięwzięcia i wedle możności i sił przyczyniły się do jego urzeczywistnienia. Wrogowie Kościoła i narodu nie skąpią materyalnych i moralnych środków, by Kościół osłabić i zniszczyć a nas samych z karty żyjących wykreślić; wolno więc ufać, że tak szlachetnemu a pierwszorzędnego znaczenia zamiarowi nie zabraknie poparcia polskiego, katolickiego społeczeństwa. Jeżeli kiedy, to właśnie teraz, gdy dwa wielkie obozy coraz więcej się różniczkują, byłby czas, aby okazać, pod jakim sztandarem walczyć pragniemy.

O szkoły we Francyi

Pociskiem, w gniazdo ós skierowanym, był ostatni występ całego episkopatu francuskiego przeciwko tak zwanej neutralnej czyli bezwyznaniowej szkole. Obowiązkiem rodziców — nauczają biskupi — jest starać się o dobro duchowe dzieci; w tej dążności powinno ich państwo wspomagać i uzupełniać, nie może ich jednak zastąpić. Błądzi, kto dziś mówi o prawie dziecka do dowolnego wychowania; nie ma ono przecież prawa, któreby szło przed prawem Bożem i nie może się uwolnić od obowiązku religijnego wychowania i wykształcenia. To wykształcenie mają dać rodzice lub ci, których oni jako swych zastępców wybierają czyli szkoła, ale dlatego właśnie spoczywa na rodzinie obowiązek wybrać dla dzieci szkołę, w której religijne wychowanie byłoby poręczonem; równocześnie powinni rodzice nad szkołą nadzór swój rozciągnąć i, gdy ona obowiązku swego nie

spełnia, dzieci z pod jej wpływu usunąć. Od lat trzydziestu jest państwowa szkoła we Francyi neutralną.

»Neutralną szkołę Kościół odrzuca a to odrzucenie, które niektórzy nietolerancyą nazywają, łatwo uzasadnić. Czyż bowiem w wyłączeniu religii ze szkoły nie leży główna przyczyna tego złego, które dziś trawi Francyę, i w równej mierze rodzinie, moralności i miłości ojczyzny szkodzi?« Rodzicom nie wolno zasadniczo posyłać dzieci do szkół neutralnych, i tylko tam, gdzie ważne racye za tem przemawiają, może dziecko do takiej szkoły uczęszczać, pod warunkiem jednak, że sumienie jego nie będzie narażone i nauka religii w kościele lub w domu uzupełniona, a to tem bardziej, że szkoła neutralna, wbrew zamiarom prawodawców, straciła od dawna swój charakter i przemieniła się w instytucyę, mającą na celu dziecko wiary i moralności pozbawić. Więcej trzeba słuchać Boga, jak ludzi, choć i ofiary i cierpienia czekać będą.

Znajdują się w tym liście, który tu w krótkiem tylko streszczeniu podaliśmy, bardzo silne akcenty; są one jednak zrozumiałe. Jeden z dzienników krakowskich śpiewał przed kilku miesiącami hymny pochwalne ku czci dzisiejszej szkoły francuskiej; rzeczywistość jednak trochę inaczej się przedstawia.

W r. 1882 wykluczono ze szkoły naukę religii; w przeciągu dziesięciu lat wzrosła liczba małoletnich przestępców z 16 na 41 tysięcy. Dziś rzeczy stoją jeszcze gorzej. *Journal officiel* donosi, że w jednym roku 1907 liczba przestępców kryminalnych poskoczyła z 2143 (w roku 1906) na 2357 a więc o dziesięć procent; liczba drobniejszych, przez policyę karanych przewinień, wynosiła w 1907 roku 182.386 czyli 12.500 więcej, jak w 1906. Z tej liczby 32.140 przestępców nie osiągnęło jeszcze dwudziestu lat życia.

Więcej jeszcze zadziwia, że ta tak głośno reklamowana szkoła państwowa, bynajmniej się nie przyczynia do osłabienia analfabetyzmu. Liczba analfabetów wynosiła w roku 1882 tylko 14%; w r. 1900 zaś 25—30%.

Nie ulega wątpliwości, że nie sama szkoła w tem wszystkiem zawiniła, ale ona przedewszystkiem. Trzydzieści tysięcy nauczycieli są dzisiaj zdeklarowanymi socyalistami i wrogami religii,

i liczba ta z dnia na dzień wzrasta, a trudno wymagać, aby ludzie, którzy ostatnimi dniami na kongresie w Nancy odrzucili dużą większością nawet wykład tak zwanej nauki moralnej w szkole, mogli wywierać jakiś dodatni wpływ na kształcącą się młodzież. To ciężki zarzut, lecz uzasadniony.

»Spotykamy wszędzie — pisze Teodor Legrand — a prawie zawsze wyłącznie w kołach młodszych nauczycieli, wychowanych w ostatnich dziesięciu latach w szkołach normalnych nauczycieli ‚współczesnego stylu'. Nie chcę twierdzić, że nasze szkoły normalne są seminaryami anarchizmu i rewolucyonizmu. Nie! Ale ‚moralny kierunek', jaki tam kandydatom na nauczycieli nadają, nie jest zawsze ten, który wychowawcy odpowiada«. Legrand twierdzi dalej, że wyrabia się w gronie nauczycielskiem zbytnie wyobrażenie o swoich prawach i stanowisku a zaniedbuje wyrobienia poczucia obowiązku i kończy: »Gdyby źli nauczyciele byli tylko w znikomej mniejszości, byłoby dziecińśtwem kłopotać się tem. Jeżeli jednak ktoś nie jest ślepym i głuchym, musi przyznać, że to zło w ostatnich latach strasznie wezbrało«.

I ten głos nie jest odosobnionym. Umiarkowanie republikańska *Republique Française* wydaje również ostry sąd o szkole francuskiej: »Z Juliuszem Ferry grubo zbłądził i Wiktor Hugo, gdy pisał: Tam, gdzie założycie szkołę, zburzycie więzienie. Liczba bowiem więzień i młodocianych zbrodniarzy wzrasta mimo obowiązku szkolnego w zastraszający sposób. Może byłoby lepiej mniej uczyć, a więcej wychowywać i samemu kształceniu dać silną moralną podstawę i nie wykluczać systematycznie religii. W chwili reformy szkolnej staliśmy wszyscy pod wrażeniem wielkiej, ostatniej wojny i powtarzaliśmy: bitwy pod Sadową i Sedanem wygrał niemiecki nauczyciel. Francuski nauczyciel miał przygotować przyszłe zwycięstwa, powetować hańbę klęski, zwrócić ojczyznie zabrane prowincye. Co z tego wszystkiego zostało, wiemy dobrze. Wpływ polityków znieprawił ciało nauczycielskie; dziś znajduje się ono na prostej drodze wiodącej do anarchistycznej międzynarodówki«.

Wobec takich słów, pochodzących ze strony niepodejrzanej, gdyż niekatolickiej, nic dziwnego, że biskupi uznali za swój obo-

wiązek zabrać stanowczy głos w tej sprawie i to mimo przekonania, że narażą się tylko na nowe szykany, na zarzut szerzenia niezgody w skołatanej ojczyznie i, jak to zresztą miało już miejce, na nikczemne ataki ze strony wrogiej prasy. Prawa Boże idą jednak przed prawami człowieka!

Z katolickiego kongresu w Belgii

Dwudziestopięciolecie katolickich rządów w Belgii święcili katolicy wielkim kongresem, który od 23—27 września obradował w starem biskupiem mieście, Melchlinie. Tak kongres sam, jak więcej jeszcze przyczyna, dla której zwołany został, wywołały niezadowolenie opozycyi. Socyaliści postanowili w pierwszej chwili uniemożliwić obrady a przynajmniej rozbić pochód, ustąpić jednak musieli wobec żywiołowej potęgi przeszło stutysięcznego tłumu i nie odważyli się na żadną wrogą demonstracyę. Liberali postanowili kongres zbojkotować i nim się nie zajmować; to też w pierwszym dniu, z wyjątkiem przedstawiciela *Etoile belge,* nie pojawił się żaden dziennikarz z przeciwnego obozu; na następnych za to posiedzeniach nie brakło żadnego, zaczynając od *Independance* a kończąc na *Peuple.*

A było czemu przypatrywać się i było co podziwiać. Cały episkopat belgijski, gremium ministeryalne, mnóstwo deputowanych i intelligencyi i około 150 tysięcy uczestników z Belgii i Francyi a nawet Niemiec; wśród tych uczestników przeważała klasa robotnicza. Był to przegląd sił i wspaniały tryumf katolickiej myśli, pracy i walki całe ćwierćwiecze trwającej.

Kongres nie utracił jednak równowagi na widok tych zmobilizowanych sił; dobrze zrozumiał i odkrywał rany na katolickim organizmie społeczeństwa i przyłożył rękę do ich uzdrowienia. Stąd częste nawoływania do jedności, z ofiarą i poświęceniem własnych osobistych teoryi i interesów, jeżeli one stają w sprzeczności z dobrem ogółu. Stąd energiczne domaganie się równych praw dla języka flamandzkiego, który jest językiem większości, po macoszemu dotychczas jednak traktowany i dlatego ciągłem źródłem rozdwojenia i wzajemnych waśni. Stąd przedewszystkiem ważne rezolucye, domagające się równych praw dla prywatnych szkół wyznaniowych. Kongres stanął przez te rezolucye wpraw-

dzie w sprzeczności z ministrem Woeste, który nie jest wielkim zwolennikiem tego równouprawnienia, gdyż lęka się ingerencyi państwowej, lecz naród czuje się widocznie na siłach, by do tej ingerencyi nie dopuścić.

Wrzała praca na poszczególnych posiedzeniach i w rozlicznych sekcyach a gdy do pożegnalnego pochodu stanęło przeszło tysiąc pięćset katolickich stowarzyszeń ze sztandarami, gdy z prastarej katedry w uroczystej procesyi wyniesiono relikwie świętych patronów kraju i gdy wszystkie stany wobec majestatu Boga w jedno się zlały i wszelkie różnice znikły, przywódcy ruchu katolickiego, długoletnią pracą i walką znużeni, wzrośli na nowo w siły i zrozumieli, że wszelkich trudów i uciążliwej pracy wielkie owoce, bo błogosławieństwo Boże na nich spoczywa.

Objawy pocieszającej tolerancyi

Do często używanych, częściej jeszcze nadużywanych haseł ostatnich szczególnie czasów, należy bez wątpienia hasło »tolerancya«. Brak tolerancyi zarzucają katolikom protestanci, gdy ci nie pozwalają plwać i błotem obrzucać swoich świętości; o nietolerancyę oskarża nas czerwony obóz, gdy zwracamy uwagę ludu na niebezpieczeństwo, z tego właśnie obozu płynące; tolerancyi odmawiają nam stronnictwa liberalne, gdy odważymy się mieć odmienne od nich zdanie. Stała się tolerancya wogóle udziałem wszystkich, prócz katolików. To też prawdziwą przyjemność i pociechę sprawiają objawy rzeczowej tolerancyi względem katolików w Danii, o których wiadomości z tego protestanckiego państwa coraz częściej dochodzą.

W końcu sierpnia mianował król państwa, w którem mała tylko żyje garstka katolików, prezydentem ministrów a więc kierownikiem całej polityki rządowej katolika, hr. Holsteina. Protestancka prasa duńska, kościelna i polityczna, przyjęła ten wybór spokojnie, jako fakt dokonany i w całej Danii nie znalazło się jedno nawet pismo, któreby wystąpiło przeciwko hr. Holsteinowi dlatego, że jest on katolikiem. Zaznaczono w gazetach, że nowy prezydent jest synem katolickiego Kościoła a zaznaczono to rzeczowo, bez zjadliwości, bez insynuacyi i podejrzeń. Cały naród, mimo że hr. Holstein jest katolikiem z przekonania i nieraz już

w obronie katolicyzmu publicznie występował, widział i sądził w nim tylko polityka, z którym można się nie zgadzać, a którego zaufanie króla do steru powołało i w swej ocenie nie powodował się bynajmniej tem, że wyznaje on odmienną od krajowej wiarę.

Tę samą tolerancyę pokazuje naród duński względem katolickich szpitali i szkół. Pewną częścią szpitali i sanatoryów kierują katolickie zakonnice. Te szpitale utrzymują protestanci, którzy tłumnie w nich szukają przytułku i pomocy, a jeżeli na co się skarżą, to według kopenhaskiego korespondenta monachijskiej *Allgemeine Rundschau* na to tylko, że księża katoliccy, odwiedzający chorych swego wyznania, nie chcąc się narazić na zarzuty propagandy katolickiej, nie zatrzymują się przy chorych protestanckich i od nich zdala się trzymają. I wcale nie rzadkimi są wypadki, że pastorzy, choć na swe usługi mają szpitale protestanckie, wybierają zakłady katolickie.

Szkoły, prowadzone przez katolickie zakony, tak wyższe, o charakterze raczej międzywyznaniowym, jak przedewszystkiem niższe, ściśle wyznaniowe, są zawsze przepełnione dziećmi ewangelickiemi i to tak dalece, że nie tylko mieszane, ale więcej jeszcze może, czysto protestanckie małżeństwa, dzieci swoje do tychże szkół wysyłają. Protestanci też przeważnie do utrzymania tych szkół się przyczyniają. Oni bowiem urządzają dla nich roczne bazary, koncerty i przedstawienia; biorą w nich udział i innych do tego zachęcają a protestancka prasa chętnie dla tych celów otwiera swe łamy.

Nie na tem koniec. W średnio-wielkiem mieście, Naestved, gdzie liczba katolików jest znikająco mała i gdzie o jakimkolwiek ich wpływie nie może nawet być mowy, jest tamtejszy katolicki proboszcz, ks. dr. Hansen, członkiem rady gminnej i przewodniczącym rady powiatowej. Wybrano go na ten urząd już kilkakrotnie a każdy widział w nim nie katolika, lecz człowieka dla tych urzędów odpowiedniego.

Wobec takich objawów prawdziwej wyrozumiałości, nikogo już nie zadziwi, że zmiana wyznania, choć nie jest ona w Danii — przyznać to trzeba — zbyt częsta, nie jest także utrudniona. Skutkiem tej zmiany nie rodzą się waśnie i niesnaski w rodzinach

i nie zostają też zerwane więzy przyjaźni i codziennych stosunków. Zmianę uważają Duńczycy za osobistą sprawę własnego sumienia i tem się zadawalniają.

Podobny powyższym pocieszający objaw dochodzi nas i z Anglii. Odbywał się tam 29 września wybór nowego lord-mayora Londynu. Do r. 1893 urząd ten, dający pewne nawet prawa suwerena, mógł piastować wyłącznie członek anglikańskiego Kościoła; w r. 1893 wybrano po raz pierwszy, wbrew protestom fanatyków, katolika Stuarta, ojca dzisiejszego lorda-mayora; miarodajnemi były przy wyborze osobiste zalety lorda-mayora, które mu w krótkim czasie zjednały uznanie dworu i narodu.

Nie obeszło się i obecnie bez wrogiej agitacyi ze strony protestanckiej; głoszono dawne bojowe hasło *no popery* precz z papizmem, gdyż chodziło nie tylko o przekonanego katolika, jakim jest John Stuart Knill, ale co więcej, o ucznia nawet jezuickiego; u Jezuitów bowiem we Feldkirch otrzymał on swe wychowanie. Lecz i tym razem opozycya zamilkła wobec osoby kandydata, w którym ceniono jego przymioty bez względu na wyznanie.

Ciekawe światło na sposób, w jaki w tej trochę powikłanej sprawie poradzili sobie Anglicy dla uspokojenia opozycyi, rzuca egzamin, któremu kandydat poddać się musiał. Była to swoją drogą we wszelkich szczegółach wpierw już omówiona formalność, w każdym jednak razie znamienna.

»Czy na wypadek wyboru będziesz utrzymywał protestanckiego kapelana?«

»Dla spraw ceremonialnych, tak; dla siebie, podobnie jak mój ojciec, wyznaczę prywatnego kapelana«.

»Czy obiecujesz, że przy wszystkich sprawach ceremonialnych oddasz pierwszeństwo, nie papieżowi, lecz królowi?« Przy tem pytaniu odezwały się oklaski, a równocześnie dwa głosy: jeden *no popery*, drugi protestujący przeciw pierwszemu, »za drzwi z nim«.

Na drażliwe pytanie odpowiedział Stuart: »w sprawach ceremonialnych: nie; życie prywatne jednak do mnie tylko należy«.

I trzecie jeszcze pytanie: »obowiązujesz się, gdy będziesz

wybranym, odwiedzić starym zwyczajem katedrę św. Pawła i inne kościoły?«.

»Tylko w obecności monarchy; w innych wypadkach wyznaczę sobie zastępcę«.

Na tem egzamin skończono i wybór wypadł jednogłośnie.

Dla protestantów innych krajów i dla różnych sekciarzy w łonie własnych społeczeństw, są te przykłady gorzką nauką; dla katolików pociechą i choć słabą zachętą do większych nadziei na przyszłość.

Zielony papież.

Pod tym tytułem drukuje włoska socyalistyczna *Avanguardia* ciekawy, przeciw działalności loży zwrócony artykuł. Wielkiej wagi do niego nie przywiązujemy, gdyż wszystkie elementy, dążące do przewrotu, na tej samej drodze zawsze się spotykają, a zresztą jedno i drugie to samo warte. Jest on jednak doskonałym dowodem, jak powoli gospodarka wolnomularska wszystkim daje się we znaki.

»Powiew zepsucia, — pisze *Avanguardia* — wszystko przenika: stronnictwa tracą swój stary program; mężowie stanu przybierają obłudne maski; powstają partye opierające się nie na ideałach, lecz na interesach: wszędzie czuć cuchnące sekciarstwo, niezaspokojone ambicye, groźne niezadowolone pragnienia. A za całym tym kotłującym brudem stoi w ciemnościach siła, która wszystko przekształca i wszystko znieprawia; siła, która posiada wyrafinowaną przebiegłość Piotrowego Kościoła i wyrobiony zmysł współczesnego cynizmu i pseudo-współczesnej demokracyi: wolnomularstwo. Już dawniej zwracaliśmy uwagę dziewiczej, świeżej duszy socyalistycznej młodzieży, wobec Boga i szatana, na zielone wolnomularskie niebezpieczeństwo, które tą samą drogą i z tą samą siłą dąży do zgubienia i zniszczenia proletaryatu, jak klerykalny czarny obóz. Dzisiaj jednak wołamy o pomoc i wzywamy do walki: za silnym jest nowy wróg, a sploty tego kameleonowego gada opasują już i nasze stronnictwo i usuwają tych, którzy nie chcą w nasze szeregi przemycać brudnych polityków bez ideałów i samolubów bez programów. Walka jest zażartą i ciężką; wiemy jednak, że po naszej stronie znajdują się zacni i szlachetni wszel-

kich kierunków i kochająca światłość, do socyalizmu należąca młodzież. Walka nie na żarty! W Florencyi był przy ostatnich wyborach kandydatem republikanów Otello Masini; przeciwko niemu postawili demo-socyaliści innego kandydata. I co czynią, aby mu zwycięstwo zapewnić? Zwracają się do wolnomularskiego Wielkiego Wschodu, który w imię wolnomularskiej solidarności i dyscypliny nakazuje towarzyszowi Masiniemu cofnąć swoją kandydaturę. Więc stronnictwa nie wchodzą więcej w rachubę? Więc wolne zgromadzenia wolnych mężów są tylko zabawką? A wolność stronnictw, wolność politycznych interesów i politycznych sił? To wszystko nic nie znaczy! Zielony papież dyktuje! Biedna, trzecia Italio! Biedna demokracyo, która takimi środkami socyalizm zwalczać pragniesz! Socyalistyczna młodzieży Włoch! rzuć raz tej starej obłudnicy słowa prawdy w twarz. Do broni! do broni!«

Zrozumiały, choć trochę spóźniony ten ból, boć przecież zawsze i wszędzie loża posiłkowała się towarzyszami, nie, by popierać usiłowania pracującej klasy, lecz by ze socyalizmu zrobić przednią straż gwałtownego przewrotu społeczeństw. I dobrze było, jak długo chodziło tylko o Kościół i katolicyzm. Dziś, kiedy role się odwróciły, przydałoby się może i socyalistom krótkie rozmyślanie na temat: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Ks. Wiktor Wiecki.

Miłosierdzie w Anglii [1].

Leży przed nami doskonała, nader ciekawa książka. Kto na zimę przygotowuje sobie plan czytania z zakresu dzieł społecznych, niech ją wciągnie do spisu książek godnych studyowania, a osoby mające czas i chęć tłumaczenia na polskie oddałyby rzeczywistą usługę społeczeństwu przyswajając to dzieło.

Ideał a praktyka życia, to są dwa bieguny miłosierdzia: z jednej strony stoją dobre serca, idące za instynktem współczucia, nie

[1] Virginia Crawford: *Ideals of Charity*. Sands et Co. Edinburgh. 21 Hanoveer Street.

wahające się przed wyrzeczeniem i ofiarą, z drugiej surowi teoretycy, odsyłający każdego ubogiego do »budza« nie myśląc, że ten w tej chwili pragnie chleba kawałek lub szklankę gorącej herbaty na zaspokojenie głodu. Działalność miłosierną pojmować jako rzecz, której uczyć się trzeba, jako umiejętność społeczną i gałąź ekonomii, to punkt widzenia zupełnie nam obcy. Panna Crawford pisze: »Pracownik społeczny musi podobnie jak każdy kto na innych polach pracuje przejść przez teoretyczne, praktyczne wykształcenie i ćwiczenie. Przypominam sobie jak ćwierć wieku temu, gdy zaczęłam się oddawać pracy we wschodnich dzielnicach Londynu; przez pierwsze sześć miesięcy nie umiałam sobie dać rady: ile to daremnego przeszłam trudu, nim nabrałam wprawy pod kierunkiem kompetentnym!« Przyznaje autorka wprawdzie, że naturalne dary ogromnie ułatwiają przyswojenie sobie umiejętności obchodzenia się z ubogimi: trzeba mieć zdolności dobrego wpływu, wesołą sympatyę, miłe zachowanie, nieustraszone i niezrażające się usposobienie. Niemniej wszystko to są dopiero rzeczy przygotowawcze: główną rolę dla pożytecznego i wydatnego działania, to poznanie stosunków ekonomicznych i wypróbowanych instytucyi społecznych, jak settlementy, ochrony, szkoły zawodowe, kluby kobiece, wykłady, konferencye; równocześnie zaś praca praktyczna w jakiejś specyalnej gałęzi miłosierdzia. Koniecznością jest poznanie »Prawa ubogich«. *London School of Economics*[1] daje co roku szereg prelekcyi w tym kierunku; liczy około 37 profesorów i 1500 słuchaczy; biblioteka składa się z 50.000 dzieł z zakresu wykładanych przedmiotów. Szkołę tę polecają tak katolicy jak protestanci jako najpoważniejszą i nader pożyteczną instytucyę. Towarzystwo Dobroczynne, *The Charity Organisation Society*[2] poleca znowu swoją szkołę socyologii i ekonomii społecznej, gdzie nauka trwa dwa lata, ściśle łącząc pracę teoretyczną i praktyczną pod umiejętnem kierownictwem. Stowarzyszenie to wybitnie protestanckie daje jednak i katolikom nader cenną pomoc i w poznaniu świata ubogich, chociaż ideały kierujące są inne. Protestanci i filantropi mniej kładą nacisku na podniesienie i wyrobienie duszy, surowiej sądzą upadłych grzeszników, kierują się głównie tem, co się okaże pożyteczniejszem dla społeczeństwa; katolicy patrzą na wartość duszy każdej wobec życia wiecznego.

---

[1] *London Kargs Way W. l.* Bliższe szczegóły Leslie: Some Methods of Social Study (Cath. Truth Society 1 d.)

[2] *De nison House.* Vauxhair Bridge Road S. W.

Inne instytucye polecane przez miss Crawford jako źródła naukowego przygotowania są *British Institute of Social Service*, którego organem jest kwartalnik *Progress* (11 Southamton Row), prenumerata 2 s. 6 d. rocznie.

Specyalnie sprawie kobiet oddanem stowarzyszeniem jest *The Womens's Institute* [1], gdzie mała liczba uczenic przygotowuje się do różnych praktycznych zawodów i rozporządza miłym lokalem klubowym, biblioteką i biurem informacyjnem. Oto są główne źródła, skąd czerpać można w Londynie umiejętność i przygotowanie do zawodowego uzdolnienia na polu pracy dla ubogich.

Towarzystwo św. Wincentego à Paulo stosunkowo niedawno przyjęło się na gruncie angielskim, przyszło tu daleką drogą, bo z Francyi do Meksyku a tam dopiero kardynał Vaughan uderzony jego użytecznością wprowadził je do Anglii. *Association of the Ladies of Charity* łączy w jednolitą organizacyę działalność miłosierną po parafiach pod przewodnictwem głównego dyrektora. Jest nim obecnie father Adrian Weld-Boundel (The Convent Carlisle Place — Westminster). Ogólny kierunek nadaje wielką spoistość poszczególnym wysiłkom i udziela wsparcia tak moralnego jak materyalnego wszędzie tam, gdzie zachodźi tego potrzeba: jest ono nader pożyteczne dla wyrobienia duchowego katolickich kobiet; ściśle pod kierownictwem Towarzystwa św. Wincentego pracują *settlementy* — to znaczy dobrowolne osady w ubogich dzielnicach miasta dla pracy wśród ludności robotniczej. Przykład settlementów dali filantropi protestanccy i oni też prowadzą największą ich ilość; forma i sposoby działania są zupełnie podobne, tylko oryentacya duchowa jest inna, bo gdy protestanci dążą do osiągnięcia natychmiastowych rezultatów za pomocą podniesienia kultury, ideałem katolickim jest praca nad duszami wedle wskazówek św. Wincentego à Paulo. Praca to ciężka, często beznadziejna; trzeba do niej wyrzeczenia i siły niezwykłej woli, aby przebyć wiele miesięcy wśród twardych warunków ubogiego otoczenia, wyrzekając się wygód, przyzwyczajeń całego życia, spędzonego w innych warunkach. A jednak dopiero kontakt codzienny daje ten wpływ na zaufaniu polegający, który tak trudno zyskać u ubogiej i niedowierzającej ludności. Trzeba tu wiele taktu i umiejętnego rozeznania stanu rzeczy. Nic bowiem zgubniej nie działa, jak nagłe zjawienie się w danym okręgu parafialnym jakiejś Lady Bountiful, która z nerwowym pośpiechem roz-

[1] 92 Victoria Street S. W.

daje na lewo i prawo ubrania, obuwie, kwity na żywność, pieniądze bez poprzedniego zbadania stanu rzeczy. Naturalnie wszystko to zamiast polepszyć dolę ubogich, pogarsza stan rzeczy i rozbudza złe instynkta, kończy się zaś tem, że owa przygodna i fantastyczna działaczka podnosi głośne skargi na niewdzięczność i zepsucie i daremność wszelkiej pracy dobroczynnej.

Przypomina mi to pewne zdarzenie noszące wszelkie cechy autentyczne. Jakiś pan wspierał stale ubogą rodzinę, posyłając swe znaczne pieniężne zasiłki przez zaufanego służącego. Ale zamiast polepszenia ich doli słyszał ciągle o coraz gorszej demoralizacyi i coraz większej biedzie. Gdy się skarżył na to i utyskiwał nad daremnością miłosierdzia, usłyszał propozycyę pewnej młodej i energicznej osoby: niech pan na moje ręce składa tę sumę a po jakimś czasie przekona się pan, jakie będą skutki! Ów pan zgodził się na to i po paru miesiącach niespodzianie zjawił się u owej ubogiej rodziny. Przedewszystkiem uderzył go porządek i czystość mieszkania, pierwej tak brudnego; miły, spokojny śpiew pobożnej pieśni dochodził z izby. Na kuchence gotowała się skromna strawa ubogo ale czysto i smacznie przygotowana; odwrócona od niego plecami kobieta pilnie łatała ubrania dziecinne śpiewając; postępuje dalej; dzieci spokojnie zajęte siedzą w kącie; na łóżku czysto zaścielonem drzemie chora staruszka, która pierwej ciągle narzekała. Koło niej była właśnie zajęta jakąś drobną pracą owa młoda panna. Gdy zobaczyła swego znajomego i jego zdziwienie z uśmiechem wskazała wesołym ruchem całe to miłe choć ubogie otoczenie i cicho rzekła: Proszę się cieszyć skutkiem swej jałmużny! — Ależ pani! — brzmiała odpowiedź — pierwej ja też dawałem a było tak źle. Pijaństwo, brud, opuszczenie — a teraz co za różnica! — Bo pieniądze same demoralizują ubogich — wyjaśniła odpowiedź. Dla prędszego zabicia głodu posyła się po wódkę i przysmaki; ja dostając od pana pieniądze dla nich, ani centa do ręki nie daję. Ojciec rodziny, który był chory, pod umiejętną opieką lekarską wyzdrowiał i musi zarabiać: kobieta przypomniała sobie sporządzanie taniej i smacznej strawy; dzieci chodzą do szkoły; starowina jest dobrze obsłużona. Zaglądam tu często i pilnie wymagam porządku i wesołej swobody w domu, która męża i dzieci przywiązuje do ogniska własnego.

Ów pan nizki złożył ukłon przed opowiadającą: Ja dawałem pieniądze i sprowadzałem tylko upadek; pani umiała je użyć i dać im duszę miłosierdzia i tak dopiero uczyniła je owocnemi. Oto hi-

storya umiejętnego miłosiernego działania, podnoszącego moralny poziom przy materyalnej pomocy.

Miss Crawford usilnie przestrzega też przed dyletantyzmem dobrego serca, wskazując na zgubne jego skutki. W Anglii każda parafia i gmina ma swą radę dobroczynności i mianowanych przez nią członków odwiedzających. Nowicyusze niedoświadczeni stają się łatwo łupem przemyślnych wyzyskiwaczy, którzy bez skrupułu kłamią i oszukują kogo się tylko uda, rano, w południe i wieczór, wyżebrując pomoc od niewiedzących o sobie stowarzyszeń. To też Miss Crawford silny kładzie nacisk na współdziałanie i porozumienie wspólne na posiedzeniach Rady dobroczynnej, którą rada gminna posiada dla wydatniejszej pomocy ubogich. W Anglii różnice religijne nie stanowią przeszkody do wspólnej pracy wszędzie tam, gdzie chodzi o korzyść ubogich. Kardynał Manning przełamał przykładem swoim uprzedzenia katolików; długoletnia jego przyjaźń z pastorem Benjaminem Vaugh i wspólne oddanie się sprawie chorych, zaniedbanych dzieci, stała się początkiem założenia Stowarzyszenia Ochrony dzieci *(The National Society for the Prevention of Cruelty to Childrem)*, dalej z przyjaznego współpracownictwa obu tych wybitnych mężów wyszła inicyatywa Towarzystwa letnich kolonii dla dzieci — dwadzieścia lat wspólnej pracy nie było nigdy zakłócone żadną dysharmonią. Dzięki temu porozumieniu katolicy wyrobili sobie specyalne prawa dla dzieci katolickich; są one zawsze umieszczane razem u katolików blizko kościołów i poddane pod kontrolę katolickich opiekunów. Wogóle przy tem porozumieniu z protestantami nie zaniedbują gorliwi pracownicy interesów swych współwyznawców. W domach pracy wyszukują zobojętniałych starców, w małżeństwach mieszanych przypopominają wytrwanie przy układach gwarantujących religię dzieci — ułatwiają bywanie na mszy, przystępowanie do Sakramentów św., uczestniczenie w rekolekcyach, ale wszędzie na tem polu odczuwa się brak dostatecznej ilości pracowników: nazywają się oni *poor-law guardians* i są mianowani przez Rady dobroczynne gminy t. zw. *Poor Law Boad.* Nigdzie opieka obowiązkowa nad ubogimi nie jest tak doskonale zorganizowana jak w Anglii. Profesor Michalski w swej nader ciekawej książce »Prawo ubogich« daje kilka dokładnych szczegółów o rozwoju tej opieki państwowej. Za panowania królowej Elżbiety w r. 1601 wydano ustawę określającą podstawowe zasady organizacyi praw ubogich. Na niej oparta obecnie obowiązująca ustawa z 14 sierpnia 1834. Wsparcie ubogich jest prawnie uznanym obowiązkiem państwa. Spe-

cyalny podatek *(Poor Rate)* istnieje z górą 300 lat, pobiera się go i wymierza wedle parafii a opiera na majątku nieruchomym. W obecnym parlamencie są znowu na porządku dziennym reformy prawa ubogich i organizacyi *Poor Law Guardian*. Dały one powód do obszernych dyskusyi, zwłaszcza *Times* zajmował się wiele tą kwestyą w numerach z czerwca 1909 r. Chodzi tu o ścisłe ujęcie wszelkiej prywatnej dobroczynności w ramy państwowej organizacyi: dało to powód do gorącej wymiany przeciwnych zapatrywań. Podwyższenie podatku na rzecz ubogich osłabi wydatność prywatnej ofiarności, — przymus poddania się pod przepisy ustawy wiążącej inicyatywę prywatną zniechęci wielu ludzi lubiących niezależność; z drugiej strony niezmiernie ważnem jest porozumienie. Komisya parlamentarna proponuje jako sposób rozwiązania trudności, zbieranie się przewodniczących stowarzyszeń prywatnych i członków Rady dobroczynnej gminy. Pierwszą próbą było zwołanie posiedzenia wszelkich instytucyi zajmujących się opieką nad zaniedbanemi dziećmi w Londynie w maju 1909.

Tych kilka szczegółów posłużyć może do zrozumienia czem są *poor law Guardian* i *district visitors* — o których ciągle wspomina Miss Crawford — daje ona tu nader cenne wskazówki, z których może korzyść wyciągnąć każdy, kto chce pracować pożytecznie wśród klas robotniczych. Najpierw przestrzega, że odwiedzanie i konstatowanie stanu moralnego i materyalnego nigdy nie powinno być powierzone ludziom, niedoświadczonym. Drugą ważną bardzo wskazówką to nacisk na dyskrecyę i poszanowanie indywidualnej swobody ubogich rodzin. »Przecież nigdy nie wchodzimy do równych nam, ale nieznanych bliżej domów bez zachowania pewnych form, unikając niestosownych godzin, gdziebyśmy przeszkadzali pani domu. Gdy to czynimy, musi być naszem usprawiedliwieniem jakiś powód ważny. Do tych samych względów ma prawo każda uboga rodzina — to też fatalnie nieraz działa bezceremonialność odwiedzających, którzy pod wezwaniem miłosierdzia obrażają delikatnie czujących ubogich. Najłatwiejszym pretekstem zbliżenia się i zyskania zaufania to zawsze pomoc dla chorych dzieci, suchotników, położnic — współpracownictwo z państwową radą zdrowia każdej gminy ułatwia zyskanie pomocy lekarskiej; t. zw. *health visitor* zdaje sprawę z stanu rzeczy. Opieka parafialna i gminna wezwana równocześnie, wspólnie zajmuje się ubogim chorym, któryby inaczej mógł uledz swej niemocy.

Jedną z najstarszych form stowarzyszeń, tak w protestanckich jak katolickich parafiach, to zebrania niedzielne matek — *Mother's*

meeting. Jest to sposobność rozrywki i zarazem pewnego podniesienia umysłowego; ale użyteczność tych zebrań zależy od osób, które się niemi zajmują, inaczej są to źródła plotek nieskończonych lub unudzeniem monotonnem. Pożytecznem zajęciem tych godzin, to kurs szycia lub kroju, jako ręcznego zatrudnienia. W Monachium katolickie zebrania niedzielne uzyskały pozwolenie na tę naukę mimo święta. Dalej ogromną wagę odgrywa ładne, wyraziste czytanie zajmującej treści. Będą to rzeczy religijne, to znowu powieści, lub wiadomości z zakresu hygieny i gospodarstwa. Herbata i bułki kończą zebrauia. Mają one wielkie znaczenie łącząc i zbierając kobiety zamężne; często powstają wtedy projekta różnych wspólnych przedsięwzięć, lub bywają poruszane kwestye praktyczne. Jedną z takich jest pytanie: czy kobieta zamężna i mająca dzieci powinna zarabiać poza domem? Miss Crawford jest zdania, że te pieniądze przynoszone z fabryki są okupione dużo większemi stratami w domu. Najpierw śmiertelność dzieci, zaniedbanie domowego gospodarstwa, kupowanie po sklepikach strawy źle sporządzonej, wreszcie rozwijanie lenistwa u mężczyzn, którzy często cały ciężar utrzymania domu zrzucają na barki żony. A te biedne kobiety są często nad siły przeciążone — to też niezmiernem dobrodziejstwem dla nich, to są świeżo wprowadzone »wakacye«, to jest wyprawianie na świeże powietrze takich przepracowanych kobiet, które nigdy dla siebie nie zaznały odpoczynku i swobody.

Kolonie letnie dla dzieci są dziełem świetnie się rozwijającem. Czas ich trwania to przeważnie dwa tygodnie, a koszt od jednego dziecka wynosi przeciętnie szylinga. Coraz mniej jest dzieci tak nie znających wsi, któreby nie chciały pić mleka, patrząc jak się je wydaje. »Ja chcę mleka z ładnego, czystego dzbanka, nie od brzydkiej krowy!« — dopominał się mały kolonista. Bardzo ważnym jest dozór i kierunek kolonii wysyłanej, w tym celu musi być stałe porozumienie z mieszkańcami wsi. Dla dzieci zostających w mieście bywają urządzane wycieczki i spacery całodzienne — także się zbiera je na całe popołudnie dla zajęcia i zabawy. Wogóle Anglia dba niezwykle o dzieci, ten kapitał społeczny przyszłości — dość nadmienić zimowe żywienie dzieci szkolnych: ubiegłego roku wydano na ten cel około 50.000 f. szterlingów w samym Londynie tylko! Ważnym szczegółem w organizacyi kolonii letnich, to rozdział pracy umieszczania dzieci na prowincyi. Tak zwani korespondenci zgłaszają się do Głównego Zarządu, ofiarowując swe usługi w wyszukaniu odpowiedniego umieszczenia dla dzieci, przygotowania dla ich wyżywienia. »Dobre serca« poddają

się chętnie regułom ściśle określonym i praktycznie »po kupiecku« obmyślanym, unikając dyletantyzmu i zawodów pochodzących z niedoświadczenia, osiąga się daleko większe rezultaty. Nadmienić też trzeba umiejętność zużytkowania pracy dziecinnej: w porze zbioru porzeczek, agrestów, malin, fermerzy zapraszają dzieci szkolne lub wychowańców jakiegoś zakładu do siebie, pozwalają im najeść się do woli, wziąść z sobą małe koszyczki owoców, ale za to muszą obrać pewną wyznaczoną ilość krzewów z owoców, pod dozorem swych przełożonych. Koszta drogi ponoszą fermerzy nawpół z dziećmi lub szkołą. Jest to też forma »wakacyi«. Wielu wielkich właścicieli chętnie ofiarowuje w ciągu lata swe parki na t. zw. majówki, w dnie oznaczone otwierając bramy wspaniałych swych zamków na przyjęcie zaproszonych przez dany komitet gości. Smutno pomyśleć, co za zniszczenia sprawiłyby u nas dzieci, wzięte wprost ze szkoły i niedostatecznie pilnowane. A jednak możnaby je i w tym kierunku wychować. Ale i tu warto przypomnąć, że wszędzie ludzka natura podobna: jedna z niedoświadczonych katechistek obrała ogród owocowy dla lekcyi niedzielnej religii: dzieci słuchały ją z roztargnieniem, — ledwo godzina się skończyła, uczniowie jednomyślnie runęli ku śliwkom, nęcącym swemi owocami, mimo usłyszanych co dopiero nauk. Miss Crawford zamiast oskarżać dzieci, wini o nieroztropność nauczycielkę, która je nie powinna na pokusy narażać i mimo tego stale zaleca ofiarowanie cienistych ogrodów na miejsce zebrań niedzielnych dla matek i dziewcząt.

Osobne rozdziały poświęcone są pracy nad podniesieniem duchowem; są to starania podjęte nad robotnikami sezonowymi, używanymi w chmielarniach, — dalej rekolekcye zamknięte dla klas pracujących— wreszcie zupełnie specyalna praca nad odrodzeniem dziewcząt, które przez lekkomyślność lub zbrodnię stały się pierwszy raz matkami. Ten ostatni dział musi być prowadzony z ogromną roztropnością i indywidualnem rozeznaniem każdego poszczególnego wypadku i usposobienia. Trzeba tu unikać zarówno zbytecznej surowości jak i sentymentalizmu. Miss Crawford uważa, że dzieło to najlepiej prowadzą domy zakonne, specyalnie poświęcone temu, zaś panie na świecie pożytecznie działają przez umieszczanie i nadzór nad dziewczętami, które po słabości przebytej w klasztorze, potrzebują zarobku i opieki w tem napowrót zaczynającem się życiu, które może być zupełnem ich odrodzeniem.

Myśl zamkniętych rekollekcyi przyszła z Belgii do Anglii. R. Bazin

słusznie opisał w swej książce *Le blé qui lève* wrażenia i skutki moralne tych dni błogosławionych, gdzie ludzie ciężkiej pracy oddani, nagle są oderwani od trudów materyalnych i zupełnie porwani w sferę duchowych horyzontów. Znany i znakomity kapucyn O. Couthberg, którego śliczna praca »Bracia Mniejsi i ich przeniesienie do Anglii« oraz »Ideały społeczne« zostały przetłumaczone na polskie, specyalnie oddaje się robotniczej rzeszy wędrujących chmielarzy, którzy nieraz spoganieli i zapomnieli o wszelkiej prawdzie religijnej. Przy końcu książki Miss Crawford zapytuje: niejedna osoba wiekiem na pozostawanie w domu skazana zazdrości pracownikom czynnym, i żali się na swą bezużyteczność. Zupełnie to jest niepotrzebnem. Są dobre dzieła, które przy swym kominku wykonać można. A więc: roboty kościelne, które są później rozdawane przez stowarzyszenia specyalne, potem szycie ubrań dla Catholic Needlework Guild — w jednej tylko prowincyi Southwark rozesłano 10.000 ubrań do różnych ubogich parafii. Tylko tu przestrzega autorka przed niedbałością szycia, złym krojem i zaniedbaniem estetyki: »dlaczegóż biedacy mają nosić brzydkie rzeczy, gdy przy tym samym koszcie, ale troszkę więcej starania mogą mieć ładną, wesołą i dobrze skrojoną odzież?« Wtedy czyn miłosierny będzie znacznie większej wartości. Inną pracą to zbieranie od znajomych gazet, tygodników, broszur przeczytanych i rozsyłanie ich do szpitali i chorym oraz do klubów robotniczych, czy kuchni ludowych. Odnosi się to do pism katolickich, *The Catholic Reading Guild* zajmuje się specyalnie kolportażem i szerzeniem katolickiej literatury w porozumieniu z *Catholic Trath society literature*. Wydawnictwa te, umieszczane w salonie, są najpierw przedmiotem rozmowy, następnie rozpożyczane lub rozsprzedawane znajomym stają się niezwykle silnym środkiem agitacyjnym. Wreszcie pożyteczną pracą: to wykalanie książek dla ślepych systemem Braille, który jest bardzo łatwym do nauczenia się. Dzięki tej pomocy osób prywatnych, wypożyczalnia książek dla niewidomych liczy dzisiaj około 30.000 tomów i czyni im przystępną całą literaturę ważniejszą dzieł pożytecznych.

Takie to są prace katolików angielskich, które przełamały uprzedzenie dzielące je od całego społeczeństwa: Wyjdźcie z katakumb! to było hasło kardynała Mauninga, który żądał od swoich podwładnych szczerej, jasnej, energicznej działalności społecznej i rozwinięcia poczucia odpowiedzialności obywatelskiej, odważnej pracy i usunięcia uprzedzeń. Kobiety katolickie Anglii coraz więcej przejmują się tym duchem. Liga kobiet katolickich założona w r. 1906, dzięki inicya-

ywie Miss Fletscher stwarza atmosferę i pogłębienie społecznej pracy przez konferencye, odczyty i wspólne zjednoczenie usiłowań. To też z prawdziwem podniesieniem ducha myśli się o Anglii, która coraz więcej wybija się na pierwsze miejsce w świecie katolickim.

M. Harsdorfowa.

Wśród terminatorów wschodniej Galicyi.

Na całej linii naszego kraju widać, że społeczeństwo kwestyą rękodzielniczą, tak niedawno zupełnie zaniedbaną, poczyna się wielce zajmować. Władze krajowe wszędzie budują szkoły zawodowe, ludzie dobrej woli zajmują się młodzieżą rękodzielniczą i tworzą stowarzyszenia, patronaże, bursy i t. p.

Zajmując się od pewnego czasu kwestyą terminatorską, skorzystałem z pobytu we wschodniej Galicyi i zbadałem osobiście pole pracy nad terminatorami w niektórych miastach. Nie kreślę tu wyczerpującej historyi powstania i rozwoju pracy nad terminatorami każdego z tych miast, lecz pragnę tylko czytelnikom dać krótkie pojęcie, jakiem tętnem obecnie bije życie pracy nad terminatorami owych miast.

Tarnopol, w którym najpierw badałem stan pracy nad terminatorami, co się tyczy pracy oświatowo-społecznej nad nimi, można powiedzieć, jest prawie w zupełnem zaniedbaniu. Obecnie miasto wraz z krajem kończy budowę szkoły ślusarskiej. Przy szkole ma być mały internat. W r. 1907 powstała »Opieka św. Stanisława Kostki nad terminatorami«, założona przez jednego z księży Towarzystwa Jezusowego, lecz po kilku miesiącach z powodu rozmaitych okoliczności upadła. Dziś terminatorzy w Tarnopolu nie mają żadnego stowarzyszenia ani patronażu.

Stanisławów. Od 18 lat założona jest szkoła drzewna pod dyrekcyą Eustachego Merunowicza, który nie tylko swe talenta, ale przedewszystkiem swe serce i miłość wlał w to dzieło. Wyniki z włożonej pracy nad wykształceniem fachowem są ponoć wielce korzystne. Również co do charakteru pomimo trudności z powodu zaniedbania uczniów pod taką dyrektywą są niemniej dodatnie. Dla innych szkół szkoła stanisławowska przemysłu drzewnego może być wzorem.

Jest też przy szkole internat od r. 1904 pod osobistą opieką p. dyrektora Merunowicza. Otrzymują oni po większej części za darmo mieszkanie, obiad jedzą w taniej kuchni, śniadanie i kolacyę zaś zwykle

przygotowują sobie sami uczniowie w maleńkiej kuchence urządzonej w internacie. Internat swą schludnością robi miłe wrażenie.

Powstało też w r. 1909 »Stowarzyszenie polskich burs rękodzielniczych«. Statut oparty na statucie krakowskim z wyłączeniem wspólnego wychowania z młodzieżą kupiecką. Działalność stowarzyszenia rozpoczęła się od założenia bursy dla terminatorów. Wynajęto dom z dość wielkim ogrodem na ulicy Kamińskiego. Bursa otworzoną została 1 czerwca 1909 r. Obecnie t. j. w lipcu ma zaledwie 7 terminatorów. Z powodu braku funduszów na razie przyjmują uczniów tylko za pewną opłatą. Uczniów przyjmują tylko Polaków religii rzymsko-katolickiej.

Również Związek stowarzyszeń przemysłowych w Stanisławowie na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu d. 22 lipca 1909 r. po obszernej i ożywionej dyskusyi uchwalił rezolucyę: »Przeprowadzić sprawę opieki nad młodzieżą rękodzielniczą«.

Kołomyja. Są tu dwie szkoły uczniów rękodzielniczych: jedna państwowa — drzewna, a druga krajowa — garncarska. Przy obydwóch szkołach są internaty podobnie, jak w Stanisławowie i innych szkołach całego kraju.

Od kilku lat jest w mieście »Opieka nad terminatorami pod wezwaniem św. Stanisława Kostki«, prowadzona przez księży Towarzystwa Jezusowego. Najwięcej zdziałał i obecnie jest duszą dzieła ks. Ludwik Morawski T. J., któremu każdy bezstronny musi przyznać, że wiele poświęcenia włożył w to dzieło. Owoce tej pracy są widoczne. Uznaje też zasługi ks. Morawskiego. i wysoko podnosi »Sprawozdanie zarządu uzupełniających szkół przemysłowych w Kołomyi za rok szk. 1903/1904. Patronaż ten ma: kasę oszczędności o formie blokowej, czytelnię z biblioteką o 300 dziełach. Do czytelni mają przystęp codziennie. Uczęszczających tygodniowo jest około 50. Mają aparat projekcyjny i bogaty zbiór diapozytywów. Piękny własny sztandar. Zabawy, gry i gimnastyka niepoślednie miejsce zajmują w opiece. Muzyka własna na dętych instrumentach. Uczęszczających w niedziele i święta w porze zimowej 60—70; w porze letniej 30—40.

Dnia 8 sierpnia 1908 r. za staraniem ks. Morawskiego powstała bursa dla terminatorów. Obecnie zawiązało się Towarzystwo, które ma już statut oparty na statucie burs krakowskich, tylko nieco o odmiennej barwie, gdyż czysto katolicko-narodowej. Wydział składa się przeważnie z panów należących do Kongregacyi Maryańskiej. Prezesem »Stowarzyszenia bursy polskiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki«

jest radca sądowy p. Michał Drohomirski. Gospodarzem bursy jest nauczyciel p. Aleksander Niweliński, wielki przyjaciel młodzieży rękodzielniczej, całą duszą oddany wraz z żoną sprawie terminatorów kołomyjskich. Bursę umieszczono w wynajętym domu z wielkim ogrodem i placem. Miejsce wymarzone na taki cel. Obecnie terminatorów w bursie jest 15, którzy przeciwnie jak w Stanisławowie, są po większej części za darmo i mają całkowite utrzymanie. Przy nich mieszkają państwo Niwelińscy i iście rodzicielską opieką ich otaczają. Wszyscy po tej bursie sobie wielce obiecują.

Powstało w ostatnich czasach inne »Stowarzyszenie młodzieży polskiej«, do którego to stowarzyszenia przyjmują też i młodzież rękodzielniczą, ale jak wieści chodzą po Kołomyi, stowarzyszenie to, jak na razie, nie rokuje na przyszłość wielkiej nadziei rozwoju.

Czerniowce. Choć Czerniowce nie należą do wschodniej Galicyi, jednak jest to placówka polska bardzo ważna, zwłaszcza dla stanu rękodzielniczego, gdyż ku memu zdziwieniu dowiedziałem się, że w Czerniowcach najwięcej stosunkowo rękodzielników jest narodowości polskiej.

Bardzo ciekawe tu zastałem stosunki w Polonii bukowińskiej, a zwłaszcza w sprawie terminatorów polskich.

W roku 1908 powstało »Towarzystwo im. Kilińskiego«. Celem towarzystwa jest: »opieka nad terminatorami narodowości polskiej, religii katolickiej«. Twórcą towarzystwa jest panna Janina Mitkiewiczówna, córka doktora Eugeniusza Mitkiewicza, znanego działacza w Polonii czerniowieckiej. Pisząc o kwestyi terminatorskiej w Czerniowcach trudno się powstrzymać, by nie napisać kilka słów o tej prawdziwie wybitnej córce polskiej ś. p. Janinie Mitkiewiczównie, która niedawno temu przeniosła się do wieczności. Jak pisze pierwsze sprawozdanie z działalności Towarzystwa im. Kilińskiego w Czerniowcach za czas od 8 marca 1908 do 15 maja 1909 r.: »Ś. p. Janina Mitkiewiczówna wszystkie siły swoje poświęcała celom tego Towarzystwa, a praca jej była różnorodna. Pracowała już to przez redagowanie pełnych głębokiej myśli artykułów, w których rozwijała i kształtowała myśl pracy nad młodzieżą rzemieślniczą, już to przez zbieranie składek. Pracowała szczerze i gorąco do ostatniej chwili, choć życie jej rwało się, aż padła wycieńczona na siłach, jak pada żołnierz waleczny na polu chwały za sprawę ojczystą«. Po śmierci ś. p. Janiny całą duszą oddali się tej pracy państwo Mitkiewiczowie i ks. kanonik Aleksander Opolski.

Chłopców na zebrania niedzielne i świąteczne uczęszczało około 40-tu. Przewodniczą zabawom przeważnie sami pp. majstrowie, a niektórzy z wielkiem poświęceniem. Z następującym programem odbywają się zebrania: nauka religii, dzieje ojczyste, śpiew, gimnastyka i zabawy, nadto obdzielano młodzież podczas każdego zebrania podwieczorkiem. Obecnie z powodu rozmaitych okoliczności liczba uczęszczających się zmniejszyła, lecz wkrótce ma nastąpić na całej linii reorganizacya.

Prócz patronażu Towarzystwo za inicyatywą i kosztem ś. p. Janiny a obecnie p. d-ra Eugeniusza Mitkiewicza otworzyło bursę dla terminatorów 1 listopada 1908 r. Bursę umieszczono w domu pp. Mitkiewiczów na razie na 10 chłopców, którymi jak rodzice najlepsi opiekowali się państwo Mitkiewicze. Trudno wymarzyć sobie większej miłości, lepszej opieki nad tę, której chłopcy doznali w tym prawdziwie polskim, katolickim domu. To też lepiej ułożonych chłopców nigdzie nie zastałem, jak w tej bursie.

W początkach lipca 1909 r. p. dr. Mitkiewicz całą swoją realność, składającą się z kamienicy, ogródka i placu zapisał na bursę terminatorów. Wszystkich terminatorów ma być 40-tu. Obecnie jest 10-ciu, utrzymywani są za darmo na koszt wyłącznie p. d-ra Mitkiewicza. To też cała Polonia czerniowiecka nie ma słów wdzięczności i czci dla cnót i pracy obywatelskiej państwa Mitkiewiczów. Zaiste jest to prawdziwy wzór wielkich dusz polskich, co wszystko składają dla wspólnego dobra ojczyzny.

L w ó w. Pierwszy młodzieżą rękodzielniczą zajął się O. Błażej Szydłowski, który stworzył »Opiekę nad terminatorami św. Stanisława Kostki« dnia 2 lutego 1896 r. O. Szydłowski pełen zapału dla tej sprawy, niedługo pracował wśród terminatorów lwowskich, bo zaledwie od 2 lutego 1896 do sierpnia 1897. Przełożeni powołali go do Krakowa, gdzie w 1897 założył podobną Opiekę nad terminatorami. Po nim we Lwowie objął O. A. Wróblewski, ale ten z powodu różnych przeszkód »Opiekę« oddał w ręce księży świeckich. Po O. Wróblewskim w 1898 r. objął troskę nad Opieką ks. Leon Wałęga, ówczesny kanonik lwowski a obecny biskup tarnowski. Za niego to kupiono dom dla terminatorów, który obecnie się znajduje na ulicy Śnieżnej nr. 5. Już O. Szydłowski i O. Wróblewski coś na ten cel zebrali, a ks. biskup Wałęga przy zasiłku z własnych pieniędzy do końca doprowadził kupno domu. Ks. biskup jeszcze jedno pożyteczne dzieło stworzył. Założył rodzaj internatu dla terminatorów. Z początku mieścił się on

na placu Strzeleckim nr. 10, przeniesiony potem na Rynek nr. 3, aż wreszcie internat umieszczono w domu »Opieki« na ulicy Śnieżnej nr. 5, który do dziś dnia istnieje. Obecnie internat ma od 16—20 chłopców. Otrzymują mieszkanie i opiekę, ale bez wiktu.

Po ks. biskupie Wałędze objął kierownictwo opieki ks. Kazimierz Dziurzyński, który do obecnej chwili jest na tem stanowisku. W pracy tej wielce też zasłużonym jest ks. dr. Albin Warszylewicz. Również alumni seminaryum duchownego dodatnią są pomocą w pracach Opieki.

W ostatnich czasach dla spraw terminatorskich zorganizowało się »Towarzystwo św. Stanisława Kostki opieki nad terminatorami«. Na czele towarzystwa stoi zasłużony w tej sprawie ks. Kazimierz Dziurzyński jako prezes, ks. dr. Warszylewicz jako przewodniczący kasy oszczędności, jako skarbnik towarzystwa p. Władysław Leńczak, który wraz z p. J. Górnickim jeszcze za O. Szydłowskiego niepoślednie zasługi położyli w sprawie terminatorów miasta Lwowa.

Obecnie na zebrania niedzielne gromadzi się od 120—180 terminatorów w sali własnego domu, gdzie też urządzona jest scena teatralna. Posiadają terminatorzy własną bibliotekę podzieloną dla młodszych i starszych. Dział I liczy 625 dzieł. Dział II 841 dzieł. Mają też kilka pism, kasę oszczędności, kółko amatorskie, wiele gier. Założono niedawno muzykę na dętych instrumentach. W łonie Opieki powstało »Kółko samokształcenia«, złożone ze starszych terminatorów i z młodszych czeladników. Kółko liczy obecnie 32 członków. Ks. Piwiński, jako prezes, a wiceprezesem jeden z czeladników. Zadaniem kółka jest kształcenie członków przez odczyty i pogadanki oświatowe i dawanie przedstawień dla młodszych kolegów. Mają też w domu terminatorskim swój własny lokal mile urządzony.

JE. Ks. Arcybiskup Bilczewski, który jest duszą i motorem pracy nad terminatorami m. Lwowa, rozszerzył opiekę na inne dzielnice miasta i tak powstały patronaże: Towarzystwo św. Marcina opieki nad terminatorami na ul. św. Marcina. Na zebrania uczęszcza 50—60. Towarzystwo św. Kazimierza. Patronaż ten powstał z łona Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. Na zebrania niedzielne uczęszcza 30—50 terminatorów. Towarzystwo błog. Jana z Dukli. Zajmują się OO. Bernardyni. Liczba uczęszczających niewielka.

Powstała w ostatnich czasach bursa dla terminatorów im. Dekerta, założona przez Izbę rękodzielniczą miasta Lwowa. Internistów około 20.

Inna bursa dla terminatorów powstała dzięki Lidze pomocy przemysłowej. Chłopców około 20.

Socyaliści założyli Związek młodocianych. Podzieleni są na grupy zawodowe, lecz oparci na takiej formie organizacyi nie mogą sobie dać rady. Wciąż się rozlatują. Stąd starają się terminatorów organizować przy poszczególnych zawodowych grupach czeladników.

Nowy Sambor. Katolicko-narodowej pracy nad terminatorami niema. Tylko czytelnia im. Kilińskiego założona przez Towarzystwo Szkoły Ludowej stworzyła oddział dla terminatorów. Nie wielu ich uczęszcza. W tym czasie dopiero ks. Administrator Hołowiński przystępuje do zorganizowania terminatorów m. Sambora.

Przemyśl. W r. 1903 w październiku powstała opieka nad terminatorami. Pierwszy rok zajmował się ks. Szafrański. Po nim objął kierownictwo ks. dr. Wojciech Tomaha, który pracując do r. 1909 poważne zasługi położył w sprawie terminatorów przemyskich. W r. 1907 J. E. ks. biskup Pelczar nadzwyczajny przyjaciel młodzieży rękodzielniczej zawezwał do pomocy ks. Augustyna Hlonda, salezyanina, który od października 1908 r. objął całkowicie kierownictwo nad terminatorami.

Do roku 1908 terminatorzy mieli zebrania w oficynie pałacu biskupiego. W październiku 1908 roku J. E. ks. biskup Pelczar zakupił z parterowymi domkami obszerny plac dla terminatorów na Zasaniu ul. św. Jana Nr. 15, gdzie obecnie zebrania terminatorów się odbywają.

Dzień 31 grudnia 1908 r. jest dniem pamiętnym dla terminatorów przemyskich, gdyż za sprawą J. E. ks. biskupa patronaż przemyski ks. dyrektor Hlond zamienił na Związek o ścisłej organizacyi i namiestnictwo pod tą datą zatwierdziło statut »Polskiego Związku katolickich uczniów rękodzielniczych pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Przemyślu«. Oparty on jest niemal identycznie na statucie pierwszego w Polsce Związku terminatorów w Krakowie z małemi zmianami dostosowanemi do warunków miejscowych.

Do sierpnia 1909 r. na czele Związku jako prezes stał ksiądz Augustyn Hlond. Obecnie zaś wielce zasłużony dla tej sprawy ks. Augustyn Hlond powołany przez swe zgromadzenie na ważne stanowisko do Wiednia ustąpił z Przemyśla, a na jego miejsce konsystorz biskupi według nowego statutu mianował prezesem Związku terminatorów ks. Walentego Kazaha, salezyanina.

W ostatnich czasach na ul. św. Jana w sali prowizorycznej

Związku zbiera się w porze zimowej 100—120, w porze letniej 80—100 terminatorów. Mają już kasę oszczędności, kółko amatorskie, śpiewackie i t. p.

Wkrótce ma stanąć na obecnym placu dom Związku katolickich terminatorów, gdzie będą się mieścić wszystkie urządzenia dla dobra i rozwoju terminatorów przemyskich. Dzieło to doniosłego znaczenia stwarza J. E. ks. biskup Pelczar. Za to wszystko należy się Mu wielka wdzięczność od całego społeczeństwa, gdyż nie tylko swą pomocą materyalną i duchową tak niezwykle ukochał sprawę terminatorską, ale przedewszystkiem, że odrzucił połowiczność środków w pracy terminatorskiej, jakie są patronaże i stanął od razu na stanowisku pracy wprawdzie dłuższej i żmudniejszej, ale za to gruntowniej i wszechstronniej rozwiązującą kwestyę społeczną młodzieży rękodzielniczej po miastach, a nią są związki terminatorskie z własnymi domami.

Prócz organizacyi katolickich terminatorów znajduje się w Przemyślu w czytelni im. Borelowskiego partyi narodowej oddział przeznaczonej dla terminatorów.

Socyaliści w 1908 r. poczęli organizować Związek młodocianych, ale ponoć oporem idzie im sprawa.

Również miejska kasa oszczędności zajęła się terminatorami. Zakupiła realność na ul. Lipowej górnej i urządziła bursę dla terminatorów.

Na tem kończę tegoroczne me badania w sprawie terminatorskiej. W niedalekiej przyszłości, jeśli okoliczności pozwolą, zwiedzę w tym celu resztę miast galicyjskich.

Zwiedzając i badając pole pracy w kwestyi terminatorskiej jedno nas wielce uderza. Władze krajowe rzuciły się przedewszystkiem na budowę szkół przemysłowych, a ludzie dobrej woli na tworzenie burs rękodzielniczych i na to pokaźne sumy pieniężne łożą. Niema wątpliwości, że dobrem to jest i może się przyczynić do podniesienia stanu rękodzielniczego w naszym kraju. Lecz czy to wszystko? Czy to rozwiązuje kwestyę młodzieży rękodzielniczej i robotniczej? Szkoła czysto zawodowa z natury rzeczy podnosi i doskonali zawód, ale nie wiele pomaga do wykształcenia ducha i serca przyszłych obywateli kraju. A wiemy dobrze, że i zdrowy rozum i zdrowe serce pomaga w udoskonaleniu zawodowem. Wszędzie się słyszy narzekanie po szkołach, że to chłopcy po większej części zaniedbani, zmateryalizowani, nieprzystępni na wyższe wyżyny zawodu i nieraz charaktery wprost

dzikie. Stąd z takim oporem idzie wykształcenie zawodowe. Otóż szkołom, na które tyle idzie kosztów, sił i talentów ludzi wykształconych, trzeba pomódz przez religijność, zdrową oświatę, odpowiednie wychowanie.

Wszędzie powstał też ruch w tworzeniu burs rzemieślniczych. Dziwna to rzecz, ale to tak zwykle u nas w Polsce bywa, kiedy za granicą ostygł zapał do burs rzemieślniczych, to u nas się dopiero rozpoczyna. Nie chcę tu ganić tego, przeciwnie chwalę, zresztą w kwestyi burs w przyszłości więcej napiszę, ale tylko zwrócić trzeba uwagę, że same bursy jako *malum necessarium* nie rozwiązują całkowicie, co się tyczy wychowania w kwestyi terminatorskiej już to z tego samego powodu, że choćby nawet odpowiedziały nadziejom w nim położonym, to jednak liczba terminatorów jest zbyt mała na te tysiące w naszym kraju. Obliczymy tylko w przybliżeniu wszystkie obecne bursy i internaty w całym kraju i pomnożymy liczbę obecnych wychowanków przez dwa w tej nadziei, że kiedyś w przyszłości taka liczba urośnie, to jednak taka liczba nie dorównuje czwartej części terminatorów młodocianych w samym Krakowie i Podgórzu, których jest przeszło 4000, a cóż z pozostałymi tysiącami setek miast całego kraju, którzy może najwięcej potrzebują pomocy od reszty społeczeństwa, bo nie mają odpowiednich warunków rozwoju tak pod względem duchowym, moralnym, jak i pod względem materyalnym i zawodowym. A są one opłakane jeszcze obecnie pomimo postępu naprzód w tej sprawie. Niech z wielu za przykład posłuży wywiad, jaki uczyniłem w jednem z miast Galicyi wschodniej: »Powiedz mi, mój przyjacielu, jak długo jesteś w terminie? — Dwa lata byłem u majstra X., a czwarty rok kończę u obecnego. — A więc kiedy kończysz termin? Za cztery miesiące, ale majster chce, bym jeszcze piąty rok terminował. — To znaczy, byś przyjacielu, wraz z tamtymi dwoma 7 lat terminował? Tak, proszę, — brzmiała smutna odpowiedź. — Udaj się do cechu i przedstaw sprawę. Kiedy mój majster jest podcechmistrzem...

A jakie twe jedzenie? Na śniadanie dostaję garnuszek kawy i kawałek chleba lub jedną bułkę. A na obiad? Rosół lub zupę i do tego trochę kaszy. — A na kolacyę? Garnuszek herbaty i kawałek chleba. — A dziś coś jadł na obiad? Mleko kwaśne z grysikiem. — Powiedz chłopcze prawdę, widzisz jestem tu nikomu nieznany, nic więcej nie jadłeś na obiad? Nic więcej nie jadłem. — A jakże, wystarczy ci to pożywienie? Nie. Jeśli dostanę coś pieniędzy od ubogiej matki lub od obcego za przyniesienie roboty, to wtedy sobie dokupuję.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Jaskółka. Powieść. *Gustaw Daniłowski.* Tomów 2. Nakładem Sp. nakład. »Książka«. Kraków 1909. Str. 266 i 324.

Pod czarem. Erotyki. *Feliks Witold Nowicki.* Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1909. Str. 72.

Tęsknota. Wiersze. *Feliks Witold Nowicki.* Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1909. Str. 80.

W gospodzie pod trzema zbójami. *Juliusz German.* Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Lwów 1909. Str. 340.

Car Łazarz. *B. Zaleski.* Biblioteczka Uniw. lud. Ks. 114. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 36.

Wybór poezyi. *Or-Ot.* Bibl. Uniw. lud. i młodz. szk. Nr. 111. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 61.

Wybór poezyi. *N. Żmichowska.* Bibl. Uniw. lud. i młodzieży szk. Nr. 110. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 39.

Wizyta w sąsiedztwo i listy poetyckie. *Fr. Morawski.* Bibl. Uniw. lud. i młodz. szkolnej. Nr. 113. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 21.

Kirgiz. Powieść. *G. Zieliński.* Bibl. Uniw. lud. i młodz. szk. Nr. 115. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 40.

Przygody młodości IMCi Pana Benedykta Winnickiego. *W. Pol.* Bibl. Uniw. lud. i młodz. szkolnej. Nr. 116. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 34.

Wybór poezyi. *J. Pogorski.* Kraków. Nakładem drukarni W. L. Anczyca i Spółki. Str. 255.

Refleksye wędrowca w cieniu ruin Olsztyna. Płock 1909. Nakładem autora. Str. 33.

Ник. Сабовскій. Антирелігійна резолюция. Жолква. Печ. ОО. Басилиьян 1909.

Nasze czytanki. *St. Okołowiczówna* i *H. Orsza.* Książeczka druga. Zima. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 87.

Zamek w Brzeżanach z planem z r. 1755. *Dr. M. Maciszewski.* Odbitka ze Sprawozdania gimnazyum I. Tarnopol 1908. Str. 64.

Program c. k. szkoły politechnicznej we Lwowie na rok szk. 1909/10. Lwów. Nakład Szkoły politechn. Str. 93.

Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosyi i Polski. *A. Szelągowski.* Lwów 1909. Nakład Tow. Wydawn. Str. XIV, 316.

P. K. Tacyta Dzieje. Tłumaczył Wł. Okęcki. Wydanie III zmienione. Kraków 1909. Nakład autora. Str. 215.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Pod redakcyą B. Chlebowskiego i innych. Tom V. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. Str. 481.

Nauki katechizmowe. Tom I i II. Poznań 1909. Nakł. drukarni św. Wojciecha. Str. 536, 644.

Nasze czytanki. *St. Okołowiczówna* i *H. Orsza.* Książeczka pierwsza. Jesień. Warszawa 1909. Gebethner i Wolff. Str. 82.

Chwała Boża w św. Antonim. Zebrał *ks. dr. W. Galant.* Wyd. drugie powiększone. Poznań 1909. Nakład drukarni św. Wojciecha. Str. 324.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Tow. Im. P. Skargi. Nr. 3. Grunwald. Brody. F. West. Str. 41.

Kwiaty i kłosy z niwy ojczystej. Zbiór utworów do deklamacyi. *Ks. M. Br.* Poznań 1909. Nakład drukarni św. Wojciecha. Str. 402.

Klucz do symboliki Anhellego. *A. Mazanowski.* Kraków 1909. Nakład autora. Str. 44.

Dobra służąca. *E. B.* Poznań 1909. Druk. św. Wojciecha. Str. 133.

Przewodnik po okolicach Krakowa. *Dr. Kl. Bąkowski.* Kraków 1909. Spółka Wydawnicza. Str. XVI, 173.

Egzorty świętalne. *Ks. dr. A. Bystrzonowski.* Kraków 1909. Spółka Wydawnicza. Str. VII, 319.

Listy do akademika: W pogoni za prawdą. *A. Mohl.* Serya I—II. Wyd. II. Poznań 1909. Druk. św. Wojciecha. Str. 317, 327.

Wybór pism. *K. Ujejski.* Z przedmową I. Chrzanowskiego. Kraków 1909. G. Gebethner i Sp. Str. 316.

Wojna 1809 roku. *M. Sokolnicki.* Kraków 1910. Nakład Szkoły Ludowej. Str. 35.

Przewodnik po Poznaniu i W. Ks. Poznańskiem. *K. Kościński.* Z mapą i rycinami. Poznań 1909. Druk. św. Wojciecha. Str. 224.

Wybór kazań. *O. Aug de Montefeltro.* Z oryginału włosk. Poznań 1909. Drukarnia św. Wojciecha. Str. XI, 168.

O życiu i dziełach J. Słowackiego. *Dr. W. Hahn.* Z 10 ryc. Nakł. F. Westa w Brodach 1909. Str. XV, 106.

Catalogus codicum MMSS. musei princ. Czartoryski. *Dr. St. Kutrzeba.* Vol. II, fasc. I. Cracoviae 1909. Str. 96.

Über die polnische mehrstimmige Musik des XVI Jahrhunderts. *Dr. A. Chybiński.* Odbitka z Riemann-Festschrift. Str. 8.

Kolportaż pożytecznych pism i książek. *Ks. A. Lisiecki.* Poznań 1909. Drukarnia św. Wojciecha. Str. 16.

Architektura rynku krakowskiego z czasów Królestwa Polskiego. *Dr. J. Zubrzycki.* Kraków 1909. Małe folio, str. 27.

Gotteslob. Predigten auf die Feste des Herrn. *P. M. Plattner O. S. B.* Freiburg im Br. 1909. Str. XIV, 434.

Historia philosophiae. *Dr. J. Kachnik.* Olomucii 1909. Nakładem R. Prombergera. Str. 132.

Ethica socialis. *Dr. J. Kachnik.* Olomucii 1909. Nakładem Prombergera. Str. 287.

Czem jesteśmy. Kraków 1910. G. Gebethner i Spółka. Str. 80.

Gospodarstwo domowe. *M. Norkowska.* Kraków 1909. Gebethner i Spółka. Str. 95.

Cztery powiastki. *Kl. z Tańskich Hoffmanowa.* Bibl. młodz. szk. Nr. 101. Kraków 1909. G. Gebethner i Sp. Str. 45.

Legendy, podania i obrazki historyczne. *C. Niewiadomska.* I. II. III. V. Bibl. młodz. szk. Nr. 102, 103, 104, 106. Str. 19, 22, 28, 34. Kraków 1909. G. Gebethner i Sp.

Odczyty i broszury popularne dla Tow. polskich: Zesz. XXII. J. Chrzanowski: »Dlaczego i jak powinniśmy walczyć z alkoholem?« Str. 19.

A jak długo pracujesz? W zimie często wstaję i przed godz. 4-tą, a idę spać koło 11-tej w nocy. Są częste wypadki, a prawie zawsze na niedzielę lub święto, że tylko śpię 2 godziny. W lecie jest lepiej. Wstaję między 4-tą a 5-tą i idę spać już po godz. 9-tej.

A tu w mieście niema kogo, coby was wziął w obronę? Nie macie jakiego stowarzyszenia terminatorskiego? Nie wiem, nic o tem nie słyszałem«. Na tem skończyłem i pożegnałem chłopca, a kiedy znikł, stanęły mi przed oczyma całe szeregi podobnych jemu po tych małych miasteczkach i zaułkach wielkich miast naszego kraju.

Dobre są szkoły zawodowe czy państwowe czy krajowe, dobre i bursy, ale trzeba nam sięgnąć szerzej i głębiej, gdzie bursy ani szkoły nie docierają, a ustawa przemysłowa jest bezradną, by chore rozumy i zatrute serca tylu tysięcy zaniedbanych terminatorów i młodocianych robotników ratować i leczyć. Do tego, sądzę, mogą dopomódz dobrze zorganizowane i z znajomością prowadzone z własnymi domami Związki terminatorów, do którychby miały przystęp owe masy zaniedbane. Warto nad tem zastanowić się odpowiednim czynnikom społeczeństwa.

Ks. Mieczysław Kuznowicz.

Druk ukończono 9 listopada 1909.

STRAŻ POLSKA.

»Straż Polską« powołały do życia gwałty pruskie. Kiedy w listopadzie 1907 roku wniesiono do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego nowe ustawy antypolskie (wywłaszczenie i paragrafy językowe), polska ludność w Galicyi dała wyraz swemu oburzeniu na setkach wieców, zwoływanych nie tylko po większych miastach, ale po wsiach i miasteczkach. Wszyscy tych wieców uczestnicy, (a było ich paręset tysięcy), wnosili protesty przeciw brutalnemu zamachowi na podstawy naszego bytu narodowego i zapowiadali odwet w postaci bojkotu towarów pruskich.

Wśród dyskusyi na tych wiecach padły hasła samoobrony— rezolucyę w tym duchu uchwalił między innymi wiec krakowski z dn. 7 grudnia 1907 r. W pierwszej chwili nie zdawano sobie jednak ściśle sprawy z tego, jakie ta samoobrona ma przybrać kształty; odczuwano tylko instynktownie potrzebę jakiejś organizacyi. Dopiero na drugim wiecu krakowskim (15 grudnia 1907 r.) rzucono lekki zarys celów i zadań samoobronnej instytucyi, uchwalono jednomyślnie jej założenie i nadano jej nazwę »Straż Polska«.

Zdawało się, że ogół myśl tę przyjął z zapałem, czego dowodem było gorące jej poparcie przez całe prawie dziennikarstwo galicyjskie. Wyjątek stanowiło zaledwie parę pism, które wobec »nowych rzeczy« trzymają się z zasady polityki milczenia, zachowują się... z rezerwą.

W połowie stycznia 1908 r., grono założycieli »Straży Pol-

skiej« wydało odezwę, w której zaznaczało, że trzeba »szukać w sobie środków ratunku«, że należy stworzyć: »trwałą organizacyę w obronie zagrożonych kresów, w obronie naszej niezależności ekonomicznej, w obronie naszego stanu posiadania narodowego, gdziekolwiek jest on zagrożony i pod jakąkolwiek formą. Im większe ciosy spadają na nas, tem silniej organizujemy się w poczuciu, że interes nasz jest wspólny, że trzeba pożegnać się z biernością i obojętnością, że tylko zorganizowana walka może być odpowiedzią na nieustanną walkę przeciw nam. Podnieść ją może organizacya, która powoływa do udziału wszystkich, która nie odsuwa nikogo, byle interes narodowy kładł przed interesem warstwy lub partyi«.

»Niech nasza organizacya (dalsze słowa odezwy) będzie walką wszystkich w obronie wszystkich, walką spokojną, legalną a obmyślaną dojrzale, walką rozbudzonej w pełni świadomości narodowej z tysiącoletnim wrogiem tej świadomości. Na dziki zamach ślepego i bezsumiennego nacyonalizmu, odpowiedzmy nacyonalizmem, który nie łaknie obcego, a swego broni wytrwale i rozumnie. Strzeżmy narodowości, której podstawy obala dziś wróg organizacyą rządną i potężną, upamiętnijmy chwilę zjednoczenia we wspólnym bólu i proteście wierną i pewną strażą nad podstawami naszego bytu, stwórzmy organizacyę, która potrafi tę straż wykonać czynnie i odpowiedzieć barbarzyńcom z nad Łaby, Sprei i Odry, że straż nad Wisłą czuwa równie wiernie i pewnie«...

Założyciele zadania »Straży Polskiej«, pojmowali bardzo szeroko. Chcieli, aby ta instytucya była stałym komitetem dla wszystkich spraw, mających na celu obronę materyalnych i duchowych interesów narodu polskiego, z wyjątkiem spraw politycznych w ścisłem tego pojęcia znaczeniu, i spraw, dla których obrony istnieją już autonomiczne organizacye, lub instytucye i stowarzyszenia wypełniające skutecznie swe zadania. Założycielom szło zarówno tak o wypełnienie luk w organizacyi pracy narodowej, jak o niesienie pomocy wszelkim zacnym usiłowaniom, nie mającym dostatecznego poparcia, jak wreszcie o to, aby w razie jakichś nowych lub nagłych potrzeb, nie tracono czasu na two-

rzenie *ad hoc* komitetów, na szukanie tak ludzi chętnych do pracy narodowej, jak i środków finansowych.

Stosownie do tego zapatrywania ułożono statut przyszłej instytucyi.

»Celem »Straży Polskiej« — słowa statutu — jest strzeżenie i obrona duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego, uświadamianie naszego społeczeństwa o obowiązkach narodowych, dążenie do uzyskania samodzielności ekonomicznej, popieranie instytucyi o podobnych dążeniach, a w szczególności mających na celu obronę kresów«.

Między środkami do osiągnięcia tego celu prowadzącymi, wymieniono na pierwszem miejscu: p o d n o s z e n i e d o b r o b y t u n a r o d o w e g o, przez popieranie przemysłu i handlu swojskiego. Na ten »środek« położono główny nacisk dlatego, że uzyskanie samodzielności ekonomicznej powinno być i jest jednym z najważniejszych naszych zadań wogóle, a tembardziej dziś, kiedy zasoby ekonomiczne rozstrzygają niemal o bycie narodów, kiedy nie orężem, lecz handlem i przemysłem podbija się kraje i ludy. Hasło zresztą popierania przemysłu i handlu swojskiego mieściło w sobie z natury rzeczy i bojkot towarów pruskich, a więc odpowiadało dążeniom całego społeczeństwa.

Do dalszych »środków« S t r a ż y P o l s k i e j zaliczał statut: *a)* strzeżenie praw i czystości języka polskiego; *b)* opiekę nad wychodźtwem i kolonizacyą; *c)* udzielanie stypendyów i zasiłków dla ludzi, pracujących na polu odrodzenia narodowego i dla młodzieży kresowej; *d)* urządzanie publicznych wieców, zgromadzeń, odczytów, pogadanek i t. p. w celu uświadamiania szerokich warstw, a zwłaszcza ludu o obowiązkach narodowych, ostrzegania ich przed grożącemi nam niebezpieczeństwami, kształcenie ich serc i umysłów. To samo zadanie spełniać miały: *e)* uroczyste obchody narodowe, wycieczki do godnych widzenia miejscowości na ziemiach polskich i *f)* zakładanie i utrzymywanie domów ludowych. Dalej wspominał statut o wydawaniu i popieraniu pożytecznych dzieł, broszur, czasopism i o wydawnictwie własnego organu S t r a ż y, a wreszcie zastrzegał sobie prawo użycia »wszel-

kich innych środków dozwolonych«, mogących przyczynić się do osiągnięcia celów stowarzyszenia.

Program obszerny — wszystko się w nim pomieścić mogło. Jeżeli opuszczono w nim oświatę szkolną, oraz pieczę nad rozwojem fizycznym młodzieży (w pierwotnym projekcie była i o tych środkach mowa), uczyniono to tak dla nie rozpraszania sił, jak dlatego, aby nie dać nawet pozoru, że Straż Polska chce wchodzić w zakres działalności Szkoły ludowej lub Sokoła. Kreśląc tak obszerny program, zastrzegając sobie zwłaszcza »wszelkie środki« działania, założyciele zdawali sobie sprawę z tego, że podołać tym wszystkim zadaniom mogłaby tylko olbrzymia organizacya. Niektórzy z nich może i byli pod tym względem optymistami: sądzili, że taka instytucya i w takiej chwili powstała, zgromadzi pod swym sztandarem dziesiątki tysięcy obywateli; — większość jednak, znająca niestety nasz ogień słomiany, naszą obojętność, nasz brak ofiarności, nie łudziła się, ale też nie chciała pozbawić Straży Polskiej prawa działania we wszelkich kierunkach. Większość ta wychodziła z zapatrywania, że każda chwila rodzi nowe potrzeby, że co niemożliwe do zrobienia dziś, będzie możliwe do zrobienia jutro, że wreszcie Straż Polska, chcąc odpowiedzieć godnie swej nazwie, nie może w zasadzie pominąć żadnego kierunku pracy narodowej, że choćby na tem lub owem polu nie mogła wystąpić w roli działacza, to powinna przynajmniej wskazywać potrzeby i obowiązki narodowe, występować z inicyatywą, udzielać rad i wskazówek, nieść pomoc moralną wszelkim zacnym usiłowaniom.

Zapatrywania założycieli odbiły się w przemówieniu prezesa Straży, na pierwszym wiecu kościuszkowskim, przez nią zwołanym (4 kwietnia 1908 r.)

Wyliczywszy nowe ciosy, jakie spadły na naród polski i nowe grożące mu niebezpieczeństwa, mówca zapytywał:

»Wobec tych ciosów, cóż my robimy tutaj w Galicyi, gdzie posiadamy pewną swobodę, gdzie możemy rozwijać się prawidłowo i nie stracić żadnego ze skarbów narodowych? Co czynimy, aby usunąć lub osłabić niebezpieczeństwa? jaką tamę stawiamy chciwości wrogów naszych?

»Trudno bez boleści i bez wstydu odpowiedzieć na to pytanie.

»My po prostu zachowujemy się tak, jakbyśmy żadnych trosk nie mieli, jakby o miedzę nie toczyła się straszna walka braci naszych o prawa narodowe, a nawet o szmat ziemi, zroszonej naszą krwią i potem.

»My tańczymy, hulamy jak za dobrych czasów — dawno Kraków nie pamiętał tak hucznego jak tegoroczny karnawału. My zajmujemy się drobnostkami, kłócimy się, swarzymy między sobą — całe siły wytężamy na marną walkę wyborczą, choćby do rad miejskich. Niegdyś walczyliśmy tu w Galicyi o prawa narodowe; walkę tę z czasem zastąpiła walka stronnictw; walka stronnictw zmieniła się w walkę koteryi, aż za dni naszych, z małym wyjątkiem, przeszła w walkę jednostek tłoczących się do żłobu. Karyerowicze w jedną noc zmieniają przekonania, które za święte głosili, wrogowie łączą się do boju nie za wielkie hasła, lecz o tłuste posady. Paczą się sumienia, płynie lawa przekupstw moralnych; przez pajęczynę intryg i oszczerstw tylko wyjątkowo silny duch się przebija.

»A sprawa publiczna śpi — a wróg coraz dalej zapuszcza zagony. Czy wobec tego ci, w których biją serca polskie, którzy sprawę narodową stawiają ponad wszelkie interesa stronnictw, warstw i karyer osobistych, mają stać z założonemi rękami i czekać, aż cud się pojawi, aż Opatrzność przyjdzie z pomocą? Czy sądzimy, że Opatrzność opiekuje się niedołęstwem, czy zapominamy, że tylko na własnych siłach tak człowiek jak naród opierać się może?«.

Omówiwszy cele i zadania Straży, mówca tak swą rzecz kończył: »Chcemy do wspólnej pracy wezwać wszystkich bez różnicy przekonań. Niech członkowie nasi na arenie życia publicznego będą czem chcą, niech wierzą jakim chcą hasłom, niech walczą w jakim chcą obozie, — w Straży jednak niech idą razem pod jednym sztandarem, na którym napisano: za ziemię i prawa nasze. Poza Strażą niech walczą o dobro cząstek — w Straży niech walczą o zachowanie całości.

Straż Polska niema tej zarozumiałości, aby stanęła na

czele usiłowań narodowych, aby się stała moralnym rządem kraju, jak ją o to posądzają małoduszni czy zawistni. Bo u nas ci, co nic za darmo nie robią, czują zawiść do tych, co chcą pracować bezinteresownie, bez nadziei zdobycia posad i stanowisk. Straż Polska ma jedynie tę zarozumiałość, że tu i owdzie obudzi śpiących, poruszy obojętnych, da bodźca do pracy dla dobra ogółu, że przyczyni się w miarę sił do obrony duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego«. Nie wchodząc w drogę innym stowarzyszeniom, pracującym dla dobra publicznego, chce je owszem popierać, od nich nawzajem spodziewając się poparcia.

»Po insurekcyi kościuszkowskiej, część obrońców Ojczyzny porzuciła kraj i stworzyła polskie legiony, które po raz pierwszy zanuciły pieśń: »Jeszcze Polska nie zginęła«. I my wobec ciosów na nas spadających stańmy się legionami, walczącymi nie bronią orężną, ale pokojową: pracą nad uświadamianiem ludu, nad podnoszeniem ekonomicznem narodu, nad budowaniem twierdz przeciw najazdowi wroga. Ojczyzna nie wymaga dziś od nas, abyśmy nieśli jej życie w ofierze, ale ma prawo wymagać, abyśmy na ołtarzu jej złożyli serca i trudy nasze. A wytężona praca na niwie narodowej musi przynieść owoce i musi nadejść ta chwila, w której nie będziemy śpiewali, że Polska nie zginęła jeszcze, bo będziemy mogli wznieść hymn tryumfalny: Polska już jest! — jest Polska dobra, Polska rządna, zgodna, sprawiedliwa, — nie szlachecka, nie chłopska, nie mieszczańska, ale wszystkie swe dzieci zarówno miłująca. I taka Polska już nigdy nie zginie«.

Statut Straży Polskiej został zatwierdzony w połowie marca 1908 r. Przeprowadzono natychmiast wybory do Zarządu i zajęto się organizacyą instytucyi: zbieraniem członków, urządzeniem biura, założeniem ksiąg, podziałem na sekcye i t. d. Na tych pracach przygotowawczych zeszły trzy pierwsze miesiące, po których nastąpiła pora wakacyjna, podczas której, jak wiadomo, zamiera czynność wszelkich stowarzyszeń społecznych, zwłaszcza złożonych ze sfer intelligencyi, szukającej poza murami miast odpoczynku po całorocznej pracy. Wobec tego, można powiedzieć,

że działalność Zarządu Straży Polskiej datuje się dopiero od września r. z.

Przyjrzyjmy się pokrótce tej działalności.

Na czele należy wspomnieć o popieraniu przez Straż przemysłu swojskiego i o bojkotowaniu przez nią fabrykatów pruskich. Usiłowania zarządu w tym kierunku spotkały się z silnym oporem ze strony kupiectwa i obojętnością ogółu. Sprawa ta była już dość szeroko omówioną w artykule *Przeglądu Powszechnego:* »Dyskusya w sprawie bojkotu« (zeszyt listopadowy 1908 r.). Zanotujemy więc tylko, że Straż Polska, jeżeli nie w całej Galicyi, to przynajmniej w jej części zachodniej, stanęła na czele akcyi bojkotowej. Na podstawie zebranych materyałów (wywiadów, kwestyonaryuszy, ankiet) i obeznania się z ruchem handlowym i przemysłowym, rozpoczęła bojkot od towarów obcych codziennego użytku, jako najłatwiejszych do usunięcia i zastąpienia krajowymi. Zwoływała w tym celu wiece, rozsyłała komunikaty do dzienników, ogłaszała wreszcie plakatami i kartkami ulotnemi, co publiczność ma bojkotować, a co kupować, czem zmuszała kupców do zaopatrywania się w wyroby swojskie. Prócz tego członkowie Straży w różnych stowarzyszeniach w Krakowie i na prowincyi, w pogadankach, odczytach, szerzyli ideę bojkotu.

Rezultat tych usiłowań nie da się ściśle oznaczyć. W każdym razie zarówno żywe słowo, jak umieszczenie w dziennikach komunikatów, rozrzucenie kilkudziesięciu tysięcy kartek i rozlepienie kilkudziesięciu tysięcy plakatów, nie przeszło bez śladu. Faktem niezaprzeczonym jest, że zbyt artykułów obcych »codziennego użytku« znacznie się zmniejszył z jednoczesnym wzrostem zbytu takichże artykułów przemysłu swojskiego. Znaleźli się nawet kupcy (co prawda, niewielka ich liczba), którzy poddali się kontroli Straży, że nie trzymają na składzie takich wyrobów obcych, które można zastąpić krajowemi. Również podkreślić należy, że wielu wybitniejszych przemysłowców galicyjskich, widząc rezultaty zabiegów Straży poczuło się do obowiązku zasilać jej »fundusz bojkotowy«, przyczyniając się w ten sposób do pokrycia części jej wydatków.

Jednocześnie dzięki inicyatywie i wskazówkom Straży Polskiej, powstało kilka drobnych fabryk, a mianowicie farb drukarskich, opłatków, (w ostatnich latach sprowadzano je całymi wagonami z Niemiec) i stolarskich przyrządów szkolnych. Obecnie za inicyatywą Straży, szersze koło przemysłowców i przedstawicieli poważnych instytucyi obraduje nad założeniem »Związkowej garbarni«.

Na polu strzeżenia czystości języka rozpoczęła Straż pracę, przedewszystkiem w swoim organie. Utworzyła tak zwany »Kącik językowy«, w którym pomieszczała błędy najczęściej spotykane w mowie i piśmie. »Kącik« ten spotkał się z ogólnem uznaniem; niektóre dzienniki go przedrukowywały, inne poszły za przykładem Straży i stworzyły własne »kąciki«. »Kącik« Straży miał ten zaszczyt, że na współpracownika do niego zgłosił się dobrowolnie JE. Stanisław Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności. W ostatnich czasach »Kącik« pomieścił spis polskich nazw narzędziowych (stolarskich, tokarskich, ślusarskich i t. p.), używanych już w Królestwie Polskiem, czem, można mieć nadzieję, przyczyni się do wyrugowania nazw obcych niepodzielnie panujących w galicyjskiem szkolnictwie.

Jednocześnie sekcya językowa Straży, utworzyła biuro korekty, które chętnie poprawiało pod względem językowym nadsyłane sobie protokóły, okólniki, reklamy i ogłoszenia.

W obronie praw języka zwróciła Straż przedewszystkiem uwagę na panowanie niemczyzny na kolejach galicyjskich, oraz wzięła w swoje ręce poruszenie i pilnowanie sprawy spolszczenia całej linii kolei północnej od Krakowa do Dziedzic, oraz bocznych linii kolejowych Śląska cieszyńskiego. Tą drugą sprawą zajmował się osobny komitet obywatelski, który jednak na mocy własnej jednogłośnej uchwały, odstąpił ją Straży polskiej. Oprócz wiecu osobno dla obu tych celów zwołanego, zarząd Straży, drogą petycyi do władz państwowych autonomicznych i Koła polskiego, stara się dążyć do zrealizowania obu tych postulatów narodowych. Rozumie on dobrze wszystkie trudności, nie przecenia też sił swoich, ale sądzi, że »budząc uśpionych«, przypominając ciągle ogółowi jego prawa, a posłom ich obowiązki, przy-

czyni się do tego, że słuszne żądania kraju znajdą wreszcie rzeczników w sferach do tego powołanych.

Pominiemy inne prace sekcyi językowej (starania o odniemczenie nazw miejscowości, wystąpienie przeciw każeniu języka przez instytucye rządowe i autonomiczne, petycyę do Rady szkolnej o przeciwdziałanie zarazie szerzonej przez pruskie wydawnictwa Sherlocków Holmesów, Buffalo-Bilów, Nic-Carterów i t. d.) a przejdziemy do instytucyi, jaką Straż stworzyła, a raczej utrzymała. Instytucyą bowiem należy nazwać kolonię młodzieży, sprowadzanej z najdalszych kresów Polski na lato do Krakowa. Była to myśl nieodżałowanego Henryka Jordana — Straż stała się jej spadkobiercą. Młodzież ta, wychowywana w obcych szkołach, żyjąca wśród obcego zalewu, a więc łatwo mogąca uledz jego wpływowi, w znacznej części mało uświadomiona narodowo, pozbawiona wiadomości o literaturze i kulturze polskiej, lub co gorzej, słuchająca najfałszywszych poglądów na dzieje nasze, w Krakowie uczy się Polski, przesiąka Polską. Wprawdzie na pokrycie kosztów jej przyjazdu i pobytu w roku zeszłym i bieżącym złożyli znaczniejszą kwotę obywatele kresowi, Straż jednak uzupełniła niedostateczne fundusze i poniosła wydatki na stałych przewodników-instruktorów z grona nauczycielskiego, którzy nie tylko oprowadzali tę młodzież po Krakowie i okolicy, zapoznawali ją dokładnie z wielkiemi pamiątkami przeszłości, ale w szeregu wykładów uzupełniali jej wiadomości z historyi i literatury ojczystej. Koloniści ci, przeszedłszy taką praktyczną szkołę uświadomienia narodowego, powracają do dalekich stron rodzinnych z umysłem wzbogaconym i sercem podniesionem. Z uczniów stają się bezwiednie w swem najbliższem otoczeniu, nauczycielami, apostołami idei narodowej. To znaczenie kolonii doskonale odczuł i zrozumiał najprzewielebniejszy ks. biskup Bandurski, czego dał dowód zaszczycając ją odwiedzinami i udzielając jej błogosławieństwa.

Niemniejsze znaczenie posiadają wycieczki przez Straż polską urządzane. Idzie tu o pielęgnowanie łączności między dzielnicami, a trudno o niej marzyć bez wzajemnego poznania się. Tymczasem intelligencya galicyjska dziesięć razy więcej zna

Włochy i Francyę (nie mówię już o Wiedniu, Budapeszcie lub Pradze) niż Wielkopolskę, Litwę i Kongresówkę. Straż polska postanowiła zrobić wyłom w tej obojętności, w tym dziwnym braku chęci do poznania ziemi własnej. Trzy jej wycieczki do Warszawy udały się świetnie, — pozostawiły na uczestnikach niezatarte wrażenie. Wracali wprost rozentuzyazmowani, pełni wdzięczności dla Straży. Widzieli bowiem nie tylko wielkie, piękne miasto, pełne ruchu i życia, ale spotykali się na każdym kroku ze wspomnieniami najdroższej nam przeszłości; — mury i pamiątki mówiły im o sejmie czteroletnim, o Konstytucyi 3 maja, o »świętej insurekcyi« Kościuszkowskiej, o Kilińskim, księciu Józefie, Dąbrowskim, o Księstwie warszawskiem, o r. 1831 i 1863... Prasa warszawska zrozumiała doniosłość wycieczek — spotykały się też one z objawami serdecznej gościnności. Przykład podziałał, bo w roku bieżącym kilka innych wycieczek wyruszyło z Galicyi do Królestwa, a organizatorzy ich zgłaszali się po informacye do zarządu Straży. Wśród licznych wycieczek na wystawę częstochowską, wycieczka Straży polskiej pierwsza stanęła u stóp Jasnej Góry. Nie przyszła tylko do skutku projektowana wycieczka do Poznania, ponieważ zawiadomiono Straż poufnie, że rząd pruski zatrzyma ją na granicy.

Wielką wagę przywiązywał zarząd Straży do urządzania publicznych wieców i zgromadzeń, odczytów i pogadanek. W samym Krakowie urządził cztery wielkie wiece. O jednym z nich, w sprawie odniemczenia kolei, już wspominaliśmy. Trzy inne były połączone z obchodem rocznic narodowych. Zarząd sądził, że wobec ciężkiego naszego położenia, należy odstąpić od zwyczaju obchodzenia rocznic, przez urządzanie wieczorków deklamacyjno-muzycznych, będących bądź co bądź zabawą, a natomiast należy uczcić te rocznice przez wspólne narady nad potrzebami naszego społeczeństwa i nad pokojową obroną dóbr narodowych. To też pierwszy wiec zwołany w rocznicę Racławic, po oddaniu hołdu powstaniu Kościuszkowskiemu, wypełniły referaty o samoobronie i obowiązkach narodowych. Na drugim wiecu uczczono pamięć walki 1863 r. i wygłoszono trzy referaty: prof. Włodz. Czerkawski mówił o »bojkocie«, poseł Zamorski »o niebezpieczeństwach

grożących zagłębiu krakowskiemu«, i prof. T. Grabowski »o uczczeniu setnej rocznicy urodzin Słowackiego«. Trzeci wiec stanowił część programu uroczystego obchodu rocznicy grunwaldzkiej, urządzonego przez Straż polską w dniu 18 lipca r. b. Wiec ten odbył się pod gołem niebem na dziedzińcu wawelskim — do 6-ciotysięcznego tłumu przemawiał prezes Straży, wskazując najważniejsze zadania pracy narodowej, poczem dr. Lubecki skreślił dzieje Grunwaldu, a prof. Magiera gorąco nawoływał do spełniania obowiązków narodowych. Wiec ten poprzedzony był nabożeństwem w kościele Maryackim i wspaniałym pochodem na Wawel. Na nabożeństwie wygłosił podniosłe kazanie najprzew. ks. biskup Bandurski, który na prośby Straży przybył umyślnie w tym celu do Krakowa.

Te wiece krakowskie spotkały się z jednobrzmiącem uznaniem całej opinii. Dziennikarstwo wszystkich obozów jednozgodnie podnosiło poważny i wysoki ich nastrój. O wiecu styczniowym pisano, że »Kraków nie pamięta od lat wielu zebrania tak poważnego pod względem społecznym i narodowym, tak skończonego w swej formie i treści«. »Dano świetny przykład — pisał inny dziennik — jak należy wiązać przeszłość z przyszłością i pamięć bohaterów czcić pobudką do wytrwania i dalszej walki«...

Poza Krakowem odbyło się po dziś dzień wieców i zgromadzeń Straży polskiej 48. Omawiano na nich zadania i cele Straży, wygłaszano referaty o bojkocie, poruszano sprawę gwałtów pruskich, wychodźtwa sezonowego, niebezpieczeństwa w Zagłębiu krakowskiem, potrzebę wspólnej pracy narodowej, sprawę Chełmszczyzny i t. d. Prócz tego urządzono po wsiach i miasteczkach szereg wieczorów Kościuszkowskich i obchodów narodowych.

Nie chcąc zbyt przedłużać pobieżnego sprawozdania z działalności Straży, wspomnimy jeszcze pokrótce, że Straż zajmowała się przyjęciem kilku wycieczek ludowych do Krakowa, że pośredniczyła kilkakrotnie w skierowaniu wychodźtwa sezonowego do Czech, Francyi i Danii, że ostrzegała publicznie przed działalnością towarzystw emigracyjnych, prowadzących pod maską filantropii niecny wyzysk chłopa i robotnika (jedno z tych towa-

rzystw władze już zamknęły), że w sprawie kolonizacyi wewnątrz kraju poczyniła poważne kroki, że brała bezpośredni udział w sprawie ubezpieczenia urzędników prywatnych w zakładzie krajowym, że poruszyła budowę domu ludowego, że założyła dla swoich członków bogatą czytelnię czasopism, że udzielała setkami informacyi w sprawach przemysłowych, że zebrała (Koło pań) znaczniejszą kwotę na gimnazyum realne w Orłowej, że wydała własne marki na oznaczenie przedmiotów wyrobu krajowego i t. d. i t. d.

O wszystkiem tem dokładniej dowiedzieć się można z ogłoszonego niedawno drukiem sprawozdania Straży, które Zarząd bezpłatnie na każde żądanie wysyła, a jeszcze szczegółowiej z organu stowarzyszenia.

Organ ten, miesięcznik »Straż polska«, redagowany przez prezesa Zarządu, jest benjaminkiem stowarzyszenia. W nim Zarząd wypowiada swe myśli, porusza najważniejsze sprawy narodowe, za pomocą jego agituje na rzecz idei, dla której założoną została Straż polska.

Jest to pismo posiadające swój typ własny, oryginalny. Sprawozdanie Zarządu tak go charakteryzuje: Organ nasz łączy ze sobą kronikę działalności stowarzyszenia i obszerny dział przemysłowo-bojkotowy z częścią literacką; kojarzy sferę najrealniejszych interesów z dążnościami idealnemi. Ale literatura Straży polskiej, to nie literatura dla literatury, sztuka dla sztuki, lecz zaprzągnięcie literatury w służbę naszych interesów narodowych. Niema w naszem piśmie ani jednego artykułu »literackiego«, któryby albo nie poruszał spraw i potrzeb narodowych i społecznych w najobszerniejszem tego pojęcia znaczeniu, albo nie informował o stosunkach w różnych dzielnicach polskich, albo nie wskazywał grożących nam niebezpieczeństw, albo nie był przypomnieniem pięknej karty dziejów naszych, albo nie był obroną naszej przeszłości i naszych ideałów przed kłamliwymi zarzutami, albo przynajmniej nie budził ducha, nie nawoływał do czynów i pracy, nie chłostał wad stojących na przeszkodzie naszemu odrodzeniu. Każdy utwór poetyczny, umieszczony w piśmie naszem, uderzał w nutę szczerego patryotyzmu, każdy nawet fejleton sa-

tyryczny służył »dobrej sprawie«, gromiąc apatyę, sobkostwo, obłudę, zawiść, fałszywy patryotyzm« ...

Zaznaczamy jeszcze, że Straż polska zamieszczała artykuły: A. Euz. Balickiego, K. Bartoszewicza, d-ra L. Caro, d-ra Z. Celichowskiego, Zdzisława Dębickiego, d-ra J. Flacha, d-ra T. Grabowskiego, M. Konopnickiej, d-ra T. Krzetuskiego, d-ra K. Lubeckiego, M. Magiery, E. Orzeszkowej, Cz. Pieniążka, d-ra J. Ptaśnika, d-ra K. Rozwadowskiego, L. Rydla, G. Smólskiego, prof. St. Tarnowskiego, R. Wojczyńskiego.

Nie moją rzeczą z powodów łatwych do zrozumienia wydawać sąd o wartości tego miesięcznika. Mam prawo jednak stwierdzić, że dotychczas spotykał on się jedynie z uznaniem i to nieraz gorącem. Liczba jego prenumeratorów wzrasta z dniem każdym.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że działalność Straży polskiej jest pożyteczną, — ale również trzeba przyznać, że rezultaty tej działalności są zbyt skromne wobec celów, jakie sobie instytucya ta wytyczyła i wobec rozmachu z jakim ją zakładano. Czyja wina? Nie Zarządu, tylko naszego »słomianego ognia«, naszego pseudo-patryotyzmu.

Zarząd zrobił więcej nawet, niż można było od niego wymagać, jeżeli się zważy w jakich warunkach przyszło mu działać, w jakie środki wyposażyło go społeczeństwo.

W ciągu półtora roku ogólne dochody Straży polskiej wynosiły koło 8000 koron, — koron, nie guldenów. Z tej kwoty przez półtora roku zarząd wynajmował i utrzymywał lokal, nabył inwentarz, opłacił pomoc kancelaryjną i służbę, wydawał pismo, pokrywał koszta kilkudziesięciu wieców i zgromadzeń, drukował dziesiątki tysięcy plakatów, założył 16 Kół Straży polskiej, rozsyłał rozliczne kwestyonaryusze, prowadził rozległą korespondencyę (same wydatki na pocztę, licząc w tem i ekspedycyę miesięcznika, wyniosły 900 koron), zasilał kasę kolonii młodzieży kresowej, urządzał obchody narodowe, pokrywał koszta druku statutów, formularzy, sprawozdania, ksiąg kasowych, kwitów i t. d. Wciąż wiązał koniec z końcem — od każdego większego wydatku

wstrzymywał się. Projektów miał moc — wszystkie świetne, pożyteczne, ale i wszystkie niewykonalne z braku funduszów.

Już i w tym zakresie działalności, jaką rozwinął, mógł zarząd zdziałać znacznie więcej. Byłby urządził wieców nie 50 lecz 500, gdyby nie to, że koszta urządzenia każdego wiecu wynoszą przeciętnie 60 koron. Byłby wydawał tygodnik nie miesięcznik, gdyby miał na to fundusze. Akcyę bojkotową prowadziłby dziesięć razy silniej i szerzej, a więc z lepszym dziesięciokrotnie skutkiem, gdyby ta akcya nie wymagała wydatków, jakich kasa stowarzyszenia ponosić nie była w możności. Nie byłby ograniczał swej działalności na zachodnią Galicyę, poszedłby ze swojemi hasłami na Wschód, pokryłby cały kraj siecią kół, udzielałby przewidzianej w statucie pomocy materyalnej przemysłowi swojskiemu, ustawiałby na kresach strażnice ducha narodowego — gdyby mu »patryotyczny« ogół dostarczył środków ku temu.

Ale patryotyczny ogół poprzestał na uchwaleniu »konieczności« założenia Straży polskiej, lecz o poparciu jej, podtrzymaniu, ani myśli. Zarząd zaś (nie wiem, czy to było jego winą, czy zasługą,) nie chciał iść utartą drogą żebractwa, wyciągania ręki — pragnął opierać się tylko na składkach członków. Sądził, że znajdzie się w Galicyi przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy »patryotów«, (wszak na wiecach anty-pruskich było ich setki tysięcy!) którzy zadokumentują swój patryotyzm przez przystąpienie do instytucyi tak przez nich »pożądanej« i do życia powołanej. Niestety, zaledwie tysiąc kilkaset osób uznało, że może poświęcić kwartalnie jedną koronę (roczna wkładka członka wynosi 4 korony) na rzecz samoobrony narodowej. Reszta »obywateli«, patryotyzmu swego tak wysoko nie oceniła.

A przecież patryotyzm polegający na słowach, na krzyku, nie na pracy, nie na ofiarności, to blaga, to szych, to kłamstwo, to obłuda.

> »Kto majątku swego na sprawy publiczne użyć nie umie, temu go szkoda... — pisze najprzew. ks. arcybiskup Bilczewski w liście pasterskim »O ofiarności«. — Tacy ludzie... nie mają żadnego poczucia obowiązku względem swojego narodu«...

Zarząd Straży polskiej nie traci nadziei, że uda mu się przezwyciężyć obojętność ogółu. W tym celu rozsyła swe sprawozdanie z odezwą zapraszającą do wpisania się w poczet członków. Odezwę podpisali: Kazimierz Bartoszewicz (prezes zarządu), ks. dr. Józef Caputa, dr. Leopold Caro, Klaudyusz Dębicki, prof. dr. Xawery Fierich, prof. dr. Tadeusz Grabowski, Emilia Korczyńska, dr. August Kwaśnicki, dr. Kazimierz Lubecki, Henryka Starzewska, Władysław du Vall, prof. dr. Bolesław Wicherkiewicz (prezes Rady nadzorczej).

Oby odezwa ta odniosła skutek, aby Straż Polska mogła rozwinąć swe skrzydła do szerszego lotu...

K. Bartoszewicz.

BOŻE NARODZENIE.

Było to w szopce przy Dzieciątku.

Ludzie się rozeszli, została tylko Jasna Pani, Matka Dziecięcia i dobrotliwy na ludzi, a nieśmiały ku Dziecięciu cudnemu i Świętej Pani, Józef co był cieślą sprawiedliwym i w tem, jak we wszystkiem. Stojąc wsparty na swej lasce z pochyloną głową, uważny, pełny nieśmiałego rozrzewnienia cichego, pochylał się ku Dziecięciu, które jasne, pełne światła promieniało jak słońce na kolanach Matki prześlicznej, że i Ona w odblasku Jego była jasności pełna, jak ten miesiąc, co biorąc światło od słońca, ziemię naszą oświetla blaskiem cichym i słodkim, blaskiem, który każde oczy, nawet chore, znieść mogą, bo nie jest i osłabłym za mocne, a słodkie i kojące.

Dopóki ludzie byli wokół, przygaszało Boskie Dzieciątko blask, bo jakżeby? Potrwożyliby się tylko owe pastuszki proste, że i przystąpićby nie śmieli, i stali z daleka u progu! A Dziecięciu-Bogu tęskno ku ludziom i śpieszno ku nim, na to On zstąpił z nieba od Ojca swego i pałaców swych wiecznych a nieprzemierzonych i pełnych blasku i rozbrzmiewających chwałą Jego i weselem.

Więc póki ludzie byli, śmiertelnicy zwykli, grzechowi skłonni, a więc trwodze i lękowi poddani, przygaszało Bóg-Dziecię blask, co z Niego szedł, lecz teraz jakby kto słońce zamknął w tem ciałku maleńkiem a subtelnem, dziwnie przeźroczystem, jak płatki

kwiatów białych, błyszczących czystością. Lecz nie był to blask śniegu, a było jakby do białości śnieżnej, kto dodał blasku złota ciepłego.

O Matko! Piękna pani, macierzyńskie ręce delikatnie kładnąca w wezgłowie Skarbowi ludzkości całej, od kresów mrocznych początku bytu, aż do kresów świetlanych, w które się rozpływa w wieczność krótkość czasów ziemi naszej! o Matko, zatopiona w patrzenie na Tego, który miał duszę Twą w ręku tworząc ją, o Matko, wpatrzona w Boga swego, Pana twej duszy!

Bóstwa są pełne oczy Dziecięcia, bóstwo wychodzi na próg oczu, otchłanią się bezdenną w nich rozwiera, otchłanią, co woła stworzenia, swe dzieci, co uczy każde z nich tęsknić do źródła swego i celu — do miłości pierwszej i ostatniej, do szczęścia i wypełnienia wszystkich pragnień i dążeń ukrytych na dnie, na dnie duszy każdej, zarzuconych mogiłą rzeczy drobnych, marnych, lub też śmieciem świata, — dążeń do wiecznego spoczynku w pieśni niemilknącej, w pieśni koniecznej, w pieśni pełnej, w pieśni, w której się cała dusza zmieścić może, w pieśni, w której się dusza wypowiada z miłości swojej, przez wieki wieków, w nieskończoność.

Nie lęka się Marya Boskiej chwały, gdyż winy żadnej nie zna i nie widziała nigdy twarzą w twarz, więc chwała Boża, prześwietlająca Dziecię Jej jasne, Panny Czystej nie trwoży, a jest jej słońcem wiosennem, ku któremu otwiera swą duszę nową i świeżą, jak kwiat ku słońcu na wiosnę.

Nie lęka się Józef stary. Długo mu praca i troska chowały duszę i wiodły, hodowały w zacności, sprawiedliwości i cierpliwości na świętość. Długo łzy gorzkie i ciężkie wynikające z głębiny, myły mu duszę, bieliły na słońcu Bożej miłości, ufnej, płaczącej z bólu, a poddanej. Więc się czystemi już stały te oczy i Bożej chwale otwarte pokornie bardzo i rzewnie.

Patrzy więc Królowa dusz jasnych i patrzy Ojciec przybrany na chwałę Boską i w stajni jest nieba pełń święta podarowana na chwilę.

Jest niebo z Aniołmi swymi.

Odeszli zwykli śmiertelni, grzechu świadomi i grzeszni, odeszła z swą nędzą ziemia.

Na miejscu gdzie stali ludzie z powietrza wiosną wonnego, które Dziecię otacza, z ziemi okrytej nieb łuną, wynikają ciche i nagłe, białe anioły prześliczne.

Skupione wokoło żłóbeczka stoją aniołów zastępy. Skrzydła ich z jaśni tkane i szeleszczące złotem i ukąpane w blaskach różowych, a fioletowym się rzeźbią cieniem. Niektóre poklękły, a inne schylone do ziemi czoła anielskie w proch kładą i pokłon biją Dziecinie i mówią:

— Tyś jest, któryś jest Panie! U Ciebie jest moc i władza, a wszechmoc jest Twój dom. Mocąś odwieczną Ty.

A te klęczące, ręce składają jak ziemskie, modlące się dzieci:

— Tyś zachwyt jest niebios i szczęście, w którym się duchy jednoczą, u ciebie jest miłość nasza, Tyś wieczną Miłością jest.

Na nowo podnosi się głos leżących w prochu ziemi:

— Tyś jest, któryś jest, Panie! a mocą Twoją, Wszechmocny! zamknąłeś bezkresność siły w nikły, mdły kształt dziecięcia.

— Tyś zachwyt jest niebios i szczęście i piękno niebiosów! Twa miłość skłania Cię w tę cieśń i ciemność i brzydkość miejsc tych tak smutnych, które nazwane są ziemią.

— Przed Tobą drżą duchy najwyższe, potężne gną się Cheruby. Twa wszechmoc więc uczyniła, iż zbrzydłe, znędzniałe to plemię w podłości grzechu pełznące bez trwogi patrzy na Ciebie, że śmią Cię widzieć ci: ludzie!

— Ustami będą dotykać Twych stopek, miłości przeczystej Panie! Na ręce Cię brać będą Piękności, przed którą niemieją anieli. Boć bratem się stałeś im małym. Miłość Cię Twoja przywiodła i stałeś się ludziom poddanym.

— Wszechmoc Cię Twoja przywiodła! Wszechmoc odebrać chce jeńce, które moc czarta uwiodła. Wszechmoc chce dać moc nędzy i w piękno zmienić brzydotę i wygnać niemoc i ciemność i brzydkość: sługi piekielne. Twoja jest moc i władza Święty! trzykrotnie Święty!

— Miłość Cię Twoja przywiodła! Miłość, co się lituje biednych i nędzy pełnych, że je wyzwolić chce nędzne. I nieznającym szczęścia, szczęścia otworzyć bezmiary. I nieznające miłości,

jak tylko bólem tęsknienia, w miłość twą dobrą przygarnąć, Ty któryś miłością przedwieczną. O Święty! Święty! Święty!

. . . . . .

A jako morze, co wzbiera, z mroków idące falami, falami co w pianach błyszczących idą i idą nowe, a nigdy się nie kończące, z bezkresów mrocznych tajemnicą okrytych milczącą — tak idą anielskie szeregi przez drzwi widziane stajenki. — Idą bez końca i liczby, wciąż nowe i nowe idą. I jako szmer morza olbrzymi, wznoszący się, opadający, a nigdy ustać niezdolny — tak szumi i wzbiera pieśń święta, co oddech anielskich jest duchów. Wznosi się jak szum morza, powstaje na szczyty miłości wielkiej, potężnej i opada i cichnie i gaśnie w przepaściach niknąc zachwytu, a ustać nie może i zmilknąć.

— Święty! Święty! Święty! Mocy dzierżąca wszechświat!

— Miłości, któraś jest wieczna! O Święty, Święty, Święty...

I jako morze falują skrzydeł anielskich miliony, w blaskach się mienią i światłach od żłóbka idących, od Dziecka, od Boga idących Człowieka.

Najbliższe są białe i złote, potęgą w oczy bijące, a dalej miększe i cichsze i w mglistość schodzące, w ametyst cienia schodzące, w niebieskość umilkające śnieżnych bezmiarów, którymi noc miesięczna, zimowa — hen, hen, hen! niebieszczeje.

. . . . . .

A w noc tę, w stajenkę betleemską zabłąkała się dusza człowiecza. Gna ją tęsknota dziwna, nieprzemożona w tę noc Bożego Narodzenia, do stajenki ją gna, do Betleem, miejsca znanego od dziecka, gdzie wół i osioł i Józef stary i Marya i ta Dziecina, do której serce dziecinne, o niegdyś! rwało się jak ptak z uwięzi.

W cieniu się kryje stajenki, tłumem anielskim ściśnione, maleńkie nikłe stworzenie. Do ścian się tuli, do cienia, raz pierwszy sobą strwożone, raz pierwszy siebie świadome. Spojrzy na siebie, o nędza!

Błyszczą anielskie świetności, lśni piękność w każdym odbita, jak słońce w rosach porannych. Kołyszą się morza anielskich skrzydeł rozbłysłe w świetle, kołyszą cienie od skrzydeł

anielskich na ścianach rozbłysłych stajenki. Tuli się nędza człowiecza niewidziana przez aniołów, niewidziana przez Józefa zapatrzonego w Dzieciątko — dusza człowiecza drży w osamotnieniu.

Kołyszą się morza anielskich skrzydeł rozbłysłe w świetle, kołyszą się cienie od skrzydeł po ścianach rozbłysłych stajenki... Na progu stajenki stoi — dusza człowiecza — chwiejąca się między tęsknotą i trwogą.

— Mocny! Mocny! Jehowa! mówią anioły czołami leżące na prochu ziemi.

A dusza ludzka w cieniu lękiem drży trwogi.

— Miłujący stworzenie Swoje! Miłości coś była wiecznie dla każdej rzeczy stworzonej!

A dusza ludzka w cieniu łka, pochylona w siebie.

I łkanie wpadło w pieśń wieczną, dźwięk dziwny, obcy, nieznany — i pieśń umilkła przerwana.

W milczeniu anielskie szeregi rozstąpią się na strony i stała się ścieżka i szpaler z anielskich skrzydeł, a w końcu jej błyszczy jasność: Matka cudowna, Pani na ręku swem piastująca Dziecinę.

A tym szpalerem świetlistym, ku tej światłości Pańskiej szła dusza nieboraczka. — Mała i ciemna i marna, której anielskie szeregi jak księciu się rozstąpiły.

Boś ty jest człowiecze tu pierwszy, tyś pan jest w tej lichej stajence, do ciebie przyszedł Bóg w goście.

. . . . . .

Idzie, a sąd się w niej dzieje. Sąd straszny i sąd milczący, bezwzględny, twardy jak brylant.

Sądzi ją światłość anielska, sądzi ją świętość aniołów, sądzi ją cześć i chwała. Sądzi ją Bóg jej, Stwórca, jej Pan, jej miłość, jej cząstka przyobiecana na wieki.

— Gdzieś jest, o chwało słoneczna, w której chodziłaś na ziemi w złoto przybrana rozgłosu i w niewinności bisiory? Ach wypełzają gdzieś ze dna tobie nieznane, niewidne lub niepamięcią zatarte nędze, brzydoty i wstydy.

Anielska jasność się patrzy, anielska jasność w nie świeci, anielska jasność je waży....

— Hańbąś okryta jak szatą z łachów skradzionych uszytą! Szpalerem anielskim idziesz, a wstyd ciężarem nieznośnym przytłacza ciebie do ziemi.

— Gdzieś jest mądrości w uśmiechu na ustach Ci królująca, kiedyś do braci łaskawie z swej wysokości mówiła?

Zapadłe w otchłań przed Tobą Twe życie widzisz wczorajsze: nędzne robaki się wiją i bój prowadzą zażarty o swoją wielkość i piękno, w otchłani gdzieś na dnie, w ciemności.

— *Sanctus, o Sanctus Deus qui sedes super Cherubin*, mówią anioły mocne, czołami w prochu leżące.

A trwoga duszę ogarnia i w bezruch krzepnie, tężeje.

— O miłujący! O święty! Miłości, coś jest wieczyście dla każdego stworzenia powstać w byt mającego.

A w duszy jęk się porywa.

— Gdzieś była, kiedy cię Miłość, jedyna Miłość twej prawdy godna, szukała i znaleźć nie mogła? Gdzieś była duszo człowiecza? Gdzieś była? czegoś szukała, żeś widzieć nie chciała Miłości

I widzi marność i nędze i widzi śmietniska ludzkości i smutne szukania swoje, smutniejsze zdobycze swoje.

— Cóżeś znalazła takiego, iżeś miłością wzgardziła, którą cię Bóg ukochał? Iżeś wzgardziła miłością wieczną, kiedy ci się dać chciała, kiedy ci do rąk schodziła?

Żałość w niej wzbiera bezradna, gorąca się zrywa tęsknota.

A od żłóbeczka świeci i patrzy Światłość przedwieczna i Miłość szczęście dająca.

— Gdzieś było dziecko zgubione?

Jak słońce ci jest ta światłość, choć mocna jak nic na świecie, ale nędzarza nie trwoży, jak słońce jest i jak matki bezpieczne, jasne spojrzenie.

Boć On to duszę utwarzał i On ją zna i miłuje.

Choć mocna jak nic na świecie, aleć cichości jest pełna.

A cichość to jest ona, z którą i słońce spogląda na ziemię zakutą w lody — Cichość to jest, od której ziemia się budzi zdrętwiała, cichość, od której skorupy co najmocniejsze pękają i łzy się sączą pod niemi, życie łez wstaje pod niemi.

Łzy płyną, płyną gorące, w milczeniu anielskich chórów. Cichość Boskiego spojrzenia patrzy na duszę płaczącą.

Łzy jasne — anielskich zachwytów blask się w nich mieni iskrzący, łzy jasne — słońce miłości przegląda się w nich wieczyste.

Łzy ciężkie... ach ciężkie duszy! Jako kamienie toczą się, stopione w brylant kamienie. Jako kamienie, co długo w zimne sklepienie zwalone, w niewoli duszę więziły.

O jako w oczach anielskich, we łzach tych ona bieleje! we łzach, na które słońce wiecznej miłości opada. — O jaka łaska od Pana, od żłóbka po nią posłana w złotość ją stroi i bisior srebrny, co nigdy już nie ściemnieje.

— Jehowa! mocne Twe ramię.

— A miłość Twa przepaście przesięga.

Nie widzi chórów anielskich, nie widzi bisiorów ni złota — a jako puch jest niesiona, jako puch w słońce idący, prądem niesiony przemożnym ku żłóbku, ku Paniąteczku, ku Bogu, który nawiedził lud swój.

Boś jest początkiem i końcem i pożądaniem wieczystem każdego Twego stworzenia, Tyś jest najmiłościwszym, o Panie, ich przeznaczeniem.

Krystyna Saryusz Zaleska.

KRUCYFIKS JADWIGI[1].

Wejrzyj Ty na mnie miłościwie z krzyża,
Królu boleści!... We łzach tu przychodzę,
Bo kielich męki mojej się przybliża,

A ja truchleję i omdlewam w trwodze.
Odwróć go Boże, spełniać mi go nie każ,
Miej litość, iżem udręczona srodze.

Lękam się cierpieć!... Ty, który ociekasz
Krwią Przenajświętszą na krzyżowem drzewie,
— Bolesny duchów, bolejących lekarz —

Ty mnie od nóg swych nie odtrącisz w gniewie,
Że ja tak swojej niemocy się trwożę
I że się we mnie jeszcze tli zarzewie

Pragnień dziewczęcych, co jak złote zorze,
Ranek żywota mego różowiły,
I wzrok oderwać od nich się nie może.

---

[1] Wkrótce pojawi się książka L. Rydla o królowej Jadwidze, bogato wydana nakładem poznańskiej firmy K. Kozłowskiego. Dzięki uprzejmości wydawcy, umieszczamy niniejszy wiersz.

Redakcya.

Ani ja ducha ani dość mam siły,
Bym się wyrzekła szczęścia i pod brzemię
Ciężkie nieznośnie, dała kark pochyły.

. . . . . .

Nie słuchaj moich słów, nie karajże mię
Za taką mowę, Chryste Gospodynie!
Ty mi nieść dajesz na pogańską ziemię

Swój krzyż, mnie lichą za swych łask naczynie
Zwolić raczyłeś, a ja z bólu krzyczę,
Iż moje biedne, ziemskie szczęście ginie!

Przed oczy Twoje, przed Twoje oblicze,
Żałością wszystkich ludzkich smutków czarne,
Kładę łzy moje i serce dziewicze,

Pragnienia błahe i tęsknoty marne,
I to co trwoży mnie i co mnie boli,
I do przebitych nóg twoich się garnę...

Otom, jak martwa rzecz bez własnej woli,
Na Twoje tylko posłuszna skinienie:
Rzuć mnie, jak siewca ziarno do swej roli,

A kłosem wznijdę, tchnij — w ptaka się zmienię
I szlakiem woli Twej rozpuszczę loty;
Każ bym zgorzała — jarzące płomienie

Wystrzelą ze mnie i w jasności złotej
Będę ci płonąć, aż się w ogniu strawię;
Każ — łez potokiem popłynę z Golgoty!

. . . . . .

Przemówił do mnie... przemówił na jawie!
Patrzał... ustami poruszał widomie...
I głos słyszałam — konająca prawie

W tym przerażenia i szczęścia ogromie...
I nie — jak ongi — na Synaju górze
W błyskawic blasku przemówił i gromie,

W czerwieniejącej żywym ogniem chmurze,
Lecz raj był cały w każdem jego słowie:
Jak srebrne gwiazdy, jak niebiańskie róże

Padały słowa — i jak aniołowie
W otwartą moją wstępowały duszę...
— I żal mi jeno, iż po tej rozmowie

Z moim Chrystusem żyć tu jeszcze muszę,
W ciała glinianem więzieniu zamkniona...
Lecz jakoś rzekł mi — w puszcz litewskich głuszę

Krzyż Twój poniosę. Oto na ramiona
Biorę go Panie, całem sercem biorę!
Już mi nie straszna cierniowa korona,

Bo żar miłości Twojej we mnie gore!

Lucyan Rydel.

GALILEUSZ W ŚWIETLE NOWYCH BADAŃ.

Bój między wiarą a wiedzą, między πιστις a γνωσις, którego zarzewie już u samej kolebki chrześcijaństwa tlić zaczęło, nie przycichł nigdy zupełnie, a w czasach ogólnej rewolucyi religijnej, której hasło godziło wprost w powagę Kościoła, w czasach rozpoczęcia pochodu ku nowym wyżynom ludzkiego badania i ludzkiej wiedzy, stawał się ów bój ponętną pokusą, zwłaszcza dla umysłów wybitnie naukowo uzdolnionych. To się da łatwo zrozumieć, ale przy tem trzeba pamiętać, że Kościół jako stróż objawienia, nie mógł obojętnem okiem patrzeć na te zakusy, zwłaszcza w czasach bardziej niebezpiecznych. Na taki właśnie okres natrafił genialny badacz przyrody XVII wieku *Galileo Galilei*. Reformacya i nowa nauka, rozognienie umysłów i zaczepki uczonych, to wszystko parło prawie nieuchronnie do walki i powodowało zdarzenia, które tylko na tle owej epoki dadzą się zrozumieć i ocenić. Ten postulat nie zawsze spotykał się z należytem uwzględnieniem, zwłaszcza w sprawie Galileusza, o czem i nasze czasy wymowne dają świadectwo.

Jeszcze 2 lipca 1908 r. zapewniał Diels w swojej mowie ku uczczeniu pamięci Leibnitza w obecności pruskiego ministra kultu, że »nowa wiedza z więziennej celi Galileusza się rozwinęła i swoje *E pur si muove* pomimo katów ostatecznie przeprowadziła« [1]. Jaskrawy to przykład, że i dziś jeszcze nie tylko na-

[1] *Sitzungsberichte der kgl. preus. Akademie der Wissenschaften.* 1908, 711.

miętna agitacya anty-kościelna, ale i sfery naukowe nowsze badania w sprawie Galileusza milczeniem pomijają, gdyż więzienna cela Galileusza i jego kaci u sumiennych i bezstronnych historyków już dawno do bajek należą.

Tem dziwniejszy to fakt, że od 17 lat (1890—1907 r.) wydaje Antonio Favaro pod patronatem króla włoskiego nowy zbiór dokumentów, tyczących się Galileusza, obejmujący 20 tomów, z których 19 tom po pierwszy raz wszystkie istniejące dokumenty, które się odnoszą do głośnego procesu Galileusza, publikuje [1]. Kościelne władze z największą wspaniałomyślnością dały wydawcy wolny przystęp do tajnych archiwów rzymskich, z pozwoleniem publikacyi odnośnych dokumentów [2].

Warto więc na podstawie tego wydania jeszcze raz rozpatrzyć kwestye, najbardziej interesujące, szczególnie te, które w sprawie Galileusza od trzech wieków uporczywie wracają w polemice anty-kościelnej.

I.

W pamięci ogółu żyje Galileusz jako wielki astronom, może nawet jako największy XVII wieku, do czego się przyczynia nie mało mylnie mu przypisane wynalezienie teleskopu. W kołach fachowych uznają w nim genialnego uczonego, bystrego fizyka i zręcznego dyalektyka, ale zarzucają mu brak znajomości teoretycznej astronomii, z powodu czego swoich odkryć astronomicznych ani dostatecznie naukowo uzasadnić, ani z nich skorzystać nie umiał, pomijając to, że prawie wszystkie jego odkrycia astronomiczne, niezależnie od niego, także przez innych zostały do-

[1] *Le Opere di Galileo Galilei.* Edizione nazionale... Direttore Antonio Favaro. Firenze 1890. sq. Tipografia Barbèra.

[2] Na podstawie tego wydawnictwa wyszła ostatnimi czasy praca, napisana przez O. Adolfa Müllera T. J., prof. astronomii i dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Rzymie, przedstawiająca gruntownie szczególnie spórne kwestye w sprawie Galileusza.

Galileo Galilei und das Kopernikanische Weltsystem von Adolf Müller S. J. Herder. Freiburg. 1909. 8-vo, XII, 180.

Der Galilei-Prozess (1632—33) nach Ursprung, Verlauf und Folgen von Adolf Müller S. J. Herder. Freiburg. 1909. 8-vo, VIII, 206.

konane (jak księżyców Jowisza, pierścienia Saturna, plam słonecznych i t. d.), z tem większą jeszcze dokładnością. Ten brak pewności w rzeczach teoretycznej astronomii nie małą odgrywa rolę w tragizmie jego życia, choć nie sam jest jego przyczyną. Grają tu także rolę wielkie wady jego charakteru. Galileusz był człowiekiem kłótliwym, nagłym, chciwym sławy i nieprzejednanej mściwości, połączonej z pewnym rodzajem manii prześladowczej, słabe strony, o których wielbiciele jego niechętnie słyszą, których zaś zaprzeczyć nie można, i bez których niejeden fakt z życia tego człowieka zupełnie staje się niezrozumiałym.

Te, a nie inne przyczyny trzeba uwzględnić, aby sobie utworzyć prawdziwy obraz t. zw. pierwszego procesu Galileusza w latach 1615 i 1616.

Galileusz obejmując w r. 1610 miejsce nadwornego astronoma Wielkiego Księcia Toskany we Florencyi, miał już głośne imię w świecie naukowym. Zwłaszcza wydany przez niego 12 marca 1610 r. *Sidereus nuncius* zjednał mu uzasadnioną sławę nawet z ust wielkiego Kepplera. W tem to dziele pokazuje się już u Galileusza zwrot ku systemowi Kopernika, którym do tego czasu mało się był zajmował. Znajdujemy nawet tutaj już wzmiankę o zamiarze, który dopiero 22 lat później miał urzeczywistnić w słynnem dziele swojem: »Dyalogi«, o którem później więcej usłyszymy.

Stanąwszy raz w szeregu sławnych astronomów, choć raczej *inter foelicissimos* jak *celiberrimos*, jak go sławiono w r. 1611 w kolegium rzymskiem pod kierunkiem Jezuitów zostającem, począł Galileusz dążyć do tego, by sławę tę jeszcze lepiej uzasadnić i powiększyć. Zmuszała go do tego opozycya, na którą napotykała dotychczas prawie każda jego publikacya, opozycya odmawiająca mu zwyczajnie nie bez podstawy pierwszeństwa w jego odkryciach.

Sławne i gruntowne badania Kepplera, coraz liczniejszych jednały zwolenników systemowi Kopernikańskiemu, ale zawsze bywał on jeszcze pojmowany jako wygodna hipoteza, ułatwiająca matematyczną stronę astronomii. Od czasu odkryć Galileusza coraz

więcej pojawia się głosów i zwrotów, przedstawiających system Kopernika, jako pewnik naukowy. Dla uczonych zaś nie było tajnem, że dostarczone dowody były jeszcze niewystarczające dla takiego twierdzenia. Trudności przeciw systemowi Kopernika nie tyle z astronomii pochodziły, jak raczej z filozofii perypatycznej i teologii. Już Kopernik sam zna ludzi, którzy sądzą, że jego nauka sprzeciwia się Pismu świętemu, a znaną jest rzeczą jak Luter, Melanchton i ich zwolennicy tę kwestyę podkreślili. Z katolickiej strony wówczas jeszcze o tym przedmiocie żadnej publikacyi nie było, tylko w manuskrypcie przechowała się rozprawa Ludwika delle Colombe, florenckiego uczonego, *contro il moto della terra,* w której ostatnie dwie stronnice o tym przedmiocie traktują, rozprawa, która znana była Galileuszowi. Nawet w liście swoim z 16 lipca 1611 r. do Gallonzoni'ego, przeznaczonym dla kardynała Bellarmina omawia rozprawę Colombego, ale o trudnościach z Pisma św. milczy; dopiero w r. 1612 zapytuje się kardynała Conti'ego o zdanie co do owych trudności. Z wszystkich tych korespondencyi i uwag wynika, że kwestya wówczas tak stanęła: Jeżeli Pismo św. ma być dosłownie rozumiane, wtedy ziemi żadnego ruchu przypisać nie można; jedyny powód do odstąpienia od dosłownego tłumaczenia Pisma św. byłby dowód filozoficzno-przyrodniczy za ruchem ziemi; tego dowodu nie tylko że niema, ale z prób dotychczasowych zdaje się wynikać niemożliwość jego, a więc da się z Pisma św. udowodnić, że system Kopernika jest fałszywy. Wobec tego jest rzeczą jasną, że teologiczna strona kwestyi wnet zajęła pierwsze miejsce.

Galileusz nie mógł się oprzeć pokusie, by zamiast uzasadnić naukę Kopernika matematyczno-astronomicznymi dowodami, nie zabrać głosu w kwestyi teologicznej, krok, który mu wprawdzie zjednał rozgłos wielki, ale fatalne dla niego samego i nauki Kopernika miał następstwa. W długim liście do Castelli'ego kwestyę tę roztrząsa i rozwiązać usiłuje. Zaznacza w nim, że wprawdzie Pismo św. błądzić nie może, ale błądzą tłumacze jego, szczególnie w tem, że wszędzie chcą Pismo św. dosłownie tłumaczyć. W kwestyach przyrodniczych można się dopiero na ostatniem miejscu na Pismo św. powołać i zastosować się trzeba w jego tłumaczeniu do

pewnych wyników nauk przyrodniczych. Na końcu odpowiada na trudność wziętą z księgi Jozuego: *Sol Sta.*

Galileusz w tych swoich wywodach wogóle miał słuszność, jak dziś wiemy. Zrozumieć jednak łatwo, że wówczas, wobec niedostatecznego uzasadnienia nauki Kopernika, kolportowany w różnych odpisach list, wielkie musiał wywrzeć wrażenie. Dominikanin O. Tommaso Cassini, w czwartą niedzielę adwentu 1614 r., nawet na ambonie przeciw Galileuszowi wystąpił. Galileusz rozdrażniony i nie bez obawy, słysząc, że szczególnie dominikanie żywo listem jego się zajmują, wysłał dokładny odpis jego do ucznia swego mr. Diniego w Rzymie z prośbą, aby rzecz przedłożył O. Grienbergerowi T. J., profesorowi matematyki i kardynałowi Bellarminowi. Ostatni, uważając naukę Kopernika za hipotezę, nie obawiał się jej potępienia ze strony Kościoła, ale zachęcał do większego spokoju, O. Grienberger zaś podniósł znowu, że lepiejby było najprzód system Kopernika naukowo uzasadnić, a potem do teologicznej kwestyi przystąpić.

Wtem wyszła praca Karmelity Foscariniego *Sopra l'opinione de' Pittagorici e del Copernico,* w której autor oświadcza się za Kopernikiem, uważa za rzecz możliwą, że kiedyś jego nauka stanie się faktem udowodnionym i w tym celu w sześciu punktach odpowiada już teraz na zarzuty przeciw niej z Pisma św. wzięte. Galileusz zaraz za pośrednictwem przyjaciela swego księcia Cesiego otrzymał egzemplarz tej pracy. Umiał on z cudzych prac korzystać, uczynił to także z pracą Foscariniego. Wnet wyszła rozprawa jego w formie listu do Maryi Krystyny, matki księcia Toskańskiego, gdzie znowu omawia kwestyę sprzeczności nauki Kopernika z Pismem św. i korzystając znacznie z pracy Foscariniego, odwołuje się także na św. Augustyna, Hieronima i Tomasza, zwracając przytem uwagę na to, że pisarze kościelni kwestyami przyrodniczemi się nie zajmowali *ex professo,* stąd zgodność ich zdania nie może być uważaną za dowód. I ta praca Galileusza w ogólności zawiera poglądy, na które się dziś każdy teolog zgodzi i niejeden także wówczas już je posiadał, została jednak i teraz owa trudność, że nauka Kopernika nie była uważana za pewnik. Głównym zaś

kamieniem obrazy była namiętna gorączkowość Galileusza, z jaką raz po raz przerzucał teoryę Kopernika na grunt teologiczny.

Zbliżał się tak rok 1615. Na lata 1612—15 przypada odkrycie plam słonecznych przez Scheinera T. J., profesora matematyki w Ingolstadzie i Galileusza i stąd powstała bardzo niepocieszająca i na Galileusza niekorzystne światło rzucająca kontrowersya o pierwszeństwo, której zawdzięczamy dziełko Galileusza: *Istoria e Demonstrazioni intorno alle machie solari e loco accidenti.*

Polemika ta nie odwróciła uwagi powołanych sfer od owych listów Galileusza do Castelliego i matki arcyksięcia Maryi Krystyny w kwestyi teologicznej nauki Kopernika. I nie dziw, bo były to czasy walki przeciw władzy kościelnej pod hasłem wolnej nauki. W lutym 1615 napisał Dominikanin, Mikołaj Lorini z Florencyi, poufny list do kardynała Emilio Spondratiego, prefekta Kongregacyi indeksu, z prośbą, aby raczył zająć się dołączonym listem Galileusza do Castelliego, nie w celu formalnego oskarżenia, lecz z poczucia obowiązku, gdyż na nim i braciach jego zakonnych ciąży obowiązek czuwania nad czystością wiary. Kardynał odniósł sprawę do trybunału Inkwizycyi, która wnet nią się zajęła. Wystarano się najprzód o poprawny tekst listu, na podstawie którego wydał consultor congregationis S. Officii sąd wogóle bardzo przychylny, zaznaczając, że autor listu granicy katolickich przekonań nie przekroczył. O stosunku nauki Kopernika do Pisma św. milczy, gdyż list sam nie dał mu powodu o tem wspominać.

Ale Galileusz sam znowu przyczynił się do tego, aby w Rzymie zwrócić uwagę i na tę stronę kwestyi w *Considerazioni*, za których autora sam Favaro Galileusza na pewno uważa. Podkreśla tu, że nauka Kopernika nie jest hipotezą, i przedmowa do dzieła Kopernika, z której to wynikaćby mogło, jest fałszerstwem (jak dziś wiemy słusznie, bo jest dziełem protestanta Osiandra); żąda najprzód dowodu filozoficznego, nie teologicznego, dla uzasadnienia potępienia nauki Kopernika, i przestrzega jeszcze raz przed mylnem tłumaczeniem Pisma św. Nawet wyraża życzenie, aby ostro i sumiennie zbadano dowody za obrotem ziemi w mocnem przekonaniu, że 90% siły dowodowej w sobie zawierają. Tak sam

naglił do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy, pomimo ponownych przestróg kardynała Bellarmina i innych. Pojechał nawet do Rzymu, aby jeszcze żywszą rozniecić agitacyę.

Przyjechał zarazem Dominikanin O. Caccini do Rzymu i wyraził życzenie, żeby dla uspokojenia sumienia w sprawie Galileusza przesłuchano go. Nastąpiło to przy końcu marca 1615 r. w wielkiej sali pałacu Inkwizycyi. Pod przysięgą zeznał Caccini, że w owem kazaniu adwentowem chciał tylko upomnieć tych, którzy wbrew Pismu św. trzymają się nauki Kopernika, że pomimo tego Galileusz dalej utrzymuje podwójny ruch ziemi i że także z dzieła jego o plamach słonecznych tę samą naukę wyczytać można. Przytem zwrócił także uwagę na zażyły stosunek Galileusza do słynnego serwity weneckiego Paola Sàrpi.

Przekonawszy się o prawdziwości wyznań Cacciniego, sformułowano główne twierdzenia nauki Kopernika w ten sposób:

1) Słońce jest środkiem świata i bez wszelkiego ruchu lokalnego [1].

2) Ziemia nie znajduje się w środku świata, ani nie jest nieruchomą, lecz cała się obraca i do tego ma ruch lokalny [2].

Zdania te oddano do osądzenia niektórym teologom. Wówczas t. j. w grudniu 1615 przybył Galileusz sam do Rzymu dla obrony własnej, nie będąc pozwany, i przywiózł ze sobą list rekomendacyjny do kardynała del Monte od Wielkiego księcia Toskany. Widocznie przedstawiono mu wówczas na nowo, że niezbędną jest koniecznością, aby naukowymi dowodami wykazał pewność systemu Kopernika, bo w tym celu przedłożył najprzód w prywatnych rozmowach a na prośbę kardynała Aleksandra Orsiniego także na piśmie swoją teoryę o przypływie i odpływie morza. Traktat ten własnoręcznie przez Galileusza napisany, został w ostatnich latach znaleziony w watykańskiej bibliotece i przez papieską akademię dei Nuovi Lincei 1899 wydany. Nie tylko dzisiejsi uczeni, ale także ówcześni już dobrze rozumieli, że dowód

[1] »Sol est centrum mundi, et omnino immobilis motu locali«.

[2] »Terra non est centrum mundi, nec immobilis, sed secundum se totam movetur etiam motu locali«.

Tak według protokółu Op. Gal. XIX, 294,

ten na rzecz systemu Kopernika był zupełnie chybiony. Ten brak dowodów i nieroztropność, z jaką wszędzie za swoją sprawą agitował, przyspieszyły ostateczną decyzyę kościelną.

24 lutego 1616 r. odbyło się owo pamiętne posiedzenie, na którem 11 obecnych teologów podpisało potępienie dwóch wzwyż wspomnianych zdań. Pierwszemu o słońcu dano cenzurę następującą: że jest głupie i absurdem filozoficznym, i formalnie heretyckie, o ile sprzeciwia się wyraźnie zdaniom Pisma św. w wielu miejscach, ich dosłownemu znaczeniu i ogólnemu ich tłumaczeniu i znaczeniu, jakie ma w wywodach Ojców św. i uczonych teologów. Drugie zaś zdanie tyczące się podwójnego ruchu ziemi otrzymało cenzurę: Wszyscy zgodzili się na to, że to zdanie zasługuje na tę samą cenzurę ze stanowiska filozoficznego, z punktu zaś widzenia teologicznego jest błędnem w rzeczach wiary. Podpisani byli: Petrus Lombardus, arcybiskup z Armagh, 6 Dominikanów, Jezuita Benedykt Justinianus, Benedyktyn Mich. a Napoli, kleryk Regularny Rajch. Rastellius i Augustyanin Greg. Nannius Coronel.

Wyrok na przyszły dzień został przez kardynałów Inkwizycyi, pod przewodnictwem papieża Pawła V, jak dalsze kroki w tej sprawie wykazują, za stosowny uznany; o formalnem zatwierdzeniu nigdzie nie czytamy. Akta procesu mówią dalej, że kardynał Bellarmin, aby Galileuszowi okazać względy, ma go prywatnie nakłonić do zaniechania owej nauki; kardynał zaś Mellini, sekretarz kongregacyi, miał te rozporządzenia nieobecnym oficyałom (assesorowi i komisarzowi) oznajmić z tym dodatkiem, że Galileusz ma być uwięziony, gdyby do napomnień się nie zastosował.

Każdy przyzna, że wybór kardynała Bellarmina do tej misyi był bardzo szczęśliwy i delikatny, z powodu wielkiej powagi jego i przychylności dla Galileusza. W następny dzień (26 lutego) Bellarmin zaprosił Galileusza do swego mieszkania i w bardzo grzecznej formie sprawę mu przedłożył. Ale Galileusz wzbraniał się tak, że obecny komisarz P. Seghetius de Lauda, w obecności kardynała i kilku świadków, w papieża i swojem imieniu, uciekł się do nakazu odwołania. Niema też na przyszłość w żaden sposób *(quovis modo)* ani ustnie ani pisemnie tej nauki wykładać, bronić

albo traktować, w przeciwnym razie św. Officyum przeciw niemu wkroczy. Na to Galileusz się uspokoił i obiecał posłuszeństwo. Na następnej sesyi kongregacyi św. Inkwizycyi zdał o tem Bellarmin relacyę.

Zakaz dzieł, które występują w obronie systemu Kopernika jako teoryi pewnej i Pismo św. starają się z niem pogodzić, należał do innego trybunału, mianowicie do Kongregacyi Indeksu. Ta przedłożyła na tej samej sesyi św. Officyum 3 maja następujące rozporządzenie: Dzieło Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium* i komentarz Didaka a Stunica do księgi Joba mają być zakazane z dodatkiem *donec corrigantur* t. j. aż zostaną poprawione. Bez tego dodatku ma być zakazana praca Karmelity Foscariniego. Na końcu dodano ogólnie zakaz wszystkich dzieł, które tę samą naukę wykładają *(aliosque omnes libros, pariter idem docentes, prohibendos)*. Korektury do Kopernika, które kongregacya r. 1620 opublikowała, są bardzo umiarkowane i ograniczają się do tego, aby niektórym miejscom, gdzie Kopernik swój system jako pewną teoryę przedstawia, nadać formę hipotetyczną [1].

Wieść o całej tej sprawie natychmiast rozeszła się po całych Włoszech i jak zawsze tak i teraz nie obeszło się bez bajek nie bardzo zaszczytnych dla Galileusza. Galileusz zwraca się do kardynała Bellarmina z prośbą o obronę swej sławy, na co tenże ogłosił 26 maja 1616 r. oświadczenie, w którem oznajmia, że Galileusz ani w jego ani w inne ręce, ani w Rzymie ani gdzieindziej, pod przysięgą, swej opinii albo nauki wyrzec się nie był zmuszony, ani też żadnej pokuty nie był otrzymał. Oznajmiono mu tylko rozstrzygnięcie papieskie, przez Kongregacyę Indeksu opublikowane, tyczące się sprzeczności nauki Kopernika z Pismem św., której zatem nadal nikomu uczyć ani bronić nie wolno [2]. To

[1] Dekret ten pierwszy raz przez F. Hilgersa T. J., 1904, w całości wydany na początku mówi: »Praedictos libros Copernici omnino pro utilitate Reipublicae Christianae conservandos ac sustinendos esse«, że dzieła Kopernika z powodu wielkiej ich pożyteczności dla chrześcijańskiej społeczności zachowane i poważane być mają. (*Index der verb. Bücher*, 541).

[2] Niema więc w tem pisemnem oświadczeniu owego *quovis modo*, w jakikolwiek sposób, na którym to szczególe oprze Galileusz swoją obronę.

oświadczenie wystarczyło dla sprostowania różnych fałszywych pogłosek, choć dla sekretu urzędowego i oszczędzenia sławy Galileusza, Bellarmin o niektórych okolicznościach zamilczał. Sprzeczności jednak w tem oświadczeniu z faktycznym stanem rzeczy niema. Galileusz też nie taił się z tem, że rozstrzygnięciu papieskiemu się poddał, choć z drugiej strony nie powstrzymał się od ostrych wyrzutów pod adresem swoich »przeciwników«.

Jaką doniosłość mają dekrety rzymskie z r. 1616? Oczywiście, że nie można z nich kuć broni przeciw nieomylności Kościoła. Najprzód, Kongregacya Inkwizycyi tych dekretów wówczas wcale nie publikowała, a tem mniej papież sam. Zresztą, gdyby nawet taka publikacya była nastąpiła, to dekrety Kongregacyi Inkwizycyi w zwyczajnej formie publikowane, choć zatwierdzone przez papieża jako prefekta tejże kongregacyi, same w sobie nieomylne nie są *(irreformabiles non sunt)* [1]. Znaczącem także jest, że w procesie roku 1633 te dwa dekrety figurują tylko jako zdanie teologów, nie inkwizytorów. Wogóle nie można brać Kongregacyi kościelnej za złe, że w owych czasach rewolucyi kościelnej, nadto wobec słabych dowodów za pewnością nauki Kopernika, chwyciła się energicznego środka i nakazała milczenie. Jedyny błąd chyba w tem da się upatrzyć, że zakaz ten był motywowany sprzecznością owej nauki z Pismem św., co tak bardzo jasnem i uznanem nie było. Nie trzeba zaś zapominać, że tej sprzeczności ze strony św. Officyum nigdy uroczyście nie deklarowano, przesłano tylko zdanie teologów Kongregacyi Indeksu, która na tej podstawie wspomniane trzy dzieła zakazała. Nie można zaś rzymskim kongregacyom robić zarzutu z tego, że za sprzecznością z Pismem św. tak usilnie się ujęły, choć nie szło o rzeczy tyczące się wiary i moralności, bo mieli za sobą jednomyślne zdania Ojców Kościoła, że Pismo św. nie o pozornym lecz rzeczywistym ruchu słońca mówi, a kwestya głębsza egzegetyczna wówczas jeszcze nie była tak dokładnie znana i określona jak dzisiaj; trzeba też przyznać, że sprawa Galileusza niemało do głębszego badania tej kwestyi się przyczyniła.

[1] Wernz: *Ius decretalium*[2], II, 2, n. 659.

Z tego wszystkiego jest jasnem, że gdyby Galileusz nie był przekroczył swej kompetencyi, gdyby się był do tego ograniczył, by swe odkrycia naukowo uzasadnić i wykorzystać, teologiczną zaś kwestyę zostawił tym, do których ona należy, nigdy świat o procesie Galileusza nie byłby słyszał, ani dzieło Kopernika na indeks nigdyby się nie było dostało.

Na pochwałę Galileusza trzeba dodać, że w tej krytycznej chwili zdobył się na akt heroiczny posłuszeństwa względem Kościoła i że pomimo przywar swoich zawsze został wiernym wierze katolickiej, co jeszcze jaśniej wykaże właściwy proces jego rzymski roku 1632—33.

II.

Dekrety z r. 1616 nie zawierały żadnego dogmatycznego orzeczenia w rzeczach wiary, a ponieważ piętnowały tylko sprzeczność Kopernikańskiego systemu z nauką Pisma św., przeto nie wykluczały także swobody w dalszem poszukiwaniu naukowych dowodów na korzyść Kopernika. W ten sposób pojął te dekrety Galileusz jak i jego współcześni i nie widział w nich nieznośnego skrępowania naukowych dociekań. Nie brakło mu do tego czasu, bo zaszczyt honorowego profesora przy uniwersytecie w Pizie bez żadnych obowiązków przynosił mu 1000 złotych rocznego dochodu z dziesięcin kościelnych, których mu i nadal nie odmówiono.

Dlatego też podjął Galileusz zaraz po powrocie do Florencyi swoje dawne prace, szczególnie zaś usiłował zjawiska towarzyszące księżycom Jowisza wykorzystać w celu oznaczenia długości geograficznej różnych miejsc. Niebawem jednak jego łatwo obrażliwa próżność sprowadziła nową przeszkodę w tej pracy. Pojawienie się trzech komet w r. 1618 usiłował O. Grassi T. J., profesor matematyki w Collegium Romanum, wyświetlić w swoich wykładach, które wkrótce potem ogłosił drukiem. Ponieważ jednak Galileusz temi zjawiskami się nie zajmował, dlatego o nim nic nie wspomniał. To właśnie dotknęło florenckiego filozofa.

Rozpoczął się bardzo niesmaczny spór pomiędzy obydwoma, w którym znowu Galileusz pokazał swoją zręczność dyalektyczną i czystość swojej *lingua toscana*, pod względem naukowym jednak

stanowczo poniósł klęskę. Na ten właśnie okres przypada wyniesienie długoletniego przyjaciela i wielbiciela Galileusza, kardynała Barberiniego na tron papieski dnia 6 sierpnia 1623 r. Barberini przyjął imię Urbana VIII. Jemu też dedykował Galileusz jedno z owych pism polemicznych *Il Saggiatore*, a papież nie wahał się przyjąć tej dedykacyi. To też Galileusz tuszył sobie, że zapatrywania jego odtąd łaskawiej będą w Rzymie oceniane i już w kwietniu 1624 r. przybył do Rzymu z listami polecającymi do kardynała Medici. Nie znalazł jednak nawet u przychylnego sobie papieża tego usposobienia dla swych zamysłów, jakiego się był spodziewał. Mimo to jednak nie omieszkał pytać, jakby cenzura kościelna przyjęła dzieło w obronie systemu heliocentrycznego. Nosił się bowiem z tą myślą dalej i nigdy jej zupełnie nie zaniechał. Od r. 1622 pracował dalej mimo danego przyrzeczenia nad wykończeniem swoich »Dyalogów«, które dopiero później się pojawiły. Można krok za krokiem śledzić, jak Galileusz coraz otwarciej wyłamywał się ze swojego przyrzeczenia, co także było głównym przedmiotem jego oskarżenia.

Galileusz wrócił do Florencyi mało co wskórawszy dla swej sprawy w Rzymie. To niepowodzenie osłodził mu nieco Urban VIII swojem brewe pochwalnem, które dnia 8 czerwca 1624 wystosował do Ferdynanda II, wielkiego księcia toskańskiego, a w którem zaleca Galileusza szczodrobliwości księcia. To wszystko nie odwiodło Galileusza od swego zamiaru. Przypomniał sobie teraz jedno pismo Franciszka Ingoliego, który na jego życzenie zebrał r. 1616 wszystkie wątpliwości co do nowego systemu, dodając prośbę, aby nie tyle teologiczne jak raczej naukowo-przyrodnicze trudności usunął. Tymczasem już Keppler w swoim *Epitome Astronomiae Copernikanae* przeważną część tych trudności rozwiązał. Łatwo więc było Galileuszowi już we wrześniu 1624 wykończyć swoją odpowiedź, w której nie waha się mimo swego przyrzeczenia przedstawić naukę Kopernika jako »jasną jak słońce i niezbitą prawdę«. Był to krok, po którym miał nastąpić ostatni i najfatalniejszy. Po powrocie z Rzymu pracował Galileusz od r. 1625 dalej nad swymi »Dyalogami«. Zamiar, który tak często wypowiadał, który właściwie miał znaleźć swoje uskutecznienie w postawieniu

własnego systemu wszechświata, wkońcu jednak jako uzasadnienie systemu Kopernikańskiego był pomyślany tak, żeby hipotezę Kopernika podnieść do znaczenia tezy, zamiar ten blizkim był już swego urzeczywistnienia. Łatwiej jednak było go podjąć, niż całkiem do skutku doprowadzić, zwłaszcza że Galileusz zdawał sobie dokładnie sprawę ze sprzeczności, w jaką, wskutek tego przedsięwzięcia, popadł z dekretami indeksu i swojem przyrzeczeniem z r. 1616. Prędko się jednak uporał z wszelkiemi wątpliwościami i już w lutym 1630 r. postanowił ostatecznie dzieło swe w samym Rzymie ogłosić. Ponieważ jego przyjaciel Castelli, naówczas profesor matematyki przy uniwersytecie rzymskim »Sapienza«, rokował mu jak najlepsze nadzieje w tym względzie, przeto wybrał się w nową podróż do Rzymu i w pierwszych dniach maja 1630 r. stanął w Wiecznem Mieście. Tutaj usiłował przedewszystkiem uzyskać *Imprimatur* dla swego dzieła u O. Riccardiego, magistra S. Palatii. Dominikanin ten, bratanek żony posła toskańskiego, jakkolwiek dla Galileusza bardzo przychylny, świadom był jednak, jak niebezpieczną jest ta sprawa. Oddał dzieło Galileusza do przejrzenia O. Viscontiemu, również Dominikaninowi, profesorowi matematyki, który w niem poczynił wiele zmian, w celu utrzymania charakteru hipotezy wygłaszanych zdań, zresztą jednak kazał Galileuszowi być dobrej myśli. Że atoli O. Riccardi sam chciał jeszcze całe dzieło przepatrzyć, przeto sprawa uległa dalszej zwłoce, tak że Galileusz ze względu na swe zdrowie zamierzał powrócić do Florencyi. To skłoniło Riccardiego do przyjacielskich układów: Riccardi pozwoli na ogłoszenie dzieła pod tym jednak warunkiem, że Galileusz sam zmieni niejedno, coby zmienić wypadało i tak poprawiony manuskrypt nadeśle do Rzymu. Również i korrekta ostatnia ma być przedłożona magistrowi S. Palatii, zanim dzieło prasę opuści. Ale w sprawę wdał się Castelli, który przewidywał trudności, na jakie dzieło w tych warunkach w Rzymie napotkać musi, i radził Galileuszowi, aby je raczej gdzieindziej, najlepiej we Florencyi publikował. Rada ta znalazła poparcie także i w tej okoliczności, że wskutek zarazy komunikacya między Rzymem i Florencyą bardzo utrudnioną była.

Zgodził się na to Galileusz i oznajmił swój zamiar Riccar-

diemu, który teraz zażądał, aby mu wprzód przedłożono odpis poprawionego podług jego uwag dzieła. A że te zmiany zachodziły przedewszystkiem we wstępie i zakończeniu, stanęło wkońcu na tem, że tylko te części do Rzymu nadesłane być miały, na rewizora zaś przeznaczono Dominikanina O. Stefaniego, konsultora Inkwizycyi we Florencyi. Całą sprawę objaśnił Riccardi inkwizytorowi florenckiemu Fra Clemente listem do niego wystosowanym, gdzie wyrzeka się, o ile tylko możliwe, wszelkiej odpowiedzialności i zostawia rozsądkowi inkwizytora, niezależnie od swojej (Riccardiego) rewizyi czy ma zezwolić na ogłoszenie dzieła lub nie. Uwydatnia jednak to, że charakter hipotezy Kopernikańskiego systemu zawarowanym być musi.

Bardzo to schlebiało cenzorowi florenckiemu. Wywiązał się z swej pracy bez zadawania sobie wielkich trudów tak, że Fra Clemente i wikaryusz generalny Florencyi już 21 września 1631 udzielili swoje *imprimatur* i druk mógł być podjęty. Wstęp i zakończenie nadesłane, choć bardzo niechętnie, z Rzymu 19 lipca 1631 r. Zakłopotanie Riccardiego powiększyła ta okoliczność, że Galileusz oprócz pozwolenia florenckiego dołączył w druku także i rzymskie, dodając: *Imprimatur. Fr. Nicolaus Riccardi, Sacri Palatii Apostolici Magister.* Dla większego nacisku była jeszcze dodana uroczysta dedykacya wielkiemu księciu Toskany.

Przy całej swej przezorności przeliczył się jednak Galileusz. Skoro bowiem w maju 1632 roku nadeszły do Rzymu pierwsze egzemplarze ukończonego dzieła, skonfiskowano je na urzędzie cłowym, a nadto wysłano w sierpniu do Florencyi rozkaz, aby powstrzymać rozsyłkę dzieła i resztę egzemplarzy skonfiskować.

W tem także dziele posługiwał się Galileusz znaną *lingua toscana* i formą naukowej rozmowy trzech przyjaciół. Już samo rozdanie roli uwydatnia jego zamiar. Salviati przedstawia wiedzę Galileusza, Sagredo odgrywa rolę pośrednika, Simplicius zaś jako poplecznik systemu Ptolomeusza swoją naiwnością a nieraz i śmieszną niedorzecznością uzasadnia prawo do takiego imienia. Przedmowa, mniejszem pismem, bez wewnętrznego związku, owszem na wielu miejscach w sprzeczności z całem dziełem, bez daty, bez podpisu doczepiona, dostatecznie wskazywała na to, że twórca

jej nieszczerze wypowiadał swe zdanie. Całość dzieła przedstawiała się jako obrona systemu Kopernika. Do tego zdążał cały sposób dowodzenia; absolutny charakter nauki Kopernika uwidoczniał się wszędzie. Nawet Favaro przyznał, że to główne dzieło Galileusza ustępuje innym jego pismom co do wewnętrznej wartości (t. VII, *Avvertimento* str. 3) a na taki sąd zgadzają się prawie wszyscy znawcy. Galileusz nie dostarczył nowych, niezbitych dowodów na korzyść Kopernika, przeciwnie wskutek przedwczesnego spopularyzowania tych zagadnień wprowadził jeszcze większe zamieszanie.

Dla szczególnych względów na osobę Galileusza, powierzył Urban VIII jego sprawę najsamprzód komisyi uczonych w sierpniu 1632 r. Nie znamy żadnego jej członka po imieniu. Wiadomo tyle, że Riccardi poczynił wszelkie starania, aby zapobiedz potępieniu całkowitemu dzieła, a natomiast uzyskać tylko częściowy zakaz *(donec corrigatur)*. Sprawozdanie komisyi obejmuje całą skargę w ośmiu punktach:

Pierwszy dotyczy rzymskiego *Imprimatur*, które umieszczono na czele dzieła niesłusznie, nie przesławszy przedtem tej książki do Riccardiego.

Drugi wytyka przedmowę, jej mały druk, brak związku z całością, osobę Simpliciusa i cały sposób dowodzenia.

Punkt trzeci wykazuje, że autor co do teoryi Kopernika nie liczył się z charakterem hipotezy.

W punkcie czwartym zarzucono, że omawia tę kwestyę tak, jakgdyby jeszcze nie była rozstrzygniętą.

W piątym, że uwłacza takim przeciwnikom, których dziełami Kościół szczególniej się posługuje.

Punkt szósty zaznacza fałszywe tłumaczenie pewnego podobieństwa ludzkiego i Boskiego poznania pewnych zasad geometrycznych.

Po siódme: »Twierdzi, że prawdą jest, jakoby zwolennicy Ptolomeusza przeszli do obozu Kopernika, ale nie odwrotnie«.

Ósmy punkt zarzuca niewłaściwy sposób tłumaczenia przypływu i odpływu morza przez obrót ziemi naokoło słońca.

Wkońcu dodano jeszcze, że to wszystko dałoby się poprawić, gdyby całość dzieła przynieść mogła pożytek. Nie omieszkała też

komisya przypomnieć Galileuszowi jego przyrzeczenia z r. 1616. Zwłaszcza punkt ostatni skłonił komisyę do tego, że dalsze rozpatrywanie sprawy przekazała kongregacyi św. Officium.

Tu rozpoczyna się właściwy proces Galileusza. Dnia 15 września 1632 r. zawiadomił o tem Urban VIII urzędowo posła toskańskiego. Kongregacya oddała całą rzecz pod rozwagę konsultorów, teologów: Augustyna Oregia, Jezuity Melchiora Inchofera i kleryka Regularnego Zacharyasza Pasqualigo. Ci wszyscy zgadzali się w tem, że »Dyalogi« Galileusza napisane są w obronie Kopernika a nadto Pasqualigo skonstatował przekroczenie specyalnego zakazu z r. 1616. Przeto dnia 23 września 1632 r. uchwaliła Kongregacya zawezwać Galileusza przez inkwizytora florenckiego do Rzymu, gdzie ma się zjawić w ciągu nadchodzącego października.

To zawezwanie wręczono Galileuszowi dnia 3 października w obecności świadków. Cios ten, chociaż przewidywany, nie mniej jednak dotkliwy usiłował Galileusz osłabić przez to, że w liście z dn. 23 paźdz. do kardynała Barberiniego prosi o zwolnienie go od tej uciążliwej podróży, ze względu na jego 70 lat i nadwątlone zdrowie. Proponuje, ażeby rzecz załatwiono pisemnie lub przed inkwizycyą florencką. Kongregacya obstawała przy tem, aby Galileusz osobiście się stawił. Ale że ten różnymi sposobami chciał się od tego obowiązku uchylić i przez to nastąpiła nowa zwłoka, zawiadomiono go, że osobna komisya lekarska zbada stan jego zdrowia na miejscu jego kosztem i dodano, że w razie gdyby skonstatowano wystarczający zasób sił do odbycia podróży, ma być uwięziony i w kajdanach odstawiony do Rzymu. To pomogło, dnia 14 lutego 1633 r. przybył Galileusz przy dobrem zdrowiu *(con buona salute)*, jak świadczy poseł toskański, do Rzymu. Zgodzono się na to, że wolno mu zamieszkać we wspaniale położonej *Villa Medici*, pałacu posła toskańskiego, dano mu tylko do zrozumienia, żeby ze względu na własny interes nie przyjmował wszystkich możliwych odwiedzin. To trwało aż do kwietnia. Dopiero z rozpoczęciem przesłuchania zażądano, żeby się przeniósł do pałacu Inkwizycyi, co też nastąpiło dn. 12 kwietnia. Galileusz otrzymał na mieszkanie pokoje jednego z pierwszych urzędników,

pozwolono mu stale zatrzymać własnego służącego, który mógł według upodobania wchodzić i wychodzić. Tego samego dnia odbyło się pierwsze przesłuchanie, dotyczące »Dyalogów«, przyrzeczenia z r. 1616 i rzymskiego *Imprimatur*. Po złożeniu przysięgi przyznał się Galileusz do autorstwa »Dyalogów«, nad którymi według zeznania pracował 10—12 lat. Wymijająco odpowiadał co do owego przyrzeczenia, a kiedy mu odczytano jego dosłowne brzmienie, oświadczył, że ustęp zabraniający mu w jakikolwiek sposób *quovis modo* obstawać przy swych zapatrywaniach, bronić ich albo nauczać, że ustęp ten *quovis modo* uszedł jego uwagi, zwłaszcza, że pisemne świadectwo kardynała Bellarmina tych słów nie zawiera. Odnośnie do rzymskiego *Imprimatur* opowiedział całą historyę, fakt, że Riccardiemu o swem przyrzeczeniu nic nie wspomniał, usprawiedliwiał tem, że w swojem dziele nauki Kopernika ani nie podtrzymuje, ani jej nie broni. Przesłuchanie zakończono oświadczeniem, że bez osobnego pozwolenia nie wolno Galileuszowi wychodzić z domu, a o toczących się rozprawach powinien chować milczenie.

Drugie przesłuchanie, rozpoczęte jak zwykle osobną przysięgą, odbyło się 30 kwietnia. Tu przyznał, że dzieło jego może robić wrażenie jakoby obstawał przy systemie Kopernika, że przyczyną tego była jego próżność *(avidior sum gloriae, quam satis est)* i oświadczył, że gotów jest napisać dalszy ciąg swego dzieła, gdzie dotychczasowe usterki naprawi.

Ta gotowość wywarła dobre wrażenie, wskutek czego pozwolono mu za zgodą papieża wrócić do pałacu toskańskiego. Żeby jednak utrzymać choćby pozory ograniczenia wolności *(loco carceris)*, nie wolno mu było utrzymywać stosunków na zewnątrz, na każde wezwanie zaś papieża miał wrócić do pałacu Inkwizycyi, nadto zachować wszystko w najściślejszem milczeniu.

Trwało to do 10 maja, w którym to dniu ponownie go zawezwano i wyznaczono 8 dni na wypracowanie swej obrony. Galileusz zgodził się na to, a następnie wręczył oryginał świadectwa swej nieposzlakowanej sławy, które mu wystawił kardynał Bellarmin. W załączeniu wykazuje, że niema tam mowy o jakimś specyalnym zakazie, że zakazano mu tylko tak, jak i każdemu innemu,

nauczać systemu heliocentrycznego lub go bronić. Zwłaszcza nie znajdują się tam słowa: *quovis modo*, o których pierwszy raz słyszy, że ustny zakaz je zawierał. Dlatego nic o tem nie mówił Riccardiemu, od którego właściwie wcale żadnej aprobaty nie potrzebował. Nie może więc być mowy o formalnem nieposłuszeństwie.

Apelem do współczucia sędziów, ze względu na jego podeszły wiek, zakończył swoją obronę.

Mimo to, »Dyalogi« jako też i poprawki w jego zeznaniach zaprzysiężonych razem z dekretami z 1616 r., nasuwały podejrzenie, że Galileusz zakwestyonował nieomylność natchnionego słowa Bożego — a więc, że stał się podejrzanym o herezyę.

Co do tego punktu miano według uchwały kongregacyi z dnia 16 czerwca wybadać oskarżonego, choćby pod zagrożeniem używanych podówczas jeszcze tortur. Jeżeli będzie obstawał przy swoich poprzednich zeznaniach, ma się uroczystą przysięgą oczyścić od podejrzenia o herezyę i według uznania sędziów ma być skazanym na odpowiednią karę więzienną. Na przyszłość nie wolno mu ani ustnie ani pisemnie wspominać o ruchu ziemi i stałości słońca, w przeciwnym razie jako *relapsus* karany będzie.

22 czerwca 1633 r. odbyła się ostatnia rozprawa. Na pytanie, czy i odkąd utrzymywał naukę Kopernika, odpowiedział, że po dekretach r. 1616 ją porzucił i także teraz jej nie utrzymuje. Na to kazano mu podpisać protokół i wrócić do swego mieszkania w pałacu Inkwizycyi, jak świadczy poseł toskański (Op. Gal. XV, 165).

Dnia następnego odczytano mu w obecności kardynałów św. Inkwizycyi w wielkiej sali klasztoru dominikańskiego *S. Maria sopra Minerva* wyrok w języku włoskim, opiewający, że Galileusz mocno jest podejrzanym o herezyę, wskutek czego popadł w cenzury i kary kościelne, od których po odprzysiężeniu błędów i herezyi ma być uwolnionym. *Dialoghi di Galileo Galilei* będą publicznem obwieszczeniem zakazane. Sam zaś Galileusz skazany ma być na karę więzienną w św. Officium, według uznania Inkwizytorów, a za pokutę niech przez trzy lata odmawia 7 psalmów

pokutnych raz w tygodniu. Zastrzeżonem jednak jest Inkwizytorom, według swego zdania ową karę i pokutę złagodzić, zmienić albo też w części lub całkowicie znieść. Na zakończenie odczytał Galileusz podpisaną przez siebie formułę odprzysiężenia, która zawiera tylko wyznanie winy, przez którą ściągnął na siebie podejrzenie o herezyę, nadto ogólne potępienie wszystkich błędów, herezyi i sekt, oraz przyrzeczenie, że na przyszłość ani słowem ani pismem nie będzie nic takiego twierdził, lub utrzymywał, coby wzbudziło podobne podejrzenie i że przyjmuje wszystkie nałożone kary i pokuty i chce je wypełnić.

Pod dniem następnym znajduje się w aktach uwaga, że Ojciec św. rozkazał, aby Galileusza przeniesiono z więzienia św. Officium do pałacu posła W. księcia toskańskiego, który to pałac odtąd będzie jego więzieniem i że Kongregacya w myśl tego rozkazu zamiast więzienia zwykłe internowanie w pałacu posła bezzwłocznie zarządziła. Nie bardzo ucieszył się poseł z takiego podarunku i dlatego zwrócił się do papieża z prośbą o zupełne ułaskawienie. Papież odmówił, pozwolił jednak Galileuszowi przenieść się do Sieny, gdzie miał się stawić u arcybiskupa Ascanio Piccolomini, swego życzliwego przyjaciela, z tem zastrzeżeniem, że nie wolno mu tego miasta opuszczać. 6 lipca wybrał się Galileusz w drogę, ciesząc się czerstwem zdrowiem, tak, że nawet 4 mile z własnej ochoty pieszo uszedł i po 3 dniach stanął w Sienie. Arcybiskup przyjął go z taką życzliwością, że dopatrzono się w tem manifestacyi przeciw zasądzeniu Galileusza i doniesiono o tem do Rzymu. Na dalsze prośby i nalegania Galileusza, pozwolono mu wrócić do swojej willi Arcetri pod Florencyą, z tem zastrzeżeniem, żeby żył w zaciszu i nie urządzał żadnych zebrań ani konferencyi, aż do dalszego rozporządzenia papieża.

Tutaj pozostał aż do marca 1638 r., mimo ponowionych usiłowań z różnych stron o zdobycie mu zupełnej wolności. Rzym miał swoje przyczyny, dlaczego na to nie przystał. Już bowiem w r. 1635 pojawiły się »Dyalogi« w łacińskiem tłumaczeniu w Hollandyi, pewnie nie bez zgody Galileusza; w czerwcu 1636 r. wydrukował znany list do Maryi Krystyny o używaniu Pisma św., w ję-

zyku łacińskim i włoskim, układa się równocześnie o zupełne wydanie wszystkich swoich dzieł, przy czem nie chce opuścić zakazanych »Dyalogów«, byle tylko nakładca wziął na się ryzyko. Także i stosunki z następcą osławionego Serwity Sarpiego w Wenecyi z Fr. Micansio nie stawiały go w korzystnem świetle. Ubocznie opracowywał także w tym czasie swoje najlepsze dzieło, *Dialogo delle scienza nuova,* w którem Galileusz po raz pierwszy podaje jasne wytłómaczenie zespolenia różnych, równocześnie działających sił i objaśnia ruch wahadłowy, rozprawa, w której położył podwaliny dla nowożytnych wyników w tym przedmiocie.

Na schyłku życia Galileusza, otrzymał Castelli pozwolenie odwiedzić swego przyjaciela, podobnie jak i inni jego zwolennicy. 2 stycznia 1638 roku, pisze Galileusz do Diodati'ego, że zaniewidział zupełnie. Wkrótce potem otrzymał pozwolenie na powrót do Florencyi z dołączonem napomnieniem, aby się powstrzymał od dysput o systemie heliocentrycznym. Wolał jednak powrócić niebawem do Arcetri, gdzie też 8 stycznia 1642 r. życie zakończył, otrzymawszy wpierw sakramenta św. i szczególne błogosławieństwo Urbana VIII.

Zatem, zupełne wydanie dzieł i aktów, odnoszących się do życia i pism Galileusza, sporządzone przez Favarę, gorliwego jego wielbiciela, nie poucza nic o więzieniach, o katach, o nienawiści księży, lecz przeciwnie wychodzi na jaw łagodność sądu kościelnego. Prawda, że nie wolno całej sprawy odrywać od jej historycznego tła i osądzać jej przebiegu w świetle naszych postępowych zapatrywań, jak również nie trzeba zapoznawać, że to zasądzenie jednego z najbardziej genialnych badaczy przyrody i to człowieka, który niejednokrotnie dał dowody prawowierności katolickiej, że to zasądzenie jest i pozostanie ubolewania godnem zdarzeniem. Da się jednak zrozumieć i usprawiedliwić. Mamy tu do czynienia z pierwszem znaczniejszem zderzeniem pomiędzy tradycyą a młodą, odrastającą wiedzą przyrodniczą. Panujące stanowisko jednej, a słabo uzasadnione uroszczenia drugiej, które wskutek niepewnego stanowiska Galileusza w tem większe popadły podej-

rzenie, musiały doprowadzić do takiego wyniku. Można kongregacyom zarzucić, że to lub owo było niewłaściwem, nie można jednak żądać, aby bez zmuszających powodów opuściły stanowisko, które przez tyle wieków zajmował Kościół. Skoro zaś takie powody się znalazły, nie wahały się władze kościelne ani chwili, by poczynić słuszne ustępstwa na rzecz nowej wiedzy, a reszta tej opozycyi ustąpiła w r. 1822, kiedy wycofano dekrety indeksu z r. 1616, a nowe wydanie Indeksu z r. 1835 nie zawierało książek z tamtych lat.

Nie wolno także i tego przeoczać, że cała ta sprawa przyniosła niezmiernie ważne objaśnienia co do stosunku teologii do innych nauk, dając jej lepsze, gruntowniejsze zrozumienie zasad egzegetycznych, naukom zaś przyniosła cenne uświadomienie własnych środków i celów. Dlatego też słusznie twierdzić można, że ten nieszczęsny wypadek nie tylko dla systemu Kopernika, ale wogóle i dla innych względów naukowych nie był hamulcem, lecz owszem posunął je naprzód, i że owo *e pur si muove*, (które nie pochodzi od Galileusza) t. j. powolne, lecz skuteczne przełamywanie się pewnej prawdy wbrew poglądom, pozbawionym wewnętrznego uzasadnienia, znalazło nowe potwierdzenie.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga.

Sprawa Galileusza ma prócz historycznego znaczenia właśnie dla naszych czasów także wybitnie praktyczną doniosłość. Właśnie dzisiejsza wiedza, przedewszystkiem nauki przyrodnicze i historya, coraz częściej rzucają nowe światło na kwestye teologiczno-religijne i nikt nie zaprzeczy, że już niejednokrotnie przyczyniły się do pogłębienia religijno-naukowych poglądów. Ale myliłby się ten, ktoby żądał, żeby Kościół za każdorazowem pojawieniem się jakiejś nowej hipotezy, natychmiast odpowiednie zmiany w swoich pozycyach poczynił, lub żeby się wyrzekł poglądów tradycyjnych. A przecież stąd zdaje się wypływać owa zawziętość, z jaką napada się na Kościół z powodu jego rzekomego zastoju, zacofania, tyranii duchów i ignorancyi. Kościół i dziś także nie stawia nikomu przeszkody w dociekaniach podjętych w tym celu, aby uzasadnić jakąś rozumną hipotezę, ale będzie dziś zarówno jak

za czasów Galileusza, bronił swego przekazanego stanowiska, wobec nowych hipotez niedowiedzionych. Jeżeli zaś znajdą się dowody, wtenczas chętnie na ustępstwo się zgodzi. Tak pojęta sprawa Galileusza powinna, zamiast rozogniać i roznamiętniać, wywierać wpływ kojący przynajmniej na tych, dla których więcej znaczy pewność prawdy, niż błyskotliwość nowości.

Ks. A. Starker.

LIGA GAELICKA.

Podczas gdy polityka spoczywa, a posłowie przygotowują się do stawiania czoła nowym trudnościom, jakie wszyscy w Anglii przewidują, rozejrzyjmy się nieco w ruchu umysłowym Irlandyi: chodzi nam mianowicie o obudzenie się ze snu narodowej ligi gaelickiej. Znanym faktem jest, że istnieje w tym kraju potężne stowarzyszenie, *Gaëlic Leagne*, którego celem jest:

1) utrzymać język irlandzki czyli gaelicki jako język narodowy i rozszerzyć jego używanie w potocznej mowie;

2) studyum i wydawanie literatury gaelickiej już istniejącej i wzbogacanie współczesnego piśmiennictwa. Ustawy tego stowarzyszenia uległy zmianom i bardziej się zastosowały do nowożytnych potrzeb na ogólnem zgromadzeniu, t. zw. *Ard-Fheis*, w sierpniu 1908 r. Związek posiada swoje filie rozrzucone po całym kraju i przeprowadza agitacyę, starając się ją ujednostajnić i poddać pod jeden wspólny zarząd: zarząd ten spoczywa w ręku walnego zgromadzenia, *Ard-Fheis*, które posiada najwyższą władzę administracyjną ligi i jest zarazem jedynem jej ciałem prawodawczem. Komitety miejscowe winne mu zatem posłuszeństwo i mają nadzór nad wykonaniem jego ustaw. Wszelka zaś polityka i wszelka dyskusya religijna zabroniona.

Walne zgromadzenie zwołuje się raz na rok obowiązkowo, może być jednak zwołane w nadzwyczajnych wypadkach w każdym czasie na żądanie przynajmniej jednej trzeciej części człon-

ków, albo z woli zarządu. Na ostatniem walnem zebraniu zabroniono wszystkim delegatom, władającym językiem irlandzkim, odzywać się po angielsku na publicznem zebraniu bez pozwolenia zebrania samego. To też sprawozdania wszelkie, nie wyłączając bilansu i statystyki, wydaje się po gaelicku, co niestety utrudnia ich czytanie i korzystanie z nich osobom niewtajemniczonym.

Zanim poddamy dokładnemu rozpatrzeniu osiągnięte rezultaty, starajmy się zaznajomić z duchem ligi i ze sposobami, jakich używa do osiągnięcia swego celu.

Na konferencyi urządzonej w związku w Athlone, wygłosił mr. Georg A. Moonan zdanie, że duch, jaki ożywia związek, jest przedewszystkiem duch twórczy, nie zaś burzycielski: trzeba budować, nie burzyć. »Burzenie jest niekiedy potrzebne, mówił, zwłaszcza, gdy jakiś naród odstąpił od swych tradycyi, gdy wielu z jego członków straciło nawet poczucie narodowościowe, inni zaś dobrowolnie i z rozmysłem tę narodowość porzucili, gdy lud prawie cały przyjął obce pojęcia i obce zwyczaje, a żyje życiem, będącem tylko niewolniczem naśladownictwem życia innego narodu, różnego pochodzeniem i cieszącem się małą sympatyą«.

Kierując się roztropnością, powstrzymał się związek gaelicki przed niszczeniem i wykorzenianiem angielskiego ducha, zaszczepionego w Irlandyi mieczem i krwią; zamiast mówić swoim adherentom: nie czyńcie tego, strońcie od tamtego, zamiast burzyć i pobudzać w ten sposób do nienawiści i do podejrzeń, mówi: czyńcie to, do tamtego się bierzcie, i w ten sposób buduje.

Irlandya to kraj zaburzeń bezużytecznych w przeszłości, ale te bohaterskie wysiłki wyrobiły w narodzie wiele cennych przymiotów: ducha wielkich ideałów, poddającego się cierpieniom i znoszącego je z cierpliwością, poświęcenie bez granic i skore do uniesień. Irlandczycy przywykli patrzeć tylko na chwilę obecną, żyją z dnia na dzień, a żyją dumnie i szlachetnie, ale cel, do którego dążyć mają nieznacznie tylko zwraca ich uwagę. Zbyt łatwo zapominają o tem, że celem walki to zwycięstwo. W dawniejszych bojach brak przezorności dał się im nieraz we znaki: plan kampanii, taktyka wspólna, sposób prowiantowania wojska uchodziły ich baczności. Każdy walczył z iście bohaterskiem mę-

stwem, ale zdawał się walczyć tylko dla siebie samego. I stawia sobie mr. Moonan w dalszym ciągu pytanie: czy teraz potrafi Irlandczyk inaczej postępować? A odpowiedź jego brzmi: zdaje się, że nie. Otóż twierdzi, że celem związku gaelickiego jest rozbudzenie w narodzie irlandzkim świadomości o swej własnej potędze i sile i o swej odpowiedzialności, dostarczając mu przedmiotu, nad którym mógłby pracować i podając mu cel do zdobycia: odbudowanie swego narodowego gmachu.

Każdy członek związku ma szczególny cel sobie wytyczony: nie wystarczy zapisać swe imię w poczet członków stowarzyszenia i płacić wkładki, zjawiać się na zebraniach, oklaskiwać wnioski podane pod głosowanie i wracać potem do siebie, nic więcej nie zdziaławszy. Każdy członek, i ten, co się uczy irlandzkiego alfabetu, i ten, co się mozoli nad rekonstrukcyą irlandzkich tekstów, ma przed oczyma ściśle określoną pracę, której się podejmie z miłości ojczyzny. Ta praca zajmuje go i pochłania, a jeżeli otrzymał naprzykład jako temat nauczenia się śpiewów ojczystych lub rozwoju muzyki w Irlandyi, świadom jest równocześnie, że pracował nad odbudowaniem ojczyzny.

Wielkie dzieła rodzą się często z małych początków: Kilku niedoświadczonych młodzieńców w małej wioszczynie postanawia zbierać się w szkole, opłacają nauczyciela irlandzkiego języka, zbierają się regularnie na posiedzenia, organizują się w stowarzyszenie, dają przedstawienia dramatyczne, przygotowują zgromadzenie, t. zw. *Cuirm Cheoil*. Piętrzą się od razu trudności: trzeba ułożyć program, wybrać odpowiednie utwory muzyczne, artystów, sztukę, która ma być przedstawiona, zredagować ogłoszenia w gazetach, zebrać zasoby pieniężne potrzebne i t. d. Ileż to w tem praktycznej szkoły, ile stron kształcących dla młodego umysłu. Ruch szerzy się w powiecie, powstaje stowarzyszenie obejmujące okolicę całą *Coisde Ceanntair*, ale wtedy nowa odpowiedzialność w doborze wędrownego nauczyciela, w zebraniu dostatecznej liczby uczniów w większych gminach, w obmyśleniu płacy odpowiedniej. Potem wyłania się myśl obszerniejszego stowarzyszenia, trzeba ułożyć dla takiego *Fheis*, program bardziej różnorodny, wymagający już obszerniejszych wiadomości literackich i artystycznych;

dołączają się tańce, wystawa przemysłowa, urządza się konkursy, stawia premie, rzuca się myśl publicznych egzaminów.

Przeglądając wykaz tych stowarzyszeń parafialnych, *Fheis* gminnych, powiatowych i większych nawet, powstających co roku za inicyatywą członków ligi, nabiera się przeświadczenia o jej sile twórczej i żywotności. Komitet centralny wielce się do tego przyczynia: do niego należy wydawnictwo sprawozdań, on się zajmuje ogólnem nauczaniem, literaturą, muzyką rodzimą, jemu przypada w udziale zwoływanie corocznego walnego zgromadzenia *Ard. Fheis*, i urządzanie zabaw kwiatowych *Oireachtąs*. Duch ligi jest postępowy. Wielu inaczej ją sobie przedstawia i wyobraża sobie, że liga zamierza cofnąć się wstecz, podjąć po prostu życie narodowe w tym punkcie, w którym się zatrzymało, wyobraża sobie ligę w niemym podziwie nad wspaniałym posągiem, na którym wyryto napis: »czem była niegdyś Irlandya«. Nie, liga nie chce w XX wieku wskrzeszać z grobu cywilizacyi już dawno pogrzebanej, nie pragnie wcale wrócić do tradycyi druidów, ani do Irlandyi św. Patryka, nie myśli nawet o wskrzeszeniu stosunków XVIII wieku. Nie sądzi liga, zauważył słusznie mr. Moonan, że »łuki i strzały, mimo dawne zasługi, jakie oddały ludzkości w kolei wieków, potrafią jeszcze sprostać armatom systemu Maksyma albo karabinom Lee-Metfords«. Ale równocześnie niemniej jest o tem przekonana, że rozwój narodowy możliwy jest tylko w kierunku przez naturę samą wskazanym, że plemię, które stało się niewiernem swym tradycyom i swemu charakterowi narodowemu, nosi w sobie zarodki śmierci, że naród, który wykopał przepaść między sobą a swymi przodkami, który wyrzekł się własnej cywilizacyi, by przyjąć niewolniczo lub znieść bez protestu wszystko, co mu narzuca zdobywca, skazany jest na śmierć i na całkowitą zagładę.

Liga uczy zatem Irlandyę poznawać swą przeszłość, by ją dostosować do dzisiejszych stosunków. Nie zaleca nauki języka celtyckiego w celu odczytywania pergaminów, walających się po kątach starych bibliotek klasztornych; nie, on chce dać poznać narodowi, że dzisiejszy lud irlandzki jest istotnie tym samym, jakim był przed ośmiu wiekami, tak co do charakteru jak i co

do wymagań i co do przymiotów umysłu, że powinien być tym samym w wielkości i w dobrobycie. By dojść do tego stanowiska chce rzucić między minione wieki a czasy dzisiejsze pomost wspólności języka, mowy wyrosłej z umysłowości irlandzkiej, uwydatniającej tak dobitnie historyę i męską hardość celtycką tkwiącą w narodzie.

Nie należy jednak przypuszczać, by liga miała na celu odosobnienie wyspy od postronnych narodów. Z historyą w ręku mogłaby udowodnić, że kraj nie był nigdy tak mało odosobniony, nie odczuwał nigdy tak mało, że jest wyspą, jak w czasie, gdy język irlandzki był w użyciu u narodu. Udowodniłaby nawet, że w miarę jak język angielski wypierał narodową mowę w ustach ludu, stosunki z sąsiadami zacieśniały się aż do chwili gdy ustały zupełnie, gdy między kontynentem a Irlandyą stanęła potężna Anglia, mająca własny język i odrębną politykę.

Czemu chce liga przeszkodzić, to szerzeniu się przekonania w umysłach młodych Irlandczyków, że wszystko to dobre, co pochodzi z Anglii lub skądinąd, właśnie dlatego, że pochodzi z zagranicy, chce zwalczać opinię, że należy cenić tylko sporty i zabawy cudzoziemskie, chwalić tylko muzykę i mody obce, rozprawiać tylko »o Schumannach, Mendelsohnach i Gounodach, podczas gdy nieznane są nawet nazwiska artystów ojczystych, Rory Dalla i Carolana«. Nie chodzi więc o ostracyzm względem obcych, lecz stara się liga, a zdaje się słusznie, by poznano wielkich ludzi, geniuszów i artystów irlandzkich, przyczem nie broni zaglądać do dzieł sławnych mężów zagranicznych i chwalić ich. Gdy dopnie liga celu swego, poczuje Irlandczyk, jak w nim budzi się z uśpienia szlachetna duma narodowa, zrozumie, że może przy usilnej pracy nie ustępować innym w literaturze, w sztuce, w naukach i w przemyśle, weźmie się na nowo do roboty, do produktywnej pracy, wzrośnie dobrobyt i wstąpi w serce nowa otucha. Cel to stanowczo postępowy.

Duch ligi gaelickiej jest duchem odwagi i nieustraszonego męstwa, duchem niezależności i nadziei. Tylko takim duchem ożywieni mogli założyciele zaglądnąć w oczy »trudnościom olbrzymim, które czyniły sytuacyę wprost rozpaczliwą«. Trzeba było

zwalczać apatyę i obojętność, wpływ praktycznego materyalizmu, fałszywe pojęcie o tem, co nazywają »nowożytną cywilizacyą«, należało stawiać opór niechęci tych, co się wychowali pod innymi wpływami, nawet nienawiści ludzi, którzy zwalczają wszystko, co z blizka lub z daleka ma na celu podniesienie moralne i ekonomiczne Irlandyi. A zwycięstwo trzeba było odnieść t é r a z, język narodowy należało ocalić, zanimby obecne pokolenie zniknęło z widowni — inaczej musiała ta spuścizna narodowa przepaść na zawsze, by istnieć już tylko jako mgliste wspomnienie. Z językiem zaś kładły się ostatecznie do grobu i dzieje narodowe Irlandyi.

Ufna w przyszłość plemienia, którego żywotność świat w podziw wprawia, apeluje liga do wszystkich ludzi dobrej woli i zdolnych do poświęceń. Głosi wszędzie i stara się to wpajać głęboko w przekonanie, że w okręgach, w których język rodzinny zachował się jeszcze, musi być i nadal językiem rodziny, językiem ojczystym; żąda, by w tych okręgach wszyscy funkcyonaryusze publiczni, wszyscy urzędnicy i ci wszyscy, co mają kontakt z ludem, mówili po irlandzku, by akta i ogłoszenia urzędowe redagowano po irlandzku, by dzieci kształcono odpowiednio do zwyczajów krajowych, by językiem szkolnym był język, który najlepiej rozumieją, t. j. język irlandzki.

Liga żąda, by tym okręgom, w których język rodzimy ustąpił miejsca angielskiemu, dawano sposobność uczenia się po irlandzku, ażeby tam cały system wychowania, od szkoły elementarnej do uniwersyteckich studyów włącznie, zmierzał do tego, by przyszłe pokolenia wyrosły na prawdziwych obywateli irlandzkich, którzyby kiedyś krajowi mogli oddać przysługi. Żąda nadto, by język gaelicki (celtycki lub irlandzki, uważając te trzy słowa za synonimy) był równouprawniony na razie z językiem angielskim i dopuszczalnym we wszystkich dokumentach publicznych. Spodziewa się wreszcie od wszystkich swych członków i od tych, którzy piastują urzędy publiczne lub marzą o przewodnictwie opinii publicznej, że zachęcać będą swych podwładnych do studyum języka irlandzkiego, żąda, by swą powagą moralną pomoc dawali jej dążeniom, by wspierali wedle sił także materyalnie dzieło ligi: podźwignięcie języka narodowego.

Oto główne myśli, jakie rozwija Mr. Moonau w swej mowie. Skreśliliśmy je, zostawiając domysłowi łaskawego czytelnika refleksye, jakie nasuwają. Refleksye te będą zapewne w niejednem twarde i przykre dla Irlandyi; ale nie zapominajmy przytem, ile ten biedny naród cierpiał dla swej ojczyzny i dla swej wiary.

Dołączymy jeszcze kilka wyników ze sprawozdania ostatniego *Ard Fheis* czyli walnego zebrania, które się odbyło tego roku w Dublinie. Przyjęto najprzód wnioski: żądać, by znajomość języka irlandzkiego była potrzebną do przyjęcia na nowy uniwersytet. W tym punkcie okazała się liga niewzruszoną mimo opozycyi episkopatu. Biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, żądali biskupi, by język irlandzki stał się obowiązkowym dopiero po upływie kilku lat. Żądało zebranie także bardziej racyonalnego i bardziej praktycznego programu egzaminu z irlandzkiego języka w średnich szkołach i zganiło obecny sposób postępowania przy tych egzaminach: polegał on bowiem na przetłumaczeniu ustępu angielskiego na język gaelicki i na odwrót. Również żaliło się na metodę uczenia języka i historyi irlandzkiej.

Domagało się zgromadzenie od biura centralnego sprawozdania, w jaki sposób zachęcano do konkursów i popisów w kraju i jakie osiągnięto owoce, poleciło zakładanie Kółek gry w piłkę nożną, gdzieby mówiono tylko po irlandzku i prosiło grających by podawali swe imiona i tytuły tylko po irlandzku. Żądano, by na koncertach urządzanych przez pojedyncze stowarzyszenia, produkowano śpiewy irlandzkie, z których jeden przynajmniej ma być odśpiewany w języku ojczystym; życzyło sobie, by w celu lepszego obznajamiania mas z celem swej czynności, liga wydrukowała odezwy i małe prospekty traktujące o języku narodowym, o wychodźtwie, o przemyśle, które możnaby rozdawać na sportowych zebraniach, na footballowych matchach, na jarmarkach i przy innych sposobnościach.

Ze sprawozdania wydziału oświaty wynika, że irlandzkiego języka uczono jako przedmiotu pobocznego w 1507 szkołach, uczęszczało na naukę 46.006 dzieci, i w tym celu udzielał rząd zapomogi w kwocie 10.227 f. s. 18 sz. 8 d. (czyli około

300.000 K.). Liczba dzieci zaś, pobierających naukę w języku irlandzkim wynosiła 31 grudnia 1908 r. około 56.800. W roku szkolnym 1908/9 otworzono 385 szkół wieczornych, a w 185 z nich uczono języka irlandzkiego. Do nauki dwujęzykowej upoważniono w tymże roku 174 szkół, w poprzednim roku zarejestrowano tylko 126 takich petycyi. Postęp zatem widoczny. Przeszło 130 kandydatów złożyło przed królewską komisyą egzaminacyjną *(King's Scholarship Examina tibu)* egzamin na nauczycieli języka irlandzkiego, a nadto 348 kandydatów i 628 kandydatek zgłosiło przed tą samą komisyą język irlandzki jako przedmiot poboczny.

Ruch zatem wszczęty powiedzieć można, że już dobrze rozpędzony. Czegóż się więc spodziewać od przyszłości? Bóg jeden to wie. Niezaprzeczonym jednak jest fakt, że ruch szerzy się znacznie wśród młodszego pokolenia, a wielce go wspierają Bracia szkolni, którzy w swych licznych zakładach dają dzieciom możność zapoznawania się ze swym starym i bogatym językiem narodowym. Wydawnictwa gaelickie mnożą się, książki wydawane w tym języku przez Braci szkół chrześcijańskich liczą się na setki. Lecz trudną jest rzeczą poruszyć masy, a przecież te przedewszystkiem decydują. Zapytując Irlandczyków samych, znajdzie się u jednych wielki zapał do ojczystego języka, u drugich wiele sceptycyzmu a u niejednego nawet wielką obojętność. Życzyćby sobie należało, by bardziej zapaleni zabrali się usilnie do wyuczenia się języka i by się nie zadowalali platoniczną zachętą. Przykład ich więcejby działał niż słowa. Bo w rzeczy samej łudzić się nie trzeba: zło bardzo zakorzenione, język ojczysty omal że nie zaginął. Nie było nam danem poznać dokładną ilość ludności mówiącej jeszcze wyłącznie po gaelicku, jedni wymieniali 30.000, inni aż 300.000! Sądzimy, że pierwsza cyfra bardziej się zbliża do rzeczywistości. I w tym względzie u niejednego spotkaliśmy niejasne pojęcie o całej kwestyi. Mówili nam: chcemy to uczynić dla Irlandyi, co czynią Flamandczycy dla swego języka! Ale na nieszczęście Irlandyi język gaelicki nie jest bynajmniej w tem położeniu, w jakiem znajduje się język flamandzki. Flamandzki język nie przestał nigdy być prawdziwym i jedynym językiem ludu, i do

dziś dnia jeszcze przeszło trzy miliony Belgijczyków mówi nim i pisze, jedynie warstwy intelligentne i znaczniejsi mieszczanie zaniedbali go i zapomnieli o nim przez czas jakiś. Dałby więc Pan Bóg dla dobra Irlandyi, by język jej odżył a naród szczęście odzyskał.

Ks. Jan Schoonjans.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy)

Wstęp do związku nie przedstawia żadnych trudności; przyjmuje się każdy, kto cieszy się dobrą opinią. Wybór nie podlega głosowaniu, wystarcza zapisać się u Arcego lub u jednego z referendarzy.

Ktoby się mógł spodziewać, ktoby mógł przenikać,
Że kiedyś całe Wilno będzie nas spotykać —

wołał Adam Mickiewicz na wieść o rozwoju promienistości, a słowa jego spełniły się w całej pełni. Nowy związek niezwykle zainteresował Wilno i na drugiej majówce 17 maja mamy już 130 wyznawców. Zebrani w górach na przedmieściu Popławy, rozpoczęli majówkę od pieśni Karpińskiego »Kiedy ranne wstają zorze«, poczem odczytane zostały prawidła postępowania oraz krotochwilne dzieje promienistości naprzemian wierszem i prozą pisane; nastąpił podział na województwa, uczta, złożona z 30 garncy mleka, 3 garncy masła i kilku koszy bułek, wreszcie gry i zabawy, przeplatane czytaniem mów, wypracowań i utworów poetyckich. Tu Czeczott w pięknym wierszu składa hołd cnocie, nauce i pracy, tu Pietraszkiewicz tłumaczy świętość przyjaźni i braterstwa, a Zan w pełnych zapału słowach wita zrzeszającą się młodzież:

Witaj poranna młodzi, zwiastunko pogody,
Co się na tło podnosi przyjaźni i zgody,
Co na hasło nauki i cnotliwej sprawy

Wiążesz dłonie dla wspólnej pracy i zabawy!
Wyrzekasz się próżniactwa, samolubstwa, dumy,
Więcej dbasz o istotne niźli czcze rozumy.
Witaj, witaj, szczęśliwa! przychodzisz z odwagą
Mówić i słuchać prawdy i widzieć ją nagą!
. . . . . .
Podajmy jeszcze dłonie i złóżmy dowody
Nieodmiennej szczerości, przyjaźni i zgody.
Niech serce prawe będzie ugody zadatkiem
A niebo, co nas widzi, niewinności świadkiem.

Dzień 6 maja, jako pamiątka pierwszej majówki, początek zbliżenia się i zaprzyjaźnienia młodzieży, zostaje uczczony pięknym wierszem:

Potomnej godny pamięci
Dniu świetny szóstego maja!
W tobie nasze myśli, chęci
Niestargana przyjaźń spaja.
Ty serca młodzi poczciwej
Związałeś cnoty łańcuchem,
Kazałeś tchnąć takim duchem,
Jakim tchnie Polak prawdziwy.
Podawać braterskie dłonie
Ku znękanego obronie,
Czynić chętnie i otwarcie
Każdemu biednemu wsparcie;
Szanować wiary ustawy,
Nie być własnej mowy katem,
Być każdego człeka bratem,
I żyć, jak winien człek prawy.

Po mowach i wierszach następują poważniejsze wypracowania historyczne, między innemi opis życia Jana Tarnowskiego, oraz projekty co do uzupełnienia organizacyi, a humorystyczne sprawozdanie Piaseckiego ze stanu kasy zamyka majówkę i nawołuje do powrotu. »Snuli się Promieniści«, opowiada Jeżowski, »długim żórawiem i wszyscy prawie udali się do kościoła św. Jana i na pół mszy zostali jeszcze. Widząc to, rektor uradował się niezmiernie, że wszyscy z największą skromnością znajdują się w kościele. Miał to już drugi przykład, bo i po pierwszej majówce tenże sam był skutek«.

Wycieczki promieniste pociągają młodzież, liczba wyznawców pomnaża się z dniem każdym a w czerwcu dochodzi do dwu-

stu osób. »Ani wyobrażasz sobie, Adamie, co to się u nas z promionkami dzieje«, pisze w tym czasie Czeczott do Mickiewicza. »A pomimo, że jak o każdej nowości, tak i tu biegają różne, według upodobania i długości języka wieści, pomimo że baby niektóre i baby nawet wąsate prześladują i naśmiewają się, dziwna jest szybkość rozlania się promienistości, a co większa, jakaś powszechna chęć nie chwilowego lecz stałego stowarzyszenia, radość stąd, a z połączenia się nadzwyczajne skutki. Wszak to teraz na lekcyi fizyki cicho, jak w uchu! Najgorsze swawolniki, a dziś to nasze stolniki, to podwojewody siedzą przystojnie, choć gdzie niezgrabny da sus profesor, jakby ich nie było! W kościele, jeśli nie pobożna ustami trzepanina — to skromność, przyzwoitość, spokój; ginie oglądanie się, procesya kołofilarowa, gawędy! Słowem inny świat akademicki! Tak to wiele zawsze może wpływ kilku na większą bez porównania masę ludzi, tak dany przykład pociąga do naśladownictwa. Rektor niezmiernie rad z promienistości, najbardziej uderza go niesłychana odmiana w kościele; Tomasz był u niego, opowiadał swe cele i, z aplauzem przyjęty, zyskał obietnicę sprzyjania nam. Prześladowcy upokorzeni biorą się za głowy; sami nie wiedzą co się teraz dzieje. Nie mogą pojąć, jak może się tylu zgromadzać i tylu żądać zostać promienistymi. Promionki wpływać będą na umysły i obyczaje młodzieńców, uchowają wielu od zepsucia, zaszczepią zamiłowanie cnoty. Powabne nazwisko promienisty, zabawa, pole do popisu z wierszami, z dowcipem lub wreszcie ze znajomością historyi a obok tego ścisły związek w celach wzajemnej pomocy w naukach — wszystko to pociąga do grona promienistego nie tylko tych, co o wspólnym pożytku myślą, lecz i tych także, co na hasło, że wśród wyznawców panów kilku się mieści, gotowi dla pobratania się z nimi i z chudopacholstwem zapijać mleko. Słowem i próżność nawet nie będzie dla nas bezkorzystną, bo i tę, gdy się do promienistości przywlecze, znaturalizujemy, przyprowadzając do jedności i zgody z całem gronem, i nauczymy nadętego, jak powinien żyć na świecie«.

Szybki i pomyślny rozwój promienistości a z nią zasad moralnych wśród młodzieży, rozbudza pragnienie ujęcia nowego

związku w ściślejsze ramy i zapewnienia mu stałego bytu na rok przyszły. Przyjazne usposobienie rektora zdaje się sprzyjać przedsięwzięciu, a w umysłach Filomatów kiełkuje powoli plan szerokiej, jawnej organizacyi, opartej na rozrywkach dla młodego wieku, przeplatanych czytaniem mówek, wierszy i wypracowań naukowych. Zanim jednak projekt zdołał dojrzeć i rozwinąć się, już napotyka przeszkodę w osobie jednego z członków promienistych niejakiego Ogińskiego, który wnosi od siebie propozycyę co do dalszych związków młodzi; domyślając się w nim agenta tajnych stowarzyszeń warszawskich lub zagranicznych, a nie wiedząc w jakim duchu działać zechce, Filomaci wraz z Ogińskim i jego przyjaciółmi zawiązują pozorne koło kierujące i w ten sposób zamaskowują przed nim główną nić wyższych organizacyi. Gra ta »w ślepą babkę«, jak się wyraża Malewski, prowadzona zręcznie i umiejętnie, pozwala zbadać sposób myślenia Ogińskiego, lecz zarazem pochłania czas i myśl, odrywając ją od właściwych działań; gdy zaś w pierwszych dniach czerwca agent opuszcza Wilno, urządzenie związków młodzieńczych napotyka nowe trudności, tem cięższe do przezwyciężenia, że w danej chwili niespodziewane i nieprzewidziane.

Rozgłos zebrań i majówek, pociągając z jednej strony młodzież, z drugiej wpływa ujemnie na usposobienie władz uniwersyteckich, wzbudza obawę, by główna placówka oświatowa na Litwie nie padła ofiarą podejrzeń, wznieconych wśród wyższych sfer rządowych na wieść o związkach uczniów i studentów. Pierwszy okrzyk przeciw promionkom powstaje z powodu »pacierza«, ułożonego na cześć Zana i opiewanej przezeń Feli, pacierza, który oburzył nie tylko duchowieństwo, lecz w znacznej mierze i opinię publiczną, tak z razu pełną sympatyi dla młodzieńczego zrzeszenia. Promieniści, którzy zebrania swe rozpoczynali od pieśni »Kiedy ranne wstają zorze«, a kończyli obecnością na Mszy św., uważali »pacierz« za dowcip niewinny, nie zastanawiając się, że słów modlitwy w żart obracać nie należy, że takie wyrażenia, jak np. »Zdrowaś Feli, Zan z tobą, błogosławionaś ty między promienistymi« i t. p. inne podobne rażą swą niestosownością; palić i niszczyć zaczęto je dopiero wtedy, gdy władze zagroziły wzbronie-

niem zebrań. Wszelki ślad modlitw promienistych został wkrótce zatarty, lecz raz wzniecony hałas pobudził inne głębsze przyczyny, które znów tak łatwo zatrzeć się nie dały. »Już wiem z góry«, pisze w tym czasie Malewski do Mickiewicza, »że nam rektor promienistość skasuje. Jak mi wczoraj wyraźnie powiedział, nie tyle o pacierz tu idzie, ile o samą rzecz. Nie spodziewałem się, są jego słowa, żeby tak dalece to się rozniosło; gdzie dziś się obrócić, wszędzie słyszę promienistość; skoro dojdzie do Petersburga, nie będzie czasu się tłumaczyć«.

Rektor obawiał się, a obaw tych trudno nawet brać mu za złe wobec opłakanych warunków kraju, wobec groźby zamknięcia uniwersytetu, które równałoby się klęsce. Zanim jednak zakaz został spełniony, wycieczki młodzieży trwają w dalszym ciągu do końca czerwca a w Towarzystwie, pomimo licznych przeszkód, dojrzewa powoli plan przyszłej organizacyi. Plan ten, skreślony dopiero w ogólnych zarysach, w praktyce ogranicza się uchwałą zapadłą 18 czerwca 1820 r., gdzie poleca się Zanowi, by w każdem województwie uczynił wybór osób, zdolnych utworzyć zgromadzenie ściślejsze niż promienistość, z naukowym celem zatrudnień, i zobowiązaniem na piśmie co do pełnienia przepisów obyczajowych i moralnych.

W ten sposób założony zostaje fundament nowego związku, który stosownie do poszczególnych nauk dzieli się na cztery wydziały: fizyczny, prawny, literacki i medyczny.

Każdy wydział dzieli się znów na związki, nazwane imieniem województw, a mianowicie:

w wydziale fizycznym trzy: amarantowy, różowy i zielony;

w wydziale prawnym zrazu jeden biały, rozdzielony później na dwa: biały i liliowy;

w wydziale literackim jeden — błękitny; w wydziale medycznym jeden — granatowy.

Z ogólnej liczby dwustu członków promienistych w skład wydziałów weszło siedmdziesięciu siedmiu, a wybór ich i zapis

zamyka trzeci okres działań towarzystwa, działań pięknych, owocnych, a nacechowanych silną wiarą w pomyślną przyszłość. Widzimy tu z jednej strony pracę samokształcącą w postaci rozpraw i referatów, oraz rozwój zdolności twórczych członków; ich wyrazem są liczne samodzielne próby młodzieńczego pióra. Obok rozwija się praca szersza, społeczna, praca nad oświatą, moralnością i dobrobytem ogółu, oparta na głęboko pomyślanych projektach instrukcyi szkolnej, pisma peryodycznego oraz wzajemnej pomocy w naukach przez wykłady nauk elementarnych.

Działalność zewnętrzna, organizacyjna sięga znów daleko poza granice Towarzystwa; obejmuje reformę jego ustroju, kierownictwo Przyjaciół, organizacyę Związku Naukowego, Naturalistów Krajowych, Stowarzyszenia Promienistych, a wreszcie pierwsze kroki na drodze ściślejszego zjednoczenia szerokich kół akademickich.

Na tle obrazu tego jedyną, lecz bolesną plamę stanowi proces, wytoczony Erazmowi Poluszyńskiemu, który, wstępując w ślady Sucheckiego, zdradza przed obcymi tajemnicę bytu i czynności Towarzystwa. Niedbalstwo jego w pełnieniu obowiązków naukowych długo znosi wydział cierpliwie. Mickiewicz w listach swych radzi nie zrażać go lecz poprawiać, dopiero naruszenie przepisów zasadniczych wywołuje proces sądowy i usunięcie z Towarzystwa.

Stratę tę wynagradza poniekąd gorliwość innych członków ich praca w niższych związkach, gdzie, stosując się do instrukcyi rządu, starają się zyskać wpływ zarówno na umysłową jak na moralną stronę młodzieży, zaszczepiać pilność, poczucie obowiązku, budzić uśpione przymioty serca.

Odpoczynek letni, odraczając posiedzenia, nie przerywa właściwych zajęć, owszem, otwiera pole do badań obyczajów i wiadomości statystycznych o różnych okolicach kraju. Członkowie rządu rozważają przytem organizacyę przyszłego związku młodzi, który wraz z nowym rokiem szkolnym rozpocząć ma właściwą, systematyczną działalność.

Opuszczając Wilno z najlepszą nadzieją w sercu, nie przewidują Filomaci, że cień, rzucony na ich pracę przez zakaz ze-

brań Promienistych — to pierwsza zapowiedź przyszłej burzy, pierwszy odgłos blizkich, niszczących gromów. Zanim jednak skupią się chmury, możemy jeszcze w następnych latach podziwiać w dalszym ciągu wytrwałą pracę nad urzeczywistnieniem powziętych zamiarów i rozciągnięciem sieci związków do wszystkich zakątków kraju.

Rok czwarty (1820—1821).

Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż, wytrwale
Trzeba naprzód iść i świecić!
Adam Asnyk.

Nie żal nad utraconą ojczyzną, nie boleść bezowocna, lecz cicha, wytrwała praca, na niwie społecznej stać się winna naszem zadaniem i celem — oto myśl przewodnia wyżej przytoczonej zwrotki, — myśl oparta dziś na doświadczeniu praktycznem, a już przed laty odczuta, zrozumiana i w czyn wcielona w ożywczej, szlachetnej, wzniosłej działalności Filomatów. Stowarzyszenie to w czwartym roku swej egzystencyi (1820—1821) przedstawia się już jako ścisłe, jednolite grono poważnie myślącej młodzieży, które, dzięki usilnej pracy nad sobą, stało się zdolne przykładem swym i wpływem zaszczepiać dokoła cnoty obywatelskie, siać ziarno wyższych zasad i dążeń, kształcić przyszłe pokolenie w duchu miłości ojczyzny, nauki i cnoty. Cicha, ukryta działalność zaczyna wydawać pożądane owoce: już klub Przyjaciół odczuwa i rozumie zasady filomackie, już kilka kółek naukowych rozwija się według myśli Towarzystwa i pod jego pośrednim lub bezpośrednim wpływem, a związek Promienistych pozwala rokować na przyszłość wielkie nadzieje.

Teraz należy obmyśleć dalszy plan postępowania, stworzyć organizacyę obejmującą wszystkie kategorye młodzieży, zbudować olbrzymią machinę, w której każde kółko miałoby swój cel i przeznaczenie, a główne sprężyny skupiały się w rękach rządu Filomatów. Cała praca ustawodawcza leży też na barkach pięciu człon-

ków tego rządu, zwłaszcza zaś zajmuje ona światły umysł prezydenta ich i kierownika — Józefa Jeżowskiego.

Wychodząc z zasady, że wszelkie przedsięwzięcia i nadzieje, wszelkie plany we względzie dalszego rozwoju, pozostaną martwą literą, dopóki nie będą złożone w ręce ludzi nauki i czynu, zastanawia się on w głęboko pomyślanym projekcie, jak kształcić takich ludzi, jak z młodzieży zjednoczonej w związkach promienistych przygotować przyszłych działaczy społecznych, zdolnych wskazywać drogi oświaty i dobrobytu. Tu cała uwaga skupia się na dwu głównych punktach i skąd wziąć nauczycieli i kierowników, jak ująć pracę ich w pewien określony system, zastosowany do potrzeb chwili i warunków, w jakich kraj się znajduje. Założycielami i kierownikami Promienistych są Filomaci, im też jedynie można nadal cel zamierzony powierzyć, pamiętając wszelako, że tylko bogatszy zasób sił wewnętrznych da możność objąć szersze widnokręgi, rozwinąć owocną i pożyteczną działalność. Rozwijając myśl tę, radzi Jeżowski usunąć na plan dalszy jedną z głównych dotychczasowych zasad, uwzględnić, że nie każdy, godzien dla zalet umysłu i serca zostać członkiem Towarzystwa, potrafi powziąć dla kolegów uczucia braterskie, nie każdy zdobędzie się na jedność myśli, na szczerość i ufność bezgraniczną. To też radzi kierować się w wyborze przyszłych członków nie sercem lecz rozumem i, pomijając względy osobiste, szukać ludzi zacnych, szlachetnych pełnych energii i dobrej woli, o których możnaby śmiało twierdzić, że nie odstąpią zasad dyktowanych przez etykę i patryotyzm i, że przyszłą swą pracę poniosą krajowi w ofierze.

Kreśląc następnie właściwy plan działania, omawia Jeżowski szczegółowo cały okres życia akademickiego, zastanawia się nad poziomem umysłowym i moralnym przybywającego na uniwersytet młodzieńca, wskazuje jakim powinien on być w chwili ukończenia studyów i jaką ma kroczyć drogą, by osiągnąć zamierzony stopień doskonałości.

Pierwszy rok pobytu ucznia w wyższym zakładzie — to początek życia samodzielnego — epoka stanowcza dla całej jego przyszłości. Niedołężne wychowanie szkolne nie podniosło władz umy-

słowych, nie wpoiło zasad pracy porządnej i systematycznej, nie nauczyło znać, rozumieć i kochać wiedzę. Wykłady uniwersyteckie nie mogą zadośćuczynić tym brakom, i młodzieniec, uwolniony z pod nadzoru szkolnego, albo wpada w złe towarzystwo, które go zupełnie od nauki odciągnie, albo uczy się mechanicznie, nie dla zdobycia wiedzy, lecz dla stopnia, zyskując go nieraz szczęściem lub zręcznością; resztę czasu zapełnia zwykle czytaniem książek bez wyboru i bez celu.

Przeciwdziałając złemu należy otoczyć nowoprzybywającego ścisłą opieką i wpłynąć na taki rozkład zajęć, by każdą godzinę dnia obowiązkowej pracy poświęcał, a po upływie pewnego terminu liczył się z nabytych wiadomości. W tym celu uczeń pierwszoletni poza godzinami akademickiemi winien zająć się powtarzaniem wykładów, starać się je uzupełnić, i przejść gruntownie elementarny kurs nauki, stanowiącej główny przedmiot jego studyów. Rok drugi i trzeci wypełni praca nad poszczególnymi działami obranej specyalności, poznanie jej historyi, oraz źródeł, z których czerpać się będą wiadomości na przyszłość; pożytecznem byłoby przytem poznać zasady elementarne dwu obcych sobie nauk.

Rok czwarty pracy akademickiej konieczny jest do objęcia całokształtu nabytych wiadomości oraz zastanowienia się nad potrzebami kraju, aby, wstępując w szranki życiowe, wiedzieć jak działać należy i godnie wypełnić przyszłe powołanie. Stosownie do kursów uniwersyteckich projektowane Towarzystwo rozdziela się na następujące klasy.

Klasa pierwsza przeznaczona dla uczniów pierwszoletnich obejmuje trzy związki: fizyczno-matematyczny, prawny i filologiczny — każdy kierowany przez przewodnika. W ustawach wskażą się książki odpowiednie do powtarzania nauk elementarnych, a także porządek pracy i czas jej ukończenia. Członkowie obowiązani co tydzień odbyć posiedzenie naukowe, gdzie przedstawiać będą referaty ze słyszanych wykładów i sprawozdania z postępów w kursie elementarnym tychże nauk. Cwiczenia te stanowić będą niejako miarę zdolności członków, pokażą, o ile

każdy z nich umie rozumować, zastanawiać się i wyrabiać sąd ogólny o rzeczach.

Kto w pierwszym roku ściśle wypełniał ustawy i odniósł pożądaną korzyść, przechodzi na wyższy kurs nauk, a tem samem do klasy drugiej; ktoby zaś lekceważył podane przepisy pozostaje w Towarzystwie na tym samym stopniu, choćby w uniwersytecie roku nie tracił.

Klasa druga kieruje pierwszą, obiera dla niej przewodników, przyjmuje sprawozdania, decyduje o przeprowadzaniu członków na kurs wyższy. W tym celu prócz naukowych, odbywa co dwa miesiące posiedzenie administracyjne. Podział związków we wszystkich klasach pozostaje bez zmiany.

Zarząd nad klasą drugą spoczywa w rękach klasy trzeciej. Prócz tego członkowie tej ostatniej wykładają nauki elementarne w klasie pierwszej. Organizacya klasy czwartej przedstawia budowę więcej skomplikowaną i obiór członków odbywa się tu z wielką ścisłością; stanowi ona właściwe Towarzystwo, posiada rząd, złożony z prezydenta i radców, i kieruje trzema niższemi klasami. Pod względem urządzenia wewnętrznego dzieli się na dwa wydziały: obywatelski, który rozważa potrzeby krajowe i szuka śroków ich zaspokojenia; nauczycielski, poświęcony sprawom wychowawczym, studyuje pedagogikę i historyę powszechnej edukacyi, a wyciągnięte stąd wnioski stara się do warunków miejscowych zastosować.

Urzędy przewodników i nauczycieli w różnych związkach mogą być płatne, wielu bowiem studentów ze względów materyalnych nie może swym czasem szafować, a zapewnione wynagrodzenie da im od razu pewny kawałek chleba.

Towarzystwo osnute na powyższych zasadach stanowić będzie niejako zakład przygotowawczy, sposobiący zacnych i pożytecznych członków społeczeństwa, oparty na fundamentach realnych, właściwych wiekowi i powołaniu akademickiemu. Kończący zaś nauki młodzieńcy utworzą wspólnie z dzisiejszymi Filomatami klasę piątą, a raczej odrębne Towarzystwo działające i rządzące. Z Towarzystwem przygotowawczem wiązać je będzie tajemnie rząd klasy czwartej, a całą tę wyższą organizacyę oto-

czy na zawsze głęboka tajemnica; natomiast trzy pierwsze klasy mogłyby przy sprzyjających okolicznościach zyskać sankcyę kuratora i uniwersytetu, a tem samem rozpocząć działalność jawną, niekrępowaną żadnymi względami i zakreśloną na szerszą skalę.

Projekt powyższy, przyjęty z pełnem uznaniem znalazł już drogę poniekąd wytkniętą i gotowy materyał do uformowania klasy pierwszej w młodzi zrzeszonej pod hasłem pożytecznej zabawy; organizacyą zajął się niezwłocznie Franciszek Malewski, opracowując ją w ten sposób by w razie sprzyjających okoliczności mogła otrzymać zatwierdzenie Władzy.

Nowe towarzystwo, nazwane Filaretami, przyjęło za cel główny pomoc wzajemną w naukach, dozór przyjacielski i wsparcie materyalne w razie potrzeby; główną zasadą pozostaje piętnaście prawideł promienistych z głównem uwzględnieniem szczerości, łagodności, skromności, zamiłowania porządku i pracy.

Obowiązki moralne członków polegają na ścisłem pełnieniu zasad religii i przepisów etyki; każdy z nich winien przyświecać dobrym przykładem, a kolegów schodzących z tej drogi uprzejmie przestrzegać. Przepisy we względzie pracy naukowej obowiązują członka złożyć w przeciągu roku szkolnego przynajmniej trzy ćwiczenia, których przedmiotem być może albo sprawozdanie z wykładów uniwersyteckich i własnych nabytków naukowych, albo przekład poważnych dzieł nowoczesnych, a zwłaszcza starożytnych, lub wreszcie samodzielne rozprawy i krytyki. Robota takowa, czytana na posiedzeniu podlega ocenie współtowarzyszy; co do wyboru materyi, członek może zawsze znaleźć skuteczną pomoc zarówno w radach współkolegów, jak w książkach, chętnie pożyczanych. Gdyby ktoś miał trudności przy powtarzaniu kursów uniwersyteckich lub studyów nad obcą sobie nauką, prezydent wyszuka mu korepetytora wśród wykształceńszych członków lub opłaci nauczyciela ze wspólnej kasy. Korepetytorowie winni zawiadomić Towarzystwo o czasie i porządku wykładów, wskazać metodę, której się trzymać zamierzają, oraz źródła, skąd czerpią potrzebne wiadomości.

Pomoc materyalna niesiona kolegom czerpie się z dwu w tym celu utworzonych kas: pierwsza składa się z ofiar stałych, co

miesiąc składanych w ilości 15 kopiejek; druga nosi miano pożyczkowej, tu bowiem członkowie pozostawiają pieniądze zbywające im w danej chwili, a które mogą służyć za wsparcie w potrzebach przemijających z warunkiem, że dług będzie zwrócony w oznaczonym terminie.

Pod względem organizacyi wewnętrznej Towarzystwo składa się z prezydenta, kasyera, przewodników, pisarzy, dozorców i zwykłych członków; dzieli się na wydziały ustanowione według kursów nauk, a mianowicie: matematyczno-fizyczny, literacki, medyczny i prawny. Dla uniknięcia przepełnienia wydziały dzielą się na grona czyli związki liczące najwyżej 20 osób. Każde grono wybiera co trzy miesiące przewodnika i pisarza, co pół roku dozorcę.

Przewodnik kieruje powierzonem sobie gronem, prezyduje na posiedzeniach, a w razie potrzeby służy członkom radą i przestrogą; po skończonem urzędowaniu zdaje sprawę z czynności i postępów grona i, powtórnie obrany, może nadal pozostać na stanowisku.

Pisarz utrzymuje protokół posiedzeń, wyznacza po kolei członków na posiedzenia innych gron i układa wraz z przewodnikiem listę mających się roztrząsać przedmiotów.

Dozorcy czyli radcy winni umieć na pamięć przepisy organizacyi, przestrzegać, by ściśle dopełniane były, cytować i tłumaczyć w razie potrzeby; oni komunikują gronom wolę, polecenia i wnioski prezydenta i nawzajem oznajmiają mu o wszelkich czynnościach i postanowieniach. Stanowią oni wraz z prezydentem Izbę dozorczą, czyli rząd zgromadzenia.

Prezydent zajmuje miejsce naczelne, jest głównym dozorcą, doradcą, przyjacielem i kierownikiem, a po skończonem półroczu przedstawia szczegółowe sprawozdanie z postępu Towarzystwa we względzie nauk i moralności. Obiór prezydenta powtarza się co sześć miesięcy: każdy członek może proponować swego kandydata, którego nazwisko pisze na osobnej kartce; z pomiędzy przedstawionych Izba doradcza wybiera trzech i podaje ogólnemu głosowaniu; większość rozstrzyga. Obejmując urząd prezydent przyrzeka kolegom usilne staranie o ich dobro i pożytek; władza jego

jest nieograniczoną i za wszelkie niedokładności odpowiada dopiero po skończonem urzędowaniu.

Prezydent naznacza kasyera, który przyjmuje od przewodników pieniądze, wydaje wsparcia, kwity i prowadzi rachunki.

Kandydatem do zgromadzenia Filaretów może być każdy uczeń uniwersytetu, który albo sam potrzebuje pomocy naukowej, albo ma ochotę innym jej udzielać. Dwaj członkowie, wyznaczeni do bliższego poznania proponowanego śledzą jego obyczaje, charakter, pilność, po upływie zaś dwu tygodni, o ile nie znajdą żadnych poważnych zarzutów, prezydent naznacza grono, które większością głosów stanowi o wyborze.

Nowowprowadzony po wysłuchaniu ustaw i przemowy przewodnika ręczy słowem honoru, że pomoc kolegom nieść będzie, a czynności Towarzystwa w tajemnicy zachowa; przez trzy miesiące podaje on wyłącznie ćwiczenia piśmienne, po upływie zaś tego czasu zyskuje prawo głosu w obradach, może zostać — pisarzem, przewodnikiem, dozorcą, wreszcie prezydentem. Kończący uniwersytet przestaje należeć do Towarzystwa.

Każde grono za zgodą prezydenta może urządzać zabawy przyjacielskie, urozmaicane śpiewem, muzyką, deklamacyą; za wszelki mogący się zdarzyć nieład, odpowiadają przewodnik i dozorca.

Pomimo całej legalności cechującej organizacyę Filaretów i nadziei, że zyska ona z czasem sankcyę uniwersytetu, ostrożność podyktowała nie tylko warunek ścisłej tajemnicy, lecz nadto surowy zakaz, by ustaw nikt nie ważył się przepisywać, a jedyny ich egzemplarz pozostawał w ręku prezydenta. Tylko piętnaście prawideł, opatrzone podpisem rektora, Szymona Malewskiego, powinno znajdować się w każdem gronie.

Otwarcie związków filareckich — to pierwsze wcielenie w czyn dotychczasowych myśli i projektów, chwila przełomowa, gdy działalność, wchodząc na szersze tory, więcej niż kiedykolwiek potrzebuje światłego i energicznego kierownictwa. Na tę właśnie chwilę los zawistny gotuje Towarzystwu cios ciężki i bolesny — osłabienie instytucyi najwyższej — rządu Filomatów. Główny przewodnik jej, Józef Jeżowski, zagrożony poważną chorobą piersiową,

musi szukać na wsi odpoczynku i wytchnienia; czynny działacz i najdawniejszy radca, Onufry Pietraszkiewicz, korzystając z uzyskanego stypendyum udaje się do Warszawy na dalsze studya; zawiodła nadzieja otrzymania urlopu dla Mickiewicza, i cały zarząd Filomatów, Przyjaciół, Naturalistów krajowych oraz nowootwierających się związków filareckich spada na barki Tomasza Zana i Franciszka Malewskiego.

Pod ich kierownictwem przyjmuje nowe zgromadzenie określoną ustawami formę i łączy się ze związkiem Naukowym, opartym na podobnych zasadach. Cztery zaznaczone w kodeksie oddziały rozpadają się na sześć, a następnie na siedem oddzielnych gron stosownie do ilości członków; grona zachowują nazwy kolorów przyjęte w kółkach promienistych, przyczem każde liczy nie więcej nad 22 osoby; liczba ogólna wzrasta w przeciągu roku do 150, włączając w to Przyjaciół, którzy w charakterze kierowników wchodzą w skład związków. Wogóle cała organizacya przedstawia się w następujący sposób.

Wydział Fizyczno-matematyczny.

Związek Amarantowy, członków 22.

Przewodnik — Antoni Kamiński.

Członkowie: Herkulan Abramowicz, Kajetan Adamowicz, Wincenty Budrewicz, Józef Chodźko, Piotr Derszkow, Stefan Dombrowski, Antoni Frejent, Ferdynand i Jakób Grodkowscy, Haciski, Jan Kaszuba, Dominik Kułakowski, Adam Kurowski, Paweł Kozieł, Julian Lebel, Miszkiel, Aleksander Pilar, Franciszek Piotrowski, Emeryk Staniewicz, Ksawery Stawiński, Michał Ziemacki.

Związek Różowy, członków 22.

Przewodnik — Teodor Łoziński.

Członkowie: Ignacy i August Domejkowie, Hipolit Drzewicki, Adolf Giedroić, Wiktor Ginet, Tadeusz Hrehorowicz, Ignacy Januszewski, Jan Klukowski, Cypryan Kazimirski, Napoleon Nowicki, Dominik Pietkiewicz, Józef Ślężanowski, Józef Staniszewski, Kazimierz Świtkowski, Ksawery Turski, Józef Tyszkiewicz,

Ksawery Tarasewicz, Stefan Zan, Henryk Zamojski, Wincenty Zawadzki, Serafin Zaborowski.

Związek Zielony, członków 22.

Przewodnik — Jan Sobolewski.

Członkowie: Antoni Borysowicz, Ignacy Cwiklicz, Jan Heydatel, Jan Horain, Jan Jarmołowicz, Jan Krynicki, Fortunat Kosowski, Damazy Koczan, Karol Laskowicz, Stanisław i Stefan Makowieccy, Kajetan Przeciszewski, Tomasz Pawłowicz, Henryk Römer, Adam Suzin, Franciszek, Ignacy i Bruno Szomiotowie, Ignacy Weryho, Konstanty Zalewski, Józef Zarzecki.

Wydział Prawny.

Związek Biały, członków 14.

Przewodnik — Wincenty Porębski.

Członkowie: Teofil Dargusz, Józef Dragat, Józef Jeżowski, Jan Jundziłł, Józef Kraskowski, Stanisław Łukaszewski, Feliks Łyszczyński, Franciszek Morze, Aleksander Mickiewicz, Kazimierz Piasecki, Józef Szelking, Jan Wysocki, Tadeusz Żebrowski.

Związek Liliowy, członków 16.

Przewodnik — Stanisław Kozakiewicz.

Członkowie: Wincenty Bobiński, Józef Chodorowicz, Cypryan Daszkiewicz, Michał Dziakoński, Lucyan Ejsmont, Seweryn Korsak, Aleksander Kruszczyński, Jan Michalewicz, Eljasz Ostaszewski, Maryan Piasecki, Józef Szetkiewicz, Michał Szyrma, Leopold Sosnowski, Terlecki, Konstanty Wierzbicki.

Wydział Literacki.

Związek Błękitny, członków 20.

Przewodnik — Jan Czeczot.

Członkowie: Aleksander i Dominik Chodźkowie, Wiktor Drzewiecki, Jerzy Frąckiewicz, Jan Jankowski, Jerzy Jagiełło, Mikołaj Jabłoński, Rufin Jundziłł, Józef Kowalewski, Feliks Kułakowski, Mikołaj Kozłowski, Michał Kulesza, Malinowski, Stanisław Marciejewski, Antoni-Edward Odyniec, Dominik Orlicki, Ludwik Paprocki, Jan Wiernikowski, Tomasz Zan.

Wydział Medyczny.

Związek Granatowy, członków 16.

Przewodnik — Stanisław Morawski.

Członkowie: Franciszek Dotner, Antoni Heydatel, Michał Hamlikiewicz, Fortunat Jurewicz, Jan Kamieński, Karol Mojszel, Ferdynand Nowicki, Jan Popejko, Jan Renard, Mikołaj Rodkiewicz, Szrejber, Daniel Szymkajłło, Józef Stankiewicz, Paweł Welk, Ignacy Zan.

Prócz wyżej wymienionych osób Towarzystwo Filaretów liczy w roku szkolnym 1820—1821 kilkunastu członków nieobecnych. Tu należą: Jan Hanusowicz, Karol Kaczkowski, Adam Mickiewicz, Tadeusz Nowicki, Onufry Pietraszkiewicz, Michał Rukiewicz, Longin i Zygmunt Staniewiczowie, Michał Wierzbiłowicz, Antoni Zenowicz.

Liczna młodzież napływająca pod sztandar Filaretyzmu świadczy wymownie, jak organizacya ta odpowiadała potrzebom chwili, jak mogłaby się w przyszłości świetnie rozwinąć i wprowadzić życie akademickie na nowe tory. Zabawy wiosenne, ożywione świeżem tchnieniem poranku i pięknością budzącej się przyrody, napełniając serca radością, podniosły wyobraźnię i uczucia; słowa prawdy rzucone wśród wesołych uniesień, znalazły właściwy odgłos i podyktowały prawidła postępowania, oparte na przyjaźni, szczerości, miłości nauki i cnoty. Zapał święty, niby iskra elektryczna, wstrząsnął umysły i serca: pomoc wzajemna w naukach, przyjacielskie rady i przestrogi stały się powszechne; nikt wiadomości swych i talentów dla drugich nie żałował. Prostota, prawda, wesołość, cechująca schadzki urozmaicane obrzędami i biesiadą sprawiły, że młodzież inaczej czuć, inaczej myśleć, inaczej działać zaczęła; jednostki, dotąd po większej części samotne, pozbawione nieraz życzliwej zachęty i wsparcia, zaczęły zbliżać się, pojmować wspólne zadania i cele, rozumieć, że na to czerpią u wspólnego zdroju nauk i światła, by wspólnie rozsiewać promienie oświaty po szerokiej przestrzeni rodzinnego kraju.

Ziarno rzucone na podatną rolę wydało na wiosnę Promienistość dorywczą, w jesieni zaś Filaretyzm oparty już na pewnej

podstawie. System przyjęty w organizacyi zdaje się dobrze zamiarowi odpowiadać: posiedzenia odbywają się w porządku wzorowym, członkowie, obcując z sobą ciągle, zaczynają zbliżać się i spoufalać. Jednocześnie otwierają się przy związku kursa pomocnicze oparte na powtarzaniu wykładów uniwersyteckich; Józef Chodźko daje tu lekcye fizyki, Klukowski — algebry, Tomasz Zan — arytmetyki, Łoziński — chemii i geometryi, Kowalewski — łaciny, Wiernikowski — greckiego, Maryan Piasecki — niemieckiego, Franciszek Malewski — prawa.

Dalszy postęp Filaretów, wejście na drogę systematycznej pracy wskazanej w planie Jeżowskiego, zależy przedewszystkiem od umiejętności i energii stojących u steru osób, a zatem Izby Dozorczej, prezydenta i kierującego zdala rządu Filomatów. Nowoutworzone zgromadzenia, jak dziecko, które stawi pierwsze kroki, potrzebuje ciągłej opieki i pomocy; z pomiędzy członków jego żaden nie zastanawiał się dotąd nad epoką swej młodości, ani nad przyszłem powołaniem; niewielu mogło powziąć wyobrażenie o porządnem słuchaniu kursów uniwersyteckich i różnicy pomiędzy nauką główną a drugorzędnemi. Uczynić z nich przyszłych działaczy społecznych, ludzi gruntownie wykształconych, zdolnych innym przewodniczyć — to zadanie niełatwe, obliczone na długą kolej lat i nieprzerwanego postępu we względzie nauki, zasad moralnych, poznania potrzeb krajowych i środków ich zaspokojenia.

Postęp ten jednak nie od razu wchodzi w życie w nowoutworzonych związkach. Zaraz po rozpoczęciu czynności, prezydent i główny organizator, Tomasz Zan przebywa ciężką, kilkotygodniową gorączkę, poczem wpada w stan odrętwienia i niewytłumaczonej apatyi, traci dawną sprężystość i energię. Wybór dozorców pada nieszczęśliwym trafem na ludzi niedoświadczonych lub niepowołanych jak Napoleon Nowicki, Jan Heydatel, Maryan Piasecki, Józef Śleżanowski, Jan Wiernikowski; taki skład rady filareckiej czyni ją zupełnie bezczynną. Przewodnikom również po większej części brak samodzielnych myśli i wniosków, nie umieją oni zachęcić do poważniejszych prac piśmiennych, ani urozmaicić posiedzeń ciekawą dyskusyą, któraby zainteresowała zgro-

madzonych, kazała im myśleć i zastanawiać się. To też choć zebrania odbywają się systematycznie, ograniczają się na odczytaniu kilku dorywczych pisemek, których zaledwie mała cząstka nosi cechę głębszej i poważniejszej myśli, jak np. »Opisanie spławu na rzece Niemnie« — Ejsmonta lub »O pożytku i potrzebie historyi« — Babińskiego. Kursy naukowe prowadzą się pobieżnie bez planu i metody, a niema nikogo, ktoby ujął kierownictwo silną dłonią. Franciszek Malewski, zajęty zbliżającymi się egzaminami na stopień magistra, nie może pomimo najszczerszych chęci poświęcić się pracy dla Filaretów, zwłaszcza, że wobec odrętwiałości Zana on sam nieledwie pozostaje u steru Towarzystwa Filomatycznego, którego kierownictwo przy zmienionych warunkach przedstawia coraz więcej trudności.

Wydziały filomackie rozpoczęły posiedzenia swe zwykłym trybem, lecz jakże szczupło przedstawia się w tym roku ilość prac naukowych! »Wykład metody wyczerpania« — Domejki, »O mierzeniu wysokości za pomocą ciepłomierza« i »O piękności w architekturze« — Sobolewskiego, »O kwasie wodorowym« — Budrewicza, »Zbrodniarz z utraconego honoru« — przekład z Szyllera — autora niewiadomego — oto cały dorobek literacki obu wydziałów. Ubóstwo to tłumaczy poniekąd budzące się wśród Filomatów przekonanie, że wszelkie utwory czytane na posiedzeniach Towarzystwa straciły właściwie racyę bytu od czasu, gdy zatrudnienia tego rodzaju przeniesiono do związków filareckich; natomiast działalność naukowa kół kierujących winna objąć szersze widnokręgi, a przedewszystkiem rozwinąć rozpoczętą w roku zeszłym pracę nad planem pisma peryodycznego, instrukcyą szkolną i encyklopedyami nauk elementarnych.

I tu jednak niewielki widzimy postęp. Plan pisma peryodycznego jako najmniej naglący, a w praktyce najtrudniejszy, pozostaje tymczasem w zawieszeniu; instrukcya szkolna również ulec musi zwłoce wobec nieprzewidzianych trudności w zyskaniu dostępu do raportów wizytatorskich z informacyami o zakładach naukowych Litwy i Rusi. W nadziei, że do marca 1821 r. przeszkody te dadzą się usunąć, rząd z uzbieranych składek sprowa-

dza z zagranicy dzieło Niemeyera [1], obejmujące zasady wychowania i instrukcye, a z niem cały zbiór książek elementarnych w języku niemieckim, które mają służyć za podstawę przy układaniu projektowanych w roku zeszłym encyklopedyi.

Potrzeba ścisłych i systematycznych kursów w związkach filareckich czyni pracę tę kwestyą palącą, to też dzięki inicyatywie Franciszka Malewskiego członkowie decydują się rozpocząć ją niezwłocznie, z zawieszeniem wszelkich innych robót. Nowe zajęcie polega przedewszystkiem na poznaniu danych podręczników i ich ocenie krytycznej; następnie należy porównać je z używanymi w naszych szkołach, wykazać wyższość, oznaczyć zmiany konieczne przy zastosowaniu do warunków miejscowych, a wtedy dopiero rozpocząć układ pojedyńczych encyklopedyi dla każdej gałęzi wiedzy.

Wkrótce jednak okazuje się, że czytanie i przekłady postępują żółwim krokiem. Język niemiecki, znany tylko Kowalewskiemu, Malewskiemu i Domejce, przedstawia dla innych olbrzymie trudności, połączone z koniecznością studyów nad duchem obcej sobie mowy; rząd, osłabiony w swym składzie wewnętrznym, nie może skutecznie nawoływać do czynu, książki leżą odłogiem, w Towarzystwie zapanowuje dziwna senność, a posiedzenia upadają niemal zupełnie wobec braku materyi do dyskusyi i rozpraw.

Jednocześnie z zastojem we względzie naukowym słabnąć zaczyna działalność administracyjna. Prócz Jeżowskiego i Pietraszkiewicza, liczbę członków nieobecnych powiększył Rukiewicz, wyjeżdżając na stałe do Białegostoku. Zrazu pocieszono się nadzieją, że stratę tę wynagrodzi wprowadzenie nowych kandydatów, Kozakiewicza, Morawskiego, Jurewicza, Pietkiewicza i Józefa Chodźki; pomimo jednak, iż dali oni odpowiedzi zadawalniające i większością głosów przyjęci zostali, brak dokładnych wiadomości o charakterze ich i stopniu uzdolnienia, a także opieszałość Jurewicza w pracy naukowej sprawiły, że wciągnięcie ich na listę Filomatów odroczono do czasu nieograniczonego.

---

[1] Mowa tu o dziele słynnego pedagoga ang. Herm. Niemeyera: *Grundsätze d. Erziehung und d. Unterrichtes.* Siódme wydanie tego dzieła wyszło w r. 1818.

Pytania układane dla wyżej wymienionych kandydatów, uwagi nad odpowiedziami oraz korespondencya z nieobecnymi — stanowią główny przedmiot posiedzeń administracyjnych do stycznia 1821 r. Nie spotykamy tu żadnych projektów, żadnych myśli samodzielnych we względzie postępu zarówno wyższych jak niższych stowarzyszeń. Naturaliści krajowi przerywają wszelką działalność, do czego niemało przyczynia się brak sali dla zebrań i posiedzeń. Związek Przyjaciół, wyższy od Filaretów pod każdym względem, oparty na podobnych, a mniej dokładnych ustawach, z jednakowym przedmiotem zatrudnień, staje na stopie nieokreślonej, traci cechę ważności, a poniekąd racyę bytu. Teraz okazuje się jasno, że cały postęp dotychczasowy był owocem starań i zabiegów rządu, że z osłabieniem instytucyi najwyższej słabnie cała organizacya i zaczyna tracić siły żywotne.

Zabrakło Jeżowskiego, który, stojąc u steru, zachęcał do pracy, wskazywał popełnione błędy, roztaczał przed oczyma kolegów coraz szersze widnokręgi i wznioślejsze cele, jednem słowem był duszą zgromadzenia, jego głównym przewodnikiem i opiekunem; surowy dla siebie i dla innych, obdarzony niepospolitą siłą myślenia, połączoną z dobrocią i wyrozumiałością, umiał on w najzawilszej sprawie podać radę zdrową i skuteczną, zwłaszcza, że żadne cierpienia i namiętności nie mogły go z równowagi wytrącić. Wyjazd Pietraszkiewicza pozbawił znów Towarzystwo głównej sprężyny we względzie działań praktycznych, członka, który choć mniej zastanawiał się nad teoryą pracy, umiał teoryę tę w czyn wcielić, wytłumaczyć jej użyteczność, konieczność, wskazać środki zastosowane do okoliczności i do warunków miejscowych.

Tomasz Zan mógł coprawda wiele zdziałać na tem polu; on, a z nim Kowalewski i Sobolewski posiadali w znacznym stopniu zdolności organizacyjne. Lecz dwaj ostatni, nie wchodząc w skład rządu nie znali dokładnie jego zamiarów i celów, Zan zaś, pomimo nawoływań ze strony kolegów, nie mógł otrząsnąć się z obojętności i uśpienia. Malewski, doskonały teoretyk, umysł głęboki i pełen logiki, nie posiadał, według słów własnych, ducha

pracy praktycznej; brakło go również Domejce, Budrewiczowi, Piaseckiemu, Łozińskiemu, Chlewińskiemu i Czeczotowi.

Tak mijają trzy długie miesiące. Mickiewicz, który ciężko przechorował ostatnie rozstanie z Marylą, pracuje w Kownie nad rozprawą na stopień magistra, co, obok męczących obowiązków nauczycielskich i studyów literackich, całkiem mu czas pochłania i niepozwala zasilić przyjaciół żadną uwagą, żadnym projektem. Przyjazd do Wilna na Boże Narodzenie gotuje mu cios nowy, ukrywaną dotąd wiadomość o śmierci matki, zmarłej w październiku 1820 roku. Ciężka ta strata połączona z niepokojem o los braci pozostałych w Nowogródku i odrzuceniem rozprawy magistrowskiej przez Grodka, wyczerpuje go fizycznie i moralnie, odbiera energię i zdolność do czynnej pracy w Towarzystwie.

(C. d. n.)

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Listy pasterskie i mowy okolicznościowe. *Arcybiskup Józef Bilczewski.* Mikołów—Warszawa 1908.

Wyczekiwaniem, a cichem niejako żądaniem pracowników na niwie katolickiej była sprawa wydania listów pasterskich i mów ks. arcybiskupa Bilczewskiego. W listach tych i przemówieniach objął jasnem okiem szeroki horyzont obecnej pracy religijno-społecznej i zwrócił się do wszystkich klas społeczeństwa, by ich potrzeby i dążności zrozumieć i odgadnąć, by pracę swoją pasterską z korzyścią im poświęcić, ale przedewszystkiem pociągnąć wszystkich do Kościoła, do Chrystusa. Te dwa najwyższe i najpotężniejsze hasła trzeba było koniecznie podnieść w dzisiejszem społeczeństwie, tem więcej, im bardziej błyskotliwe, ale destrukcyjne przytem żywioły coraz silniej napierały na poszanowanie tej instytucyi Chrystusowej i całości samej wiary św.

Do tego Chrystusa zbliżyć wszystko i pociągnąć, to wielkie zadanie pasterzowania. Ks. arcybiskup Bilczewski doskonale ocenia położenie, a nieskończenie trudne powołanie. Widział, że nie sam pasterz i nie sami kapłani w tej pracy wystarczą, ale też ktokolwiek idzie na żniwo Pańskie, musi siły i soki żywotne z tej laski pasterskiej czerpać. Staje więc przed kapłanami z wezwaniem do winnicy Pańskiej, to samo wezwanie powtarza zakonom, lewitom, pragnie, by usłuchały go całe rzesze wiernych, a, że poprawę należy zacząć od korzenia: dorosłych wzywa do światła wiary i zaklina, by ten największy obowiązek spełnili względem młodzieży, rozświecając nią ciemnie i ułudy niedoświadczenia. Nie spocznie on w tej kwestyi wychowania kato-

lickiego młodzieży. Wnet wyda list pasterski w sprawie nauczania katechizmu. A kiedy burza powstanie, gdy jeden z gorliwych kapłanów dopomoże do osiedlenia się Braciom szkolnym we Lwowie, nie przemilczy tej krzywdy, ale mężnie przypomni, że pasterzem jest dla wszystkich narodowości żyjących w granicach dyecezyi, i że Niemcy mają również obowiązek i prawo dziatwę swoją chronić od zepsucia i katolickie wychowanie jej zapewnić, a my nie mamy prawa tej samej krzywdy, jaką nam czynią, innym wyrządzać, pozbawiając jednego z największych skarbów języka ojczystego. W 1905 roku odzywa się do serca samej młodzieży w swem przepięknem orędziu, »młodzieży, ty nad poziomy wzlatuj«, wskazując jej prawdziwie święte ideały wiośnianego wieku. By zaś utwierdzić je na całe życie, powiedzie młodzież do Rzymu, do Ojca św. i świętych pamiątek chrześcijaństwa. Dwie te odezwy w sprawie pielgrzymki młodzieży i o pielgrzymce, będą na zawsze dowodem, jak szczerze i czynnie pracę pasterską skierował w tym kierunku. Sprawie dziatwy w najpiękniejszym dniu jej życia poświęca list pasterski o pierwszej Komunii dzieci z instrukcyą dla duchowieństwa.

Mowy okolicznościowe jakże znowu pełne tej troskliwości. Nie pominął ks. arcybiskup Bilczewski żadnej sposobności, żeby sprawy stanowiska katolickiego wśród młodzieży nie podnieść i nie omówić. Nie tylko mowa rektorska, ale przedewszystkiem kursa katechetyczne stały się bogatem polem tej pracy, jak również chwila w sejmie, kiedy przemawiał w sprawie nauczania religijnego.

Łatwo zrozumieć nam czemu tak baczne oko zwrócił na młodzież. Nie mniej jednak to światło wiary Chrystusowej pragnie ponieść wśród inne potrzeby społeczeństwa. List pasterski o Najświętszym Sakramencie z instrukcyą o zaprowadzeniu w archidyecezyi adoracyi, skupia już wszystkie stany około tego źródła wszelkiego oświecenia, które bez wyjątku każdemu człowiekowi potrzebne w bojowaniu życia, około wodza i króla naszego. Odżywienie tych uczuć z wiary płynących, wszak to podstawa szczęścia ludzkości. Zwracając uwagę na życie z wiary katolika z okazyi 50 letniego jubileuszu, kongresu Maryańskiego i koronacyi obrazu Matki Boskiej Pocieszenia, przypomina nam te zwycięskie zawsze hasła czci i miłości Matki Boskiej, a opowiadając, jako ona Królową Korony Polskiej, zda wołać do powrotu do dawnej pobożności ojców naszych. Poza życiem czysto duchowem, czyż i stosunki społeczne nie potrzebują światła wiary? czy im wystarczą ludzkie tylko siły i kombinacye? czyż Kościół w swoich środ-

kach jest niedostatecznym, by ludzkości przyjść w pomoc? Obszerny list o sprawie społecznej doskonale odpowiada na te wszystkie pytania, które często stawiają sobie nawet katolicy, może nieraz z niedowierzaniem, patrząc na akcyę Kościoła religijno-społeczną. Przeprowadza te myśli jeszcze i rozświetla owem Bożem światłem w liście o potrzebie ofiarności, a czynem wskazuje w instrukcyi w sprawie organizacyi związków katolicko-społecznych. W czasie strejku rolnego 1902 roku serdeczne słowo upamiętania zwraca do włościan podburzonych przez wrogie destrukcyjne żywioły. Koroną tego całego programu pracy pasterskiej, rzeklibyśmy, to list o Kościele Chrystusowym, jego istocie, stósunku do ludzkości. Ten Kościół dziś tak męczeński, bo wielu go nie zna, nie kocha, gardzi i prześladuje, a jednak on jest właśnie tą jedną jedyną instytucyą Zbawicielową, która wszystkie zawsze burze zwyciężała i leczyła zgubne ich skutki, zapewniając szczęście ludzkości.

To nie tylko listy pasterskie: to gruntowne a popularne opracowanie najżywotniejszych kwestyi, nie zamykających się wcale w ramach jednej dyecezyi, ale obejmujące całe społeczeństwo. Dlatego książka to pożądana w katolickich domach i rodzinach dla oświecenia ich światłem Chrystusowem i przekonania o szczęściu znajdującem się w skarbnicy Kościoła katolickiego. Tu każda karta przemawia tem jednem potężnem: Chrystus nadewszystko, i świadczy o wiecznej żywotności Kościoła Jego.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Wybór poezyi. *Kazimierz Laskowski (El).* Z przedmową K. Tetmajera. Warszawa 1909. Skład główny w księgarni M. Kuhnke i Spółka. 6 tomów.

W sześciu tomach mamy tu wybrane najlepsze, najgodniejsze uwagi, najbardziej charakterystyczne płody obfitej twórczości popularnego piosenkarza. Nie odznaczająca się ani zawiłością rysów ani głębią wyrazu duchowa i artystyczna jego fizyognomia dość łatwo rozpoznać się daje nawet z poszczególnych tworów, ale oczywiście wyraźniej i pełniej nam się uprzytomnia w obecnym ich »Wyborze«. Nie można powiedzieć, aby odznaczały się one wielkiem urozmaiceniem treści i formy, nie mniej przeto wedle głównych swych typów, tonów i nastrojów rozłożone zostały w 6-ciu tomach pod różnymi działami. Najgodniejsze uwagi są tomy pierwszy i ostatni, zawierające piosnki i śpiewki o swojskiej treści i swojskich rytmach, najbardziej odpo-

wiadające istotnej naturze i wrodzonym uzdolnieniom poety. Tom I-szy zatytułowany »Z chłopskiej piersi« zawiera przeważnie piosnki z bytu ludowego z wrażeń wioskowych pod tymże tytułem przed laty przeszło dziesięciu ogłoszone i stanowiące najbardziej może samorodne płody nader oryginalnego talentu, który w nich naprzód dał się poznać, a następnie szeroką zdobył sobie popularność. Naczelne miejsce zajmuje pomiędzy nimi przewyborne »Weselisko«, barwny, żywy, pełen dosadnej charakterystyki obrazek obyczajowy w szeregu typowych śpiewek ludowych o krakowiakowych i mazurowych rytmach dosadnie zarysowany, przeniknięty szczerem, serdecznem odczuciem rodzimej swojskości w bycie i obyczajach naszego ludu wiejskiego. Nikt u nas lepiej od Laskowskiego nie umie odtworzyć tego bytu z zewnętrznej jego strony w rodzajowych, malowniczych jego zarysach. To co w duszy chłopskiej się dzieje, co w doli i niedoli chłopskiej się snuje mało mu jest dostępne, rzadko w jego poezyi wyraźniejszem odezwie się echem, ale szumny okrzyk, zuchowaty gest rozochoconego chłopka krakowskiego przewybornie ona oddaje. Dzięki temu panuje w niej przeważnie pogodny ton i nastrój. Tęskne, melancholijne jej odgłosy wynikają wyłącznie z podmiotowych poruszeń duszy poetyckiej, zwracającej się wciąż do umiłowanego bytu wiejskiego do wspomnień młodości i dzieciństwa ściśle z nim złączonych. Takie odgłosy dźwięczą nieraz w piosnkach Laskowskiego. Napotykamy je w I-szym tomie »Wyboru«, częściej jeszcze w tomie ostatnim, w którym obok śpiewek chłopskich znajdujemy też piosnki snujące wspomnienia i obrazy z życia dworu wiejskiego. Pełno w nich tęsknoty, bo wszystkie brzmią echami minionej przeszłości, bądź przeszłości dawnego bytu szlacheckiego, który poeta tak żywo odczuwa w całej barwnej jego malowniczości, bądź też przeszłości osobistych młodzieńczych wrażeń z wiejskiego dworu szlacheckiego wyniesionych. Niema jednak u Laskowskiego ani śladu szlachecko-artystycznej wyłączności. Owszem szczery demokratyzm zawsze i wszędzie odzywa się u niego i zgodnie z instynktownym niejako pędem całego społeczeństwa naszego do ludu wiejskiego się zwraca, w nim, jako w głównym żywiole naszej przyszłości, szuka naturalnego punktu oparcia. »Bo bez chłopa niema wioski, a bez wioski niema nas«, jak to sam dobitnie wyraził. Szlachcic demokrata-ludowiec: oto charakterystyczny dla obecnej doby typ w naszem społeczeństwie, wyraziście zarysowujący się w piosnkach Laskowskiego. Jak dużo dawnej szlachetczyzny, jeśli nie rycerskiej, to w każdym razie ziemiańskiej, rolniczej w tym wygnańcu wsi, wciąż do niej tę-

skniącym na miejskim bruku. A jakie w nim jednak szczere, serdeczne, iście braterskie odczucie chłopskiej natury chłopskiego bytu. Czy tu, niezależnie od współczesnego ludofilstwa, nie można się dopatrzyć oddziaływania przez krew i tradycye węzłów plemiennego i ziemiańskiego powinowactwa, odwiecznie łączących szlachcica i chłopa pomimo wszelkich historycznych przeciwieństw? Powiem nawet, że Laskowski lepiej, prawdziwiej przedstawia byt chłopski, aniżeli byt szlachecki. Dość porównać pełen niezrównanej prawdy życiowej chłopskie »Weselisko« z nazbyt roztkliwionym opisem wesela szlacheckiego (wiersz »W starym dworze« w tomie VI-ym). To roztkliwienie często ujawnia się w wierszach i piosnkach, wysnutych z życia dworu wiejskiego. Pochodzi ono stąd zapewnè, że owo życie w swej tak miłej piosenkarzowi obyczajowej malowniczości dziś jest tylko mglistem wspomnieniem, zaś obyczajowy byt chaty chłopskiej zawsze jeszcze pełną rzeczywistością. Odrębny typ twórczości Laskowskiego stanowią piosnki warszawskie, pełne werwy, humoru, niekiedy dosadnej satyry. Wyborne są śpiewki, ukazujące chłopka-wieśniaka wśród wielkomiejskiej wrzawy warszawskiej.

Inne oprócz piosnek poezye »Wyboru« mniejsze posiadają znaczenie i niewiele mogą dodać do charakterystyki poety. »Erotyki« w tomie 2-im w lekkim przeważnie trzymane tonie, nie odznaczające się ani głębią uczucia, ani siłą namiętności. »Liryki« w tomie III-im o tyle zajmujące, o ile zbliżają się do typu piosenkowego i z bezpośrednich wynikają wrażeń. »Satyry« tomu IV-go wysnute z przeżytych co tylko przez nas lat burzy i wrzenia, mają dużo dobrodusznego humoru, ale oczywiście utrzymują się zawsze na powierzchni życia, uwydatniają raczej komiczne i wesołe, aniżeli smutne, bolesne strony życia współczesnego. Wreszcie zawarte w tomie V-ym dwa większe utwory poety: jeden całkowicie wykończony, tak nazwany przez niego tryptyk dramatyczny »Pogrzeb«, drugi zamierzony tylko i dany we fragmentach dalszego ciągu »Pana Tadeusza« wydają mi się niezbyt udatnemi, nie odpowiadającemi rodzajowi uzdolnień twórczych poety naśladownictwami obcych wzorów.

W. Gostomski.

Wybór poezyi. Część I. *Jan z Kościelca Pogorski.* Kraków. Nakład W. L. Anczyca i Sp. 1908. 16-ka. Str. 255.

Trudno mnie pisać, a jeszcze trudniej byłoby nie napisać o tym zbiorku poezyi.

Było to lat temu kilkanaście. W zacisznej celi konwentu tarnopolskiego, pod bacznem okiem ś. p. O. Michała Mycielskiego, podpisany wraz z autorem omawianego tomiku mieli wspólnie przygotowywać się do egzaminu dojrzałości. Noce były prześliczne, z olbrzymiego ogrodu szły do nas po przez kraty wonie upajające. Wśród gałązek bzów i jaśminów słowiki wywodziły przepyszne trele. To też, zamiast uczyć się, puszczaliśmy wodze marzeniom o literaturze — podpisany o krytycznej, towarzysz mój o poezyi, którą uprawiał już wówczas na dobre. I oto dzisiaj po latach przychodzi mnie wypowiedzieć się o utworach, z których niejeden sięga jeszcze czasów tarnopolskich. Postaram się o jak najdalej idącą przedmiotowość.

Przedewszystkiem muszę podkreślić różnowartościowość zawartych tutaj wierszy. Jest ona tem więcej zrozumiałą, skoro zważy się, iż niektóre z nich były pisane przez chłopaka piętnastoletniego zaledwie. Mają one jednak wszystkie bez wyjątku piętno niezaprzeczonej oryginalności, o którą dzisiaj tak trudno u młodej generacyi poetów, nie były pisane pod wpływem niczyim tak, że na sto kilkadziesiąt wierszy zaledwie w jednym wypadku daje się odczuć dalekie echo Tetmajera. A to — w czasach szablonu i naśladownictwa nagminnego — stanowi duże *plus*.

I jeżeli co łączy Pogorskiego z współczesną generacyą braci w Apollinie, to pewna doza smutnego na świat wejrzenia i erotyzmu, ale w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Przypuszczam, że od pesymizmu i naśladownictwa uchroniło poetę zagrzebanie się długoletnie wśród jarów podolskich, przerywane rok rocznie niemal parotygodniowym pobytem w Rzymie, a niemniej wysoka kultura intellektualna i artystyczna, na której znać wpływ dodatni obcowania z dziełami sztuki klasycznej oraz z takimi jej znawcami, jak hr. Karol Lanckoroński i Antoni Madeyski. To też Podole i Rzym stały się dla Pogorskiego tymi dwoma światami, które stanowiły dlań podnietę do tworzenia. Poza nie wyjrzeć nawet nie chciał, co tak doskonale wyraził w urywku »Z listu«:

Dziwnie mi ciężko w tej stepowej ciszy,
Co się w mgłach szarych kładzie na ugory,
Smutno, jak pieśni, których nikt nie słyszy,
Tęskno, jak w chmurach żórawi klangory.
Gdzieś tam, od ciebie idzie światem wiosna
I pachną kwiaty i słońce się złoci...

Toż chciałby ujrzeć, »jak Rzym w słońcu płonie, jak szmerem fontan willa d'Este śpiewa, jak śni Palatyn... lub jak w wieczora upojeniu świętem płynie dźwięk dzwonów na Ave Maria...« Więc nie dziw, jeśli na widok Colosseum i bazyliki Piotrowej spłynie z ust modlitwa błagalna:

Rozkrzyżowany Chryste!
W Swe rany weź przeczyste
Człowieczych łez potopy...

lub w cyklu p. n. »Miłujcie się wzajemnie!« będzie głosić Wszechpotęgę Pana nad Pany, który »w rozkołysanych chmur Syonie, ponad bezkreśnych nieb błękity« króluje, gdy tymczasem »na ziemi zawiść czarna wywraca Boskie Twe ołtarze« i »żaden Ciebie głos nie woła«...

Rzym i wiara głęboka dały wiele poecie natchnień szczerych, gorących, podniosłych.

Bodaj czy nie dlatego jest Pogorski tak odmienny od całej falangi poetów najmłodszych w swoich erotykach. Nie szukać w nich bowiem wybuchów wulkanicznych zmysłowości pospolitej. Jest natomiast uczucie czyste, wzniosłe, promienne, bez cienia jakichś szałów opętańczych lub instynktów z epoki kamienia łupanego. I tę właśnie właściwość, tę subtelność uczuciową należy uważać za pierwszorzędną zaletę utworów Pogorskiego, zwłaszcza, kiedy zdolne są one przemówić do głębi serc czytelników i wywołać w jednej chwili t. zw. współczucie psychologiczne, gdyż:

...u stóp twoich zostaną te kwiaty...
I niesłuchane, jako płacz sierocy,
I roztęsknione — jako gwiazdy w niebie,
Smętnie i cicho będą każdej nocy
Rosą łez moich modlić się do ciebie.

Duszę bowiem poety »duch stepu zamknął w struny teorbanu i zaklął w dumę«... ażeby śpiewała o minionem szczęściu, kiedy »była z nami tylko zorza złota«, co nagle zagasła. To też błąka się myśl jego po świecie szerokim, lecąc »w święte miasta bramy, gdzie laur się wije i cyprys kołysze«, »w termy, do cyrku, w tajemnicze groty Hadryana willi i do świątyń sklepu«... tam bowiem ona »jak światłokrężne, złote meteory błysnęła w drodze mojego żywota«, a dziś, gdy »wszystko zgasło naraz«, poecie »iść trzeba wciąż dalej i dalej, w drogę bezgwiezdną, tak rozpacznie ciemną«. A jednak, choć żal mu serce rozdziera — »ja-ć błogosławię za wszystko, co z ciebie przeszło w mą duszę«... chociaż »dziś duszę, płaczącą na

szczęścia mogile, od stóp twoich odrywać tak ciężko!... boleśnie!...« A przecież — pomimo tego zawodu darmoby doszukiwać się piorunowych przekleństw w cyklu p. n. »Gente Leggiadra«, cyklu, którego perłą drogocenną »Marya Magdalena«:

Aż kiedyś przyszed jasny, jako lilia polna,
Ten, któremu śpiewało niebo, morze, ptaki...
I oto w jego wzroku stanęła bezwolna!
I nędzna poszła za nim przez cierniowe szlaki,
Tem święta, iż jej grzechem było ukochanie!

I choć ów żal, spowodowany zawodem życiowym, trawi go, jak niszcząca gorączka, przecież Pogorski jest w żalu swoim tak odmienny od schyłkowców, których cios jeden z ręki kobiety zdolen jest unicestwić na zawsze. Po zapomnienie ucieka w step bezbrzeżny, kiedy tam w księżycową noc »jakiś duch nadmogilny w lirne struny trąca i tajemnicze jakieś dzwonią teorbany«. Jakaż ogromna przemiana nastąpiła w ustroju psychicznym Pogorskiego, który, licząc 15 lat życia obawiał się, iżby »gdy przyjdzie grabarz życia-świat łamać wrzeciądze mej mogiły, nie ujrzał, że w niej już robaki trupie gniazdo zwiły«. Snać wtedy nie wiedział jeszcze o tem, że zawsze

Idzie przez jesienne pola
Ciężka, smutna ludzka dola
W mglistą dal...
I na szarą zwija przędzę
Ludzką boleść, ludzką nędzę,
Ludzki żal...

Nie wiedział, że »Kask saraceński«, co »bujną głowę niegdyś krył w bitewnych zabaw gwarze«, co zwyciężał u Malty, czy u Zenty, czy u Cecorskich pól, zbierając krwawe rosy »dziś na Bazarze czerep ten za kilka piastrów prawie sprzedają«...

Tak przedstawiałaby się w ogólnych zarysach fizyognomia poetycka Pogorskiego, do której niczego nowego nie dorzuca obszerny cykl wierszy, pisanych w języku francuskim, jaki pomieszczono w drugiej części tomiku. Przekłady jego, zwłaszcza z Petroniusa Arbitra i »Trofeów« Heredii, są wzorowe. Mniej udały się tłumaczenia z rosyjskiego, bodaj czy nie dlatego, że Pogorski tłumaczył poetów drugorzędnych bardzo.

Z pierwszego tomiku swoich poezyi przedstawia się Pogorski,

jako twórca niezbyt jeszcze skonsolidowany wewnętrznie, ale samodzielny, o szerokiej skali uczuć i natchnień. To też słusznie można powtórzyć za nim, iż po przeglądnięciu jego tomu

Pójdziesz! zapomnisz, lecz te chwile
Za tobą pójdą w świat...

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Krisis der Axiome der modernen Physik; Reform der Naturwissenschaften. *Dr. Gustav Pécsi.* Esztergom 1908. Str. 405 in 8°.

Mimo wszystko, na co się dziś, zwłaszcza w naukach ścisłych, baczną zwraca uwagę, mimo surowe krytyki, jakim każda teorya poddawaną bywa, przyznać jednak trzeba, że i dziś jeszcze powaga swojego znaczenia nawet na tem polu całkowicie nie straciła, boć to leży w samej naturze ludzkiej, że człowiekowi genialnemu łatwiej się wierzy we wszystkiem.

Nie dziw więc, że np. fizyka Arystotelesa taki wpływ wywierała na całe średniowiecze, że teorya emisyjna światła tak długo się utrzymała w świecie uczonym, mimo, że na coraz liczniejsze napotykała trudności, bo była złączona ze sławnem nazwiskiem Newtona. Tak pojęte słuszne jest motto, jakie dr. Pécsi na czele swej książki umieścił, że *cultus magnorum nominum ad idololatriam adducit in scientiis.*

Wierny temu hasłu poddaje autor najsurowszej krytyce najbardziej zasadnicze prawa Newtona, bo jego trzy prawa mechaniki, na których, jako na niewzruszonych podstawach opierała się cała fizyka późniejsza.

Zwraca się autor przedewszystkiem przeciw drugiej części pierwszego prawa Newtona, przeciw twierdzeniu, że ciało raz poruszone, na mocy bezwładności zachowuje ruch swój niezmieniony i zachowywałoby go wiecznie, gdyby inne siły nie stanęły mu na przeszkodzie.

To twierdzenie uważa autor za fałszywe (str. 29), a motywuje swoje zdanie metafizycznym argumentem ze skończoności zewnętrznego popędu: »właśnie dlatego, że ciało nie może samo sobie nadać energii kinetycznej, jedyną przyczyną ruchu jest popęd zewnętrzny. Ale popęd ten ma tylko skończoną moc; zatem i skutek popędu, ruch ciała, bę-

dzie tylko skończony, taki, jaki odpowiada popędowi, ani większy ani mniejszy, ale nigdy nieskończony« (str. 31).

To jest najgłówniejszy dowód autora, do którego w zmienionej formie jeszcze kilka razy powraca (str. 31 n, 114, 196 i t. d.).

Stąd wynika, że i drugie prawo Newtona: »zmiana ruchu jest proporcyonalną do siły poruszającej i odbywa się w kierunku tej siły« potrzebuje poprawki, o ile się odnosi do negatywnych zmian ruchu, to jest do jego opóźnienia. Skoro sam ruch nie trwałby wiecznie sam ze siebie, zatem do jego opóźnienia przyczyniają się nie tylko przeszkody wynikające z różnych oporów, ale i sam ruch, który z natury swojej trwać może tylko czas ograniczony (str. 39 n.). Zatem nie tylko ruch, ale i długość drogi będzie proporcyonalną do siły, wprawiającej w ruch ciało (str. 42).

Najostrzej zwraca się autor przeciw trzeciemu prawu Newtona: »każdemu działaniu odpowiada równe mu oddziaływanie, w kierunku wprost przeciwnym«. Prawo to według autora sprzeciwiałoby się wszelkiemu ruchowi, bo dwie siły równe sobie o kierunkach przeciwnych, wywołują stan spokoju skutkiem równowagi, zatem ruch każdy jest skutkiem przewagi działania nad przeciwdziałanie, i ta różnica jest przyczyną ruchu (str. 53, 84).

Krytyka tych praw jest najważniejszą podstawą, na której opiera autor dalsze swe twierdzenia konsekwentnie do uczynionych założeń: do określenia ilości ruchu wprowadza długość drogi, albo, co na jedno wychodzi, czas. Miarą ruchu będzie zatem nie mv, jak dotychczas przyjmowano, ale mvt, gdzie t oznacza czas, przez który ciało się porusza skutkiem popędu, nadanego przez siłę (str. 78).

Ruch ciała pod wpływem stale działającej siły będzie tylko początkowo ruchem przyspieszonym, po pewnym czasie musi przejść w ruch jednostajny trwający tak długo, jak długo siła nań działa (str. 174 n.).

Najważniejsze, jak się zdaje twierdzenie, jakie autor chce obronić, tyczy się prawa zachowania energii. Prawo to, mówi autor, nie tylko utrzymać się nie da w stosunku do wszechświata całego, bo tego ani wszyscy fizycy nie przyjmują, (jak np. Chwolson; str. 106), ani wykazać nie można, że wszechświat jest w sobie zamkniętą całością, (str. 107 n.), ale nawet w obrębie zjawisk, podlegających naszemu doświadczeniu, udowodnić się nie da (str. 109 nn.), a dowód najważniejszy na to ostatnie twierdzenie jest znów wynikiem tego samego prawa ruchu, którem autor zbijał pierwsze prawo Newtona.

Kończy dr. P. swój przegląd zasad nowożytnej fizyki, którego tylko kilka przewodnich myśli tu podaliśmy, doświadczalnym dowodem swoich praw ruchu na przyrządzie Atwooda, na którym wykazuje, że proporcyonalnie do chyżości, nadanej przez dodatkowy ciężarek, wzrasta droga, którą po odjęciu ciężarka szalki przyrządu jeszcze odbywają (str. 268 nn.).

Druga księga zawiera szkic nowego systemu planetarnego, zbudowanego na tych nowych podstawach fizyki. Dla pozbycia się ruchu »stycznego«, nie zmieniającego nigdy swej chyżości, który stanowi składową ruchu planet naokoło słońca, przedstawia nam autor system planetarny, jako ruch prostolinijnego spadania ku jakimś gwiazdom stałym, ruch jednostajny według jego praw mechaniki, prostolinijny dla słońca, spiralny dla planet skutkiem przyciągania słońca z jednej, »oporu« eteru z drugiej strony (str. 319 n.).

Widzimy z tego pobieżnego przeglądu treści książki, że autor rzeczywiście wierny był zasadzie, wypowiedzianej w tytule, że tak dalece nie hołdował powadze, iż nie tylko prawa Newtona, ale lwią część zasadniczych twierdzeń dzisiejszej mechaniki i fizyki konsekwentnie odrzucił, w żaden sposób więc do »bałwochwalców powagi« zaliczyć się nie może. Pomijając ostre piętnowanie »absurdów« dzisiejszej fizyki, które zapewne świadczą o całkowitem przeświadczeniu autora o swoich nowych prawach, zapewne nie bez korzyści do tego dziełka zaglądnąć można, by wniknąć głębiej w fundamentalne prawa omawianej nauki. Czy można jednak dzielić to mocne przeświadczenie autora o prawdziwości jego twierdzeń? Sądzimy że nie. Niektóre z nich mogą mieć za sobą pewne cechy prawdopodobieństwa, które może przy dokładniejszem zbadaniu odsłonią ich prawdę, ale bez »bałwochwalstwa powagi« powiedzieć możemy, że żaden z dowodów autora nie jest tak przekonywującym, by wystarczył na obalenie podstawowych zasad, na których stoi w wielkiej części przynajmniej, gmach dzisiejszej fizyki.

Gdy się zwrócimy naprzód do dowodu metafizycznego o skończoności ruchu, którem się autor, jak wspomnieliśmy, tak chętnie posługuje, to pomijając stanowisko, jakieby niejeden fizyk wobec niego dziś zajął, odpowiedzieć możemy, że zbliża się może do *petitio principii*, o którą autor tak często swych przeciwników posądza. Od tego bowiem zależy, czy skutek popędu skończony będzie czy nieskończony, co uważać będziemy za miarę ilości ruchu, czy drogę odbytą, czy tylko jego chyżość. Prawo pierwsze Newtona co do drugiej części

przynajmniej można uważać za hipotezę na doświadczeniu opartą, bo my bezpośrednio ciała, jak je autor nazywa, »idealnego«, to jest nie podległego oporom, obserwować nie możemy; ale z tego faktu, że im mniejszy opór, tem dłużej trwa ruch przy tym samym popędzie, dochodzimy do wniosku, że sile odpowiada nie długość drogi, ale prędkość, a potwierdzenie naszej hipotezy znajdujemy w jej zastosowaniach np. do układu planetarnego.

Co się tyczy prawa działania i oddziaływania, to bezpośrednio stosują je fizycy albo tylko do ciała w spokoju, na co się i nasz autor zgadza, albo gdy je stosują do ruchu, rozumieją przez to wzajemne działanie dwu ciał na siebie: »siła, z którą ziemia, kamień lub np. księżyc przyciąga, równa się sile, z którą nawzajem kamień lub księżyc równocześnie ją przyciągają w kierunku przeciwnym; rozumie się, że przytem ziemia doznaje tyle razy mniejszego przyspieszenia, ile razy jej masa przewyższa masę kamienia lub księżyca«. (Chwolson, w. w. d. t. I, str. 83; prof. Wüllner, *Experimental-Physik*. I, 75; Reiss, *Lehrbuch der Physik*, wyd. 8, 31; Witkowski, »Zasady fizyki«, wyd. 2, I, 96 n. i t. d.).

Jeżeli zaś chodzi o zasadę d'Alamberta, twierdzi ona właśnie, że do nadania przyspieszenia czyli wzrostu chyżości potrzeba siły, a to tem większej, im większe przyspieszenie i masa ciała, czyli, że tu za reakcyę można uważać ten iloczyn masy i przyspieszenia, bo bezwładność ciała jest na przeszkodzie, by siła nasza działając, w i ę k s z e g o przyspieszenia nie nadała. O równowadze w ścisłem tego słowa znaczeniu w tem prawie mowy niema.

Przejdźmy do eksperymentalnej strony: sądzimy, mimo wszystkie próby autora, że przyrząd Atwooda tyle posiada istotnych błędów, że nigdy do dokładnych całkiem pomiarów nadać się nie może. Ale pominąwszy tę okoliczność, proporcyonalność dwóch szalek po usunięciu ciężarka nie dowodzi jeszcze, że nie może to być skutkiem oporów, bo opór nie jest stałą siłą, lecz się zmienia z chyżością. Co się tyczy dowodów z natury, np. spadania kropli deszczu i t. p., dość je tłumaczy opór powietrza i nie mogą nam posłużyć za punkt wyjścia do innej teoryi.

Wreszcie słówko jeszcze o systemie planetarnym: eter jest tak zagadkową substancyą, jeśli go za taką wogóle uważać można, że system, opierający główne swe tłumaczenie na o p o r z e eteru, wydaje się już z tego względu nie do przyjęcia, pomijając już kwestyę,

że przyjąwszy eter, musimy go uważać za substancyę nie przedstawiającą oporu, skoro tego oporu nigdzie nie spostrzegamy.

Tak więc sądzimy, że cała teorya autora, niedość będąc ugruntowaną, zwłaszcza na danych z doświadczenia, nie może na razie przynajmniej zająć miejsca podstawowych praw genialnego fizyka angielskiego, którego autor tak ostro krytykuje. Ale skoro prawa Newtona są po części przynajmniej, jakeśmy wyżej zaznaczyli, hipotezą, choć na razie dobrze ugruntowaną, nie można z góry zaprzeczyć, by kiedyś po dokładniejszych badaniach nie miały uledz zmianie nawet te podstawowe prawa i to na korzyść autora.

Ks. Józef Sawicki.

Eskizy sowriemiennosti. Oczerk nacionalnawo wozrożdienija i żizni posliednych 4 liet na Ukrainie, w Polszie, Litwie i w Jewrejew. *A. M. Bogdan-Sokolskij.* Kijów 1909. 8-ka; str. 40.

Prawie wszystkie prawa obywatelskie, nadane poddanym państwa rosyjskiego, okazują się z dniem każdym coraz więcej iluzorycznemi. Za lat wszechwładnego panowania nieboszczki cenzury przynajmniej publicyści nie zapełniali gromadnie murów więziennych. Teraz wolno wprawdzie drukować, co się komu podoba, ale też oprócz konfiskaty artykułu czy książki, czeka nieprawomyślnych autorów kryminał.

W listopadzie rozegrał się przed izbą sądową kijowską proces karny, wielkiego naszego przyjaciela p. A. M. Bogdan-Sokolskiego (właściwie Bogdanowicza), który w pracy wymienionej przyznał nam to, na co nawet stronnictwa pseudo-liberalne nie zgodziłyby się nigdy w poczuciu niższości kulturalnej wobec nas. Rzecz oczywista, że w kołach miarodajnych zawrzało, jak w roju os. Broszurę skonfiskowano. Żeby zaś autora za jego bezstronność wobec Polaków i prawdomowność zgnębić, wytoczono mu proces karny o... wyszydzanie relikwii osławionego »świętego« rosyjskiego, Serafina Sarowskiego, którego świętość polega na tem, że nie dokonał dotąd ani jednego cudu oprócz tego, że obdarzył Mikołaja II następcą tronu, którego jednak dygnitarze, znający stronę zakulisową, nazywają nie Aleksiejem Mikołajewiczem, lecz Aleksiejem Michajłowiczem...

Zostawmy na razie świętość Serafina Sarowskiego na uboczu, a natomiast rozpatrzmy główne punkty tej ciekawej broszury, specyalnie zaś te, które odnoszą się do nas, bo na wszystkie poglądy autora pisać się niepodobna.

Okres, poprzedzający manifest październikowy, był dla większości

narodów, zamieszkałych na terytoryum państwa rosyjskiego, ciężkiem jarzmem. To, co tworzy fizyognomię poszczególnych narodów, podlegało bezwzględnemu prześladowaniu w najrozmaitszych postaciach i formach. Przeważał w nich cynizm i pierwotność, zwłaszcza w zastosowaniu do nacyonalizmu. W Rosyi marzono ciągle o zlaniu wszystkich ludów ogromnego państwa w jedną, nierozdzielną całość, marzono, opierając się na pseudosocyalizmie, popsutym do reszty pragnieniami wielu wybitnych biurokratów. Rok 1905 wykazał marność owych fantazyi. Większa część polityków składała całą winę na rząd, widząc podstawę zła w czynnościach rządu. Pogląd taki jednakowoż grzeszy przeciwko wielu prawidłom bezstronnej oceny faktów. Bo i społeczeństwo rosyjskie nie było bez winy. Maksyma zaś dziejowa uczy, że każdy naród ma taki rząd swój własny, na jaki zasłużył.

Nie tak dawne są czasy, kiedy we wszystkich instytucyach państwowych widniały tabliczki z uwagą: *Gawarit' na polskom sli drugom, kromie russkawo, jazykie wospriesznzajetsa.* Wszystkie zaś tego rodzaju zakazy opierały się jedynie na... cyrkularzach ministeryalnych. Ale też nie bez wpływu na takie postępowanie sfer decydujących był nacyonalizm, u Rosyan wybujały do niemożliwości, który wydał zasadę »Rosya dla ruskich«, myśl zasadniczo szczytną, jeżeli pod wyrazem *russkij* będziemy widzieli nie Rosyan, tylko obywateli państwa rosyjskiego.

Tymczasem wybuchła wojna o panowanie na Dalekim Wschodzie. Polityczna demoralizacya społeczeństwa wzrastała z dniem każdym. Agitacyę przeniesiono do armii i marynarki, gdzie zyskiwała posłuch. Zbliżał się kryzys polityczny, kiedy rząd miał przed sobą dwie alternatywy: albo odwołać wojska z Azyi, celem uśmierzenia anarchii, albo zadowolić żądania ludności. Manifestem październikowym uczyniono ostatnie.

Jeśli komu tedy, to najbliżej Rosyan stojącym Małorusinom należało bodaj teraz spłacić zobowiązanie zaciągnięte jeszcze w r. 1674, kiedy to statutem Perejasławskim gwarantowano im zupełne równouprawnienie pod względem językowym i oświatowym. Ale Rosyanie uczynili byli z ugodą Perejasławską to, co czynić zwykli byli z wszystkiemi zobowiązaniami, zaprzysiężonemi nawet na ewangelię. Panrussycyzm zdziałał swoje. Wszak od roku 1876 nie wolno było drukować niczego po małorusku!... Ale bodaj czy nie najwięcej byli tutaj winni Małorusini, której intelligencya moskwiciła się szybko i tylko nieliczne jednostki pamiętały o pracy dla swoich. Większość była patryotyczną tylko ze słów samych, pogardzała językiem ojczystym

i kaleczyła dalej żargonem, mającym trochę podobieństwa do języka rosyjskiego.

Jakżeż inaczej postępował — podług autora — w owym czasie naród polski, który (tłumaczę dosłownie) »pod względem świadomości narodowej, zajmuje jedno z pierwszych miejsc wśród narodów europejskich. Wielka intenzywność narodu w wskazanej mierze jest tylko skutkiem cierpień wiekowych. Zdaje się mnie, że żaden z narodów Europy nie przeniósł tylu nieszczęść i męczarń narodowych, co Polacy... W krótkim przeciągu czasu utracili wszystko: potęgę, sławę, samodzielność, niepodległość i, nakoniec, ojczyznę. Została się im tylko jedna duma narodowa... Społeczeństwo zjednoczone, cierpiąc ucisk ze wszystkich stron i przekonawszy się, że walka otwarta z silniejszym wrogiem nie doprowadzi do pożądanego wyniku, przekonawszy się, że potężnego państwa ożywić i wskrzesić nie można, wspólnemi siłami oddali się obronie kultury rodzimej, której świecznikiem był język ojczysty. Obronę tę prowadzono jawnie i tajnie. I za tę, zdawałoby się, najzupełniej legalną pracę cierpi polskie społeczeństwo przez lata całe ucisk. Wykrętny stosunek rządu do Polaków, uczynił ich szowinistami, ich postulaty narodowe separatyzmem. Bojąc się ze wszystkich stron grożącego niebezpieczeństwa, doszli ostatecznie do tego, że sami sobie wymyślali te niebezpieczeństwa. Utraciwszy w rzeczywistości wszystko, co posiadali, zaczęli żyć wyłącznie wspomnieniem minionej potęgi i sławy... Oto w krótkich zarysach podstawa, na jakiej pracują polskie kółka patryotyczne, stowarzyszenia i t. p. instytucye. Co się tyczy składu tych organów życia narodowego, to różni się on jaskrawo od składu ukraińskich »Proświt«, jak w tej mierze różni się całe polskie społeczeństwo od ukraińskiego. Wśród narodu polskiego niema przedewszystkiem wiarołomnej intelligencyi. Polska intelligencya nie zdradziła swojego narodu, nie mieniała swoich przekonań za ciepłe zakątki i bezpieczne schroniska... Pośród intelligencyi ukraińskiej jeszcze długo będziemy spotykać ludzi, gardzących swojem ojczystem i wstydzących się jego. Niczego podobnego nie można znaleźć w społeczeństwie polskiem. Każdy polski intelligent ma zupełnie jasne i wyrobione pojęcie o tem, czego, jako Polak, ma pragnąć, do czego dążyć i co on sobą przedstawia. Naturalną stąd rzeczą, że i niższe warstwy narodu polskiego, które miały zawsze swoją intelligencyę, i nie były nigdy pozbawione nauczycieli-narodowców stoją wyżej od Ukraińców pod względem uświadomienia narodowego i dumy«.

I teraz muszę uczynić wyrzut prasie warszawskiej, a nie mniej

też obydwu dziennikom polskim w Wilnie i w Kijowie, za to, że bądź przemilczały walkę o polski charakter uniwersytetu lwowskiego, bądź też zajęły wobec niej stanowisko niezdecydowane. Temu, że w sprawie powyższej nie wypowiedziały się stanowczo i jasno, zawdzięczać mamy następujące spaczone poglądy p. Bogdan-Sokolskiego na incydent lwowski:

»Dla Polaków droga jest tylko własna koszula. Ludzkie to naturalnie, ale niezupełnie kulturalne... Przykładów na stwierdzenie takiego zdania można wskazać bardzo wiele, ale ja przypomnę jedynie historyę incydentu na uniwersytecie lwowskim i demonstracyę społeczeństwa polskiego w Wilnie z powodu zaprowadzenia w kościołach języka litewskiego. Dwa te przykłady charakteryzują jasno stanowisko Polaków wobec praw innych narodowości. Prawda, można mnie zwrócić uwagę, że te dwa wypadki są tylko przejawem elementu szowinistycznego. Z tem jednakowoż nie można zgodzić się, jeżeli patrzy się na rzeczy bezstronnie. Ileby nie mówiło się o szowinistach polskich, to przecież wiadomo wszystkim, że oni stanowią większą część studentów polskich na uniwersytecie lwowskim z bardzo nielicznymi wyjątkami. Ale, jeżeli ich jest większa część, to jesteśmy w prawie uznać i cały uniwersytet za taki, a razem z tem także jego kierowników«. Oto, jak zemściło się na nas przemilczanie tyle ważnej sprawy przez prasę zakordonową...

W rezultacie wszelako przyznać musiał p. Bogdan-Sokolskij, iż »naród polski dumnie dzierży swój narodowy sztandar, że ani jedną zdradą nie zabrudził swojej drogiej świątyni. W tej mierze Polacy mogą i powinnni służyć jako przykład, tak dla nas (*scil.* Małorusinów), jak i dla drugich narodowości«... »Polacy — powiada on, reasumując swoje sądy o nas, — dla podtrzymania walki swojej o prawo bytu wybrali same najtrafniejsze środki; Ukraińcy, niewiadomo z jakiego powodu, pominęli te środki i wybrali inne. Społeczeństwo polskie, silne przez swoją intelligencyę, uznało za nieodzowne skupienie całej swojej uwagi na ludzie prostym, dla niego postanowiło wybrać najlepsze środki walki: obronę języka, poszanowanie dla niego, a oświatę ludu społeczeństwo polskie przekazało Kościołowi. Pierwszymi bojownikami i pionierami w walce o prawa języka ojczystego u Polaków **byli duchowni**. Polak, słysząc z ambony kościelnej język ojczysty, modląc się rano i wieczór po polsku, nigdy nie zgodzi się na wzgardzanie nim. On zawsze będzie dla Polaka wielkim, godnym

szacunku, świętym... Zanim zaczęli naukę szkolną w języku ojczystym, Polacy dali tym szkołom doświadczonych nauczycieli patryotów. Litwini poszli w tej mierze za Polakami«.

Co zaś czynili w pierwszych latach konstytucyi t. zw. Ukraińcy?— o tem warto posłuchać nieco z tego, co opowiada gorący patryota małoruski, jakim jest w każdym calu p. Bogdan-Sokolskij. Otrzymawszy prawo druku skutkiem zniesienia pamiętnego ukazu z r. 1876, nie potrafili go Ukraińcy wyzyskać. Zamiast założyć bodaj jeden dziennik, zaczęli kłótnię pomiędzy sobą o to, które z rozlicznych narzeczy powinno być uznane za najwłaściwsze? Ale spór ten, pomimo swojej namiętności, nie dał w rezultacie nic pozytywnego. Inni znowu z prof. Hruszewskim na czele roili marzenia o autonomii Ukrainy. Marzenia te wszelako rozwiały się rychlej, aniżeli zdążyły się narodzić.

Wobec tak surowej krytyki — nie dziw, że zawrzało w sferach zaczepionych. Postanowiono książkę skonfiskować. Że zaś nie zawierała niczego »nieprawomyślnego« podług ustawy karnej, więc przyczepiono się do kilkunastu wierszy.

Za to, że ktoś miał tyle cywilnej odwagi, iż wyraził się dodatnio o *inorodcach*, o duchowieństwie katolickiem i odsłonił kuglarstwo z Serafinem Sarowskim, o którego życiu skandalicznem tomy możnaby pisać, — takiego świadka stawia się przed trybunałem karnym.

Żyj Rosyo z taką konstytucyą i wolnością słowa!...

Dr. St. Zdziarski.

Geschichte der älteren südslawischen Litteraturen. *Dr. M. Murko.* Leipzig. C. F. Amelangs Verlag. 1908. (Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen. B. V. 2 Abt.). Str. X + 247.

W wielkiem wydawnictwie Amelanga »Literatura Wschodu« ukazał się tom nowy, poświęcony Słowiańszczyźnie południowej: Słowieńcom, Chorwatom, Serbom i Bułgarom. Jest to czwarta już z rzędu książka, zajmująca się piśmiennictwem słowiańskiem, poprzedzona głośną historyą literatury polskiej (B. 1) i rosyjskiej (B. 2) Brücknera tudzież czeskiej dr. J. Jakubca i Arne Nováka (B. 5. Abt. 1).

Dr. Murko, słowieński profesor uniwersytetu w Grazu, miał bardzo trudne zadanie przedstawić zwięźle a wyczerpująco całokształt dziejów piśmiennictw południowo-słowiańskich w jednym, stosunkowo szczupłym tomie. By spełnić należycie swe zadanie i nie ściągnąć na siebie podobnych zarzutów, jakie spadły na autorów cze-

skiej literatury, a po części także na prof. Brücknera za pobieżne traktowanie dawniejszej epoki piśmiennictwa, musiał dr. Murko — i zrobił to bardzo słusznie, — odrzucić początkowo całą, nowszą literaturę i przedstawić wprzód jej dawniejsze epoki. W ten sposób książka jego obejmuje dzieje piśmiennictwa od najdawniejszych czasów do połowy mniej więcej XV w., czyli t. zw. literaturę cerkiewno-słowiańską południowych Słowian, pozostającą pod wszechwładnym wpływem byzantynizmu.

Przedstawił tedy autor w sposób bardzo dokładny, choć jeszcze nie wszędzie wyczerpujący na blizko 200 stronicach, (36 pierwszych, odliczyć musimy na wstęp historyczno-obyczajowy) to, co u Pypina mieściło się w poszczególnych częściach, traktujących o każdej literaturze słowiańskiej osobno, na 50 wszystkiego stronicach [1].

Bardzo racyonalnie uzasadnia Murko tę metodę traktowania piśmiennictw południowo-słowiańskich. Wszystkie uważa za »dzieło chrześcijanizmu pod przeważającym wpływem byzantyńskim«. Jako takie stanowią one wszystkie jedną i to nierozdzielną całość; stąd też jedyną uzasadnioną drogą literacko-historycznego badania jest przedstawienie ich dziejów w nierozerwalnej, ciągłej, jednolitej całości.

Z tego stanowiska wychodząc, nie można było włączać do tego samego tomu i dziejów odrodzenia i najnowszego okresu piśmiennictw, które utraciwszy to wspólne tło — cerkiewno-byzantyńskie, poszły zupełnie samodzielnymi, niezależnymi od siebie torami.

Ten punkt widzenia autora, bardzo racyonalny i w interesie południowych Słowian leżący, (— bo spowoduje drugą, wyczerpującą książkę niemiecką o nowszem ich piśmiennictwie —) stał się przyczyną, że charakter dzieła d-ra Murki zupełnie odmienny od najbliższych nam i najlepiej znanych obu historyi literatur, pol. i ros. A. Brücknera, które główny nacisk kładą na nowszą epokę piśmiennictwa.

Murko przewagę daje dawniejszym epokom, jako posiadającym historyczno-oświatowe znaczenie, chociaż pod względem treści przedstawiającym się daleko mniej interesująco, aniżeli nowsze dzieje

---

[1] Por. Część I Bułgarzy. Z epoki najstarszej rozdział pierwszy do epoki tureckiego jarzma, t. j. od str. 53—96;

z części II-ej o Serbach i Chorwatach tylko niewielka partya rozdziału I-go (151—160), o serbskich redakcyach pism cerk.-słow. i byzant.-bułgarskich, i niespełna strona z rozdz. II-go p. t. »Chorutanie« (str. 284—5). (wedle drugiego wydania Исторіи Слованскихъ Литературъ А. Н. Пыпина и В. Д. Спасовича. Том I. С.-Пѣтбъ 1879. Str. VIII, 447).

piśmiennictw południowo-słowiańskich. Mniej barwnie stąd i mniej żywo pisana książka, nabiera za to charakteru naukowego, chociaż popularyzuje w sposób treściwy i przystępny, obfite wyniki badań dziejopisarzy i historyków literatur słowiańskich, dorzucając tu i owdzie niejedno ciekawe spostrzeżenie, niejedną cenną zdobycz naukową samego autora. Zarówno dla filologów, jak dla historyków wszelkiego rodzaju, a nawet teologów, zwłaszcza byzantynistów, będzie książka d-ra Murki bardzo cennym podręcznikiem i — jak się sam autor skromnie wyraża — »małym przewodnikiem ku zrozumieniu dawniejszego życia kulturalnego południowych Słowian«. (Str. X).

Niemniej ważne znaczenie może mieć ta książka jako wstęp do dziejów rosyjskiej i rumuńskiej literatury, które, pozostając pod silnym wpływem byzantynizmu w dawniejszych epokach, tem samem jednoczą się do pewnego stopnia z starem piśmiennictwem południowych Słowian. Czyby się tylko na stanowisko autora względem byzantynizmu zgodzili historycy rosyjscy, z których bardzo wielu ma wręcz przeciwny autorowi punkt widzenia!?

Stanowisko d-ra Murki w tej sprawie należy również do zasadniczych momentów w książce, dlatego muszę je wysunąć również na czoło sprawozdania. Ono wyjaśnia i dość liczne, w krytyce serbskiej zwłaszcza, głosy niezadowolenia z dzieła słowieńskiego profesora.

Stanowisko to polega na zupełnie krytycznem i bezwzględnie surowem osądzeniu wpływów byzantynizmu, jako czynnika zgubnego i wstecznego w piśmiennictwach południowo-słowiańskich. Jemu »zawdzięczają one zupełne skostnienie i *mumienhafte Existenz* na południowym wschodzie aż do XVIII wieku, — podczas gdy północnemu zachodowi humanizm i odrodzenie, reformacye i antyreformacye nowe życie przyniosły«, aż wreszcie epoka najnowsza, wraz z rewolucyą i romantyzmem, całą Słowiańszczyzną do najdalszych granic wstrząsnęła, wionąwszy w nią nowego ducha, który ją rozgrzał z dotychczasowego skostnienia, tchnął w nią życie i zbliżył do kultury Europy w XIX w.

Tego stanowiska autora nie pojmie niestety jeszcze wielka część rosyjskich, a także serbskich i bułgarskich uczonych, którzy niezawodnie będą ostro zwalczać zapatrywania d-ra Murki, wyrażone w ostatniem jego dziele [1].

[1] Por. recenzyę z tej książki d-ra Vladimira Ćorovića w belgradzkim dwutygodniku p. n. Српски књижевни Гласник. (Бр. 191. (XXIII. 1) 1. Јануара 1909. Str. 51—7).

Dzieło rozpada się na trzynaście nierównej wielkości i niejednakiej wartości rozdziałów. Z tych pierwsze trzy stanowią bardzo obszerny, może cośkolwiek za obszerny, wstęp kulturalno-historyczny. Podaje się tam podstawowe wiadomości o dzisiejszych stosunkach etnograficznych i oświatowych na słowiańskiem południu, w szczególności o wyjątkowym stosunku Serbów i Chorwatów do siebie, o zawisłości języków literackich od historyczno-politycznych wpływów i t. d. (Str. 1—54).

Uwagi te, zresztą bardzo cenne i dla Niemców potrzebne, tu cośkolwiek nie na swojem miejscu. Naprzód, że w znacznej części do zrozumienia starej, byzantyńsko-słowiańskiej literatury bardzo mało potrzebne. Stosunki, towarzyszące rozwojowi ówczesnego piśmiennictwa, były zupełnie odmienne od dzisiejszych, o których się dowiadujemy z pierwszego zwłaszcza rozdziału. (Str. 1—19). Wystarczy chociażby przytoczyć kwestyę serbsko-chorwacką, która wówczas nie istniała, jak wogóle żadna z obecnych kwestyi narodowych południowosłowiańskich. Sam autor we wstępie mówi o bezwzględnej jedności na polu piśmiennictwa szczepów słowiańskich na Bałkanie, — tak wybitnej jedności, że się bardzo często nieda zupełnie przeprowadzić granica w twórczości poszczególnych narodów.

Po tego rodzaju informacye mógł więc niemiecki czytelnik sięgnąć zupełnie swobodnie gdzieindziej, — do czasopism i rozpraw publicystycznej natury. Daleko więcej odpowiednim, a nawet koniecznym byłby taki wstęp w »historyi nowszej literatury południowosłowian«.

Potrzebniejszym do zrozumienia dawnej epoki piśmiennictwa jest rozdział drugi (Str. 19—36), poświęcony historycznemu tłu, dziejom wędrówek południowych Słowian, ich osadnictwu, organizowaniu się w państwa, szerzeniu się chrześcijaństwa i pierwotnej ich kulturze. Podaje tu wyniki dotychczasowych badań historyków, opierając się głównie na świetnym znawcy dziejów południowej Słowiańszczyzny, a szczególnie Bułgaryi, prof. K. Jireček u.

W formie przystępnej, w obrazach przejrzystych i barwnych kreśli prastarą epokę dziejów i kultury pierwotnych Słowian. Wiele przesądów dotychczasowych i błędnych teoryi usuwa lub poprawia, jak naprzykład znane i bardzo popularne twierdzenie o zupełnie pokojowem usposobieniu Słowian (Strona 23—4), o pierwotnej wspólnej kolebce Słowian południowych i północnych, o po-

chodzeniu Serbo-Chorwatów z za Karpat, z Galicyi wschodniej i t. d. [1].

Niewiadomo za to, czy wszyscy historycy zgodzą się na twierdzenie d-ra Murki, iż Słowianie już w drugim wieku przechodzili Dunaj i wędrowali na Bałkan (Str. 19), gdyż właśnie – zgodnie z wywodami dalszymi autora (Str. 20) — musieli Słowianie podówczas znajdować się jeszcze głęboko na północy, na ziemiach dzisiejszej Galicyi-Bukowiny [2]. Z pewnością też ostro zaprotestują Serbowie [3] przeciwko twierdzeniu, iż państwo chorwackie sięgało w najdawniejszej epoce aż po północne granice Albanii obejmowało dzisiejszą południową Dalmacyę. Najwidoczniej poszedł tu autor za szkołą chorwackich historyków, Klaića i Smičiklasa [4], a nawet swobodniejszego od nich i mniej »patryotycznego« Šišića, którzy polegają na t. zw. *kronice popa Dukljana*, kwestyonowanej pod względem prawdomowności przez niektórych dziejopisarzy, w pierwszym rzędzie serbskich. (O ile wiem, i Jireček nie dowierza Dukljanowi [5]).

---

[1] Co do tej ostatniej kwestyi por. prace prof. Potkańskiego, a zwłaszcza rozprawę prof. Ludwika Gumplowicza p. t. »Chorwaci i Serbowie«. Studyum socyologiczne. Warszawa 1902 (odb. z *Prawdy*), tudzież obszerne sprawozdanie jego z książki d-ra Murki, pomieszczone w *Przeglądzie historycznym* (Warszawa 1909, tom VIII, zesz. 1, str. 15) p. t. »Słowiańszczyzna południowa« (str. 1—19), gdzie autor w kilku miejscach polemizuje ze słoweńskim uczonym.

[2] Por. o tej kwestyi poglądy Tad. Wojciechowskiego w dziele p. t. »Chrobacya«. Rozbiór starożytności słowiańskich (Kraków 1873) i Karola Potkańskiego w rozprawie p. n. »Granice i osiedlenie Podhala« (Akad. Um.) Kraków 1896, a Edw. Bogusławskiego w »Początkach Chorwacyi iliryjskiej« (»Historya Słowian« II, 1893) i w »Metodzie i środkach poznania czasów przedhistorycznych w przeszłości Słowian«. (Warsz. 1901).

[3] Ćorović nie wspomina nic o tem, chociaż cała recenzya utrzymana w tonie nieprzychylnym, owszem często nawet rozmyślnie złośliwym. Por. Српски књиж. Гласник (l. c.). Por. też sąd I. P. w recenzyi z książki Murki w Летопису Матице Српске (1909. Св. I, str. 82).

[4] Vjekoslav Klaić: *Poviest Hrvata*. Zagreb. Sv. 1 (1899), Sv. II (1900). Sv. III (1901).

Tadija Smičiklas: *Poviest hrvatska*. Dio II. (Zagreb. 1879), dio I. (Zagreb 1882). *Poučna knjižnica Matice Hrvatske*. (Sv. IV—V).

Dr. Ferda Šišića por. rozprawy z dziejów narodu chorwackiego w ostatnich rocznikach wydawnictwa »Rad Jugoslavenske Akademije znanosti« u Zagrebu.

[5] Presbyter Diocleatis regnum Slavorum: *De regno Dalmatiae et Croatiae libri sex*. (Amstelodami 1666).

Godną uznania jest ostrożność autora w wyprowadzaniu hypotez co do pierwotnej kultury Słowian, hypotez, wyprowadzanych najczęściej z materyału folklorystyczno-obyczajowego, który ulegał, szczególnie na południu słowiańskiem, bardzo wielkim i częstym zmianom. Rozumi on i należycie ocenia potężny wpływ chrześcijaństwa, — jużto dodatni, jużto ujemny, — wpływ obcych żywiołów, wciskających się między Słowian, a co za tem idzie i całej, bogatej literatury apokryficznej, którą nie zawsze może uważać za wierne zwierciadło obyczajów i religii, czy mitologii danego społeczeństwa.

Dzięki temu zrozumieniu roli chrześcijaństwa w dziejach pierwotnych Słowian, poświęca autor obszerny rozdział (III. str. 36—54) apostołom słowiańskim, Cyrylowi i Metodemu i początkom kościelno-słowiańskiej literatury na Morawach i w Pannonii. Uwzględnia więc i ten ważny okres w dziejach prastarej Słowiańszczyzny, który bezpośrednio nie łączy się z historyą piśmiennictwa południowo-słowiańskiego, a tem samem pomijany bywa przez historyków literatur Południa i Wschodu słowiańskiego. Rozdział ten streszcza bardzo szczegółowo wyniki dotychczasowych badań nad tą niejasną jeszcze dzisiaj epoką i kwestyą cyrylo-metodejską. Zarzucićby można i tutaj zbyt szerokie omawianie przedmiotu, który, jako uboczny i pośrednio związany z treścią książki, powinien być ujęty w formę jak najzwięźlejszą. Uderza również nieznajomość jednego z najcenniejszych studyów nad tym przedmiotem, głośnej rozprawy prof. Potkańskiego »Cyryl i Metodyusz« [1].

Podnieść za to należy wyjaśnienie stosunku cyrylicy do głagolicy, co dotychczas jeszcze w wielu podręcznikach stanowi punkt niejasności i pomięszania pojęć. Pierwszeństwo w tej kwestyi oddaje autor głagolicy, jako bezwarunkowo dawniejszej pod względem pochodzenia. Niemniej z uznaniem podkreślić należy bezstronne ocenienie stosunku rzymskich papieży do słowiańskiego obrządku, którego doniosłości wielu z naczelników Kościoła zrozumieć nie umiało, zabraniając i tępiąc nabożeństwo słowiańskie, a tem samem zrażając do Kościoła zachodniego zastępy oddanych chrześcijaństwu Słowian, którzy niejednokrotnie z tych powodów przechodzili do Kościoła wschodniego [2].

---

[1] *Przegląd Powszechny*, i osobne wydanie.

[2] Ze względu na wiele punktów spornych w dziejach życia i piśmiennictwa dawnych Słowian, zwracam uwagę na obszerną recenzyę z książki

Od rozdziału czwartego wreszcie rozpoczynają się właściwe dzieje piśmiennictwa słowieńskiego, serbo-chorwackiego i bułgarskiego (54—206). Pierwszemu, jako najuboższemu w najstarszej epoce, poświęca autor najmniej miejsca, gdyż jedynie tylko tak zwane *Zabytki freisingieńskie*[1] (obecnie w bibliotece monachijskiej) z X albo początku XI wieku świadczą o udziale szczepu słowieńskiego w pracy około piśmiennictwa kościelnego. Nie popadł tu słowieński uczony w łatwo zrozumiały patryotyzm i nie przecenił wcale wartości zabytków; owszem z całą świadomością podkreślił silny wpływ niemiecki, mianowicie staro-górno-niemieckich pomników. Uznał pracę mnichów niemieckich, którzy pielęgnowali język ludowy, nie zaniedbał jednak z drugiej strony zaznaczyć germanizatorskich ich dążeń. (Klasztory w Innichen i Kremsmünster! Str. 55).

Rozdział następny (V) przenosi nas do Bułgaryi, gdzie znalazło piśmiennictwo cerkiewno-słowiańskie przytułek, po niepomyślnej walce z duchowieństwem łacińsko-niemieckiem w Pannonii i Morawach. W pierwszej części tego rozdziału omawia autor (po wstępie historycznym) literaturę teologiczną i działalność całego szeregu »uczonych«, mnichów, anachoretów i t. p. Powszechnie uważany za ucznia św. Cyryla, Klemens macedoński, rozumie się, zajmuje tu pierwszorzędne miejsce. Zastanawia się autor nad pochodzeniem obu legend o życiu Cyryla i Metodego, przypisując Klemensowi tylko drugą, jako naśladowanie życiorysu św. Cyryla, napisanego przez samego Metodego (Str. 62).

W dalszym ciągu analizuje działalność Konstantyna Presbitra i jego, pierwszy w tym rodzaju, systematyczny zbiór kazań niedzielnych w języku starocerkiewnym, — Jana Exarchy i jego *Slovo o pravêj vêrê*, a zwłaszcza jego »arcydzieło« t. zw. *Šestodnev*, które nieco dziwną znalazło charakterystykę w książce prof. Murki (»ein grosses Originalwerk, richtiger eine Kompilation« (?!) str. 64). Do grupy współpracowników cara bułgarskiego Symeona, — którego *Zlatostruj* stał się na długie wieki wzorem do naśladowania, nie tylko w literaturze południowo-słowiańskiej, ale i w cerkiewno-rosyjskiej, —

Murki d-ra Iwana Franki w Записках Наук. Товар. імени Тар. Шевченки. (P. 1909. Кн. I. Стр. 171—178).

[1] Po słowieńsku: *Brizinski spomeniki.*

zalicza także Grigorija Presbitra, komentatora i »dopełniacza« biblii i wielkiej bułgarskiej »chronografii« [1].

Z działalnością tego teologa łączy się wcale obfity zastęp objaśnień, przeróbek i tłumaczeń mniej lub więcej znanych autorów, wyciągi i zbiory pism Ojców Kościoła, — z czego najsłynniejszy i najcenniejszy *Izbornik Sviatoslava* (z r. 1073), — apokryficzne legendy o wizyach Daniela, ascetyczne nauki dla anachoretów, homilie pojedyncze i całe kodeksy, — jak najcharakterystyczniejsze: *Glagolita Clozianus* i *Suprasiliensis* [2] (z w. XI), — »mineje«, liturgiczne pieśni, reguły i statuty mnisze i t. d. i t. d.

Dokoła następców Symeona, których działalność znacznie słabnie, zalicza dr. Murko autora *Šestodnevu*, Kirila Filozofa, który w swych kazaniach idzie za wzorem Jana Exarchy, — mnicha Hrabra z jego bardzo ciekawą rozprawą *o pismenehъ*, w której skarży się na ataki Greków na kościelne księgi słowiańskie i słowiańskie abecadło. Traktat wspomniany uważa prof. Murko za późniejszą przeróbkę, a oryginał właściwy, pisany niezawodnie głagolicą, przenosi do początków X wieku.

Okres 150 lat po śmierci Symeona dostarcza tylko trzech nazwisk wybitniejszych działaczy bułgarskich: Presbitra Kozmy, autora mów, zwróconych przeciwko budzącej się herezyi bogomiłów, — Presbitra Jana, kompilatora żywiorysów męczenników, i w połowie XII wieku biskupa Ilariona, znanego z korespondencyi z cesarzem Manuelem I Komeną. Poza tem zachowane całe mnóstwo anonimowych przekładów ksiąg kościelnych, klimaksów (sł. *lêstvica*), pandektów Pisma św., paterikonów v. limonarów, zarysów życia i obyczajów zakonnych, utworów hagiograficznej literatury, pieśni kościelnych, hymnów i t. d. Dla wielu z pomiędzy tych anonimowych pozostałości usiłuje autor odnaleźć pisarzy i niekiedy wcale trafnie. (Str. 72—5). Kończy tę część ustępem o klasztorach bułgar-

[1] Stała się ona później podstawą najstarszych ruskich »litopisów«, zachowana zaś dotychczas w bułgarskim rękopisie z X lub XI w. w moskiewskiem archiwum ministerstwa spraw zagranicznych (por. Ив. Франко op. cit. str. 175).

[2] Dlaczego właściwie zalicza dr. Murko te dwa cenne zabytki do literatury bułgarskiej, nie znajdujemy w książce żadnego wyjaśnienia. Dotychczas zawsze uchodziły one za dzieła redakcyi chorwackiej. (Por. A. A. Kryński w W. Encyklopedyi powsz. T. XXV. Str. 167).

skich, ich pracownikach, jak typowy Todor Duksov i Joan Rylskyj, późniejszy patron-opiekun Bułgaryi.

Historya, względnie kronikarstwo, jak i wszelkie inne nauki bardzo ubogo przedstawiają się w dziejach średniowiecznej literatury południowo-słowiańskiej. Przyczyna główna leży w tem, że nie sięgnęli Słowianie do pełnych bogactw zródeł klasycznych, ale korzystali z bliższych sobie i popularniejszych kompilacyi i przeróbek późniejszych, średniowiecznych, byzantyńskich. Nawet z pomiędzy historyków żaden klasyczny pisarz grecki lub rzymski nie powiódł na drogę prawdziwej wiedzy pierwszych kronikarzy słowiańskich; wystarczały słowiańskim dziejopisom kronikarskie kompilacye i apokryficzne legendy późniejszej epoki. Nawet ci z pomiędzy średniowiecznych pisarzy byzantyńskich, którzy bezpośrednio Słowianami się zajmowali a tem samem i więcej nieco zasługują na zaufanie, jak Konstantyn Porfirogeneta i Leon Diakon, nie zwrócili na siebie uwagi Słowian.

Za to najulubieńszem źródłem, wprost niewyczerpanem są chronografie Jana Malalasa z Antyochii i osławiona kronika świata Georgiosa Hamartolosa Monacha, której dwie główne słowiańskie przeróbki są znane: starsza bułgarska, zwana *vremennikz*, młodsza serbska p. t. *lêtovnikz* [1]. *Lêtopisьcz* znajdujemy już w »Izborniku« Światosława, a także na końcu przekładu »pouczającego ewangelium« presb. Konstantina (p. n. Istorikii), są to jednak tylko drobne dodatki do pism teologicznych, cerkiewnemi kwestyami zabarwione. Właściwych kronik, względnie ich przeróbek i przekładów w Bułgaryi przed wiekiem XII nie znajdujemy, a i te co są, są niezbyt liczne lub niezupełnie pewnego pochodzenia. Do tych zaliczyć należy znaną z rosyjskiej literatury kompilacyę *Ellinskij Lêtopisecz*, która niezawodnie jest pochodzenia bułgarskiego, część symeońskiej encyplopedyi, wedle twierdzenia Račkiego i Szachmatowa, — »Helleńska i rzymska chronografia«, znana aż z czterech redakcyi, i wreszcie najgłośniejsza na południu t. zw. *Paleja*, odpowiadająca zachodniej »Biblii pauperum« (Skrócona hist. biblijna z apokryf. dodatkami). Czy i rosyjska rozszerzona *Paleja* t. zw. *Tołkowaja* jest pochodzenia bułgarskiego, tego dr. Murko nie rozstrzyga [2].

---

[1] Z kompilacyi tej najpewniej korzystała i t. zw. »Kronika Nestora«.

[2] Najprawdopodobniej nie, — lecz z południowej Rosyi (w XII–XIII). Dr. Murko je miesza jednak ze sobą, sądząc, że przedstawiają one jedno

Niemniej ubogo przedstawia się literatura »naukowa« owych wieków. Grecki *Physiologus* z zakresu nauk przyrodniczych, prawniczy *Nomokanon* wraz z *Syntagmą* i podróże pielgrzymów średniowiecznych stanowiły, w zakresie geografii, główną skarbnicę przeróbek i kompilacyi bułgarsko-słowiańskich. Najciekawszym byłby należycie zbadany, objaśniony i wydany zbiór dość bogatej, a rozrzuconej po najrozmaitszych bibliotekach i foliantach średniowiecznych, korespondencyi słowiańskich, a w szczególności bułgarskich mnichów, uczonych teologów, dworaków i posłów, którzy pozostawali w bardzo blizkich i przyjaznych stosunkach z Carogrodem, biorąc udział w dyskusyach i sporach naukowych i teologicznych.

Szczególniejszą uwagę poświęca prof. Murko literaturze apokryficznej i Bogomiłom (Str. 82—95), zjawiskom, które w bardzo silnej mierze wystąpiły zarówno w Bułgaryi, jak i w Serbo-Chorwacyi [1] i Rumunii, a niemniej na północy, w Rosyi i na Rusi. Zasadnicze stanowisko autora względem tego bardzo dotychczas podnoszonego, często przecenionego ruchu w piśmiennictwach słowiańskich, określa się dwoma podstawowymi poglądami: 1) Wpływ apokryfo-bogomilski wśród Słowian niezmiernie silny i wszechstronny, ale ujemny, gdyż działał rozsadzająco *(zersetzend)*, czyniąc, z chwilą zapanowania Turków na ziemiach słowiańskich, z pierwotnie narodowej sekty — zdrajców narodu. (Str. 86). 2) Cała literatura apokryficzna, mimo wielu bardzo ciekawych i cennych rysów, w gruncie rzeczy nie jest oryginalną, ale najprostszą kompilacyą i przeróbką z greckiego (Str. 92).

Z tego stanowiska wychodząc, obniża dr. Murko ogromnie znaczenie apokryficznego piśmiennictwa i chłodzi zapały wielu slawistów, którzy z dumą patrzą na płody tej epoki, znajdując w niej starodawne »skarby narodowe« [2].

Z przedstawicieli apokryficznej literatury najwięcej zajmuje się głośną, a zagadkową postacią popa Jeremiji, któremu przypisuje się

źródło pierwotne. (Por. Uspieńskiego Толковая II. (Kazań 1876) i Sobolewskiego Древне-русская переводная литература. (C.-Пбрг. 1892—93).

[1] Por. Petranovića: Богомили, црква босањска и крьстяни (Истор. распр.) у Задру. 1867.

[2] Poglądy te słowieńskiego profesora napotkają niezawodnie na bardzo ostre protesty wielu »zwolenników« apokryficznej literatury. Przypominamy tylko głos Serba, d-ra Ćorovića (l. c.) i lekką aluzyę do tej kwestyi d-ra Josefa Páty w *Slovanským Přehledě*. (R. 1909. č. 5/6. Str. 287).

największe zbiory apokryfów. Zastanawia się nad stosunkiem tego piśmiennictwa do poezyi ludowej, a nawet do malarstwa i rzeźby, na których zostawiła ona wybitne piętno. Najważniejszej kwestyi: wieku i pochodzenia cerkiewno-słowiańskich apokryfów nie rozstrzyga, — co nawet w szczegółach jest prawie niemożliwem do przeprowadzenia, — choć, ogólnie biorąc, zalicza je do najdawniejszych pomników językowych, za bezpośrednie zaś ich źródło uważa apokryfy greckie.

Zagadka wieku tej niezmiernie rozpowszechnionej na całym Wschodzie słowiańskim literatury jest zresztą niemal nie do rozstrzygnięcia, ze względu na jej niesłychaną żywotność do najnowszych niemal czasów. Jak mało wiążą się jej płody z granicami czasu, widoczne to najjaskrawiej z licznych rękopisów apokryficznych jeszcze z XVIII, ba — nawet XIX w., zarówno na południu (np. w Czarnogórze), jak i na północy, w Rosyi, na Ukrainie i w Galicyi wschodniej. (Str. 94). Dziś jeszcze mają krążyć tego rodzaju *hadki* pomiędzy Rusinami na podkarpaciu węgierskiem.

(Dok. nast.)

Tadeusz Stan. Grabowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Przedstawiciele ludzkości. *Emerson.* Przełożyła z angielskiego M. Kreczkowska. Kraków. G. Gebethner i Sp. Str. 284.

Dzieło nadzwyczaj ciekawe, obejmujące szereg oryginalnych filozoficznych zapatrywań autora na dzieje ludzkości i na jej przedstawicieli. Każdego wielkiego człowieka uważa on za istotę, w której przejawiła się cała epoka, za potężną siłę przetwórczą, wchłaniającą jako karm swój wszystkie gałęzie nauki i sztuki. Człowiek, według autora, może być wielkim »gdy posiada tyle siły i dokładności, ażeby wyrazić myśli, uczucia i dążenia wszystkich cywilizowanych ludzi czynnych«. Tem twierdzeniem składa autor hołd teoryi Swedenborga, którego wiernym jest wyznawcą. Za przedstawicieli ludzkości uważa on tych, którzy się odznaczyli na najbardziej ekstenzywnem polu myśli i energii. Takiemi polami jest filozofia, literatura, zwłaszcza poezya, takiem polem jest natura życiowa. Najlepszego pojęcia nabierze czytelnik o tem dziele, gdy przytoczę mu tych wszystkich emersonowskich przedstawicieli ludzkości. Są nimi Plato jako filozof, Swedenborg jako mistyk, Montaigne jako sceptyk, Szekspir jako poeta, Napoleon jako natura życiowa i wreszcie Goethe jako pisarz.

St. B.

Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych. Zeszyt 86—100.
Biblioteczka Młodzieży Szkolnej. Zeszyt 60—100.
Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej. Zesz. 101—109. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Spółka.

Z wyjątkiem Chodźki: »Dworzec mojego dziadka«, »Śmierć mojego dziadka«, »Boruny« i Górskiego: »Biblioman« zawierają obecne zeszyty »Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych« wyłącznie poezye i to Lenartowicza, Kondratowicza, Asnyka, Ujejskiego, Pola i Zaleskiego. Poza Ujejskiego »Marszem pogrzebowym« jest wybór dość trafny, niefortunne tylko, jak zwykle, objaśnienia.

Lepiej jeszcze przedstawia się »Biblioteczka Młodzieży Szkolnej«. Ogromna w tych zeszytach rozmaitość, autorzy przeważnie swojscy, szeroko w kołach młodocianych czytelników znani, z zagranicznych najwybitniejsi w tym kierunku, jak Kipling, Amicis, Andersen; treść zajmuje i poucza.

Połączenie jednak tych dwóch wydawnictw nastręczy z pewnością trudności, jakie rozwiązać będzie trudno.

Ks. W. W.

Wspomnienia z Mandżuryi. Napisał *K. G.* Kraków 1909. Nakład autora.

Jest to pamiętnik kampanii wschodniej, pisany przez lekarza dywizyjnego. Mamy tu obraz tego, co się działo na tyłach zdemoralizowanej armii rosyjskiej, od dni Mukdenu i Tielinu, aż do zawarcia pokoju.

Autor, jak widać z opisów, wrażliwy na piękną naturę, odmalowuje mandżurską przyrodę nie tylko świetnymi szkicami literackimi, ale także graficznymi, co się niezmiernie przyczynia do podniesienia artystycznej wartości książki, pisanej pięknym językiem i z talentem. *k.*

Wszechnica katolicka w Lavanium (Louvain). Napisał *ks. Idzi Radziszewski.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1908. Str. 26.
Uniwersytet we Fryburgu Szwajcarskim. Skreślił *Henryk Hilchen.* Księg. Szczepkowskiego. Warszawa 1909. Str. 39.

Obydwie te broszurki mają na celu zaznajomić naszą młodzież z systemem nauki w tych stosunkowo najbardziej przez Polaków uczęszczanych uniwersytetach. Znajdzie tam ciekawy czytelnik wiele szczegółów odnoszących się do życia akademickiego i wiele cennych wskazówek dla tych, którzy pragną swe studya uzupełnić.

A.

Nasi księża, ich wychowanie i stosunek do społeczeństwa. *Ks. Witold Czeczot.* Księgarnia Niemiry. Warszawa 1908. Str. 40.

Broszurka wywołana pismem pana Antoniego Szecha, który występuje w niej przeciw mankietnictwu. Autor broni księży i seminarya przed zarzutami Szecha i wykazuje brak sumienności i rzetelności w jego krytyce, która wbrew woli autora nie pomódz, lecz zaszkodzić jedynie może księżom i społeczeństwu.

St. B.

Sexualetik und Sexualpedagogik. Eine Auseinandersetzung mit den Modernen von *dr. Fr. W. Foerster.* Kempten und München. Str. 97.

Wśród pism i broszur, walczących w sprawie usuwania zboczeń seksualnych u młodzieży, stanowi praca niniejsza nader cenny nabytek w literaturze pedagogicznej. Jest to rozszerzone wydanie wykładów, jakie autor miewał w Mannheim na korzyść niemieckiego Towarzystwa, mającego za cel zwalczanie chorób płciowych. Celem autora jest, wykazać, że nowo-

czesna pedagogika seksualna buduje plany swe na piasku oddalając wpływy etyczne w dziedzinie seksualnej od głównych zagadnień, dotyczących kształcenia charakteru, a przeto załatwia tę kwestyę w bardzo niebezpieczny i dyletancki sposób. Za największy błąd uważa autor przecenianie w dzisiejszej pedagogice uświadamiania rozumowego wobec o wiele donioślejszej kwestyi hartowania i umacniania woli. Słusznie podnosi bajeczną ślepotę wielu uczonych pseudopedagogów, lekceważących tak niesłychanie ważny czynnik wychowawczy — jakim jest wstydliwość, a jeszcze słuszniej uderza na płytką i pobieżną ich polemikę przeciw chrześcijańsko-religijnemu poglądowi na życie płciowe, który przecież ugruntowany jest na najgłębszej znajomości natury ludzkiej i oparty na wszechstronnem wiekowem doświadczeniu. Praca dzieli się na trzy rozdziały; *a)* bezrząd czy autorytet w etycznych poglądach; *b)* etyka seksualna; *c)* seksualna pedagogika. Stanowisko jakie autor zajmuje wobec samego uświadamiania płciowego nie jest wprawdzie wprost negatywne — uważa jednak za najważniejszy środek przeciw zboczeniom seksualnym zwyciężanie popędu uboczne, przez uzacnienie i wykształcenie charakteru zapomocą obudzania wyższych myśli i uczuć. Nie należy według niego obznajamiać młodzieży z występkami i zboczeniami w życiu płciowem, gdyż to przyspiesza jedynie degeneracyę — za to pielęgnowanie poczucia honoru, osobistej samodzielności, wzmacnianie sumienności, obudzanie pewnej rycerskości i zaparcia w stosunku do płci słabszej, a to w łączności z pielęgnowaniem życia religijnego zapewni pedagogowi wpływ w tym kierunku niechybny.

Z innych środków pomocnych w tym względzie zaleca hygienę wyobraźni, a wreszcie walny prewencyjny środek — pracę ręczną.

Wkońcu omawia czynnik decydujący w pedagogii seksualnej — religię, z jej widokami na życie przyszłe. Zauważyć należy, że autor w całem swojem dążeniu tak szlachetnie i gorąco broniący sprawy, w tym punkcie jest najsłabszy. To prawda, że tęsknota duchowa za czemś wyższem i ofiarność oparta na religii pogłębia życie wyższe i uskramia niższe popędy, pomnażając zarazem wolność osobistą, to prawda, że pamięć na obecność Bożą przeszkadza zagnieżdżeniu się pokusy w wyobraźni i przyzwyczaja do odporności, ale z tem wszystkiem nie można zapomnieć, że tu własna praca człowieka nie wystarcza, że tu jedynie pielęgnowanie życia nadprzyrodzonego z tak walnym środkiem jakim jest łaska Boża modlitwą i sakramentami uzyskana i utrzymywana ostatecznie o zwycięstwie decyduje, a wszystkim poprzednio wymienionym środkom prawdziwej wartości użycza. Po krótce zbija autor zarzuty, jakoby działalność Kościoła była niewystarczającą, piętnuje wywrotowe zarzuty głośnej obrończyni wolnej miłości, autorki *Ellen Key*. Oczywiście polemika zbyt oględna, bo i rozmiar pracy niewielki. Jeżeli się sprostuje brak wyżej wymieniony, uwagi w dziełku tem zawarte, mogą oddać wielkie usługi sprawie za dni naszych tak piekącej, a groźnej w następstwach.

B. M.

Leçons d'Ecriture sainte: Jésus Christ, sa vie, son temps par le *P. Hippolyte Leroy S. I.* Paris. Beauchesne. Str. 346.

Rzecz niniejsza jest czternastym tomem obszernego zbioru wielko-

postnych konferencyi, od wielu lat miewanych przez autora w Paryżu i Brukseli, a omawiających życie i naukę Chrystusa Pana. Jak cel — mają to być wykłady Pisma św. — tak i ton tych konferencyi jest nie tyle kaznodziejsko-moralny, ile dydaktyczny. Autorowi chodzi o pouczenie słuchaczy; jeśli gdzieś mają być poruszone i serca, pozostawionem to jest sile samej prawdy. Między poszczególnemi konferencyami rzeczowego związku z zasady niema, bo zachowano chronologiczne następstwo zdarzeń życia Pana Jezusa i jego nauk. Obecny tom traktuje o naukach i wydarzeniach bezpośrednio poprzedzających Mękę Pańską, mianowicie: o końcu świata, o urządzeniu i używaniu życia, o sądzie i piekle, o umartwieniu, o złej woli ludzkiej, o wydaniu Chrystusa Pana, o obrzędzie żydowskiej paschy, o ostatniej wieczerzy. W tomie obecnym czuć na każdym kroku poważny ale stanowczy protest przeciw egzegezie i teologii modernizmu. Zaletą książki jest spokojny, przystępny wykład. Z głębszą myślą rzadko zdarzy się spotkać. W tematach ściślej naukowych np. w roztrząśnieniu znanej trudności o terminie nadejścia końca świata, argumentacya dość powierzchowna. Cała książka jest nie bez pożytku dla ludzi szukających popularnego, a ściśle katolickiego objaśnienia życia Pana Jezusa i Jego nauki.

J. B.

The artful Miss Dill by *Frank Frankfort Moore.* I vol. (Tauchnitz Ed.).

Pierwsza część tej powieści przenosi nas do Wenezueli i jaskrawym, bodaj czy nie trochę przesadnym opisem tamecznych stosunków zaleca się na wstępie czytelnikowi. Jeżeli autor czerpie z własnych wrażeń, to przypuścić trzeba, że Caracas i jego mieszkańcy dali mu się srodze we znaki, bo ich opisuje jako gniazdo szalbierstwa, mordu i zdrady, jako stek awanturników z pod ciemnej gwiazdy. Jest między nimi i Anglik, kapitan Dill, zmuszony niegdyś do wyjazdu z kraju z powodu »niedokładności« pieniężnych i operujący tu na wielką skalę, ciągnący zyski tak z prywatnych jak i politycznych knowań. Pomaga mu w tem całą siłą swego sprytu i wdzięków, złotowłosa córka, Estera, natura w gruncie prawa, ale w atmosferze miejscowej przywykła walczyć chytrością przeciw chytrości, bronić się i zdobywać. Odczuwa przytem wciąż pewną pogardę dla działalności ojca i własnej, a uczucie to powiększa się, gdy powróciwszy do Anglii kapitan Dill usiłuje wobec swych uczciwych rodaków praktykować te same sztuki, co wobec wenezuelskich pseudo-Hiszpanów. Bardzo zabawną jest historya Towarzystwa Akcyjnego, którego Dill chce zostać *Gründerem*, pomimo, że sądzi, iż podstawa jego, pewne złotodajne pola, są rzeczą fikcyjną. Doznaje sam niespodzianki, gdy się okazuje, że kopalnie ogromną przedstawiają wartość. Estera zaś, używająca teraz swego sprytu na udaremnianie ojcowskich knowań, wychodzi szczęśliwie za mąż. Pomimo tytułu nie ona, ale ojciec jest główną postacią powieści chwilami ciekawej, ale nie przedstawiającej wielkiej wartości.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z francuskiego zamętu

List biskupów francuskich w sprawie szkolnej otworzył wreszcie oczy tym rodzicom, którym na sercu leży dobro kraju i dobro własnych dzieci. Zawrzała nowa walka na wszystkich polach.

Radykalni, raczej ateistyczni nauczyciele grożą biskupom procesami o oszczerstwo i o odszkodowanie.

Biskupi mimo pewności, co ich czeka, nie ustępują; dzień po dniu ogłaszają katolickie dzienniki ich pełne serdecznego żalu i bólu napomnienia, uwagi, rady i zachęty do wytrwania w pełnieniu obowiązku. Nie zadawalniają się jednak tem tylko. Każdy prawie list biskupi przynosi wyjątki z książek szkolnych, wyjątki o charakterze wprost destrukcyjnym, zabijającym. Całą kolekcyę takich wyjątków podał krakowski *Czas* w wieczornym numerze z 25 listopada; do nich odsyłamy ciekawych, a sami ograniczymy się tylko do kilku ogólniejszych uwag. W podręcznikach szkolnych — cytatami udowadnia to np. biskup z Autun — nazywa się wiarę »przestarzałem, nieuzasadnionem uprzedzeniem«, odrzuca grzech pierworodny, celibat i śluby zakonne piętnuje się jako rzecz niemoralną a za podstawę moralności stawia się »interes własny«; o darowiznach między żyjącymi i o testamentach twier-

dzi się, że to »niemoralne kontrakty«; uczniom Jezusa daje się przydomek ludzi fanatycznych i głupich. Nawet liberalny *Matin* ogłosił listę podobnych niemoralnych, niereligijnych i niepatryotycznych zdań i wezwał autorów podręczników do ich obrony, która się swoją drogą nie udała.

Pod wpływem biskupów rozpoczęli akcyę rodzice. Zawiązują oni *Związki rodzicielskie*, których celem obrona dzieci a wobec których nauczycielstwo niejeden raz ustąpić już musiało; są zdecydowani nawet popchnąć dziatwę do strajku szkolnego. Jeden z ojców, ojciec jedenaściorga dzieci, rzecz we Francyi niesłychana, ogłosił w pismach rzewny protest. Nie może on, pisze, pogodzić ze swojem sumieniem niekatolickiego wychowania swych dzieci, dlatego zakazał im używać książek antyreligijnych; w następstwie tego wypędzono jego dzieci na miesiąc ze szkoły a przecież, wywodzi dalej zdrowym, chłopskim rozumem powodowany, dzieci rodziców niewierzących nie są obowiązane uczęszczać po szkołach na wykłady, stojące ze zapatrywaniami ich rodziców w sprzeczności. Robotnik na wsi nie może wysyłać swych dzieci do szkół miejskich. »Gdybyśmy tu mieli wolną szkołę, nigdyby moje dzieci do szkoły neutralnej nie uczęszczały. Jakież jednak macie prawo deptać po sumieniach katolickich robotników i serca ich dzieci zatruwać jadem niewiary i głupoty?«

Skutkiem tej, tak szerokie koła zataczającej akcyi, znalazł się rząd w niemiłem położeniu. Odważył się przecież już raz Briand rzucić katolickim posłom w oczy twierdzenie: »Wskażcie nam jeden przykład, gdzieśmy waszą wolność naruszyli«. Teraz stał wobec jawnego faktu, a było mu potrzeba poparcia parlamentu, gdyż chodziło o uchwalenie nowych podatków, niepopularnych nie tylko w masach, lecz i w parlamencie. Nie pomogło postawienie kwestyi zaufania; przybrał więc Briand pozę obrońcy ojczyzny i w środku debaty nad podatkami rzucił z gestem teatralnym w izbę nieoczekiwane zdanie: »Będziemy dzieci narodu bronić wszelkimi do naszej dyspozycyi stojącymi środkami i wyrobimy dla prawa poszanowania«. Odezwał się wprawdzie poseł Pugliesi-Conti: »Uwolnijcie najpierw wasze szkoły od pornografów, ateuszów i międzynarodowców. Rząd, który kwestyę kościelną

w kwestyę podatkową miesza, powinien wpierw zwrócić skradziony kongregacyom miliard«, ale ten głos wśród wybranych przedstawicieli narodu niewiele zaważył, i ten, który na każdym kroku wolność drugich gwałci, jak dawniej przyobleka się w togę obrońcy wolności.

Na tej drodze znajduje pokrewne duchy w niektórych organach prasy. Rozpoczęła się już nagonka przeciwko wolnej to znaczy katolickiej szkole, a wspiera rząd w tej nagonce np. *Action*. »Członkowie kongregacyi, które siłą rozwiązano, ponieważ zajmowały się nauczaniem, trzeba wydać na śmierć głodową. Obowiązkiem rządu jest przeszkodzić temu, by się zeświecczyli i swoim zawodem na chleb sobie zapracowywali«.

Tych kilka uwag możeby się przydało krakowskiej *Nowej Reformie*, która tak chętnie w kwestyi szkolnej w obronie rządu francuskiego staje i w katolikach, co praw swoich strzegą, jedynie wrogów republiki upatruje a jednocześnie z taką zaciekłością zwalcza Koło Polskie w Wiedniu za to, że nie przeszkodziło uchwaleniu nowych ustaw szkolnych dla niemieckich krajów Austryi. A przecież we Francyi bronionej i w Austryi atakowanej ta sama zasada wciągnięta jest w grę. Tylko, że we Francyi chodzi o katolików, którzy nie mają praw a w Austryi o zasadę narodowościową, która jest wyłącznym przywilejem żydowskich, liberalnych dzienników. O jakim poziomie moralnym, o jakiem wykształceniu umysłowem i o jakiem wyrobieniu zasad świadczy ta podwójna miara *Nowej Reformy?*

Nie wchodzimy tu w bliższe dociekania, ile na stanowcze wystąpienie katolików francuskich wpłynęła nowa, rozpoczynająca się organizacya wśród kół katolickich, która już wiele sobie zjednała serc. To kwestya jeszcze niedojrzała i niejasna, wywołująca w samej Francyi wiele polemik — odkładamy ją przeto do innych zeszytów *Przeglądu*. To zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przemowa Ojca św., wygłoszona do pielgrzymów francuskich a szczególniej ustępy, w których Pius X żąda wolności dla Kościoła, omawia możliwość przyszłego, jeszcze większego prześladowania, pochwala stanowisko biskupów w kwestyi szkolnej a rodzicom przypomina ich obowiązki wobec Boga i własnych dzieci,

jak wywołała wielkie wrażenie na zgromadzonych w Watykanie Francuzach, tak i niemniejsze wywołała w kraju samym.

Oby tylko ten ogień, wobec blizkich a nowych walk i starć, nie był ogniem słomianym! Czas już pokazać, że katolik potrafi się poddać takiemu nawet rządowi, jaki losami Francyi dzisiaj kieruje, ciągle jednak siebie deptać nie pozwoli.

Z ciemnych i jasnych chwil we Włoszech

Sprawa straconego w Hiszpanii anarchisty wzbudziła w pewnych sferach nową nienawiść Kościoła i katolicyzmu, równocześnie jednak tej bezwzględnej walce odjęła, chwilowo przynajmniej, jej pozornie wielkie linie, przemieniając ją w drobiazgowe, dziecinne szykany. Zdumienie ogarnia umysł na widok ludzi, skądinąd wiekiem lub stanowiskiem poważnych, jak pod wpływem coraz to bardziej nieokiełzanej namiętności, zniżają się do postępowania tych źle wychowanych dzieci, które o tem tylko przemyśliwają, jakby drugim uczynić na złość, mniejsza o to, czy to licować będzie z godnością natury ludzkiej. Trudno uwierzyć, że żyjemy na prawdę w czasach, które tak jaskrawo wypisały na swych sztandarach hasła: wolność, wyrozumiałość, tolerancya.

Tę taktykę przyjęły obecnie we Włoszech wrogie Kościołowi stronnictwa i sfery społeczne. Rada gminna w miasteczku Pesaro wydała np. nowe przepisy co do używania dzwonów po kościołach. Na mszę wolno wedle tej ustawy dzwonić raz jeden tylko i nie dłużej jak dwie minuty; dzwonienie przy pogrzebach i w ciągu listopada jest bezwzględnie zakazane a powinno też być zawieszone na żądanie każdego chorego, który wykaże świadectwem lekarskiem, że głos dzwonu go drażni i niepokoi. Rady prowincyonalne zatwierdziły już podobny ukaz — gdyż inaczej tego nazwać nie można — dla miasteczka Urbino, zatwierdzą go prawdopodobnie i dla Pesaro, a inne gminy nie zechcą z pewnością pozostać w tyle. I jakżeż mają pozostać, kiedy półrządowa *Tribuna* gorąco w obronie tych przepisów, które chyba ostatni cios wpływowi Kościoła zadadzą(!), występuje. »Blok rzymski, pisze, mógłby się jeszcze dużo od rady gminnej z Pesaro nauczyć. Nie myślimy bynajmniej podać w wątpliwość poezyi dzwonów,

która tworzyła przedmiot setek wierszy od Dantego do Leopardiego a nawet do pogańskiego Carducciego, od Moora do Goethego. Ale co innego czar dzwonów, który płynie przez przestronne wiejskie błonia, a co innego to ciągłe brzęczenie, które w ciasnych ulicach miasta przenika do domów i przeszkadza ludziom w pracy«. Istotnie ważna racya, na którą odpowiedź trudno znaleźć.

Podwójną znowu miarę zastosowały władze w Medyolanie. Z okazyi stracenia Ferrera zalali połączeni z anarchistami socyaliści całe miasto powodzią plakatów, porozlepianych po kościołach a zawierających najwstrętniejsze pamflety przeciw religii, Kościołowi, duchowieństwu a nawet i władzom. Prokuratorye nie odmówiły aprobaty. Sfery duchowne znosiły to wszystko długo, nawet za długo, w milczeniu. Ostatecznie zdecydowały się na pierwszy krok. Wydrukowały w poważnym tonie utrzymany protest przeciwko nikczemnemu judzeniu band z ulicy, lecz prokuratorya odmówiła swego pozwolenia i nie zgodziła się na to, by protest do wiadomości publicznej podano, ponieważ nie był on przekomo na czasie. To także objaw wolności i tolerancyi.

Ten karczemny ton, zwykłe zjawisko wśród tak zwanych uczonych sfer, zaczyna we Włoszech już wkraczać w dziedzinę ścisłej nauki i w zgromadzenia w celu ściśle naukowym zwoływane. Odbywał się w Rzymie w końcu października kongres filozofów włoskich. Na takich zawodowych kongresach omawiano zwykle kwestye naukowe. Były one może nieraz fałszywe i nie dały pogodzić się z dogmatem, ton jednak tych dyskusyi był rzeczowy i spokojny i nie wkraczał w dziedzinę wycieczek przeciwko Kościołowi. Wyłom w tej tradycyi zrobił kongres »filozofów włoskich«. Ksiądz-apostata, Minocchi, w referacie o stosunku religii do filozofii, który, przyznać to trzeba, zachował przynajmniej pozory rzeczowości, powtórzył różne stare zarzuty, uznał prawdy religijne za niecałkowite i względne i mówił wiele o absolutnej religii przyszłości. Referat ten przyjęli zgromadzeni »filozofowie« burzliwymi oklaskami, których tendencya była jasna. Profesor filozofii na uniwersytecie medyolańskim, ks. Gemelli, Franciszkanin, zbijał te powierzchowne zapatrywania i uzasadniał

potrzebę pozytywnej religii, nie mógł jednak swoich wywodów ukończyć, gdyż zgromadzeni przerywali mu wcale nie naukowemi uwagami, z entuzyazmem za to przyjęli piorunującą przeciwko religii i Kościołowi mowę socyalistycznego profesora, Ferri'ego. Podał on słuchaczom swoim mieszankę z Galileusza, Giordana Bruno, Lombrosa, św. Januarego, Ferrera, inkwizycyi, *credo quia absurdum* i podobnych wymownych dowodów dobrego wychowania i głębokiej nauki. »Gorące uznanie zgromadzonych, pisze sprawozdawca, nagrodziło jego trud«. Ks. Gemelli, wychodząc ze słusznego chyba założenia, że zaproszono go na kongres a nie na zgromadzenie ludowe i to jeszcze najniższego rodzaju i że na tym kongresie mówiono o wszystkiem, tylko nie o filozofii, opuścił wśród wycia i tupania salę razem ze swymi stronnikami. I oto! Ferri został publicznie pochwalony za »naukowy« odczyt i za śmiałość w wygłaszaniu »naukowych« poglądów a ks. Gemelli napiętnowany, jako ten, co godność kongresu obniżył i poważne obrady zamącił. Fakt nie potrzebuje komentarza.

A przecież rząd i społeczeństwo włoskie większe mają zadania, jak w dziecinny, ulicy chyba godny sposób, objawiać swoją nienawiść do katolicyzmu. Na narodowym kongresie dla postępu nauk, jaki się w końcu września w Padwie odbył, podał dawny minister Luzzatti smutną statystykę o stanie oświaty w kraju. Odnosi się ona przedewszystkiem do szkół ludowych i średnich. »Z wyjątkiem niektórych większych środowisk, mówił Luzzatti, jest analfabetyzm prawdziwym tyranem naszego kraju; więcej jak połowa tych, którzy powinni przecież posiadać przynajmniej zasadnicze wiadomości, nie posiada ich. Nasza szkoła ludowa zamiera. Państwo i gminy, zamiast wzajemnie się wspierać, wzajemnie się zwalczają. Szkoła nasza jest jedną ze szkół najniżej w Europie stojących«. W ciągu trzydziestu lat, wywodził dalej Luzzatti, analfabetyzm spadł tylko o 20% i podczas gdy w r. 1872 wynosił on 68·8%, to w r. 1901 opadł jedynie do 48·5%. Opadł, ale tylko ogólnie i po większych centrach, gdyż w różnych prowincyach, jak np. Reggio Calabria lub Catanzaro wynosi i dziś jeszcze 71%. Zjednoczone więc Włochy nie przyniosły korzyści przyobiecanych krajowi.

Katolicy znowu, wobec tych trudności, spływających ze strony rządu i różnych warstw społeczeństwa, nie umieją wykorzystać w całej pełni danych sobie sposobności. Nieporozumienie i niezgoda wytrącają im broń z ręki. Trudno przecież było np. przypuścić, że wiekopomna encyklika o modernizmie, zamiast wszystkich dobrze myślących skupić, będzie w pewnych obozach, co od papieża samego chcą być więcej katolickie, przyczyną rozdwojenia i szerzenia waśni i zawiści. Tak jednak się stało. Florentyńska *Unità Cattolica* wzięła sobie za zadanie wietrzyć za modernizmem, pojętym rozumie się, w jej osobistem subjektywnem znaczeniu i wstrętnemi denuncyacyami, nie tylko pojedynczych osobistości, ale całych dyecezyi nawet, zapełniała swe szpalty, podejrzywając kler i biskupów o modernizm, ponieważ inaczej nań się zapatrywali, jak redaktorzy z *Unità*. Kardynał-arcybiskup medyolański, Ferrari, i znany ze swej energii i inicyatywy na polu socyalnem biskup z Bergamo, Radini-Tedeschi, zaprotestowali stanowczo przeciwko podejrzeniom, kwasy jednak na dnie pozostały.

Brak także jednomyślnego postępowania cechuje katolicką pracę w organizacyach. Ociężałą, jeszcze z czasów Leona XIII datującą się *Opera dei Congressi* zniósł Pius X, ponieważ skostniała nie była w stanie zastosować się do dzisiejszych wymagań i nie rozumiała ich. Na jej miejsce powołano do życia cztery nowe organizacye: *Unione popolare fra i cattolici d'Italia, Unione Elettorale, Unione Economica* i *Società della Gioventù cattolica*. Zmiany przywódców osłabiają jednak znaczenie i działalność Związków. Obecnie ustępuje prof. Toniolo, wybitny działacz i kierownik *Unione popolare*. Za powód ustąpienia podał podobno racyę zdrowia, nie wszyscy jednak temu wierzą. Przypuszczają przeciwnie, że przyczyny tego kroku szukać trzeba w wewnętrznych niezgodach *Związku* a także i w tem, że Toniolowi zarzucono modernizm. I tak to, co miało być tarczą w obronie Kościoła, staje się w ręku zawiści bronią, by ludziom czynu i inicyatywy obcinać skrzydła i paraliżować ich pracę i działalność. Choć Toniolo sam w liście zawiadamiającym o złożeniu godności kierownika, robi aluzyę do pewnych wewnętrznych tru-

dności, nie można o tem jeszcze wydać ostatecznego sądu — faktem jest, że to wszystko nie skupia, lecz więcej jeszcze rozdwaja.

Kwestye te podniesiono na kongresie, przez *Unione popolare* do Florencyi zwołanym. Omawiał on ustąpienie prof. Toniolego, który jednak na osobistą interwencyę Ojca św. zdecydował się do końca roku swój urząd zatrzymać; dyskutował nad środkami, któreby *Związkowi* do szerzenia się i rozwoju dopomódz mogły; powziął wiele praktycznych rezolucyi, lecz ostatecznie stwierdzić musiał, że choć się Związek rozwija, nie jest jeszcze dobrze rozumiany nie tylko od ludzi poza nim stojących, ale od własnych członków, od których, zamiast poparcia, doznaje często przeszkody.

Jedną za to z jaśniejszych chwil w życiu Kościoła we Włoszech był dwudziestopięcioletni biskupi jubileusz Ojca św., a droższym prawdopodobnie nad telegramy monarchów był hołd złożony papieżowi przez 1500 członków *Związku Młodzieży katolickiej* z Latium. Dla nas jubileusz ten złączony będzie na długo z miłem wspomnieniem, bo z nowym dowodem ojcowskiej miłości papieża. Pius X, postanawiając ozdobić koroną Najświętszą Pannę z Częstochowy, zrozumiał widać dobrze, że nie najgorsze to społeczeństwo, w którem podobna zbrodnia wstrząsnęła całym krajem i wywołała jeden głos oburzenia i zgrozy. Szlachetny krok papieża-jubilata nawiąże z pewnością nowe nici między Rzymem i Polską.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z poszukiwań historyczno-muzycznych w klasztorach krakowskich.

Colligite fragmenta, ne pereant.
Ewang. św. Jana VI, 12.

Skromna ilość polskich druków muzycznych, jako też niezmiernie rzadkie w kronikach, dyaryuszach i pamiętnikach notatki dotyczące dawnej naszej muzyki sprawiają, że dla wyrobienia sobie jasnego

w przybliżeniu pojęcia o dziejach naszej kultury muzycznej, zmuszony jest historyk muzyki polskiej sięgnąć do źródeł dotychczas prawie niewyzyskanych, jak akty miejskie i dworskie oraz kościelne i klasztorne. Obok magnackich dworów stanowiły bogato uposażone klasztory i kościoły wszelkiej hierarchii oraz dwór panującego i urządzenia miejskie jedyną podporę dla bardziej ożywionego kultu muzyki. Dotychczasowe mniej lub więcej amatorskie studya nad naszą przeszłością muzyczną uwzględniły tylko minimalną cząsteczkę aktów dworskich i miejskich, nie naruszając niemal wcale kościelnych i klasztornych archiwów, w czem po części winne są bądź utrudnienia w dostępie do tychże lub też nieuporządkowanie tych zbiorów. Niepodobna nie wspomnieć, że pożary, rabunki podczas wojen, sekularyzacye i niedbałość w połączeniu z nieuświadomieniem nie dozwolą nam niestety nigdy osiągnąć całkowitego obrazu dziejów naszej muzyki i kultury muzycznej; to jednak jest pewne, że stan jej był lepszym aniżeli reputacya, którąby można jej nadać po dokładnem poznaniu zachowanych notatek w archiwalnych dokumentach.

* * *

Z dziejów muzyki w klasztorze Kanoników Regularnych Lateraneńskich Bożego Ciała w Krakowie.

Dzięki uporządkowaniu bogatego archiwum tego (założonego w r. 1405) klasztoru przez p. d-ra K. Kaczmarczyka (Archiwum dawnych aktów miasta Krakowa), jako też dzięki uprzejmości przełożonego konwentu, O. Albina Głowackiego, zdołałem po zrobieniu wyciągów z aktów klasztornych zebrać pewną ilość wiadomości z dziejów muzyki, powiększoną przez wnioski poczynione na podstawie zbadania zawartości bogatej biblioteki, jakkolwiek wnioski nie obfitujące w treść pozytywną. W aktach klasztoru znajdują się wprawdzie wzmianki o muzykach nie należących do dziejów muzyki w tym klasztorze, jednakowoż zużytkowałem je również.

Podstawą tego studyum są następujące rękopiśmienne dokumenty:

I. *Liber defunctorum Canon. Reg.* (sygn. nr. 3218).

II. *Memoriale Fratrum et Benefactorum defunctorum Congregationis Canonicorum Regularium Lateranensium* (bez sygn.)

III. *Liber natorum et Baptizatorum in parochia S.S. Corporis Christi Casimiriae ad Cracoviam ab anno 1578 ad annum 1616* (bez sygn).

IV. *Casimiriae Civitatis Vrbi Cracoviensis Confrontatae Origo...*

A Stephano Ranothowicz eiusdem Conuentus Ecclesiae Canonic. Regul. Professo. (bez sygn.)

V. *Lumen ad Prevelationem omnimodam Iurisdictionis ordinariae Illustrissimorum et Reverendissimorum Dei et apostolicae Sedis gratia Episcoporum Cracoviensium* (bez sygn.)

VI. *Miscellanea 1405—1835* (bez sygn.)

VII. *Expensa et percepta pecunia thesauri sacrarij Ecclae SS. Corporis Chri per me F. Ioan. Gelasium Sacristianum Anno dni 1616 – 1676* (bez sygn.)

VIII. Zbiór aktów oznaczony sygnaturą $\frac{\text{B}}{\text{Kan. Lat. Reg. w Krakowie}}$ 107.

IX. *Percepta kościelna 1711—1787* i

X. *Regestrum Expensarum 1729—1787.* — W *Acta Capitulorum* nie znajdziemy niestety ani jednego słowa mającego związek z muzyką. *Libri copulatorum* zawiodły i znajdują się w nich tylko nazwiska bez podania zawodów. Księgi zmarłych nie są wszędzie opatrzone datami przy nazwiskach (zwłaszcza z XV i XVI wieku); stąd tylko w drodze paleograficznego rozpoznania można wnioskować, do jakiego czasu można pewne nazwisko odnieść.

Wiek XV.

Tylko kilka nazwisk zachowało się z tego stulecia:

Vincentius organista ecclesiae nostrae.

Nicolaus organista.

ffr. Iacobus organista praesbyter.

Martinus organista.

Dominus Stanislaus Organista.

Organista Stanislaus (żył prawdopodobnie w pocz. XVI stulecia) [1]

Wiek XVI.

O wiele więcej nazwisk znajdziemy w zapiskach dotyczących tego wieku. Podajemy je chronologicznie.

Dominus Adam Organista et Supperior 1541.

Dominus Sebastianus cantor.

Fr. Martinus Bobricius Craconita Cantor in Monasterio [2].

---

[1] *Liber. def.* (3218), str. 55, 60, 72 i 75.

[2] *Lib. def.* str. 86, 89 i 97.

(1582) *Stanislaus Bednarz... organista* (ex domo Abbatis Sczericzen.) [1]

(1594) *Ioannes Organista Sacratissimi Corporis Christi* [2].

Wreszcie kilka nazwisk muzyków pozaklasztornych:

(1581) *Adamus Organista* [3].

(1583) *Balthasarus Organista* [4].

(1591) *Martinus Cantor* [5].

Dwie notatki ważniejsze (zwłaszcza druga) zachowały się z końca XVI wieku. Mianowicie w dniu 9 grudnia 1595 uległy organy klasztorne zniszczeniu przez pożar: »Anno Domini 1595 Incendio fortuito domus aliquot prope Ecclesiam nostram SS. Corporis Christi consumptae, quo incendio Ecclesiae nostrae organa absumpta sunt die 9 Decembris« [6].

Bardziej zajmującym jest fakt, że kardynał Jerzy Radziwiłł podczas wizytacyi odbytej w grudniu roku 1596 nakazał śpiewać stale »B o g a r o d z i c ę«: »Post Vesperas Bogarodzica ex antiqua fundatione per scholam semper cantari debet« [7]. Wyrażenie »per scholam« oznacza chór chłopców szkolnych, o czem będzie poniżej jeszcze mowa. »Ex antiqua fundatione« oznaczałoby, że istniała osobna klasztorna fundacya na śpiewanie prastarej naszej pieśni. Podobne fundacye nie były wówczas zbytnią rzadkością, a w XVII stuleciu liczba ich znacznie się wzmogła. Już w XV wieku Kanonicy Regularni obchodzili ze szczególną uroczystością święto Bożego Ciała, przyczem i produkcye muzyczne nabierały większej świetności; przy sposobności ujrzymy, że podobnie postępowały i inne kościoły i klasztory w dni swych szczególnych świętych. Z XVI wieku dochowały się na razie 3 notatki dotyczące obchodu uroczystości Bożego Ciała w klasztorze Kanoników Lateraneńskich, zaczerpnięte z rachunków miejskich:

A. 1518. Den Zinckenpfeiffern und Lautenschlägern in der Oktav von Frohnleichnam wurde ausbezahlt: Groschen 12.

A. 1538 Citharedis et musicisa processionibus per octavam corporis Christi gross. 30.

Im J. 1598 dem Musikus Jacob Niderland mit anderen Musi-

---

[1] *Liber natorum...* ab anno 1578 ad anno 1616, fol. 15^{v}.

[2] Tamże w rubryce *Illegitimi.*

[3] Tamże, fol. 14^{v}.

[4] Tamże, fol. 19^{v}.

[5] Tamże.

[6] *Cas. Civit.... Origo*, str. 89.

[7] *Lumen ad Prevelationem*, str. 53 i nast.

kanten die am Tage des Frohnleichnahmfestes und in der Oktav auf dem Rathhausthurme gespielt 1 Mark und 12 Groschen [1].

W XVII stuleciu ilość uroczyście (z muzyką) obchodzonych świąt zwiększyła się.

Wiek XVII.

Ze stulecia tego zachowało się kilka nazwisk organistów oraz sporo interesujących notatek.

W »Memoriale Fratrum« etc. (str. 291) i w »Liber. def.« (str. 114) znajdziemy pod datą 24 wzgl. 25 paźdz. następującą wzmiankę:

»Obyt [obiit] Dnus *Bartholomaeus Korabiowski Organarius* Professus Domus nrae 25 8-bris A. D. 1623«.

Był to organista klasztoru w Kraśniku.

W »Memoriale« (str. 84) wzmiankowany jest zgon jednego z organistów krzemienieckich:

»Obyt Dnus *Paulus Koniński Organarius* Conuent. Cremenecen. Professus domus nrae A. D. 1642«.

Zmarł 24 marca (według »Liber def.«, str. 55).

W »Liber def.« (str. 54) czytamy:

»Obyt famatus Dnus *Ioan. Wadovius organar.* n(oste)r, qui legauit Ecclae nrae flore: pol: centum et Doretea vxor eius, quae simil(ite)r dederat nobis flor: centu pro missis priuatis 1615«. (To samo w »Miscellanea« str. 29).

W »Lib. def.«, str. 89:

»Item Obiit P. *Fr. Laurentius Organarius* 12 Augusti A. D. 1644«.

W »Cathalogus Patrum & Fratrum« (str. 11 i 13) zanotowane są zgony dwóch organistów konwentu:

»*RD. Augustinus Kremacki Organar(ius).* † Vilnae 1653 t. p.« (Należał do ekspozytury wileńskiej).

»*Mauritius Kłosowicz Organ.* † Crac. 1671«.

---

[1] Cyt. według d-ra K. Wurzbacha: *Die Kirchen der Stadt Krakau* (Wien 1853, str. 279) i powtarzającego za nim A. Essenweina: *Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau* (Lipsk 1869, str. 129). Zdaniem mojem jednakże rachunki te nie odnoszą się do uroczystości przy klasztorze Bożego Ciała. Sprawdzić zaś jest rzeczą niemożliwą, ponieważ brak regestrów ekspensów i distributów z XVI wieku; w każdym razie nie posiada ich ani archiwum klasztorne ani miejskie ani też żadna z krak. bibliotek. O Jakóbie Niderlandzie znajdziemy obszerniejszą notatkę w pracy d-ra St. Tomkowicza: »Do historyi muzyki w Krakowie« (»Rocznik krakowski«, tom IX, str. 195).

W »Liber natorum« pod datą 1606 wspomniany jest *Andreas Timpanator*, pod datą 1605 *Christophorus Organarius* (w rubryce »Illegitimi), wreszcie w »Lib. def.« (str. 115): »... *Paulus presbiter et organista* (z Kraśnika).

W księgach percept i ekspensów znajdziemy często wzmianki o kantorach i organistach niestety bez wymienienia nazwisk. Jedyny raz wspomniane jest tylko imię organisty w »Reg. Exp. et Perc.« (str. 35), pod datą r. 1629:

»*Thomasowi organiście* ad rationem od pozytywu 15 zł.«

Takie »lekceważenia« nazwisk są zresztą typowe dla ówczesnej epoki, w której społeczne stanowisko bądź muzyka bądź muzykanta było zasadniczo problematycznem. I jeśli tu wymieniamy szereg nazwisk mimo że nie towarzyszą im żadne osobliwe uwagi, to czynimy to tylko dlatego, że w razie znalezienia kompozycyi jednego z tych organistów, wzmianki powyższe nabierają biograficznej aktualności.

Z rachunkowych ksiąg wynika, że najuroczyściej i z największą pompą muzyczną obchodzono święta: Bożego Ciała, Bożego Narodzenia, Zmartwychwstania Pańskiego, św. Trójcy, św. Augustyna i bł. Stanisława Kazimierczyka [1]. Także przy »roratach« i nieszporach starano się o okazalszą asystencyę muzyczną [2]. To samo przy dość częstych odwiedzinach dostojników kościelnych (zwłaszcza biskupów). Występowali wówczas muzykanci różnych kategoryi: »wokaliści» czyli chór, instrumentaliści (między nimi wyższego i niższego rzędu; ci ostatni zwani w »rachunkach«: »surmaczami« i »szałamaistami«). Zazwyczaj bowiem kantor i organista stanowili »załogę« muzyczną klasztoru i tylko dla większego »ornamentu« wynajmowano skrzypka-solistę. Chóru stałego klasztor nie posiadał. Zastępowali go »młodzieńcy«, »chłopcy«, »chłopięta«, »y insi szkolni«, którymi kantor dyrygował. Obywatele kazimierscy dbali o to, aby kult muzyki »figuralnej« nie upadał. Dowodzą tego dwie fundacye z r. 1632 i 1639. Aktu pierwszej fundacyi nie posiada archiwum klasztorne. Wiemy o niej tylko z notatki w »Memoriale« (str. 61): »Anno Domini 1632 die 18 Aprilis obiit Generosa piissimaque foemina Anna Racowska Consors. Nobilis et Generosi Domini Christophori Racowsky Haeredis in Malkowice et Gorka, insignis benefactrix nostra, quae preclara bona fecit vinens

[1] Por. »Expensa et percepta... 1616–1676«, str. 4, 50, 52—54. 57, 59, 61, 66, 68, 73, 76. 78, 79, 85, 87—91.

[2] Por. tamże str. 80, 86, 88, 92, 102.

nostrae Ecclesiae, a cuius fundatione qualibet feria sexta canitur vespere per Scholares Passio Domini nostri ad altare Crucis et quonis Sabbato Missa Matura in Capella Beatissimae Virginis«. W zbiorze dokumentów nr. 107 zawarty jest akt następujący (str. 47—49), który podajemy w skróceniu:

»Actum in Iuditio Opportuno Bannito Sabbatho ante Festum Omnium Sanctorum proximo Anno Domini Millesimo Sexcentesimo Trigesimo nono.

Coram eodem Iudicio Bannito comparentes personaliter Famatus Iacobus Ianas Ciuis et Pistor Casimirien. et Honesta Zophia Coniunx illius sani mente et corpore, maritus per se illa vero cum tutore de consensu mariti assumpto Famato Paulo Cheloszowskÿ palam, ultró, libereque recognouerunt, quia ipsi Summam Trecentorum florenorum Polonicalium per grossos triginta computando de manibus Venerabilium Pauli Kalwowic Penitentiarÿ et Ioannis Mirsu[... nieczytelne) Psalteristae Ecclesiae Parochialis Beatissimae M. V. in Circulo Cracovien. Exequutorum Testamenti Venerabilis Olim Petri Orlowskÿ Ecclesiae praefatae B. M. Virginis Psalteristae, perceperunt et lenauerunt pro fundatione perpetua, per nominatum Venerabilem Petrum Orlowskÿ *donata et dotata pro Cantorae Ecclesiae Sanctissimi Corporis Christi hic Casimiriae qui Cantor pueros ad cantandum in schola Casimiriensi praedictae Ecclesiae singulis diebus Musicam fundamentaliter et cantiones docebit,* per se et suos substitutos, Quam Summam Florenorum Trecentorum Reemptionali modo inscribunt et obligant super bonis suis Domo videlicet partim Lapidea, partim Lignea hic Casimiriae in platea Pistorum inter haeredum Generosi Francisci Ogonowskÿ et Honorati Dni Laurentÿ Toporskÿ Consulis Casimiriens. Lapideas ab vtrinq iacenti emptionis titulo a praenominato Generoso Dno Francisco Ogonowskÿ empta iuxta ACta Scabinalia Casimirien. de ACta Sabbatho pridie Dominicę Rogationum Anno presenti 1639. et tandem in Iudicio Exposito Bannito Feria secunda in Crastino Dominice Exaudi Anno eodem illis Iudicialiter resignata«. Etc.

Fundacya ta nie była jednakże »perpetua«. Już w XVIII wieku znajdziemy na tymże akcie notatkę: »Nec Rudera extant«.

Dzięki tej fundacyi wykonywano w klasztorze muzykę figuralną, jak tego dowodzą pozycye »Expensa et percepta... 1616—1676«:

»Mlodziencom co spiewali figurali cantu przez adwent Rorate 4 zł.« (pod d. 1641, str. 80).

»Mlodziencom ÿ kantorowi od rorate fractowania fl. 3 gr. 21«. (pod. d. 1643, str. 88) [1].

»Cantorowi od roratów fractowania z mlodziencami 4 zł. (pod d. 1644, str. 90).

»Cantorowi od roratów fractowania 4 zł.« (pod d. 1644, str. 92)

»Cantorowÿ ÿ mlodziencom co fractowali 4 zł.« (pod d. 1644, str. 95).

»Cantorowÿ od fractowania roratów 4 zł.« (p. d. 1650, str. 102).

Istnieją jeszcze inne pozycye, w których jest mowa o śpiewie »młodzieńców«; jakkolwiek niema wyraźnej wzmianki o rodzaju tego śpiewu, to jednak nie ulega wątpliwości, że to była wielogłosowa muzyka. Rachunkowe książki nie były prowadzone skrupulatnie, czego dowodem jest, że niektóre lata nie posiadają stałych pozycyi, jak płaca kantora i organisty. Następnie z rachunkowych ksiąg można wywnioskować, iż także przed fundacyami z r. 1632 i 1639 kwitnął w klasztorze kult wielogłosowej muzyki. Niestety z XVI wieku nie zachowały się żadne odnośne dokumenty.

Już wyżej wspomnieliśmy, że zamiast kapeli instrumentalistów zadowalniano się udziałem jednego skrzypka, który grał przy akompaniamencie organów. Czyniono to zazwyczaj w Wielkim Tygodniu, gdy huczniejsza muzyka byłaby przeciwną dobrym zwyczajom i przepisom kościelnym. Wówczas również zamiast organ odzywał się tylko skromny pozytyw. Dopiero po rezurekcyi grała kapela i śpiewał chór przy Grobie. Czasami zamiast pozytywu używano klawicymbału, jak tego dowodzi notatka w »Exp. et perc... 1616—1676«, str. 66 (pod datą: 1638):

»Skrzypkowÿ co grał przy klawÿczÿmbale na wielkÿ piątek ÿ wielką sobote 1 zł.«

Ta skromna notatka posiada pewne historyczne znaczenie. Wynika bowiem z niej, że także w kościołach używano klawicymbału jako generałbasowego instrumentu, na którym można było również wykonywać (stosownie do natury instrumentu) organowe utwory. Jasny i przenikliwy ton klawicymbału odpowiadał zupełnie właściwościom

[1] »Fractowanie« od »cantus fractus« = »cantus vocibus fractis« oznacza śpiew na kilka głosów. W *Ars et praxis musica in Vsum Studiosae Iuventutis In Collegiis Societatis Iesu.* (Wilno 1693) bezimienny autor poświęca ostatni rozdział (str. 15): »Cantu fracto«.

tonu skrzypcowego; kantylena skrzypcowa wynagradzała krótki ton klawicymbału [1].

Wobec coraz częstszych odkrywań instrumentalnych polskich kompozycyi z pierwszej połowy XVII stulecia trzeba będzie zwrócić baczną uwagę przy opracowaniach tychże do praktycznego użytku, czy generałbasowym instrumentem są organy czy też clavicembalo. U Zieleńskiego (1611) wskazane są organy, Jarzębski nie określa towarzyszącego instrumentu, wyraźnie pisząc na swych »concerti« i »canzone« (1627): »Cum Basso Continuo«. Po zrobieniu analizy jego dzieł przychodzimy do przekonania, że nie we wszystkich »concerti« i »canzone« odpowiednim instrumentem generałbasowym mogą być organy [2].

Przejdźmy do dalszych dziejów muzyki w naszym klasztorze!

Jak już wspomnieliśmy, zadaniem k a n t o r a było śpiewać z chórem i dyrygować nim, oraz uczyć »młodzieńców szkolnych »fundamentaliter« muzyki (t. j. zasad muzyki) i »cantiones«. Z rachunków dowiadujemy się, że za osobnem wynagrodzeniem (5—20 groszy) obowiązany był do brania udziału w procesyach, który to udział zwano »grafką« względnie »grawką«. Wyraz ten jest dość niejasny; nie wiadomo bowiem czy wywodzić go od »grania« (»grawania«) czy też oznacza jakiś instrument (może pozytyw). Wątpliwości co do ostatniej z tych dwóch interpretacyi są o tyle usprawiedliwione, że »grawanie« nie było rzeczą kantora lecz organisty. W rachunkach zaś jest mowa o »grafce« tylko przy kantorze. Jednakże na str. 63 w »Expens. e. perc.... 1616 1676« czytamy: »Cantorowÿ od n o s z e n i a g r a w k i przez 3 dni 10 gr.« Ponieważ w niektórych miejscach ksiąg rachunkowych czytamy o obnoszeniu pozytywu podczas procesyi, przeto wnosić można, że przez grafkę rozumiano ten instrument [3].

Z tego wieku zachowało się kilka notatek dotyczących organów i ich naprawy. W pierwszych latach XVII stulecia zbudowano nowe

---

[1] Szczegółową historyę klawicymbału znajdziemy w pracy d-ra K. Krebsa: *Die besaiteten Klevierinstrumente bis zum Anfang des XVII Jahrhunderts* (*Vierteljahrschrift für Musikwissenschaft,* Lipsk, VIII, str. 91 i nast.

[2] Że w kościołach obok organów i pozytywu był w użyciu klawicymbał lub clavichord, o tem dowiemy się z muzycznych monografii innych klasztorów.

[3] »Grawka« oznaczała też »małą harmonijkę, na której się gra, dmuchając« (por. »Słownik języka polskiego ułożony pod redakcyą Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Wład. Niedźwieckiego«. Warszawa 1900, tom I, str. 904).

organy, gdyż poprzednie spaliły się w r. 1595 — jak już wyżej wspomnieliśmy. W rękopisie zatytułowanym »Casimiriae Civitatis Vrbi Cracoviensis Confrontatae Origo« etc. (str. 148) czytamy: »Organa nona deaurata 25 vocibus constantia, demolitis antiquis tribus tantum vocibus etiam destructis constantia erexit...« (sc. Hyacinthus Liberius, Praepositus). Organy te jednakże wymagały ciągłej naprawy, jak dowodzą liczne notatki w księgach »Expensarum« [1]. Obok nich i obok wspomnianego pozytywu istniały — jak zresztą przekonać się można dziś jeszcze z konstrukcyi »chórów« — małe organy, do których odnosi się notatka na str. 15 w »Regestrum Expensarum et Prouentuum 1616—1676« (pod datą 1620): »Od trzech miechów, które znowu przerobiel y Canaly nowe dał (sc. organmistrz) do malych organ... 20 zł.«. Pozytyw używany ustawicznie do procesyi również często naprawiano, czyniąc »expensa« na ołów i cynę, nowe mieszki, klawisze, irchę i t. p. (Podobne notatki zawierają księgi rachunkowe każdego klasztoru. Żałować należy, że nie podają one zbyt często nazwisk organmistrzów.

Wiek XVIII.

Księgi ekspensów z tego stulecia były prowadzone dość nieściśle i wykazują czasem kilkuletnie przerwy. Przypuścić należy, iż niektóre fascykuły zginęły. Ale i te notatki, które się dochowały nie posiadają większej historycznej doniosłości.

W »Memoryale« (str. 322) wspomniany jest jakiś wybitniejszy organista (pod datą 26 listop. 1711): *Martinus Krupecki* obyt Anno 1711. Multum huic simulasse quamvis atroces Parcas fatemur. Nam tot millia Mortalium ad Stygias deduxere Vudas, perte grassante Cracoviae illi praesenti blandiebatur; quem postea exsiccato funerum diluvio absorpsere modestum in Vita, immodicum in pÿs laboribus Organarium excellentem etiam fletu emisso censere licuit. Sed mors Musicae fleti nescia rapuit et Capellae Magistrum, Spiritus artus eius deseruit Anno Aetatis suae 35. Cui sat abunde.... ad fistulam Angelorum Chorus forte praecentore camit quem hinc conduxit«.

Gdzieniegdzie znajdziemy tylko po imieniu nazwanych organistów i kantorów [2] wraz z »adstantami«, t. j. najemnymi kapelistami (»kape-

[1] Pod datą 1616, 1620, 1629, 1630, 1631 i t. d.

[2] Organista i kantor otrzymywali od klasztoru nie tylko pensyę, lecz i ubranie i t. p. Nadto przy większem zatrudnieniu podczas uroczystości oraz

lakami« — jak mówią wulgarnym językiem *Regestra*) i śpiewakami. Ci ostatni byli najmowanymi z innych klasztorów, przeważnie od OO. Jezuitów i ze Skałki. »Kapela Jezuicka« była wówczas (już od połowy XVII stulecia) bardzo renomowana w Krakowie. Ją właśnie najczęściej wynajmowali OO. Kanonicy z »Bożego Ciała« (por. »Rachunki z r. 1711—1719«, str. 69). »Skałka dostarczała przeważnie skrzypków (ibid., str. 48), którzy prócz wynagrodzenia otrzymywali także pewną kwotę »na struny« (ibid., 48). Przypuścić jednak należy z pewnych wzmianek (np. »kantorowi« na strunę — sic! — do Wioli... 2 fl.«, ibid., 58), że klasztor posiadał stałych kilku instrumentalistów, którą to »kapelę« kompletowano podczas uroczystych świąt »zaciągnionymi skrzypkami i muzykami«. Jak w poprzedniem stuleciu tak i w tem obchodzono z szczególną uroczystością przedtem wspomniane dni oraz święta *Beati Nostri* (t. j. błog. Stanisława Kaźmierczyka) i św. Wawrzyńca. Notatki dotyczące naprawy organów i pozytywu są rzadkie i nie zawierają nic szczególnego.

Jak we wszystkich klasztorach i kościołach krakowskich, tak i w klasztorze względnie kościele Bożego Ciała po rozbiorze Polski nastał upadek kultu muzyki, który trwa w zasadzie po dzień dzisiejszy.

* * *

Z zabytków muzycznych pozostało bardzo niewiele. Nie ulega wątpliwości, że manuskrypty i druki muzyczne pozostawały dawniej pod »opieką« kantorów i organistów — i nie należały ściśle do klasztornej biblioteki. Po śmierci kantora względnie organisty dostawały się w ręce obce — zapewne innych muzyków. W »rachunkach« klasztornych — a dotyczy to wszystkich wogóle klasztorów i kościołów — znajdziemy w rubrykach *distributa* lub *expensa* wzmianki o kupnie ksiąg liturgicznych (mszałów, antyfonarzy, graduałów i t. p.), o zakupieniu utworów wielogłosowych lub o kopiowaniu tychże niema żadnej notatki. Przypuścić więc należy, że zwłaszcza kopiowanie utworów chórowych było obowiązkiem kantora lub organisty.

Kto zwiedzał biblioteki klasztorne, ten wie, że najstarsze zabytki muzyczne znajdują się zwykle na — okładkach rękopisów i dru-

---

za śpiewanie litanii, passyi i t. p. pobierali t. zw. *rekordę* lub *konsolacyę*. Organista pobierał 15 fl. miesięcznej pensyi. Nadto każdemu nowemu organiście dawano na wstępie *pro gratiali* kilka złotych.

ków; są one często bardziej wartościowe, niż same rękopisy i druki i należy przy monografiach zwrócić na nie bardzo baczną uwagę, jak się dowiemy z dalszych monografii o muzyce w klasztorach i kościołach. W cennej i obfitej bibliotece OO. Kanoników nie znalazłem okładek tego rodzaju.

Najstarszym prawdopodobnie zabytkiem muzycznym, pochodzącym z klasztoru Bożego Ciała, a przynajmniej będącym w użyciu tamże, jest bezimienny traktat muzyczny z XV wieku (prawdopodobnie napisany między r. 1450—1470), znajdujący się w bibliotece Akademii Umiejętności w Krakowie jako rękopis nr. 1592. Dotyczy on t. zw. *accentus ecclesiastici* i jest jednym z wielu podręczników śpiewu choralnego, jakie u nas powstały od XIV stulecia począwszy. Ponieważ traktat ten będzie wydany, przeto nie rozpisuję się nad jego treścią. W bibliotece klasztoru znajdziemy również jeden z najpopularniejszych polskich traktatów muzycznych z XVIII wieku, mianowicie *Rudimenta Musicae Choralis... Cracoviae 1767*, bardzo rozpowszechniony w bibliotekach naszych klasztorów. Zamiast oryginalnych inkantacyi, znajdziemy w egzemplarzu klasztoru OO. Kanoników wlepione papierowe paski z kantykiem przyjętym w klasztorach lateraneńskich — zjawisko dość często spotykane. Z XVIII wieku pochodzi druk, któremu brak początku, gdyż zaczyna się od str. 281. Tytuł jego *Instructio ead Cantum Choralem;* zawiera również reguły śpiewu liturgicznego i przykłady na różne *toni*, wyjęte z kantyka gregoryańskiego. Wreszcie czwarty rękopiśmienny traktat in 12°, pochodzący z pocz. XIX stulecia, również dotyczący śpiewu choralnego, liczy 309 stron; od 1—51 strony znajdują się reguły śpiewu, od str. 51 responzorye, antyfony, lamentacye i t. p. [1].

W zakresie muzyki wielogłosowej zachowały się tylko cztery anonimowe *Missae de Requiem* z drugiej połowy XVIII wieku (tylko tenor i bas) i *VI Quartetti de Mozart* (w *Es, G, Es, B, D, C;* brak I skrzypiec) — w rękopisach (kopiach).

O wiele liczniejsze są rękopisy i druki dotyczące liturgicznego śpiewu. Oprócz 6 olbrzymiego formatu rękopiśmiennych mszałów, graduałów i antyfonarzy z pierwszej połowy XVI wieku, ozdobionych bardzo cennymi inicyałami i miniaturami, znajdują się w bibliotece wyłącznie druki, jak *missalia* i *processionalia* w liczbie szesnastu

[1] Dla dokładności tylko wspominam o egzemplarzu *Handbuch für den Römischen Choralgesang von U. L. Kirnberger*, Landshut 1858.

z wieku XVII—XIX, między którymi kilka pięknych druków weneckich, kolońskich i antwerpijskich, nadto krakowskich i częstochowskich.

O organach klasztoru kazimierskiego będzie mowa w innej pracy, poświęconej specyalnie krakowskim organom i organistom od najdawniejszych czasów.

Dr. Adolf Chybiński.

Z działalności Towarzystwa Tatrzańskiego [1].

Tegoroczny tom Towarzystwa Tatrzańskiego zjawia się w nowej postaci, t. j. w formacie dużej ósemki, co zapewne uczyniono ze względu na reprodukcye zdjęć fotograficznych, od jakich roi się książka. Rzecz inna, czy na takiej reformie zyskało samo wydawnictwo, które wygląda nieco za chudo wobec dużego formatu. Ryciny zaś nie straciłyby były nic a nic, gdyby były podane w formacie 8-ki zwykłej.

Jak za lat ubiegłych, tak też i teraz, wydawnictwo rozpada się na dwie części: jedną, zawierającą sprawozdania z czynności Tow. Tatrz. i jego oddziałów oraz sekcyi, oraz drugą — literacką, znacznie szczuplejszą od pierwszej, choć powinnoby być odwrotnie.

Ze względu na ożywiający się z rokiem każdym ruch w dziedzinie rozmaitych sportów, wśród których jednym z najszlachetniejszych jest bez wątpienia taternictwo, jako że krzepi i ćwiczy siły fizyczne człowieka, ale też daje umysłom, wrażliwym choć odrobinkę, tysiące wrażeń, które nierzadko zalatują aż w głąb duszy, postanowiliśmy rozpatrzeć się też w pracach Tow. Tatrzańskiego, którego agendy w ciągu ostatnich lat kilku wzrosły znacznie, jakkolwiek prasa codzienna poświęcała im znacznie mniej uwagi, aniżeli jej nie szczędzą pokrewnym instytucyom czasopisma francuskie i niemieckie. Objaw to charakterystyczny w chwili, w której wydźwignięto na pierwszy plan kształcenie fizyczne młodego pokolenia...

Ażeby ruch turystyczny udogodnić i uprzystępnić jak najszerszym warstwom, ukończono i otwarto uroczyście bardzo upragnione i oczekiwane niecierpliwie schronisko nowe nad Morskiem Okiem. Fakt

[1] »Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego«. Rok 1909. Wydawnictw Tow. tom XXX. Kraków 1909. Nakład i własność (?!) Tow. Tatrz. 8-ka większa, str. LXXIII i 64 z licznemi tablicami kolor. i rycinami w tekscie; ogłoszenia nlb.

ten jest ponad wątpliwość wszelką — historyczny w 35-cioletniem życiu Tow. Tatrzańskiego, którego zadaniem jest dążyć stale do otwarcia nowych dróg i ognisk turystycznych w naszych górach. Sprawa ta nie jest jednakowoż wcale definitywnem rozwiązaniem jednego z najważniejszych zadań, jakie powinno wykonać Tow. Tatrzańskie. Schronisko bowiem jest zbyt szczupłe tak, że lada rok może nie czynić zadość potrzebie istotnej. Rozszerzenie jego okazuje się koniecznością niezbędną już w najbliższej przyszłości.

Sprawa alpinaryum tatrzańskiego nie posunęła się ani o krok naprzód, gdyż grunt, na którym ma być ono urządzone, znajduje się obecnie w dzierżawie i dopiero po upływie roku będzie do rozporządzenia Tow. Tatrzańskiego.

Również nie zdołano dotąd załatwić tyle piekącej sprawy, jaką jest ułatwienie w korzystaniu z biblioteki Tow. Tatrzańskiego. Wprawdzie czasopisma mogą być w niej przeglądane, jednakowoż nie zaprowadzono stałych godzin czytelnianych, jakkolwiek jest to nieodzowne ze względu na wzmagający się z roku na rok ruch czytelniany zwłaszcza w porze słotnej.

Na cele naukowe — niestety! — zbyt mało poświęcono w r. ub. i pracy i pieniędzy. Jedynie obserwacye meteorologiczne odbywały się nieprzerwanie w dalszym ciągu. Również nie spuszczano z oka wydania drugiej części mapy Tatr, której pierwsza, południowo-wschodnia połowa, wydana przed paru laty, znalazła zasłużone uznanie.

Że prace nie mogły postępować w tem tempie, w jakiem chciałby był widzieć je wydział Tow., temu winien brak poparcia wydatniejszego ze strony czynników miarodajnych i poniekąd zainteresowanych w wzroście Tow. Tatrzańskiego. Bogiem a prawdą! — niema u nas instytucyi, która mogłaby rozwijać się i działać intenzywnie bez poparcia materyalnego pod postacią subwencyi. Jakże śmiesznie małe i nie odpowiadające celowi były subwencye Tow. Tatrzańskiego, którę otrzymało od sejmu krajowego 1000 koron, od ministerstwa wyznań i ośw. 500 kor., od minist. kolejowego 400 kor., od Izby handlowej krakowskiej 200 kor. i takąż kwotę od rad miejskich w Krakowie i we Lwowie. I jeżeli wysokość tych wszystkich subwencyi porównamy z tem, co łoży się na pokrewne instytucye niemieckie, okaże się dysproporcya rażąca do tego stopnia, że dalsze wnioski nasuwają się same przez się, i to wnioski wcale niewesołe...

Najlepszą miarą żywotności Tow. Tatrzańskiego są jego oddziały, które rozwijają się wcale pomyślnie, oraz urządzenia, odnoszące się

do konserwacyi i ulepszeń istniejących już dróg i schronisk górskich, wreszcie sam omawiany »Pamiętnik«, którego treść doborowa przynosi zaszczyt rzetelny redaktorowi w osobie prof. d-ra Wł. Szajnochy, jak niemniej współpracownikom, pomiędzy którymi napotykamy nazwiska znane dobrze w literaturze naukowej.

Słówek parę jeszcze o oddziałach Tow. Tatrzańskiego. Oddział Babiogórski w Makowie rywalizował skutecznie z prusofilskim »Beskidenvereinem«; oddział »Beskid« w Nowym Sączu troskał się zapobiegliwie o ruch turystyczny w Sądecczyźnie. Na specyalne uznanie zasługuje zorganizowana w łonie tego oddziału sekcya dla wycieczek młodzieży szkolnej, niedostatecznie jednak popierana przez czynniki zainteresowane, w pierwszym rzędzie zaś przez dyrekcye szkół, które przecież mogły przyjść z pomocą, mając do rozporządzania fundusze gier i zabaw młodzieży. Czyliż w Nowym Sączu nie słyszeli jeszcze pp. pedagogowie nic o krajoznawstwie?... Prawda! Przedmiotu tego nie wprowadzono dotąd jeszcze do programu naukowego szkół średnich... No... ale o wychowaniu fizycznem młodzieży przecież mówi się tyle od lat kilku...

Oddział Czarnohorski w Kołomyi, pomimo sporej ilości członków, nie wykazuje żadnych uwagi godnych rezultatów.

Ruchliwszy był już oddział Pieniński, który zajmuje się obecnie przygotowaniem do druku przewodnika po Pieninach w opracowaniu p. St. Drohojowskiego, zawierającego oprócz części turystycznej sporo materyału historycznego.

Tak pięknie rozwijający się oddział narciarzy w Zakopanem poniósł niczem niepowetowaną stratę przez tragiczny zgon swego wiceprezesa, tyle utalentowanego kompozytora ś. p. Mieczysława Karłowicza, człowieka niepospolitych zdolności umysłowych. Ruch w oddziale był nieco słabszy, niż w latach ubiegłych, z powodu fatalnej pod względem turystycznym zimy, jak niemniej z powodu powstałego w Krakowie Oddziału Karpackiego Tow. narciarzy, skutkiem czego punkt ciężkości narciarstwa krakowskiego przeniósł się w okolice Suchej i Babiej Góry. Mimo to, oprócz szeregu wycieczek, urządzono kurs narciarstwa, zyskującego u nas coraz szersze kręgi zwolenników. Kurs ten powinienby być powtarzany każdej zimy.

Sekcya turystyczna Tow. Tatrzańskiego wywiera już dzisiaj poważny wpływ na taternictwo. Nie należy zapominać, że ta sekcya właśnie dała życie oddziałowi narciarzy! Ruch tutaj był niezwykle ożywiony. Na specyalną zaś pochwałę zasłużyła sobie tem, że człon-

kowie sekcyi działali na polu turystycznem również wydatnie przez ogłaszanie prac literackich. Z pomiędzy nich wymienić należy: Maryusza Zaruskiego »Podręcznik narciarstwa«, J. Chmielowskiego »Przewodnik po Tatrach« (część 2-ga) oraz p. R. Kordysa »Narty i ich użycie«. Przedewszystkiem zaś główną uwagę zwrócono na ulepszenie organu sekcyi, *Taternika,* wychodzącego sześć razy do roku. Że na to wydawnictwo nie szczędzono kosztów, tego najlepszym dowodem osobny dodatek illustracyjny (przeważnie w fototypii). Ogłoszono wreszcie nader potrzebny podręcznik prof. Garlickiego »O czytaniu map i oryentowaniu się w terenie«.

Dział literacki rozpoczyna się — niestety — nekrologami. O prezesie »Beskidu« Auguście hr. Brezie pisze p. K. Sosnowski. Nader serdeczne wspomnienie ś. p. Mieczysławowi Karłowiczowi poświęcił p. Ignacy Król.

I tuż za tem wspomnieniem pomieszczono ostatnią pracę zmarłego tak tragicznie, wykończoną w przeddzień zgonu. Rzecz uwagi godna: jak ostatnia wycieczka zmarłego zbiegła się z ostatniemi myślami, jakie wyraził w tej pracy »Z wędrówek samotnych« (str. 8—15). »Gdyby ktoś z drogich mi osób — pisał — wyruszał samotnie na kilkudniową wyprawę w głąb Tatr, wszystkie niebezpieczeństwa stanęłyby mi w postaci dręczących obrazów przed oczami; odnalazłbym też wszystkie argumenty, które skazują samotną turystykę na potępienie«. A jednak samotny chadzał, żądny wrażeń, nie dzielonych bezpośrednio z nikim, z których spowiada się tutaj po prostu, wywierając na czytelniku wrażenie niepospolite, choć lepiej władał smyczkiem, niźli piórem. Oddać wprost nie mogę starać się w streszczeniu tych obrazów wspaniałych przyrody, illustrowanych nie tylko zdjęciami przewybornemi aparatu fotograficznego, ale niemniej potężnie słowem pisanem. Owo przejście z doliny Koprowej oraz cudowny poranek, kiedy turysta szedł w głąb Niewcyrki, odtworzone tak świetnie, że mógłby opisu pozazdrościć niejeden wybitny powieściopisarz. Alboż dziwne zjawisko sobowtóra we mgle, czyliż nie było — proszę nie śmiać się z przesądów podpisanego — wyraźnem przeczuciem śmierci, jaka w parę dni potem zabrała Karłowicza z hal tylekroć kochanych, które mu grały melodye cudne, gdy sam wśród nich kroczył?...

»Przygoda z lawiną pod Polskim Grzebieniem« pióra p. Maryusza Zaruskiego (str. 16—22) jest poniekąd illustracyą tragedyi ś. p. Karłowicza, zasypanego przez takąż lawinę. Pan Zaruski znany jest jako poeta i literat. To też przygodę swoją traktuje z zacięciem noweli-

stycznem, co wcale nie przeszkadza, iż szkic jego działa na nerwy, chociażby one były najsilniejsze. Mojem zdaniem — może każdy, wybierający się na wycieczki zimowe w góry, odnieść z przeczytania tej ślicznej pracy wiele korzyści, tem więcej, ile że p. Zaruski znany jest jako odważny, ale ostrożny i nie ryzykujący turysta. Narty zaś są jego specyalnością.

Pan J. Dzięddzielewicz podał kilka luźnych zapisków »Z wycieczki do Bystrzca na Czarnohorze«, illustrowanych przepysznem zdjęciem szczytu, zwanego »Wielkie Kozły« (str. 23—26). O »Nowem schronisku nad Morskiem Okiem« pisze p. J. W. Czerwiński (str. 27—31). O »Uroczystem otwarciu nowego schroniska przy Morskiem Oku« dał feljetonowy obrazek p. Ferdynand Hoesick (str. 32—35), podkreślając przewyborne przemówienie ks. proboszcza Madeja.

Studyum p. Mieczysława Limanowskiego »O Tatrach« (str. 36 – 49) jest popularną historyą powstania Tatr i na podstawie geologicznych danych przenosi nas w tę epokę, kiedy Tatry stanowiły łożysko mórz niezmierzonych.

Obszerny ten tom kończą krótkie notatki p. Ludomira Sawickiego p. t. »Szwajcarskie muzeum alpiejskie w Bernie jako wzór muzeum góroznawczego« (str. 50—59), które oby dały impuls do odpowiednich zmian w zakopiańskiem Muzeum im. Chałubińskiego, oraz p. A. Lenczowskiego wrażenia z wycieczki Beskidu p. t. »Radziejowa« (str. 60 – 64).

Dlaczego jednak brak tutaj sprawozdań ze spostrzeżeń meteorologicznych stacyi, utrzymywanych przez Towarzystwo Tatrzańskie, które dawniej skwapliwie drukował »Pamiętnik«?...

Szata zewnętrzna wydawnictwa przynosi prawdziwy zaszczyt zakładowi p. W. L. Anczyca i Spółki, zwłaszcza pod względem świetnego wykonania illustracyi barwnych, które nie tak dawno jeszcze musiano posyłać do wykonania poza granice Galicyi.

Dr. St. Zdz.

Listy z Warszawy.

Zobojętnienie dla spraw politycznych. — Wybory do Rady Państwa. — Zwyrodnienie moralne. — Okradzenie Matki Boskiej Częstochowskiej. — Pan Straszewicz i Ferrero.

Zupełnem zobojętnieniem dla spraw politycznych zaczęła się niezwykle pogodna jesień tegoroczna. Słońce świeciło nam przez cały

październik tak jasno, powietrze obejmowało nas, pieściło tchnieniem tak ciepłem, iż łaskawa na nas pogoda miała prawo żądać od nas dobrego humoru.

Tego humoru jakoś niema. Czuje to najdotkliwiej pani Polityka, jeszcze niedawno tak ruchliwa, energiczna i głośna, iż zdawało się, że ona to wessała w siebie cały miąższ narodu, całą jego siłę.

Dziś, po kilku latach hałaśliwej gospodarki położyła po sobie uszy, opuściła ręce, zniechęcona, apatyczna.

Wybieraliśmy z początkiem jesieni nowych posłów do petersburskiej Rady państwa, wybieraliśmy ich ot tak sobie, bez agitacyi, cichutko, milczkiem, jak gdyby nas te wybory nic nie obchodziły. I rzeczywiście obchodziły one tylko interesowanych osobiście. Narodowi demokraci, najliczniejsza, najmocniejsza u nas dotąd grupa polityczna, nie uważali nawet za potrzebne postawić swoich kandydatów. Niech sobie idą do Rady państwa realiści, w sam raz dla nich, dla ich metody chwila — rezonowali.

Ale w obecnych warunkach nawet uprzejma, ostrożna metoda realistów chyba nic nie wskóra, nic pozytywnego nie zdziała, bo w sferach miarodajnych Petersburga wieje silny prąd, wrogi wszystkiemu, co polskie. Dowodem tego zamknięcie »Oświaty« kijowskiej, warszawskich »Wpisów szkolnych«, instytucyi filantropijnej, mającej tylko na celu pomoc dla ubogiej, uczącej się młodzieży, ograniczenie działalności »Związku katolickiego«, skasowanie języka polskiego, jako wykładowego, w szkołach protestanckich i t. d.

Z prądem chwili, takim lub innym, nie dają sobie nigdy rady wszelkie argumenty, choćby najlogiczniejsze, najwymowniejsze, najwięcej przekonywające, bo treścią, siłą każdego prądu chwili jest zawsze namiętność. Czy to będzie prąd polityczny, czy literacki, naukowy, artystyczny, czy społeczny — zmiata on zawsze wszelką spokojną argumentacyę. Widzieliśmy w latach rewolucyjnych, jak bezsilną wobec prądów chwili jest najoczywistsza prawda, jak namiętność przewraca, obala rozsądek i toczy się z łoskotem własnem łożyskiem, nie licząc się z nikim, z niczem. Powstrzymuje go zawsze tylko doświadczenie.

Jest dziś wskazanem dla wszystkich ludów słowiańskich trzymać się razem, iść kupą, bo odwiecznemu wrogowi Słowiańszczyzny, Niemcowi, już za ciasno w granicach jego stanu posiadania, już się on ogląda za nowemi pastwiskami, a najbliżej mu do nas, przez miedzę tylko. Widzieć to, rozumieć powinni wszyscy Słowianie i powinni się

przygotowywać do możliwego zwarcia, które dziś czy jutro nastąpić musi...

To polityka prosta, jasna, rzucająca się w oczy, ale nie dostrzega jej jeszcze namiętność nacyonalizmu rosyjskiego. Dostrzeże ją niewątpliwie kiedyś, daj Boże, żeby nie zapóźno. Tymczasem nie widzi ona nic, krom swojej nienawiści do Polaków i usiłuje zdeptać swojego »wroga«. Jak gdyby można zdeptać, połknąć naród dwudziestomilionowy z tysiącletnią tradycyą historyczną i z bogatą kulturą. Przecież to nie ostryga.

Mówią to namiętności nacyonalizmu rosyjskiego swoi (ks. Eugeniusz Trubeckoj), mówią mu to obcy, a pomiędzy nimi głos poważny, bo b. ministra Francyi, Flourensa. Ciekawy to głos, warto go utrwalić, by nie zginął w morzu bibuły prasy codziennej.

Emil Flourens mówi w paryskim *Le Soleil*, w artykule p. t. *La Pologne*, potrącając o walkę, jaką toczą obecnie Słowianie z Germanią:

»Od wyniku tej walki zależą losy większej części państw europejskich, a między innemi — Francyi. Zgniecenie ostateczne Słowian, powiększenie jarzma, które germanizm włożył już na barki wielu z nich, byłoby wkrótce potem zagładą tej reszty niezawisłości, jakiej jeszcze używają narody łacińskie i zagrażałoby rozszarpaniem naszego kraju. Niebezpieczeństwo byłoby tak wielkie, że rząd, dbały o losy kraju, powinien byłby bez wahania wyciągnąć oręż z pochwy, ażeby je odeprzeć. Na szczęście nie stanęliśmy jeszcze wobec takiej ostateczności. I nie do oręża wypada uciec się w obecnej chwili, ale do rozsądku. A wypróbować siłę naszego przekonania mamy nie na przeciwnikach, tylko na sojusznikach, i nie dla zdobycia jakiegoś postanowienia, sprzecznego z ich interesem, ale dla wybawienia ich z niebezpieczeństwa bardziej groźnego dla nich, aniżeli dla nas samych.

»Nasz głos tem większy posłuch mieć powinien, że jest tylko echem opinii, sformułowanej już przez najpoważniejsze organy Słowian. One ujęły już w swe ręce sprawę, której bronimy. One mają jasną świadomość niebezpieczeństwa i środków zaradczych i wykazały to już. Czekają one, ażeby Francya z kolei głos zabrała, Francya zaś ma prawo i obowiązek mówić bez ogródek, albowiem chodzi tu o jej przyszłość.

»Podstawą oporu przeciwko germanizmowi jest Polska. Zdobycie Warszawy przez germanizm — to porażka niepowetowana, to przejście pod zwierzchnictwo Niemiec samej Rosyi, sprowadzonej do stanowiska kraju, który będzie się znajdował pod protektoratem pruskim, będzie

odgrywał rolę gruntów kolonizacyjnych dla emigrantów niemieckich i będzie przedmiotem eksploatacyi żydów z Frankfurtu i Berlina«.

»Dla Niemiec kwestya polska posiada obecnie znaczenie pierwszorzędne. Rozwój odradzającej się mocy tej macierzystej gałęzi rasy słowiańskiej wywołał popłoch w Berlinie. Półurzędowe organy z Wilhelmstrasse oznajmiły, że wprowadzenie języka polskiego, jako języka wykładowego, do szkół rządowych w Królestwie będzie uważane przez Niemcy jako *casus belli*. Germanin chce w jak najbliższym czasie zainstalować się na brzegach Wisły w roli pana; a tymczasem stara się on zapomocą planowej kolonizacyi wyprzeć stamtąd ludność miejscową.

»Cały problemat streszcza się w kilku wyrazach. Czy staną się najpierw Polska a potem Rosya, »sferą interesów niemieckich«, hinterlandem niemieckim, czy też pozostaną krajami słowiańskimi?

»Rosya waha się pomiędzy dwiema alternatywami i nie wie, która z nich jest mniej niebezpieczna. Ale obowiązkiem dyplomacyi francuskiej jest przerwanie tego stanu niezdecydowania. Sojusz franko-rosyjski, na którym się tyle nadziei pokładało, a który przyniósł tyle goryczy, mógłby w ten sposób poprawić swą opinię, mógłby zdobyć prawo do niewygasłej wdzięczności Słowian i narodów łacińskich«.

Mówią nacyonalizmowi rosyjskiemu swoi i obcy, że szkodzi sobie, walcząc z Polską, że jego polityka nie jest wcale polityczną, celową, praktyczną, ale któż przekonał kiedy namiętność prądu chwili?

Przeto trzeba czekać spokojnie, cierpliwie, aż prąd chwili zmieni kierunek (prądy zmieniają się) i zostawić w zasłużonym spokoju panią Politykę. Dosyć nas ta gwałtowna dama w ostatnich latach niepokoiła, denerwowała, kłóciła, roznamiętniała. Zasłużyliśmy sobie uczciwie na wypoczynek.

I ten wypoczynek polityczny wyjdzie nam na zdrowie, da nam bowiem możność rozpatrzenia się w rezultatach burzy rewolucyjnej i naprawienia tego, co domaga się koniecznej naprawy.

Wiadomo, że »przewartościowywaliśmy« wszystko podczas rewolucyi, czego się tylko dotknęliśmy. A są pojęcia, zasady, cnoty, które nie starzeją się nigdy, które są dodatnią, nienaruszalną spuścizną przeszłości. Do takich nienaruszalnych spuścizn, których nie wolno nikomu, nawet rewolucyi dotykać, których nie wolno przewartościować, należy pospolita uczciwość.

Pospolita? Była ona kiedyś u nas pospolitą.

Temu lat czterdzieści nie miała Warszawa tramwajów elektrycznych, ani nawet konnych, nie miała jasno oświeconych ulic, kanaliza-

cyi, bruków asfaltowych i kostkowych. Zaopatrzeni latarkami, by mogli sobie nocą przyświecać, gdy będą wracali, szli Warszawiacy daleko za miasto, do wiosek podmiejskich na spacer i nikomu z nich nie przyszło na myśl uzbrajać się choćby tylko w cięższą, mocniejszą laskę. Każdy wracał nie tknięty do domu.

Jeszcze temu lat pięć, sześć, siedm chodziło się po ulicach Warszawy nocą tak bezpiecznie, jak u siebie.

Dziś mamy kanalizacyę, doskonałe bruki, elektrykę w mieszkaniach i w tramwajach, jesteśmy miastem »europejskiem«, cywilizowanem, ale niech się tylko kto z nas znajdzie sam wieczorem na jakiejś dalszej ulicy, wówczas ogląda się uważnie na wszystkie strony, chwyta podejrzliwem uchem każdy szelest, jak gdyby był w boru, albo w Abruzzach. Trwożliwie schodzimy z drogi każdemu przechodniowi. I mamy słuszny powód do obawy, bo czytamy codziennie w gazetach o nieustających kradzieżach ulicznych i napadach.

Jeszcze temu lat dziesięć, gdy ktoś kogo skrzywdził, wyzyskał, okradł, oszukał, nazywał się złodziejem, oszustem, szubrawcem. Dziś nazywa się złodziejami tylko zwykłych, pospolitych grzeszników, — biedaków, których brudna nędza i brak wychowania nauczyły występku, ale gdy ktoś, należący do t. zw. lepszych sfer, kogoś wywiódł w pole, wyzyskał, oszukał, mówi się o nim tylko z drwiącym uśmieszkiem: sprytny! »Zacofanym« byłby, ktoby się po »filistersku« oburzył na takiego sprytnego. To jego szczęście, jego wygrana na loteryi życia, że umie być sprytnym, że umie sobie radzić... Poręczysz za kogo, płacisz za niego i robisz mu z tego powodu wymówkę. A on na to z całym spokojem bezczelnego cynizmu: Moją rzeczą było postarać się o poręczyciela, twoją zapłacić... I nikt się temu nie dziwi.

Przeglądając codzienny, długi spis różnych oszustw, kradzieży, wyzysków, szantaży, podawany przez gazety, podziwia się nadzwyczajną pomysłowość i płodność nieuczciwości. Czego już dziś ludzie nie kradną!

Nie ulega żadnej wątpliwości, że poziom ogólnej moralności obniżył się u nas w ostatnich latach tak widocznie, iż widzą to nawet ludzie prości starszego pokolenia. Słyszy się obecnie ciągle dokoła siebie utyskiwania służby, stróżów, sklepikarzów: nie można dziś nikomu wierzyć...

Nie tylko u nas...

Od lat kilkunastu kradnie w miastach europejskich codziennie ktoś, gdzieś coś: dyrektor, prokurent, kasyer, buchalter banku okrada bank, adwokat, notaryusz, makler giełdowy sprzeniewierza depozyty,

oficerowie sprzedają obcym państwom tajemnice wojskowe swojej ojczyzny, kupcy bankrutują podstępnie, urzędnicy intendantury bogacą się na nieuczciwych dostawach, różni wytwórcy fabrykują fałszywy towar i tam dalej w nieskończonym szeregu. Codziennie donosi telegraf o jakiemś wielkiem sprzeniewierzeniu, o jakiejś wielkiej kradzieży, o jakiejś niezwykłej podłości.

Nieuczciwość i podłość istniały zawsze, nie są nowością, ale tylko w chwilach dekadencyi ludzkości występują tak jawnie i tak gromadnie, jak się to obecnie dzieje. Kult rozumu, który wzgardził bojaźnią Bożą, który rozpętał umysły, nie przyniósł człowiekowi szczęścia, nie nasycił jego pożądliwości a spodlił jego duszę.

Współczesna ludzkość, pyszniąca się tak swojemi żelaznemi kolejami, telegrafami, telefonami i t. p. uwygodnieniami życia, gnije moralnie, a gdy człowiek gnije moralnie, wówczas idzie ku jakiejś wielkiej, powszechnej katastrofie, która zamyka jakiś okres skończony, wyczerpany, otwierając nowy. Jakąż będzie ta katastrofa? Któż to może przewidzieć? Ale po tej katastrofie przyjdzie nowe odrodzenie. Bywało tak zawsze.

Gnije etycznie ludzkość cywilizowana, gnijemy z nią razem i my, jej dzieci, jej wychowańcy. Zaczęliśmy gnić najpóźniej, bo dopiero od lat kilkunastu i dlatego możemy wrócić najłatwiej, najprędzej do naszej dawnej uczciwości. Zdemoralizował nas nasz pozytywizm (kult rozumu i dobrobytu), modernizm (kult chorego, nagiego ciała), socyalizm (kult pełnego brzucha), zdemoralizowała nas rewolucya (jeneralne wywracanie wszystkich dawniejszych wartości), znużyło się stuletnie wyjątkowe położenie.

Teraz czas dźwigać znów, podnosić zdemoralizowanego, znużonego, zniechęconego ducha, bo narodom pokonanym nie wolno gnić moralnie... pod groźbą śmierci.

Wdzięczniejsza to dla serc gorących, dla dusz podniosłych robota od bezpłodnych eksperymentów politycznych, od bezsilnej walki z własną niemocą, od wzajemnego pożerania się w nienawiści stronniczej i od charłackiego lamentowania literatury dekadenckiej.

W chwili kiedy to piszę, słyszę na ulicy wołanie kamelotów: Okradzenie klasztoru jasnogórskiego, dodatek nadzwyczajny!

Chwytam ów dodatek nadzwyczajny...

Stała się w istocie zbrodnia niesłychana, niespodziewana... Znalazły się w Polsce tak bezprzykładnie podłe ręce, które ośmieliły się targnąć na najświętszą religijną i narodową świętość narodu polskiego,

na Matkę Boską Częstochowską, na tę Matkę, przed której oblicze niosły i niosą miliony nieszczęśliwych swoje cierpienia, swój ból, swoje łzy, swoją rozpacz, szukając u Niej pociechy, na tę Matkę, którą otacza nasza tradycya historyczna aureolą podwójną, Matki Bożej i Królowej, na ten przepiękny symbol naszej wiary?

Możliwe-ż to?

A jednak stało się. Zbrodnicze ręce odarły nocą cudowny obraz z jego wszystkich ozdób a kaplicę z wotów, z których każde jest drogocenną pamiątką historyczną.

Być nie może, aby się tej potwornej zbrodni dopuścił Polak i katolik — mówię do mojej służby, a ona na to: eh, proszę pana, dziś jest wszystko możliwe; to dzisiejsze pokolenie nie jest warte, że żyje.

Ten sąd ludzi prostych jest wymownym wyrokiem na zwyrodnienie moralne chwili obecnej.

Zwyrodnienie etyczne i chaos, anarchia pojęć jest rysem znamiennym naszego czasu.

Oto np. sprawa hiszpańskiego anarchisty Franciszka Ferrera.

Był to sobie pan, niewątpliwie po dzisiejszemu sprytny, bo umiał wyłudzić od panny Ernestyny Meunié, pobożnej Francuski zapis około miliona franków, odgrywając wobec niej rolę żarliwego konserwatysty i religianta. Zasypywał ją obrazami i posążkami świętych i obiecywał założyć w okolicach Barcelony wzorowy przytułek dla dzieci. Tak opowiada plenipotent panny Meunié, p. Coppolo, w medyolańskim *Corriere della sera.*

Te pieniądze, zamiast budować za nie owe wzorowe przytułki dla dzieci, rzucił Ferrero w agitacyę anarchistyczną, zakładał szkoły bezwyznaniowe i płacił wywrotowców. Był on moralnym sprawcą i faktycznym wodzem ostatniej anarchii hiszpańskiej, oblanej krwią mordowanych zakonników, zniesławionej bezczeszczeniem trupów, poniewierką zwłok, szkieletów, owianej pożarami kościołów i klasztorów.

Za tę jego działalność wywrotową skazał Ferrera, jak poświadcza w berlińskim *Tageblacie,* wydawca nie konserwatywnego, lecz liberalnego hiszpańskiego tygodnika *ABC,* »sąd legalny i godny szacunku, z zachowaniem wszelkich warunków, praktykowanych przez wszystkie sądy cywilizowanych narodów, jako przywódcę anarchistów, którzy dokonali w Barcelonie szeregu morderstw, rabunków, zohydzenia grobów klasztornych« na śmierć.

Wyrok ten wywołał, jak wiadomo, w Europie taką wrzawę, jak

gdyby świat zapadał. W Europie? Tylko w Europie masońskiej, nienawidzącej katolickiej Hiszpanii, i w Europie anarchistycznej, umiejącej inscenizować demonstracye hałaśliwe. Pamiętamy jeszcze wszyscy awanturę Dreyfussa.

Mniejsza zresztą o Europę. Ale cóż nas może obchodzić wewnętrzna sprawa hiszpańska? Tyle set, tysięcy może Ferrerów zginęło u nas w ostatnich latach, tyle lepszych, uczciwszych fanatyków i niefanatyków marnieje u nas ciągle, a cywilizowanej, humanitarnej Europie nie przyszło ani razu na myśl urządzić demonstracyę z tego powodu. Nawet pies europejski nie szczeknął.

Więc co się nam łączyć z wrzawą, ze stronniczem, tendencyjnem oburzeniem europejskich anarchistów i masonów? Naród nasz nie jest w swojej zdrowej większości ani anarchistycznym ani masońskim. Jeśli kto, to my, odbyliśmy w ostatnich latach praktyczną lekcyę anarchii, i nie mamy wcale powodu oklaskiwać jej »ideałów«.

Rzecz szczególna, że entuzyasta Ferrerowy znalazł się u nas w obozie, który z natury swojego programu jest głównym przeciwnikiem wszelkiego chaosu, wszelkiego bezcelowego gwałtu, wszelkiej czerwonej i nieczerwonej frazeologii. Pan Ludwik Straszewicz, polemista realistów, zachwycił się w swoim *Kuryerze Polskim* do tego stopnia przebudzeniem się »sumienia ludów« taką radością napełniły jego serce »podobne, bezinteresowne, ideowe, humanitarne uniesienia ludów«, iż je »błogosławi z głębi duszy«.

Dziwna tylko, dlaczego p. Straszewicz nie błogosławił naszych »bezinteresownych, ideowych, humanitarnych uniesień«, na których przecież nie zbywało. Mieliśmy Ferrerów bez liku.

Pan Straszewicz mówi o sobie, że jest »starym marzycielem«. Niech sobie nim będzie, wolno mu. Ale cóż robi w obozie realistów »marzyciel«? Realizm i marzycielstwo nie zgadzają się chyba.

Teodor Jeske-Choński.

WIEC KATOLIKÓW NIEMIECKICH.

Pragnęło się bardzo, by ci, co w żywotność katolicyzmu nie bardzo wierzą, byli choć przez chwilę obecni w czasie pochodu robotników, jakim rozpoczynał się tegoroczny wiec katolików niemieckich we Wrocławiu. Dwadzieścia sześć tysięcy zorganizowanych katolickich robotników, przy dźwiękach dwudziestu kilku muzyk, przy szumie tysięcy sztandarów, przechodziło tryumfalnie, wśród rozkołysanych tłumów protestanckiego przeważnie miasta. Dla zrozumienia dodać należy, że tych 26.000 robotników, to byli sami tylko delegaci związków katolickich. Nic w tem dziwnego, bo organizacye chrześcijańskich robotników w Niemczech, to milionowe już armie. Nie była też to wcale najwyższa cyfra delegatów; na przedostatnim wiecu katolickim w Düsseldorfie pochód delegacyi robotniczych składał się z czterdziestu tysięcy uczestników, a na dawniejszych bywał jeszcze liczniejszy. Zazwyczaj na wiecach tych katolików niemieckich dzieje się tak, że z bardziej oddalonych stron nieliczne tylko związki wysyłają swoich reprezentantów; natomiast bliższe strony reprezentowane są obficiej. Na tym wiecu przeważali reprezentanci górnego Śląska, stąd też znaczną część pochodu stanowił żywioł polski.

Pochód, jak każdy pochód, miewa przedewszystkiem znaczenie demonstracyi. Ale bywa też zarazem i przeglądem dokonanej pracy i zebranych sił. I to był moment, w którym spoczywała szczególniejsza doniosłość wrocławskiego pochodu. Za

tysiącami delegatów kryła się milionowa armia proletaryatu, wzorowo zorganizowana pod sztandarem chrześcijaństwa. Jak na czele oddziałów wojskowych oficerowie, tak tu na przedzie każdego prawie robotniczego oddziału szedł ksiądz. To był widomy znak przynależności tej tysiącznej rzeszy, to był zarazem przedstawiciel tej inicyatywy i tej akcyi, która tę rzeszę jednym związała ideałem. Jest czego powinszować duchowieństwu niemieckiemu.

Polaka interesowało na tym wiecu oczywiście szczególniej wszystko, co miało jakiś związek ze sprawą polską. Już w samym pochodzie widziało się z radością tysiące swoich ziomków, robotników i górników górnośląskich, i czytało się na setce tablic, oznaczających miejscowość każdego związku, miejscowości polskie Śląska, jak Opole, Lignica, Mysłowice i t. d. W związku z tym licznym udziałem polskich robotników w pochodzie stała inna sprawa. Oto, w programie wiecu było zamierzonem, by na jednem ze zgromadzeń robotniczych toczyły się obrady w języku polskim. Wobec wielkiego udziału Polaków w tym wiecu, nic naturalniejszego nad to uznanie praw ich języka, zwłaszcza, że nie był to wiec katolików Niemców, ale katolików Niemiec. Dodajmy, że uznanie to nie mogło być skromniejsze w rozmiarach. Tymczasem, policya wrocławska odmawia w ostatniej chwili pozwolenia. Przyznajmy, że oburzenie katolików Niemców, z powodu tej odmowy było szczere i niejednokrotnie przejawiło się w ostrych wyrazach. Prezes lokalnego komitetu, dr. Porsch, zaraz tuż po odczytaniu papieskiego pisma, otwierając wiec, odezwał się w te słowa: »Jedno z naszych zgromadzeń wpadło do wody, mianowicie zgromadzenie górnośląskich polskich robotników (liczne głosy: *Hört, hört*). Ufaliśmy, że przyjdzie pozwolenie na to zgromadzenie, bo nowa ustawa o zgromadzeniach pozwala na wyjątki, a jeżeli kiedy, to w tym wypadku wyjątek byłby usprawiedliwiony (Liczne głosy: *Sehr richtig*). Inaczej, ustawa jest prostym zakazem. Jest oczywistem, że odmowa ta pozwolenia nastąpić mogła tylko w porozumieniu z wyższemi władzami. Nie zakłócajmy sobie tą odmową pokoju przy pracach wiecowych. Nie jest to z naszej strony tchórzostwem, jak niektórzy sądzą; sprawę tę poruszymy na innem miejscu. Na pewno poruszymy« (Oklaski całego zgromadzenia).

Dał także wyraz swemu żalowi na publicznem zgromadzeniu ks. kardynał Kopp.

Dłużej zajmowano się sprawą polską, przy kwestyi szkół wyznaniowych. Chodziło o to, by religia w szkołach była udzielaną w języku polskim. Rezolucya, poddana dyskusyi, brzmiała: »Należy jak najbardziej stanowczo żądać, by nauka religii w szkole ludowej odbywała się w języku ojczystym, przynajmniej na stopniu najniższym i średnim. Inaczej skutek tej nauki jest wątpliwy, nad czem, zarówno ze stanowiska religii i obyczajności, jak i z racyi kształcenia wiernych członków Kościoła i dobrych obywateli państwa, należałoby ubolewać«. Rezolucya ta roztrząsaną była wszechstronnie, wkońcu wyeliminowano z niej ograniczenie, odnoszące się do stopnia najniższego i średniego. Było to bardzo szczęśliwe, bo uchyliło się jakąkolwiek, choćby tylko częściową, aprobatę systemu rządowego. W wyeliminowaniu tem brały udział głosy niemieckie, nie bez znaczenia jednak były także głosy polskie.

Sprawę tę poruszył jeszcze na publicznem zgromadzeniu dr. Marx z Düsseldorfu. Wyłuszczywszy znaczenie języka ojczystego w nauce religii, mówił dalej ten wybitny przedstawiciel katolicyzmu niemieckiego, co następuje: »Nasi polscy współwyznawcy mogą być pewni, że w ich walce o to zgodne z prawem natury żądanie, o ile ta walka toczyć się będzie na terenie porządku państwowego i w granicach konstytucyjnych, wszyscy katolicy Niemiec staną po ich stronie. Nie zniesiemy tego, by wykład religii, z powodu niesprawiedliwej i jednostronnej walki narodowościowej, był udzielany w sposób, który zdolen jest unicestwić błogie skutki religii zarówno pod względem wychowywania dobrych obywateli państwa, jak i dobrych chrześcijan. Na tej drodze, którą nam nasze obowiązki i interesy wskazują, nie zatrzymamy się, choćby ludzie, o których interes tu w pierwszym rzędzie chodzi, w niepojętem zaślepieniu akcyę naszą usiłowali spotwarzyć i poniżyć. Nasza droga, droga prawa i sprawiedliwości, znaczy się przed nami jasno, i tą drogą pójdziemy, nie zważając na wpływy z jednej czy z drugiej strony, z góry czy z dołu. W urzędowych planach szkolnych dla wyższych szkół pruskich na rok 1901, wy-

raźnie jest zaznaczono, że przy trudniejszych objaśnieniach, zwłaszcza przy kwestyach gramatycznych, słusznie zstępuje się do języka ojczystego. Jeżeli ta zasada jest oczywistą dla wyższych zakładów naukowych, to nie można chyba uważać za odpowiednie, gdy wykład religii dla polskich dzieci odbywa się w obcym, w każdym razie, w niełatwo przystępnym im języku. Niepodejrzany świadek, profesor Delbrück, powiedział: Zasada wykładu religii w ojczystym języku jest tym momentem, który Polakom w obecnej walce zapewnia bezwzględnie moralną wyższość«.

Przy tym przytoczonym ustępie mowy d-ra Marxa, cała wielotysięczna sala, co parę słów, aż trzęsła się od oklasków.

Oto ważniejsze szczegóły, odnoszące się do sprawy polskiej na tym wiecu. Możnaby wspomnieć jeszcze o kilku drobiazgach, zwłaszcza jednym dość przykrym, ale to nie należy do tego miejsca. Dorzućmy jeszcze ten szczegół, że jednym z głównych, a wyróżniających się mowców był Polak, ks. Kapica.

Ogólne wrażenie tego wiecu, w sobie bardzo dodatnie i bardzo podniosłe, w porównaniu z wrażeniem, jakie pozostawiały po sobie poprzednie wiece niemieckich katolików, było słabsze. Przyczyna leżała w miejscowych i chwilowych warunkach tego wiecu. Statut katolickich wieców oddaje do dyspozycyi lokalnego komitetu miejsca, w którem wiec ma się odbywać, wybór tematów i wybór prelegentów, wybór, który następnie zatwierdzony być musi przez centralny komitet. Z natury rzeczy, w takim wypadku, przeważna część występów składaną bywa w ręce miejscowych sił. Po części więc stąd, po części i wskutek zbyt wielkiej odległości Wrocławia od właściwych centrów katolickiego życia niemieckiego, poszło, że odczuwało się ogromnie na wiecu brak wybitnych sił. Na palcach prawie policzyć można było jednostki, znane na szerszej widowni; z jednym jedynym tylko wyjątkiem Meyersa z Luksemburga nie było żadnego wybitnego mowcy — a o dyskusyi, toczącej się w sekcyach, na ogół biorąc, lepiej nawet nie wspominać. Poza wyjątkowymi momentami, była ta dyskusya albo gadulstwem, albo czczą dyalektyką, albo formalistycznem czepianiem się słów.

Przechodząc do *meritum* obrad, zaznaczyć z wielkiem uzna-

niem należy bardzo rozsądne wyminięcie kwestyi spornych. Tak doniosła, naprzykład, dla katolików niemieckich kwestya sporna, jak tocząca się od dłuższego czasu sprawa przebudowy stronnictwa centrum, zajmująca sobą całe łamy dzienników centrowych, sprawa ta ani słowem na tym wiecu poruszoną nie była. Drugi przykład. Pod wpływem encykliki o moderniźmie wyłaniać się zaczynają całe szeregi pytań, i to w kwestyach żywotnych. Można było oczekiwać, że jakieś choćby dalekie echo tych pytań zabłąka się do tej sali, w której roztrząsa się sprawy katolicyzmu. Tymczasem, te i tym podobne sprawy w toku obrad ani najlżejszym śladem nie zaznaczyły się. Dalszy rozwój dotychczasowej akcyi katolickiej, na tych samych wypróbowanych drogach, oto jedyne zajęcie wiecu.

Główna praca wiecu odbywała się w sekcyach i na zamkniętych zgromadzeniach; zgromadzenia publiczne miały tylko znaczenie uroczystego krasomówstwa. Sekcyj tych było cztery: sekcya kościelnych kwestyi, sekcya akcyi społecznej, sekcya akcyi charytatywnej i sekcya chrześcijańskiego wykształcenia.

Co w każdej sekcyi podziwiać się musiało i co niekiedy napełniało nawet zdumieniem, to ogromne zaawansowanie realnej akcyi katolickiej we wszystkich kierunkach. Wszystkie prawie nowe wnioski miały realną podstawę w istniejących już instytucyach, związkach, przedsięwzięciach, powołanych przez poprzednie wiece do życia, a przez wiec obecny rozwijanych. Niema na tych wiecach katolików niemieckich postanowień bezpłodnych, porywów marzycielskich, słów zostających na papierze. Taka, naprzykład, sekcya charytatywna w obecnych swoich wnioskach radziła nad tem, jak istniejące instytucye rozszerzyć na jak największą ilość miejscowości, jak między istniejącemi instytucyami wprowadzić kontakt, celem wymiany doświadczeń i wspólnej pracy — jak dla kierowników szpitali urządzać zjazdy, kursy, wykłady — jak i w jaki sposób elberfeldzki system dobroczynności uzupełnić przez system strassburski i tym podobne wnioski. Podobną konsekwencyę rozwojową widziało się także w sekcyi spraw kościelnych, poświęconej głównie rozwojowi katolickich misyi zagranicznych.

Najdonioślejsze uchwały zapadały w dwu innych sekcyach. Wspomnieliśmy już mimochodem o kwestyi ludowej szkoły wyznaniowej, toczącej się w sekcyi wykształcenia chrześcijańskiego. Kwestyę tę postawiono na tym wiecu z całą świadomością celu i środków. Wniosek odnośny stwierdza z początku prawo Kościoła katolickiego nie tylko do wykładów religii i nadzoru tych wykładów, ale zarazem do wpływu na system szkolny i wychowawczy, prawo, płynące z misyi, poruczonej od Boga do nauczania i wychowywania ludów. Na tej podstawie oprze się najbliższa inicyatywa katolików niemieckich, aby Kościołowi zapewnić prawnie nadzór nad całem religijno-obyczajowem wychowaniem młodzieży szkół ludowych. Zanim to ostateczne zwycięstwo nastąpi, wskazuje dalszy paragraf wniosku na obecnie istniejące już urządzenia, dające się w tym kierunku wykorzystać, jak na prawa przyznane gminom przez ustawodawstwo pruskie, co do utrzymywania szkół. Zarazem zwraca wniosek baczną uwagę na wychowywanie katolickich nauczycieli i nauczycielek po seminaryach. Celem zaś zabezpieczenia nauczycieli przed antyreligijnymi wpływami, poleca wniosek wpisywanie się w poczet członków zawodowego, nadzwyczaj pomyślnie rozwijającego się stowarzyszenia katolickich nauczycieli.

Znaną jest powszechnie olbrzymia działalność katolików niemieckich na polu oświaty ludowej. Istnieje już cały szereg wydawnictw, z których niektóre wykazują wprost imponującą cyfrę. Na obecnym wiecu chodziło o to, by, na podstawie tych wydawnictw jak najlepiej zorganizować i jak najbardziej rozpowszechnić biblioteczki ludowe, już nie tylko lokalne, ale także i domowe. W związku z tą dbałością o dobrą lekturę dla warstw ludowych wiąże się dążność do wyrobienia poczucia estetycznego i smaku w jak najszerszych warstwach dla sztuki chrześcijańskiej, ażeby z tego gruntu wykwitnąć mogła w przyszłości rodzima, świeża, nowoczesna sztuka chrześcijańska. Akcya na tem polu już poszła daleko. Istnieje już związek Dürera, istnieje także stowarzyszenie chrześcijańskiej sztuki. Obecnie zawiązywać się zaczęła nowa korporacya *Allgemeine Vereinigung für christliche Kunst*, której celem jest stałe urządzanie wystaw artystycznych, zwłaszcza

wystaw wędrownych, zakładanie zawodowych bibliotek, urządzanie wykładów i utrzymywanie biura wywiadowczego w tym zakresie. Stowarzyszenie to posiada specyalny wydział ludowy, który na podstawie chrześcijańskiego poglądu, ma pielęgnować poczucie sztuki w ludzie, głównie zapomocą monografii i wykładów o sztuce. Walną pomocą ku temu celowi będzie obecna wystawa sztuki chrześcijańskiej w Düsseldorfie. Wystawa ta obejmuje oddział retrospektywny z dobranych arcydzieł wieku XVII, XVIII i XIX i oddział współczesnej sztuki chrześcijańskiej, tak Niemiec jak i zagranicy, malarstwo, rzeźbę i architekturę, przemysł artystyczny i reprodukcye.

Daleko już postąpiła praca katolicka w Niemczech, kiedy już dziś przechodzić zaczyna na pole artystyczne.

O tem, co radzono w sekcyi społecznej, prawie pisać się nie chce, bo praca na tem polu w Niemczech do takich już doszła rozmiarów i specyalizacyi, że informacya o obecnych uchwałach nie może mieć u nas żadnego zastosowania. Wydoskonalano już tylko akcyę i urządzenie rozlicznych związków zawodowych, związków robotniczych, rękodzielniczych, przemysłowych, związków kobiecych, związków młodzieży i t. d. Jak daleko postąpiła praca na tem polu, najlepiej świadczy to, że na wrocławskim wiecu, rozpoczęto już akcyę, dążącą do zbliżenia społecznego wszystkich sfer, zwłaszcza warstw robotniczych i sfer intelligencyi. Akcya ta ma na celu wyrabiać we wszystkich kołach społecznych poczucie wzajemnej niezbędności, zrozumienie i odczucie wzajemne odrębnych potrzeb, interesów i dążności. Środkami ku temu celowi mają być wykłady, kursy, specyalne czasopisma, rozszerzanie istniejących związków. Szczególniejsze znaczenie przywiązuje ta akcya do pracy społecznej korporacyi studenckich. Przez zetknięcie się młodzieży szkolnej ze światem robotniczym, rozszerza się w młodych głowach widnokrąg i rozszerza serce dla zrozumienia i odczucia stanu i potrzeb klas pracujących.

Równocześnie z temi obradami wiecu katolickiego, obradowały w zamkniętych kołach rozliczne związki katolickie, związki młodzieży, robotników, nauczycieli, związki misyjne i dobroczynne. Największą zwracał uwagę na siebie najdonioślejszy z tych związ-

zków, *Volksverein*, to też tłumy zapełniły salę. W przemowach czuć było szlachetną dumę z ogromu dokonanego dzieła, w przeciągu tych lat dwudziestu, jakie ten związek istnieje. *Volksverein* liczy obecnie 625.029 członków. W czasie swego istnienia puścił już w obieg 123 milionów druków społecznej i apologetycznej treści, w roku bieżącym 13 milionów. Prócz pracy wydawniczej ma *Volksverein* i inne zadania, głównie pracę organizacyjną. Stacya centralna w M. Gladbach składa się z dziesięciu wydziałów: wydział organizacyjny, wydziały dla spraw gospodarczych, przemysłowych, rękodzielniczych i kupieckich, wydział dla kwestyi kobiecej, wydział apologetyczny, socyalne biuro wywiadowcze, wydział biblioteczny i registracyjny. Przy sprawozdaniu rocznem z podziwem słuchało się o całej masie nowych organizacyi, kursów, konferencyi; samych zgromadzeń w roku ubiegłym zwołał *Volksverein* koło 3000. Wobec takiej pracy nic dziwnego, że z dniem każdym, podniosłe zadanie *Volksvereinu*, ażeby katolików niemieckich wykształcić i wyszkolić do społecznej i kulturalnej samodzielności, coraz donioślejsze święci tryumfy. Dziś *Volksverein* zwraca na siebie uwagę całego cywilizowanego świata, jako jeden z najdoskonalszych wyrazów nowoczesnej społecznej instytucyi. Jeden z mowców potrącił mimochodem o cały poczet wpływów, filiacyj, naśladownictw, jakie za granicą, w szeregu krajów wzbudziła ta instytucya. W czasie wiecu, krążyła po Wrocławiu broszura, w fanatycznie antykatolickim duchu zredagowana, gdzie o *Volksvereinie* następujące słowa czytamy: »Żadnemu innemu celowi nie służyło założenie *Volksvereinu*, jak tylko temu, by uzyskać na masy jak największy wpływ. Zadaniem tej instytucyi miała być troska o społeczne wykształcenie i społeczną działalność wpośród mas wyborczych stronnictwa *centrum*. Zadanie to spełnił *Volksverein* świetnie. Nic innego nie zapewnia *centrum* podobnego wpływu na masy, jak ten związek. Bardziej, niż przez chrześcijańskie rękodzieła, bardziej niż przez związki robotnicze, związki Windhorsta i kongregacye, panuje *centrum* nad masami przez *Volksverein*. Z fanatyczną prawie energią rozwinięto skromną w początkach instytucyę do rozmiarów takiej organizacyi, że w całym cywilizowanym świecie żadne polityczne stronnictwo

nic równego przy swoim boku nie ma. Nie jest to śpiąca albo pokojowa armia, jest to bezmiernie zwiększające się czarne wojsko, któremu chodzi o skonfesyonalizowanie wszystkich arteryi naszego życia ludowego, które w duszę naszego ludu tak silnie wkorzeniło ideę ultramontańską, że, jeżeli kiedyś walka ostateczna między ultramontanizmem a nowoczesnym poglądem na świat wstrząśnie naszą kulturą w jej posadach, to następne pokolenia rzucą skargę naszemu czasowi, iż pozwolił się zahypnotyzować niebezpieczeństwem socyalistycznem, a nie zrozumiał, że co najmniej równie niebezpieczną była owa ultramontańska robota, która duszę naszego ludu sfałszowała do szpiku«.

Na tem najdonioślejszem społecznie zjawisku dzisiejszego życia katolickiego w Niemczech, kończymy nasze uwagi o wiecu wrocławskim.

Wiec wypadł dobrze. Nie zakłóciły go demonstracye socyalistów, którzy ku temu celowi przypomnieli sobie na jakąś rocznicę śmierci Lassalla, leżącego na żydowskim cmentarzu wrocławskim. Bezskuteczną pozostała również zaczepka protestantów, którzy na czas wiecu ściągnęli z innych miast wybitniejszych predykantów i jaskrawymi afiszami obwieszczali miastu tytuły konferencyi takie, jak *Los von Rom.* Mimo, że Wrocław jest miastem przeważająco protestanckiem, mimo to, że prawie żadne dekoracye nie zdobiły ulic, czuło się odrazu, że panem miasta jest wiec katolicki. Ślady tego wiecu we Wrocławiu zapewne też nie prędko znikną. To zdobywanie nowych miejsc a zarazem kształcenie lokalnych sił, to jest wprawdzie okolicznościowem następstwem tych corocznie w innem mieście odbywających się wieców, ale nie jest bynajmniej następstwem bez znaczenia.

W czem tkwi właściwa siła tych wieców, co im zawdzięcza katolicyzm niemiecki, o tem już niejednokrotnie pisano. Stwierdzamy za innymi raz jeszcze, że *Germania docet.*

Ks. Jan Pawelski.

SPRAWA FERRERA.

Kilka tygodni temu byliśmy świadkami nader symptomatycznego dla dzisiejszych stosunków polityczno-społecznych zdarzenia. W Barcelonie skazał sąd wojenny Ferrera na karę śmierci za udział w tamtejszych rozruchach anarchistycznych — i wyrok wykonano. Był to człowiek, który osobiście nie mógł chyba u nikogo wzbudzić szacunku czy sympatyi. Doszedł do majątku w sposób co najmniej etycznie wątpliwy, bo dzięki zapisowi jakiejś starej panny, której był nauczycielem; jakkolwiek bardzo wskutek tego zamożny, pozostawił swe córki bez utrzymania, tak że jedna z nich żyje w Paryżu jako robotnica, zarabiająca kilka franków dziennie, a znaczne sumy zapisał swej kochance; szerząc w Hiszpanii anarchizm i będąc przez to intellektualnym sprawcą zamachów i zaburzeń, pozostawał zawsze w półcieniu, narażając innych, sam czuł się bezpieczny. W domowem więc swem życiu pozbawiony uczuć rodzinnych, w publicznem odwagi i poczucia, że i własną osobą płacić należy, gdy innych do walki się wysyła, mógł być co najwyżej zręcznym podżegaczem, nigdy zaś fanatycznym apostołem anarchizmu. Niejeden człowiek zginął za złą sprawę, lecz jakkolwiek szkodliwy, był przecież osobiście szlachetny; w Ferrerze widać było tylko pierwszą wadę, niepodobna mu jednak przyznać szlachetności.

A jednak wieść o śmierci tego człowieka wstrząsnęła pół kontynentu europejskiego. Przedewszystkiem we Włoszech i we Francyi, w pewnym także stopniu w Niemczech, Belgii i Węgrzech

wzburzyła się przeważna część opinii publicznej. Najpoczytniejsze organy prasy wykreśliły Hiszpanów z szeregu cywilizowanych narodów, na niezliczonych zgromadzeniach potępiono ich jako morderców, przyszło w różnych miastach do walk ulicznych, proklamowano i przeprowadzono strejki demonstracyjne.

Ze smutkiem i litością nad tą »opinią publiczną«, która jest przecież tak poważnym czynnikiem życia publicznego, przyszło patrzeć na to wszystko. W Hiszpanii był spokój; w miejsce gabinetu konserwatywnego, który wyrok zatwierdził, przyszedł rząd liberalny, lecz i ten ani słówkiem za Ferrerem się nie oświadczył. Ale za to Paryż przeżył ciężkie dni walk ulicznych, które obok znacznej liczby rannych, zakończyły się śmiercią paru osób, w wielu miastach włoskich stanęło na dwie doby całe życie gospodarcze, ludność pozbawiono żywności, światła, środków komunikacyjnych. Wszystko to dla Ferrera, o którym olbrzymia większość demonstrujących przedtem nie słyszała nigdy, wszystko bez celu, myśli, rezultatu, bo przecież dla rządu w Madrycie jest rzeczą dość obojętną czy w Medyolanie lub Neapolu ulice są oświetlone, a ludność może swobodnie zarabiać na swe utrzymanie.

Powód tej mobilizacyi był jasny i prosty. Ferrer był jednym z przywódców masoneryi, która poruszyła wszystkie sprężyny, ażeby go uratować. Nieszczęściem dla niego, obronę obmyślano nader niezręcznie, przeceniając swe własne siły. Inicyatywa wyszła od Wielkiego Wschodu we Francyi, który jeszcze przed rozpoczęciem procesu zapowiedział, że nie spocznie, póki Ferrera nie wydobędzie z rąk rządu hiszpańskiego. Oszołomieni swą potęgą w ojczyźnie, zapomnieli jednak uczestnicy masońskiego kongresu, że poza granicami Francyi, możliwem jest wyłamanie się z pod dyktatury masoneryi. Groźba reprodukcyi na gruncie hiszpańskim afery Dreyfussa wykluczyła z góry wszelką nadzieję ułaskawienia Ferrera. Dla każdego dbającego o swój kraj męża stanu jasną chyba było rzeczą, że połowiczne załatwienie sprawy — zamiana wyroku śmierci na więzienie — może na Hiszpanię sprowadzić te same klęski, jakie spadły na Francyę wskutek sprawy Dreyfussa. Po uchwale Wielkiego Wschodu były tylko dwa wyjścia — albo Ferrera uwolnić zupełnie, albo wykonać wyrok śmierci

i dlatego właśnie pomoc masoneryi francuskiej była dlań tak niebezpieczna a w skutkach nieszczęsna. Sąd i rząd hiszpański nie uląkł się gróźb i pozostawił sprawiedliwości bieg swobodny. To też wszystkie dalsze wypadki były już tylko wybuchem bezsilnej złości z powodu zawiedzionych nadziei i doznanego upokorzenia.

W czasie wspomnianych powyżej zaburzeń, po wykonaniu wyroku, pojawił się szereg bardzo cennych artykułów, wyjaśniających mechanizm akcyi masoneryi, gdy chodzi o poruszenie w określonym z góry kierunku opinii publicznej. Stwierdziły one, że w ręku czynników t. zw. liberalnych, a w gruncie rzeczy antychrześcijańskich, skupia się cała władza nad organami, które opinię pobudzają i tworzą. Niemal wszystkie wielkie kontynentalne dzienniki są na ich usługi, to samo można powiedzieć o ajencyach telegraficznych, na rękę również idzie im cała organizacya socyalistyczna. Wszystko to prawda, lecz niewyjaśnione zawsze pozostaje pytanie, jakie przyczyny złożyły się na stan rzeczy tego rodzaju. Mimo wszystko sfery antychrześcijańskie są w stanowczej mniejszości, przeważna część państw składem swych reprezentacyi parlamentarnych dowodzi, że ludność nie pragnie bynajmniej pójść po linii, wytyczonej przez masoneryę, potężny rozwój uczuć religijnych i narodowych stwierdza, że propagowane niwelacye szlachetniejszych dążeń, które mają zastąpić tylko materyalne tendencye, nie jest bynajmniej ideałem naszych czasów. A jednak wszystkie te przejawy dodatnie przy podobnych barcelońskim wypadkach pozostają jakby w ukryciu, podczas gdy na pierwszy plan wysuwa się potężny, przygłuszający wszystko głos nieprzyjaciół zdrowia społecznego.

Przyczynom tego anormalnego, bądź co bądź, zjawiska chciałbym w dalszym ciągu kilka słów poświęcić.

Wiadomo powszechnie, że ogromna większość kontynentalnej prasy, będącej w każdym razie główną sprężyną opinii publicznej, znajduje się w ręku liberalizmu i stronnictw antychrześcijańskich. Na to opanowanie dziennikarstwa patrzyły początkowo inne sfery ludności dość obojętnie; obecnie jakkolwiek zrozumienie szkodliwości i niebezpieczeństwa podobnego stanu rzeczy jest

już powszechne, robi się bardzo mało, ażeby go zmienić, a co gorsza, rezultaty akcyi są jeszcze skromniejsze od samych wysiłków. Widząc, jak prasa przeciwników rozwija się potężnie, podczas gdy chrześcijańska zaledwie wegetuje, traci się z czasem wszelką chęć do walki, z rezygnacyą poddaje się losowi. Prowadzi to do wyników, które byłyby komiczne, gdyby nie były nader smutne. Oto nawet prasa chrześcijańska mimowolnie popiera swych wrogów, przyczyniając się do rozszerzenia i spopularyzowania ich sądów i tendencyi, bo w nader wysokim stopniu czerpie swe informacye ze źródeł liberalnych. Pisma chrześcijańskie z bardzo nieznacznym wyjątkiem posiadają charakter lokalny lub ludowy, prócz tego zaś walczą bezustannie z różnemi trudnościami, przedewszystkiem finansowej natury. Nie mając własnych korespondentów i własnych wiadomości, biorą je z drugiej ręki i to liberalnej. Prawda, że artykuły redakcyjne będą z wielką nawet wytrwałością zwalczały przeciwników, cóż z tego jednak, gdy wszystkie prawie depesze są zabarwione duchem wręcz przeciwnym. Dawniej było to może mniej niebezpieczne, bo czytelnik szukał przedewszystkiem artykułów wstępnych, zagłębiał się w ich treść, solidaryzował się z redakcyą. Dziś, wobec naszego nerwowego, szybkiego życia, szukamy w pierwszej linii wiadomości i informacyi, a ocena ich przez redakcyę straciła na znaczeniu, często pomija się ją bez czytania. To też gromy, które w ten sposób prowadzony dziennik rzuca na liberalizm, nie osłabiają go bynajmniej, ale za to krótkie notatki i telegramy w odpowiedni sposób ułożone, jednają mu stronników nawet tam, gdzie on sam dotrzeć nie może, bo dostaje się do nich za pośrednictwem prasy chrześcijańskiej.

Nic dziwnego, że wobec takich rezultatów traci się wiarę w możliwość współzawodniczenia z prasą liberalną, że niejednokrotnie zakłada się bezczynnie ręce, cofa się przed wszelką dalszą próbą. Wewnętrzne jednak przeświadczenie, że należy pracować bez wytchnienia, gdy rozchodzi się o najważniejsze i najżywotniejsze kwestye natury ogólnej, sprawia, iż szuka się dla tej rezygnacyi usprawiedliwienia niejako przed własnym rozsądkiem. Zwykle znajduje się je w wskazaniu na różnicę indywidualnych

i intelektualnych właściwości współpracowników prasy liberalnej i chrześcijańskiej. W liberalnym obozie, słyszymy bardzo często, pracują głównie żydzi, którzy odznaczają się wrodzonym talentem dziennikarskim. Ludność chrześcijańska nie posiada go w takim stopniu, wskutek tego z góry można powiedzieć, że rywalizacya z prasą liberalną nie rokuje żadnego powodzenia.

Argumentacya ta jest mylna. Nie ulega wątpliwości, że żydzi odznaczają się wysokiemi zdolnościami publicystycznemi, lecz z tego nie wynika bynajmniej, ażeby konkurencya z nimi była z góry skazana na klęskę. Ich stanowisko w dziennikarstwie nie jest bynajmniej wynikiem jakichś wyjątkowych wrodzonych zalet, lecz po prostu polega na wyszkoleniu i wykształceniu fachowem, które zawdzięczają właśnie zmonopolizowaniu prasy w swem ręku. Tam gdzie tego monopolu nie posiadają, jak w społeczeństwach anglo-saksońskich, a w pewnej mierze i słowiańskich, tam prasa chrześcijańska znajduje dostateczną ilość sił we własnym obozie i bynajmniej nie stoi niżej od publicystyki żydowskiej. Jeżeli w świecie romańskim i u Niemców prasa, która kieruje opinią publiczną, znajduje się prawie wyłącznie w rękach żydowskich, to tłumaczy się to przedewszystkiem rozwojem historycznym.

Początku prasy nowożytnej na kontynencie należy szukać w tendencyach opozycyjnych. W walkach polityczno-społecznych, gdy chodzi o ustępstwa ze strony żywiołów, w danej chwili posiadających władzę, musi się zgrupować około pewnego hasła znaczniejszą liczbę ludzi, którzy swą ilością stanowią przeciwwagę wobec ustawowej czy faktycznej potęgi przeciwników. Musi się więc szerzyć swe zapatrywania i postulaty, inaczej bowiem niepodobna uzyskać siłę, któraby skłoniła sfery rządzące do liczenia się z postawionemi żądaniami. Zgromadzenia, propaganda osobista, pisma ulotne, a przedewszystkiem prasa są czynnikami mobilizującymi opozycyjny obóz. Natomiast ci, którzy władzę posiedli, nie potrzebują, przynajmniej na razie, posługiwać się tego rodzaju środkami. Rozporządzając ustawodawstwem i aparatem państwowym, mając moc nakazywania i zakazywania, uważają zwykle namawianie i przekonywanie za zbyteczne, jeżeli nie za dowód słabości. Na tem stanowisku stały też sfery rządzące

w czasach poprzedzających zmianę ustroju absolutnego na konstytucyjny. Wyjątkowo tylko, przeważnie tylko w sprawach polityki zagranicznej, w których zwracano się do niezależnej zagranicy, starano się uzasadnić i usprawiedliwić swe stanowisko, w dziedzinie wewnętrznej wystarczało zarządzenie, dla którego w razie potrzeby umiano posłuch wymusić. W tych warunkach prasą — jawną lub tajną, to już rzecz zupełnie obojętna — posługiwali się tylko ci, którzy dążyli do zmiany panujących stosunków, a ponieważ zmiana ta miała nastąpić w duchu wolnościowym i demokratycznym, przeto dziennikarstwo uzyskało od razu cechę czynnika swobody, — liberalizmu.

Równocześnie klasy z istniejącego ustroju niezadowolone, biorąc żywy udział w propagandzie swych żądań, kształciły doświadczeniem swój zmysł publicystyczny, zapoznawały się praktycznie ze sposobami najlepszej, najskuteczniejszej propagandy głoszonych zasad. Społeczeństwo już wówczas, u samych początków dzisiejszego dziennikarstwa, podzieliło się niejako na dwa obozy: jeden — opozycyjny — doskonalił się coraz więcej w sztuce oddziaływania słowem na masy, drugi — rządzący — zasklepiał się coraz bardziej w dawnych metodach rządzenia, nie licząc się bynajmniej z nastrojem społeczeństwa.

Opozycya, zmierzająca świadomie do zmiany panujących stosunków, powstaje najpierw w sferach intelligentnych, tam bowiem budzi się najwcześniej niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, poparte dostatecznem zaufaniem we własne siły, ażeby zdążać do reform z nadzieją zwycięstwa. W walce podjętej przeciwko żywiołom panującym, prasa jest przeto główną bronią intelligencyi, jest jej duchową własnością, wytworem jej myśli, potrzeb i pragnień. Stąd też intelligencya solidaryzuje się z prasą, a raczej pisma peryodyczne, w zupełności od warstw intelligentnych zależne, tak ideowo jak i materyalnie, odźwierciedlają najdokładniej ich poglądy, głoszą tylko to, co klasy intelligentne chcą propagować, i to w sposób, który w tych właśnie sferach uważa się za właściwy lub pożyteczny. Innemi słowy, w tym czasie istnieje rzeczywiście opinia publiczna, przynajmniej w warstwach oświeconych, a prasa jest istotnie jej wyrazem, przedstawia

bowiem panujące poglądy, rozpowszechnia je, lecz ich bynajmniej nie tworzy.

Z czasem jednak ten stosunek intelligencyi do prasy ulega zasadniczej zmianie. Na czele propagandy drukowanem słowem stają oczywiście najwybitniejsze jednostki, gdyż chodzi o najlepsze wyzyskanie tej jedynej broni, którą rozporządza opozycya. Nic więc dziwnego, że tym ludziom, wyrastającym ponad przeciętną miarę, drugorzędna rola wydaje się niewłaściwą. Są oni w gruncie rzeczy tylko agitatorami, roznosicielami cudzych myśli, a pragnęliby zmienić się w kierowników, szerzyć nie cudze lecz własne zapatrywania, nie tylko popularyzować, lecz przedewszystkiem tworzyć. Stwierdziwszy doświadczeniem, jak potężnem narzędziem są pisma peryodyczne, zaczynają ich używać samodzielnie; rozszerzają zakres działania prasy, bo zmierzają już nie tylko do zgrupowania około poglądów intelligencyi jak najszerszego koła zwolenników, lecz także a może i głównie do wpojenia w intelligencyę swoich własnych, indywidualnych sądów i zasad. Jest to już druga faza w rozwoju prasy, okres ukrytej lecz niewątpliwej rywalizacyi dziennikarstwa z intelligencyą o opanowanie opinii publicznej.

W walce tej intelligencya ulega bardzo szybko, bo dziennikarstwo wyzyskuje słabe jej strony. Człowiek wykształcony posiada przedewszystkiem jedną właściwość, chce mieć zupełną swobodę myśli i sądu, chce zawsze i wszędzie dojść do własnego zdania, na podstawie samodzielnej oceny związanych z daną kwestyą przesłanek. O ile ta tendencya, we właściwych zamknięta granicach, jest zupełnie naturalną i stanowi główną dźwignię wszelkiej cywilizacyi i postępu, o tyle przesada staje się tutaj bardzo niebezpieczną, bo zabijając przedmiotowość i zdrowy zmysł krytyczny, prowadzi do jednostronności, ciasnoty umysłowej, a w dalszym ciągu do bezmyślnego niemal recypowania wszystkiego, byleby tylko w odpowiedniej było przedstawione formie. Po prostu chęć wyrobienia sobie samodzielnego sądu jest tylko o tyle uzasadniona, o ile dana jednostka jest do tego dostatecznie przygotowana, t. zn. jeżeli posiada dość wiadomości i dosyć zdolności, ażeby mogła poznać, zrozumieć i ocenić czynniki, na

których ten pogląd powinien się opierać. O ile niema powyższych warunków, wszelkie usiłowania dla zdobycia samodzielności, stają się już niezdrową pretensyą oryginalności, są wynikiem próżności i miłości własnej, którą przy pewnej zręczności łatwo każdemu pokierować dowolnie. Wówczas człowiek do wyrobienia sobie własnego zdania nie ukwalifikowany, aż nazbyt często miesza samodzielność i swobodę myśli z umysłową anarchią. Nie chcąc nikomu się poddać, a nie umiejąc odróżnić prawdy od błędu, odrzuca wszystkie zwyczajnie przyjęte prawa czy zasady, bo sądzi, że przez to zaznaczył swoją umysłową wyżynę, że uwolnił się z więzów, niegodnych jego indywidualności. Naturalnie, że przy pewnym rozsądku, nie dojdzie się do takich rezultatów nigdy w dziedzinach, w których na pierwszy rzut oka już widać, że bez specyalnych wiadomości niepodobna wyrobić sobie samodzielnego zdania. Człowiek rozsądny nie odrzuci praw matematyki, wiadomości astronomicznych lub mineralogicznych dlatego tylko, że sam ich nie sprawdził, bo tutaj brak kompetencyi jest bijący w oczy. Lecz w dziedzinach abstrakcyi, o sprawach społecznych filozoficznych, piękna, sztuki, etyki i t. p. — jak często zapominamy o braku nieraz najelementarniejszego ukwalifikowania do wydawania sądu, jak często wyrabiamy sobie t. zw. własne zdanie, i to tylko dlatego, ażeby nie pójść za cudzem, bo toby było abdykacyą z naszej indywidualności.

To dążenie do wewnętrznego, że tak powiem, oswobodzenia się z wszelkich praw i wszelkiej obcej przewagi, umożliwia w wysokim stopniu oddziaływanie na intelligencyę tego pokroju. Można w nią wmówić wszystko, byleby tylko uwierzyła, że to ona sama wymyśliła, że sama stworzyła tę tezę czy te poglądy. A wmówić bardzo łatwo, skoro się zastosuje metodę, tylokrotnie we wszystkich czasach wypróbowaną na wszystkich istotach, których miłość własna i próżność były większe od zdolności. Metodą tą jest pochlebstwo.

W istocie też, prasa chcąc opanować warstwy wykształcone użyła pochlebstwa, jako środka najodpowiedniejszego. Oczywiście pochlebstwo odnosiło się do uczuć, najbardziej u tych sfer czułych, do ich umysłowości. Prasa rozpoczęła szerzyć ideę, że jakiekolwiek pewniki, prawdy czy prawa, są tylko szkodliwemi więzami

swobody umysłowej, że są pozostałością czasów ciemnoty, że człowiek cywilizowany powinien przyjmować je z nieufnością, powinien sam ocenić, o ile je można przyjąć, jednem słowem, że powinien się kierować własnem, samodzielnie zbudowanem zdaniem. Była to teza anarchii w dziedzinie umysłowej, która z łatwością się przyjęła, jak to wynika z tego, co powiedziałem powyżej. Praktyczne jej zastosowanie, którego również podjęła się prasa, musiało doprowadzić do radykalizmu w dziedzinie społecznej, etycznej i religijnej. Indywidualność przejawiała się zewnętrznie tylko o tyle, o ile stanowczo odrzucono panujące dotąd poglądy, sama bowiem ich rewizya, któraby doprowadziła do uznania ich prawdziwości, nie zmieniłaby niczego. Negacya dotychczasowych wierzeń stała się z konieczności dla wielu jednoznaczną z intelligencyą, człowiek był nowożytnym, godnym swego wieku tylko o tyle, o ile głosił, że wszystko co było dawniej, było złem i błędnem. Objaw ten spotykamy i dzisiaj aż nazbyt często; wszak ogromna ilość ludzi identyfikuje najzupełniej pojęcie piękna, dobra, użyteczności z modą, tak że za żadną cenę nie oświadczyłaby się przeciw zdaniu, które w danej chwili uważa się za wyraz opinii postępowej w jakiejkolwiek dziedzinie.

W ten sposób w miejsce norm ogólnych, zwyczajnie przez wszystkich uznawanych, wprowadzono pozornie indywidualizm własny każdej jednostki, w rzeczywistości zaś zapatrywania i dążenia piszącego, który zręcznie kierował myślą swych czytelników. W każdym razie wyobrażali oni sobie, że samodzielnie doszli do tych powolnie wpajanych poglądów, a dumni z tego, odrzucali wszelkie ustępstwo na rzecz przeciwnika jako niegodne ich intelligencyi, uważając je za upokorzenie własnego ja, za atak na swą samodzielność umysłową. W ten sposób sfery te doszły do radykalizmu myśli we wszystkich dziedzinach i fanatycznego doktrynerstwa, niezdolnego do jakichkolwiek kompromisów. Dlatego to jako rezultat takiego kształcenia, mamy u schyłku osiemnastego wieku kwalifikowanie każdego odmiennego zdania jako zbrodni, zasługującej na najostrzejszą karę, mamy walki parlamentarne, w których pobici kończą na szafocie. Tego rodzaju represya i teroryzm zdarzały się niewątpliwie i w dawniejszych

czasach, lecz wtedy zabijanie i mordowanie przeciwnika było najczęściej wyrazem brutalnego, jeszcze niezłagodzonego cywilizacyą gniewu czy okrucieństwa; w XVIII stuleciu przelewano krew na zimno, nie z oburzenia i gniewu, lecz dla systemu i doktryny.

Ten wpojony przez propagandę radykalizm, pozostał i nadal, choć w zmienionej formie i o odmiennem znaczeniu. Społeczeństwa otrzeźwiały i uspokoiły się, właśnie dzięki gwałtownym przewrotom, które poprzedziły powstanie naszych dzisiejszych ustrojów państwowych. Prasa, pierwotnie kierująca umysłowością warstw oświeconych, traci powolnie swe nieograniczone panowanie w tych sferach, spotyka się z pewnem niedowierzaniem, z bardzo wyraźną nieufnością. Zrozumiano wreszcie, że to ona właściwie prowadzi, a nikt tutaj nie chce dać się wodzić na pasku. To też system stosowany przed wiekiem do klas średnich, dziś okazuje się tam już bezskuteczny. Nie zanika on, lecz zwraca się tylko do innych grup, do szerokich sfer ludowych. Dochodzą one w swym rozwoju intellektualnym, niejako do tego stopnia umysłowości, który panował w intelligencyi w początkach nowoczesnej prasy peryodycznej, to też oddziaływa się na nie tymi samymi sposobami, które już wypróbowano na ich poprzednikach. Równocześnie warstwy średnie, jakkolwiek już wykształciły swój zmysł krytyczny, w jednym jeszcze kierunku prawie się nie zmieniły. Oto dzięki całej swej ewolucyi polityczno-społecznej, dzięki wychowaniu i kształceniu trwającemu już od kilku pokoleń, są one nadzwyczaj czułe na wszystkie przejawy, które mogłyby ograniczyć ich swobodę myśli. Im mniej jesteśmy wrażliwi na więzy istotne, które nakłada nam nowożytne państwo — a więzy te są coraz liczniejsze i potężniejsze — im więcej identyfikujemy wolność z równością, tak że nie odczuwamy skrępowania, skoro dotyka ono ogół, tem zazdrośniej i gwałtowniej bronimy dziedziny intellektualnej, tem większej może na tem polu — może wskutek dążenia do jakiejś abstrakcyjnej równowagi — domagamy się swobody. To też o ile prasa nie poruszy już tak łatwo warstw oświeconych skargami np. na ograniczenie praw obywatelskich, na dowolność administracyjną lub wkraczanie państwa w sferę życia domowego, o tyle zszereguje około siebie niemal zawsze większość

intelligencyi, gdy uderzy w alarm z powodu niebezpieczeństwa dla wolności słowa i myśli, choćby ta wolność nie była zagrożoną na prawdę, choćby chodziło o obronę nie istotnej wolności lecz indywidualnej swawoli. Niejeden pomyśli, że ta wolność jednostki jest szkodliwą dla innych lub dla ogółu, że ta jednostka, o którą się walczy, egoistycznie swych praw nadużywa, nie dbając o fatalne może skutki tego indywidualnego przejawu — wszystko to jednak uważa się za drobnostkę, za nic nieznaczący szczegół, wobec niewzruszalnej zasady, którą zawsze i wszędzie wypada bronić — intellektualnej swobody dla wszystkich.

Prasa radykalna umie doskonale wyzyskiwać, a od czasu do czasu i pobudzać ten nastrój. Nie wchodzi ona nigdy w treść, uzasadnienie, uprawnienie i społeczne skutki danego wypadku, jej chodzi o formę, którą tu przedstawia jako zasadę. Nie można występować przeciw pismom choćby rewolwerowym, ani też żądać, aby dzienniki nie szerzyły fałszów, bo chodzi o wolność prasy, nie wolno przeciwdziałać ustawą niemoralnej literaturze, bo krępuje się sztukę, należy dopuścić propagandy anty-społecznej i anty-religijnej, bo chodzi o wolność słowa. Prawda, że to wszystko może być szkodliwe, że może sprowadzić rozstrój w społeczeństwie, że może podkopać podstawy etyczne współżycia ludzkiego — lecz, jak powiadają, nie broni się treści, ale zasady, a na to, ażeby zabezpieczyć się przed niezdrową treścią nie mamy żadnego środka. Wypadek z Ferrerem jest klasycznym przykładem na to istotnie bardzo zręczne stanowisko. Pisma, które z niebywałą gwałtownością wystąpiły w jego obronie, zastrzegały się wyraźnie, że nie chodzi im ani o człowieka, który nie jest dla nich bynajmniej wzorem szlachetności, ani o jego anarchiczną propagandę, której nie pochwalają. Chodzi o zasadę, a że przy niej apoteozuje się jednostkę bardzo nieszczególną i popiera skutecznie dezorganizacyę społeczną — to już jest tylko dodatkiem, nie mającym żadnej większej doniosłości.

Wobec tego wszystkiego powstaje stosunkowo bardzo późno prasa chrześcijańska. Dopiero gdy liberalizm opanował umysły, gdy się już namacalnie przekonano, że samo posiadanie władzy nie wystarcza, bo traci się ją, gdy się niema za sobą opinii, za-

częli ci, których liberalizm zwalczał, myśleć o skuteczniejszej obronie. Zwycięscy przeciwnicy pokazali już dowodnie, jakich w tym celu należy użyć środków — przykład ich dowodził najwyraźniej, że jedynie skuteczny wpływ na poglądy społeczne może sprowadzić zmianę w dotychczasowym rozwoju. Potrzeba prasy nieliberalnej była coraz gwałtowniejsza, zabrano się więc do jej stworzenia.

Prasa, utworzona dla obrony wobec naporu liberalizmu, reprezentuje oczywiście rozmaite kierunki polityczne i w walce różnych używa metod. Mimo to można ją nazwać krótko umiarkowaną, przynajmniej w tem znaczeniu, że w przeciwstawieniu do publicystyki liberalnej uznaje pewne zasady, na których w danej chwili opiera się życie publiczne, za dobre i prawdziwe, nie dąży więc do ich zmiany, lecz wręcz przeciwnie oświadcza się za dalszem ich utrzymaniem jako podstaw ustroju społecznego. Już z tego powodu położenie prasy umiarkowanej było o wiele trudniejsze aniżeli liberalnej. Liberalna nie krępowała się niczem, ideowo nic dla niej nie było pewnego i niewzruszalnego, owszem cała jej akcya polegała na rewizyi dotychczasowych poglądów, rewizyi podjętej z wyraźnym zamiarem stwierdzenia, że zapatrywania te są albo mylne i szkodliwe, albo co najmniej nie posiadają żadnych przedmiotowych podstaw, są więc wypływem czysto subjektywnego sądu. Słynne twierdzenie, że religia jest rzeczą prywatną, opiera się właśnie na takiem rozumowaniu. Jednostce wolno wierzyć w co się jej podoba, musi jednak pamiętać, że to ona tylko wierzy, a inni mogą nie wierzyć, że więc nikt nie może nadawać wierze znaczenia ogólnego, nikt nie może żądać lub dopuścić, ażeby religia stanowiła czynnik współżycia ludzkiego. Zupełnie tak samo pojmowano i inne zasady społeczne; odbierano im charakter prawidła ogólnego, sprowadzając je do rzędu czysto indywidualnych sądów, nie mających żadnej wyższości nad sądami wręcz przeciwnymi. Wobec tej niczem nieograniczonej swobody w liberalizmie, prasa umiarkowana musiała bronić stanowiska, że pewne prawdy mają charakter ogólny, że nie wolno ich naruszać, że w życiu publicznem każdy musi się im poddać i do nich zastosować, bez względu na swe indywidualne zapatrywania. Przy

naturalnej, jak widzieliśmy, tendencyi do zerwania jakichkolwiek więzów myśli, obrona takiego stanowiska była już sama w sobie trudna. Niejeden godząc się w duszy z treścią proklamowanych zasad, oburzał się na ich narzucanie i przechodził do obozu liberalnego, z którym go zresztą nic nie łączyło tylko dlatego, że tam wolno mu było być także wewnętrznie konserwatystą, podczas gdy konserwatyzm nie pozwalał na żadną umysłową frondę.

Druga trudność, której żadna umiarkowana publicystyka ominąć nie może, polegała na konieczności stosowania nawet w walce tych zasad, których się broniło. Liberalizm, najzupełniej wolny, szedł tylko w myśl swej idei, gdy wobec przeciwników nie krępował się żadnymi względami, używał każdej broni, bez względu na jej jakość i uprawnienie. W walce liczył się on tylko z nastrojem swych czytelników, t. zn. z użytecznością i skutecznością obranego tonu, argumentu i metody. W pismach przeznaczonych dla warstw wyżej wykształconych i subtelniejszych, prowadzono polemikę formalnie spokojną i rzeczową, nie używano słów zbyt drastycznych, rzadko tylko schodzono na grunt osobisty. Pisma ludowe posługiwały się językiem jak najskrajniejszym, niewiele poświęcały miejsca uzasadnieniu ogólnemu swej tezy, ale za to wypełniały się atakami na osoby, mniejsza o to czy usprawiedliwionymi. Tu i tam chodziło o oddziałanie na opinię, chodziło o wpływ na czytelnika, przemawiano więc do niego w sposób, który najłatwiej wywoła wrażenie, które chciano wzbudzić. Publicystyka umiarkowana nie mogła postępować tą drogą, bo i ją obowiązywały zasady, których broniła. Musiała być lojalną nawet wobec przeciwnika, który też mógł od czasu do czasu wołać z tryumfem: »Nawet nasi wrogowie przyznają...« — nie obawiając się odwetu, bo on nie przyznawał nigdy niczego. To niekorzystne położenie taktyczne wywoływało od czasu do czasu w obozie umiarkowanym pragnienie naśladowania metod liberalnych. Niekiedy w rozmamiętnieniu polemicznem zapominano o właściwem swem przeznaczeniu i za każdą cenę, nie przebierając w środkach zmierzało się do zgnębienia przeciwnika, niekiedy powstawały nawet pisma, które z góry już postanawiały nie krępować się niczem w walce, wychodząc z zapatrywania, iż chodzi o obronę spraw tak ważnych,

że dobór środków, choćby ideowo niewłaściwych, ale praktycznie skutecznych, jest etycznie rzeczą drugorzędną, a dla zwycięstwa niezbędną. W tych wypadkach jednak rezultaty były jeszcze gorsze. Mimo wszystko prasa obronna nie mogła nigdy pójść tak daleko jak liberalizm. Dotrzymywała mu kroku w metodzie walki do pewnego punktu, poczem przekonywała się, że dalsze używanie tych sposobów jest już niemożliwe, jeżeli nie chce się podkopywać tego, co się zamierzało ochronić. Liberalizm przelicytował publicystykę umiarkowaną zawsze, a jeżeli szła przez pewien czas z nim równolegle, doprowadzała tylko do tego, że zwolennicy jej, przyzwyczajeni przez nią samą do radykalizmu, opuszczali ją z czasem, bo nie widzieli przyczyny, dlaczego mają się zatrzymać w pół drogi. Połowiczność w takim razie wzmacniała jedynie obóz liberalny, bo tylko liberalizm ukazywał w tym wypadku stałość i konsekwencyę.

Tych trudności żadna prasa umiarkowana uniknąć nie może. Do tego przybył jednak jeden błąd, niewątpliwie największy i najważniejszy, który jest głównym powodem, że kierunek umiarkowany nie zdołał wywalczyć sobie w publicystyce odpowiedniego wpływu. Błąd ten można określić zdaniem, że prasa umiarkowana nigdy nikogo nie prowadziła, lecz zawsze była prowadzoną.

Można to w pewnej mierze wytłumaczyć genezą jej powstania. Stwierdziłem poprzednio, że prasa liberalna, stworzona początkowo dla szerzenia poglądów panujących już wśród intelligencyi, wkrótce z narzędzia stała się instytucyą kierującą, wpajając najpierw w warstwy wykształcone potem i w ludowe swoje własne, w samem już dziennikarstwie zrodzone tendencye. Tej ewolucyi prasa umiarkowana nie przeszła nigdy, bo nie umiała, czy nie mogła się wyzwolić z pod wpływu rozmaitych czynników, a nawet i osób. Wystąpiła ona w obronie zwalczanych instytucyi, stąd też bardzo łatwo, naturalnym choć nielogicznym i szkodliwym biegiem rzeczy, wpadła w wręcz przeciwną niż liberalizm ostateczność: liberalizm wszystko zwalczał, umiarkowani wszystkiego bronili i to nie tylko zasad i rzeczy, lecz także i osób. Bez wątpienia przemawiały za tem w pewnej mierze względy taktyczne. Niewiele jest ludzi, którzy umieją oddzielić rzecz od osoby,

instytucyę od jej członków, zasadę od człowieka, który ją głosi. Głównym np. taranem liberalizmu w walce z monarchią nie tyle była idea praw obywatelskich, wolności i równości, ile przedewszystkiem kreśleniem niezdrowego wpływu kamaryli dworskiej, nieudolności tego czy owego monarchy, nadużyć jego urzędników. Cóż więc naturalniejszego, iż ci, którzy nie chcieli przewrotów, również mniej się zajmowali badaniem, o ile idea monarchiczna jest lepszą od republikańskiej, aniżeli przedstawianiem stosunków, istniejących w monarchii w różowych kolorach i osobistą obronę królów, dworaków, ministrów i urzędników. Na razie było to z pewnością celowe, z czasem jednak przerodziło się w system oderwany od przyczyn, które działały w początkach, w zasadę, która miała być istotną treścią umiarkowanej opinii. Co gorsza zapomniano przytem o głównem swem powołaniu, sprzeniewierzono się swemu jedynemu zadaniu, które przecież polegało nie na obronie osób, lecz zasad i urządzeń i to tych tylko, które istotnie są dobre i prawdziwe. Praktyczny rezultat tego stanu rzeczy musiał być bardzo smutny. Najpierw sfery, w danej chwili znajdujące się u steru i wszystkie związane z niemi osoby, zaczęły uważać prasę umiarkowaną za instytut, którego naczelnym obowiązkiem jest iść im zawsze na rękę, pisać tak, jak dla nich w danej chwili jest najdogodniej, jednem słowem za swoje narzędzie. Nie idzie zatem bynajmniej, ażeby te klasy lub jednostki dążyły do zwycięstwa jedynie dla własnych korzyści. Gdyby tylko tacy byli, prasa umiarkowana dostrzegłaby prędzej grożące niebezpieczeństwo, otrząsnęłaby się łatwiej z tego tak szkodliwego dla niej wpływu. Właśnie dlatego, że większość tych ludzi działała w dobrej wierze, że liczyła w swem gronie bardzo szlachetne, zdolne i użyteczne siły, kierunek bezwzględnej obrony wszystkich tak łatwo mógł się przyjąć. Wszak ciągle zwracano uwagę na metodę przeciwnika, który indywidualne wady i wykroczenia natychmiast uogólniał i zużytkowywał jako dowód, że samą rzecz należy usunąć. Jakże można — mówiono — pomagać mu w tem, kuć dla niego broń nową dlatego, że tu czy ówdzie znajdzie się coś, coby należało wytknąć lub potępić. Lepiej tego nie tykać, a w razie konieczności i bronić; dla dobra powszech-

nego należy zrezygnować z napiętnowania nadużycia lub występku, który jest przecież tylko wyjątkiem.

W ten sposób wytworzyła się metoda przemilczania, w której czyny dodatnie jednych służyły niejako dla zatuszowania ujemnego działania innych. Zapominano przytem o rozwiniętym już zmyśle krytycznym u ludności i tej powszechnem doświadczeniem stwierdzonej prawdzie, że większość łatwiej uwierzy w czyn zły niż w dobry, szczególniej gdy chodzi o działalność wybitniejszych jednostek. W nowożytnych społeczeństwach, wobec ogromnej ilości potrzeb i pragnień, które szczęśliwsi tylko mogą w całości zaspokoić, wobec tylu powodów niezadowolenia ze swego losu, zawiść jest wadą bardzo pospolitą. Wiadomość, że ktoś drugi, lepiej od losu wyposażony, popełnił coś niewłaściwego, schlebia naszej miłości własnej, bo stwierdza pośrednio, że nie zasługuje on na lepsze w społeczeństwie miejsce, że jest niesprawiedliwie uprzywilejowany, my zaś bez powodu skrzywdzeni. Zarzuty opozycyi przyjmowano więc już z góry z wielką życzliwością, tak, że trudno było odeprzeć nawet najbardziej bezpodstawne. Cóż dopiero, gdy wyszło na jaw, że prasa umiarkowana w jednym czy drugim wypadku broniła straconej pozycyi, że liberalizm miał w istocie słuszność. Takie wypadki podkopywały zaufanie do pism umiarkowanych i tem bardziej wzmagały wpływ obozu przeciwnego. Jeżeli się to powtarzało częściej — a niestety tak było — umiarkowana prasa przestawała być czynnikiem informacyjnym; wytwarzało się przeświadczenie, że kto chce mieć istotny obraz życia publicznego, musi go sobie wyrobić na podstawie materyałów dostarczonych przez dzienniki liberalne.

Lecz nawet tam, gdzie nie chodziło o osłanianie niezdrowych objawów, zbytnie związanie się osobami okazało się nader niekorzystne dla pism umiarkowanych. Prasa ta powstaje i rozwija się dopiero w czasie, gdy pogłębiono już znacznie przedział pomiędzy rządzącymi a rządzonymi, gdy nagromadziła się już znaczna ilość wzajemnych nieporozumień i niechęci. Dwa już obozy stoją naprzeciw siebie: zwolennicy zmian i obrońcy istniejącego stanu, jedni się bronią, drudzy idą z nadzieją zdobycia dzierżonego dotąd przez przeciwników stanowiska. W takich stosunkach

rzadko się tylko zdarza, ażeby ci, którzy atak na swoje dotychczasowe prawa czy urządzenia uważają za niesprawiedliwy, potrafili zrozumieć nastrój psychiczny drugiej strony, zdołali odpowiednich dobrać argumentów i środków, aby ją przejednać. Mimowolnie wszelką proponowaną reformę uważa się w takim razie za naruszenie własnego prawa, które pragnie się obronić w całości, często w sposób najniezręczniejszy. Stąd pomijając już sprawy osobiste, wytwarza się dla prasy umiarkowanej sytuacya najnieszczęśliwsza, bo wkłada się na nią obowiązki, które na niej nie spoczywają i którym nie podobna sprostać. Prasa umiarkowana musi wtedy nieraz bronić rzeczy, których obronić nie można i to w sposób, który przemawia wprawdzie do przekonania zaczepionych, lecz który nie oddziała w żadnym razie na opozycyę. Wszelkie próby wyemancypowania się, zastosowania odpowiedniejszych i skuteczniejszych środków, wywołują u interesowanych wrażenie ustępstw na rzecz niezdrowych, radykalnych prądów i sprowadzają natychmiastową represyę. Jeżeli pismo nie podda się, zwracają się przeciw niemu wszyscy z większą jeszcze zaciętością niż przeciw rzeczywistym wrogom, bo uważają je za odstępcę; jeżeli się podda, wegetuje wprawdzie dalej, lecz społecznie ginie, bo nie posiada żadnego wpływu. Pisze się w niem ciągle i może nawet wiele — ale dla kogo? Ci, którzy są duchowymi kierownikami takiego pisma, tych artykułów nie potrzebują, a inni ich nie czytają, nie rozumieją lub na nie się nie godzą; jest dziennik, lecz opinia się tworzy poza nim i bez niego.

Wkońcu należy nadmienić, że te same wpływy doprowadziły do zaniedbania w prasie umiarkowanej części czysto informacyjnej. Zadaniem jej, mówiono, jest wykształcenie ludności i ochrona jej przed zgubnym wpływem liberalizmu; na to należy położyć największy nacisk, a kwestya czy dziennik przynosi trochę więcej czy mniej wiadomości jest już drugorzędna. To stanowisko, jak już na pierwszy rzut oka widać, zupełnie chybione, stało się może najszkodliwszem dla rozwoju prasy umiarkowanej. Nie podkreślam już tutaj położenia czytelników, którzy przy takim systemie nie mogli poprzestawać na swoim dzienniku, lecz musieli szukać brakujących w nim wiadomości w piśmie liberalnem, ale zwracam

uwagę na płynące stąd konsekwencye dla ustroju dziennikarskiej służby informacyjnej. Zaznaczyłem już na wstępie, że dzisiaj wszystkie niemal ajencye telegraficzne, zasilające wszechświatowe dziennikarstwo wiadomościami ze wszystkich krajów, są w ręku liberalizmu. Czy można się temu dziwić, jeżeli prasa umiarkowana nie starała się, przynajmniej w początkach, o szybkie i wszechstronne informowanie swych czytelników, lecz poprzestawała na redakcyjnych artykułach przemawiających do ich przekonania, t. zw. moralizujących. Gdy przekonano się później, że to wystarczyć nie może, gdy zrozumiano, że publiczność domaga się przedewszystkiem szybkich wiadomości, dziennikarstwo umiarkowane nie rozporządzając odpowiednim aparatem, musiało posługiwać się ajencyami, a więc organizacyą przeciwników, musiało samo szerzyć liberalne poglądy na bieżące wypadki. Dzisiaj pisze się wiele o konieczności stworzenia własnych biur informacyjnych, ażeby wyzwolić się z pod wpływu ajencyi telegraficznych, na razie jednak ich niema, a przytem znacznie trudniej jest zorganizować je dzisiaj, gdy wymagania publiczności wzrosły w ogromny sposób, a istniejące od dawna organizacye przeciwników mają wyrobiony personal, doświadczeniem udoskonaloną technikę i zapewnioną klientelę, aniżeli w początkach, gdy różnica sił nie była tak znaczna. A jednak brak własnych źródeł informacyjnych sprawia, że zwalcza się wprawdzie liberalizm, ale informuje się ludność wyłącznie w liberalnym duchu.

Może nie od rzeczy będzie wyjaśnić to na jednym przykładzie z bardzo niedawnej przeszłości, mianowicie w sprawie Wahrmunda. Dzięki swej pierwszej antykatolickiej broszurze pasowany przez prasę liberalną na pierwszorzędnego uczonego i męczennika wolności nauki, Wahrmund, zawiódł jej nadzieje, bo według bardzo niepodejrzanego o klerykalizm świadectwa niemieckiego uniwersytetu w Pradze, postąpił w sposób, niegodny profesora uniwersytetu, zrzekając się swych praw nauczycielskich w zamian za pewne korzyści natury materyalnej. Wydał on i w ostatnich dniach broszurę w swej obronie, ale milczy się o niej wytrwale, bo do głosów z Pragi przybyło jeszcze pismo przywódcy liberalnych Niemców w parlamencie, konstatujące, że autor

broszury niezgodnie z prawdą przedstawił stan rzeczy. Przed dwoma laty prasa umiarkowana zwalczaniem Wahrmunda przyczyniła się znakomicie do spopularyzowania jego nazwiska, liberalizm dyktował jej wprawdzie nie treść, ale temat artykułów, obecnie dzieje się to samo, bo milczeniu prasy liberalnej odpowiada milczenie organów przeciwnych. A jednak gdyby taki upadek spotkał kogoś, który kilka miesięcy przedtem uchodziłby za przedstawiciela ducha katolickiego czy kierunku konserwatywnego, tryumfy liberalizmu trwałyby bardzo długo, po latach jeszcze powoływanoby się na ten wypadek. Dlaczegóż więc obóz umiarkowany nie wyzyskał tej kompromitacyi liberalizmu? Jedno tylko na tę nieudolność można znaleźć tłumaczenie: prasa umiarkowana jest tak przyzwyczajona iść śladem swych przeciwników, że gdy oni o danej kwestyi nie piszą, pomija ją i ona, gdy tamci jej nie informują, nie posiada własnych wiadomości. Tylko że ten system daje liberalizmowi zupełną swobodę oświetlania dowolnego wypadków bez obawy żadnych niekorzystnych skutków, a prasie umiarkowanej odbiera możność skutecznego oddziałania na nastrój opinii publicznej.

Czując te wszystkie braki, próbują niektóre pisma umiarkowane wyzwolić się z tych więzów, walczyć z wrogiem jego własną metodą. Niestety idea sama w sobie dobra, w przeprowadzeniu wydaje najczęściej zgubne rezultaty, bo błędy organizacyi prasy umiarkowanej leżą zbyt głęboko, ażeby sama zmiana formy mogła je usunąć. Ta samodzielność indywidualna przejawia się najczęściej tylko w ostrzejszym tonie i w walce przeciw pokrewnym organom, walce, podjętej nieraz tylko dla zaznaczenia swej odrębności, a prowadzonej namiętnie już choćby dlatego, że jest to wojna domowa, rodzinna. Skutki są bardzo proste. Pisma umiarkowane o barwie radykalnej pod względem treści, nie mogą dać swym czytelnikom nic nowego, gdyż nie mają własnych wiadomości, a występując gwałtownie przeciw innym dziennikom obozu umiarkowanego, podkopują cały ten kierunek, bo ostatecznie czytelnik musi sobie powiedzieć, że kiedy nawet prasa zasadniczo stojąca na gruncie antyliberalnym zwalcza w taki sposób zapatrywania, dążenia i ludzi swego własnego obozu, przeciwnicy tego

kierunku muszą w niejednem mieć słuszność. Jasną jest rzeczą, że i drugi odłam pism umiarkowanych zwraca się przedewszystkiem przeciw temu radykalnemu skrzydłu, tak że w rezultacie pozostawia się wolne pole działania dla głównego wroga, a toczy się bezustannie wojnę we własnym obozie.

Trudno wobec tego się dziwić, że liberalizm każdej chwili może zgrupować około siebie opinię publiczną i że mobilizuje ją niejednokrotnie — jak się to stało z Ferrerem — nawet w sprawach, z których ostatecznie będzie się musiał wycofać. Wie on jednak, że ten odwrót da się uskutecznić bezkarnie, bo przeciwnicy nie potrafią go wyzyskać i napiętnować, a mobilizacya będzie zawsze użyteczną, okaże bowiem namacalnie całą potęgę liberalizmu. A wszelka siła pociąga słabszych, to też liberalizm liczy na to, że choć kampanię przegra, to jednak pozostanie wrażenie siły, które mu przysporzy nowe koła zwolenników. I liczy dobrze, z tem tylko zastrzeżeniem, że siła jego płynie głównie z nieudolności jego przeciwników.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Wiec katolików niemieckich. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.*	1*—9*
Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej. Przez *Walerego Gostomskiego*	1 204
Szkoła rosyjska w dobie t. zw. »rewolucyi«. Garść wrażeń z lat 1906—1908. Przez *d-ra Stanisława Zdziarskiego*	15 222
»Civitas dei« w epoce Karola Wielkiego. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	30 240
Joanna Grudzińska. Epizod nocy belwederskiej w jednym akcie. (Dok.) Przez *Adama Stodora*	44
O najpopularniejszej książce angielskiej. (Dok.). Przez *d-ra Romana Dyboskiego*	60
Geneza kultu relikwii św. (Dok.). Przez *ks. Karola Felisia T. J.*	80
W siedemsetletnią rocznicę św. Franciszka. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	149
Ostatni zjazd polskiej partyi socyalistycznej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	177
W podziemiach Postojny. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	194
Sprawa Ferrera. Przez *d-ra Włodzimierza Czerkawskiego*	1*—20*
Straż polska. Przez *K. Bartoszewicza*	323
Boże Narodzenie. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	338
Krucyfiks Jadwigi. Przez *Lucyana Rydla*	345
Galileusz w świetle nowych badań. Przez *ks. A. Starkera T. J.*	348
Liga gaelicka. Przez *ks. Ch. Schoonjansa T. J.*	370
Dzieje filomatów w zarysie. (C. d.) Przez *Stanisławę Pietraszkiewiczównę*	378

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Duma o hetmanie. Stefan Żeromski. *(W. Gostomski)* 96

Kobieta — ogniskiem. Cecylia Plater-Zyberkówna. *(Bronisław Załuski)* 102

Z krainy prawa, wolności i pracy. Illustrowane zapiski o Belgii. K. Ostaszewski-Barański. *(T. Wodzicka)* 107

Tatry w poezyi polskiej. Zebrał i ułożył Józef Kantor. *(Dr. St. Zdziarski)* 263

Więcej niż miłość. Powieść współczesna. Zofia Casanova. *(Teresa Wodzicka)* 270

Listy do przyjaciół o życiu młodzieży, szczególniej akademickiej. Zebrał T. B. *(Czesław Pieniążek)* 273

Z krainy stu wysp. Dr. Ostaszewski-Barański. — Z nad Drawy, Sawy i Soczy. Tenże. — Z nadreńskich stron. Tenże. — Z morawskiej ziemi. Notatki. Tenże. *(Ks. K. Konopka T. J.)* 263

Listy pasterskie i mowy okolicznościowe. Arcybiskup Józef Bilczewski. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* 400

Wybór poezyi. Kazimierz Laskowski (El). *(W. Gostomski)* 402

Wybór poezyi. Część I. Jan z Kozielca Pogorski. *(Dr. St. Zdziarski)* 404

Z piśmiennictw obcych.

Z literatury rosyjskiej porewolucyjnej. *(Dr. St. Zdziarski)* . . 108

Les dessous de la police russe, par Jean Longuet et Georges Silber. *(Dr. St. Zdziarski)* 276

Krisis der Axiome der modernen Physik. Reform der Naturwissenschaften. Dr. Gustav Pecsi. *(Ks. Józef Sawicki T. J.)* 408

Eskizy sowriemiennosti. Oczerk naciobalnawo wozrożdinnija i żizni posliednych 4 liet na Ukrainie, w Polszie, Litwie i w Jewrejew. A, M. Bogdan-Sokolskij. *(Dr. St. Zdziarski)* . 412

Geschichte der älteren südslawischen Litteraturen. Dr. M. Murko. (Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen. B. V, 2 Abt.) *(Tadeusz Stan. Grabowski)* 416

Zapiski bibliograficzne.

Krótki zarys historyi sztuki. Skreślił dr. M. Żmigrodzki. Wydanie nowe. Z dodatkiem 515 rycin i rysunków. *(X.)* 120

M. Waleryusa Marcyalisa Epigramów ksiąg XII przekładał Jan Czubek. *(Dr. J. Dem.)* 120

Z krainy faraonów. Wrażenia z podróży. Ks. F. Leliwa Józefowicz. *(Ks. W. W. T. J.)* 121

XX. Misyonarze w Iłłukszcie. Wołyniak. *(St. B.)* 121

Soczinienija P. A. Kulisza. Tom II. *(C. R.)* 121

Die Bekenntnisse des hl. Augustinus. Buch I—X. Übersetzt von G. von Hertling. *(W. W.)* 122

Kreuzwegbüchlein. M. Meschler S. J. *(W. W.)* 123

Rzeczy wesołe. Kornel Makuszyński. *(A. St.)* 290

Str.

Szkice literackie o Juliuszu Słowackim. Dr. W. Hahn.—O życiu i dziełach Juliusza Słowackiego. Tenże. *(a. st.)* 291

Epos. Tom II. Epos egipskie. *(a. st.)* 291

Stanisława Wyspiańskiego »Achilleis«. Objaśnił Karol Wróblewski. *(A. S.)* 291

Das Brautexamen. Praktische Anleitung für den Kuratklerus. J. Hössle. *(W. W.)* 292

Gnade und Natur. Ihre innere Harmonie im Weltlauf und Menschheitsleben. Eine apologetische Studie von Dr. Theol. A. Rademacher. *(I. N.)* 292

Przedstawiciele ludzkości. Emerson. Przełożyła z angielskiego. *(St. B.)* 426

Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych. Zesz. 86 . 100. — Biblioteczka Młodzieży Szkolnej. Zesz. 60—100. — Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej. Zeszyt 101—109. *(Ks. W. W.)* 427

Wspomnienia z Mandżuryi. Napisał K. G. *(k.)* 427

Wszechnica katolicka w Lovanium (Louvain). Napisał ks. Idzi Radziszewski. — Uniwersytet we Fryburgu Szwajcarskim. Skreślił Henryk Hilchen. *(A.)* 427

Nasi księża, ich wychowanie i stosunek do społeczeństwa. Ks. Witold Czeczot. *(St. B.)* 427

Sexualethik und Sexualpedagogik. Eine Auseinandersetzung mit den Modernen. Von Dr. Fr. W. Foerster. *(B. M.)* 427

Leçons d'Ecriture sainte: Jésus Christ, sa vie, sons temps. Par le P. Hippolyte Leroy S. J. *(J. B.)* 428

The artful Miss Dill by Frank Frankfort Moore. I vol. *(T. W.)* . 429

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAZDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Ze zjazdów i kongresów katolickich.—Ze zjazdu wolnomyślnych w Brukseli. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 123

Przegląd muzyczny. Zygmunt Noskowski (1846—1909). (Syntetyczny szkic). Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 130

Listy z Warszawy. Niewieścia literatura porewolucyjna. — »Dola« Eugenii Żmijewskiej. — »Orły« Alicyi Szamoty. — »O czem się nie mówi« Gabryeli Zapolskiej. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 136

Z pism czasowych. (Dokończenie). Przez *I. M.* 144

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Hospicyum polskie papieskie. — O szkoły we Francyi. — Z katolickiego kongresu w Belgii. — Objawy pocieszającej tolerancyi. — Zielony papież. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 293

Str.

Miłosierdzie w Anglii. Przez *M. Harsdorfową* 305

Wśród terminatorów wschodniej Galicyi. Przez *ks. Mieczysława Kuznowicza T. J.* 314

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Z francuskiego zamętu. — Z ciemnych i jasnych chwil we Włoszech. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . 430

Z poszukiwań historyczno-muzycznych w klasztorach krakowskich, Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 437

Z działalności Towarzystwa Tatrzańskiego. Przez *d-ra St. Z.* . 449

Listy z Warszawy. Zobojętnienie dla spraw politycznych. — Wybory do Rady Państwa. — Zwyrodnienie moralne. — Okradzenie Matki Boskiej Częstochowskiej. — Pan Straszewicz i Ferrero. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 453

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.